

PATRICIA
CORNWELL



WYSPA PSÓW

Prószyński i S-ka

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

PATRICIA CORNWELL

WYSPA PSÓW BZÓW

(Isle Of Dogs)

Przełożyła: Sylwia Twardo



Prószyński i S-ka

(2006)

*Dla mojej przyjaciółki
i wydawcy Phyllis Grann*

ROZDZIAŁ 1

Imię i nazwisko pasowały do Unique First jak rękawiczka, a przynajmniej tak zawsze twierdziła jej matka. Unique była pierwsza i jedyna w swoim rodzaju. Nie istniał nikt inny taki jak ona... i bardzo dobrze, jak utrzymywał jej ojciec, doktor Ulisses First, który nigdy nie zdołał zrozumieć, skąd wziął się ten dziwny splot genów, który stał się przyczyną nieszczęść jego jedyne dziecko.

Unique była drobną osiemnastolatką o długich, lśniących włosach czarnych jak skrzydło kruka, cerze białej i czystej niczym mleko w szklance oraz pełnych, różowych wargach. Wierzyła, że jej jasnoniebieskie oczy mogą oszołomić każdego, kto zatopi w nich wzrok, i że jednym spojrzeniem może nagiąć cudzą wolę do swego Zadania. Unique potrafiła obserwować kogoś przez wiele tygodni, aby kumulować w sobie napięcie aż do ostatniego momentu, dostarczającego jej upragnionego wyzwolenia, po którym zazwyczaj następowała chwilowa utrata świadomości.

– Hej, niech się pan obudzi, zepsuł mi się samochód. – Zastukała do okna ogromnej ciężarówki, zaparkowanej samotnie przy targu owocowo-warzywnym Farmers Market, na przedmieściach Richmondu. – Ma pan może komórkę?

Była czwarta nad ranem, panowały głębokie ciemności, a oświetlenie parkingu nie należało do najlepszych. Chociaż Moses Custer wiedział doskonale, że o tej porze lepiej nie przebywać tu samemu, zignorował ostrzeżenie głosu rozsądku, kiedy po kłótni z żoną wypadł z domu i wskoczył

do ciężarówki. Zamierzał tu spędzić samotnie noc, zostawiając swoją połowicę samą i kontentując się sąsiedztwem straganów z warzywami. Już on jej pokaże, pomyślał, jak zawsze, kiedy w ich życiu małżeńskim pojawiały się cienie. Otworzył drzwi szoferki, jako że pukanie w szybę nie ustawało.

– O mój Boże, a co taka ślicznotka tu robi w środku nocy? – zapytał pijany i półprzytomny, widząc delikatną, bladą buzię i anielski uśmiech.

– Zaraz przeżyje pan coś niezwykłego. – Unique zawsze mówiła to samo przed przystąpieniem do Zadania.

– Co? – zdziwił się Moses. – Co takiego?

W odpowiedzi odniósł wrażenie, jakby rzuciło się na niego stado demonów, kopiąc go i obsypując gradem uderzeń, szarpiąc za włosy i ubranie. Przy wtórze ohydnych przekleństw rozległ się huk, a ciało i kości Mosesa przeszył piekielny ból, kiedy miażdżyły je setki brutalnych ciosów. Potem napastnicy zostawili Custerą na pewną śmierć i odjechali jego ciężarówką. Moses unosił się przez pewien czas nad swą powłoką, przyglądając się skatowanemu, nieruchomemu ciału, spoczywającemu bezwładnie na asfalcie. Wypływającą spod jego głowy krew rozmywał deszcz, z jednej stopy spadł but, a lewa ręka leżała wykrzywiona pod jakimś nienaturalnym kątem. Moses przyglądał się sobie, a jedna część jego istoty czuła wielkie zmęczenie i wydawała się gotowa na spotkanie z Wiecznością. Druga wszakże pożałowała tego świata.

– Mam rozwaloną głowę – jęknął i zaczął szlochać, czując, że pogrąża się w mroku. – Och, moja głowa! Boże, jeszcze nie jestem gotów! Mój czas nie nadszedł!

Ciemności zmieniły się w falującą przestrzeń; zawieszony w niej Moses obserwował pulsujące niebieskie światła, miotających się strażaków, personel karetki pogotowia i policjantów w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy rozciągali oślepiająco białą taśmę ostrzegawczą. Jaskrawe latarnie syczały na splukiwanym ulewnym deszczem chodniku, a ludzie pokrzykiwali z podnieceniem i bez sensu. Wydawało się, że wrzeszczą na Mosesa, więc

wystraszył się i poczuł mały i nieważny. Chciał otworzyć oczy, ale powieki miał tak oporne, jakby je ktoś zaszył.

– Co się stało z aniołkiem? – mamrotał do siebie. – Powiedziała, że zepsuła się jej samochód.

Wóz Unique był w doskonałym stanie. Od paru godzin kręciła się po mieście, słuchając przez radio wiadomości o pobiciu Mosesa i kradzieży ciężarówki z targowiska, a także spekulacji, czy oba przestępstwa zostały dokonane przez ten sam gang, który od miesięcy terroryzował stan Wirginia. Jednak tym razem stan błogości okazał się mniej intensywny niż zawsze. Dziewczyna mogłaby przysiąc, że zostawili kierowcę martwego i irytowało ją, że współnicy aż tak się pośpieszyli, uniemożliwiając jej osiągnięcie całkowitego wyzwolenia. Gdyby to zależało od niej, dokończyłaby to, co zaczęła, i dopilnowała, żeby kierowca już nigdy nie otworzył gęby.

Nie obawiała się jednak, że zwróci na siebie uwagę glin, o tak nietypowej porze krążąc po mieście swoją białą miatą. Niezwykłość Unique polegała bowiem między innymi na tym, że dziewczyna nie wyglądała na to, kim była. Czowała się do tego stopnia pewnie, że zatrzymała się przed mini-marketem Fred's Mini Mart obok samochodu policjanta.

Zauważyła nieoznakowany wóz policyjny jedną przecznicę wcześniej i kiedy wsunęła się do sklepu, ujrzała przystojnego, młodego blondyna, jak płacił przy ladzie za ćwierćlitrowy kartonik mleka. Mężczyzna nosił džinsy i flanelową koszulę; Unique sprawdziła wzrokiem, czy nie miał przy sobie broni i dostrzegła niewielką wypukłość z tyłu za paskiem spodni.

– Dzięki, Fred – powiedział jasnowłosy policjant w cywilu do faceta przy kasie.

– Słowo daję, Andy, brakowało nam ciebie. Przepadłeś jak kamień w wodę na cały rok.

– No ale teraz już jestem – odparł blondyn, chowając resztę. – Uważaj na siebie. Ostatnio grasuje tu naprawdę paskudny gang. Właśnie znowu napadli

na jakiegoś kierowcę.

– Wiem, słyszałem przez radio. Bardzo go zmasakrowali? Posłali cię na miejsce przestępstwa?

– Nie mnie. Mam wolne. Dowiedziałem się o tym tak samo jak ty – odpowiedział Andy z lekkim rozczarowaniem.

– Mnie tam się wydaje, że jest tak, jak piszą w gazetach: to zbrodnia z nienawiści – stwierdził Fred. – Z tego, co słyszałem, przewodzi im biały, a jak dotąd wszystkie ofiary są czarne, poza tą kobietą z ciężarówki sprzed kilku miesięcy. Chociaż ją też w gruncie rzeczy można zaliczyć do mniejszości. Nie powiem, żebym szczególnie przepadał za lesbami, ale zmasakrowali ją po prostu okrutnie. Gdzieś czytałem, że wbili jej kij i strasznie ją pocięli. O! – wykrzyknął Fred z zaskoczeniem, kiedy Unique pojawiła się nie wiadomo skąd i postawiła na ladzie sześciopak piwa Michelob. – Tak się tu cichutko wślizgnęłaś, skarbie, że wydawało mi się, że sklep jest pusty.

Unique uśmiechnęła się słodko.

– Poproszę o paczkę marlboro – powiedziała miłym głosem.

Była bardzo ładna i schludna w swoim czarnym ubraniu, ale buty miała podrapane i z pewnością brudne. Wyglądała, jakby nagle złapał ją deszcz. Andy zauważył białą miatę na parkingu, kiedy odjeżdżał nieoznakowanym caprice, a zaledwie się oddalił, filigranowa piękność o dziwnych oczach wsiadła do swego białego samochodu. Jechała za caprice przez miasto, aż do Fan District, a kiedy Andy zwolnił, żeby sprawdzić, czy uda mu się odczytać tablice rejestracyjne jej auta, skręciła w Strawberry Street. Doznał jakiegoś nieokreślonego wrażenia, a gdy wrócił do swojego domu w rzędzie szeregowców i nalał sobie mleka do muesli, miał dziwne poczucie, że ktoś go obserwuje.

Unique doskonale umiała śledzić każdego, także gliniarzy. Zatrzymała się w głębokim cieniu drzew po drugiej stronie ulicy i obserwowała, jak cień Andy'ego przesuwa się z pokoju do pokoju. Widać było, że gliniarz je coś

z miseczki. Kilka razy rozsuwał zasłony i wyglądał na spokojną, świecąca pustkami ulicę. Unique skierowała w jego stronę spojrzenie, wyobrażając sobie, jaki wpływ mogłaby wywrzeć na jego myśli. Był niespokojny i, jak sądziła, wyczuwał owo Coś. Albowiem Unique krążyła po tym świecie już od dłuższego czasu; wcześniej opętała niemieckiego nazistę w Dachau. A dawno, dawno temu... wyczytała to w kartach tarota... była Przeciwnikiem i miała oczy na całym ciele.

Andy znowu rozsunął zasłony i teraz już czuł takie rozdrażnienie i niepokój, że nosił ze sobą pistolet po całym domu. Może jego zły nastrój wynikał z tego, że zawsze bardzo się przejmował paskudnymi sprawami, takimi jak napad na Moseesa Custerę, nawet jeśli nie należał do grupy dochodzeniowej. Przygnębiło go i zirytowało, gdy usłyszał, że kierowcę skopano, zdeptano, pobito i zostawiono, by zmarł w samotności, a on Andy, nie znajdował się gdzieś w pobliżu, żeby pośpieszyć na pomoc. A może jego ponury nastrój wynikał z tego, że nie spał przez całą noc, był podniecony i trochę przerażony perspektywami najbliższej przyszłości.

Andy Brazil czekał na ten dzień przez cały rok. Spędził nieskończenie wiele godzin ciężko pracując, a teraz wreszcie wykańczał pierwszy z serii felietonów, który za kilka godzin znajdzie się na stronie internetowej o nazwie Tropiciel Prawdy. Projekt był tak ambitny jak nietypowy, ale kiedy Andy poszedł do imponującego biura swojej szefowej, znajdującego się w głównej kwaterze policji stanu Wirginia, żeby go przedstawić, był gotów na wszystko, a przynajmniej na bardzo wiele.

– Proszę mnie przynajmniej wysłuchać, zanim powie pani „nie” – zaczął Andy, zamykając za sobą drzwi. – I proszę obiecać, że nikomu pani nie powie o tym, co zaraz zaproponuję.

Komendant Judy Hammer podniosła się zza biurka i milczała przez chwilę, jakby pozowała do ukazującego jej władzę zdjęcia robionego dla celów public relations, ustawivszy się z rękoma w kieszeniach na tle

skrzyżowanych flag stanu Wirginia i USA. Dobiegając pięćdziesięciu pięciu lat, wciąż była bardzo piękną kobietą o bystrych oczach, zdolnych przeniknąć kamizelkę kuloodporną albo zniewalać tłumy, a jej eleganckie kostiumy nie mogły ukryć doskonałej figury. Andy musiał się pilnować, żeby się na nią nie gapić.

– No dobrze. – Judy Hammer zaczęła krążyć po gabinecie, rozważając na głos propozycję Andy’ego. – Moja pierwsza reakcja to – mowy nie ma. Wydaje mi się, że błędem byłoby przerywać tak wcześnie twoją karierę w organach ścigania. Nie zapominaj, że byłeś gliną w Charlotte tylko przez rok i niewiele dłużej tutaj, w Richmondzie, a zostałeś policjantem stanowym zaledwie sześć miesięcy temu.

– I w tym czasie napisałem do miejscowych gazet setki felietonów o sprawach kryminalnych – przypomniał. – To chyba moje największe osiągnięcie, prawda? Czy nie miałem za zadanie przede wszystkim informować ludność o tym, co się dzieje i co policja zamierza zrobić, albo w niektórych przypadkach, czego nie robi? Cała rzecz polega na uświadamianiu obywatelom pewnych spraw, a ja bym chciał się tym zająć na większą skalę i dla większej liczby czytelników.

Kariera zawodowa Andy’ego od początku przebiegała nietypowo. Zaraz po studiach zajął się dziennikarstwem i na ochotnika wyspecjalizował się w sprawach związanych z działalnością organów ścigania; jeździł na patrole z policjantami i pisał sprawozdania do miejskiej gazety. Działo się to w Charlotte, w Karolinie Północnej, gdzie Judy Hammer w owym czasie zajmowała stanowisko komendanta i w końcu zatrudniła Brazila jako zaprzysiężonego funkcjonariusza, jednocześnie piszącego felietony i artykuły do gazet. Dała mu tak bezprecedensowe możliwości, ponieważ sama znalazła się w nietypowej sytuacji, jako że otrzymała fundusze z Narodowego Instytutu Sprawiedliwości, pozwalające jej przejmować zabagnione wydziały policji i robić w nich porządek. Zawsze potrafiła patrzeć dalej niż na koniec własnego nosa, toteż została protektorką Andy’ego i zabierała go ze sobą,

ilekroć przenosiła się gdzieś służbowo. Jednak teraz, kiedy obserwował, jak szefowa krąży po pokoju, wyczuł, iż uznała jego plan za przejaw niewdzięczności.

– Bardzo sobie cenię wszystko, co pani dla mnie zrobiła – powiedział. – Wcale nie zamierzam się teraz od pani odwrócić i zwać.

– Nie chodzi wcale o to, czy będziesz na miejscu czy nie – odparła tonem, sugerującym, że nawet gdyby zniknął z horyzontu na wiele miesięcy, nie zwróciłaby na to najmniejszej uwagi.

– Postaram się, aby to wyszło nam na dobre, pani komendant – obiecał. – Pora, żebym mógł powiedzieć coś więcej, niż tylko kto kogo okradł, ilu kierowców złapano na przekraczaniu prędkości czy jakie rodzaje przestępstw są obecnie na topie. Chciałbym ukazywać zachowania przestępcze w kontekście natury ludzkiej i historii, a moim zdaniem jest to bardzo ważne, bo ludzie robią się coraz gorsi. Czy mogłaby mi pani pomóc dostać grant czy inne dofinansowanie, żebym mógł się utrzymać, robiąc badania, pisząc i uczęszczając do szkoły pilotażu...?

– A ktoś coś mówił o nauce latania? – przerwała.

– W wydziale lotniczym mają instruktorów, a wydaje mi się, że byłbym znacznie bardziej użyteczny, gdybym zdobył licencję pilota helikopterów – wyjaśnił Andy.

Judy uległa mu, może zdając sobie sprawę, że i tak by oszedł. Stronę internetową mógł zaś prowadzić jako specjalny tajny projekt, pracując jednocześnie w poprzednim charakterze, jednak pod warunkiem że zachowa anonimowość, gdyż gubernator Bedford Crimm IV, który był nieznośnym, despotycznym starym dziadem o arystokratycznych pretensjach, nie pozwalał rozpowszechniać żadnych informacji bez swojej zgody. To, co napisałby Andy, nie mogłoby zostać bezpośrednio powiązane z policją stanu Wirginia, ale musiał przedstawiać siły porządku w pozytywnym świetle i zachęcać ludność do ich wspierania. Judy Hammer wymogła też, że Andy ma być do jej dyspozycji w sytuacjach kryzysowych, a jeśli chce się uczyć pilotażu,

niech sam to sobie załatwi.

Osiągnąwszy tyle, drążył dalej:

– Czy dostanę jakieś diety?

– Po co? – spytała pani Hammer. – Dokąd się wybierasz?

– Potrzebne mi fundusze na badania archeologiczne i historyczne.

– Myślałam, że chcesz pisać o naturze ludzkiej i zbrodni. – Szefowa znowu stawiała opór. – Co to ma być? Chcesz sobie polatać helikopterem i zwiedzić świat?

– Jeśli mam pokazać, skąd wzięły się problemy dzisiejszej Ameryki, muszę opisać, jak to wyglądało na samym początku – wyjaśnił. – A pilotów i tak jest za mało. W ostatnim kwartale dwóch zrezygnowało z pracy.

Andy siedział przy stole w jadalni, który zamienił się w zagracone biurko, wpisał hasło do komputera i otworzył jeden z plików. Po roku pracowitych badań, pisania, lekcji pilotażu i studiów ciągnęło go do ścigania przestępców i wykrywania sprawców gwałtownych zbrodni, tak z ziemi jak z powietrza. Bardzo mu zależało, żeby ludzie czytali, co ma do powiedzenia, i często wyobrażał sobie, jak jedzie samochodem patrolowym albo leci helikopterem, czy też bada miejsce przestępstwa i przypadkiem słyszy, że ktoś rozmawia o tym, co przeczytał na stronie internetowej Tropiciele Prawdy. Nikt nie wpadnie na to, że autor jest pośród nich i zdobywa z ich wypowiedzi nowe informacje. Tylko Judy Hammer orientowała się w sytuacji, a oboje z Andym bardzo się pilnowali, aby nie zdradzić jego tożsamości.

Kiedy, na przykład, zajmował się badaniami archeologicznymi i pojechał zbierać materiały aż do Anglii i Argentyny, nigdy nie ujawniał, że jest dziennikarzem policyjnym. Przedstawiał się jako dwudziestoosmiolatek, piszący doktorat z historii, kryminologii i antropologii. Było to pierwsze zadanie, przy którym ukrywał swoją tożsamość i do tej pory nie mógł wyjść z podziwu, że nikt nie pofatygował się, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest na jakichś studiach doktoranckich, ani nawet, czy jest tym, za kogo się

podaje.

Andy nie należał do ludzi, którzy patrzą w lustro, usiłując zobaczyć się oczami innych, ale zdawał sobie sprawę, że ma wiele atutów. Wysokiego wzrostu, o harmonijnie wyrobionych mięśniach, miał jasne włosy i rysy tak regularne i delikatne, że w czasach szkolnych koledzy przezywali go dziewczynką. Niebieskie oczy zmieniały się zależnie od jego myśli i nastrojów zupełnie jak niebo – to ciemne, zasłonięte chmurami, to znowu słoneczne. Mógł wyglądać groźnie lub łagodnie, potrafił też koncentrować się bez reszty na swym zadaniu. Miał bystry umysł, a jego słowa lśniły niczym srebro lub też stawały się twarde niczym ów metal.

Andy bez trudu otrzymywał od innych to, czego pragnął, gdyż generalnie przyciągał do siebie ludzi, a przynajmniej zwracał na siebie ich uwagę. Poza tym pracował ciężko, żeby nadrobić braki swych młodszych lat. Stracił ojca we wczesnym dzieciństwie i został pod opieką matki alkoholiczki, która nie dostrzegała niezwykłych uzdolnień syna ani też jego wrodzonej uczciwości, zmuszając go, by zamknął się w świecie własnych zainteresowań i fantazji.

Gdyby dorastał w innych warunkach, nigdy nie zniosłby osamotnienia, potrzebnego do pracy i napisania tego, co świat miał wkrótce przeczytać. Teraz, kiedy chwila ta właśnie nadeszła, Andy był równie niespokojny i ponury jak poranek za oknem. Nad miastem wisały ciężkie chmury, błyskawica przecięła mroczny świt, a on pomyślał, że byłby to zły znak, gdyby burza przerwała dostawę prądu. Z niewesołych rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu.

– Dobrze, że nie śpisz – odezwała się w słuchawce szefowa, nie facygując się nawet, żeby powiedzieć „dzień dobry”. – Dzwonię, bo...

– Wydawało mi się, że mieliśmy się kontaktować tylko w nagłych wypadkach – przerwał jej. – Szkoda, że mnie pani nie zawiadomiła o sprawie kierowcy tira z Farmers' Market.

– Nie byłeś tam potrzebny – odparła.

– Ten sam sposób zabójstwa? Bardzo go poharatali?

– Niestety. Ma kilka ran ciętych na szyi, zadanych, jak się wydaje, brzytwą, ale żadna z nich nie jest śmiertelna – wyjaśniła. – Wygląda na to, że napastnicy uciekli w pośpiechu, a on na chwilę oprzytomniał i zdołał wezwać policję. Ale dzwonię, bo czekam, Tropiciele Prawdy – oznajmiła. – O ile się orientuję, twój artykuł miał pojawić się o wpół do siódmej. Czyli pięć minut temu.

Właśnie w ten sposób szefowa życzyła mu powodzenia.

KRÓTKIE WYJAŚNIENIE

Tropiciel Prawdy

Bogate dzieje początków Stanów Zjednoczonych zebrane zostały głównie na podstawie obserwacji świadków, zawartych w listach i innych relacjach, przedstawionych na mapach oraz w książkach, opublikowanych w początkach siedemnastego wieku. Większość z tych materiałów źródłowych dawno już zaginęła albo pokryła się pyłem zapomnienia w prywatnych archiwach. Inne dokumenty historyczne, przechowywane, na nieszczęście, w Richmondzie, spłonęły podczas wojny secesyjnej, więc ludzie z północy mogli spokojnie przeinaczać fakty i przekonywać rzesze dziatwy szkolnej, że w tej części świata historia zaczęła się w Plymouth, co jest, mówiąc krótko, nieprawdą.

Przekłamanie takie nie powinno nikogo dziwić. Wiele z tego, co przyjmujemy w życiu jako fakty, jest niczym innym jak tylko propagandą lub odbiciem tego, jak wydarzenia i ludzie są postrzegane przez osoby uprzedzone lub mało spostrzegawcze. Opowieści przechodzą z ust do ust, z jednego serwisu informacyjnego do drugiego, krążą po skrzynkach e-mailowych, przedostają się od polityków do mas, od świadków do sędziów, i w końcu każą nam wierzyć w najrozmaitsze wersje znacznie zniekształcone lub zgoła z gruntu fałszywe. Dlatego też, zaczynając rozmowy z tobą,

czytelniku, postanowiłem polegać wyłącznie na wiadomościach z pierwszej ręki i własnych doświadczeniach, korzystając głównie z osiągnięć nauk przyrodniczych i medycznych, gdyż nie ma tam miejsca ani na wyobraźnię, ani oddziaływanie osobowości, politykę, czy też pretensje.

Weźmy na przykład taki DNA, którego wcale nie interesuje, kto coś zrobił. Nie obchodzi go też, że to wcale nie byłeś ty. DNA wie dokładnie, kim jesteś ty, twoi rodzice i twoje dzieci, chociaż nie wyraża opinii na ten temat ani też nie chce zostać twoim przyjacielem albo zdobyć twój głos w wyborach. DNA wie, że to ty zostawiłeś w kimś płyn nasienny, ale tego nie osądza ani nie okazuje ciekawości, kiedy i dlaczego to nastąpiło. Stąd znacznie bardziej wierzę DNA niż zeznaniom oskarżonego i bardzo żałuję, że DNA za bardzo zajęty jest rozwikływaniem tajemnic zbrodni i ustalaniem ojcostwa, by mieć czas na odtwarzanie historii Stanów Zjednoczonych. Gdyby jednak znalazł chwilkę, jestem pewien, że przekonalibyśmy się, iż nasza wiedza na temat przeszłości jest w dużym stopniu niezgodna z prawdą, i to w bardzo bulwersujących punktach.

Chociaż jako narrator tych opowieści nie mogę skorzystać z usług DNA, postaram się przedstawić jak najlepiej moje odkrycia na temat początków angielskiej Ameryki w nadziei, że posłużą jako meufora tego, kim jesteśmy i czym się stało nasze społeczeństwo. Historia zaczyna się od splotu drobnych, ale znaczących wypadków, jakie wydarzyły się w londyńskich dokach 20 grudnia roku 1606, kiedy to trzydziestu sześciu marynarzy i stu ośmiu osadników urządziło ostatnie pożegnania, bez wątpienia pocieszając się wtedy w karczmach na Wyspie Psów, zgodnie z ówczesną pisownią na mapie Londynu z roku 1610.

Osadnicy i marynarze, którzy mieli poprowadzić statki do Wirginii, zeszli schodami Blackwell na nabrzeże, gdzie wszyscy ci dzielni poszukiwacze przygód, pragnąc rozpocząć nowe życie, a także zdobyć złoto i srebro, wsiedli na pokład „Zuzanny Constant”, „Godspeed” oraz „Discovery” i rozpoczęli historyczną podróż do Nowego Świata, zatrzymując się przy

ujściu Tamizy na sześć tygodni. Źródła pisane wyjaśniają przyczynę owego opóźnienia albo brakiem wiatru, albo tym, że wiał on w złą stronę.

Nic nie wiadomo, czy któryś z beznadziejnie wyczekujących osadników zateęsknił wtedy za londyńskimi karczmami, gdyż prosty rachunek wykazuje, iż nikt nie opuścił statku. Podczas drogi jeden z podróżników zmarł na Karaibach, najprawdopodobniej na udar słoneczny, a 14 maja roku 1607, kiedy trzy statki w końcu zacumowały na wyspie Jamestown, położonej w pobliżu północnego brzegu James River w Wirginii, na ląd zeszło stu siedmiu przybyszów. Wkrótce potem trzech z nich zginęło z ręki Indian, a w lipcu statki wróciły do Anglii po nowe zapasy, zostawiając stu czterech ludzi własnemu losowi.

Ich liczba zmniejszała się szybko i dramatycznie, podczas gdy marynarze i kapitan Newport płynęli i płynęli do Anglii. Tam zaś, jak można się domyślić, żeglarze regenerowali siły i snuli plany w karczmach na Wyspie Psów albo w domu sir Waltera Raleigha, osadnicy zaś czekali na prowiant i próbowali nawiązać pokojowe stosunki z Indianami, albo tubylcami, gdyż tak ich nazywali, dając im w prezencie kawałki miedzi i wymieniając inne błyskotki na tytoń i jedzenie.

Do tej pory nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego relacje między osadnikami i tubylcami były takie niespójne, ale przypuszczam, że odpowiedź leży w naturze człowieka, która sprawia, iż ludzie dążą do podporządkowania sobie innych, są drażliwi, obłudni, egoistyczni, chciwi i nieuczciwi, gotowi pobić niewinnego i ukraść mu ciężarówkę. Nikt też nie umiał mi wytłumaczyć, czemu nadano Wyspie Psów taką właśnie nazwę; mogę tylko przypuszczać, że chodzi tu o licznie odwiedzających tamtejsze karczmy w przerwach między kolejnymi rejsami żeglarzy i piratów, którzy w czasach elżbietańskich nosili miano „psów morskich”.

Niebawem poświęcę piratom więcej uwagi, gdyż w okresie, kiedy usiłowała zaistnieć Ameryka, odgrywali znaczącą rolę, a i dzisiaj mamy z nimi spore problemy na morzach i autostradach, chociaż używane przez

nich środki transportu, wyposażenie i broń uległy od tamtych wczesnoamerykańskich czasów znacznej zmianie. Niestety jednak, charaktery i sposób działania przestępców niewiele się zmieniły! Nadal są łotrami o sercach z kamienia, którzy hołdują przekonaniu, że martwi nie gadają, usprawiedliwiając w ten sposób porwania statków czy też ciągników siodłowych z naczepą oraz mordowanie każdego, kto stoi im na drodze. Jeżeli Wirginijczycy sądzą, iż w ich historii nie było osobników o tak wypaczonych charakterach, pozwalam sobie przypomnieć, że w Chesapeake Bay niegdyś aż się roiło od piratów, a wirginijska wyspa Tangier otwarcie z nimi handlowała i przyjmowała ich bez oporów, a jak twierdzą legendy, odwiedzał ją nawet sam Czarnobrody.

Dzieląc się prawdą z tobą, czytelniku, liczę na to, że zastanowisz się trochę nad swoim życiem i spróbujesz dzisiaj postawić potrzeby i uczucia chociaż jednego człowieka wyżej niż swoje własne. Tak samo jak odbicie w lustrze wydaje się bliższe niż jest w rzeczywistości, tak samo Przeszłość wchodzi nam na zderzak na autostradach życia, a może nawet siedzi z nami razem w samochodzie. Jesteśmy tymi, którymi jesteśmy, a im bardziej się wszystko zmienia, tym bardziej jest takie samo, jeżeli owe zmiany nie zaczną się od naszych serc.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 2

Gubernator Bedford Crimm IV nie miał pojęcia o istnieniu strony Tropiciela Prawdy, dopóki jego sekretarz prasowy, Major Trader, nie pojawił się w biurze o pierwszej po południu i nie położył na zabytkowym biurku kopii „Wyjaśnienia”.

– Widział pan to, gubernatorze? – zapytał Trader. Gubernator Crimm sięgnął po wydruk i zmrużył oczy.

– A co to ma być?

– Dobre pytanie – przyznał ponuro Trader. – Wszyscy wiedzieliśmy, że to się wkrótce pojawi, ale nie sposób było nic sprawdzić ani przewidzieć, co on napisze, bo Tropiciel Prawdy to pseudonim. I wygląda na to, że nie da się ujawnić tego zdrajcy przez Internet.

– Aha. – Gubernator umilkł, usiłując odczytać choćby jedno słowo. – Czy to znaczy, że to ktoś z naszych? O – dodał, mile zaskoczony, kiedy Trader podsunął mu czekoladowe ciastko z orzechami na niedużym talerzyku z kosztownej porcelany. – O, dziękuję.

– Upieczone dziś rano, z najlepszą belgijską czekoladą. Obawiam się, że sam zjadłem ich o wiele za dużo.

– Pańska żona jest naprawdę świetną kucharką – stwierdził gubernator, pochłaniając pół ciastka dwoma kęsami. – Założę się, że nie używa tych gotowych półproduktów w proszku, tylko oryginalnych składników. Ale chyba już kiedyś o tym rozmawialiśmy. – Dokończył ciastka, gdyż nie potrafił się oprzeć niczemu, co zawierało czekoladę.

– Wszystko naturalne, co do joty.

– To określenie zawsze wydawało mi się dziwne – oświadczył Crimm, wycierając palce w chusteczkę. – Do jakiej joty?

– Składniki. Chodzi o to...

– No dobrze, już dobrze. – Bedford dał tym do zrozumienia, że wcale nie oczekiwał odpowiedzi, a tylko wyrażał uprzejme zainteresowanie. – Przejdźmy do rzeczy – dodał niecierpliwie.

– Dobrze – odrzekł Trader. – Tropiciele Prawdy. W policji stanowej nie pracuje nikt o nazwisku Prawdy, ani też nikt się nie przyznał, że ma jakieś pojęcie, kto to może być. Jednak zanim ten tekst ukazał się w Internecie – wskazał na wydruk – pojawiały się liczne ogłoszenia strony internetowej Tropiciele Prawdy i tego, kiedy zostanie uruchomiona. Kimkolwiek on jest, zna się na tyle na komputerach, żeby wcisnąć marketingowe sztuczki i ogłoszenia wszędzie, gdzie tylko się da.

Gubernator Crimm sięgnął po oprawione w kość słoniową szkło powiększające, wykonane w Anglii w dziewiętnastym wieku. Patrząc przez nie, zdołał przyswoić sobie tyle z treści tekstu, by poczuć zainteresowanie i lekką urazę.

– Widać wyraźnie, że ten Tropiciele Prawdy jest mieszkańcem Wirginii albo przynajmniej chce wskazać na nas palcem – ciągnął z irytacją Trader, podczas gdy gubernator czytał powoli. – Mam zestawienie wiadomości, które umieścił na najrozmaitszych tablicach ogłoszeniowych i rozesłał pocztą elektroniczną. Wygląda na to, że ma dostęp do wszystkich rządowych adresów w naszym stanie, co pozwala sądzić, że jest kimś z wewnątrz, zdrajcą i wichrzycielem.

– No, mnie się nawet podoba to twierdzenie, że Ameryka zaczęła się w Jamestown, a nie w Plymouth – zauważył gubernator, którego rodzina mieszkała w Wirginii od czasu wojny o niepodległość. – Mam już dość ciągłego zawłaszczania przez inne stany naszych osiągnięć. Tylko niezbyt zachwyca mnie jego sugestia, że nie można wierzyć historii. Chyba chce

komuś nadebrać na odcisk, nie? I o co chodzi z tymi piratami? – Zatrzymał szkło powiększające nad nazwiskiem Czarnobrodego.

– Bardzo kłopotliwe. Słuchał pan wiadomości dziś rano?

– Tak, tak – mruknął z roztargnieniem gubernator. – Czy są jakieś nowe informacje?

– Napadnięty, nazwiskiem Moses Custer został poważnie pobity i niewiele pamięta. Bełkotał coś na temat niezwykłego spotkania z aniołem, któremu się zepsuł samochód. Na szczęście po dłuższym przesłuchaniu przez policję stanową przypomniał sobie młodego białego mężczyznę z dredami, który bluznął stekiem przekleństw, kiedy otworzył tylną klapę i zobaczył ładunek dyń, które potem napastnicy najprawdopodobniej wrzucili dyskretnie do James River. Ten gość, Custer, miał takie same dziwaczne rany jak poprzednie ofiary.

– Wydawało mi się, że usiłujemy zatuszować kwestię piractwa – przypomniał sobie gubernator. – Czy nie poleciłem komendant Hammer, żeby nie dawała żadnych komunikatów do prasy bez porozumienia z nami?

– Ależ tak. I do tej pory udawało nam się nie dopuścić tych sensacyjnych wiadomości do mediów.

– Nie myśli pan chyba, że ów Tropiciele Prawdy zamierza klepać w Internecie na temat naszego problemu z piratami?

– Sądzę, że tak – odrzekł Trader, jakby wiedział to z pierwszej ręki. – Możemy być pewni, że jego strona narobi niezłego smrodu, bo wygląda na to, iż autorem jest ktoś z wewnątrz i obawiam się, że wszystko skupi się na pańskiej administracji, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót.

– Chyba ma pan rację. Zazwyczaj wini się mnie – przyznał gubernator, czując, że burczy mu w brzuchu, a jelita wiją się jak robaki nagle wystawione na światło dzienne. Czemu ten Trader musiał używać słowa „smród”?

Organizm Crimma nie był już tak silny jak dawniej i gubernator często czuł się bardzo źle. Zeszłego wieczora musiał nawet przetrwać kolejny wystawny obiad we własnej siedzibie, a że gościł swoich najpoważniejszych

sponsorów, administrator gubernatorskiej rezydencji uznał, że należy podać coś z wirginijskiej kuchni i win. Jak zwykle oznaczało to szynkę ze Smithfield, pieczone jabłka z Winchester, biszkopeciki wykonane według przepisu sprzed wojny o niepodległość i wina z miejscowych winnic.

Układ trawienny Crimma nie tolerował żadnej z tych potraw, zwłaszcza jabłek i napoi, więc przez prawie cały poranek gubernator okupował najdogodniejszą, strzeżoną toaletę w gmachu. Wreszcie zrezygnował ze spotkań i wycofał się do własnego gabinetu mającego grube ściany i prywatną ubikację, której mógł używać bez asysty czekających za drzwiami pracowników ochrony. A jakby to samo w sobie nie wystarczało, wino przyprawiło go o ostry ból głowy.

– Nie rozumiem, dlaczego muszę podawać, a tym bardziej pić sam to podłe wino – poskarżył się teraz z rozgoryczeniem, powoli przesuwając szkło powiększające nad wydrukiem.

– Proszę? – zdziwił się Trader. – Jakie wino?

– Chyba cię wczoraj nie było, tak? – westchnął Crimm. – Powinniśmy serwować wina z Francji. Sam Thomas Jefferson bardzo je sobie cenił, zresztą jak wszystko, co pochodziło z tamtych stron. Więc czy byłoby to aż tak gorszące, gdybyśmy zerwali z tradycją i przerzucili się na wina francuskie?

– Wie pan, jak ludzie potrafią się czepiać – przypomniał mu Trader. – Ale owszem, zgadzam się z panem w całej rozciągłości, gubernatorze. Francuskie wina są znacznie lepsze, a pan ma do nich prawo. Tyle tylko, że ktoś zaraz coś powie i rzecz natychmiast się rozejdzie, psując panu opinię. W związku z tym ostatnim, chciałbym wrócić do sprawy Tropiciela Prawdy. Ten jego artykuł to dopiero początek. Ten człowiek to poważne zagrożenie i trzeba go powstrzymać, a przynajmniej jakoś to skomentować.

Aluzja do zagrożenia w najmniejszym stopniu nie spodobała się gubernatorowi. Powoli odczytywał słowa artykułu, nie zwracając większej uwagi na swojego sekretarza prasowego, który we wszystko wtykał nos

i działał Bedfordowi na nerwy. Crimm nie był pewien, dlaczego zatrudnił Majora Tradera, ani czy rzeczywiście to zrobił. Co więcej, Trader całkiem przestał mu odpowiadać, nawet jeśli kiedyś gubernator myślał inaczej. Sekretarz prasowy był tęgim niechlujem, któremu zależało głównie na obfitych posiłkach, chwytliwych tematach i przechwałkach, a nie na tym, żeby choć raz zachować się uczciwie i przyzwoicie. Jedyną korzyścią, jaką Crimm odnosił ze stopniowej utraty wzroku, wydawało się to, że prawie już nie dostrzegał ludzi podobnych do Tradera, nawet kiedy znajdował się razem z nimi w pokoju. Bogu dzięki chociaż za to, bo widok Tradera, jego mięsistych policzków, źle skrojonych garniturów i długich, tłustych włosów, zaczesanych na czaszkę w celu zasłonięcia łysiny mógł przyprawić o mdłości.

– „... Odbicie w lustrze wydaje się bliższe, niż jest w rzeczywistości” – odczytał powoli gubernator, wpatrując się w szkło powiększające.

– „... Przeszłość wchodzi nam na zderzak na autostradach życia, a może nawet siedzi razem z nami w samochodzie...” – Podniósł wzrok i spojrzał na Tradera okiem, powiększonym przez szkło. – Hmm, to nawet ciekawa myśl.

– Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Jakieś bzdury i tyle. – Tradera zirytowało, że gubernator skłonny był rozważać cokolwiek, czego on sam mu nie polecił.

– To zagadka – ciągnął gubernator, z zaciekawieniem przesuwał szkłem powiększającym nad tekstem, jakby oglądał tabliczkę. – Pamiętasz Riddlera w „Batmanie”? Te jego wszystkie rebusy, podpowiadające, gdzie, kiedy i jak zamierza uderzyć. Batman i Robin musieli najpierw rozszyfrować tajemnicę. Ten gość, Tropiciele Prawdy, daje nam tu jakąś podpowiedź, o tym, co chce dalej zrobić albo może co ja powinienem uczynić. Coś związanego z „autostradami życia”.

– A jeśli chodzi o to... – Trader skorzystał z okazji, żeby przejść na temat, nad którym mógł zapanować. – Jazda z nadmierną prędkością jest nadal poważnym problemem, gubernatorze, a mnie przyszło do głowy, że jeśli

skupimy na tym uwagę wyborców, to nie będą się interesować piratami.

– Szybka jazda po „autostradach życia”. Może właśnie o to mu chodzi i na tym polega jego tok rozumowania – stwierdził Crimm, zafascynowany własną przenikliwością. – Nie wiedziałem, że jest z tym gorzej.

Bo i nie było. To Trader chciał oderwać gubernatora od tych przeklętych zagadek. Szef miał skłonność do wygłaszania idiotycznych i zupełnie nieodpowiednich stwierdzeń, związanych z tym, co w danej chwili go zainteresowało, a nie byłoby dobrze, gdyby uznał, że zagadka albo jakiś Tropicielel wywierają wpływ na jego urzędowe decyzje.

– Obywatele skarżą się, że są zmuszani do przekraczania ograniczeń prędkości nawet na najwolniejszym pasie, bo agresywni kierowcy przyklejają się do ich tylnych zderzaków i migają światłami – fantazjował sekretarz. – A przecież nie możemy postawić wszędzie policjantów z radarami. Nie mówiąc już o tym, że coraz częściej zdarzają się przypadki wzmożonej agresji z powodu idiotów, którzy chcą wlec się dziewięćdziesiątką na godzinę, nie dbając o to, że blokują ruch.

– Ludzie za mało się boją. W tym problem. – Gubernator prawie nie słuchał, gdyż zajął się odczytywaniem, co ma do powiedzenia na temat DNA Tropicielel Prawdy. – Wie pan, on ma rację, rzeczywiście lepiej ufać technice niż istotom ludzkim. Może udałoby się jakoś wmówić ludziom, że dysponujemy niesłychanie zaawansowanymi technicznie metodami, które pozwolą złapać każdego, kto przekracza prędkość, nawet kiedy w pobliżu nie ma żadnego policjanta?

Gubernator znienacka uwierzył, że to jest właśnie rozwiązanie zagadki Tropicielel Prawdy. Najwyższa pora, żeby strachem zmusić ludzi do porządnego zachowania! Policja i prokuratorzy okręgowi nagminnie grozili podejrzanym badaniami DNA, nawet jeśli nie było żadnych próbek porównawczych albo jeśli wyniki nie na wiele się przydawały. Więc może gubernator też powinien zadziałać w podobny sposób. Miał już dosyć przyzwoitego postępowania. Nic mu z tego nie przychodziło.

– Są te nowe helikoptery – przypomniał sekretarzowi prasowemu. – Postraszymy nimi ludzi.

– Co? Chce pan, żeby helikoptery wykrywały przypadki przekroczenia prędkości i ścigały winnych? – Traderowi wcale się nie spodobał taki pomysł, zwłaszcza dlatego, że sam na to nie wpadł.

– Nie, skąd. Ale chyba możemy ogłosić, że używamy ich do mierzenia prędkości z powietrza, udając, iż mają na pokładzie przeznaczone do tego komputery, a piloci informują przez radio policjantów na ziemi, żeby złapali łobuza. – Jelita gubernatora znów dały znać o swoim istnieniu. – Wystarczy, że ustawimy na drogach znaki ostrzegawcze, a ludzie uwierzą, że zostaną aresztowani, nawet jeśli nie zauważą helikoptera ani policjanta w odległości piętnastu kilometrów.

– Rozumiem. Chodzi o blef.

– Oczywiście. Proszę się tym zaraz zająć. – Gubernator musiał jak najprędzej zakończyć tę rozmowę. – Jeszcze dzisiaj oczekuję od pana konkretów, a przed wieczorem wydamy oświadczenie dla prasy.

– Użycie lotnictwa do łapania piratów drogowych to nie najlepszy pomysł – ostrzegł go Trader. – Pogorszy pańskie notowania w sondażach i może zagrozić wybuchem...

Gubernator poczuł, że jego własne wnętrze grożą właśnie czymś takim, więc zerwał się z fotela i polecił Traderowi wyjść. W chwilę później Bedford siedział w toalecie za zamkniętymi drzwiami i przy włączonym wentylatorze, zastanawiając się, kim naprawdę jest Tropiciele Prawdy i czy istniałby sposób, żeby wpłynąć na treści, które tamten umieszcza w Internecie. Bardzo byłoby dobrze, gdyby zdołał przekonać tego rozumnego i filozoficznie nastawionego do świata człowieka do rozpowszechniania pomysłów i przekonań Crimma. Sięgnął po przenośny telefon, który leżał na półeczce obok rolki papieru toaletowego.

– Kto mówi? – zapytał, gdy w słuchawce odezwał się męski głos.

– Funkcjonariusz Macovich – rozległa się niechętna odpowiedź

z posterunku ochrony, znajdującego się w piwnicach rezydencji.

Thorlo Macovich natychmiast rozpoznał głos gubernatora, ale miał nadzieję, że gubernator nie pozna jego. Przy pewnej dozie szczęścia mogło się też okazać, że Bedford Crimm zapomniał już o incydencie, który wydarzył się w tutejszej sali bilardowej wczorajszego wieczora. Istniała też szansa, że gubernator nic nie zauważył, bo ostatnimi czasy mało co w ogóle dostrzegał. Jednak najmłodsza córka Crimmów z pewnością dobrze sobie zapamiętała Macovicha. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się być świadkiem takiej awantury z powodu przegranej partyjki bilardu... wrzaski, przekleństwa, żądanie, żeby Macovich nie ośmielił się już nigdy przychodzić na górę – a to mogłoby poważnie utrudnić mu wykonywanie obowiązków służbowych.

– Tropiciel Prawdy... – zaczął Crimm, ale złapał go skurcz.

– Jak się pan czuje, panie gubernatorze? – odezwał się z niepokojem Macovich. – Co to za hałas?

– Orientujecie się może, kim jest ten Tropiciel Prawdy? – Gubernator z trudem wydobywał z siebie głos.

– Nie, proszę pana. Ale, rzecz jasna, mówi się o nim wszędzie. Co to jest? Jakby ktoś darł folię pęcherzykową. Na pewno wszystko w porządku? Wydaje mi się, że słyszę strzały w gmachu. To niebezpieczne, zaraz tam będę...

– Nie, zostańcie na miejscu – wykrztusił gubernator, czując narastający napór gazów. – Dowiedzcie się, kim... kim jest Tropiciel Prawdy. To wasze zadanie, jasne? I powiedzcie w kuchni, że na kolację ma być dzisiaj coś lekkiego. Żadnych jabłek ani szynki, na litość boską. Najlepiej coś z owoców morza.

– Ale z Wirginii. – Macovich poczuł ulgę. Gubernator najwyraźniej nic sobie nie przypominał.

– Pod warunkiem, że nie aloza.

– O tej porze nie łowi się alozy. Mogę polecieć służbowym helikopterem

na Tangier Island po świeże błękitne kraby, jeżeli pan chce – zaproponował niechętnie Macovich, bo nie cierpiał latać na Tangier Island. – I może pstrąga.

– Właśnie! – zawołał gubernator, poruszony tym pomysłem, mając w tle coś, co dla Macovicha zabrzmiało jak nagle przebity balon. – Zaczniemy od Tangier Island! Policja założy tam nową pułapkę na piratów drogowych. Wiecie, że na tej wyspie bywał Czarnobrody? To banda piratów, ot co. Bardzo dobrze, już ja im pokażę.

– Na Tangierze nie ma ograniczeń prędkości – odrzekł Macovich, nie bardzo wiedząc, o jakie znowu pułapki chodzi Crimmowi. – Oni tam jeżdżą wózkami golfowymi, panie gubernatorze. Albo pływają łódkami. No i bez tego nie bardzo się lubią z resztą Wirginii. Czy wolno wiedzieć, co to mają być za pułapki?

– Jeszcze nie ustaliliśmy nazwy. – Bedford otarł pot z czoła; jego wnętrzości wciąż jeszcze wygrywały bolesne solo. – Zapomnijcie o tych krabach. Jutro rano je weźmiecie, jak będziecie malować na wyspie pułapki na piratów drogowych. Słuchajcie no, funkcjonariuszu, skontaktujcie się z Traderem; on wam wszystko wyjaśni. Sprawimy, że drogi znowu staną się bezpieczne, tak jak Tropiciele Prawdy napisał na swojej stronie internetowej.

Macovich nie przypominał sobie żadnej zagadki na stronie Tropiciele Prawdy ani w ogóle niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego gubernator upatrzył sobie położoną na uboczu wyspę w zatoce Chesapeake, o ludności nieprzekraczającej siedmiuset dusz. Macovichowi wcale nie uśmiechało się mieć cokolwiek do czynienia z Tangier Island, na której nie mieszkał ani jeden Afroamerykanin. Prawdę mówiąc, kiedy wysyłano go tam po owoce morza, odnosił nieodparte wrażenie, że poza nim wyspiarze widywali Afroamerykanów jedynie w telewizji i w katalogach, przywożonych przez łodzie pocztowe.

Wychodząc z rezydencji gubernatora, Macovich zapalił papierosa i ruszył

dookoła Capitol Square, nie mając większej chęci na konwersację z sekretarzem prasowym na jakikolwiek temat. Major Trader uważany był przez wszystkich oprócz gubernatora za niegodnego zaufania skurczysyna. Hmm. Macovich zmartwił się, otoczony chmurą dymu. Jeśli policja stanowa zacznie się czepiać mieszkańców Tangieru, mogą z tego być niezłe kłopoty.

– Czy mogę pana o coś zapytać – odezwał się, wchodząc do gabinetu Tradera. – Był pan kiedy na Tangier Island, albo spotkał pan Tangierczyka?

– To nie jest miejsce, które miałbym ochotę odwiedzać. – Sekretarz siedział przy komputerze i jadł hot doga na ostro, przyniesionego mu przez asystenta na drugie śniadanie. – Ile razy mam wam powtarzać, żebyście nie nosili tych ciemnych okularów, kiedy wchodzić do budynku albo po zapadnięciu zmroku? Ciężko pracuję nad tym, żeby ludność przestała postrzegać policjantów jako bandę tępych brutali. – Pożarł jednym kęsem połowę hot doga, kapiąc musztardą na poplamiony, niemodny krawat. – To że chodzicie po cywilnemu i latacie helikopterami, nie oznacza, że wolno wam łamać regulamin i psuć opinię innym funkcjonariuszom.

– E tam, i tak wszystkim nam się popsuje opinia – odparł Macovich, nie zdejmując ciemnych okularów. – Jak wpadniemy na tę wysepkę na naszych ryczących helikopterach i zaczniemy rozdawać mandaty za przekroczenie prędkości, to mieszkańcy z pewnością już coś na nas wymyślą.

– Uważam, że zrobiliby poważny błąd. – Trader ocierał sobie obwisłe wargi przybrudzoną serwetką, zastanawiając się szybko. Gubernator jeszcze go nie powiadomił, że pułapki na piratów drogowych zostaną umieszczone na Tangier Island, ale Trader nie zamierzał ujawniać tego przed policjantem. – Zapakujemy ich wszystkich do więzienia – dodał, jakby dawno już rozważył konsekwencje ewentualnej rebelii wyspiarzy.

– A to ci dopiero, panie sekretarzu prasowy – burknął ironicznie Macovich. – Zapuszczajmy całą wyspę: rybaków, kobiety i dzieci. Nie mówiąc już o starcach. Mamy tu kryminalistów, którzy poruszają się swobodnie po drogach, biją i mordują niewinnych kierowców i przemycają

do Kanady narkotyki, ale znacznie ważniejsze jest, żeby Tangierczycy nie śmigali za szybko swoimi wózkami golfowymi.

Trader oblizał palce i otarł je o workowate obszerne spodnie.

– Na waszym miejscu liczyłbym się ze słowami – uciął. – Nie po tym, jak oszukiwaliście przy grze w bilard. Oj, nieładnie.

– Nieprawda! – ryknął Macovich tak głośno, że ze znajdujących się w tym samym korytarzu pokoi wyjrzały liczne głowy zaniepokojonych urzędników państwowych.

– Rodzina gubernatora tak twierdzi, więc macie wielkie szczęście, że on sam ma ważniejsze sprawy na głowie – odparł wyniośle Trader. – Nie chciałbym być tym, kto mu przypomni, że ostatnio nie jesteście zbyt mile widziani w rezydencji. Niejeden policjant wrócił już do służb mundurowych i patrolowania ulic w systemie zmianowym.

– Pani komendant Hammer na to nie pozwoli, bo kto wtedy będzie woził naszego ślepego dziadka? Kto będzie transportował tłuste dupy jego żony i córek?

– Bardzo proszę, żebyście zniżyli głos. – Sekretarz podniósł własny.

Macovich podszedł do podrabianego na czasy kolonialne biurka, zwracając swe ciemne okulary na Tradera.

– Niech pan nie zapomina – warknął – że jest nas tylko dwóch, bo pani gubernatorowa wszystkich wypłasza. – Odwrócił się do wyjścia, ale jeszcze raz popatrzył na sekretarza prasowego. – Wiesz pan co, Trader? Czasy niewolników na plantacjach już dawno minęły. Uważaj pan, żebyś się przypadkiem któregoś dnia nie znalazł w samym środku „Przeminęło z wiatrem”.

Unique First nigdy nie oglądała „Przeminęło z wiatrem” ani nie czytała powieści, ale doskonale pasował jej ten zestaw słów. Zawsze potrafiła ginąć bez śladu, a jako dziecko odkryła, że jeśli, wchodząc na teren cudzej posiadłości albo włamując się do domu któregoś z sąsiadów, odpowiednio

przestawi cząsteczki, z których składa się jej ciało, to będzie niewidzialna. Ruszyła brukowanym pasażem Shockhoe Slip i dyskretnie wsunęła się do Tobacco Company, modnej restauracji z barem, mieszczącej się w starym magazynie tytoniowym, w pobliżu rzeki. Usiadła obok pianina, zamówiła piwo, zapaliła i zaczęła na nowo przeżywać wydarzenia minionej nocy.

Występowanie w roli przynęty rabusiów drogowych zaczynało ją, szczerze mówiąc, nieco nudzić. Złodzieje, z którymi współpracowała od kilku miesięcy, nie odznaczali się szczególną inteligencją, a w dodatku zazwyczaj byli nawaleni. Zwłaszcza ich przywódca. Od nadmiaru wody i marychy miał już zamiast mózgu galaretę i zazwyczaj znajdował się w stanie odlotu, więc Unique nawet nie czuła ochoty na seks z nim. Strzepnęła popiół i dała kelnerce znak, żeby przyniosła jeszcze jedno piwo, a wtedy podchwyciła spojrzenie siedzącej samotnie przy barze kobiety.

– Nie jesteś z miasta? – spytała kobieta, a jej energia i płonący wzrok zostawiły wyraźny ślad na seksualnym radarze Unique.

– Raz tu, raz tam – odparła wymijająco nastolatka, uśmiechając się słodko.

– Aha. – Kobieta wstała zza baru, zastanawiając się nad nietypową odpowiedzią uroczej młodej dziewczyny. – Mogę się przysiąc? – Postawiła swoje piwo na stoliku i odsunęła sobie krzesło. – Nazywam się T. P. Śmiesznie to brzmi teraz, kiedy wszyscy mówią o tym Tropiciele Prawdy. Nie dasz wiary, ale ludzie, którzy mnie znają, i nie tylko oni, bo obcy też, nagle wbili sobie do głowy, że moje inicjały T. P. oznaczają Tropiciele Prawdy, jedynie dlatego, że kiedy byłam w szkole, pisywałam do gazetki. Myślą, że w gruncie rzeczy to ja nim jestem, tylko nie chcę, żeby ktokolwiek to rozszyfrował!

Sącząc powoli piwo, Unique spokojnie popatrzyła jej w oczy.

– Jednak to nie ja – ciągnęła T. P. – A szkoda, bo to najnowsza tajemnica tego miasta. Kim jest Tropiciele Prawdy? Jak naprawdę wygląda? Czy to ktoś taki jak Robin Hood? Przychodzą ci do głowy jakieś pomysły? Masz

naprawdę wspaniałe włosy. Chyba je codziennie szczotkujesz.

– Nie wiem – odrzekła Unique, a nowa znajoma zerwała się na nogi, przestępując nerwowo z jednej na drugą jak zakochany sztubak. – Samochód mi się zepsuł. Podwiozłabyś mnie do domu?

– Jasne – ucieszyła się T. P. – Nie ma sprawy. Jej, ale ty masz cichy głos. Współczuję ci z tym samochodem. Nic tak człowieka nie wkurza, jak kiedy się nagle rozpiędzieli, nie?

Gadała dalej, rzucając na kontuar banknot dziesięciodolarowy i wkładając skórzaną kurtkę motocyklową. Rzadko miewała takie szczęście, kiedy próbowała poderwać jakąś dziewczynę, ale najwyższa pora, żeby to się wreszcie zmieniło. T. P. pracowała w urzędzie stanowym i do biura musiała nosić sukienki oraz inne damskie fatałaszki, bo tam nikt się nie orientował, jak wygląda jej życie prywatne. Mogła jednak koić samotność, włączając się nocą i w weekendy po barach, ubrana nareszcie tak, jak lubiła. Sporo ją to kosztowało i zasadniczo nie dawało większych efektów, więc ręce trzęsły jej się z podniecenia, kiedy prowadziła Unique do swojej starej hondy.

– W którą stronę? – zapytała, skręcając w Cary Street.

– Pojedźmy do portu, wiesz gdzieś niedaleko Kanału. Uwielbiam patrzeć na rzekę. Przejdziemy się na Belle Island – odpowiedziała Unique swoim cichym głosikiem, czując że pulsuje w niej Zadanie, jak je nazywała, a pierwotny gniew zaczyna przenikać mózg.

Po kilku minutach wysiadły z hondy i znalazły się nad wodą. Chłodny, wrześniowy wiatr rozwiewał włosy Unique niczym czarne płomienie. W pobliżu nie było żywej duszy i mimo swego oszołomienia zdołała pomyśleć, że T. P. jest nieziemsko głupia, zgadzając się iść w tak odludne miejsce z kompletnie obcą osobą. Jak ta kobieta śmie przypuszczać, że Unique jest taka sama i mogłaby mieć na nią ochotę. Wcześniej inni też wykazali się podobnym skretynieniem. Unique wzięła T. P. za rękę i przeszły przez mostek, prowadzący na Belle Island, gdzie podczas wojny secesyjnej więziono żołnierzy Północy. Wyspę porastał gęsty las, poprzecinany

ścieżkami rowerowymi i szlakami dla pieszych. Unique pociągnęła T. P. za drzewo i zaczęła ją namiętnie całować i pieścić.

– Chcę, żebyś przeżyła coś niezwykłego – szepnęła, wbijając język w jej usta i wyciągając z kieszeni nóż do kartonu.

ROZDZIAŁ 3

Major Trader pracował w administracji Crimma na tyle długo, żeby się zorientować co do paru rzeczy. Po pierwsze, gubernator rzeczywiście zajmował się wieloma sprawami naraz i łatwo mu było podsuwać rozwiązania zupełnie sprzeczne z jego pierwotnymi pomysłami. Po drugie, nie dość, że wiecznie miał mętlik w głowie i nic nie widział, to w dodatku nie odznaczał się dobrą pamięcią i można było z łatwością odwrócić jego uwagę, zwłaszcza kiedy wnętrzności Crimma rozpoczęły bunt. Po trzecie, Traderowi najlepiej odpowiadało, jeśli mógł kraść dobre pomysły cudzego autorstwa i winić innych za swoje porażki. Siedząc w swoim pokoju i patrząc przez okno, jak zostawiona przez Macovicha chmura spalin rozwiewa się po wypieszczonym terenie rezydencji, Trader analizował opinie, wyrażane przez gubernatora na temat różnych problemów ich stanu. Ciągłe nierozwiązana pozostawała kwestia korków na drogach, a kierowcy w północnej Wirginii robili się coraz bardziej agresywni. Drogi i mosty się sypią. Pociągi kursują niepunktualnie albo nie pojawiają się wcale i w dodatku są zatłoczone; a ludzie nie chcą też latać. I za to wszystko, oraz jeszcze więcej, obarczano winą gubernatora.

Chociaż Trader nie zamierzał przyznawać, że jest coś winien Macovichowi za ostrzeżenie przed reakcją mieszkańców Tangier Island, nie miał wątpliwości, że wprowadzenie nowego systemu kontroli prędkości wywoła na wyspie gorące oburzenie i dlatego lepiej, aby odpowiedzialność za ów pomysł zepchnąć na kogoś innego. Zrobił sobie notatki, zastanawiając

się, jak należałoby nazwać owo nowe przedsięwzięcie. Najpierw spróbował nazwy Powietrzna Kontrola Prędkości, ale skrót PoKoP niezbyt mu się spodobał, już bardziej mu przypadła do gustu NaKoP, czyli Nadzwyczajna Kontrola Prędkości. Tak, pomyślał, to całkiem niezłe. NaKoP sugeruje, że Crimm chce zmusić ludzi do właściwego zachowania, a słowo „nadzwyczajna” dawałoby do zrozumienia, że zdaniem gubernatora opanowanie problemu łamania ograniczeń prędkości na Tangier Island i w reszcie stanu to poważna sprawa. Tropiciele Prawdy może sobie robić aluzje do piratów, nikt na to nie zwróci uwagi, bo wszyscy zapienią się z powodu nowego systemu kontroli. Trader wybrał numer prywatnego telefonu gubernatora.

– Tak? – odezwał się słabym głosem Crimm.

– Chyba mam pewien pomysł. Podobałby się panu skrót NaKoP? – Trader postukał długopisem w notatnik. – Wydaje mi się, że dałby do zrozumienia, o co panu chodzi. Proszę sobie wyobrazić wielkie napisy w całym stanie.

Crimm czuł się bardzo źle. Wciąż jeszcze nie opanował drżenia i oblany był zimnym potem. Próbował sobie przypomnieć, o czym mógł rozmawiać z Traderem przed atakiem dolegliwości żołądkowych, ale pamiętał tylko, że chyba chodziło o zagadkę Tropiciele Prawdy.

– Chce pan go nastraszyć, żeby ujawnił swoją tożsamość? – Gubernator usiadł w wielkim, obitym skórą fotelu, sięgnął po szkło powiększające i ujrzał przed sobą wielki stos notatek służbowych oraz wycinków prasowych. – A skąd się to wzięło?

– Jak to skąd? Ma pan na myśli NaKoP? – Trader niezbyt rozumiał, o co chodzi Crimmowi, ale stanowiło to stan typowy dla ich rozmów.

– Ach, rozumiem, to miała być przenośnia. Myśli pan, że powinniśmy nastraszyć Tropiciele Prawdy, żeby ujawnił swoją tożsamość? Moim zdaniem to pewnie jest jakaś kobieta. Nie czuję się najlepiej i naprawdę nie mogę w tej chwili dłużej o tym rozmawiać.

– Mówiliśmy o systemie kontroli prędkości. – Trader bardzo nie lubił,

kiedy szef ucinął rozmowę. – Musimy wymyślić jakąś nazwę dla tego programu, a mnie się wydaje, że NaKoP wywrze dokładnie takie wrażenie, jak trzeba...

– Bzdura! – Gubernator nagle przypomniał sobie treść ich wcześniejszej rozmowy. – Jeśli nazwie pan coś NaKoP, to wszyscy na Tangier Island uznają, że chodzi tylko o to, żeby ich nastraszyć i że to tylko pusta groźba. Niech pan wymyśli coś, co brzmi bardziej oficjalnie i raczej bezsensownie, wtedy wyspiarze potraktują rzecz serio.

– Będziemy mieć z nimi kłopoty, już to wcześniej mówiłem. – Trader przypisał sobie ostrzeżenie gubernatora. – Proszę pamiętać, że słyszał pan to najpierw ode mnie. Więc proszę mnie nie obwiniać, jeżeli pojawią się jakies problemy.

– Jeśli źle na tym wyjdę, to może pan mieć pewność, że zwałę wszystko na pana.

– Tak się zazwyczaj robi – stwierdził Trader. – Więc niech pan nie zwraca uwagi na moje ostrzeżenia, gdyż najważniejsze jest przestrzeganie prawa, gubernatorze. – Dawno już opanował sztukę podwójnej mowy. – Sądzę, że powinniśmy jak najprędzej wysłać tam helikopter i wypróbować nowy system. A pan?

– I tak ma polecieć po owoce morza. Więc czemu nie?

– Właśnie – zgodził się Trader.

Trader odłożył słuchawkę i przez najbliższą godzinę gryzmolił w notesie, łącząc ze sobą najbardziej wyzute ze znaczenia słowa, jakie przysły mu do głowy albo znalazł je w słowniku. U kresu popołudnia wymyślił WASKAR, co stanowiło skrót od Wirginijskiego Aktywnego Systemu Komputerowej Analizy Ruchu i sugerowało, że jeśli kierowca znacznie przekracza obowiązującą prędkość, to obiektywne urządzenie – komputer – oblicza czas, z jakim pirat drogowy pokonuje odległość z punktu A do punktu B. Punkty te zaś wyznaczają białe pasy wymalowane w poprzek jezdni, które łatwo

dostrzec z powietrza. Trader był pewien, że ten skrót brzmi odpowiednio mętnie i urzędowo, żeby obudzić lęk we wszystkich mieszkańcach. Zamierzał też zadbać, żeby obiektem niezadowolenia ludności stała się policja, a nie gubernator albo on sam, Trader.

Znakomicie, pomyślał z zadowoleniem, logując się do Internetu. Plan sam układał mu się w głowie, chociaż tyle jeszcze było do zrobienia! Nic go bardziej nie ekscytowało niż własny spryt i talenty manipulatora. Zadba, żeby wiadomość o akcji WASKAR obiegała cyberprzestrzeń i by cały świat się dowiedział, że Wirginia nie będzie tolerować piratów drogowych, a władze stanu zaczną walkę z nimi od nalotów helikopterowych na spokojną wysepkę, zamieszkaną przez rybaków nieposiadających w gruncie rzeczy samochodów. Już on się postara, żeby rozwścieczeni tym obywatele obarczyli winą za wszystko szefową policji, Judy Hammer, zdejmując tym samym wszelką odpowiedzialność za system transportowy i problem piractwa z gubernatora i, oczywiście, z niego samego, Tradera.

Judy Hammer była nowa, nie pochodziła z Wirginii i dzięki temu stanowiła idealny cel krytyki. Poza tym, Trader nie bardzo ją lubił. Poprzednio stanowisko komendanta stanowego zajmowali krzepcy, twardzi mężczyźni, wywodzący się ze starych miejscowych rodzin, którzy wiedzieli, co to hierarchia i odnosili się z należytych szacunkiem do sekretarza prasowego, mającego bądź co bądź kontrolę nad wypowiedziami gubernatora i opinią społeczną. Judy Hammer natomiast stanowiła przypadek gorszący. Waliła prawdę prosto w oczy, nie obawiała się konfrontacji, często nosiła spodnie, a gdy Trader zetknął się z nią w dniu, w którym odbywała rozmowę wstępną przed objęciem funkcji szefa policji, spojrzała na niego jak na powietrze i nie raczyła się śmiać ani nawet słuchać jego pikantnych historyjek i dowcipów.

Trader zastanawiał się przez chwilę, a potem zaczął komponować swój e-mail:

Drogi Tropicielu Prawdy,

Z wielkim zainteresowaniem czytałam twoje „Krótkie wyjaśnienie” i liczę na to, że jesteś w stanie rozwiązać mój problem, jestem starszą, niezamężną kobietą, mieszkam sama i boję się używać samochodu przez tych wszystkich wariatów na drogach, a zwłaszcza piratów.

Jednak nie wydaje mi się, żeby kwestię tę mogła rozwiązać wzmożona kontrola prędkości i helikoptery goniące z rykiem uczciwych obywateli. WASKAR może dać początek nowej wojnie domowej.

Mam nadzieję, że wypowiesz się w tej sprawie w twoim następnym felietonie.

Łączę pozdrowienia Przyjaciół K.

Trader nie zauważył, że zapomniał o literze „a” i że postawił kropkę po „K” i kliknął „wyślij”. Zdał sobie sprawę ze swojego błędu, kiedy kilka chwil później otrzymał odpowiedź.

Droga panno Przyjaciół,

Dziękuję za zainteresowanie. Bardzo mi przykro, że czuje się Pani samotna i boi się używać samochodu. Bardzo Pani współczuję i czekam na dalsze wiadomości. Co to jest WASKAR?

Tropiciel Prawdy

Major Trader uznał, że równie dobrze może występować jako panna Przyjaciół i szybko napisał następny list.

Drogi Tropicielu Prawdy,

Cieszę się, że zechciał pan odpowiedzieć starej samotnej kobiecie. Pani komendant Hammer wie, co to jest WASKAR. To jej pomysł. Dziwię się, że nic nie słyszałeś o systemie kontroli prędkości, jaki zamierza wprowadzić na Tangier Island, ale mam nieodparte wrażenie, że pomysł ten inspirowany był

lekturą „Krótkiego wyjaśnienia”. Gratuluję wpływu, jaki wywarł ten tekst na stworzenie systemu, umożliwiającego przykładowe ukaranie ludzi, którzy kiedyś trzymali z piratami, a teraz wykorzystują turystów.

Pozdrawiam Panna K. Przyjaciółka

Trader chichotał błogo, układając notatkę służbową do Judy Hammer. Była krótka i mętna. Załączył do niej komunikat prasowy, który na polecenie gubernatora miał się ukazać natychmiast.

– A co to, do diabła, ma być? – spytała Judy, kiedy sekretarka, Windy Brees, wręczyła jej faks z biura gubernatora, informujący o nowym programie kontroli prędkości, zwanym WASKAR.

– Nie mam pojęcia – odparła Windy. – Co za głupia nazwa. No bo przecież to nic nie znaczy, poza tym, że przypomina napis na nagrobku, a założę się, że gubernator o tym nawet nie pomyślał. Znowu zapomniał, że lepiej z mądrym zgubić, zanim się przeskoczy.

Judy kilka razy przeczytała notatkę i komunikat, wściekła, że gubernator bez porozumienia z nią wprowadza nowy program działań policji.

– Cholera jasna – mruknęła. – Nigdy nie słyszałam o czymś równie idiotycznym. Mamy używać helikopterów do kontrolowania prędkości samochodów? I na początek wybrał Tangier Island, co ma pozostać utajnione, dopóki nie pomaluje się białych pasów na tych ich kilku drogach? Połącz mnie natychmiast z gubernatorem – poleciła sekretarce. – Powinien być w swoim biurze. Powiedz, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Windy usiadła za biurkiem i zadzwoniła do biura gubernatora, wiedząc, że nic z tego nie wyjdzie. Bedford Crimm nigdy nie odpowiadał na telefony pani Hammer i nie widział się z nią od dnia, w którym ją mianował. Windy nauczyła się wymyślać całe historie wyjaśniające, dlaczego gubernator nie kontaktuje się z szefową policji.

– Jedno jest pewne – często powtarzała innym sekretarkom i urzędniczkom, kiedy wychodziły na przerwę na papierosa – lepszy wróbel

w garści niż kot w worku – czym usiłowała wyjaśnić, że te kłamstwa mają ochronić ją przed gniewem pani Hammer, gdyby ta się dowiedziała, że gubernator jak zwykle nie ma czasu dla kobiety zajmującej stanowisko szefa policji stanowej.

Koledzy i znajomi dawno już przestali poprawiać pomyłki Windy, a do tej pory wszyscy zazwyczaj potrafili wydobyć sens z jej powiedzonek, choćby nie wiem jak bardzo odbiegały od powszechnie znanej postaci. Zdarzało się nawet, że zaczynali powtarzać wersję Windy. Doprowadzało to do szału Judy, która stale musiała dowiadywać się od swego personelu, że ktoś „pisze, gdzie raki zimują” albo oskarża kogoś innego o „jak nie urok to przemarsz do szeregów wroga”.

– Pani komendant? – Windy pojawiła się w drzwiach. – Niestety pan gubernator nie może w tej chwili rozmawiać. Z tego, co rozumiem, znajduje się w drogówce.

Judy podniosła wzrok znad stosu sprawozdań i notatek służbowych.

– Jak to: w drogówce?

– Jedzie dokądś. Albo po prostu idzie do swojej rezydencji. Nie jestem pewna.

– Jest w drodze?

– Albo tam właśnie zmierza. – Windy zaczęła się plątać w kłamstwach. – Krótko mówiąc, nie można się z nim skontaktować. Tak że nie chodzi tylko o panią.

– Właśnie że tak! – Judy popatrzyła na notatkę o WASKAR, zastanawiając się, jak ma sobie poradzić z najnowszym i dotąd najbardziej kulawym pomysłem gubernatora. – Nie chce ze mną rozmawiać i nie musisz poprawiać mi samopoczucia.

– Tak się nie robi. – Windy wzięła się pod boki. – Mam nadzieję, że nie będzie się pani na mnie gniewać przez to, jak on panią traktuje. Nie strzela się do posłów.

Nie zabija się posłów, pomyślała z irytacją pani Hammer. Strzela się do

pianisty, a zabija posłów. Boże, zaczynam też myśleć przysłowiami! A przecież ich nie znoszę!

– Gość, z którym spotykałam się miesiąc temu, powiedział, że gubernator panią zatrudnił, bo miał złą prasę w związku z problemami na drogach i potrzebował winnego kozła – powiedziała Windy. – Moim zdaniem nie powinna sobie pani z tego powodu robić zarzutów albo brać do siebie.

Judy nie mogła uwierzyć, że trafiła się jej taka kretyńka w charakterze sekretarki. Ale zwolnić pracownika administracji stanowej nie było łatwo. Nic dziwnego, że została zatrudniona: poprzedni komendant poszedł na wcześniejszą emeryturę w związku ze stanem przedzawałowym i chorobą Parkinsona, ale co sobie, u diabła myślał, zatrudniając taką osobę jak Windy Brees? Już samo zestawienie jej imienia i nazwiska było idiotyczne*. [* Windy Brees – wietrzna bryza (wszystkie przypisy tłumaczki)].

A kiedy otworzyła usta, każdy widział, że nic nie umie i przyniesie najwyżej wstyd: rozkoszna jak prosię w deszcz, zawsze grubo wymalowana, stale wdzięcząca się idiotka, przechylająca „uroczo” główkę, aby sprawiać wrażenie istoty uległej, słodkiej i delikatnej, która nie poradzi sobie w życiu bez wsparcia silnego, męskiego ramienia.

Minęła osiemnasta. Judy Hammer spakowała się i ruszyła do domu. Przejeżdżając przez centrum, nabrała przekonania, że WASKAR zrujnuje jej karierę i że w żaden sposób nie zdoła temu przeciwdziałać. Czy to tylko zbieg okoliczności, że w tym samym dniu, kiedy Andy uruchomił stronę internetową, która miała poprawić wizerunek policji stanowej, gubernator postanowił wprowadzić w życie program, który go znacznie pogorszy? Czy to przypadek, że kiedy Andy wskazał Tangier Island jako dawne gniazdo piratów, gubernator postanowił wziąć się ostro do mieszkańców wyspy? Nie mówiąc już o tym, że mieli o wiele za mało pilotów helikopterów, a policjanci, którzy pozostali w jednostce lotniczej, powinni zajmować się szukaniem przestępców oraz upraw marihuany, zamiast łapać

przekraczających prędkość kierowców na jakiejś zapomnianej przez Boga wysepce.

Rozmyślając o Andym, Judy Hammer doprowadziła się do stanu irytacji bliskiej paranoi. Nie powinna była pozwalać mu pisać felietonów do Internetu bez cenzury. Tyle tylko, że tak właśnie przecież się umówili.

– Nie wezmę się do tego, jeśli zamierza mnie pani kontrolować – oświadczył wtedy Andy. – Cała rzecz polega na tym, że nikt nie wie, co napisze Tropiciele Prawdy, ani nie ma na to wpływu. W przeciwnym wypadku prawda może się gdzieś zagubić. Wiem, co będzie, jeżeli pani pozna treść moich felietonów przed ogłoszeniem ich w Internecie. Zacznie się pani zamartwiać, obawiać się krytyki, obwiniania i reperkusji politycznych. To jest, niestety, typowe dla osób sprawujących wysokie stanowiska. Oczywiście, nie twierdzę, że jest pani asekurantką.

– Właśnie że twierdzisz – odparła z urazą.

Może jednak miał rację, pomyślała z niesmakiem, jadąc East Broad Street w kierunku nowo odnowionej dzielnicy Church Hill. Może rzeczywiście stała się asekurantką i biurokratką, przejmującą się przede wszystkim tym, co powiedzą inni. Gdzie się podziała jej zdolność do stanowczego acz taktownego rozpatrywania skarg i wniosków ludności?

Zadzwoiła na komórkę Andy'ego.

– Możemy mieć kłopoty – powiedziała. – Gubernator chce umieścić punkty kontroli prędkości na Tangier Island, a wtedy rozpęta się piekło.

– Słyszałem – odrzekł.

– Skąd? – zdumiała się Hammer.

– Szkoda, że mnie pani o tym nie zawiadomiła wcześniej – dodał z wyrzutem. Siedział przed komputerem, czytając setki e-maili, które zdążyły już nadejść do Tropiciele Prawdy. – Nie miałem pojęcia, dopóki nie otrzymałem wiadomości od panny Przyjaciół. Chyba powinienem dostać kogoś do pomocy. Sam nie zdążę przeczytać całej poczty – stwierdził, kiedy

jego komputer obwieścił nadejście czterech następnych listów.

– WASKAR to nie jest mój pomysł – oświadczyła Judy Hammer. – Kto to jest panna Przyjaciół? Teraz powinniśmy koncentrować się na tych skandalicznych porwaniach i napadach... nie na przekraczaniu prędkości. Andy, musisz mi pomóc. Coś trzeba zrobić.

– Mam pewien pomysł – powiedział, odpisując na kolejny e-mail. – Pojadę na Tangier Island, namaluję jeden z tych pasów i zobaczę, jaka będzie reakcja. Lepiej, niech to będę ja niż ktoś inny. Mogę wykorzystać Tropiciele Prawdy, żeby odeprzeć zarzuty wobec pani i policji stanowej i wykazać ludziom, że WASKAR to zły pomysł. Może wtedy gubernator porzuci te idiotyzmy i zajmie się prawdziwymi przestępstwami. Potrzebuję tylko kilku puszek szybko schnącej farby odblaskowej, pędzla, helikoptera i trochę czasu, żeby zmienić jutrzejszy felieton o mumiach.

– A co mają do tego mumie? – zdziwiła się pani Hammer.

MUMIE Tropiciele Prawdy

Jak większość z nas znałem mumie głównie z horrorów. Przeprowadziłem jednak ostatnio wiele badań archeologicznych i mogę cię zapewnić, czytelniku, że przerażające przedstawienia zawiniętych w bandażę żywych trupów nie są prawdziwe... ani sprawiedliwe.

Mumie niczym nam nie zagrażają; mogą najwyżej przenosić choroby zakaźne z czasów starożytnych, co zresztą jest mało prawdopodobne, chociaż jak sądzę, wdychanie kurzu w ponurych, zimnych podziemiach może wywołać dolegliwości układu oddechowego. Owszem, istnieje też pewne niebezpieczeństwo doznania obrażeń fizycznych albo zagubienia się w głębi piramidy, co może się skończyć śmiercią z głodu i pragnienia, czy też spotkania rabusia grobów i wdania się z nim w bójkę.

W dochodzeniach dotyczących gwałtownej śmierci, termin „mumia” oznacza zwłoki, które pozostawały w bardzo niskiej temperaturze albo

w bardzo suchym miejscu. Wtedy zamiast się rozkładać, ciało wysycha i w tym stanie może pozostawać przez dziesiątki albo setki lat. Tak zachowane zwłoki znajduje się zazwyczaj zakopane w piwnicy albo na pustyni, i chociaż nie są prawdziwymi mumiami, możecie być pewni, że antropologowie i inni specjaliści tak je właśnie nazwą, gdyż tak się po prostu utarło. Przyznaję, że dla mnie brzmi lepiej, kiedy biegły sądowy posługuje się zwrotem „zmumifikowane zwłoki” zamiast przyznać, że jakiś nieszczęśnik wysechł na wiór i zostały z niego dosłownie skóra i kości.

Słowo „mumia” pochodzi od arabskiego określenia bituminu, które z kolei wywodzi się od perskiego wyrazu oznaczającego wosk. Tak więc „mumia” to substancja taka jak bitumin, który jest rodzajem asfaltu, używanego w Azji Mniejszej, a także ciało ludzkie lub zwierzęce, zakonserwowane przy użyciu sztucznych środków, chociaż współcześnie balsamowane ciała nie powinny być nazywane mumiami. Przyczyna jest prosta. Ciała konserwowane formaldehydem nie zachowują się najlepiej. Gdybyśmy odkopali zabalsamowane obecnie zwłoki po stu latach, to zależnie od miejsca, gdzie je przechowywano, prawdopodobnie byłyby one w znacznie gorszym stanie niż tysiącletnia mumia egipska.

W naszych czasach nie wypełnia się brzucha balsamowanego ciała prawdziwą mirrą i innymi wonnościami, nie wypycha zmarłego bituminem ani też nie moczy go przez siedemdziesiąt dni w natronie, a potem nie owija ciasno pasami lnianej tkaniny, które potem smaruje się gumą arabską, tak jak czynili to Egipcjanie, używający jej zamiast kleju. Obecnie nie umieszcza się też zabalsamowanego ciała w drewnianej skrzyni, która potem stoi oparta o ścianę w chłodnym, suchym grobowcu.

Oczywiście i w dzisiejszych czasach moglibyście zakonserwować zwłoki swoich bliskich tymi prastarymi metodami, pod warunkiem że znaleźlibyście skrybę, który zaznaczyłby nacięcie na ciele, a potem medyk wezwałby do pomocy wyposażonego w ostry etiopski kamień „rozpruwacza”, który umknąłby zaraz po dokonaniu czynu, gdyż Egipcjanie uważali fizyczne

pogwałcenie zwłok za zbrodnię, choćby nawet rozpruwacz został najlegalniej do tego wynajęty: tak twierdzi grecki historyk Diodor. I zakładając, że bylibyście tym naprawdę zainteresowani, ekskluzywne balsamowanie w stylu egipskim kosztowało mniej więcej jeden srebrny talent, co wynosi około czterystu dolarów amerykańskich, zależnie od inflacji i kursu wymiany.

Ostatnimi czasy zainteresowanie mumiami zawiodło mnie do Argentyny, gdzie naukowcy właśnie poddawali je rozmaitym badaniom, takim jak rezonans magnetyczny, tomografia komputerowa i pobieranie DNA. Zwróciłem się do redakcji „National Geographic” o pozwolenie na wizytę w centrum badań i uzyskałem zgodę, pod warunkiem że nie napiszę ani słowa, dopóki tamci nie opublikują swojego artykułu.

I tak pewnego chłodnego, słonecznego poranka pojawiłem się w Salta, mieście położonym w północno-zachodniej Argentynie, w którym znajduje się centrum badań kultury inkaskiej oraz innych prekolumbijskich kultur. Tam dołączyłem do ekspedycji archeologów zmierzającej na wierzchołek andyjskiego wulkanu, położonego na granicy argentyńsko-chilijskiej, gdzie odkryto trzy doskonale zachowane pięćsetletnie mumie inkaskich dzieci, złożonych w ofierze i pochowanych wraz ze złotymi i srebrnymi przedmiotami oraz naczyniami z jedzeniem. Pojechaliśmy ich dżipem polną drogą, prowadzącą do Uniwersytetu Katolickiego, w którym urządzono tymczasowe laboratorium, pilnowane przez strażników, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Rabusie grobów, podobnie zresztą jak piraci, stanowią stałe zagrożenie społeczne, nawet w tak zapomnianych przez Boga i ludzi miejscach.

Obserwując, jak archeologowie wyjmują z chłodni pierwsze nieduże zawiniątko i kładą je na przykrytym papierem stole, zdałem sobie sprawę, że odsłanianie zamrożonych szczątków trojga inkaskich dzieci, chłopca i dwóch dziewczynek, zabitych pięćset lat temu, w dużym stopniu przypomina to, co się robi na miejscach wypadków samochodowych oraz zabójstw czy morderstw. Główna różnica polega na tym, że w archeologii bada się szczątki

i ustala przyczynę zgonu nie po to, żeby zaprowadzić kogoś przed sąd, tylko żeby odkryć tajemnice przeszłości, jest to szczególnie ważne w przypadku ludów, które nie znały Pisma, a ich historia objawia się w sztuce i tkaninach. Muszę wyznać, że nie bardzo interesowały mnie choroby, dieta, strój i obyczaje, ale bardzo chciałem wiedzieć, czy te inkaskie dzieci były oszołomione rytualnymi napojami alkoholowymi takimi jak chicha (piwo zbożowe), kiedy zostały pogrzebane żywcem.

Zastanawiałem się, co mogły myśleć te bezbronne istoty, gdy ubierano je w pięknie tkane stroje, wkładano im na głowy ozdoby z piór oraz ozdabiano klejnotami, a potem prowadzono w procesji na wysokość ponad siedmiu tysięcy metrów, na szczyt góry Llullail-Iaco. Miałem nadzieję, że nie wiedziały, co się dzieje, kiedy zawijano je w tkaninę i umieszczano w pozycji siedzącej w głębokich grobach, które Inkowie zapełnili potem kamieniami i ziemią, wierząc, że ta ofiara spodoba się bogom.

Ciągle stoją mi przed oczami twarze trojga zamordowanych dzieci, zwłaszcza chłopca, który mógł mieć jakieś osiem lat, kiedy włożono mu wykończone futrem mokasyny i srebrną bransoletę, a potem posłano go w ostatnią podróż, dodając na drogę do życia pozagrobowego dwie pary sandałów i procę. Na jego twarzy malują się cierpienie i protest, kolana ma podsunięte pod brodę, a nogi ciasno związane w kostkach. Podejrzewam, że był przytomny i wcale mu nie odpowiadała rola, jaką przyszło mu odegrać. Obawiam się, że zachował świadomość i próbował walczyć, kiedy przysypywano go ziemią i kawałkami skał. Dziewczynki, w wieku ośmiu i czternastu lat, nie zostały skrupowane i sprawiały wrażenie całkiem spokojnych, ale, co dziwne, w grób jednej z nich uderzył piorun, a kiedy w prowizorycznym laboratorium w Salta odwinęto jej mumię, wszyscy poczuli swąd spalonego ciała. Wygląda na to, że Najwyższy chciał dać Inkom do zrozumienia, iż obyczaj grzebania dzieci żywcem wcale Mu się nie podoba.

Nic się na tym świecie nie zmienia, co muszę stwierdzić z przykrością.

Kontynuując badania naszej przeszłości, spędziłem pewien czas na wykopaliskach w Jamestown oraz odbyłem kilka podróży do Wielkiej Brytanii, próbując powiązać naszych pierwszych osadników z żeglarzami, którzy przez pewien czas utknęli na Tamizie. Przebadałem bagna i błota w dole rzeki, bary i parkingi, a także Millenium Dome, sterczącą jak ogromne jajo ze złotymi kolcami, ale nie znalazłem śladu po Johnie Smisie i jego towarzyszach podróży ani też żadnej żywej duszy, która by cokolwiek pamiętała.

W żadnym z barów i pubów, jakie odwiedziłem, na nikim nie zrobił najmniejszego wrażenia fakt, że Tangier Island ma powiązania z Wyspą Psów ze względu na to, że została odkryta w 1608 przez kapitana Johna Smitha.

I w związku z tym mam dla was przykrą wiadomość, czytelnicy.

Tangier Island została odkryta na nowo, lecz nie przez turystów mających ochotę na paluszki krabowe. Znajdujący się u władzy nieodpowiedni ludzie postanowili wykorzystać prostych wyspiarzy do swoich politycznych celów, co jest nie fair mimo nieczystej przeszłości owych ludzi morza. Wkrótce przedstawię tę sprawę w jej całej jaskrawości.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 4

Judy Hammer zamknęła stronę Tropiciele Prawdy z uczuciem frustracji i oszołomienia. Co ten Andy sobie wyobraża? Co mumie i Jamestown mają wspólnego z dzisiejszą Wirginią i zbrodnią? To nie ma najmniejszego sensu i spowoduje tylko dodatkowe kłopoty, pomyślała. I czemu w tym budynku nie można dostać przyzwoitej kawy? Jaki miał być cel tego felietonu o mumiach?

Dopiero co minęła ósma. Wyglądało na to, że cała komenda policji czyta stronę Tropiciele Prawdy; w pokojach i na korytarzach słyszało się szmer komentarzy. Jadąc tego ranka do pracy, Judy zdumiała się i zirytowała, słysząc Billy'ego Boba omawiającego w swoim programie radiowym felieton o mumiach.

– Słuchajcie, kochani! Mamy w naszym programie nowy konkurs! Zadzwońcie do nas i powiedzcie, kim waszym zdaniem jest Tropiciel Prawdy. Fajne? Ten, kto zgadnie, dostanie wspaniałą nagrodę. Jaką? Niedługo się dowiecie. Hej, patrzcie! Już mamy pierwsze zgłoszenie. Halo? Tu Billy Bob w Porannych Wiadomościach. Jesteś na antenie, jak się nazywasz?

– Windy.

Komendant Hammer nie wierzyła własnym uszom, słuchając płynącego z radia wysokiego głosu swojej sekretarki.

– No to powiedz nam, Windy, kim jest Tropiciel Prawdy?

– Moim zdaniem to gubernator, tylko wynajął sobie pseudonima.

Judy przekładała papiery na biurku, nadstawiając ucha w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie powinna znajdować się Windy. Kiedy sekretarka wbiegła do środka i rzuciła na biurko torebkę z drugim śniadaniem, pani Hammer zerwała się z fotela i spadła na nią jak jastrząb.

– Jak mogłaś zrobić coś tak idiotycznego? – zapytała. – Jaki pseudonim wynajął?

– Ach! – Windy była podekscytowana, ale gniew szefowej trochę ją spłoszył. – Musiała mnie pani słyszeć w radiu! Proszę się nie niepokoić,

Powiedziałam tylko, że nazywam się Windy i nie podałam nazwiska, ani gdzie pracuję. A ten wynajęty pseudonim? No właśnie. Chodzi o to, że czasami ludzie zatrudniają kogoś, żeby za nich pisał, bo sami nie bardzo potrafią.

– Chyba ci się pomyliło z wynajęciem murzyna – stwierdziła Judy, starając się opanować wściekłość. Przechadzała się przed biurkiem Wendy tam i z powrotem, aż wreszcie przyszło jej do głowy, żeby zamknąć drzwi na zewnątrz. – Mam naprawdę dosyć kłopotów z gubernatorem bez twoich popisów radiowych i sugestii, że jest Tropicielem Prawdy.

– A skąd pani wie, że to nie on? – Windy sięgnęła po szminkę.

– Nie o to chodzi, co wiem albo czego nie wiem. Chodzi o twoją niedyskrecję i brak rozsądku, Windy.

– Jestem pewna, że pani wie, kto jest Tropicielem Prawdy – oświadczyła kokieteryjnie Windy, trzepocząc obficie wytuszowanymi rzęsami. – Niech mi pani zdradzi ten sekret. Założę się o złote góry, że pani się doskonale orientuje. Czy jest przystojny? Ile ma lat? Ma żonę?

Do tej chwili Judy nie zastanawiała się, jak to będzie, kiedy ludzie zaczną ją pytać, czy wie, kto jest Tropicielem Prawdy. Kłamstwo nie leżało w jej charakterze; owszem zdarzało się jej niekiedy zełgać, gdy było to niezbędne, aby wydobyć przyznanie się do winy od przesłuchiwanego, albo kiedy wyjeżdżała na wakacje i chowała walizki, zapewniając Wytrzeszcz, że wychodzi tylko na chwilę. Trudno powiedzieć, dlaczego właśnie w tej

chwili pomyślała o Wytrzeszcz, ale wspomnienie ukochanej suczki rasy terier bostoński, która została ukradziona podczas wakacji, obudziło stary ból i zmusiło panią komendant do wycofania się do swojego gabinetu. Zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę oddychała głęboko. Zbierało się jej na płacz.

– Hammer – rzuciła krótko, kiedy zadzwonił telefon.

– Tu Andy.

Ledwo go słyszała. Głośno pociągnęła nosem, starając się opanować.

– Mam bardzo słabe połączenie – powiedziała. – Jesteś na wyspie?

– Tak. Wylądowałem punktualnie o ósmej... Jestem przy Janders Road. Chyba będzie najodpowiedniejsza... nie ma tu takiego ruchu jak... i... bzdura... co to kogo obchodzi...?

– Coś przerywa mi odbiór, Andy – zawołała. – Poza tym musimy porozmawiać o dzisiejszym felietonie. To nie do wiary. Tak być nie może. Halo? Halo? Jesteś tam?

Połączenie zostało przerwane.

– Cholera – mruknęła Judy Hammer.

Na Tangier Island nie było masztów sieci komórkowej i niewielu rybaków używało komórek oraz Internetu, tak że nikogo tu nie obchodził Tropiciele Prawdy. Jednak mieszkańcom wyspy nie umknął fakt, że jakąś godzinę temu znad zatoki nadleciał helikopter i usiadł na lądowisku. Chociażby taka Ginny Crockett od tamtej chwili wyglądała przez okno. Oderwała się tylko na moment, żeby nakarmić kotkę Sookie, a kiedy wracała do bawialni w swoim starannie pomalowanym na odcień różu domku, zobaczyła policjanta w szarym mundurze i wielkim kapeluszu, malującego szeroki, biały pas na nierównej nawierzchni Janders Road. Niezrozumiały i złowieszczy biały pas zaczynał się tuż przed sklepem To i Owo, tam gdzie przez popękane płyty wybijały chwasty, i prowadził prosto do rodzinnego cmentarzyka, znajdującego się na podwórku przed domkiem Ginny.

W trzech stalowych zbiornikach z krabami, ustawionych w cieniu drzewa

tuż przy ganku, ciurkała chłodna woda. Sezon na łuszczenie, bo tak są nazywane niebieskie kraby, kiedy zrzucają pancerze, skończył się, więc w tym roku nie będą już wpatrywać się ze wzdrganiem w turystów swymi oczami na teleskopach. Nie przeszkadzało to jednak Ginny ustawić tablicę oznajmiającą, że za ćwierć dolara mogą przyjrzeć się wielkiemu Jimmy'emu, czyli krabowi rodzaju męskiego, którego trzymała w jednym ze zbiorników. Do tej pory Jimmy zarobił dwadzieścia dolarów i pięćdziesiąt centów. Może ten policjant tylko udaje, że maluje pasy, a tak naprawdę, to chce się jej przyjrzeć. Władze zawsze lubią wtykać nos w nie swoje sprawy i może właśnie usiłują sprawdzić, czy tacy jak Ginny płacą podatki od zysków ze swoich interesów.

Dziesięciolecia doświadczeń przekonały wyspiarzy, że turyści gotowi są kupić wszystko. Wystarczyło zbić drewnianą skrzyneczkę, wypiłować w wieczku otwór, ustawić ją gdziekolwiek i umieścić informację, co jest sprzedawane i za jaką cenę. Najpopularniejsze okazały się przepisy kulinarne oraz mapy rysowane i opisywane ręcznie, a potem kserowane na kolorowo.

Ginny podeszła do płotu, żeby lepiej się przyjrzeć policjantowi, machającemu szerokim pędzlem na środku jezdni. Miał też puszkę farby, która, jak Ginny zdołała wyczytać na etykiecie, była wodoodporna, szybkoschnąca i świeciła w ciemnościach. Policjant był młody, przystojny i poruszał się powoli jak krab, ale trzeba przyznać, że nie sprawiał wrażenia, jakby wykonywane zadanie przypadło mu do gustu.

– I cóż on tam wyrabia! – burknęła Ginny, bo przecież nie powinno się niczego malować na jezdni. – Co to ma być! – dodała głośno z dziwnym, melodyjnym akcentem, który Tangierczycy wywieźli wieki temu z Anglii i zachowali na swojej mikroskopijnej wysepce.

Andy skierował na nią ukryte za ciemnymi okularami oczy i zauważył, że kobieta ma najgorzej wykonaną sztuczną szczękę, jaką zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. Kiedy wcześniej zajrzał do sklepu To i Owo, żeby kupić butelkę wody mineralnej, natrafił na dwie inne mieszkanki wyspy,

których zęby również dawały świadectwo czyjemuś brakowi umiejętności.

– Nie macie na tej wyspie dentysty? – zapytał Andy kobietę, patrząc na niego podejrzliwie zza płotu.

– Przyjeżdża co tydzień ze stałego lądu – odparła niechętnie, bo dentysta stanowił bolesny temat, a Ginny i jej sąsiadki zazwyczaj udawały, że nie dostrzegają oczywistych faktów.

– I leczy was od dłuższego czasu? – drążył Andy, kucając na ulicy. Na chwilę przerwał malowanie.

– Ano. Ten samiuteńki przyjeżdża na Tangier od tak dawna, że sama już zapomniała – odparła raczej ze skrępowaniem niż wrogością, a jej usta zmarszczyły się jak krepina dookoła wielkich sztucznych zębów.

– Na lądzie jest mnóstwo dentystów – powiedział łagodnie Andy. – Wszyscy, których tu zdążyłem zobaczyć, mają wstawiane zęby, proszę pani, i chociaż to zupełnie nie moja sprawa, może powinniście spróbować znaleźć sobie innego specjalistę albo przynajmniej dokładnie się przyjrzeć temu, co robi ten obecny.

To spostrzeżenie i lśniące, doskonale utrzymane i własne zęby Andy'ego ostro dziabnęły Ginny – takiego określenia używają Tangierczycy, kiedy jakaś uwaga sprawia im wielką przykrość, w dodatku trafiając w sedno sprawy. Oczywiście, sami po cichu wyrażali niezadowolenie z pracy przyjezdnego dentysty, tyle tylko że gdyby nie on, nie mieliby żadnego.

– Pewnie pani nie czytała Tropiciela Prawdy – ciągnął Andy, wracając do malowania. – Ale on powiedział parę ciekawych rzeczy na temat akceptowania prawdy, a co więcej, domagania się jej. A jedyny sposób, w jaki można ją zdobyć, to spojrzeć prosto w oczy temu, czego się boimy, czy to będzie mumia czy zbyt cwany dentysta.

Speszona Ginny nie miała pojęcia, co myśleć o tym młodym, przyjemnym policjancie, którego zachowanie zupełnie nie pasowało do groźnego munduru i bezceremonialnego malowania drogi tuż przed jej progiem.

– Niech mi lepiej powie, czego się tak panoszy i maluje mi drogę przed

samym domem – zażądała, zmieniając temat.

– Wcale się nie panoszę – odpowiedział. – Muszę namalować ten punkt kontroli prędkości... na polecenie gubernatora, proszę pani.

Ginny nic o tym nie słyszała i natychmiast wpadła w gniew.

Na całej wyspie znajdowało się około dwudziestu pojazdów napędzanych benzyną, reprezentowanych głównie przez porzewiałe pikapy, używane do holowania. Prawie wszyscy chodzili piechotą albo używali wózków golfowych, skuterów, motorowerów, czy też rowerów. Wyspa miała mniej niż pięć kilometrów długości i około półtora kilometra szerokości. Mieszkało tu sześćset pięćdziesiąt osób i co to obchodzi gubernatora, jeżeli któryś z nich troszkę się rozpędzi swoim wózkiem golfowym? Życie płynęło tu bardzo powoli. Drogi były niewiele szersze od ścieżek dla pieszych, nieliczne tylko zostały wybrukowane, a nieostrożna jazda na zakręcie mogła się skończyć wylądowaniem w bagienku. Przekraczanie prędkości nigdy nie stanowiło najmniejszego problemu, a Ginny nie słyszała dotąd, żeby burmistrz albo rada miejska kiedykolwiek interesowali się tą kwestią.

– Na stałym lądzie macie mnóstwo dróg i może lepiej weźcie się wpierw za nie. Niech no już tu nie maluje! Bo może się zrobić niedobrze, młody człowieku!

Andy nie bardzo zrozumiał, co kobieta chce przez to powiedzieć, ale wyczuł groźbę.

_ Robię to, co mi polecono – odparł, zanurzając pędzel w puszcze z farbą.

– A co będzie, jak się przez to przejedzie? – Ginny wskazała mokry pas na drodze.

– Na razie nic – wyjaśnił złowieszczo Andy, w nadziei, że zachęci kobietę do narzekań i zdobędzie parę dobrych cytatów do następnego felietonu Tropicielea Prawdy. – Muszę namalować jeszcze jeden taki pas dokładnie ćwierć kilometra stąd. Wtedy nasze helikoptery zaczną patrolować wyspę, a piloci będą mierzyć, ile czasu zabiera pojazdom przemieszczenie się od pasa do pasa. Dzięki WASKAR będzie dokładnie wiadomo, jak szybko

jeździecie.

– O rety! Chcą zrobić u nas wyścigi! – zdumiała się Ginny.

– WASKAR – powtórzył Andy, a myśl, że Wirginijczycy będą mylić NASCAR i WASKAR wzbudziła w nim zachwyt. – Chodzi o komputery, które wiedzą, kiedy ktoś przekroczy dozwoloną prędkość.

– I co wtedy? – Ginny nadal nic nie rozumiała, przed oczami migają jej samochody wyścigowe i pijani kibice.

– Funkcjonariusze policji znajdujący się na ziemi ścigają kierowcę i wręczają mu wezwanie.

– Po co mają nas wzywać? – Ginny wyobraziła sobie młodego funkcjonariusza w wielkim kapeluszu i ciemnych okularach, wygłaszającego reprimendę jakiemuś nieszczęsnemu Tangierczykowi na rowerze, prawdopodobnie wygrażającego też palcem, zupełnie jak w telewizji, kiedy na filmach stróże prawa ostrzegają złapanego przestępcę o jego prawach. Ginny zawsze je oglądała. Odbierała telewizję satelitarną przez antenę, którą przyozdobiła szklanymi kulami i innymi ogrodowymi dekoracjami.

– Żeby dać mandat – ciągnął surowo Andy. – Wie pani, co to mandat? – Pędzel dotarł do skraju chodnika i znalazł się zaledwie o kilka kroków od płotu Ginny i wszystkich jej zmarłych przodków, których pokrzywione kamienie nagrobne czas doprowadził do idealnej gładkości. – Wypisujemy mandat, a wtedy trzeba pójść do sądu i zapłacić karę. Gotówką albo czekiem.

Wiedział doskonale, że na wyspie nie ma banku, a чеки mieszkańcy widują najwyżej w telewizji.

– Ile będziemy musieli płacić, kiedy dostaniemy takie wezwanie? – Przestrach Ginny wyraźnie narastał.

Andy podniósł się i wyprostował bolące plecy, usiłując zrozumieć przyczynę niepokoju tej kobiety. Zaraz jednak przypomniał sobie, że podczas swojej krótkiej wizyty w miejscowym sklepie, gdzie zajrzał, zanim zaczął malować pas na jezdni, usłyszał, jak dwie wyspiarki poszeptywały do siebie na jego temat, a także rozprawiwały o kimś, kto dostał wezwanie. Nie

wiedziały, kto i czemu jest winien, ale najprawdopodobniej chodziło o „chłopaka Shoresów, co to majom dom naprzeciw szkoły. Bez przerwy pyskuje, a w domu bida ino piszczy. Tak, tak, moja Hattie. Stary wychodzi na morze, chociaż już nie ta pora, a ten mądrała zamiast się uczyć, brodzi sobie po płytkiej wodzie”. To znaczy, że dostanie „wezwania” oznacza aresztowanie, domyślił się Andy, a Hattie i Lula plotkowały o jakimś chłopcu z wyspy, nazwiskiem Fonny Boy Shores, który nie pomagał ojcu, był nieposłuszny, wagarował, wałęsał się nad brzegiem morza, szukając w wodzie ciekawych rzeczy, zamiast wspomagać swoją ubogą rodzinę uczciwie zarobionymi pieniędzmi.

– Wysokość kary zależy od tego, jak bardzo zostanie przekroczona dopuszczalna prędkość – poinformował Andy zmartwioną kobietę.

W żaden sposób nie pozwolił się jej domyślić, że jego zdaniem pomysłu dawania mandatów na podstawie pomiaru prędkości osiąganego na lądzie dokonanego z powietrza jest bez sensu. Samoloty i helikoptery nie miały radarów pistoletowych, a z powietrza nie dawało się zobaczyć tablic rejestracyjnych. Nie wyobrażał też sobie, żeby pilot, ustalwszy prędkość jakiegoś jadącego na północ białego samochodu typu kombi, powiadamiał przez radio funkcjonariusza, ukrytego w oznakowanym wozie policyjnym, który wystrzeliłby z rykiem silnika zza krzaków porastających pas rozdzielczy i pognął z wyciem syreny za jakimś białym pojazdem określonej marki, jadącym spokojnie na północ. Musieliby wybrać jeden z wielu doń podobnych, mknących drogą. Co za marnotrawstwo paliwa, pieniędzy podatników i czasu.

– Trzy dolary za każdy kilometr ponad dozwoloną prędkość plus trzydzieści dolarów na koszt sądowe – podsumował Andy. – A jak się pani nazywa?

– A panu to na co? – Ginny cofnęła się z przestraczem.

– Wchodzi pani kiedy do sieci?

Popatrzyła na niego tępo.

– Nie, nie chodzi mi o nowy sposób łowienia ryb – powiedział Andy, trochę zirytowany i rozczarowany. – Pewnie nie macie tu komputerów ani modemów. – Przyjrzał się niedużym, wykończonym deskowaniami domom, które stały po obu stronach drogi o sfatygowanej nawierzchni, i kilku wózkom golfowym podskakującym na niej w pewnej odległości. – Nieważne – ciągnął. – Ale chciałbym wiedzieć, jak się pani nazywa, bo wtedy napisałbym e-mail do Tropicielea Prawdy, żeby mógł zacytować pani opinię, a wówczas cały świat dowiedziałby się, co pani myśli na temat nowego projektu gubernatora, dotyczącego kontroli prędkości.

Ginny nic z tego niezrozumiała.

– Dzięki temu przyjeżdżałoby więcej turystów oglądać pani kraby. – Andy wskazał w ich stronę. – A każdy rzuci dwudziestopięciocentówkę, nie?

– E tam, dobrze, jak od czasu do czasu wpadnie jedna czy dwie – powiedziała lekkim tonem Ginny, starając się zbagatelizować swoje prywatne, wolne od podatków przedsięwzięcie. – A o tej porze roku nie trafiają się duże, żeby je pokazywać, tylko ten jeden samiec, co go mam w zbiorniku, to spora sztuka, ale w tej chwili sezon się kończy i niebawem goście zabiorą się w inne strony i całkiem przestaną do nas przyjeżdżać.

– Nigdy nic nie wiadomo. Nie ma to jak reklama. Może się tu trochę ożywi. – Andy znowu spróbował wydobyć od niej nazwisko. – Ludzie przeczytają o pani wielkim krabie i będą stać w kolejce, żeby go zobaczyć.

Ginny dała za wygraną i podała policjantowi swoje personalia, bo wyczuwała, że nie jest z urzędu skarbowego i ma na głowie inne sprawy, a dwudziestopięciocentówek dostawała sporo. Zauważyła już jakiś czas temu, że wielu przyjezdnych za nic ma dwadzieścia pięć, dziesięć, czy pięć centów, nie mówiąc już o monetach jednocentowych. Te ostatnie i ona sama nie bardzo sobie ceniła. Mieszkańcy wyspy zawsze starali się wypchnąć monety jednocentowe swoim sąsiadom. Nieduże, brązowe monетки przechodziły z rąk do rąk tak często, że Ginny zaczęła rozpoznawać poszczególne egzemplarze i kiedy dostała ich mnóstwo w postaci reszty w sklepie

spożywczym, wiedziała, że tym razem to jej przyszło wpaść.

– Nie chcem twoich cenciaków – droczyła się zawsze z Daisy Eskridge, kasjerką w jedynym sklepie na wyspie.

– No dobrze, już dobrze, kochaniutka, wcale ci ich nie będę wciskać, ale komuś muszę je dać – odparła Daisy, kiedy Ginny poskarżyła się ostatnim razem. – A przynajmniej od kiedy Wheezy Parks kupowała mydło i mąkę i dała mnie więcej jak czterysta centów. Chciałam jej sprzedać na kreskę, ale postanowiła wyzbyć się swoich drobników, a teraz mi się nie mieszczą w szufladce, Ginny.

Ginny wciąż była wściekła na Wheezy, która nigdy nie kupowała na kredyt i notorycznie wciskała niechciane centy innym mieszkańcom wyspy. Krążyła też gorsząca plotka, że Wheezy zakradała się nocą do puszek na drobne, należących do jej sąsiadów i podmieniała swoje centy na monety dwudziestopięć, dziesięć – i pięciocentowe. Co gorsza, ta podstępna oszustka notorycznie wpychała pozostałe jednocentówki innym przy każdej okazji. Podejrzewano, że Wheezy ma w domu większość znajdujących się na wyspie drobnych... i prawdopodobnie trzyma je pod łóżkiem upchnięte w skarpetach.

– Tak więc, pani Crockett, przekroczenie prędkości o dziesięć kilometrów to trzydzieści dolarów plus koszty sądowe – wyjaśniał młody funkcjonariusz, a uwaga Ginny na nowo skoncentrowała się na nim. – Piętnaście kilometrów ponad ograniczenie to nieostrożna jazda i za to można wylądować w więzieniu.

– A to ci! Nie możecie nas pozamykać! – zaprotestowała Ginny. Generalnie miała rację, ale nie do końca. Nikogo nie dałoby się zamknąć w więzieniu na wyspie, gdyż nie było tu ani sądu, ani aresztu. A to oznaczało niezbicie, że każdy złapany na przekraczaniu prędkości zostanie deportowany na stały ląd. Ta przerażająca wieść rozeszła się natychmiast po Tangierze, gdy tylko Ginny pośpieszyła James Road, a potem skrótem do Spanky's Place, gdzie Dipper Pruitt wydawała lody waniliowe domowej roboty trzem

nieśmiałym amiszkom w długich sukniach i siatkach na włosach.

– Chcom nas wszystkich zamknąć w ciupie na stałym lądzie! – wykrzyknęła Ginny. – Zamieniom wyspę na tor wyścigowy!

Amiszki uśmiechnęły się nieśmiało, wydobywając upragnione srebrne monety z niedużych czarnych portmonetek. Kładły na lądzie jeden lśniący krążek metalu po drugim i nie słyszało się przy tym żadnego dźwięku. Ginny nieczęsto widywała turystów z Pensylwanii i zawsze zdumiewały ją ich stroje, zachowanie oraz niezwykła bladość. Mogli godzinami pływać na promach Chesapeake Breeze i Capitan Eulice, chodzić całymi dniami po wyspie, nie opalając się, ale też i nie marzli. Nigdy nie korzystali ze stojących na werandach foteli bujanych, nie siadali na nagrobkach, nie zaglądali do zbiorników z krabami bez zapłaty ani też nie komentowali dziwacznej mowy wyspiarzy. Ginny nigdy nie słyszała, żeby któryś z amiszów uskarżał się na obowiązujący na wyspie zakaz wyszynku i wychodzenia wieczorem z domów, co ograniczało nocne życie, poprawiało maniery i sprawiało, że rybacy kładli się wcześniej spać u boku własnych żon. Gdyby wszyscy turyści byli tacy jak przybysze z Pensylwanii, Ginny i jej sąsiadki na pewno by ich bardziej lubiły.

– Wielki Boże! Chto powiedział, że chcom nas zamykać? – dopytywała się Dipper, płucząc łyżkę do nabierania lodów w misce z letnią wodą. – I chto mówi, że tak ma być?

– Za szybko jeżdżom wózkami golfowymi – odparła Ginny, kiedy amiszki odeszły cicho w chłodny, wilgotny poranek. – Policja maluje pasy, żeby nas zabrać wszystkich co do jednego tymi swoimi hihopterami. Wywiozom nas stąd, żeby zrobić tu wyścigi samochodowe i zarobiom na tym masę pieniędzy!

W ciągu jednej godziny cała flotylla białych miejscowych łodzi, nazywanych tutaj „bateau”, wracała pełnym gazem z pokręconych zatoczek wyspy na otwartą zatokę Chesapeake. Przymocowane na zewnątrz rufy motorki prychały i parskały, kiedy sternicy zmuszali je do maksymalnego

wysiłku, reagując na przerażające wieści o więzieniu, Nascar i obelżywych uwagach funkcjonariusza policji na temat stanu uzębienia wyspiarzy. Zawrócono samolot zwiadowczy, poszukujący, jak zazwyczaj, ławic nadających się na przynętę. Zaczął teraz krążyć nisko nad Janders Road, uważając tylko, żeby nie zbliżyć się zanadto do rdzewiejącego żurawia, który stał w południowej części wyspy w pobliżu stacji uzdatniania śmieci i pasa startowego, wykonanego z wybagrowanej ziemi.

Na szczęście dla Andy'ego farba wyschła prawie natychmiast i w rezultacie rosnący tłum zatroskanych kobiet i dzieci, uzbrojonych w węże ogrodowe i wiadra z wodą, niewiele zdołał wskórać. Andy zaś martwił się coraz bardziej i żałował, że sprowokował miejscowych do wypowiedzenia szczerych opinii tylko po to, żeby mieć tekst do felietonów. Może nie powinien był kazać policjantowi Macovichowi czekać w helikopterze. Może nie powinien podejmować się tego zadania w pojedynkę. Pośpiesznie namalował drugi pas, tuż przed ośrodkiem zdrowia imienia Gladstone'a, gdzie doktor Sherman Faux właśnie borował kolejny ząb Fonny'ego Boya.

ROZDZIAŁ 5

Bedfordowi Crimmowi ranek nie upłynął zbyt pomyślnie. Gubernator najpierw zgubił drogę do pokoju śniadaniowego i w końcu zatrzymał się w jednym z salonów rezydencji, gdzie usiadł w głębokim fotelu i czekał cierpliwie, aż lokaj Pony naleje mu kawy z zabytkowej maszyny, ustawionej na komódce w stylu chippendale. Crimmowi gdzieś się zawieruszyło oprawne w srebro szkło powiększające, które zazwyczaj trzymał na marmurowym gzymsie kominka w głównej sypialni.

– Gdzie ja jestem? – zapytał na wypadek, gdyby ktoś się znajdował w pobliżu. – Nie mam dzisiaj ochoty na szynkę i marzę o kawie. Pony? Chodź tu natychmiast! Dlaczego tu tak zimno? Czuję wyraźny przeciąg.

– Ach, jej! – Do saloniku wpłynął głos pani Maude Crimm. – To ty, Bedfordzie?

– No, a kto? – ryknął gubernator. – Kto mi zabrał szkło powiększające? Wydaje mi się, że ktoś to robi celowo, żebym nie widział, co wy tu wszyscy knujecie.

– Zawsze ci się tak wydaje, mój drogi. – Ciężkie perfumy pani Crimm wypełniły pomieszczenie, a jej ranne pantofle zaszurały na brukselskim dywanie. – Nikt nic nie knuje, skarbie – skłamała, a jej niewyraźna postać pochylała się i małżonka pocałowała gubernatora w łysiejące czoło.

Ktoś tutaj knuł intrygi, a Pierwsza Dama doskonale o tym wiedziała. Cierpiała na nieuleczalną manię kolekcjonerską, a słabnący wzrok męża oraz Internet pozwoliły jej bez reszty ulec tej słabości. W ostatnich czasach pani

Maude Crimm nie mogła oprzeć się zabytkowym trójnożnym podstawkom; zdobywała ich całe tuziny: o wywiniętych uchwytach, z cherubinami, koronkowymi krążkami, tulipanami, winogronami, zawijasami, napisami „Boże Błogosław Temu Domowi”. Niektóre z nich były żeliwne, inne mosiężne. Kiedy dziś rano stukała w klawiaturę, podczas gdy mąż jeszcze chrapał w łóżku, natrafiła wspaniały gładko polerowany trójnóg ozdobiony warkoczami i gwiazdkami i od tej pory nie mogła przestać o nim myśleć.

Przy zakupach stosowała następującą zasadę: starała się zachować spokój i dystans, nie rzucać się natychmiast na to, na co miała ochotę, czy była to nowa suknia czy też trójnóg, żeby przekonać się, czy upragniony przedmiot nadal ją będzie wzywał. Jeśli tak, wkrótce dochodziło do transakcji i tak już musiało być. Mąż nie cenił sobie tej zasady, więc nauczyła się ukrywać swoje nabytki przed jego wzrokiem, a to stawało się coraz łatwiejsze. Niemniej jednak ślepe wędrówki Bedforda po rezydencji budziły w niej rosnącą troskę. Pani Crimm obawiała się, że pewnego dnia gubernator trafi do jednego z pokoików, w których przechowywano bieliznę pościelową, i odkryje stos trójnogów, piętrzący się na sosnowej podłodze. Pierwsza dama wcale nie pragnęła wysłuchiwać kolejnej tyrady męża, który jeszcze nie doszedł do siebie po jej ostatnim wybuchu pasji kolekcjonerskiej, kiedy do rezydencji przywieziono trzydzieści osiem par dziewiętnastowiecznych nożyc do przycinania knotów świec oraz rzadką puszkę Teenie-Weenie na cukierki. Oczywiście, po kilku dniach burza przycichła. Pani Crimm była na tyle sprytna, żeby nie zamawiać wszystkiego naraz i nie obciążać dostawami jednej poczty kurierskiej.

– Sprawdzaleś w Lafayette Room? – spytała. – Czasami leży tam na skrzyni Sheratona obok lampy naftowej. A w ogóle to wydaje mi się, że widziałam je wczoraj koło dwuczęściowego lustra.

– A czemu miałyby trafić do pokoju Lafayette’a? – zapytał z urazą gubernator. – Przyjmujemy tam tylko gubernatorów i byłych prezydentów. Ktoś tu coś przede mną ukrywa. Co to za rzecz, której nie chcesz mi

pokazać? – zapytał, wstając z zabytkowego krzesła o cienkich, toczonych nóżkach.

– Dobrze wiesz, że nie mam przed tobą żadnych tajemnic, kochanie – odparła, wyprowadzając go z saloniku. – Niemniej jednak tak się zdarzyło, że dziś rano przeczytałam felieton tego straszliwego Tropicielea Prawdy. Pewnie nie widziałeś, co właśnie umieścił na swojej stronie internetowej? – dodała, żeby odwrócić jego uwagę.

– Właśnie że tak. – Gubernator ruszył za nią i wpadł na znajdujący się w bawialni stolik do herbaty z podnoszonym blatem, przy okazji prawie przewracając kolejną lampę naftową. – Wydrukowałaś go?

– Oczywiście – odrzekła z powagą pani Crimm. – Skoro nie masz szkła powiększającego, będę ci to musiała przeczytać, chociaż obawiam się, że tylko się zdenerwujesz, Bedfordzie, i znowu zaniepokoisz swoją łódź podwodną.

Gubernator nie lubił, kiedy żona otwarcie poruszała kwestię tego, co działo się z łodzią podwodną, jak zwykli byli nazywać stan jego żołądka i jelit.

– Jest tam kto? – zapytał, mrużąc oczy i rozglądając się, aby się upewnić, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

– Nikogo nie ma, skarbie. Tylko ty i ja, a już prawie doszliśmy do pokoju śniadaniowego. Teraz skręcimy w prawo i uważaj na tę litografię. Och! Nic się nie stało, zaraz ją wyprostuję.

Usłyszał szelest, kiedy poprawiała obrazek, który przed chwilą trącił swym wielkim nosem.

– Następnym razem walnę w niego głową – zagroził. Szurając wszedł do pokoju śniadaniowego i namacał krzesło. – A w ogóle to co na nim jest?

– William Penn podpisujący traktat z Indianami. – Pani Crimm strzepnęła serwetkę śniadaniową i wsunęła ją mężowi pod kołnierzyk krzywo zaپیętej koszuli, niepasującej do szelek, zielonej, aksamitnej kamizelki i krawata w paski.

– Tu nie Filadelfia i zupełnie nie rozumiem, co William Penn robi w naszej rezydencji? – oświadczył z irytacją gubernator. – Kiedy się to tutaj pojawiło?

Najwyraźniej zapomniał o przelotnej namiętności, jaką jego żona żywiła do litografii, a może w ogóle o tym nie wiedział. Westchnął z ulgą, gdy pojawił się lokaj.

– Dzień dobry panu – powiedział Pony, serwując kawę.

– Wcale taki nie jest, Pony. Nie, nie. Świat schodzi na psy.

– Ma pan oczywiście rację, panie gubernatorze – zgodził się Pony, kiwając ze zrozumieniem głową. – Powiedziałbym, że świat już na nie zeszedł dawno temu, ale to nieprawda. Tylko zrobił się trochę większy bałagan. Owszem, ma się ochotę pobiec do kościoła i prosić Boga, żeby wyratował nas z tego nieszczęścia i wybaczył nam grzechy nasze i naszych wrogów, i sprawił, żeby ludzie zaczęli się zachowywać przyzwoicie. Co się z nimi porobiło? Nie dalej jak wczoraj szykowano to wielkie przyjęcie – ciągnął Pony. – Robiłem dla pań z obsługi herbatę, kiedy nagle słyszę, jak jedna z pracownic mówi do drugiej „Ciekawe, czy udałoby mi się skrócić jedną z tych filizaneczek z napisem: Stan Wirginia. Jak myślisz?” „A czemu by nie”, odpowiada ta druga. „Płacisz podatki, nie?” „Jasne”, odpowiada ta pierwsza. „A tu i tak nic nie należy do rodziny Crimmów. To wszystko jest nasze, wspólne.” „Racja, jak Boga kocham. To wszystko nasze”. Potem – ciągnął Pony, ożywiając się coraz bardziej – możecie mi państwo nie wierzyć, ale każda z nich zapakowała sobie do torby po filizance.

– Dlaczego, na litość boską...? – wyjąkała Pierwsza Dama ze zgrozą i oburzeniem. – Dlaczego ich nie powstrzymałeś! Mam nadzieję, że nie zabrały tych ślicznych perłowych kubeczków ze spodkami w kwiatowe wzory.

– Nie, nie proszę pani – zapewnił ją Pony. – Miały uszka i złote napisy „Stan Wirginia”.

– A w ogóle to nie powinienesz był podawać obsłudze herbaty –

oświadczyła surowo pani Crimm. – Tym bardziej nie w filiżankach. To tylko pracownice, a nie ważni goście. Ojej. – Spojrzała na męża, szukając u niego wsparcia i zobaczyła, że rozlał sobie kawę na serwetkę, a odstawiając filiżankę, nie trafił na spodek. – Naprawdę nie powinieneś być taki dobry dla wszystkich, Bedfordzie. Pewnie niedługo zaczną się tu pojawiać taksówkarze albo osoby pobierające opłaty na autostradzie, domagając się prywatnych wycieczek po rezydencji i posiłków na naszej najlepszej porcelanie.

– Rezydencja nie jest naszą własnością – przypomniał jej gubernator, a ponure myśli nadciągnęły jak tłum ludzi do windy, powodując znaczne osłabienie jego cierpliwości i pogorszenie nastroju. – Po prawdzie to każdy przechodzień z ulicy może tu przyjść i poprosić, aby mógł obejrzeć rezydencję. Co jednak nie oznacza, że jestem zobowiązany wyrazić zgodę, ani też że można by mnie do tego zmusić. Ludzie nie wiedzą, że mają takie prawo, a ja ich nie będę o tym powiadamiał. Dość tego gadania. Przeczytaj mi ten cholerny felieton, Maude.

Bardzo liczył na to, że w dzisiejszym będzie też zawarta jakaś zagadka, która pomoże mu przedrzeć się przez gęstwiny, otaczającą go ze wszystkich stron.

– Mumie... – zaczęła, włożywszy okulary do czytania i przejrzawszy pobieżnie wydruk. – Wiesz, zawsze się trochę bałam mumii. Nie mam pojęcia, czy inni ludzie też. Ale o co chodzi z tą wyspą Tangier? Tropiciele wymienia ją już drugi raz. Co tam się dzieje, Bedfordzie?

– Chce pan do jajek kaszę czy ziemniaki zasmażane z cebulką? – zapytał uprzejmie Pony.

– Nie wiedziałem, że będą jajka – zaprotestował gubernator.

– Powiedziałam mu, żeby zrobił jajka po wiedeńsku – poinformowała męża pani Crimm, wygładzając szlafrok na swych obfitych kolanach. – Wydawało mi się, że podziałają łagodząco. Kiedy twoja łódź podwodna zaczyna się buntować, najlepsze są proste dania.

Tak umysł, jak ciało Crimma wydawały się zapadać w nieokreślony

niebyt. Nie słyszał prawie nic z tego, co mówiła, a potem czytała żona, a jego coraz wyraźniejsze podejrzenia wkrótce stały się stanowczym przekonaniem. Felieton Tropicielea Prawdy o mumiach zawierał zaszyfrowaną wiadomość, a Crimm nagle sobie przypomniał, że jako dziecko nazywał swoją matkę „Mumi”.

Lutilla Crimm poczęła swego najstarszego syna w Farmington, bogatej dzielnicy Charlottesville, podczas potwornej śnieżycy. Crimm mgliście pamiętał, co słyszał o tym zdarzeniu, a poza tym ilekroć ojciec gniewał się na żonę, mamrotał złośliwie do Bedforda, żeby nigdy nie pozwolił kobiecie zapanować nad swoim życiem i go zniszczyć.

– Baby są wredne – powtarzał ojciec, kiedy razem nosili polana do piecyka na drewno albo czyścili ze śniegu chodnik przed ich imponującym domem z czerwonej cegły, wznoszącym się na tle gór. – Przymilają się, synu, i dają ci do zrozumienia, że umierają z miłości do ciebie, a jak już cię owiną dookoła palca i narodzą bachorów, to wiesz co?

– Co? – Bedford zadał pytanie, które w jego życiu miało się bardzo często powtarzać.

– Co? – powtórzył ojciec. – Powiem ci, co! Oznajmiamą znienacka, że należałoby odmalować sufit, bo farba odpada, albo że na żyrandolu jest pajęczyna, kiedy właśnie...

– Och – wydusił Bedford, wrzucając porąbane polana do pojemnika koło pieca.

– Ujmijmy to tak – ciągnął ojciec, podczas gdy matka, nic nie podejrzewając, zajmowała się ręcznymi robótkami piętro wyżej. – Połowa ciebie poszła na kołdrę, synu. To pewnie dlatego jesteś półślepy konusem.

– A co dokładnie powiedziała Mumi? – Bedford musiał poznać prawdę. – Czy chodziło jej o sufit, czy pajęczyny?

– Ani jedno, ani drugie. Nie tamtej nocy. Usiadła znienacka i oznajmiła: „Ojej, chyba nie nakarmiłam kota”.

– Naprawdę? – dopytywał się młody Bedford i nigdy nie zapomniał

oburzenia, jakie wywołał w nim fakt, że wyrósł na krótkowzrocznego, niskiego i mało przystojnego mężczyznę wyłącznie przez kota. – Dlaczego Mumi przypomniała sobie nagle o kocie w tamtym momencie?

– Takie właśnie są baby, synu. Myślą w owych chwilach o najrozmaitszych rzeczach, bo chcą odwrócić naszą uwagę. – Ojciec wepchnął polano do pieca, wzniecając snop iskier. – Twoja matka dobrze wiedziała, co robi, kiedy poruszyła kwestię kota.

Od tamtej pory Bedford Crimm znienawidził koty, a w jego sercu zamieszkały na stałe ból i poczucie niepewności, bo matka usiłowała przerwać proces jego poczęcia, sprawiając, że znaczna część jego żywotności wylądowała na kołdrze. Z pewnością niezbyt kochała rosnącego w jej łonie syna, myślał ponuro, skubiąc jajko, którego prawie nie widział, i macając po stole w poszukiwaniu pieprzu. Wyłączył się przy tym, unikając słuchania męczącej rozmowy, jaką wiodła jego żona z Ponym na temat ludzi trafionych przez piorun. Crimmowi wydawało się, że zostawił za sobą nieszczęśliwe dzieciństwo, kiedy zrobił karierę polityczną, a teraz Tropiciele Prawdy o wszystkim mu przypomnieli.

Miazmaty paranoi i gniewu przeniknęły gubernatora jak trujący gaz, a na jego łodzi podwodnej rozległ się sygnał alarmowy. Tropiciele Prawdy w jakiś sposób dowiedziały się, jak wyglądały wstydlive początki życia ważnego męża stanu, a Crimm wcale sobie nie życzył, żeby te fakty dotarły do innych ludzi. Oczywiście, Tropiciele Prawdy wiedziały! On wiedział wszystko. Po co by inaczej wspominał w swoim felietonie o mumiach?

– To skandal! – Gubernator uderzył pięścią w stół, a srebrny lichtarz przewrócił się prosto w maselniczkę.

W pokoju śniadaniowym zapadła martwa cisza. Po chwili odezwała się zdumiona Maude Crimm.

– Ach jej! Jak to dobrze, że świeca się nie paliła, kochanie, bo inaczej masło mogłoby się od niej zająć. Prawdziwe masło to tłuszcz zwierzęcy i płonie równie dobrze jak paliwa płynne.

– Nie aż tak dobrze, proszę pani – wtrącił Pony. – Ale nie będziemy tego sprawdzać. – Podniósł lichtarz i wytarł go w serwetkę, którą miał przewieszoną przez łokieć. – Lepiej nie ryzykować pożaru w tej rezydencji. Poszłaby z dymem jak stara miotła.

– No proszę, dopiero co rozmawialiśmy o piorunach, pożarach domów i płonących ubraniach, a teraz lichtarz przewrócił się w masło – zauważyła ściszone głosem Pierwsza Dama. – Mam nadzieję, że to nie jest znak.

– Nie, nie. – Pony pokręcił głową i cmoknął. – Na pewno nie. Nie potrzebujemy takich znaków.

– Jakich znaków? – obudził się gubernator i natychmiast przypomniał sobie WASKAR i znaki, które Major Trader zamierzał umieścić w całym stanie. – Połącz mnie z Traderem – poleciał Pony’emu. – Powiedz mu, że ma mnie natychmiast poinformować o sytuacji na Tangier Island. Do tej pory punkt kontroli prędkości powinien już być gotów. I zapytaj funkcjonariusza Macovicha, czy już wie, kim jest Tropiciel Prawdy. Znajdę tego łobuza i uciszę go, zanim narobi nowych szkód! I mam gdzieś pierwszą poprawkę!

Znowu uderzył w stół, ale Pony zdążył w porę złapać świecznik.

T. P. nie zdążyła z niczym zeszłego wieczora, a Unique zadbała, żeby ofiara była na pewno martwa, a dopiero potem wróciła sama przez mostek i odjechała miatą. Jednak mimo wszystko poczuła nieodparte pragnienie, żeby całość jeszcze raz dobrze sprawdzić. Z wydarzeń, które nastąpiły po tym, jak ona i T. P. spacerowały się na wyspę, pozostały jej w pamięci tylko oderwane fragmenty, ale biorąc pod uwagę ilość krwi, jaką zobaczyła na ubraniu, kiedy wreszcie wróciła do swego zaniedbanego mieszkania w centrum miasta, potrafiła sobie dosyć dokładnie wyobrazić, co zrobiła tej bezczelnej, brzydkiej babie, która śmiała myśleć, że Unique mogłaby mieć na nią ochotę, albo w ogóle była w jej typie.

Zaparkowała w pobliżu Belle Island i wyruszyła. W tenisówkach i z polaroidem w dłoni wyglądała na kogoś, kto wybiera się na poranny

spacer po lesie. W świetle dnia wyspa wyglądała zupełnie inaczej, więc Unique straciła dobrych dwadzieścia minut na odnalezienie ruin, do których, jak jej się zdawało, zawlokła nagie ciało T. P., chociaż nie przypominała sobie niczego, co zaszło po tym, gdy przecięła kobiecie gardło od ucha do ucha. Puls zabił jej żywiej i poczuła przyływ mocy oraz podniecenia, kiedy znalazła się pośród zrujnowanych ceglanych murów i spojrzała na okaleczone, zakrwawione ciało, leżące twarzą do góry w mokrej ziemi.

T. P. miała półotwarte, zmatowiałe oczy, a włosy pozlepiane krwią i błotem. Myśl, że kiedykolwiek dotykała ust, czy jakiejś innej części ciała tej kobiety, obudziła w Unique obrzydzenie. Kucnęła i zaczęła fotografować ciało pod różnymi kątami, żeby móc sobie później dokładnie przypomnieć to wydarzenie, nie ryzykując wywoływania filmu w zakładzie fotograficznym. Trochę ją zaskoczyło, że gdy pochyliła się, żeby zrobić zbliżenia, poczuła lekki zapach perfum T. P., co przypomniało jej krzyk, a potem gulgot, kiedy kobieta chwyciła się za szyję, a Unique kopnęła ją w głowę, po czym pocięła jej piersi i wyrznęła napis „Tropiciel Prawdy” na brzuchu. Dziewczyna była zadowolona, że miała dosyć sprytu, żeby dodać ten ostatni szczegół. T. P. chciała zostać Tropicielem Prawdy i proszę, jak jej się udało.

– Masz, czego chciałaś – szepnęła jeszcze do zimnego, okaleczonego ciała i ruszyła w drogę powrotną.

Unique dawno nie było na wyspie, kiedy ktoś z biura T. P. zaczął wydzwaniać na jej domowy numer, żeby sprawdzić, dlaczego nie przyszła do pracy. Unique przejeżdżała obok domu jasnowłosego tajniaka, gdy dwie kobiety, które wyszły z dziećmi w wózkach na spacer, natrafiły na przerażające znalezisko w ruinach na Belle Island, a Pony udawał, że odkrył zagubione szkło powiększające gubernatora.

Pony zdawał sobie sprawę, jak bardzo denerwowały jego pracodawcę trudności z odnalezieniem którejś z ekscentrycznych pomocy optycznych i chociaż Pierwsza Dama wyraźnie powiedziała lokajowi, że ma utrudniać

dostęp do nich mężowi ze względu na trójnogi, lokaj uznał, iż należy coś zrobić natychmiast. Zanurzył rękę w kieszeni nieskazitelnej, białej marynarki i wydobył z niej oprawione w srebro szkło powiększające, które bezszelestnie umieścił w cynowej kompotierze.

– A niech mnie! – wykrzyknął. – Proszę zobaczyć, co tutaj znalazłem. Oto pańskie szkło powiększające, panie gubernatorze. Dlaczego schował je pan do kompotiery?

Maude Crimm posłała mu wrogie spojrzenie, na jakie sobie zasłużył, ignorując jej zalecenie. Jej wzrok natrafił na powiększone oko męża, który rozglądał się po otoczeniu.

– Gdzie, do licha ciężkiego, są dziewczęta? – zapytał, stwierdzając, że jego córki nie siedzą przy stole.

– Pozwoliłam im dzisiaj trochę dłużej pospać – wyjaśniła ich matka. – Do późna w noc siedziały przy telewizji i były po prostu zmęczone. Ale wiesz, to naprawdę niesamowite. Twoje szkło powiększające znalazło się w kompotierze. Doprawdy, Bedfordzie, powinieneś go lepiej pilnować.

– Od tej chwili nie odłożę go nawet na moment – zapewnił, a jego żona zeszywniała. – Od tej pory chcę widzieć, co się dzieje pod moim dachem, zrozumiano? Nie urodziłem się wczoraj. A nie, nie. Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym i mam swój rozum. – Skierował krótki i gruby palec na żonę. – Coś przede mną ukrywasz, Maude.

– Ależ skąd – skłamała, z niepokojem przypominając sobie trójnóg, który znalazła dziś rano w Internecie.

Gubernator Crimm odsunął krzesło i wstał, wciąż mając serwetkę u szyi, niczym przekrzywioną pelerynę. Po raz pierwszy w czasie swego małżeństwa zaczął podejrzewać, że żona ma romans. Nawet i w tej chwili w rezydencji mógł znajdować się rywal i to on celowo ukrył szkło powiększające w kompotierze. Gubernator wyobraził sobie wszystkich mężczyzn, którzy chętnie przespaliłyby się z jakąś pierwszą damą, zwłaszcza z jego żoną i jego łódź podwodna szarpnęła się gwałtownie.

– A więc o to w tym chodzi! – wykrzyknął od drzwi, a na schodach rozległy się ciężkie kroki jego zmęczonych życiem córek.

Już wiedział, co się tu wyrabia. Oczywiście, że się we wszystkim orientował i wyobrażał sobie, jak żona kusi innych mężczyzn swym wielkim biustem. Podczas kiedy cierpiał, wyobrażając sobie gorszące erotyczne obrazy, Pierwsza Dama pomyślała o powiększającej się liczbie trójnogów, zmagazynowanych w pakamerze na pościel, i wpadła w panikę. Mąż najwyraźniej się o nich dowiedział. Tymczasem Pony uznał, że nadeszła pora, żeby zaparzyć więcej kawy i oddalił się bezszelestnie. W oczach pani Crimm zakręciły się łzy, a głośne kroki jej córek rozlegały się coraz bliżej.

– Czy zechcesz mi to kiedyś wybaczyć, Bedfordzie? – jęknęła Maude i pociągnęła nosem.

Szkło powiększające zaczepiło się o serwetkę. Gubernator wyszarpnął je sobie zza kołnierza i rzucił na podłogę. Jego najgorsze przeczucia stały się rzeczywistością.

– Jak do tego doszło? – zapytał, czując bolesne skurcze w swej łodzi podwodnej. – Jak ich znajdujesz? W książce telefonicznej? Na przyjęciu?

– Na pewno nie na przyjęciach. – Posądzenie, że mogłaby kraść trójnogi na przyjęciach, zdumiało panią Crimm. – Nigdy nie zrobiłabym czegoś tak nikczemnego. Ale też nie potrzebuję – dodała z niejakim oburzeniem. – W Internecie, jeśli chcesz wiedzieć. W dzisiejszych czasach możesz tam znaleźć wszystko, a pokusa była nie do pokonania. Och, Bedfordzie, nie mogłam się powstrzymać. I chociaż bardzo mi wstyd, wiem, że to się zdarzy znowu. No, ale przecież ludzie mają znacznie gorsze wady niż moja.

– Nie ma gorszej wady! A Pony na pewno też w tym siedzi – stwierdził gubernator bez tchu, bo łódź podwodna całkowicie zniweczyła jego dobre samopoczucie, wysuwając peryskop i śledząc wroga, czyli w tym wypadku niewierną żonę. – Ten łajdak Pony musiał wiedzieć, co ty wyrabiasz, bo przecież całymi dniami cię obsługuje. Jestem pewien, że zakradali się do rezydencji nocą. Ale ja nie chcę o tym słyszeć! Nie wyobrażam sobie nic

bardziej poniżającego, niż gdybyś wpuszczała ich nocą, kiedy ja spałem w tym samym łóżku! Wracajcie natychmiast do siebie! – polecił córkom. – Klóćmy się, a wiecie, że nigdy nie robimy tego przy was!

– Nie nocą – odparła pani Crimm, kiedy córki zawróciły z głośnym szuraniem i zaczęły ciężko wchodzić na górę. – Zawsze przychodzą następnego dnia rano, drogi mężu i są w pokoiku z pościelą.

– Możesz być pewna, że przeszukam wszystkie pakamery na pościel, natychmiast, jak wrócę do domu! – ryknął gubernator, i zrobiłby to zaraz, gdyby nie to, że jego łódź podwodna znalazła się w dramatycznej sytuacji, trafiając prosto na minę. – A jeśli znajdę chociaż jednego – to koniec. Przysięgam.

– Nie znajdziesz ich – zapewniła go pani Crimm, ocierając sobie oczy i zastanawiając się, gdzie może schować trójnogi, co zamierzała uczynić natychmiast, gdy tylko mąż wyjdzie za próg. – Masz na to moje słowo. Zajrzysz do wszystkich składzików, kochanie, i znajdziesz w nich wyłącznie pościel. Tylko naszą pościel, pięknie uprasowaną i poskładaną.

Gubernator oblał się zimnym potem, kiedy pierwsza eksplozja przetoczyła się przez jego puste wnętrzności potężną, ohydną falą i ruszyła, nabierając prędkości, do ujścia. Łódź podwodna Bedforda Crimma IV uzbroiła torpedy i zatrzęsnęła kłapę zwieracza, a on sam popędził do najbliższej toalety.

ROZDZIAŁ 6

Raz na tydzień doktor Faux wsiadał na prom i jechał na Tangier Island, gdzie poświęcał swój czas i umiejętności ludziom, którzy nie mieli własnych lekarzy, dentyków ani weterynarzy. To było, jak zwykł powtarzać, jego życiowe powołanie: pomagać pokrzywdzonym przez los wyspiarzom i ich rodzinom, nieorientującym się w jego szczególnych metodach liczenia sobie za usługi i kreatywnej księgowości, dzięki którym systematycznie okradał wirginijski system opieki zdrowotnej. Doktor Faux był przekonany, że dentyści muszą uzupełniać swoje dochody kosztem państwa i szczerze wierzył, że poddawanie wyspiarzy niepotrzebnym, byle jakim lub zgoła niewłaściwym zabiegom stanowi zaledwie drobną rekompensatę za jego wielkie poświęcenie. Któż inny chciałby przyjeżdżać na to zadupie? Nikt, mówił każdemu swojemu pacjentowi, którego leczył, albo udawał, że leczy. Poprawił lampę i przesunął lusterko nad głębiej położone zęby Fonny'ego Boya.

– Niezbyt to dobrze wygląda – stwierdził, decydując, że ząb, który właśnie wypełnił, wymaga jednak leczenia kanałowego. – Przecież ci tyle razy mówiłem, żebyś odstawił słodkie napoje gazowane. Ile puszek dziennie wypijasz? Mów prawdę.

Fonny Boy podniósł pięć palców, gdy tymczasem doktor Faux przyglądał się przez okno grupie kobiet i dzieci usiłujących zmyć tajemniczy pas białej farby, wymalowany na jezdni.

– O wiele za dużo – pouczył surowo Fonny'ego, wysokiego, chudego

czternastolatka o rozjaśnionych słońcem włosach. Chłopak zyskał swoje przezwisko z powodu śmiesznego zamiłowania do brodzenia w płytkiej wodzie, czyli chodzenia w wodzie przy brzegu z kijem albo siatką w poszukiwaniu nie krabów, ale skarbów. – Najwyraźniej masz znacznie słabsze zęby niż większość ludzi – wygłosił opinię, którą powtarzał wszystkim pacjentom na wyspie. – Moim zdaniem powinieneś się przerzucić na napoje niskocukrowe albo jeszcze lepiej, ograniczyć się do picia wody.

Fonny Boy spędził całe swoje życie nad wodą albo w wodzie i picie jej byłoby dla niego tym, czym dla rolnika jedzenie ziemi.

– Nie ma mowy – wybełkotał, a znieczulenie sprawiało, że wargi i język wydawały mu się dziesięć razy większe niż normalnie. – Alem spuchł, chyba się zara uduszę!

– A woda mineralna? Niektóre są całkiem niezłe, mają różne smaki i też musują. – Doktor Faux wciąż wyglądał przez okno. – Dlaczego ten samolot zwiadowczy wciąż krąży nad nami? Co to za policjant z wiaderkiem farby i butelką wody Evian? Dlaczego jest taki mokry i czemu wszyscy go gonią? No nic, skoro cię znieczuliłem, to jeszcze ci poprawię aparat korekcyjny.

Doktor Faux zapisał kilka cyfr i skrótów na ostatniej z licznych kart dentystycznych Fonny'ego Boya.

– Nie! – zaprotestował Fonny Boy. – Boli mnie od tego w ustach. Aparat jest w porządku, poza tymi uszczelkami z gumy, które zawsze mi wylatują nie wiadomo czemu.

Fonny Boy od pierwszej chwili nie chciał aparatu. Nie był też szczęśliwy, kiedy na początku bieżącego roku dentysta uparł się wyrwać mu cztery najzupełniej zdrowe zęby. Fonny Boy nie znosił chodzić do dentysty i często powtarzał rodzicom, że doktor Faux jest korsarzem, którego to słowa na Tangierze używano jako określenia pirata.

– Pokazał mi zdjęcie swojego samochodu – powiedział im nie dalej jak wczoraj. – To wielki czarny merc, a jego pani ma taki sam model, tylko innego koloru. Jak to możliwe, żeby ich było stać na takie drogie wozy, skoro

nie bierze od nas żadnych pieniędzy?

To było dobre pytanie, ale jak zwykle, nikt nie wziął słów Fonny'ego Boya poważnie, a działo się tak po części ze względu na jego przezwisko. Sąsiedzi i nauczyciele uważali go za zabawnego chłopca i uwielbiali opowiadać sobie historyjki o tym, jak grzebie w kupach śmieci na brzegu, szukając skarbu, oraz o jego nieodpartym zamiłowaniu do muzykowania.

– A niech mnie! – Usłyszał po ostatnim niedzielnym spotkaniu modlitewnym słowa swojej ciotki Ginny Crockett. – Wydaje mu się, że grzebiąc na brzegu, natrafi na baryłkę srebrnych dolarów. Ha! Matka stale się na niego wydziera i, niestety, biedaczka ma rację. Stara się jak może, a ja bym jeszcze wolała, żeby przestał się ciągle zabawiać tą drumlą.

– Ano! Stale ją ze sobą nosi i nie ma co, całkiem sobie nieźle radzi. – Przyjaciółka Ginny powiedziała coś zupełnie przeciwnego własnym poglądom, gdyż wszyscy byli przekonani, że kiedy Fonny Boy gra na drumli, co robił prawie bez przerwy, czyni przede wszystkim nieznośny hałas.

– Ojciec powinien dać mu dobre wciry, a tymczasem on nic tylko się przechwala swoim synalkiem – odparła Ginny, mówiąc tym razem dokładnie to, co myślała, bo ogólnie wiadomo było, że ojciec uważa Fonny'ego Boya za najwspanialszego chłopaka na wyspie.

– Aparat zdejmemy już całkiem niedługo – powiedział doktor Faux, nakładając nową parę rękawiczek chirurgicznych, za które policzy sobie trzy razy więcej, niż należało. – Powinno się nałożyć ci korony na osiem przednich zębów. Masz może dziś ochotę oddać trochę krwi? – spytał, bo jakiś czas temu odkrył, że może sobie nieźle dorobić, sprzedając krew naukowcom podejrzanego autoramentu, zajmującym się badaniami genetycznymi zamkniętych populacji.

– Nie! – Fonny Boy drgnął i zacisnął dłonie na poręczach fotela tak mocno, że pobiegały mu kostki.

– Nic się nie martw, chłopcze. Użyję szlachetnych stopów i zyskasz przepiękny uśmiech!

W tej samej chwili w głębi przychodni zadzwonił staromodny, czarny telefon. Pochodził z czasów, kiedy przewody izolowano tkaniną i jak zwykle w słuchawce rozległy się szумы.

– Klinika – powiedział doktor Faux.

– Muszem porozmawiać z Fonnym Boyem – odezwał się pośród szumów i trzasków męski głos. – Jest on tu?

– To pan, Hurricane? – zapytał dentysta ojca Fonny'ego Boya. Przezywano go Huraganem z racji wybuchowego temperamentu. – Powinien pan przyjść na badania kontrolne, czyszczenie i pobranie krwi.

– Dawaj pan chłopaka albo zara mnie szlag trafi!

– Do ciebie – zwrócił się doktor Faux do pacjenta.

Fonny Boy wstał i sięgnął po słuchawkę, zabijając po drodze ospałą muchę. – Taa?

– Słuchaj no! Masz zara zamknąć drzwi! – zażądał ojciec. – Nie wypuszczaj dentysty! Od czasu do czasu trzeba się twardo postawić, mój chłopcze. Tak samo, jak niejedną raz przedtem. Bardzo cię zmasakrował?

– Taa! Nic mi nie zrobił, tato! – powiedział Fonny Boy, mówiąc na odwrót i, oczywiście, mając na myśli coś przeciwnego, czyli że dentysta zamierza znęcać się nad jego jamą ustną.

– Nie trać serca – odparł ojciec, zachęcając w ten sposób chłopca, żeby nie popadał w przygnębienie i zrobił, co mu polecono. – Damy mu nauczkę, a dodatkowo pokażemy policji, gdzie raki zimują. Krew nie woda, mój mały. A teraz rób, co powiedziałem; zara tu będziemy.

– O mój ty świecie! – wykrzyknął Fonny Boy. Skoczył do drzwi, chwycił wiszący za przedstawiającym Chrystusa jako pasterza obrazem klucz i przekręcił go w zamku.

Nie bardzo wiedział, dlaczego ma uwięzić doktora Faux w przychodni, ale obrzydły dentysta na pewno na to zasługiwał, a w dodatku wreszcie coś zaczynało się dziać. Tangier był bardzo nudnym miejscem dla młodzieży, a Fonny Boy marzył tylko o tym, żeby zdobyć fortunę i wyjechać stąd na

zawsze. Wyrzął przez okno i zobaczył tłum rybaków, maszerujących w wojskowym szeregu. Niektórzy uzbrojeni byli w drewniane wiosła i szczypcy do ostryg.

– Siadaj pan i nie waż się pan ruszać z fotela! – polecił Fonny Boy lekarzowi.

– Muszę ci wyjąć ligninę z ust – przypomniał mu doktor Faux. – To ty siadaj, a jak skończymy, zamienimy się, jeśli chcesz. – Dentysta uznał, że dawka lidokainy, którą podał swojemu pacjentowi, wywołała u niego przejściowe zaburzenia emocjonalne.

Nawet najbardziej doświadczony specjalista nie może mieć absolutnej pewności, jak podziała dany lek na pacjentów, a doktor Faux zawsze pytał, czy dana osoba ma alergię albo źle reaguje na jakieś substancje. Jednak mało kto z wyspiarzy doświadczył działania środków uspokajających, czy nawet najłagodniejszego znieczulenia lub substancji zmieniających nastrój, poza zakazaniem skądinąd alkoholem, w związku z czym doskonale nadawali się do testowania reakcji na różne dziwne środki, na które najrozmaitsze firmy chciały uzyskać certyfikat Urzędu do spraw Żywności i Leków, i które chętnie oferowały do wypróbowania doktorowi Faux. Dentysta wsadził do ust chłopaka osłonięte gumowymi rękawiczkami palce w poszukiwaniu ligniny.

– Znowu połknąłeś? – zaniepokoił się.

– Ano.

– Trudno, najwyżej przez kilka dni będziesz miał lekkie zatwardzenie. Dlaczego zamknąłeś drzwi i co zrobiłeś z kluczem?

Fonny Boy obmacał kieszenie, żeby się upewnić, że ma klucz. Ale go nie znalazł. Gdzie go schowałem?, pomyślał, rozglądając się po gabinecie. Z ulicy dobiegały tupot nóg i gniewne głosy. Zdesperowany Fonny Boy uderzył dentystę w nos, nie za silnie, ale wystarczająco mocno, żeby poleciała krew.

– Au! – jęknął doktor Faux ze zdumieniem i bólem. – Co to ma znaczyć?

– zapytał, podczas gdy stojący na zewnątrz rybacy wołali do chłopca, żeby otworzył drzwi.

– Nie mogę! – odkrzyknął. – Nie mam klucza! Nie pamiętam, gdzie go schowałem!

– Dlaczego mnie uderzyłeś? – Zaskoczony i poirytowany doktor Faux wycierał sobie nos chusteczką higieniczną.

Fonny Boy sam dobrze nie wiedział, ale z jakiegoś powodu wydawało mu się, że powinien zastosować przemoc. Podobało mu się też, że rybacy zobaczą, iż użył siły, by poskromić dentystę. Ojciec na pewno będzie zadowolony. Jedyne, co niepokoiło chłopaka, to to, że zupełnie nie przypominał sobie, co się stało z kluczem. Za drzwiami słychać było narastający hałas.

– He-ej! Musicie wyważyć drzwi! – krzyknął do zirytowanego tłumu.

Rybacy posłuchali go i wpadli do środka, wymachując wiosłami i szczypcami na homary.

– Precz z Wirginią! Precz z Wirginią! – wołali. – Nie wrócisz na stały ląd, doktorze! Jesteś naszym jeńcem!

– Damy ci popalić!

– Właśnie! Racja!

– Heej tam, doktorze Faux! Jak się pan czuje na tym fotelu?

– Przyłóżcie mu!

– Ja mu przyłożyłem! – zawołał Fonny Boy z dumą. – Dałem mu w kluchę, aż się nogami nakrył! – pochwalił się.

– Powyrywamy mu zęby! Niech ma za wszystkie, które nam wyrwał!

– Zróbmy z niego przynętę dla krabów! Zwiążmy go i rzućmy do morza!

– No nie, dajcie spokój, tak nie można!

– Jak to nie, wiedział, co robi! Nie?

– Zaraz, zaraz, chwileczkę! – zaprotestował doktor Faux na tyle głośno, żeby skłonić napastników do zamilknięcia na chwilę, podczas gdy on sam kulił się w fotelu i masował sobie nos. – Bardzo dobrze was słyszę! I z tego,

co mówicie, widzę, że najpierw wściekliście się na stan Wirginia, a teraz przerzucacie się na mnie! Wybierzcie jeden obiekt!

– Jesteśmy wkurzeni na wszystko, co przychodzi z lądu – oświadczył któryś z rybaków. – Każdy jeden chce nas wykorzystać.

– Cóż, jeżeli postanowiliście mnie uwięzić... – doktor Faux myślał gorączkowo, jak się wykręcić – to wasz plan okaże się skuteczny tylko wtedy, gdy powiadomicie gubernatora. W przeciwnym wypadku nikt nie będzie wiedział, że tutaj jestem, więc po co mnie zamykać? A co do waszych niesprawiedliwych i niewdzięcznych oskarżeń na temat moich usług dentystycznych, to muszę stwierdzić, że przyjeżdżałem tu przez wiele lat z dobroci serca, a beze mnie nie mielibyście w ogóle żadnego dentysty.

– I tak lepiej niż mieć tu ciebie.

– Moja żona straciła przez ciebie wszystkie zęby. A mnie, kiedy się robi chłodniej, boli ząb, który mi leczyłeś!

– No, może powinniśmy się jeszcze zastanowić. – Jeden z rybaków zawahał się i oparł wiosło o ścianę. – Nie chcemy sobie narobić kłopotów.

– Właśnie – zgodził się doktor Faux. – Wy teraz dokonujecie przeniesienia. Jesteście wściekli na gubernatora i wcale się wam nie dziwię. To jasne, że urzędnicy gnębią was i prześladują, jak zresztą zawsze. Nie bardzo wiem, czemu mają służyć te pasy na jezdniach, ale na pewno nie wymalowano ich dla waszego dobra.

– A pewnie, pewnie, nic nam po tym!

– Nie słuchajcie jego gadania! – włączył się Fonny Boy. – On jest z lądu i jak to się stało, że się u nas pojawił razem z policjantami? To szpieg, ot co!

– A niech mnie! Skąd ci przyszło do głowy, że on może tutaj szpiegować, synu? – zapytał jego ojciec z rosnącym gniewem.

– Wtyka nos w to, co mamy w pułapkach na kraby i niewodach, a potem klepie łgarstwa o samcach, samicach i małżach. Niedługo wymyślą prawo, że nie wolno nam wchodzić do wody – odparł Fonny Boy, chociaż nie miał na to żadnych dowodów.

– I sam ci to powiedział? – zapytał ojciec chłopaka, wskazując dentystę.

– Ano. Niech w domu nie nocuję!

– A jakimi dokładnie słowami?

Fonny Boy wzruszył ramionami, bo nie miał pomysłu na odpowiedź, ale czuł, że jego bajeczka chwyciła.

– Lepiej nie ryzykujemy – odezwał się któryś z rybaków. – No.

– Jasne. Racja.

– Poobcinali limity połowów kraba do ostatnich granic, niedługo zacznie się pora na dragowanie małż i co, jak każą nam i z tym skończyć? Zostaniemy bez grosza!

– Tak być nie może!

– Właśnie. Nie może!

– A może pozwólmy mu do nich zatelefonować i niech im powie, co myślimy? – rzucił gniewnie ojciec Fonny’ego Boya.

– Do kogo miałyby dzwonić?

– Ano niech gada z policją stanową, ot co. To oni wymalowali tę tutaj linię. Może dentysta szpieguje dla policji z rozkazu gubernatora.

Podsunięto doktorowi Faux stary, czarny aparat i po konsultacji z centralą telefoniczną, a następnie kolejnych przełączeniach, dotarł do komendanta Judy Hammer, modląc się, żeby nie zechciała sprawdzić jego kartoteki.

– Kto mówi? – spytała, słysząc w tle szmer gniewnych głosów.

– Jestem dentystą ze stałego lądu – odezwał się jakiś nieznany jej mężczyzna. – Leczę mieszkańców Tangier Island i mam teraz trochę kłopotów, bo pani podwładny wymalował pasy na Janders Road, a gubernator przejmuje wyspę, żeby zamienić ją na tor wyścigów samochodowych.

– O czym pan mówi, na litość boską? – spytała Judy i niewiele brakowało, a odłożyłaby słuchawkę, gdyż pomyślała, że to jakiś wariat, ale w końcu uznała, że może go lepiej wysłuchać. – Te pasy to punkty kontroli prędkości i część nowego programu WASKAR autorstwa gubernatora.

– Jeśli natychmiast nie usuniecie tych pasów i nie podpiszecie umowy, zakazującej policji, straży przybrzeżnej i wszystkim innym niepokojenia wyspiarzy, będą mnie tu trzymać wbrew mojej woli!

– Kto mówi? – spytała Judy, robiąc notatki.

– Nie pozwalają mi podać nazwiska – odparł głos.

– Precz z Wirginią! – zawołał ktoś o dziwnym akcencie.

– Nikt z nas nie wybierał tego gubernatora!

– Nic złego nie robimy, harujemy na morzu, i na co nam przyszło? Malują nam pasy, a on, ten dentysta, wyrywa nam wszystkie zęby!

– Nieprawda – zaprotestował Faux, zasłaniając dłonią słuchawkę, lecz i tak zarówno Judy Hammer, jak i wszyscy inni to usłyszeli.

– W porządku – odparła stanowczo komendantka – to co mamy dokładnie zrobić? Nie bardzo rozumiem.

Na to pytanie w słuchawce zapadła cisza.

– Halo?

– Niech się do nas przestaną wtrącać! – usłyszała, jak ktoś mówi. – Powiedz jej, żeby przekazała gubernatorowi, że zanim się zaczął mieszać, żyliśmy sobie w spokoju i że domagamy się niezależności od Wirginii!

– Właśnie!

– Racja! Niech tu się nie włączą poborcy podatków i policjanci! Chcemy być niezależni!

– Dość tych podatków! Nie dostaną ani centa! – I niech nam nie ograniczają połowów!

– Jasne!

– Sama ich pani słyszy – odezwał się dentysta do Hammer. – Domagają się likwidacji ograniczeń połowów i podatków stanowych oraz nie – mieszania się policji. Tangier Island chce się oddzielić od stanu Wirginia – dodał, zniżając konspiracyjnie głos... – okup za moje uwolnienie wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów w nieoznaczonych banknotach, które macie dostarczyć przesyłką przyśpieszoną do skrzynki pocztowej numer trzysta

szesnastu w Reedville. Proszę natychmiast spełnić te żądania. Trzymają mnie w przychodni dentystycznej, pobili mnie do krwi i moje życie jest zagrożone!

Zanim komendant Hammer zdążyła zareagować na wypowiedź, którą uznała za idiotyzm i prymitywną próbę wyłudzenia, odłożono słuchawkę. Spróbowała zatelefonować do Andy'ego, ale bez efektu, więc zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej.

– Twój tekst o mumiach wywołał poważne problemy – dodała na zakończenie... – chociaż nie sądzę, żeby ktokolwiek na wyspie go czytał. Ale niewątpliwie z jego powodu ludzie uznali, że stan Wirginia prześladowuje Tangier Island, więc lepiej coś z tym zrób, Andy. I zadzwoń do mnie.

Brazil odebrał tę wiadomość dopiero późnym wieczorem, bo kiedy przylecieli z Macovichem do Richmondu, natychmiast podjął sekretną misję, która wymagała przebrania i cywilnego helikoptera. Resztę dnia spędził, zbierając informacje na Tangier Island, a gdy wreszcie wrócił do domu, zbliżała się północ. Odsłuchiwał wiadomość i oddzwonił do Judy, budząc ją.

– Wielki Boże – powiedział. – Nie miałem pojęcia! Gdybym tylko wiedział!

– Gdzieżeś się, do diabła, podziewał? – odezwała się zaspanym głosem szefowa.

– Nie mogę pani powiedzieć – odparł Andy. – Nie teraz. Wiem, że to może się wydać niegrzeczne i nieuczciwe, ale przeprowadzałem badania i analizowałem pewną sprawę, na którą teraz nie mamy czasu. Wystarczy, że powiem, że kiedy planowałem moje felietony na stronę internetową, nie brałem pod uwagę ani Tangier Island, ani oszustw tego dentysty, więc teraz musiałem dowiedzieć się wszystkiego na temat wyspiarzy i muszę zaraz kończyć i brać się do pisania...

– Andy! – Judy oprzytomniała i wpadła w gniew. – Nie możesz mieć przede mną tajemnic! Gdzie byłeś przez cały dzień? Słyszałeś wiadomości? Chyba nie – dodała spokojnie. – Na Belle Island znaleziono bestialsko

zamordowaną kobietę, a zbrodniarz wyciął twój pseudonim na jej ciele!

– Mój pseudonim? Cholera, jak to?

– No, Tropiciel Prawdy.

– Ktoś to wyciął na zwłokach? Po co...? Jak...?

– Nie wiem, po co ani jak, ani w ogóle nic. Ale wydaje mi się, że powinieneś natychmiast darować sobie te bzdury z pisaniem i wrócić do normalnych obowiązków policjanta, zanim wyrządzisz więcej szkód.

– Nie może mnie pani obwiniać o to, co sobie uroił jakiś zbrodniarz! Bardzo mi przykro z powodu tej kobiety, nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią i zrobię wszystko, żeby pomóc w śledztwie. Przecież się umówiliśmy i pani wyraziła zgodę – przypomniał. – I proszę nie zapominać, co powiedziałem rok temu, kiedy analizowaliśmy tę kwestię. Jeśli mówi się prawdę, nie podoba się to siłom zła i mogą się wydarzyć brzydkie rzeczy. Jednak w końcu prawda zwycięży.

– Na litość boską! – burknęła niecierpliwie pani Hammer. – Daruj sobie tę naiwną filozofię!

– To niesprawiedliwe – odparł Andy z urazą i rozczarowaniem, ale wcale nie zamierzał rezygnować. – Niech pani przeczyta jutro rano Tropiciele Prawdy, a potem porozmawiamy.

KRÓTKA HISTORIA TANGIER ISLAND

Tropiciel Prawdy

Chociaż w chwili obecnej mieszkańcom wyspy wcale się to nie podoba, Tangier Island stanowi część stanu Wirginia od roku 1608, kiedy John Smith wraz z siedmioma żołnierzami, sześcioma szlachcicami i doktorem sztuk medycznych penetrował Chesapeake Bay na trzytonowej barce.

Szukając miejsc dogodnych do wylądowania i budowy osiedla, znaleźli się wśród licznych wysp, którym nadali nazwę Russell Isles. Kiedy przedostali się na wschodni brzeg, natknęli się na dwóch krzepkich, ponurych

tubylców, albo Dzikich, jak nazywał ich Smith, uzbrojonych w długie kije z kościanymi główkami.

– Kim jesteście i z czym przybywacie? – zapytali śmiało Dzicy, używając języka Powhatan, albowiem tego właśnie narzecza używał naczelny wódz plemienia Powhatan, ojciec Pocahontas.

Smith odpowiedział im w tym samym języku, budząc wielki szacunek tubylców, a ja muszę uczynić tu dygresję na temat roli komunikacji językowej, co bez wątpienia jest kwestią bardzo na czasie, ze względu na to, co wydarzyło się wczoraj na tej samej wyspie (Tangier), którą odkrył był John Smith. Żaden rząd, także rząd Wirginii nie powinien tworzyć praw ani podejmować inicjatyw dotyczących ludzi, którzy mówią przeciwieństwami. Jeśli mieszkaniec wyspy powie, na przykład, „Jakie to ładne” albo „Wcale nie pada”, to może mieć na myśli coś wręcz odwrotnego, zależnie od intonacji, co wyjaśnia Tangierczyk z pochodzenia, David L. Shores, w swojej książce „Tangier Island: Miejsce. Ludzie. Język”.

W dawnych czasach, jeśli wyspiarz miał na myśli coś odwrotnego, niż mówił, to dodawał „na lewo”, co oznaczało, że mówi na wspak. Powiedziałby. – Wcale nie pada, na lewo”, co oznaczało, że leje jak sto diabłów. Ale nie w czasach dzisiejszych. Jedynie ludzie doskonale znający sposób mówienia wyspiarzy i ich mimikę potrafią wykryć, co któryś z nich może myśleć, mówiąc, na przykład: „nie mam ochoty wypłynąć” albo „ale kiepska ostryga”.

– Domyślam się, że chcesz przez to powiedzieć – oświadczyła moja najbliższa przyjaciółka, którą od tej chwili będę nazywać moją mądrą powiernicą – że jeśli, usłyszawszy o systemie kontroli prędkości WASKAR, wyspiarz powie „świetny pomysł”, to prawdopodobnie uważa pomysł za idiotyczny i w dodatku jest nim poważnie wkurzony. Biorąc pod uwagę to, co mi opowiadałeś, Ginny Crockett musiała być bardzo poirytowana, kiedy rozmawiała z policją na wspak, mam rację?

– Dokładnie – przyznałem. – Postanawiając cokolwiek w sprawach

wyspy, gubernator powinien mieć pełną świadomość istoty mówienia na wspak. Ja zaś obawiam się poważnie, że przedstawiciele administracji stanowej potrafią doskonale myśleć przeciwieństwami, jednak nie mają pojęcia o mówieniu na odwrót. No i właśnie udało się im wykonać kawał dobrej roboty.

– A ty powiedziałeś „kawał dobrej roboty” z taką wymuszoną intonacją, przesadnie wysokim tonem, w dodatku poruszając głową na bok i unosząc brwi. Czy to znaczy, że miałeś na myśli coś zupełnie przeciwnego?

– Aha. Chciałem sprawdzić, czy załapiesz – odrzekłem. – Nie chodzi o to, co się mówi, tylko jak.

– Ciekawe, czy John Smith nie miał podobnych problemów w kontaktach z Dzikimi – zastanawiała się moja mądra powiernica. – Może Dzicy też mówili na wspak.

– Założę się, że to, jak mówili, było niejednokrotnie znacznie ważniejsze, niż to, co powiedzieli – odparłem.

Po przyjacielskim spotkaniu z Dzikimi Smith podniósł żagle i badał liczne ujścia rzeczek i cieśniny, a także linię brzegową, aż tu nagle „jak nie zawiało i wnet rozszalała się straszliwa burza. Z trudem wielkim udało się nam schronić przed nawałnicą”, pisał. Ledwo zdoławszy ujść z życiem, wylądowali na jednej z wielu wysp, które Smith nazwał Russell Isles.

Gdy wyruszyli znowu, przysła kolejna burza, która zmiotła maszt i żagle za burtę i prawie ich zatopiła. Przez dwa dni przeczekiwali niesprzyjającą pogodę, szukając wody pitnej na niegościnniej wysepce, którą Smith ochrzcił Limbo Island.*[* Limbo (ang.) – stan zawieszenia[.

W końcu naprawili żagle, łatając je materiałem ze swoich koszul i ruszyli z powrotem do Jamestown.

Większość uczonych sądzi, że Tangier jest jedną z Russell Isles. Ale przejrzawszy kilka starych i jedną współczesną mapę lotniczą, zadałem sobie pytanie: Czy to możliwe, żeby Tangier była właśnie ową Limbo, i czy to nie wyjaśnia, dlaczego wyspiarze mają skłonność do mówienia tego, czego nie

myślą? Nie przypuszczam, żeby historycy mogli całkowicie wykluczyć tę hipotezę, tak samo zresztą, jak ja nie jestem w stanie wesprzeć jej innymi argumentami. Jeśli jednak spojrzycie na waszyngtońską mapę lotniczą, przekonacie się, że wyspy Tangier i Limbo znajdują się zaledwie o kilka minut lotu od siebie.

Aby to dokładniej zbadać, postanowiłem przelecieć helikopterem do Jamestown i zanotować dokładne współrzędne przypuszczalnej podróży Smitha z Jamestown na Tangier, a potem powrotu do Jamestown i podróży na Limbo. Poniżej znajdziecie dane, jakie pokazał mój system GPS dla Jamestown, Tangier i Limbo, zapisane, kiedy znajdowałem się nad każdą z tych wysp. Kiedy obejrzyjecie mapę, wyjaśnię wam ich znaczenie:

Wyspa Jamestown Wyspa Tangier. Wyspa Limbo, szerokość geograficzna $37^{\circ} 12.4737^{\circ} 49.5137^{\circ} 55.75$, długość geograficzna $76^{\circ} 46.66 75^{\circ} 59.87 76^{\circ} 01.58$

Widać wyraźnie, że Tangier i Limbo są położone stosunkowo blisko siebie. Tak więc, czytelniku, zgodnie z moją hipotezą, czy płynąc odkrytą barką podczas szalejącej ulewy, burzy, błyskawic, przy widoczności bliskiej zeru, Smith mógł z jakąkolwiek pewnością utrzymywać, że schronił się na Tangier Island, gdy w gruncie rzeczy znalazł się na Limbo? Jestem gotów przyznać z dużą pewnością, że gdybym leciał w podobnych okolicznościach, zakropiwszy się przy tym nieco mocną whisky, to mógłbym równie dobrze wylądować na Limbo.

Nigdy się już zapewne nie dowiemy, czy Tangier to tak naprawdę Limbo. Wątpię też, czy gdyby nawet Smith odwiedził Tangier w dzisiejszych czasach, to poczułby się tak jak na Limbo.

Jeśli Tangier jest rzeczywiście Limbo, to żałuję, że nazwa ta się nie przyjęła. Limbo Island mogłaby stanowić atrakcyjne miejsce dla turystów, którzy chętnie znajdują się nie wiadomo gdzie i mogą przez jakiś czas nie robić nic zgoła. Nie sądzę też, żeby gubernator Wirginii zechciał się w takim wypadku fatygować tworzeniem punktów kontroli prędkości na ulicach

wyspy o nazwie Limbo, a jej mieszkańcom byłoby i tak wszystko jedno.
Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 7

Andy oceniał zniecierpliwienie komendant Judy Hammer po tempie, w jakim jej palce wybijały rytm na biurku. W tej chwili było to głośne staccato wystukiwane na bibule, on zaś opisywał Tangier Island oraz prezentował koncepcję, zgodnie z którą bunt wynikał z przeszłości Tangierczyków, gdyż nie miał jeszcze pojęcia o tym, iż jego komentarze na temat nieuczciwości dentysty podjudziły wyspiarzy nie mniej niż namalowane pasy, mające służyć do kontroli prędkości.

– Większość z tych ludzi z pewnością nic nie wie o swoich korzeniach i nigdy nie słyszała o Johnie Smisie – zaproponowała Judy zza biurka, skąd miała piękny widok na okrągły podjazd przed komendą policji oraz wysokie słupy z trzepoczącymi flagami.

– Wcale nie musi być aż tak źle, a poza tym chciałbym przedstawić pani tło sprawy – odparł Andy, pocąc się w mundurze i lękając się, co powie szefowa na temat najnowszego felietonu Tropiciela Prawdy. – Chodzi mi o to, że wyspiarze są zaprogramowani, żeby sądzić, iż obcy to korsarze, którzy chcą ukraść im wyspę i wszystko, co się na niej znajduje... bardzo podobnie czuli się Indianie północnoamerykańscy, kiedy Anglicy wylądowali w Jamestown i zaczęli tam budować fort.

– Korsarze? – Komendant Hammer zmarszczyła brwi.

– Wyspiarze tak mówią na piratów.

– O Boże-jęknęła.

Do gabinetu wpłynęła zniecka Windy Brees z wyrazem podniecenia na

wymalowanej twarzy, ściskając paczkę z nadrukiem firmy kurierskiej w dłoni o jaskrawoczerwonych paznokciach.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Windy. – Nigdy nie zgadniecie, co się porobiło!

Judy nie lubiła, kiedy sekretarka kazała jej coś zgadywać.

– Więc lepiej powiedz nam od razu – zaproponowała z lekkim zniecierpliwieniem.

– Mamy takie kłopoty, że lepszy rydz niż nic! – obwieściła Windy bez tchu. – Zaginął dentysta, który leczy tych Tangierczyków! Pojechał wczoraj na wyspę, a jego żona zgłosiła na policję w Reedville, że nie wrócił promem, a kiedy zadzwoniono do przychodni, jakiś dziwny chłopak powiedział, że dentysta będzie trzymany jako zakładnik, dopóki gubernator nie uczyni wyspy niezależnym stanem. Albo coś w tym rodzaju.

– Tak, wiem już o tej sprawie. Wygląda na to, że wyspiarze trzymają go w przychodni – powiedziała pani Hammer.

– W przychodni? – zapytał Andy, czując, że przechodzi go zimny dreszcz.

– Tak mi powiedział dentysta, kiedy go zmusili, żeby do mnie zadzwonił – wyjaśniła. – Ale nie wiem, jak ma na nazwisko. Oświadczył, że zabronili mu je podawać.

– Szerman Foks – poinformowała ją Windy. – Tylko jakoś dziwnie to się pisze. – Zerknęła do notatnika. – F-A-U-X.

– Fo – poprawił ją Andy.

– Co, fo? – zdziwiła się Windy.

– Wszystko jedno – przerwała im Judy. – Andy, widziałeś może tego dentystę, kiedy malowałeś pasy na wyspie?

– Nie – odrzekł, nie wspominając o tym, że kiedy wrócił później na wyspę w przebraniu, również go nie spostrzegł, chociaż prawdopodobnie znajdował się od niego o jakieś dwadzieścia kroków, bo jednym z miejsc, które odwiedził, była właśnie przychodnia.

Musi powiedzieć pani Hammer o swojej tajnej misji, ale uznał, że lepiej to

uczynić, kiedy szefowa będzie w lepszym nastroju.

– Duża grupa rybaków maszerowała Janders Road – dodał. – Wcale się im nie dziwię, bo wyspiarze od dawien dawna żyli w izolacji i otoczeni pogardą reszty stanu. Chociaż podziwiam Thomasa Jeffersona, nie pochwalam, że podczas wojny secesyjnej polecił zabrać wszystkie łodzie z wyspy i odciąć dostawy. Powiedział wtedy swoim ludziom, żeby traktowali Tangier jako wrogi kraj, jakby wyspa nie stanowiła części stanu, którym sam rządził...

– Cóż, obawiam się, że obecnie pan Jefferson nie będzie mógł nam doradzać! – ukróciła go Hammer, wstając z fotela.

– Może i lepiej, po tym, jak wtedy potraktował wyspę – stwierdził Andy, który ledwo zdołał uciec, kiedy wyspiarze gonili go od Janders Road, przez kilka mostków dla pieszych, spore moczary, aż do niewielkiego pasa startowego, gdzie czekał funkcjonariusz Macovich w helikopterze, Bogu dzięki, z włączonym silnikiem.

– Musimy tutaj wrócić – powiedział Brazil przerażonemu policjantowi, gdy wskoczył do środka i wystartowali.

– Chyba zwariowałeś! – Głos Macovicha w słuchawkach ogłuszył Andy'ego. – Mowy nie ma! Ci durnie czymś w nas rzucają! Tylko tego brakuje, żeby trafili w śmigło!

Na szczęście Bell 407 to mocna maszyna i wkrótce znaleźli się poza Zasięgiem pocisków.

– No, ale ja jeszcze nie skończyłem – próbował wyjaśniać Andy, patrząc, jak rozwścieczony tłum maleje do wielkości mrówek.

– Nie skończyłeś malować pasów? Kurwa. To kiepsko – stwierdził Macovich. – Bo ja tu nie wracam, chyba żeby kupić kraby dla szefa. Ty też lepiej coś kup, bo możesz skończyć jako przynęta.

– Proszę bardzo – zapewnił go Brazil. – Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z poważnymi oszustwami w kwestii opieki dentystycznej i sam się tym zajmę.

Andy nie skończył jako przynęta na kraby ani też nie był na tyle głupi,

żeby wracać na wyspę helikopterem z wyraźnymi napisami POLICJA STANOWA. Miał na tyle rozumu, by namówić kumpla, zatrudnionego w miejscowej firmie czarterowej, żeby pożyczył mu nieoznakowanego long ramera...

– Andy! – Judy Hammer przestała krążyć po gabinecie i spojrzała na niego oskarżycielsko. – Słuchasz nas, czy znowu już się gdzieś oddaliłeś bez pozwolenia?

– Przepraszam. Właśnie myślałem o wyspiarzach i o tym, jak ich prawdziwe uczucia wychodzą na jaw, kiedy nie kupujemy od nich owoców morza albo pamiątek. Rzucali kamieniami w helikopter, gdy odlatywaliśmy.

– To okropne! – odezwała się z nieznośną emfazą Windy. – Mogli was zabić. W końcu rzucać kamieniami to coś znacznie poważniejszego niż kośćmi, prawda? – Trochę żałowała, że Andy nie jest starszy i nie zechce się z nią kiedyś umówić. – Za nic nie pojechałabym na wyspę, gdzie rzucają kamieniami i mówią na odwrót.

– Widzę, że czytałaś dzisiejszego Tropiciele Prawdy – zauważyła kwaśno Judy Hammer, a Andy udawał, że o niczym nie wie.

– Nie opuściłabym jego felietonu za wszystko, co złote świata – powiedziała z uczuciem Windy. – Jaka to szkoda, że nie umieścił swojego zdjęcia na stronie internetowej. Umieram z ciekawości, jak on może wyglądać.

– Pewnie jak maniak komputerowy: chudy i w okularach. – Andy udawał, że jest zazdrosny o Tropiciele Prawdy. – A w ogóle to mam już dosyć słuchania o tym gościu. Można by pomyśleć, że to drugi Elvis.

– Ja wcale nie uważam, że to Elvis. Tak samo nie myślę już, że to gubernator. Gdyby gubernator był Tropicielem Prawdy, to nie krytykowałby gubernatora, bo w końcu krytykowałby sam siebie i...

– Co wiemy o tym uwięzionym dentyście? – przerwała jej pani Hammer, zaczynając znowu spacerować po eleganckim dywanie, wyściełającym podłogę gabinetu i żałując, że nie może zawiązać Windy języka na supeł.

– Urodził się w Reedville i jeździ stamtąd na Tangier Island już od ponad dziesięciu lat, chociaż niechętnie się do tego przyznaje. Ci z miejscowej policji mówili, że tak powiedziała jego żona – wyjaśniła Windy. – Bo nie podobałoby się to jego pacjentom z miasta, że większość swego doświadczenia zawodowego zdobył, lecząc Tangierczyków. Ale przynajmniej rozumie, co mówią, i potrafi myśleć jak oni.

– Skąd wiesz, co on rozumie albo myśli? – Judy Hammer nie miała ochoty wysłuchiwać nieuzasadnionych opinii, które bez przerwy wygłaszała jej sekretarka.

– Wie pani, co się mówi o dwóch kroplach deszczu – przypomniała jej Windy. – Na tej wyspie wszyscy myślą tak samo, więc on musiał się dostosować, jeśli chciał leczyć im zęby. Reedville poinformowało nas też, że doktor Fouxs nie ma stałego adresu: podaje tylko skrzynkę pocztową, a żona twierdzi, że nie może udostępnić jego żadnych fotografii, bo doktor podobno nie cierpi, jak ktoś mu robi zdjęcia. Co więcej – wyrzucała z siebie potok informacji – na jego prawie jazdy nie ma numeru ubezpieczenia społecznego ani nigdzie indziej, pod wszystkimi numerami telefonów odzywa się sekretarka automatyczna, a kiedy zabiera rodzinę na wakacje w jakieś egzotyczne miejsca, to nigdy nikomu nie mówi, dokąd jadą.

– Wygląda na to, że powinniśmy go trochę przeświecić – zasugerował Andy, jakby ta myśl przyszła mu do głowy właśnie teraz. – Wydaje mi się, że on coś ukrywa. Na jakim poziomie żyje? Ma pieniądze?

– Całe mnóstwo – odparła Windy. – Policjanci mówili o wielkim domu, kilku samochodach i prywatnych szkołach, do których posłał dzieci.

– Skąd oni wiedzą, jak wygląda jego dom, skoro nie mogli znaleźć jego adresu? – zapytał Andy.

– Och, Reedville to mała miejscina i wszyscy wiedzą, gdzie kto mieszka. W dodatku takie wielkie palazzo na samym brzegu tłucze po oczach.

– Uznałam, że to trochę podejrzane, kiedy mnie poinformował, że wyspiarze żądają pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce, które miały

zostać wysłane do skrytki pocztowej w Reedville. – Judy Hammer wciąż spacerowała po gabinecie. – Powiedział też, że domagają się, żeby znieść ograniczenia licencji na kraby.

W roztargnieniu sięgnęła po plik notatek służbowych, leżących na biurku i zaczęła je przeglądać, w nadziei, że gubernator odpowiedział na któryś z jej telefonów. Ale nie. Nie znalazła nawet jednej wiadomości wskazującej, iż próbował się z nią skontaktować, albo że w ogóle wie, iż szefowa policji od wielu miesięcy usiłuje się z nim porozumieć.

– No i pewnie chcą, żebyśmy zlikwidowali punkty kontroli prędkości oraz uniemożliwili zajęcie wyspy przez Nascar. Myślą, że zamierzamy zamienić Tangier w tor wyścigowy – poinformował ją Andy.

– Wiem. Ale skąd, u licha, coś podobnego im wpadło do głowy? – Podniosła głos. – Na wyspie w żaden sposób nie zmieściłoby się sto pięćdziesiąt tysięcy widzów. Nie starczyłoby miejsca dla samochodów ani też nie dałoby się ich łatwo przetransportować. To samo dotyczy kierowców i mechaników. Poza tym browary i firmy tytoniowe nie przysłałyby swoich samochodów dostawczych do miejsca, gdzie palenie papierosów i picie piwa uważa się za grzech. A Tangier wystaje niewiele ponad poziom morza, co znaczy, że tor byłby stale zalewany. Dlaczego, do cholery, powiedziałaś im, że Nascar się tam pojawi, Andy?

– Wcale nie. Wyjaśniałem im, o co chodzi w systemie WASKAR i nie mówiłem o Nascar, ale ta kobieta pomieszała nazwy, zresztą jak wiele innych osób.

– Cóż, jestem pewna, że zażądadają też likwidacji strefy ochronnej dla krabów. – Nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że gubernator jej unika. – Nie wybaczyli nam i nie wybaczą zakazu wstępu dla rybaków do znacznego obszaru zatoki Chesapeake. – Jedna część Judy Hammer mówiła dalej, a druga wściekała się coraz bardziej na gubernatora. Komendantka nie wątpiła, że gdyby była mężczyzną albo młodszą kobietą, gubernator wydzwaniałby do niej bez przerwy. – Musimy oddać im strefę ochronną albo

znieść sankcje, albo inaczej to rozwiązać w świetle prawa.

– Pani komendant? – włączyła się do dyskusji Windy jak nieprzyjemny przeciąg. – Próbowałam dodzwonić się do biura gubernatora, jak tylko dzisiaj przyszłam, ale on znowu jest na zebraniu i z nikim nie rozmawia.

– Bzdury – odparła Judy, przyglądając się niedużej, zawiniętej w szary papier paczce, którą trzymała Windy. – Czy to dla mnie i od kogo to jest?

– Tak. Nadawcą jest Major Trader. Mam otworzyć?

– Czy została prześwietlona? – spytała Judy.

– Oczywiście. Nigdy nie oceniam paczek na podstawie opakowania. – Windy zerwała papier. – Ach, popatrzcie! Domowej roboty czekoladki i kartka, na której pisze... – Wyjęła niedużą kartkę i przeczytała: „Najlepsze życzenia. Gubernator Crimm”.

– Dziwne – stwierdził Andy, wiedząc doskonale, że Crimm nigdy dotąd nie zwracał najmniejszej uwagi na szefową policji, a tym bardziej nie dawał jej prezentów. – Lepiej to wezmę.

– Po co? – spytała ze zdziwieniem komendant Hammer.

– Bo to jest podejrzane jak diabli i zamierzam się im dokładniej przyjrzeć – odparł Andy.

– Dziękuję, Windy – zdecydowała Judy – wystarczy na dziś. – Ruchem ręki poleciła sekretarce bez dalszych dyskusji opuścić gabinet. – Zadzwoń do biura gubernatora i sprawdź, czy może wreszcie zechce ze mną rozmawiać.

Windy, rozczarowana i nieszczęśliwa z powodu konieczności opuszczenia gabinetu, pomyślała, że to wielka szkoda, iż zaginął ten biedny piesek szefowej. Komendant Hammer od tego czasu stale była nie w sosie. Kiedy sekretarka wychodziła, Andy zrobił do niej oko, żeby trochę poprawić jej humor.

– Wyspiarzy nic nie obchodzi strefa ochronna – powiedział, chowając czekoladki do teczki. – Nie mają powodu, bo i tak nie łowią w tamtych okolicach.

Judy miała niewielkie pojęcie o połowach i rządzących nimi prawach.

Ochrona rybołówstwa nie wchodziła w zakres obowiązków policji stanowej, tylko straży przybrzeżnej, chyba że jakiś rybak popełnił poważne wykroczenie na drodze albo autostradzie, a właśnie tak należało określić marsze po Janders Road, porwanie dentysty i groźbę secesji. Pani Hammer usunęła z myśli złość na gubernatora.

– Wyjaśnij mi, o co chodzi z tą strefą ochronną – powiedziała, siadając za biurkiem. – I co powoduje, że wyspiarze nie cierpią Wirginii.

Andy opowiedział jej, że wrogość Tangier Island wobec władz stanu narosła znacznie od czasu, kiedy ostatnie zgromadzenie prawodawcze przegłosowało kilka uchwał, poważnie faworyzujących kraby, a nie rybaków, którzy je łapali. Ale rzeczywiście, populacja krabów zmniejszyła się wtedy drastycznie.

Rybak, który stanął w styczniu przed zgromadzeniem stanowym, przyznał, że liczba pułapek niezbędnych do złapania stu błękitnych krabów wzrosła z dziesięciu do pięćdziesięciu, wyjaśnił Andy. A w zeszłym roku połowy dorosłych krabów spadły poniżej trzydziestu milionów funtów i ta tendencja trwa nadal.

Ostre słowa takie jak „wyeksploatowanie do maksimum”, „przeinwestowanie” i „zbyt intensywne połowy” padły pod adresem Burena Stringle’a, szefa Stowarzyszenia Rybaków Tangier Island i jedyne go funkcjonariusza policji na wyspie. Organ prawodawczy obniżył limit pułapek na kraby, które rybacy mogli zastawiać na wodach stanu. Utworzono Komitet Doradczy do spraw Błękitnych Krabów, ten zaś dodatkowo zaostrzył ograniczenia, postanawiając, że wszystkie pułapki będą oznakowane, co ułatwi patrolom przeliczanie ich i ustalanie, kto oszukuje. Strefę ochronną rozszerzono do siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych wód o głębokości co najmniej dziesięciu metrów, czyli obszar rozciągający się od granicy stanu Maryland do zatoki Chesapeake w pobliżu Virginia Beach: to sprytne posunięcie umożliwiłoby dodatkowemu milionowi ciężarnych samic bezpieczne dotarcie do ikrzyska. Tymczasem strefa ochronna na nic się nie

przydaje – podsumował Andy. – Część zatoki, w której się ona znajduje, to głęboki rów, gdzie i tak trzeba byłoby wrzucać pułapki na bardzo długiej linii. Rybacy trzymają tę wiedzę dla siebie, a do tej pory nikt na stałym lądzie chyba poza mną nie wie, że Tangier Island nie ma nic przeciwko nowej strefie ochronnej. A ciężarne samice wędrują do swych stałych ikrzysk, nieświadome nowego systemu ochrony i w najmniejszym stopniu nie zwracają na niego uwagi.

– Dobrze. Zapomnijmy o kwestii strefy ochronnej – powiedziała rozczarowana Judy Hammer. – Tylko w takim razie nie wiem, jak inaczej możemy wywierać naciski. Z tego co powiedziałaś, wynika, że Wirginię niezbyt obchodzi los rybaków, a oni nie dbają o problemy Wirginii.

– Stąd właśnie biorą się wszystkie problemy – odrzekł Andy. – Nikogo nic nie obchodzi.

– Po co ten cynizm?

– Przydałoby się po prostu pobudzić do działania społeczeństwo – stwierdził. – A ja mogę to zainspirować przez Tropiciele Prawdy.

– O nie – zaczęła Hammer. – Dosyć...

– Ależ tak! – zaprotestował Andy. – Warto spróbować. Tropiciele Prawdy może poprosić czytelników, żeby pomogli w niektórych naszych sprawach.

– I w sprawie biednej Wytrzeszcz! – W drzwiach nagle pojawiła się Windy. – Och, czyż to nie byłoby cudownie, gdyby udało się skłonić Tropiciele Prawdy, żeby pomógł znaleźć Wytrzeszcz?

– Co? – zdumiał się Andy. – Jak to, znaleźć?

Przez twarz Judy Hammer przemknął wyraz bólu.

– Proszę się na mnie nie gniewać – powiedziała Windy. – Wiem, że pewnie pani pomyślała, że wypuszczam kota z worka, ale może udałoby się znaleźć Wytrzeszcz. Może jeszcze nie jest za późno, chociaż zaginęła dwa miesiące temu, kiedy ją pani wypuściła na siusiu.

– Dosyć, Windy – powtórzyła Judy. – Wyjdź, proszę i zamknij za sobą drzwi.

– Dobrze, ale zaraz wyślę e-mail do Tropicielea Prawdy i napiszę mu o Wytrzeszcz.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Komendantka westchnęła.

– Jak pani mogła? – szepnął Andy, oburzony i głęboko zasmucony tym, co się stało i tym, że szefowa nic mu nie powiedziała. – Dlaczego nie zawiadomiła mnie pani, jak tylko Wytrzeszcz zginęła?

– Byłeś w jednej z tych twoich podróży badawczych, Andy – odparła z przygnębieniem. – I nie wiem dlaczego, ale nie miałam ochoty z nikim o tym rozmawiać. Nic się nie da zrobić. Chwileczkę. – Podniosła rękę. – O co znowu chodzi, Windy? – spytała, kiedy sekretarka właśnie otworzyła drzwi.

– Dzwoni detektyw nazwiskiem Slipper z Richmondu – oznajmiła Windy.

– Dziękuję. – Odczekała, aż sekretarka zamknie drzwi i rzucając Andy’emu ponure spojrzenie, podniosła słuchawkę, mówiąc:

– Hammer.

Słuchała, robiąc notatki przez bardzo długi, zdaniem Brazila czas, a jej wyraz twarzy sugerował, że wiadomości są poważne i nieprzyjemne. Prawdę mówiąc, szefowa sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Jak już panu wczoraj mówiłam – rzekła w końcu – nikt nie wie, kto to jest. Ale bardzo wątpię, żeby tylko dlatego, że Tropicielea Prawdy ma... Tak, zgadza się. Oczywiście, musi pan zbadać wszystkie tropy, jasne, że dam panu znać i proszę mnie zawiadamiać o postępach śledztwa. – Skończyła rozmowę i spojrzała z niepokojem i wyrzutem na Andy’ego. – Ten policjant prowadzi sprawę morderstwa kobiety znalezionej na Belle Island. Została zidentyfikowana.

– I kto to jest? – zapytał Andy.

– Trish Prash. Dwudziestojednoletnia biała kobieta, która używała ksywki T. P. Jak się okazuje, pracowała w administracji stanowej i była lesbijką, chociaż się z tym nie afiszowała. Podrywała kobiety w okolicznych barach...

– Jak to, Trish Prash? – zapytał ze zdumieniem i oburzeniem Andy.

Hammer wyjaśniła, że Trish Prash to nazwisko ofiary, a policja miejska uważa, że to zbrodnia z nienawiści, prawdopodobnie popełniona przez mężczyznę, być może kogoś, kto mieni się Tropicielem Prawdy.

– To bzdura! – krzyknął Andy. – Ja byłem... No, nie mogłem...

– Oczywiście, że tego nie zrobiłeś – powiedziała Judy. Wstała i zaczęła szybko krążyć po gabinecie. – Chryste Panie! Wiedziałam, że to głupi pomysł! Nie napiszesz ani jednego artykułu więcej...!

– Nie! Nie może mnie pani karać za to, co zrobił jakiś idiota. – Brazil zerwał się z krzesła i chwycił szefową za ramię, nie za mocno, lecz na tyle stanowczo, żeby zmusić ją, aby się zatrzymała i spojrzała na niego. – Proszę mnie posłuchać. – Zniżył głos. – Proszę. Ja... wszystko wyprostuję i zrobię, co się da, żeby pomóc. Nigdy w życiu nie słyszałem o Trish Prash i nie rozumiem, jak jej sprawa może być związana ze mną albo Tropicielem Prawdy, ani czymkolwiek, co łączy się z... Miejmy nadzieję, że policja w Richmondzie nie wygłupi się i nie przekaże mediom informacji o Tropiciele Prawdy.

Bardzo się zdenerwował. Gdyby zmuszono go do ujawnienia tożsamości Tropiciele Prawdy, nie tylko zmarnowałyby cały rok pracy, ale komendant Hammer znalazłaby się w poważnych kłopotach. Crimm nie strawiłby faktu, że pozwoliła swojemu podwładnemu publikować teksty, których nie tylko nie czytała sama, ale także gubernator ich nie znał.

– Może uda mi się w jakiś sposób przekonać Crimma, że Tropiciel Prawdy nie jest szalonym mordercą – myślał na głos. – I postaram się wciągnąć czytelników do pomocy przy sprawie Prash i innych.

– Lepiej, żebyśmy zdołali poinformować gubernatora, że mamy poważne problemy na Tangier Island – odparła gniewnie Judy. – Co go może obchodzić morderstwo, które nie zostało popełnione na jego terenie?

– Spróbuję go przycisnąć – mówił Andy, gdy do gabinetu wszedł Macovich, który słyszał ostatnią część konwersacji.

– W środy je kolacje w Ruth's Chris Steak House – powiedział.

– Więc wy dwaj go znajdziecie – poleciła Judy i zwróciła się do Macovicha. – Może nie zapamiętał pana i incydentu przy bilardzie. Na litość boską, niech pan już z nimi nie gra.

– Doobra – zgodził się, kręcąc swoją wielką głową. – Niech pani się nie martwi, za nic w świecie nie zagram z tą dziewczyną, co to, to nie.

– Proszę nie grać z nikim z rezydencji – powiedziała dobitnie, żeby Macovich nie miał żadnych wątpliwości.

Zmarszczył brwi, osłonięte ciemnymi okularami. – Ale jak gubernator każe?

– To niech wygra.

– Doobra. Ale to nie takie łatwe. On nic nie widzi, pani komendant. Czasem nie trafia w kulę. Raz usiłował wymierzyć w płamę światła. A jak tam byłem ostatnio, postawiłem kubek styropianowy na skraju stołu, a on w niego trafił i rozchlapał kawę po całym pokoju bilardowym.

– Po pierwsze, nie należy stawiać naczyń na meblach w rezydencji – pouczyła go pani Hammer.

– A tego to on całkiem nie zauważył – odparł Macovich.

ROZDZIAŁ 8

Doktor Faux został skrupowany, przywiązany do krzesła, a oczy zasłonięto mu chustką o zapachu morskiej wody. Sytuacja ta niezbyt go przestraszyła, czuł raczej irytację i było mu cholernie niewygodnie. Im dłużej tak siedział, tym bardziej zaczynał wątpić, że wkrótce zostanie uwolniony i zarobi pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką. Nie miał też pewności, co zamierzają z nim zrobić wyspiarze, ale jak się orientował, nie byli to ludzie o przesadnych skłonnościach do stosowania przemocy.

Z tego, co wiedział, największą zbrodnią w historii wyspy okazała się kradzież sejfu z domu Sallie Landon, co wydarzyło się kilka lat temu. Sallie trzymała w sejfie wszystkie swoje oszczędności, więc mieszkańcy wyspy zorganizowali składkę, żeby nie musiała liczyć tylko na zarobki z przepisów kulinarnych, które wystawiała na sprzedaż w skrzynce, przybitej do słupa telefonicznego obok poczty. Sprawcy nie wykryto.

Porywacze przenieśli doktora Faux z gabinetu do jakiegoś innego pomieszczenia w przychodni, gdzie przez otwarte okno słychać było klekot rowerów i wpadało wilgotne powietrze, w którym krążyły muchy i komary. Dentysta nie wzywał pomocy, bo w sprawę wprowadzona była cała ludność, a wszyscy zwrócili się przeciwko niemu. Po raz pierwszy podczas prawie półwiecza miał czas, by zastanowić się nad swoim życiem. Westchnął, rozważając utracone możliwości i swoją odmowę zostania misjonarzem w Kongu. Bóg wzywał kiedyś Shermana Faux, tymczasem mały Shermie odmówił wysłuchania swego Pana, a potem generalnie wyłączył fonię.

A teraz Bóg najwyraźniej postanowił go ukarać. I tak oto dentysta siedział uwięziony na odległej od cywilizacji wysepce i jeśli nie wymyśli jakiegoś sprytnego planu, błogi czas, kiedy spokojnie okradał system opieki zdrowotnej, minie bezpowrotnie.

– Przepraszam – powiedział do Boga doktor Faux. – Wiedziałem, że to się tak skończy. – Tak samo jak Jonasz, który twierdził, że nie popłynie do Niniwy, a tym czasem Bóg odparł mu: „Pomyłka”, a potem Jonasza połknął wieloryb i w końcu wypluł go w Niniwie. – Proszę cię, Boże, nie sprawiaj, żebym obudził się w Kongu. Ani w Zairze, bo tak chyba obecnie nazywa się ów kraj. Wystarczy mi już to, gdzie jestem w tej chwili.

Fonny Boy siedział, opierając się plecami o ścianę, na podłodze w magazynie, w którym przechowywano dodatkowy sprzęt i zapasy leków. Było mu gorąco i wszystko go swędziało od licznych ugryzień owadów. Miał już dosyć pilnowania dentysty, ale kiedy ten, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z obecności chłopca, zaczął modlić się na głos, chłopak z niechęcią oderwał się od swej ulubionej wizji, jak to wydobywa pułapkę na kraby, a w niej znajduje kuferek pełen złota i klejnotów. Obsesja dotycząca zatopionych statków stanowiła chyba jedyny powód, dla którego Fonny Boy mógł podnieść się z łóżka o drugiej nad ranem codziennie każdego lata, podczas przerw w zajęciach szkolnych i w weekendy, kiedy to budził go ojciec i razem ruszali wózką golfową do portu. Jedząc kanapkę ze smażonymi małżami albo krabami, Fonny Boy wyobrażał sobie, jak przy wyciąganiu liny okazuje się, że zahaczyła o zatopiony korsarski statek, albo też któryś z krabów przytrzymuje szczypcami złotą monetę lub diament.

Istniało kilka legend na temat wyspy, rozpowszechnianych w sklepach z pamiątkami. Fonny Boy przeczytał wszystkie, gdyż był zainteresowany historią morza i ratownictwa. Jego ulubione opowiadanie dotyczyło wydarzeń, które nastąpiły w lutym 1926, kiedy nietypowe wiatry i pływy sprawiły, iż płytkie wody zatoki opadły znacznie i odsłoniły kadłub starego, rozkładającego się statku. Na pewno zdaniem Fonny’ego należał on kiedyś

do korsarzy, bo oprócz wytwornej porcelany i innych starych przedmiotów, które rybacy sprzedali przyjezdnemu handlarzowi antyków z Nowego Jorku, znaleziono też na wraku topór bojowy.

Niestety stan wody podniósł się szybko i statku nigdy ponownie nie odnaleziono. Fonny Boy wszystko sobie obliczył. Jeśli korsarz przeleżał w zatoce kilkaset lat, to kilkadziesiąt kolejnych nie powinno uczynić znaczniejszej różnicy. Wciąż musiał tam gdzieś być, tylko niestety nikt nie pamiętał dokładnie, gdzie go widziano owej dawnej, chłodnej zimy.

Fonny Boy chętnie też sobie wyobrażał, że wrak jest pozostałością hiszpańskiego statku, który w roku 1611 zawiął do Old Point Comfort, obecnie Hampton, w stanie Wirginia. Statek mógł być wysłany przez hiszpańskiego króla Filipa III, żeby szpiegować mieszkańców Jamestown. Inni historycy sądzą, że Hiszpanie przyплыли w poszukiwaniu innego okrętu, który zatonął gdzieś w okolicznych wodach. A skoro się fatygowali, to znaczy, że na zatopionej jednostce musiał znajdować się skarb, rozumował Fonny Boy. W Jamestown nie działo się nic ciekawego, bo mieszkańcy ukrywali się wewnątrz fortu przed tubylcami, którzy, z tego co czytał Fonny Boy, byli bardzo zmienni... najpierw dali osadnikom kukurydzę, a zaraz potem obsypali ich gradem strzał.

Fonny Boy zawsze stawał po stronie tubylców. Przypuszczał, że osadnicy przypominali obcych, których współcześni mieszkańcy wyspy zasadniczo tolerowali, ale ani im nie ufali, ani za nimi nie przepadali. Dlaczego przybysze zawsze patrzą z góry na ludzi, będących albo tubylcami, albo miejscowymi? To raczej przyjezdnym powinno się nazywać obcymi i traktować z politowaniem, bo to oni muszą jeździć taksówkami, nie wiedzą, gdzie można dobrze zjeść, ani jak uprawiać kukurydzę, i muszą płacić ćwierć dolara, żeby zerknąć na kraba po wylince, jakby krab zrzucający skorupę był egzotycznym stworem takim jak panda czy anakonda.

Doktor Faux umilkł, kiedy słońce skryło się w wodach zatoki Cheaspeake. Restauracje i sklepy z pamiątkami zamykano punktualnie o szóstej. Chociaż

dentysta nic nie widział, bo oczy zasłaniała mu śmierzdząca morską wodą chustka, czuł, że temperatura obniżyła się znacznie, kiedy na wyspie zaczął zapadać zmrok i powiał wiatr od morza. Nabrał też niemiłej pewności, że rychło się stąd nie ruszy. Nikt, nawet straż przybrzeżna, nie pojawiał się na Tangierze po zapadnięciu ciemności, kiedy zerodowany brzeg i nadgryziony zębem czasu pas startowy kryła zasłona gęstej mgły. Tylko łodzie rybackie mogły poruszać się swobodnie w kiepskich warunkach pogodowych, ale zakładnikowi nic z tego nie przyjdzie, bo wiedział z doświadczenia, że wyspiarze są uparci i niełatwo zmieniają zdanie. Nikt go stąd nie wypuści, może już tu zostanie na zawsze.

– Jak będziecie mnie tu trzymać uwięzionego – odezwał się Faux, bo parę minut wcześniej wydało mu się, że słyszy jakieś poruszenie w pokoju – to kto się zajmie waszymi zębami? Jesteś tu, Fonny Boy?

– Aha – powiedział chłopiec i zabrzdakał kilka razy na drumli.

– Chętnie bym się dowiedział, jaki macie plan – ciągnął dentysta.

– Zależy od gubernatora. – Fonny Boy streścił mu dyskusję rybaków, która odbyła się wkrótce po uwięzieniu doktora. – Jeśli nie usuną tych pasów, to marny twój los. Mamy już dość Wirginii i rzygać nam się chce od tego, jak nas traktujecie. Nie chcemy iść do więzienia za przekraczanie prędkości i nie chcemy, żeby NASCAR zbudował tu tor wyścigowy i robił kasę. No i musimy ci odpłacić za to, co zrobiłeś z naszymi zębami: udawałeś, że o nie dbasz, a to wierutne kłamstwo!

– NASCAR? – zdumiał się doktor Faux. – Byłeś kiedyś na wyścigu samochodowym NASCAR, chłopcze?

– Jasne! – odparł Fonny Boy, unosząc brwi i zaciskając szczęki, co oznaczało, że mówi coś wręcz przeciwnego.

– Hm, trudno mi orzec, czy mówisz „tak”, czy „nie”, ale zapewniam cię, że NASCAR nie ma zamiaru się tu pojawiać, a na tej wyspie nie da się zrobić kasy ani na wyścigach, ani na czymkolwiek innym.

– Policjant tak powiedział. A jeśli gubernator nie zrobi tego, co powinien,

i nie przestanie się nas czepiać, to zablokujemy łodziami dostęp do wyspy, wywiesimy flagę z krabem-samcem i spalimy flagę Wirginii! No i chyba pan robi tu niezłą kasę, co nie?

– Chcecie wywiesić flagę z krabem-samcem i popełnić zradę stanu? – zdumiał się doktor Faux, ale zachował na tyle przytomności umysłu, aby nie komentować oskarżeń dotyczących swojej własnej osoby. – Wywołacie wojnę domową, Fonny Boy. Zdajesz sobie sprawę, jakie to może mieć konsekwencje?

– Wiem, że mamy już tego dość, ot co! – burknął chłopak.

– Coś ci powiem, synu. Przyjeżdżam na tę wyspę od wielu lat – oświadczył doktor Faux. – I to nie przypadek, że nie zdecydowałem się tu zamieszkać. Rzecz polega na tym, że jeśli chcesz coś osiągnąć w życiu, Fonny Boy, to powinieneś mieć trochę sprytu, czyli w tym wypadku, posłuchać mnie.

– A bo to warto pana słuchać? – odparł Fonny Boy i zagrał kilka tonów na drumli, nie okazując, że węszy w słowach dentysty szansę na jakąś transakcję.

– Ależ oczywiście, i to jak. Bo jeśli okażesz się sprytny, to może coś na tym zyskasz. Może czeka cię jeszcze coś niezwykłego, Fonny Boy. Ale jeśli będziesz trzymał z tymi, którzy mnie tu uwięzili, to istnieją poważne szanse, że spędzisz resztę życia na tej zapomnianej wysepce, sprzedając pamiątki i kraby i grając na drumli. Pomóż mi się stąd wydostać, a jeśli to zrobisz, to może cię zabiorę do Reedville, dam ci pracę i nauczysz się prowadzić prawdziwy samochód.

– Jak pana przetransportuję na brzeg, to co pan robi? Obsypie mnie srebrnymi dolarami? – zapytał ironicznie Fonny Boy, wygrywając nieudolnie fragment „Yankee Doodle”.

– Wiesz, kto to jest naganiacz? – zapytał gładko doktor Faux. – No więc ci powiem. Twoje zajęcie polegałoby na wyszukiwaniu dzieci, których zęby wymagają leczenia, a ich rodziców na to nie stać. Ty je sprowadzasz do

mojej przychodni w Reedville, a ja daję ci dziesięć dolarów za każdego dzieciaka. Jak się nauczysz prowadzić, to skombinuję ci samochód. Żaden z nas nie będzie musiał już nigdy wracać na tę nędzną wysepkę.

Fonny Boy miał sporo do przemyślenia, a poza tym zbliżała się pora kolacji. Wyszedł z magazynu i zamknął głośno drzwi, żeby dentysta to usłyszał, zapominając go jednak poinformować, że zaraz ktoś przyniesie mu wodę i jedzenie. Chłopiec czuł się trochę głupio, odjeżdżając rowerem i dalej ćwicząc „Yankee Doodle”. Może należało okazać dentyście trochę litości i powiedzieć o pożywieniu i picciu. Może powinien był bardziej się starać żyć tak, jak go uczono w kościele, ale uczestnictwo w działaniach paramilitarnych i buncie sprawiło, że stał się bardziej bezwzględny.

Jednocześnie miał wielką ochotę na jakąś awanturę. Grając głośno na drumli, mknął szybciej niż zwykle, szczególnie przyspieszając między dwoma białymi liniami na Janders Road. Pedałował zawzięcie w chłodnym powietrzu, zalanym blaskiem księżycy i ledwo zauważył swoją ciotkę Ginny, która zbliżała się do przychodni swoim wózkiem golfowym.

– Heej! – zawołała do chłopca, kiedy się mijali na drodze. – Nie graj na plujce o tej porze! Rozzłościś wszystkich sąsiadów!

Fonny Boy odpowiedział jej głośnym, buntowniczym akordem i pożałował, że znowu połknął ligninę. Poprzednim razem zakorkowała go na cały tydzień i przesuwiała się przez zakręty i zakamarki jelit powoli, ale nieubłaganie jak lodowiec, aż w końcu dotarła do kresu drogi, kiedy chłopiec znajdował się z ojcem na łodzi z dala od stałego lądu i wychodka.

Gdy kilka chwil później Ginny wkroczyła do magazynu, niosąc tacę z ciasteczkami krabowymi, gorącymi bułeczkami i margaryną, doktor Faux znowu się modlił.

– ... Amen. Zgłoszę się do Ciebie, Boże, znowu za jakiś czas. To ty, Fonny Boy? – zapytał dentysta z nadzieją. – Na litość boską, zimno tu jak w psiarni. Co to, już się tu robi zima?

– Przyszło od zatoki. Mam kolację i wodę.

– Muszę iść do toalety. – Doktor Faux był zażenowany, że musi poruszać takie sprawy przy kobiecie, w której ustach grzebał i na której zarabiał od wielu lat.

GINNY wyraziła zgodę, pod warunkiem że wróci na składane krzeselko i pozwoli sobie z powrotem zawiązać oczy chustką.

– Jak mnie pani zwiąże i zasłoni mi oczy, to nie będę mógł jeść – zaprotestował dentysta, kiedy Ginny go uwolniła. Mrużąc oczy, rozglądał się po ciemnym magazynie.

– Posiedzę po drugiej stronie, aż pan załatwi swoje sprawy i nic więcej, a na dodatek nie przyszedłam tu na pogaduchy. – Chciała przez to powiedzieć, że zostawi go samego w toalecie, pod warunkiem że Faux nie zamierza robić nic głupiego, na przykład próbować ucieczki, a poza tym nie ma zamiaru udzielać mu żadnych informacji.

Kiedy dentysta udał się do ubikacji, usadowiła się na skrzynce z próbkami mydła antybakteryjnego i rozmyślała o punktach kontroli prędkości, zajmującym wyspę NASCAR i uwagach policjanta na temat niedociągnięć w opiece dentystycznej, udzielanej wyspiarzom. Spotkała się przedtem z kilkoma kobietami u Spanky’ego i ustaliły, że przekażą wiadomości wszystkim mieszkańcom Tangieru, umieszczając znaki na płotach, w sklepach i restauracjach. Poinformowały nawet kapitanów promów, którzy obiecali, że włączą wiadomości o NASCAR i oszustwie dentystycznym do historii opowiadanych turystom podróżującym między Crisfield i Reedville.

Doktor Faux wrócił na swoje składane krzeselko i zapytał Ginny, jak jej się trzyma sztuczna szczęka.

– Tak samo – odparła. – Od czasu do czasu trochę mnie pobolewa tam, gdzie pan wyrwał mój ostatni ząb tydzień temu. A przedwczoraj aż mnie zemgliło.

– Jeśli ma pani mdłości i wymioty, to pewnie pani zjadła coś niezdrowego – okłamał ją doktor Faux. – Wydaje mi się, że nowa protezka trochę pani klekocze.

– Ano, jak skończy się klej.

– Jeśli zabrakło pani kleju, to proszę sobie wziąć tubkę, skoro pani tu jest.

– Doktor Faux łąpczywie pożerał ciasteczko krabowe. – Są w środkowej szafce w ambulatorium.

Ginny w milczeniu przyglądała się, jak jadł i zaczęła walczyć z głęboką pogardą, która z wolna zmieniała się w nienawiść. Chodziła regularnie do kościoła i wiedziała, że nienawiść to grzech, ale nie mogła się przed nią obronić, gdy obserwowwała, jak chciwy, egoistyczny lekarz pakuje sobie jedzenie do ust.

– Do tej pory myślałam, że z pana bardzo dobry dentysta, doktorze Faux – wybuchnęła w końcu. – Ale teraz pokazała się cała prawda: nie można panu wierzyć. Wszyscy są zgodni co do tego, co pan z nami wyrabia. Straciłam do pana serce; tak sobie pomyślałam, jak panu szykowałam kolację. Dawaliśmy panu, co tylko mieliśmy, przede wszystkim jedzenie i dobre słowo, jak pan tu przyjeżdżał nam pomagać, i proszę co się pokazało! Popsuł pan zęby każdemu jednemu z nas po to, żeby wyciągnąć pieniądze od państwa!

– Moja droga Ginny, dobrze wiesz, że wcale tak nie jest – powiedział łagodząco doktor Faux. – Po pierwsze władze stale przeprowadzają kontrole i sprawdzają, czy ktoś właśnie tak nie postępuje. Nigdy by mi się nie udało przed nimi ukryć, nawet gdybym w ogóle wpadł na taki pomysł. Przysięgam na świętą księgę – rzucił jeden z ulubionych zwrotów wyspiarzy – że to co powiedziałem, jest prawdą!

– Koniec z tym! – stwierdziła Ginny, co oznaczało, że ma dosyć wysłuchiwania bajeczek.

Hmm, pomyślała gniewnie. Chyba by świat stanął na głowie, gdyby jakiś przedstawiciel władz stanowych wsiadł na prom i próbował grzebać w gębach wyspiarzy, sprawdzając, czy rzeczywiście zostały przeprowadzone zgłoszone przez dentystę zabiegi. Zaczęła się modlić, aby wygnać nienawiść z serca, przypominając sobie, że gdyby nie doktor Faux, nie miałyby protezki, kleju ani darmowych próbek płynów do płukania ust. Nie miałyby

żadnych zębów, poza prawdziwymi, które, jak twierdził dentysta, należało wyrwać ze względu na nadmierne ubytki, połamane korzenie, złe szkliwo, zły zgryz i co tam jeszcze.

– Boże, usuń z mego serca nienawiść – modliła się bezgłośnie, jednak rzeczywistość przygniotła ją jak wielki kamień, którego nie mogła odepchnąć.

Oczywiście, zawsze ją dziwiło, że ma tak poważne problemy z uzębieniem, ale ufała doktorowi Faux. Prawda była taka, że jeszcze kilka lat temu zęby Ginny były w całkowitym porządku i ludzie podziwiali jej śliczny uśmiech. Od dzieciństwa nie miała dziur w zębach, a tu nagle nie pozostał jej ani jeden. Im bardziej Ginny się nad tym zastanawiała, zamykając przychodnię i ruszając ciemną ulicą, tym bardziej mordercze myśli leżały się w jej głowie. Ile razy ten drań powtarzał, że wyspiarze rodzą się ze słabymi zębami i chorobą tangierską, a wszystko z powodu endogamii? Ile razy słyszała opowieści o tym, jak komuś wypadały plomby albo psuł się korzeń, czy też o koronkach, które pękały bez najmniejszego powodu?

Hmm, pomyślała, z rosnącym oburzeniem i żalem, kiedy przechodziła przez białe pasy, wymalowane na Janders Road. Może powinni trzymać doktora Faux tak długo, aż mu powypadają zęby. Może też powinien mieć kiepsko dopasowaną, kłapiącą protezę, która będzie mu kaleczyć dziąsła i zmusi go do głodowania. Może powinien zacząć tęsknić za kolbami słodkiej kukurydzy i poczuć zażenowanie, kiedy jego sztuczna szczęka zakłapie jak kastaniety podczas rozmowy telefonicznej.

– Coś taka zwarzona? Co się stało? – dopytywał się mąż, kiedy Ginny wpadła do domu we łzach, zatrząskując za sobą drzwi.

– Oddajcie mi moje zęby! – krzyknęła histerycznie.

– Nie pamiętasz, gdzie je położyłaś? – zapytał i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu słoika po dzemie, w którym zazwyczaj moczyła protezkę. – A niech mnie! – rzucił znienacka, włożywszy okulary. – Przecież ty je masz w ustach, Ginny!

PRZYPISEK HISTORYCZNY

Tropiciel Prawdy

Na pierwszy rzut oka określenie tej dygresji mianem przypisu nie wydaje się całkiem uczciwe, bo każdy czytelnik bez trudu zauważy, iż nie ma on numeru ani też nie znajduje się na dole strony.

Jednak przypis nie musi koniecznie oznaczać odwołania z numerem, jakie znajdujemy w tekstach naukowych, podręcznikach i pracach semestralnych. Przypis może również być czymś mniej ważnym. Na przykład, można powiedzieć, że jeszcze do niedawna Jamestown stanowiło tylko przypis w historii, gdyż wszyscy uważali, iż dzieje Stanów Zjednoczonych zaczęły się w Plymouth i dlatego właśnie obchodzimy święto Dziękczynienia. Chociaż w podręcznikach nie poświęca się większej uwagi Jamestown, to przynajmniej ta pierwsza trwała angielska osada została wreszcie uwzględniona w literaturze dydaktycznej i nie jest już zepchnięta, dosłownie, do przypisu.

Z satysfakcją stwierdzam, że w podręczniku dla szkół średnich „Naród Amerykański” Jamestown omawia się na stronach 85 i 86. Niestety, „Encyclopaedia Britannica” z roku 1997, które to wydanie posiadam, poświęca Jamestown tylko jedną ósmą strony i sugeruje, że na miejscu osady nie zostało nic, poza replikami statków, którymi osadnicy przyплыnęli z Wyspy Psów. Repliki znajdują się w gruncie rzeczy mniej więcej półtora kilometra na zachód od dawnego fortu i grupy zabudowań zwanej Osadą Jamestown, która jest również, niestety, rekonstrukcją, ale warto ją zobaczyć, pod warunkiem że się pamięta, iż pierwsi osadnicy nie zbudowali dwudziestowiecznych budynków: toalet, bufetu, sklepów z pamiątkami, parkingów, a także promu, tak samo jak nie przyплыnęli zrekonstruowanymi statkami, przycumowanymi na rzece.

Trochę mi wstyd, że kiedy odwiedza się Jamestown, napotyka się na

liczne znaki wskazujące drogę do osady, a tylko jeden czy dwa, pokazujące, gdzie znajdowała się ona naprawdę. Tak więc można wybierać między wizytą w podrabianym Jamestown i prawdziwym, ale wielu turystów preferuje to pierwsze, prawdopodobnie ze względu na obecne tam udogodnienia. Oczywiście gdy budowano osadę, wszyscy byli przekonani, że pierwotne miejsce uległo erozji, co wyjaśnia, dlaczego Wirginia uznała, że najlepsze, co można zaoferować, to replika.

– Rzecz w tym – zwróciłem się do mojej mądrej powiernicy – że ludzie przyjmują podróbki albo rzeczy, których nie da się udowodnić, za prawdę – i podałem jej jako przykład historię, jak Tangier Island otrzymała swą nazwę.

Zaczęło się, kiedy John Smith odkrył bezludną wyspę, którą, jak obecnie uważamy, był Tangier, ale w gruncie rzeczy mogło to być Limbo. Miała mu ona ogromnie przypominać miasto o nazwie Tanger, port położony w południowej części Cieśniny Gibraltarskiej w północnej Afryce. Uważa się, że dlatego Smith wpadł na pomysł, żeby nazwać nowo odkrytą wyspę w Nowym Świecie Tangier Island, jednak prawdziwość tej opowieści budzi moje poważne wątpliwości.

– Wyspa Tangier w niczym nie przypomina Tangeru w Afryce Północnej – wyjaśniam mojej mądrej powiernicy – co każe mi przypuszczać, że Smith zabawiał się mówieniem na odwrót, oczywiście o ile w ogóle pisał choć słowo o jakimkolwiek miejscu zwanym Tanger.

– Zobaczycie tę wysepkę? – mówię, jak prawdopodobnie zapytał Smith, płynąc swoją barką. – Jest w samej rzeczy urocza i bardzo mi przypomina Tanger – dokończyłem, stosując charakterystyczną intonację i robiąc odpowiedni wyraz twarzy, gdyż mówił na wspaniałostkę i miał to być żart.

Istnieją też inne teorie, wyjaśniające, że Tangier Island otrzymała swoją nazwę od Tangeru w Maroku dlatego, iż pewni brytyjscy żołnierze stacjonujący w Tangerze wyruszyli do Ameryki ze swymi żonami Mauretankami po wycofaniu angielskiego garnizonu z tego marokańskiego miasta w 1684 roku i osiedlili się na wyspie, którą uznano za Tangier.

Tymczasem po wielu latach ludzie, nazywający siebie Maurami i zamieszkujący w hrabstwie Sussex w stanie Wirginia, zaprzeczali, aby ich mauretańscy przodkowie mieli jakiegokolwiek powiązania z Tangier Island.

Kto wie, jaka jest prawda? W gruncie rzeczy nikt nie jest całkiem pewien, kiedy wyspa została zamieszкана po raz pierwszy, ale istnieją świadectwa, że przydzielano tu ziemię już w roku 1670, a zgodnie z podawaną dosyć często w wątpliwą tangierską legendą, w roku 1686 John Crockett osiedlił się na wzgórzu i hodował bydło, uprawiał ziemniaki, brukiew, gruszki i figi oraz wychowywał ośmiu synów. Podczas wojny o niepodległość wyspa była już doskonale zagospodarowana i zainteresowały się nią obie skonfliktowane strony, kiedy to Brytyjczycy zażądali od Tangierczyków dostaw żywności, a reszta stanu zareagowała blokadą Tangieru oraz srogimi groźbami gubernatora Wirginii, Thomasa Jeffersona.

Tymczasem nadpłynęli piraci, zabrali, co chcieli, i spalili dom jednego z wyspiarzy nazwiskiem George Pruitt. Krążyli dookoła wyspy, terroryzując jej nielicznych i słabo uzbrojonych mieszkańców. Jakby tego było jeszcze mało, chłopiec o nazwisku Joe Parks II został porwany przez Brytyjczyków, wcielony do wojska i wywieziony, więc wszyscy miejscowi młodzieńcy musieli się ukrywać. Wyspiarze nie mieli wyboru: uznali, że lepiej robić interesy z wrogiem, niż tracić zbiory, domy i bliskich, zaczęli więc sprzedawać towary Brytyjczykom, innym Amerykanom nieraz piratom, wywieszając flagi stosowne do sytuacji. Taki system przetrwania stosowali przez wieki i według mnie wyjaśnia on całkowicie, dlaczego obecnie Tangierczycy tolerują turystów na swojej wyspie i oferują im ciasteczka krabowe, ozdoby, t-shirty, wożą ich wózkami golfowymi i raczą fałszywymi informacjami.

Droży czytelnicy, proszę was o kontakt. Pomóżcie mi przywrócić dobre Porządki. Proszę! Jeżeli zęby któregokolwiek z was ucierpiały w wyniku złej pracy niejakiego doktora Shermana Faux z Reedville, lub jeśli macie do niego jakiegokolwiek zastrzeżenie, napiszcie do mnie e-mail. A jeżeli ktoś

przypadkiem zna miejsce pobytu teriera bostonskiego płci żeńskiej, imieniem Wytrzeszcz, dajcie mi znać jak najprędzej! Tak samo jak ów dentysta, niewinny zwierzak został porwany i jest prawdopodobnie gdzieś więziony. W odróżnieniu od dentysty, biedna suczka nigdy nikogo nie skrzywdziła ani nie wykorzystwała i nie zasługuje na to, co się z nią stało. Jeśli macie jakiegokolwiek informacje na temat tych dwóch przestępstw lub jakichkolwiek innych – zwłaszcza niedawnego brutalnego morderstwa Trish Prash – dajcie mi, proszę, znać.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 9

Kiedy najnowszy felieton Tropiciele Prawdy pojawił się na stronie internetowej dokładnie trzy minuty po siódmej w środę rano, Major Trader garbił się nad klawiaturą jak sęp.

– Co to za bzdury? – wykrzyknął do samego siebie. – A fe, Tropiciele Prawdy. Już ja ci dam za to paskudzenie szacownej historii stanu i próbę skłonienia obywateli do donosicielstwa.

Ze smakiem nadgryzł sporego pączka i otarł palce o spodnie od pizamy. Jego żona krzątała się w kuchni, szcękając garnkami; szukała patelni w zagraconej szafce.

– Musisz robić tyle hałasu? – zawołał do niej Trader z gabinetu, położonego w drugim końcu domu, który wybudowali na sprzedaż.

Trader potrafił sprytnie inwestować i w ostatnich latach stał się bogatym człowiekiem. Stosował bardzo prosty sposób. Kupował działkę w ekskluzywnej dzielnicy, gdzie istniał zakaz budowy na sprzedaż. Stawiał tam dom, mieszkał w nim przez rok, a potem wyzbywał się go, tłumacząc, iż jego stanowisko w biurze gubernatora wymaga, aby miał zagwarantowany spokój i bezpieczeństwo, którego brakuje w tej okolicy, co zmusza go do kolejnej wyprowadzki. Chociaż sąsiedzi orientowali się w oszustwach Tradera, nikt nie potrafił udowodnić, że buduje domy na sprzedaż, chociaż cała dziesiątka, którą udało mu się przehandlować do tej pory, była identyczna, postawiona na podstawie jednego typowego projektu. Znaczące listy od stowarzyszenia mieszkańców nie dawały żadnego efektu, a Trader

bez mała uzależnił się od owego procederu.

Uwielbiał przeprowadzki, najprawdopodobniej zresztą dlatego, że wtedy w jego sztucznym, zakłamanym życiu działo się coś ciekawego i autentycznego. Każdego roku przez kilka miesięcy Trader wydawał żonie rozkazy, nadzorował proces pakowania, straszył swego oszołomionego wykonawcę i popędzał go bezlitośnie, wrzeszcząc:

– Szybciej! Szybciej! Musimy się przenieść za dwa tygodnie, dom ma być wtedy gotowy! I niech pan nie waży się niczego spieprzyć!

– Instalacja elektryczna jeszcze nie jest skończona – zaprotestował wykonawca nie dalej jak tydzień temu.

– Jak długo jeszcze to potrwa? – odpalił Trader.

– I nie wybrał pan koloru farb.

– Użyjcie białego, tak samo jak w poprzednich dziesięciu domach, idioto!
– ryknął Trader do słuchawki telefonu. – I poszukajcie takich samych srebrnoszarych wykładzin dywanowych, baranie! I takich samych mosiężnych opraw do lamp, durniu! I jak zawsze klamek z Home Depot, matole!

Rzecz polegała na tym, że w swoim domu Trader pragnął odgrywać rolę niepodzielnego władcy. Przez resztę czasu musiał służyć na dwóch łapkach gubernatorowi i nikt, kto sam tego nie doświadczył, nie potrafił zrozumieć, jakie to uciążliwe. „Zrób to, zrób tamto. Znajdź jakieś inne słowo. Przeredaguj ten akapit. Hm, zmieniłem zdanie. Powiemy prasie zupełnie co innego. Gdzie moje szkło powiększające? Proszę natychmiast wyjść! Nie czuję się dobrze”.

Wymagająca i niewdzięczna praca nauczyła Tradera manipulacji, mściwości i cwaniactwa. I wkrótce dzięki Internetowi zostanie milionerem, jeśli tylko powie mu się najnowsza inwestycja.

– Major? Nie powiedziałaś mi, co chcesz na śniadanie! Parówki czy bekon? Słodkie bułeczki z rodzynekami czy zwykłe na ciepło? Kaszę z serem czy bez? – zawołała z kuchni żona, wciąż brzęcząc garnkami.

– Co ty tam wyrabiasz? Ćwiczysz grę na perkusji? – odkrzyknął Trader. – Dawaj wszystko!

Bogu dzięki, dzieci przebywały w szkole z internatem albo na studiach, więc Trader nie musiał słuchać ich nieustannego tupania i jazgotliwych głosów. Żona robiła dosyć hałasu, a dom, jak i poprzednich dziewięć, był bardzo akustyczny. Trader dobiegał pięćdziesiątki i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niedługo pożegna się z pracą w biurze gubernatora i całkowicie poświęci przestępstwom z użyciem komputera. Marszcząc w skupieniu brwi, przeczytał kolejny raz najnowszy felieton Tropiciele Prawdy, a potem ułożył prowokacyjny e-mail.

Drogi Tropiciele Prawdy

Jestem pra-pra-wnukiem szpiega na rzecz konfederatów, więc może to mój DNA (cha, cha) nie pozwala mi powstrzymać się przed zdradzeniem pewnych informacji. Piszę, bo wiem, że docenisz (he, he) nawiązanie do Twoich uwag o DNA. Mam powody, by sądzić, że gubernator nie ma zamiaru łapać piratów drogowych na Tangier Island. Wcale go nie obchodzą. WASKAR stworzono po to, żeby móc zwalić na kogoś winę. Jestem pewien, że chętnie coś o tym napiszesz w swoim następnym felietonie.

Bardzo się zmartwiłem wiadomością o małej Wytrzeszcz. Ale czy Ci nie przyszło do głowy, że biedna psina zniknęła nie bez powodu?

Jeśli ktoś się zgłosi z informacją na temat losów doktora Faux, to czy jest przewidziana jakaś nagroda?

Łączę pozdrowienia Sz. Pieg

Jak zawsze, Trader nie zamierzał pisać osobno Sz. Jak zwykle nacisnął „wyślij”, zanim zdążył nanieść poprawkę, a potem wdychając woń smażonego mięsa, która zaczęła rozchodzić się po całym domu, zaczął czekać na odpowiedź Tropiciele Prawdy.

– Śniadanie! – krzyknęła z kuchni żona, a jednocześnie na monitorze pojawił się napis „Masz wiadomość”.

Drogi Panie Pieg,

Obywatele powinni mówić prawdę, nie licząc na zyski! Jeśli wie Pan coś na temat losów Wytrzeszcz, to lepiej się zgłosić od razu!

Tropiciel Prawdy

– No, no – mruknął Trader, uśmiechając się pod nosem. – Chyba trafiłem w czuły punkt.

– Mówiłeś coś, Major? – wrzasnęła żona, przekrzykując łoskot wody w metalowym zlewie.

– Nie do ciebie! – ryknął Trader, komponując swoją kolejną wiadomość.

Drogi Tropicielu Prawdy

Słyszałem, kim jest właścicielka psa. Czy to na pewno był przypadek? Wie Pan, nie wszyscy przepadają za tą kobietą, która w ogóle nie powinna zajmować podobnego stanowiska. To świat mężczyzn, jasne? Ciekawe, czy ma zastrzeżony adres, bo zastanawiam się, jak złodzieje mogli znaleźć jej dom. Poza tym sądzę, że obywatele powinni być szczerze wynagradzani za udzielanie pomocy policji.

Sz. Pieg

Odpisując Sz. Piegowi, Andy był wściekły.

Drogi Panie Pieg

Dzisiejszy świat nie jest domeną mężczyzn, a jeśli Wytrzeszcz padła ofiarą jakiejś politycznej intrygi, to radzę natychmiast wyjawić, w czym rzecz. Więcej ostrzeżeń nie będzie.

Co do nagrody, to dam jeszcze znać.

Tropiciel Prawdy

Andy wysłał wiadomość i czekał na odpowiedz pana Piega. Tymczasem w jego skrzynce pojawiły się liczne listy od innych czytelników. Pan Pieg

wylogował się i drwi sobie ze mnie, uznał z rosnącą irytacją Brazil.

Zaczął sobie przypominać, jak się bawił z Wytrzeszcz. Prawie czuł pod ręką jej jedwabiste futerko na grzbiecie i delikatną miękkość brzuszka. Pamiętał, jaką przyjemność sprawiało mu ciche skrobanie pazurków o parkiet, w czasach kiedy bywał częstym gościem w domu Judy Hammer.

Sięgnął po album z fotografiami, leżący na stosie naukowych dzieł. Znajdzie tego psa, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu. Obawiał się też o bezpieczeństwo szefowej. Miała zastrzeżony adres i bardzo pilnowała, aby jej życie prywatne pozostawało tajemnicą. Tylko policja, najbliżsi współpracownicy i nieliczni sąsiedzi wiedzieli, gdzie mieszka komendantka, a Judy z nikim nie rozmawiała na temat Wytrzeszcz ani nie pozwalała reporterom robić suczce zdjęć. Więc w jaki sposób porywacz ją znalazł? Sprawca nie mógł być kimś z zewnątrz.

– Proszę, niech się okaże, że ona jeszcze żyje – mruknął Andy, natknąwszy się na ulubione zdjęcie suczki: nosiła na nim słodkie, czerwone, zimowe ubranko. – Nie zapominaj o komendant Hammer i o mnie. Znajdziemy cię. Przysięgam! I jeszcze zobaczysz, co zrobię z łobuzem, który cię ukradł.

Przeskanował zdjęcie i Wytrzeszcz pojawiła się na monitorze. Andy otworzył program do tworzenia stron internetowych i wpisał tytuł: „Zaginął pies. Kto widział Wytrzeszcz? Nagroda”. Jeśli ludzie już tak spsieli, że postępują właściwie tylko wtedy, kiedy im się za to płaci, to Andy może zagrać, używając ich kart. Zmienił w tytule „Nagroda” na „WYSOKA NAGRODA” i po chwili zaczęły napływać nieprawdziwe informacje. Ludzie twierdzili, że widzieli suczkę błakającą się na boczniccy kolejowej albo w jakieś odludnej uliczce, albo na tylnym siedzeniu podejrzanego samochodu. Inni pisali, że za odpowiednio wysoką kwotę udzielą Tropicielowi Prawdy informacji, gdzie przebywa Wytrzeszcz i czemu.

Nadeszły też bardzo liczne e-maile ze słowami współczucia. Setki osób prezentowały smutne historie swoich ulubieńców, których stracili od czasów

wczesnego dzieciństwa. Tylu listów Tropiciel Prawdy jeszcze nie dostał i Andy spędził dzień przy stole w jadalni, usiłując odpowiedzieć na wszystkie i cały czas czekając, aż ktoś napisze: „Słuchaj pan, zabrałem psa, bo moje dzieci strasznie chciały mieć jakiegoś zwierzaka, ale mnie na to nie stać. Spotkajmy się w jakiś ustronnym miejscu i oddam wam Wytrzeszcz za jakąś grubszą kwotę”. Albo może: „To jest cała intryga. Ktoś nienawidzi komendant Hammer, powiedział mi o psie, dał adres i trochę kasy. Teraz rozumiem, że to świństwo i z radością zwrócę Wytrzeszcz, pod warunkiem że nie spotkają mnie nieprzyjemności i dostanę nagrodę”.

Nie pojawił się też żaden e-mail na temat morderstwa Trish Prash, czyli T. P., poza krótką wiadomością od osoby o inicjałach P. J., utrzymującej, że grywała z T. P. w softball i wiedziała na pewno, że T. P. za nic nie poszłaby na Belle Island w towarzystwie mężczyzny.

– Zwariowałaś? – wściekała się Judy Hammer, która zadzwoniła do Andy’ego o osiemnastej. – Wydawało mi się, że miałeś pisać felietony przeciwko przestępczości. Nie dość, że przechodzisz od mumii do piratów, to jeszcze próbujesz przejmować obowiązki Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami!

– Chce pani, żebym zdjął zdjęcie Wytrzeszcz? – zapytał Andy. – Mogę, oczywiście, ale pomyślałem sobie, że warto jednak spróbować. Może jeszcze żyje, a ktoś, kto ją przetrzymuje, da się skusić nagrodą.

– Nie wiem, jak zniosę jej widok w tym ślicznym ubranku, ilekroć otworzę tę twoją stronę – wyznała ze smutkiem szefowa.

– Kiedy ludzie nie chcą patrzeć na zdjęcie, to znaczy, że rana nie zagoiła się jeszcze. Dlatego nigdy nie wyrzucam fotografii moich byłych dziewczyn. Jeśli mogę je spokojnie oglądać, to znaczy, że wszystko w porządku. W przeciwnym wypadku wiem, że jest źle – powiedział.

– No dobrze, zostaw ją – zgodziła się komendantka. – Będę się musiała przyzwyczaić. I masz rację, Andy, jeśli jest chociaż cień szansy na

odnalezienie Wytrzeszcz, to musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Wydawało mi się, że masz dziś wieczorem pilnować domu gubernatora – dodała, przechodząc do spraw służbowych. – I nie jestem pewna, czy powinieneś znowu go krytykować w felietonie Tropiciele Prawdy. No i kto to jest właściwie ta twoja „mądra powiernica”?

– Wprowadzenie mądrej powiernicy pozwala mi przedstawiać wyjaśnienia w formie dialogu – odparł Andy.

– Nie mam pojęcia, kim ona jest, ale nikt nie powinien wiedzieć, że to ty jesteś Tropicielem Prawdy, zwłaszcza po tym okropnym morderstwie – stwierdziła sucho pani Hammer. – Więc liczę na to, że się nie zdradziłeś przed jakąś pannicą. Ale jeśli tak się stało, to lepiej się przyznaj, chociaż oczywiście twoje prywatne życie nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu. Mam nadzieję, że to nie Windy.

– Windy? – oburzył się Andy i przełożył słuchawkę do drugiego ucha. – Mogłoby się wydawać, że zna mnie pani na tyle, żeby wiedzieć, że mam lepszy gust.

Judy zakończyła rozmowę, która i tak trwała już za długo, i odwiesiła słuchawkę bez pożegnania. Andy wysłał jeszcze jeden e-mail, tym razem jednak użył własnego nazwiska.

Drogi doktorze Pond,

Dostał już Pan może wyniki badań toksykologicznych? To bardzo delikatna sprawa i mam nadzieję, że traktuje ją Pan jako w najwyższym stopniu poufną.

Niestety nie mogę załatwić sprawy Pańskiego mandatu za jazdę z nadmierną prędkością. Proponuję, żeby wziął Pan lekcję w sobotniej szkole jazdy w terminie najbardziej Panu odpowiadającym i wtedy punkty karne zostaną usunięte z Pańskiego konta.

Dziękuję i życzę powodzenia Funkcjonariusz Brazil.

Wyłączył komputer, przebrał się w mundur i po niecałej godzinie zaparkował przy restauracji Ruth's Chris Steak House, w południowej części miasta, gdzie spotkał Macovicha, który właśnie przywiózł swoim helikopterem Pierwszą Rodzinę stanu na kolację. Usiedli w samochodzie Andy'ego i obserwowali wejście, czekając na pojawienie się gubernatora.

– Jak było? – zapytał Andy, spoglądając na lśniący helikopter Bell 430, pomalowany w pionowe granatowe pasy na stalowoszarym tle, oraz godło stanu na drzwiach.

– No, nawet nie tak źle – odparł Macovich. – Udało mi się, bo szef mnie nie rozpoznał, kiedy ich tu wiozłem. Ta jego pasztetowata córeczka na pewno powiedziałyby coś o grze w bilard, a wtedy by się dopiero zaczęło! Na szczęście zajęła się wyjadaniem chrupków i batoników, wiesz, z szuflady pod tylnym siedzeniem. – Macovich zapalił papierosa mentolowego i zwrócił swoje ciemne okulary ku Andy'emu. – Więc skoro teraz tu tak siedzimy, to może mi powiesz jak mężczyzna mężczyźnie, co narozrabiałeś, że wpadłeś w takie kłopoty. Wszyscy zachodzą w głowę, dlaczego komendant Hammer zawiesiła cię na cały rok.

– A kto twierdzi, że mnie zawiesiła? – zapytał Andy z lekką urazą.

– Wszyscy tak mówią. Gadają, że wpadłeś w jakieś poważne kłopoty, albo może pokłóciłeś się z szefową.

– Robiłem licencję pilota i zdobywałem inne dodatkowe kwalifikacje.

– Na to, żeby się nauczyć latać, nie trzeba się szkolić przez cały rok czterdzieści godzin w tygodniu. A z tymi dodatkowymi kwalifikacjami to jak? Dwa, trzy tygodnie na każdą. A przez resztę czasu, co robiłeś? Uganiałeś się za dziewczynami i oglądałeś telewizję?

– Może.

– To co, nie powiesz, dlaczego cię zawiesili? – naciskał Macovich.

– Nie – odparł ponuro Andy, uznając, że równie dobrze może pozwolić krążyć takiej plotce, bo wtedy nikt, w tym też i Macovich, nie wpadnie na ślad Tropiciele Prawdy.

– No, no, nikt by nie pomyślał, że ktoś taki jak ty potrafi tak sobie spieprzyć życie. A jak się patrzy na ciebie, mogłoby się wydawać, że jesteś największym szczęściarzem w mieście – dodał Macovich z odcieniem zazdrości.

– Piloci są potrzebni. – Andy zmienił temat. – W tej chwili zostało nas tylko dwóch.

Macovich podążył za wzrokiem Andy’ego ku wielkiemu helikopterowi i do jego duszy wkradło się pewne podejrzenie.

– Założę się, że chciałbyś wozić gubernatora – rzucił oskarżycielsko zza kłębow dymu.

– Czemu nie? Mógłbym ci się czasami przydać – odparł niedbale Andy, uznając natychmiast, że powinien się zwrócić w tej sprawie do gubernatora. – Pierwsza Rodzina powinna bezwzględnie mieć do dyspozycji więcej niż jednego pilota. Co ty, u licha, robisz, kiedy warunki nie pozwalają kierować się wzrokiem podczas lotu? – dodał.

– Znajduję jakąś wymówkę, żeby w ogóle nie lecieć – przyznał się Macovich. – Zazwyczaj mówię, że coś się naprawia albo siadł radar.

– Masz taką maszynę i lataz tylko podczas ładnej pogody? – zdumiał się Andy. – Przecież ten model jest przeznaczony do lotów przez chmury. Jak myślisz, dlaczego tu zainstalowali autopilota, systemy IIDS i EFIS? Nie mówiąc już o gładkim jak jedwab układzie wirników. Tym ptaszkiem można robić akrobacje jak F– I 6. Oczywiście wcale cię do tego nie zachęcam – zastrzegł się szybko, bo akrobacje helikopterem były zakazane przez prawo. – Ale muszę przyznać, że robiłem becзки na symulatorze w Fort Worth, kiedy uczyłem się w szkole Bella. Trzeba zwolnić do mniej więcej stu węzłów, na sześciuset metrach skierować dziób do dołu, skrócić łopaty wirnika w prawo do samego końca i już.

Myśl o znalezieniu się w helikopterze znajdującym się do góry nogami sprawiła, że Macovich nerwowo zaciągnął się papierosem.

– Całkiem zwariowałeś – wykrztusił. – Nic dziwnego, że cię zawiesili.

Chyba że – przyszło mu nagle do głowy – wcale cię nie zawiesili, tylko wysłali z jakąś tajną misją. Albo co. U-hu-hu!

– Mówiąc o tajemnicach – Andy sprytnie zveksłował rozmowę na inny temat – zastanawiam się, kto to jest ten Tropiciele Prawdy.

– Nie ty jeden – odparł Macovich. – Gubernator też cholernie by chciał to wiedzieć. Jak masz co do tego jakieś pomysły, to byłoby dobrze, żebyś ich nie ukrywał.

Andy nie odpowiedział.

– Sam jestem ciekaw – ciągnął Macovich. – Skąd on wiedział o Tangier Island i co tam robiliście, co? Przeczytałem te wszystkie jego teksty w Internecie. Tak się wydaje, jakby się temu osobiście przyglądał.

Andy nie odpowiadał, bo nie chciał kłamać. Macovich skierował na niego swoje czarne okulary, bo do głowy przyszło mu kolejne podejrzenie.

– Ty nie jesteś Tropicielem Prawdy, co nie? – naciskał. – Bo jeśli nim jesteś, to obiecuję, że nie zdradzę sekretu, poza tym, że oczywiście musiałbym powiedzieć gubernatorowi.

– Skąd ci przyszło do głowy, że nie poinformowałbym gubernatora, gdybym wiedział, kto jest Tropicielem Prawdy? – zrobił unik Andy.

– Hmm. Chyba masz rację. Gdybyś wiedział, sam byś powiedział, bo tylko byś na tym skorzystał – przyznał Macovich.

– Właśnie.

– Więc kto to może być? Jak sądzisz? Mnie raz przeszło przez myśl, że może to Major Trader.

– Bardzo wątpię – odparł Andy. – Trader nie potrafiłby mówić prawdy. W związku z tym nie może być Tropicielem Prawdy.

– Pewnie tak. – Macovich wypuścił smugę dymu. – I zgadza się, mamy za mało pilotów.

– Czemu tylu ich rezygnuje? – dopytywał się Andy.

Macovich uznał, że i tak powiedział za dużo. I tak już się wystarczająco naraził Pierwszej Rodzinie. Lepiej nie pogarszać spraw, a obawiał się, że

Andy może mu jakoś zagrozić. Ten biały chłopak miał niezły łeb... o wiele lepszy niż Macovich. Andy nie musiał się długo zastanawiać, zanim coś powiedział, i czasami używał słów, które Macovich słyszał pierwszy raz w życiu.

– Założę się, że w szkole byłeś kujonem, co? – powiedział, czując narastającą zawiść. Postanowił trochę pogłębić Andy’ego. – Pewnie siedziałeś od rana do nocy w bibliotece, zagrzebany w książkach.

– Nie, nigdy nie kułem – odparł Andy, pomijając to, że bez najmniejszego trudu skończył studia, bardzo lubił się uczyć i nigdy nie był to dla niego ciężki obowiązek. – O niczym innym nie marzyłem, jak tylko żeby wyrwać się stamtąd i zająć własnym życiem.

– Tylko mi nie łżyj. – Chmura dymu zafalowała.

Macovich odcierpiał jeden rok college’u technicznego, gdzie serdecznie znienawidził pomysł własnego ojca, który chciał uczynić z niego solidnego pracownika Ethyl Corporation, zajmującego się rozpuszczalnikami. Macovich wyprowadził się z domu po pierwszym roku i wstąpił do wojska, gdzie nauczył się pilotować helikoptery, a potem przeniósł się do policji. Kilka miesięcy temu podarował ojcu oprawną w ramki fotografię Pierwszej Rodziny, żeby go trochę podrażnić. Pani Crimm napisała na niej miłą dedykację z podpisem: „Pierwsza Dama, Maude Crimm”.

Niedopałek papierosa poleciał pięknym łukiem na chodnik, gdzie błyszczał jak gniewne oko.

– Wystarczy jedno moje słowo do gubernatora, że chcesz latać jako mój drugi pilot, a on się tym zajmie – powiedział butnie Macovich, nie mając żadnego zamiaru ułatwić Andy’emu niczego, chyba że chodziłoby o kłopoty. – Zakładając oczywiście, że zapomniał o bilardzie. Ale jeśli córca-pirania zechce robić aferę, to może lepiej teraz z nim nie rozmawiać. Chyba jeszcze zapalę sobie jednego, zanim wyjdą.

Na moment dym rozwiązał się na tyle, żeby Andy przypomniał sobie, że Macovich jest najpotężniej zbudowanym Murzynem, jakiego zdarzyło mu się

kiedykolwiek spotkać.

– Na szczęście gubernatorowi papierosy nie przeszkadzają. – Tamten zapalił następnego mentolowego. – Ale jego małżonka – u-hu-hu. – Potrząsnął głową. – Pamiętasz wywiad z zeszłej niedzieli, w którym mówiła o „drugorzędnym biernym paleniu”? I co to ma być? – Chmura dymu wydawała się nie mieć końca. – No? Zaciągam się, wpuszczam dym do twoich ust, a ty pędzisz, żeby znaleźć kogoś trzeciego i dmuchasz mu w usta?

– Lepiej szybko znajdź tego kogoś – odpowiedział Andy, wpadając na pewien pomysł. – Już tu idą.

ROZDZIAŁ 10

Najgorszy dym nie powstawał jednak dzięki papierosom mentolowym, ale piratowi drogowemu, zwanemu Dymek, który od dzieciństwa był do szpiku kości zły. Długa lista jego wykroczeń i przestępstw z czasów młodości zaczynała się od chodzenia na wagary po podpalanie kotów, złośliwe okaleczanie i zabójstwo. Chociaż w końcu trafił w ręce sprawiedliwości stanu Wirginia, zdołał uciec z pilnie strzeżonego więzienia, robiąc pętlę z prześcieradła i udając, że się powiesił na prętach metalowego łóżka.

Kiedy strażnik więzienny A. P. Pinn zobaczył leżącego bezwładnie na podłodze chłopaka z pętlą na szyi i wywalonym językiem, otworzył drzwi do celi i rzucił się, żeby sprawdzić, czy więzień jeszcze żyje. Tak też naturalnie było, bo Dymek zerwał się i walnął strażnika w głowę tacą na posiłki. Potem szybko przebrał się w mundur Pinna, zakrył oczy jego okularami przeciwsłonecznymi, i opuścił zakład penitencjarny, nie niepokojony przez nikogo. Pinn napisał potem książkę o swoich przeżyciach i wydał ją własnym kosztem. „Zdradzony” nie sprzedawał się najlepiej, ale Pinn znalazł zajęcie w programie miejscowej telewizji kablowej, zatytułowanym „Oko w oko z Pinnem”.

Dymek regularnie oglądał „Pinnowi w oko”, jak nazywał program, żeby sprawdzić, czy nie pojawią się tam jakieś informacje dotyczące jego zniknięcia lub podejrzenia, że stał się przywódcą grupy piratów drogowych. Czuł się też trochę rozczarowany, bo Pinn raz tylko napomknął, że „stacowanie” stanowiło dla niego ciężką traumę, co w pełni zrozumie tylko

ktos, komu chociaz raz wyladowala na glowie taca z klopsem oraz puree z ziemniakow w proszku.

Show Pinna wlasnie sie zaczynal, a Dymek i jego kumple siedzieli w ukradzonej duzej przyczepie kempingowej, zaparkowanej za kupa sosen na pustej dzialce w polnocnej czesci miasta. Dymek wysunal pilota i zwiekszył glownosc, gdy na ekranie pojawila sie usmiechnieta twarz Pinna, który przeprowadzal rozmowe z wielebnym Pontiušem Justice'em o projekcie „Straż sasiedzka”, która to wielebny wlasnie organizowal w dzielnicy Shockhoe Bottom, znajdujacej sie nieopodal Farmers' Market.

– Patrzcie go, skurwiela – warknal Dymek, lyknawszy piwa z puszeki. – Wydaje mu sie, ze jest kimś.

Pinn mial na sobie lsniaca, czarna, dwurzadowa marynarka, czarna koszule, czarny krawat, i najwyrazniej wybielil swoje wielkie, konskie zebry. Kiedy Dymek znal Pinna w wiaznieniu, straznik nosil grube, przyciemnione okulary. Teraz uzywal szkieł kontaktowych, przez co caly czas mrugal.

– Za kogo on siebie ma? Można by pomyslec, ze czeka, az mu dadza Oscara. Nadal ma gule na glowie w miejscu, gdzie dostal taca - zauwazył Dymek.

– Zawsze ja mial – stwierdzil Kot, stojacy najwyzej po Dymku w hierarchii piratow. – Tylko kiedyś nie golil glowy. Wiec teraz ja lepiej widać. Ale mu sie ten leb swieci. Nie da sie patrzec bez okularow przeciwslonecznych. – Wypuscil klab dymu i strzepnal papierosa do puszeki po piwie.

– Jak myslicie, czym on sobie nablyszcza ten leb? – zapytal inny pirat, noszacy ksywke Opos. Byl drobny, nie wygladal zdrowo i calymi dniami przesiadywal w swoim pokoju, ogladajac telewizje przy zaslonietych oknach. – Woskiem pszczelim? A moze uzywa Bed Head? Pamietacie tego gościa, od ktorego przynioslem bron? Spytalem go, jak robi, ze ma taka swieca glowe i powiedzial, ze uzywa Bed Head i kupuje go w Nowym Jorku w jakimś centrum kosmetycznym za dwadzieścia dolców. To jest w sztyfcie, który sie

wyciąga po trochu i wciera w rękę jak dezodorant...

– Ten baran smaruje sobie głowę dezodorantem? – odezwał się trzeci pirat, Kuda, co było skrótem od Barakudy. Popatrzył tępo na lśniąca czaszkę Pinna.

– Zamknijcie się! – Ich szef znowu podkreślił głośność.

Czuł narastające podniecenie, bo Pinn powoli zbliżał się do tematu, o którym Dymek bardzo chciał usłyszeć.

– ...W swojej książce „Zdradzony” – mówił wielebny Justice ze swego przesadnie miękkiego fotela, stojącego pod ścianą ze sklejki, pomalowanej tak, by udawała półkę z książkami i kominek z wesoło płonącym ogniem – pisze pan o tym, jak sąsiedzi stają się sąsiadami, zamiast tylko mieszkać koło siebie, jeżeli dokładnie zacytowałem.

– No owszem, coś takiego napisałem.

– Więc jeśli kochamy naszych braci i siostry, to powinniśmy śledzić ich kroki, a wtedy okolica bardzo się zmieni na lepsze.

– No, hm, tak, może coś podobnego powiedziałem.

– Czy wierzył pan w to, zanim pan dostał po głowie?

– Nie przypominam sobie, ale chyba owszem. – Pinn wyprostował się, wbił wzrok w kamerę i poprawił jedwabny krawat, kupiony za dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt centów. – Okazałem zainteresowanie leżącym więźniem i zanim się obejrzałem, sam leżałem nieprzytomny na twardej, cementowej podłodze. Zabrał mi mundur i wszystko, co w nim było. – Wspomnienia tak rozdrażniły Pinna, że zaczął tracić swój zwykły wyraz spokoju i mądrości. – Wyobraża pan sobie? Jak by się wam podobało – zwrócił się do widzów – gdyby ktoś walnął was tacą w głowę i zostawił nagiego, przez co wszyscy więźniowie i strażnicy uznali, że może mieliście w więzieniu kochasia, z którym się poprzykaliście, bo znaleźli was leżącego twarzą do ziemi, gołego jak niemowlę!

Wielebny pobladł i zaczął się pocić w nadmiernie nagrzanym studiu.

– Na tym polega wybaczenie... – spróbował przerwać Pinnowi.

– Akurat! Nie przebaczę temu łobuzowi. Co to, to nie. Jeszcze go kiedyś dorwę i zobaczymy, kto komu dołoży. – Spojrzał gniewnie w kamerę, patrząc prosto na Dymka. – I co więcej, na pewno ktoś z was wie, gdzie chowa się ten jadowity wąż. Jeśli ktoś go widział, niech zadzwoni pod ten bezpłatny numer, który widać na dole ekranu, a dostanie od nas nagrodę. – Powtórzył numer kilka razy. – Występuje pod ksywką Dymek i jest przeciętnym białym chłopcem z dredami i czymś, co nazywa brodą, a tak naprawdę ma tam mniej włosów niż opos na ogonie.

– Ej tam! – zaprotestował Opos i cisnął puszką po piwie w telewizor. Dymek zepchnął Oposa z kanapy i kazał mu się zamknąć.

– Uszkodzi ten telewizor, a urwę ci łeb!

– Nie wiemy, jak się obecnie ubiera, bo kiedy go ostatnio widziałem, miał na sobie pomarańczowy więzienny kombinezon, ale to młody biały mężczyzna, podstępny jak jadowity wąż – ciągnął Pinn. – Założę się, że nie przynosi żadnego pożytku swoim sąsiadom. O nie, nie! Więc posłuchajcie. – Przyjrzał się swoim niewiadomym widzom. – Nie chcielibyście chyba, żeby w waszej okolicy chował się jadowity wąż?

– Będziemy bardzo pilnie przyglądać się okolicy – zapewnił go wielebny Justice, ocierając sobie twarz chusteczką. – Bez wątpienia, dzieje się wiele zła. Wystarczy wspomnieć ten niedawny napad na Mosesa Custera, którego pobito i ukradziono mu tira spod stoiska z dyniami.

– Zabrali faję, czy tylko kabinę? – Okropna historia na chwilę oderwała Pinna od tematu.

– Nic z tych rzeczy, tam wcale nie było marychy – zrobił sobie dowcip Dymek. – Bardzo żałuję, że znaleźliśmy w środku tylko te pieprzone dynie. Wiecie co, mnie się wydaje, że Pinn to ten gość, Tropiciele Prawdy. Może to on wypisuje te durnoty w Internecie?

– Całość – odezwał się wielebny, kiwając głową. – Więc faję też. – Faję potocznie nazywano najlepszej klasy naczepę Great Dane, mocowaną do osiemnastokołowej ciężarówki Peterbilt. – Odwiedziłem Mosesa w szpitalu.

– Wielebny ze smutkiem pokręcił głową. – Biedak wyglądał tak, jakby go pogryzły pitbullteriery.

– Co mu zrobili? – Pinn zirytował się znowu. Nie lubił, kiedy jego goście wiedzieli więcej niż on sam.

– Dlaczego przyszedł ci do głowy Tropiciele Prawdy? – zapytał Opos, który umiał posługiwać się komputerem i co rano wchodził na stronę internetową tamtego, żeby sprawdzić, czy nie ma na niej czegoś, o czym Dymek powinien wiedzieć.

Opos prowadził też wszystkie transakcje internetowe, a także wyszukiwał osiemnastokółowce, parkujące gdzieś z napisem „Do sprzedania” oraz wiadomości o wystawach, akcesoriach i częściach zamiennych do ciężarówek, piractwie, przemyśle, Kanadzie, a także strony, które interesowały go osobiście, na przykład o serialu „Bonanza” oraz wszelkich związanych z nim wydarzeniach i zjazdach, w których nigdy nie dane mu będzie uczestniczyć. Odbierał też liczne e-maile od przestępczych kontaktów Dymka, w większości anonimowe.

– Moses spał w peterbilcie – mówił wielebny Justice – kiedy nagle pojawił się ten anioł, dzięki któremu miało go spotkać coś niezwykłego, a zaraz potem stado demonów rzuciło nim o ziemię, skopało go, pobiło i pocięło.

– Nie zamknął drzwi? – zapytał Pinn z nutą potępienia, bo kiedy tylko mógł, starał się obarczyć winą ofiarę i już chciał oświadczyć, że Moses Custer nigdy by nie został napadnięty przez demony, piratów ani też nikogo innego, gdyby zablokował zamki w drzwiach.

– Pewnie nie, ale to nie znaczy, że jest winien. – Wielebny posłał mu surowe spojrzenie.

– Hej! – włączył się Kuda. – Może powie, gdzie on leży, to pójdziemy go wykończyć?

– E tam, on nie jest Tropicielem Prawdy – oznajmił Opos. – Chyba że pisze o wiele lepiej, niż mówi. Myślę, że jest nim jakiś policjant. Tyle napisał

o piratach i DNA i innym gównie, to lepiej, żebyśmy uważali, bo jeszcze nas dopadnie. Na pewno zna tysiąc sposobów, żeby się dowiedzieć różnych rzeczy, a ty już kiedyś siedziałeś. – Popatrzył na Dymka. – Twój opis jest wszędzie, więc może lepiej przestańmy być piratami i może byśmy sobie znaleźli prace w jakimś sklepie, restauracji albo co...

– Zamknij się! – wrzasnął Dymek i w tej samej chwili otworzyły się aluminiowe drzwi przyczepy i pojawiła się w nich Unique, niosąca coś w plastikowej torbie na śmieci.

– Potrzebuję pieniędzy – zwróciła się do niego. – Jesteś mi winien kasę.

– Drodzy, zatroskani widzowie. – Pinn wysunął palec w stronę kamery, znów rozdrażniony wspomnieniem swoich przeżyć. Do diabła z Mosesem Custerem i całą resztą. – Jeśli zobaczycie przeciętnie wyglądającego białego chłopaka z dreadami, dajcie mi natychmiast znać.

– Mówiłem, że mają opis! – wrzasnął Opos.

– Było coś o lesbijce, dopiero co zamordowanej na Belle Island? – zapytała Unique, wpatrując się w telewizor.

– Jakiej lesbijce? – ziewnął Dymek.

– Nie, ale Tropiciele Prawdy napisał o niej w Internecie, tylko że nie wspominał, że to lesbijka – dodał Opos. – Prosił obywateli o informacje.

Unique pomyślała, że to bardzo zabawne. Nie będzie żadnych informacji. Kiedy wychodziła z T. P. z baru, postarała się o niewidzialność, więc to niemożliwe, żeby ktoś ją zobaczył i mógł o tym poinformować Tropiciele Prawdy albo kogokolwiek innego. Uzyskiwanie niewidzialności miało swoje wady. Unique w końcu zrozumiała, iż właśnie to, że dążąc do celu, przestawia swoje molekuły, sprawia, iż potem nic nie pamięta. A wspomnianie niedawnego okrucieństwa stanowiło największą przyjemność.

– Chwytajcie za słuchawki. – Pinn powtórzył numer telefonu, widoczny na dole ekranu. – Ten, kto udzieli nam informacji, dzięki którym dorwiemy tego drania, dostanie pięćset dolarów. Mówi A. P. Pinn z „Oko w oko

z Pinnem”. Dobranoc. – Uśmiechnął się promiennie do kamery.

– Może powinniśmy wyjść i trochę się rozejrzeć – zaproponował Kot, znudzony programem oraz wiadomościami, które po nim nastąpiły. – Zdejmę plandekę z wozu i wyruszmy na polowanko.

– No – chrząknął Kuda. – Piwo się kończy, a mnie została jedna fajka. – Wstał i przeciągnął się. – Poszukajmy tego skurwiela, Custera, i wykończmy go w szpitalu, zanim zacznie kłapać gębą.

– Co on tam wie – warknął Dymek. – A gdybyś ty od razu go zabił – zwrócił się do Oposa – nie musielibyśmy się niczym martwić.

Kiedy tamtej nocy krążyli, szukając ofiary, Opos wypił trochę za dużo piw, więc strzelił niecelnie i kula trafiła Mosesa w stopę, zrzucając mu tylko but.

– Nie ma co, trzeba go znaleźć – zgodził się, wbrew własnemu przekonaniu. – Tym razem łupnę go w sam środek głowy. – Chcąc sprawić wrażenie, że jest równie wyluzowany jak jego szef, wyciągnął zza paska dzinsów o niskim kroku pistolet kalibru dziewięć milimetrów i skierował go w stronę ekranu, jakby to było łóżko szpitalne.

– Strzel w telewizor, gnoju, a rozwalę ci łeb. – Dymek zerwał się na równe nogi, chwycił pistolet, wymierzył go w głowę Oposa i odbezpieczył.

Chłopak przełknął ślinę, szeroko otworzył oczy z przerażenia i zaczął prosić:

– Dymek, nie rób tego! Błagam! Żartowałem tylko.

– Oddaj mi forszę – powiedziała Unique swoim cichym, łagodnym głosem, a w jej oczach zalśnił mroczny płomień gniewu. Narastający w niej Cel zaczął tworzyć nieznośne napięcie w jej Ciemnościach.

Tamten zignorował ją i, zaśmiaawszy się, strzelił w podłogę. Łuska odbiła się od lampy, a Dymek rzucił pistolet Oposowi.

– W takim razie zastrzelę tego durnego psa, skoro tak go lubisz. Przyprawdź go!

– Nie! – zawołał chłopak. – Proszę cię, Dymek. Nie możesz strzelać do

małego pieska! I wcale jej nie lubię! Nie znoszę tego głupiego kundla, ale jest nam potrzebna! Szkoda dla niej kuli!

– I tak ją w końcu zastrzelę – stwierdził Dymek. – Albo jeszcze lepiej podpale. Jak już będę gotów, żeby dopaść tę kurwę Hammer. Zapłaci mi za to, że mnie aresztowała. Ona i ten dupek, Andy Brazil!

Opos niechętnie wycofał się do swojego pokoju, gdzie przeżył wstrząs, widząc fotografię Wytrzeszcz w czerwonym kubraczku, wypełniająca cały ekran monitora. Prawdziwa Wytrzeszcz spała na łóżku chłopaka i spostrzegła swoje zdjęcie w tej samej chwili, gdy Opos ją obudził.

– Kurwa! – szepnął. – On się nie może o tym dowiedzieć – ostrzegł suczkę, kiedy wziął ją na ręce i zobaczył, że cała trzęsie się z podniecenia i strachu.

Tropiciel Prawdy w jakiś sposób dowiedział się, że Wytrzeszcz została porwana i jeszcze żyje! Szukał jej i wzywał cały świat do pomocy. Oczywiście, Wytrzeszcz wiedziała doskonale, że to Andy jest Tropicielem Prawdy, bo wielokrotnie słyszała jego rozmowy ze swoją panią, kiedy planowali stronę internetową. Później Andy nagle zniknął, a potem Wytrzeszcz też.

– Za nic bym cię nie skrzywdził, malutka – szepnął jej Opos do ucha. – Ale Dymek jest wredny, sama wiesz. Musimy tak zrobić, żeby się nie dowiedział, że Tropiciel Prawdy wyznaczył za ciebie nagrodę i wszyscy zaraz ruszą ci na pomoc, zupełnie jak w „Bonanzie”.

Wytrzeszcz nie potrzebowała, żeby jej przypominać, jaki Dymek jest wredny i chętnie oddałaby swoją ulubioną sztuczną wiewiórkę za to, żeby móc zatopić zęby w jego łydce. Do końca życia nie zapomni tej strasznej chwili, kiedy pani wypuściła ją przez drzwi frontowe i musiała na chwilę wrócić do domu, bo nie pamiętała, czy wyłączyła kuchenkę. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pani pobiegła do kuchni, Wytrzeszcz obwąchiwała trawnik przy chodniku i nagle podjechała czarna toyota land cruiser, zatrzymała się z wizgiem hamulców, otworzyły się drzwiczki

i wyskoczył Opos z psim smakołykiem w dłoni.

– Chodź do mnie, Wytrzeszcz, dobry piesku – powiedział, jakby był najmilszym z ludzi pod słońcem. – Zobacz, co dla ciebie mam!

Zanim Wytrzeszcz zdążyła się opamiętać, złapano ją i wrzucono na tylne siedzenie samochodu, który prowadził ten nikczemny potwór, Dymek. Wytrzeszcz wywieziono do przyczepy kempingowej, gdzie trzymano ją aż do tej pory i gdzie każdej nocy śniła o swojej pani, która, jak utrzymywał, nie żyła. Przez jakiś czas Wytrzeszcz mu nie wierzyła, ale w końcu musiała uznać za prawdopodobne, że jej pani opuściła ten świat, bo inaczej już dawno by przecież znalazła Wytrzeszcz i wsadziła Dymka do więzienia na resztę jego parszywego życia.

Opos przytulił Wytrzeszcz i zaniósł suczkę do pokoju dziennego. Nauczył się udawać wiele rzeczy, w tym uczucia. Zadbął o to, żeby sprawiać wrażenie, jakby zajmowanie się ich psim więźniem sprawiało mu sporą niewygodę. Nigdy nie ujawnił, że między nim a Wytrzeszcz zawiązała się przyjaźń i że psina była najprawdopodobniej jedynym jasnym punktem w jego życiu, poza powtórkami w telewizji, które oglądał, kiedy inni piraci zasnęli. Wytrzeszcz skuliła się na kolanach Oposa i liznęła go w rękę.

– Może pora, żeby zawiadomić Hammer, że mamy jej psa – powiedział Dymek, dając Unique pieniądze. Dziewczyna oddaliła się bezszelestnie. – Przyjdzie na spotkanie, a kiedy to zrobi, to odstrzelę jej ten pieprzony łeb i Brazilowi też.

– Aha – powiedział Kuda. – Gadasz tak już od miesięcy, szefie. A ja ciebie pytam, co będzie, jak ona weźmie więcej policjantów? Albo jak ten gość, Brazil, zaatakuje pierwszy? Mówiłeś, że ostatnim razem, kiedy mieliście ze sobą do czynienia, skończyłeś w pierdlu, więc on musi być Tym.

– On nie jest Tym! Ja nim jestem! Może zabijemy każdego, kto się tam pokaże i ciebie też – zadrwił sobie okrutnie Dymek, spoglądając na Wytrzeszcz. – Zamknij tego kundla w swoim pokoju i wyślij e-mail do Kapitana Bonny'ego. Zapytaj go, kiedy wreszcie, do cholery, wykorzystamy

to zwierzę, żeby dostać tamtych skurwysynów! – polecił Oposowi. – Mam dość tego czekania! – zwrócił się do wszystkich. – Idź po samochód! – warknął do Kota.

Opos zalogował się do Internetu, nacisnął ULUBIONE i otworzył nadętą i napuszoną stronę Kapitana Bonny'ego. Przeszedł do części „Kontakt” i wystukał wiadomość, zupełnie odwrotną niż to, czego sobie życzył Dymek.

Drogi Kapitanie Bonny My piraci jeszcze nie jesteśmy gotowi na Wielki Skok. Damy ci znać.

Tfuj Pirat Opos

Major Trader siedział w gabinecie w swoim przeznaczonym na handel domu i jadł banana z lodami i bitą śmietaną, kiedy nadeszła wiadomość. Coraz bardziej irytował go pirat Opos i ci jego zdradliwi, prymitywni kumple. Trader sumiennie dostarczał bandytom informacji i pilnował, żeby nie trafili do mediów, ale do tej pory nic mu z tego nie przyszło. Niech się lepiej postarają, kiedy już zrobią ten swój Wielki Skok, który, jak Trader przypuszczał, miał polegać na przesmugłowaniu wielkiej ilości kokainy, heroiny i broni przez granicę kanadyjską.

Drogi Piracie Oposie Jak zawsze bardzo się ucieszyłem z Twojego listu. Jednak nie zapominajcie, że kiedy zorganizowałem porwanie Wytrzeszcz, żebyście mogli zastawić pułapkę na komendant Hammer, umówiliśmy się, że otrzymam za to sowitą nagrodę. Do tej pory czekałem cierpliwie, ale teraz moje warunki uległy zmianie! Domagam się nie 50%, ale 60% udziału w łupie. Ma to być gotówka, zapakowana do wodoodpornej walizki i zostawiona w miejscu, które sam wybiorę. Jeśli nie dotrzymacie słowa, będę zmuszony użyć siły.

Pozdrowienia Słynny Kapitan Bonny

ROZDZIAŁ 11

Czarne drzwi frontowe restauracji Ruth's Chris Steak House otworzyły się powoli i z dawnej rezydencji plantatora wyszli gubernator Crimm i Pierwsza Dama, otoczeni ze wszystkich stron przez poważnych ochroniarzy w schludnych garniturach. Cztery córki Crimmów, wszystkie niezamężne i po trzydziestce, podążały za swoimi ważnymi rodzicami, oddzielone od reszty społeczeństwa kolejnym murem funkcjonariuszy, którzy zamykali procesję.

Macovich szybko wyrzucił papierosa i rozprostował swoje wielkie cielsko, wydobywając się z samochodu, podczas gdy Andy wygładził ciemnoszary mundur, sprawdzając, czy krawat, sprej z pieprzem, kajdanki, pałka, dodatkowe magazynki z amunicją, pistolet i gwizdek są na swoich miejscach. Przyszło mu też do głowy, że poruszanie tematu Tangier Island albo komendant Hammer w obecności tylu par oczu i uszu może się okazać nie najlepszym pomysłem. Z pewnością nie poprawi to prestiżu szefowej, jeżeli jej ludzie dowiedzą się, że gubernator nigdy nie odpowiada na telefony pani komendant ani się z nią nie spotyka. Co więcej, ze sposobu poruszania się gubernatora, Andy wywnioskował, że Crimm chyba nie jest całkowicie trzeźwy.

– Słuchaj, gubernator albo ta jego córka, którą wczoraj zirytowałeś, może sobie przypomnieć cię i coś powiedzieć – zaczął mówić Andy, doganiając Macovicha, podczas gdy szacowna rodzina zmierzała ku nim powoli. – Więc myślę, że może odprowadzę go na bok. Wydaje mi się, że jest trochę pijany.

Macovich nie miał zamiaru ułatwiać Andy'emu prywatnego spotkania z Crimmem, zwłaszcza, że ten trochę sobie podchmielił i był w znacznie lepszym i bardziej szczodrobliwym nastroju niż zwykle. Macovichowi jeszcze tego brakowało, żeby Brazil został ulubieńcem gubernatora, jakby nie wystarczało, że jest faworytem Judy Hammer. Przez kilka długich lat Macovich usiłował wyrobić sobie dobrą pozycję, a nawet zdobyć sympatię Crimma, jednak bez najmniejszego powodzenia, a incydent przy bilardzie w najmniejszym stopniu nie poprawił jego notowań.

– E, lepiej tego nie próbuj – usiłował zniechęcić Andy'ego. – Zwłaszcza jak sobie popije. Robi się wtedy całkiem nieprzyjemny.

Macovichowi było trochę wstyd, że okłamuje kolegę, ale nie potrafił się pohamować. Obawiał się, że jego kariera stanęła w martwym punkcie i jeśli nie będzie postępował sprytnie, skończy jako ochroniarz w supermarkecie albo będzie woził gderliwych, rasistowskich biznesmenów w firmie czarterowej. Ale ku zdumieniu i irytacji Macovicha, Andy kompletnie zignorował jego uwagi, podszedł do Crimma i uściskał mu dłoń.

– A więc teraz ochrania mnie wojsko. – Gubernator wyglądał na zadowolonego, mgliście rozpoznając, że stojący przed nim mężczyzna nosi mundur, a zatem należy do armii albo Gwardii Narodowej. – Bardzo dobrze.

Trzy najstarsze córki Crimmów skoncentrowały uwagę na Andym jak żądne krwi pijawki. Czwarta, która w sposób boleśnie widoczny zatrzymała się w rozwoju na okresie dojrzewania, mlaskała gumą do żucia. Gubernator Crimm uśmiechnął się, klepiąc się w poszukiwaniu szkła powiększającego, które przymocował sobie do łańcuszka od zegarka kieszonkowego, żeby jego ulubiona pomoc optyczna nigdy więcej nie trafiła do kompotiery. Za grubą soczewką pojawiło się ogromne oko, badawczo przyglądające się, kto jest świadkiem jego życzliwej pogawędki z młodym żołnierzem.

– Im więcej ochrony, tym lepiej, zawsze to powtarzam – stwierdził Bedford Crimm. – Jak się nazywasz, żołnierzu?

– Andy Brazil. Chciałbym zostać pańskim pilotem, panie gubernatorze.

O ile oczywiście, wyrazi pan zgodę. Może udałoby mi się zamienić z panem kilka słów na ten temat?

– Założę się, że chciałbyś dostać się do biura ochrony, co?

Crimm słyszał już takie prośby wielokrotnie. Każdy policjant chciał się dostać do biura ochrony, tak samo jak większość agentów federalnych pragnęła przenieść się do tajnych służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo prezydenta. Chodziło przede wszystkim o władzę, o znalezienie się w pobliżu szczytu. Niejasno spostrzegł też, że Andy jest przystojnym młodzieńcem, dobrze zbudowanym, ale nie górą mięśni, jak inni mężczyźni i kobiety, którzy ochraniaли Pierwszą Rodzinę. Postura Andy'ego sugerowała, że potrafi on omijać zagrożenie, zamiast atakować wprost i całym ciałem, a poza tym gubernatorowi przyszło do głowy, że Andy mógłby się okazać całkiem niezłym mężem dla chociaż jednej z jego córek. Potem w przeciążonym i otepiałym umyśle Bedforda pojawiła się myśl, że wolałby, aby taki atrakcyjny młody człowiek nie kręcił się w pobliżu jego żony.

Mimo licznych przysięg i zaklęć nawet na rodzinną Biblię Crimmów Pierwsza Dama nie zdołała przekonać męża, że nie ukrywa kochanków w pomieszczeniach na pościel. Wczoraj Crimm nieoczekiwanie wrócił do domu na lunch i natknął się na Pony'ego, który na kolanach wycierał szmatą podłogę w jednej z garderób.

– Co ty tu robisz? – zapytał, szukając łańcuszka od zegarka i umocowanego do niego szkła.

– Przecieram trochę podłogę – wyjaśnił Pony, nerwowo wcierając pastę w rysy, pozostawione przez trójnogi na drewnie. – Od dawna miałem to zrobić, panie gubernatorze. No i właśnie teraz się do tego wzięłem. Mamy dzisiaj pyszną zupę groszkową, jeśli pan zechce spróbować.

– Jest w niej szynka? – Gubernator przyglądał się porysowanemu parkietowi przez szkło powiększające. – Dlaczego ta podłoga jest taka pokancerowana? Wygląda, jakby ktoś po niej chodził w butach nabitych gwoździami albo do stepowania.

– To chyba od odkurzacza – podsunął Pony, pracowicie zacierając rysy. – Tyle razy powtarzałem sprzątaczkom, żeby nie wstawiały odkurzacza do pomieszczeń na pościel. Obawiam się, że w zupie jest szynka. Nie wiedziałem, że przyjdzie pan na lunch, bo dopilnowałbym, żeby nie dodano do zupy szynki ani nawet kości wieprzowych, proszę pana.

Kiedy Pony składał te wyjaśnienia, gubernator usłyszał stukot, jakby ktoś zbiegał po schodach w podkutych butach. Crimm ruszył w tamtym kierunku, jednak nie zdążył dotrzeć do źródła dziwnych dźwięków, które skojarzyły mu się ze szczękiem ostróg albo zbroi, i w jego duszy głośnym wrzaskiem wybuchnął niepokój o żonę. Czy bawiła się w jakieś dziwaczne przebieranki z nieznanym mężczyzną, którego poznała w Internecie? Wyobraził sobie, jak pręży się wyuzdanie do jurnych młodych samców, odzianych tylko w ostrogi albo hełm z pióropuszem, czy też może jedno i drugie. Kopulacja Maude z jej lubieżnymi satyrami odbywała się prawdopodobnie przy akompaniamencie metalicznych brząków i może w użyciu były też magnesy, mające zwiększyć przyjemność, zanim Maude zacznie zauważać grzyb na ścianie albo pajęczyny pod sufitem i odmawiać swym cyberkochankom tak samo jak czyniła to wobec gubernatora już od wielu lat. Domyślał się, że Andy Brazil też jest wmieszany w całą intrygę. Crimm podejrzewał, że mogli się poznać z Maude przez Internet i Andy zgłosił się, żeby wozić Pierwszą Rodzinę, ale tak naprawdę to chciał tylko wozić żonę gubernatora.

– Żeby awansować na pracownika ochrony, trzeba najpierw być policjantem stanowym – powiedział surowym tonem gubernator.

– Jestem policjantem. I mamy mało pilotów – dodał Andy, zwracając się do Pierwszej Damy, bo z natury był grzeczny i nie miał zwyczaju traktować żon swych rozmówców jak nieistotnych dodatków.

– Zauważyłam, że ostatnio mamy zawsze tego samego pilota – stwierdziła i, poirytowana nagłym przypomnieniem, spojrzała gniewnie na Macovicha.

Gdzie się podzieli wszyscy inni piloci? O ile sobie przypominała, mieli ich wielu jeszcze na początku roku, więc uznała, że to wina tej wyrywającej

jaja baby, która została komendantem policji stanowej. Trader opowiadał o niej najgorsze rzeczy. Jak ona się nazywa? Od jakiegoś narzędzia? To by do niej pasowało. Młot pneumatyczny?* [Sledgehammer (ang.) – młot pneumatyczny]. Nie, chyba nie. Pani Crimm wyteżyła pamięć. Sledge.

Właśnie. Komendant Sledge. Może nadeszła pora, żeby Pierwsza Dama wysłała jej ostrą notę, domagającą się większej liczby pilotów. Przypomniała sobie swoje ulubione powiedzenie: „Różnorodność nadaje życiu smak”, i powiedziała je na głos.

– Proszę? – zdumiał się Andy.

– Ciekawa jestem, czy pan się z tym zgadza – wyjaśniła pani Crimm. Andy wyczuł, że to jakiś test i odparł:

– Zazwyczaj, ale nie zawsze. Na przykład ja nie noszę do pracy różnych ubrań. Zawsze mundur. Bardzo go szanuję i z przyjemnością wkładam codziennie, więc w moim wypadku nie ma miejsca na różnorodność.

– Co? – Gubernator wychwycił tajny kod żony i zdumiał się jej bezceremonialnością. Wyobraził też sobie, jak gzi się z tym gościem, który pewnie w takich chwilach nosi tylko swój służbowy pas. – Różnorodność najmniej się liczy w życiu! – ryknął. – Najważniejsza jest wierność i służba zwierzchnikowi. I co do tego ma smak? – Przez szkło powiększające posłał niewiernej żonie gniewne spojrzenie.

– Kochanie, uspokój się – powiedziała Pierwsza Dama, która nagle przypomniała sobie o trójnogach, ukrytych w spiżarni przeznaczonej do przechowywania przypraw. – Mówiłam ci, żebyś nie jadł tyle kwaśnej śmietany i masła. Wiesz, jak to wpływa na twoją łódź podwodną. – Była pewna, że tym odwróci uwagę męża. – No bo to przecież tłuszcze zwierzęce i nabiał są dla niej jak olej napędowy, a przyprawy nie stanowią problemu, zresztą dzisiaj wcale ich nie było, poza solą, którą wszystko obficie posypywałeś. Unikamy przypraw i nie bez powodu, prawda? I nie będziemy o nich więcej mówić, bo mogłyby wywołać skojarzenia, które pobudzą twoją łódź podwodną i wywołają zakłócenia, przez co puszczą ci uszczelki,

wzniecając muł od samego dna. Funkcjonariuszu Brazil... cóż za egzotyczne nazwisko, czy wywodzi się pan z Ameryki Południowej? Nie miał pan jeszcze okazji poznać Constance, Grace i Faith?

Pierwsza Dama zawahała się przed wymienieniem imienia czwartej, najmłodszej córki, najmniej atrakcyjnej w okolicy.

– A pani? – zagadnął Andy pominiętą dziewczynę, podświadomie oczekując, że usłyszy, iż nazywa się Obzartuch albo Fleja z uwagi na swój charakter albo wygląd.

– A co to pana obchodzi? – Gwałtownie mlasnęła, żując sporą porcję gumy, a Andy zdumiał się jej obcesowością i brakiem wdzięku. – I widziałam, że wysiadał pan z nieoznakowanego samochodu. – Skrzywiła się. – Co za sens jeździć nieoznakowanym samochodem, kiedy się nosi mundur? To już trzeba być kompletnym kretnym.

– Sądząc z akcentu, pochodzi pani nie stąd. – Andy zignorował złe maniery dziewczyny, próbując umiejscowić jej prostacką wymowę. Nie zamierzał też ujawniać, że komendant Hammer nalegała, żeby używał nieoznakowanego samochodu ze względu na to, że ukrywał swoją funkcję dziennikarza, a szefowa wolałaby zwracał na siebie jak najmniej uwagi.

– Urodziłam się w Grundy, w kopalniach – odpowiedziała źle wychowana córka.

– Absolutnie nie! – Pierwsza Dama była oburzona. – Nosłam ją podczas objazdu wyborczego pod zachodnimi granicami Wirginii, gdzie zwiedziliśmy kilka kopalni – poinformowała Andy’ego, podczas gdy gubernator rozglądał się przez szkło powiększające, szukając helikoptera, a otaczający całą grupę ochroniarze czekali na dalsze rozkazy. – Ale urodziła się w szpitalu, tak samo jak wszystkie moje córki – dodała pani Crimm z urazą, rzucając wciąż bezimiennej dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie.

– Z pewnością przyda nam się jeszcze jeden pilot – stwierdził z przygnębieniem gubernator, żałując, że tyle zjadł i musiał wysłuchiwać uwag żony o łodzi podwodnej.

Bywały chwile, że Bedford Crimm nie lubił takiego życia. W stanie Wirginia gubernator nie mógł sprawować dwóch kadencji z rzędu, więc Crimm zawsze musiał odczekać cztery lata, zanim kandydował ponownie. Przez dwadzieścia lat krążył w skomplikowanym, przestarzałym, dziwacznym systemie: szefował jedną kadencję, pracował w sektorze prywatnym przez następną, a potem znowu wracał do rezydencji na cztery lata. Biały Dom zrobił się z czasem mniejszy i bardziej odległy. Gubernator Crimm przekroczył już siedemdziesiątkę, wódka szła mu prosto do głowy, a źle działająca łódź podwodna prawie nigdy nie podążała właściwym kursem.

Ochroniarze zaczęli się niepokoić. Dookoła gromadził się tłumek. Andy nie był idiotą. Zdawał sobie sprawę, że wożenie gubernatora przyniesie mu dodatkową korzyść, bo będzie mógł zdobyć więcej informacji do felietonów Tropicielea Prawdy.

– Panie gubernatorze – powiedział. – Pragnę jeszcze raz podkreślić, że będę zaszczycony, mogąc wozić pana i pańską rodzinę nowym helikopterem, a chociaż nie muszę należeć do ochrony, będę także pana ochraniać. Czy nie moglibyśmy jeszcze zamienić kilku słów bez świadków.

Macovich dusił się ze złości, ale nikt tego nie dostrzegł, bo policjanci są szkoleni, żeby nigdy nie okazywać, co się dzieje w ich duszy. Jediną pocięchą, jaką czerpał tego chłodnego, wrześniowego wieczora, obserwując, jak Andy go zaćmiewa, było to, że bardzo dobrze znał imię okropnej córki Crimmów. Uhu-hu, i to jak jeszcze. Nigdy z nią nie rozmawiał, nawet wtedy, gdy pokonał ją w grze w bilard, jednak zawsze bacznie się jej przyglądał zza swoich ciemnych okularów.

Nazywała się Regina i na tym właśnie polegał jej główny problem, poza tym oczywiście, że była niestety zbyt gruba i miała szeroką, nieładną twarz. Wszyscy w policji wiedzieli, że skłonności dziewczyny niezupełnie zgadzały się z marzeniami Pierwszej Damy, rozpaczliwie szukającej mężów dla swoich nieatrakcyjnych córek.

– Funkcjonariusz Brazil nie jest dobrym pilotem – szepnął Macovich pani Crimm, uznając, że najlepiej ochroni swoje terytorium, posyłając go w górę.
– Ale nie jest żonaty i ostatnio zrobił się trochę przygnębiony. Wydaje mi się, że czuje się samotny.

– Jakie to przykre! – odszepnęła Pierwsza Dama. – Zaproszę go do rezydencji!

– To bardzo miłe z pani strony – odparł Macovich takim tonem, jakby propozycja gubernatorowej była szczytem wielkoduszności.

Andy Brazil nie ma pojęcia, w co się pakuje, pomyślał Macovich z dreszczem podniecenia. Ten biały piękniś zostanie rozerwany na strzępy jak strach na wróble w łapach małąp, kiedy będzie musiał spełniać rozkazy tej złośliwej wiedźmy z Zachodu, czy skąd tam ona pochodzi.

– Chyba powinniśmy się zbierać – powiedział gubernator, czując, że jego łódź podwodna zanurzyła się w mętym bagnie, wydzielanym przez pęcherzyk żółciowy. – Nie czuję się najlepiej i nie powinienem być jeść tego belgijskiego ciasta z karmelem, które Trader nam przysłał do restauracji – dodał, widząc, że Andy patrzy na niego pytająco. – Tak jest, Maude, powinienem się zacząć ograniczać.

Macovich i ochroniarze odprowadzili Pierwszą Rodzinę do helikoptera, a Andy wyciągnął telefon komórkowy. Zaraz zadzwoni do restauracji i poleci im zapakować resztki ciasta karmelowego do szczelnej plastikowej torebki. Nagle przypomniał sobie, że obiecał pani Hammer, że powie gubernatorowi o sytuacji na Tangier Island. Zawarczał silnik helikoptera, a cztery łopaty zaczęły się obracać. Andy podbiegł do drzwi.

– Gubernatorze! – krzyknął. – Komendant Hammer ma pilne wiadomości i musi z panem koniecznie porozmawiać! – Jego słowa zginęły w huk.

– Ktoś tu palił! – odezwała się Pierwsza Dama jak niezawodny alarm przeciwpożarowy, chroniąc wylakierowane na sztywno włosy przed nagłym podmuchem powietrza.

– To nie ja – odezwali się zgodnym chórem wszyscy policjanci.

Dymek i jego podwładni obserwowali całą tę scenę zza przyciemnionych szyb czarnej toyoty land cruiser, która została ukradziona w Nowym Jorku i po całej serii transakcji znalazła się w posiadaniu bandy, już z nowymi tablicami rejestracyjnymi i spiłowanymi numerami identyfikacyjnymi. Piraci krążyli po okolicy i przypadkiem znaleźli się przy Bellgrade Shopping Center, w pobliżu którego za kępą starych drzew kryła się restauracja Ruth's Chris Steak House i musieli zauważyć wielki helikopter, stojący na trawniku.

Żaden z nich nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego, a kiedy otwarto gaz na całą moc, Dymek i jego kumple gapili się z rozdziawionymi ustami na wirujące łopaty, jaskrawe światło dolnych reflektorów i pochylające się pod silnymi podmuchami drzewa.

– Kurwa! – wykrzyknął Dymek. Rzadko się zdarzało, żeby okazywał inne uczucia oprócz gniewu i nienawiści. – Patrzcie tylko!

Kuda, Opos i Kot siedzieli w milczącym podziwieniu, a łoskot śmigieł dudnił im w uszach, przyprowadzając całą trójkę o przyspieszone bicie serca.

– Ciekawe, czy trudno go pilotować – zastanawiał się Dymek. – Wyobrażacie sobie, co moglibyśmy zrobić, mając coś podobnego! Pierdolić tiry! Kurwa, nigdy by nas nie złapali i śmigalibyśmy do Kanady i z powrotem dwa razy szybciej niż teraz i jeszcze pozbylibyśmy się pośredników!

Helikopter wystartował, oświetlając dziko miotającą się trawę, a przez szerokie okno części pasażerskiej Dymek dokładnie widział jedną z córek Crimma, rozrywającą torebkę z jakimś gównianym żarciem, pewnie chipsami. A potem zauważył coś jeszcze. Andy Brazil biegł truchtem do nieoznakowanego samochodu. Widok ten sprawił, że krew Dymka zawrzała. Kiedy Andy był policjantem miejskim, razem z Judy Hammer doprowadzili, że chłopak został schwytany i wsadzony do więzienia. Siedząc tam, każdego dnia snuł w wyobraźni sadystyczne wizje tego, co zrobi z dwójgim gliniarzy.

– No, no – powiedział, kiedy helikopter wzniósł się ponad drzewa i ruszył z hukiem przed siebie. – Patrzcie, kto tutaj jest. Może powinienem mu rozwalić ten pierdolony łeb już teraz?

– Czyj łeb? – Kot oderwał wzrok od świateł pozycyjnych, przesuujących się po ciemnym niebie. Spojrzał tam, gdzie patrzył jego szef i zobaczył jasnowłosego policjanta, wsiadającego do nieoznakowanego samochodu.

– Dlaczego chcesz mu rozwalić łeb, człowieku? – zaprotestował Opos, kiedy Dymek wrzucił bieg. – Nie rób czegoś takiego, tu aż się roi od glin! Zwariowałeś! Jak tak, to ja wysiadam!

Siedział z przodu i kiedy chwycił za klamkę, Dymek z rozmachem uderzył go w twarz. Kuda i Kot skulili się na tylnych siedzeniach i umilkli, marząc, by się stali niezauważalni. Nienawidzili swojego szefa, ale nie mieli dokąd pójść a zaliczyli już tyle wykroczeń, że nie pozostawało im nic innego, jak zostać w jego służbie. I jeden, i drugi zaczęli w gangach ulicznych, których działało bez liku. Bycie piratem równało się stanowisku w mafii, pomyślał Kot, starając się nawet nie mrugnąć. Nikt nie odważył się postawić Dymkowi i jego piratom, i teraz zajmowali się czymś więcej niż okradaniem ludzi przy bankomatach i bezsensownym strzelaniem. A nie dalej jak wczoraj Dymek zabrał swoich żołnierzy do Cloverleaf Mail i kupił wszystkim nowiutkie buty Nike oraz pizze z frytkami, które zjedli przy stolikach w supermarketowej restauracji.

Więc wcale nie było tak źle... Opos też próbował się jakoś pocieszyć. Tylko miał już dosyć dostawania po łbie od Dymka i zamartwiania się, że ten skrzywdzi albo zabije biedną małą Wytrzeszcz. Kiedy chłopiec dorastał, jego tata też bił go od czasu do czasu i robił okropne rzeczy przy stole, na przykład wbijał noże do mięsa w drewno i rzucał jedzeniem. Ojciec lubił strzelać do królików i przyglądać się, jak psy rozszarpują małe, krzyczące stworzenia. Opos zamieszkał w piwnicy; wagarował i w ciemności oglądał telewizję. Z czasem przestał rosnąć. Wyłaniał się z podziemia tylko nocą po to, żeby wygarnąć trochę jedzenia i alkoholu z lodówki, kiedy rodzice

przestali się już awanturować i posnęli.

Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów, dopóki nie nauczył się widzieć w ciemnościach, a słońce zaczęło go razić w oczy. Wtedy począł się wymykać z piwnicy po północy i krążyć po Northside's Chamberlayne Avenue, przyglądając się tęsknie mijającym go płynnie samochodom i normalnym ludziom... ludziom, którzy mogli wychodzić i wracać, kiedy im się tylko spodoba i nie musieli spędzać dni w piwnicy, słuchając jak własny ojciec rozwała dom, bije ich matkę i torturuje zwierzęta.

Pewnej nocy, mniej więcej około drugiej, Opos kręcił się, popijając piwo, koło parkingu przy Azalea Mail, obserwując bankomat i licząc na to, że ktoś zapomni zabrać wszystkie pieniądze, kiedy zatrzymała się przy nim toyota land cruiser. Opos zaczął uciekać, ale Dymek był szybszy. Zanim Opos się zdążył obejrzeć, leżał na chodniku, a biały chłopak z dreadami mierzył mu w głowę z pistoletu i kazał wsiadać do auta. Opos został piratem i czasami tęsknił za piwnicą i swoją mamą. Raz... ale tylko raz... zadzwonił do niej z budki telefonicznej.

– Mam pracę na nocie – oznajmił. – Nie mogę powiedzieć, gdzie, mamo, bo tata by mnie dorwał, wiesz. Co tam u ciebie?

– Oj, skarbie, czasami nie jest nawet tak całkiem źle – odparła tym przygnębionym, zgaszonym tonem, który chłopak doskonale pamiętał. – Wracaj do domu, Jerry – dodała, bo Opos naprawdę nazywał się Jeremiah Little. – Tęsknię za tobą, synku.

– Nic się nie martw, mamo. – Oposa, stojącego w brudnej, pomazanej graffiti budce, zaczęło dławić w gardle. – Zarobię dosyć pieniędzy, żeby cię stamtąd zabrać i przeniesiemy się do jakiegoś przyjemnego motelu, gdzie on nas nigdy nie znajdzie!

Główna trudność związana z owym planem polegała na tym, że jak Opos zdążył się od tamtego czasu przekonać, Dymek zatrzymywał całe zyski dla siebie. Dawał swoim adiutantom pieniądze w miarę potrzeb i nie pozwalały je gromadzili. Opos miał dosyć jedzenia oraz tyle alkoholu i trawy, ile

zapraǳał. Nosił ładne sportowe buty i obszerne dżinsy, które mu się zawsze zsuwały. Dostał pager, telefon komórkowy, ręczny GPS, pistolet i własny pokój w przyczepie kempingowej. Nie miał jednak oszczędności i pewnie nigdy ich nie zdoła zebrać. Rozważał to, czując jak szczypie go twarz i krwawi mu warga od wewnątrz. Opos tęsknił za swoją mamą i zrozumiał, że Dymek jest jeszcze gorszy niż ojciec.

– Nie możesz go zabić w tej chwili – usiłował przemówić szefowi do rozsądku. – Lepiej zaczekać i najpierw zrobić Wielki Skok. Wtedy rozpieprzymy wszystkich skurwysynów naraz i tę sukę, Wytrzeszcz, też.

Dymek skręcił w Huguenot Road i ruszył pełnym gazem.

– Nie bój się, dzisiaj go nie załatwię, nie na oczach wszystkich. Ale dostanie za swoje, jak go dopadnę... tak samo jak ta kurwa Hammer. Hej. Może dać tę jej pieprzoną sukę pitbullowi i podrzucić trupa na jej podwórko?

– Jak to zrobisz, to nie będziesz miał na nią haka – zauważył Opos z udaną niedbałością. – Pies to twój największy atut. Ta policjantka robi wszystko, żeby go odzyskać, nie? Musisz dobrze rozegrać swoje karty i zachować cierpliwość. Może uda ci się wykorzystać to zwierzę, żeby dostać jednocześnie Hammer i Brazila. Założę się, że Brazył wie o zniknięciu psa i wcale mu się to nie podoba, co nie?

– Tak! Załatwimy ich. Tak! Oboje, kurwa, naraz! – Dymek usiłował jechać za helikopterem, który szybko zniknął na tle światła centrum miasta. – Zabierzemy ich do klubu. – Tak nazywał ich przyczepę. – Dobrze się z nimi zabawię, aż będą marzyli o tym, kiedy im wreszcie rozwalę łby i wrzucę trupy do rzeki.

Piraci wiedzieli, że jako dziecko Dymek specjalizował się w zakopywaniu żywcem królików i wiewiórek, skakaniu na żaby, chwytaniu ptaków i wyrzucaniu ich przez okno i zadawaniu innych tortur niewinnym stworzeniom. Opos zauważył też, że Dymek nadał im wszystkim imiona zwierząt, jakby chciał dać do zrozumienia, co z nimi robi, jeśli się kiedykolwiek wyłamia.

– Tak, dopadnij ich. – Udawał, że jest taką samą gnidą i twardzielem. – I zabij jeszcze innych ludzi – dodał. – I powiedz Kapitanowi Bonny’emu, że nic mu nie zapłacimy, a jeśli się będzie stawiał, to też go zastrzelimy i wrzucimy do rzeki.

– Stul pysk. – Dymek walnął go w ucho. – Muszę się dowiedzieć, gdzie trzymają ten helikopter, a potem go weźmiemy. Może się uda go odpalić, robiąc zwarcie.

– Da się bez zwarcia – odważył się powiedzieć Opos. Ucho pulsowało mu boleśnie. – Wiedziałem program na Discovery. Wystarczy wcisnąć guzik i odpalają bez niczego. Potem podnosisz taki uchwyt i sterujesz dźwignią.

– Pilotowanie helikoptera to nie to samo, co prowadzenie tira – wtrącił Kot. – To nam się nie uda.

– Sprawdźcie, gdzie jest lądowisko policji stanowej – polecił Dymek swoim piratom. – Użyjcie GPS-u.

Unique nie potrzebowała żadnych urządzeń naprowadzających, żeby trafić do celu, ale też ich nie miała. Dymek nie dał jej ani broni, ani sprzętu, chociaż mogłaby od niego dostać wszystko, czego by zapragnęła. Lecz Unique stosowała swoje specjalne metody, które promieniowały z Ciemności, tam, gdzie w otchłani jej duszy zamieszkiwał Nazista. Jadąc swoją miatą Strawberry Street, czuła się lekka i miała wrażenie, że frunie w powietrzu. Płynęła przez noc, jej długie włosy powiewały za nią, a wiatr muskał delikatną, śliczną buzię. Zaparkowała ulicę dalej od szeregowego domku jasnowłosego tajniaka, nie mając pojęcia, że to Andy Brazil... ten sam gliniarz, o którym dopiero co mówił Dymek.

Dziewczyna nie znała Dymka w czasach, kiedy Andy i Judy Hammer go aresztowali, a więc nigdy nie widziała ani nie spotkała żadnego z nich. Gdyby Unique nie znajdowała się we władzy zła, można by to określić jako niezwykle zbieg okoliczności, że śledziła nie tylko wroga Dymka, ale też Tropiciele Prawdy, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. Jednak w gruncie

rzeczy nic, co zdarzyło się w życiu Unique, nie było przypadkowe. Wiódł ją jej Cel, zgodnie z którym musiała teraz zostawić na ganku tajniaka worek na śmieci i przykleić taśmą kopertę do jego frontowych drzwi.

ROZDZIAŁ 12

Z wierzchołka jednego z siedmiu wzgórz rozciągał się widok na całe miasto. Tam właśnie znajdował się zabytkowy dom Judy Hammer, doprowadzony przez nią z wielką starannością do stanu doskonałości. Komendantka porządkowała rachunki przy starym sekretarzyku, a za oknem lśniły światła ulic i domów, przypominając jej, że odpowiada za bezpieczeństwo Wirginijczyków i jest wzorem dla kobiet z całego kraju.

Mimo to niełatwo znaleźć dla siebie mężczyznę, jeśli się zbliża do sześćdziesiątki i nosi pistolet w torebce od Ferragamo. Judy czuła się samotna i zniechęcona, a widok fotografii Wytrzeszcz na stronie internetowej kompletnie ją rozstroił. Co więcej, wiadomości dzisiaj były nie najlepsze. Jakaś kobieta wytoczyła proces McDonaladowi za to, że oparzyła się marynatą w źle przygotowanym hamburgerze. Potem niedowidzący mężczyzna próbował się wspólnie z bratem włamać do czyjś mieszkania, przy czym obaj popełnili zasadniczy błąd, umieszczając niedowidzącego na czatach. Nie mówiąc już o ludziach, którzy dostali zawałów podczas podróży samolotem klasą turystyczną i o miejscowej policji, która znowu sprawdzała James River, szukając broni, gdyż większość podejrzanych utrzymywała, że po popełnieniu przestępstwa wrzucili narzędzie zbrodni z mostu do wody. Judy trochę się dziwiła, że do tej pory nie ma żadnych wiadomości od Andy'ego. Niepokoiła się, że jego milczenie oznacza, iż nie udało mu się skontaktować z gubernatorem. Może on i Macovich nie mogli się z nim porozumieć albo nawet zrobili to, ale bez powodzenia. Myśli te krążyły jej po głowie, kiedy

zadzwoił telefon.

– Tak – rzuciła krótko, jakby nie chciała, żeby ją ktokolwiek niepokoił.

– Pani komendant Hammer? – nadpłynął głos Brazila.

– No i co, Andy? – spytała.

Jechał na wschód Broad Street, gdzie opryskliwi młodzieńcy, kręcący się na rogach i przed zabitymi deskami budynkami, popatrywali z wrogością na nieoznakowany samochód z antenami i błękitnym światłem.

– Jestem w pobliżu Church Hill – powiedział Andy, przyglądając się podejrzanym osobnikom. – Jeśli to pani nie przeszkadza – ciągnął dzielnie – może bym wpadł i zrelacjonował, co się dzieje.

– W porządku – odrzekła i odłożyła słuchawkę.

Nigdy nie lubiła tracić czasu, a im się bardziej starzała, tym mniej tolerowała urządzenia służące do porozumiewania się na odległość. Nie znosiła jazgotu telefonu, kiedy dzwonił ktoś, kogo nie oczekiwała. Nienawidziła poczty głosowej i odsłuchiwała ją najszybciej, jak się tylko dało, żeby czym prędzej wykasować ze swego życia wiadomości, zazwyczaj na długo przed końcem. Walkie-talkie stanowiło dla niej nieznośną uciążliwość, tak samo jak e-maile... zwłaszcza od kumpli, których sobie nie wybierała, a którzy bez zaproszenia wdzierali się w jej przestrzeń. Judy chciała mieć spokój. Na tym etapie życia ludzie zaczęli ją męczyć i coraz wyraźniej widziała, jak rzadko wiadomości zawierają jakieś istotne treści.

– Mów, co się dzieje – poleciła, kiedy Andy ledwo zdążył przejść przez próg. – Czy poinformowałeś gubernatora, że mieszkańcy Tangier Island przetrzymują dentystę, bo wypowiedzieli wojnę Wirginii przez te cholerne kontrole prędkości i WASCAR oraz że dentysta prawdopodobnie jest oszustem?

– Nie udało mi się – wyznał niechętnie Andy, siadając na sofie. – Wygląda na to, że on nikogo nie rozpoznaje wzrokiem. Myślał, że jestem wojskowym i nie miał pojęcia, kim jest Macovich. Moim zdaniem w tym leży problem, pani komendant. On po prostu niedowidzi i nie spotyka się

z panią od czasu, kiedy panią zaprzysiężono, bo w ogóle pani nie dostrzega.

Judy Hammer nigdy coś podobnego nie przyszło do głowy.

– To niemożliwe – stwierdziła.

– Z całym szacunkiem...

Uciszyła go gestem dłoni. Ilekroć ktoś zaczynał od „z całym szacunkiem”, wiedziała, że potem nie usłyszy ani słowa prawdy, co nie poprawiało jej wcale humoru.

– Powiedz, o co chodzi i daj sobie spokój z tym szacunkiem – poleciła.

– Ktoś go musi poinformować, że powinien coś zrobić ze swoim wzrokiem – zaczął Andy. – Może pani.

– Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję, powiem mu niejedno – odparła Judy niecierpliwie.

Andy sprawiał, że czuła swój wiek. Sama jego obecność postarzała ją o wiele lat, więc Judy zaczęła go unikać i nie okazywała dawnej życzliwości. Przez całe dotychczasowe życie była uderzająco przystojna, ale kiedy przekroczyła pięćdziesiąt pięć lat, nagle pojawiły się dodatkowe kilogramy i zmarszczki. Górna warga zaczęła się zasysać, włosy straciły sprężystość, piersi zmniejszyły się, wszystko z dnia na dzień. Tymczasem Andy wyglądał coraz lepiej.

To niesprawiedliwe, pomyślała.

– Dobrze się pani czuje, pani komendant? – zapytał. – Nagle zrobiła się pani jakby zirytowana i nieswoja.

– Sama myśl o gubernatorze wprawia mnie w rozdrażnienie – odrzekła wymijająco.

To takie niesprawiedliwe, poskarżyła się w myślach. Mężczyźni w jej wieku spotykali się z dziewczynami w wieku Andy’ego, które uważały, że łysina, zmarszczki, grube okulary, zwiotczałe mięśnie, zwiększające potencję przyrządy i pastylki oraz chrapanie to coś w rodzaju premii. Kobietom dokładnie wyprano mózgi, złościła się w milczeniu Judy. Młode dziewczyny przechwalały się, która ma starszego kochanka.

Nie dalej jak wczoraj Windy Brees paliła papierosa na parkingu przed komendą policji i pani Hammer usłyszała, jak jej sekretarka opowiada przyjaciółce o panu Clicku. Judy, obciążona aktówką i teczkami z dokumentami, minęła szybko dziewczyny, wbijając wzrok w chodnik, udając, że nie słyszy tej rozmowy. Ale Windy miała donośny głos i cała policja dowiedziała się wszystkich szczegółów.

– Ile pan Click ma lat? – spytała jej koleżanka z zazdrością.

– Dziewięćdziesiąt jeden – odparła dumnie Windy. – Straciłam dla niego głowę. Cały czas czekam na jego telefon. – Podniosła komórkę i westchnęła, rozczarowana, że nie dzwoni.

– Nie jest włączona – zauważyła przyjaciółka. – Musisz wcisnąć ten guziczek, bo inaczej nie usłyszysz, kiedy się odezwie. – Wyciągnęła z torebki własny aparat i pokazała, o co chodzi.

– No nie! – wykrzyknęła Windy z nadzieją. – Ciekawe czy on wie, że powinien włączyć swoją? Bo ilekroć do niego telefonuję, zawsze odpowiada mi ten sam głos, który mówi, że abonent jest niedostępny. Bardzo mnie to przygnębia, niepokoję się, że może nie jest już dostępny dla nikogo i dlatego jeszcze do mnie nie zadzwonił od wczoraj.

– Chyba powinnam wziąć sprawy w swoje ręce – zdecydowała teraz Judy. – Nie mogę czekać, aż gubernator się ze mną zobaczy, podczas gdy dentysta jest przetrzymywany na wyspie, która wypowiedziała wojnę stanowi Wirginia. Nic dobrego z tego nie wyniknie, Andy. Musimy interweniować natychmiast.

„Z całym szacunkiem”, chciał powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Pani komendant – zaczął łagodnie. – Gubernator Crimm to ambitny człowiek, który jest uzależniony od władzy. Jeśli podejmie pani decyzję bez jego wiedzy, nie wybaczy pani i nie zapomni. Może najpierw nic nie zauważy, ale będzie bardzo niezadowolony, jeżeli zbierze pani całe uznanie.

– To co mamy robić?

– Niech mi pani da dwadzieścia cztery godziny – zaproponował śmiało. –

Postaram się, żeby mnie wysłuchał i opowiem mu o wszystkim. – Urwał, bo przypomniał sobie Wytrzeszcz i pomyślał, że bez terierki dom szefowej wydaje się nieznośnie pusty. – Wywiesiłem zdjęcie Wytrzeszcz na mojej stronie głównej i...

– Tak, już o tym mówiliśmy – odparła szefowa. – Powinieneś był mnie najpierw zapytać.

– Nie zostawię tej sprawy – powiedział Andy.

Oczy Judy wypełniły się łzami, ale zapanowała nad sobą.

– Wiem, jak bardzo pani za nią tęskni – ciągnął Andy, poruszony jej smutkiem. Chciał, żeby porozmawiała z nim o swoich uczuciach. – I wiem, jak bardzo nie lubi pani, kiedy o czymś decyduję bez porozumienia, ale nie jestem już nowicjuszem, pani komendant. Mam własny rozum i wiem, co robię. A ostatnio wydaje mi się, że zawsze działam pani na nerwy i nie podoba się pani nic, co wymyślę.

Nie spojrzała na niego ani nie odpowiedziała.

– Szczerze mówiąc – ciągnął Andy – stale sprawia pani wrażenie nieszczęśliwej i rozgniewanej na cały świat.

Judy milczała. Andy zaczął podnosić się z sofy.

– Nie chcę się pani narzucać – powiedział, wyczuwając, że komendantka wcale nie chce, żeby sobie poszedł. – Pora już na mnie.

– Tak, to dobry pomysł – odrzekła, wstając raptownie. – Już późno.

Odprowadziła go do drzwi, jakby nie mogła się doczekać, kiedy Andy sobie pójdzie.

Zerknął na zegarek.

– Ma pani rację. Powinienem już iść – stwierdził. – Muszę jeszcze dokończyć mój następny felieton.

– Czy wolno mi poruszyć pewien temat? – zapytała pani Hammer, kiedy odprowadziła go na ganek, gdzie ostry wiatr szeleścił w drzewach, których liście zaczynały już przybierać odcienie żółci i czerwieni. – Czy pojawią się kolejne trafne komentarze pańskiej mądrej powiernicy?

– Nie mam mądrej powiernicy – odparł Andy nieoczekiwanie ostro. Zszedł po schodkach i jego postać oświetlił łagodny blask lamp gazowych. – A szkoda – rzucił, otwierając samochód. – Jeszcze nie spotkałem kogoś, kogo by tak można określić.

Pojechał do domu, czując się nieswojo i zdumiał się, kiedy wszedłszy po schodkach na ganek, zobaczył na wycieracze worek na śmieci i kopertę, przymocowaną taśmą klejącą do drzwi. Koperta, biała i gładka, bez żadnych napisów, sprawiała wrażenie typowej, dostępnej w każdym sklepie papierniczym, a w worku najwyraźniej coś było. Policyjne doświadczenie Andy’ego natychmiast nakazało mu zachować czujność. Niczego nie dotykał, tylko sięgnął po telefon komórkowy.

– Detektyw Slipper – odezwał się po dłuższym czasie głos z oddziału Arichmondzkiej policji, który zajmował się przestępstwami z użyciem przemocy.

– Joe – powiedział Andy. – To ja, Andy Brazil.

– Oo! Cześć! Miło cię słyszeć! Jak ci tam w policji stanowej?

– Posłuchaj – przerwał mu Andy. – Możesz podjechać pod mój dom? Ktoś zostawił coś dziwnego na moim ganku. Nie chcę tego dotykać.

– O kurde! Mam wezwać saperów?

– Jeszcze nie – odparł Andy. – Najpierw przyjedź sam i zobacz.

Siedział na schodach w mroku, bo światło na ganku nie miało regulatora czasowego, a wewnątrz wszystkie wyłączał, żeby oszczędzać elektryczność. Komenda policji w Richmondzie znajdowała się w centrum miasta, ale niezbyt daleko od Fan District, gdzie Andy wynajmował nieduży domek szeregowy. Po kwadransie nadjechał detektyw Joe Slipper, a Andy zdał sobie sprawę, jak bardzo się stęsknił za starymi przyjaciółmi z czasów, gdy pracował w miejskiej policji.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Slipperowi, niskiemu, pękatemu mężczyźnie, zawsze mocno pachnącemu wodą kolońską i gustującemu

w połyskliwych, markowych garniturach, które kupował za grosze w miejscowym sklepie z przecenioną konfekcją męską.

– Cholera – rzucił Slipper, oświetlając worek i kopertę latarką. – Tu jest coś dziwnego.

– Masz rękawiczki? – zapytał Andy.

– Jasne. – Slipper wyciągnął parę rękawiczek chirurgicznych z opakowania.

Andy założył je i zerwał kopertę z drzwi. Była zaklejona, więc rozciął ją scyzorykiem. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie wykonane polaroidem; Andy i Slipper przeżyli wstrząs, kiedy światło latarki ukazało przerażający widok nagiego, zakrwawionego ciała Trish Prash na Belle Island. Slipper trącił worek stopą.

– Kurwa – powiedział. – Przypuszczam, że w środku jest jej ubranie.

Otworzył worek i ostrożnie wyciągnął czarną, skórzaną kurtkę motocyklisty, dżinsy, majtki, stanik i t-shirt z logo richmondzkiej drużyny softballu. Ubranie wyglądało, jakby poprzecinano je brzytwą i było sztywne od zaschniętej krwi.

– Chryste. – Andy oblał się zimnym potem, przypominając sobie, co wycięto na ciele zamordowanej. – Nic z tego nie rozumiem, Joe.

Slipper z przygnębieniem poszedł do samochodu po torby na dowody i taśmę. Każdy przedmiot zapieczętował w osobnym opakowaniu, a potem zaproponował Andy’emu, żeby porozmawiali. Żaden z mężczyzn nie miał pojęcia, że Unique kryje się w cieniu po drugiej stronie ulicy, obserwując całą scenę.

– Może wejdźmy do samochodu – zaproponował Andy, nie chcąc, żeby Slipper oglądał bałagan w pokoju dziennym czy też materiały na temat Jamestown, Wyspy Psów, piratów, mumii, fotografie Wytrzeszcz i całą resztę.

– Jasne. – Slipper z lekkim zdziwieniem wzruszył ramionami. – A bo co? Masz tam jakąś kobietę?

– Niestety nie – odparł Andy. – Tylko że mam straszny bałagan, a w tej chwili nie chciałbym się rozpraszać. Jeśli wolisz wejść do środka, to proszę bardzo. Możesz też zrobić przeszukanie.

– No nie, Andy – zaprotestował Slipper. – Cholera. Nie mam najmniejszych przesłanek do przeszukiwania twojego domu, chociaż mi na to pozwalasz. Daj spokój. Chodźmy do tego grata, który nam daje miasto na patrole.

– Nic z tego nie rozumiem – powtarzał Andy.

– A ja tak – odparł Slipper, kiedy wsiedli do starego, nieoznakowane go forda LTD i zatrzasnęli drzwiczki. – Najwyraźniej nasz zabójca zostawił tu to gównno i igra sobie z nami. Pracowałem na miejscu przestępstwa i stąd wiem, że fotografia została zrobiona, zanim tam przyjechaliśmy. Nie mówiąc o tym, że ofiara nie miała na sobie ubrania i nigdzie go nie znaleźliśmy, chociaż przeszukaliśmy całą wyspę.

Andy nie mógł zebrać myśli. Czy morderca dowiedział się w jakiś sposób, że to on jest Tropicielem Prawdy? Czy dlatego wycięto jego pseudonim na ciele ofiary, a teraz zostawiono dowody pod domem? Tylko skąd ktokolwiek poza Judy Hammer mógł znać tożsamość Tropicielea Prawdy? To wszystko nie miało sensu, a Andy obawiał się, że jeśli wyjawি cokolwiek Slipperowi, detektyw przekaze informacje innym gliniarzom. Wtedy literacka kariera Andy'ego umrze w załączku, a gubernator wyrzuci komendant Hammer z pracy. I co najgorsze, Andy stanie się pierwszym podejrzanym.

– Jezu Chryste – westchnął z przygnębieniem. – Słuchaj, Joe, ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie słyszałem o tej zbrodni, dopóki nie zadzwoniłeś dzisiaj do szefowej. Nigdy nie widziałem ofiary i nie zamordowałem jej ani nikogo innego, jeżeli chcesz wiedzieć. Jeśli coś podobnego ci przyszło do głowy, to wolałbym, żebyśmy byli ze sobą absolutnie szczerzy, Joe.

– Jasne, że będziemy – odparł Slipper, wyglądając przez okno, na ciemną, pustą ulicę, a Andy wyczuwał z jego tonu i niechęci do spojrzenia mu w oczy, że detektyw sam nie wie, co myśleć i w gruncie rzeczy ma pewne

podejrzenia.

– Co wiesz o Tropiciele Prawdy? – zapytał Slipper.

– Słyszałem, że jego pseudonim wycięto na ciele ofiary, bo powiedzieliście o tym komendant Hammer, a ona mi powtórzyła – wyjaśnił Andy. – No i oczywiście znam jego stronę internetową, tak samo jak wszyscy.

– Czytasz to gównno?

– Jasne – powiedział Andy. – I nie widzę, żeby w treści tych felietonów było cokolwiek, co mogłoby dotyczyć Trish Prash. A ty?

– Co do tego masz rację – przyznał Slipper. – Nie widzę żadnego powiązania między Jamestown, mumiami i całą resztą a czymś, co wygląda na typową zbrodnię z nienawiści, skierowanej przeciwko lesbijkom. I muszę przyznać – ciągnął, przenosząc wreszcie wzrok na Andy'ego – że połowa miejskich glin zakładała, że jesteś gejem, ale nigdy nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś był za nimi albo miał coś przeciwko nim.

– Bo nie mam – przyznał szczerze Andy. – Nie mam nic przeciwko nikomu poza złymi ludźmi.

– Fakt, zawsze odnosiłem takie wrażenie. – Slipper pokręcił głową. – Tylko po jaką cholere zabójca zostawił ci to gównno pod domem? Zastanawiam się, czy to nie ktoś, kogo kiedyś aresztowałeś, albo z kim się stykałeś, może kiedy pracowałeś w policji miejskiej? Czy twój adres jest w książce telefonicznej?

– Nie, nie ma. Mogę cię o coś zapytać? Nie przyszło ci na myśl, że może powiązanie z Tropicielem Prawdy polega na tym, że to nie morderca czytał jego felietony tylko ofiara, a morderca jakoś się o tym dowiedział?

– Wiesz co, głupia sprawa, ale na to nie wpadłem – odparł Slipper z ożywieniem i błyskiem nadziei. – To bardzo dobry pomysł. Zajmę się tym, pogadam z ludźmi, z którymi pracowała.

– Może też z tymi, z którymi grała w drużynie softballu, tej, której logo ma na koszulce – podsunął Andy. – Lepiej nie pytać wprost o Tropiciele

Prawdy, bo ludzie raczej chyba nie powinni się zorientować, co wycięto na ciele ofiary, nie?

– Jasne, że nie. Wiemy o tym tylko my, zabójca i patolog. Dlatego ta rzecz nie może się wydostać na zewnątrz, na wypadek gdybyśmy mieli podejrzanego, który się przyzna.

– Właśnie, Joe.

– Więc jak twoim zdaniem mam się dowiadywać o Tropiciele Prawdy, nie pytając wprost?

– A może tak – zaczął Andy. – Tropiciel Prawdy dostaje e-maile.

– Tak?

– No. Tam jest napisane, jak można się skontaktować z kimś, kto prowadzi stronę. Więc może warto wysłać mu e-mail i poprosić jego albo ją o pomoc? On... założmy, że to on... zamieściłby coś na swojej stronie i wtedy zgłosiliby się ludzie, którzy znali Trish Prash.

– Ale co? – Slipper podrapał się po podbródku. – Co takiego miałyby zamieścić?

– No, na przykład coś takiego – powiedział Andy, zastanawiając się. – „Policja poszukuje osób, które znały Trish Prash i mogą coś powiedzieć o jej zainteresowaniach i pasjach, lekturach i o czym ostatnio najwięcej rozmawiała”.

Slipper robił notatki i poprosił Andy’ego, żeby powtórzył.

– I dodałbym – zaproponował Brazil – że informatorzy nie muszą podawać nazwiska, bo niektórzy mogą się nie chcieć ujawniać. Poza tym zaproponowałbym nagrodę dla tego, czyje informacje doprowadzą do aresztowania.

Slipper włączył silnik i światła, a Unique skuliła się w mroku za drzewem, przemieszczając swoje molekuły tak, żeby stać się niewidzialną, a jej Cel zaczął pulsować, kiedy sobie wyobraziła, jak pewnej nocy pojawi się pod drzwiami jasnowłosego gliniarza.

„Samochód mi się zepsuł”, podpowiedział Nazista. „Czy mogę od pana

zadzwoń?”.

Policjant wpuści ją do środka, a kiedy odwróci się, choćby na jedną sekundę, Unique stanie się, zgodnie z instrukcją, niewidzialna, zajdzie go od tyłu i przetnie mu gardło, sięgając do tchawicy, żeby nie mógł krzyknąć i udusił się własną krwią. Potem, mówił Nazista ze swej ciemnej pieczary, Unique potnie mu tę śliczną buzię, wyłupi oczy i wyrwie język, wykastruje go i wytnie mu swastykę na brzuchu, a w końcu, jak zwykle, sfotografuje to, co zaszło. Następnie zabierze ubranie i dostarczy je osobie, którą jej wskaże Nazista.

– Pewnie już o tym pomyślałeś – sugerował dyplomatycznie Andy – ale warto byłoby posłać kopertę do analizy DNA, bo może morderca polizał ją, zaklejając, a potem sprawdzić w bazie danych, czy nikt nie pasuje. Tak samo sprawdziłbym krew na ubraniu. Czasami zabójca może sam się drasnąć. Przydałoby się też, żeby Vander zrobił badania za pomocą lampy do wyszukiwania odcisków palców i sadzy, bo może na worku na śmieci, kopercie i zdjęciu, zostały odciski palców, które mógłby wrzucić do AFIS-u.*[* Automated Fingerprint Identification System – baza danych służąca do automatycznej identyfikacji linii papilarnych.]

No i dobrze byłoby zająć się mikrośladami, może trafią się jakieś włókna, włosy albo coś jeszcze na ubraniu z worka, a zanim cokolwiek zrobią, to doktor Scarpetta powinna wszystko obejrzeć.

– Dobra, dobra – sapnął Slipper z odcieniem lekceważenia, bo szkolono go w dawnych czasach i na najnowszych osiągnięciach kryminalistyki znał się mniej więcej tak, jak na swoim wideo, czyli jeszcze nie zdążył się zorientować, jak to wszystko działa. – Jasne, że miałem zamiar się tym wszystkim zająć.

ROZDZIAŁ 13

Funkcjonariusz Macovich zawiózł Pierwszą Rodzinę na lądowisko helikopterów, a potem wrócił do hangaru policji stanowej, gdzie, stojąc na drabince, w jaskrawym świetle lamp na pasie startowym, ścierał owady z odpornej na uderzenia ptaków przedniej szyby.

Taa, praca pilota helikoptera jest szalenie atrakcyjna, pomyślał kwaśno. Trudno znaleźć coś bardziej podniecającego od wożenia ślepego jak nietoperz gubernatora i jego bliskich, którzy zachowywali się, jakby byli rodziną królewską. Cholera, Crimmowie ani razu mu nie podziękowali, ani go nie pochwalili. To niesprawiedliwe, że Andy Brazii najpierw był zawieszony na rok, a potem wrócił sobie do pracy jak gdyby nigdy nic.

Macovich miał nadzieję, że Andy dostanie za swoje i wszyscy inni też. Marzył, żeby w jego życiu nastąpił jakiś cud, który uwolniłby go z długów i wyzwolił od nieustających, wyczerpujących napięć seksualnych. Kobiety i większość mężczyzn nawet sobie nie wyobrażali, jak to jest mieć między nogami ogiera, który stale kopie, napina się i parska, chcąc wydostać się ze stajni, nawet kiedy konik, jak go nazywał Macovich, śpi. Wybujałe pragnienia seksualne pojawiły się u niego w bardzo wczesnym wieku. Ojciec chichotał z dumą i nazywał syna Pełnokrwistym Thorlo, nie zdając sobie sprawy, że mały ma poważny problem, który w przyszłości zdominuje jego ciało i życie. Macovich musiał mieć wiele kobiet, a to kosztowało. Musiał znajdować kobiety nienasycone i na tyle biegłe, by pozostać w siodle bez względu na to, jak ciężka okazywała się jazda, a o towarzystwo takich

specjalistek było niełatwo.

Przestał na chwilę ścierać owady, kiedy zauważył, że pod hangar policji stanowej podjechał land cruiser i zaparkował bezceremonialnie przed samym wejściem. Sprawiający wrażenie twardziela biały chłopak z dreadami wysiadł z pojazdu i podszedł do helikoptera, jakby mógł tu robić, co mu się tylko żywnie podoba.

– Hej! – krzyknął surowo Macovich. – To strefa o ograniczonym dostępie.

– Zgubiłem się – odparł chłopak. – Czy może mi pan powiedzieć, jak dojechać do normalnego lotniska? Za kwadrans mam lot do Petersburga i muszę zdążyć.

– Nie ma żadnych lotów do Petersburga – powiedział Macovich, wycierając upartego owada szmatką. – Petersburg jest niespełna pięćdziesiąt kilometrów stąd, więc nie ma powodu tam latać. Lepiej tam pojedźcie i będziecie szybciej.

Pozostali piraci pootwierali okna i przysłuchiwali się rozmowie, z niepokojem czekając, co zrobi ich szef. Kurde, martwił się Kot, jeśli Dymek zechce porwać ten helikopter, to przecież nikt z nich nie potrafi go pilotować. Kot widział z tylnego siedzenia land cruisera, że z przodu nad głową pilota znajdują się setki przełączników, bezpieczników oraz innych niepojętych przyrządów, jakby to było wewnątrz statku kosmicznego. Trącił Kudę łokciem.

– Co będzie? On zastrzeli pilota i bierzemy helikopter? – zapytał.

– Może ukradniemy tira i wsadzimy to cacko do naczepy?

– Nie da rady, nie zmieści się.

– No. Trzeba by wyciąć dach, żeby zrobić miejsce dla śruby. Takiej wielkiej śruby to jeszcze nie widziałem.

– To się nazywa łopaty – poprawił go Opos. – Łodzie mają śruby. Samoloty śmigła. Ale nie helikoptery.

– Wszystko jedno i tak się nie zmieszczą! – warknął zirytowany Kot.

– Jedźcie na południe, do autostrady i traficie na pewno – podsumował

Macovich swoje pouczenia.

– A jakbyśmy panu zapłacili, żeby nas pan podrzucił? – Dymek skinął w stronę wielkiego, pięknego helikoptera. – Jak szybko byśmy tam dolecieli?

– Dziesięć minut, chyba żebyśmy mieli przeciwny wiatr. Ale nie mogę was przewieźć. Tego helikoptera używają tylko gubernator i jego rodzina.

– Taa? A skąd on będzie wiedział? – Dymek robił się coraz bardziej agresywny. Podszedł do drabinki i zastanawiał się, czy zdołałby z niej zrzucić policjanta.

– W kabinie pilota znajduje się licznik Hobbsa i ile razy włączę dźwignię skoku ogólnego, licznik to zapisuje – wyjaśnił Macovich. – Jutro, jak będę znowu wioził gubernatora, licznik pokaże, że helikopter leciał przez dziesięć minut, wylądował, leciał znowu, wylądował pod hangarem, później też wiozłem ich i potem zabrałem spod restauracji. Jak mam wyjaśnić, że poleciałem stanowym helikopterem do Petersburga, jeśli gubernator wie, że nigdzie się stąd nie ruszał po kolacji?

– Może nie będzie pamiętał.

Było to bardzo prawdopodobne, zwłaszcza w związku z ilością wódki, jaką Crimm wypił wcześniej tego wieczora i Macovicha zaczęło kusić. Miał za sobą zły tydzień i męczący wieczór i nie wiedział, czy zdoła w tym miesiącu uregulować debet na karcie visa.

– To może by nas pan tylko przewiózł? – zaproponował chłopak z dredami. – Nie musimy koniecznie jechać do Petersburga. I tak już za późno.

– Nie. – Macovich zszedł z drabinki i strzepnął ze szmaty setki martwych owadów. – Nie da rady. Nie w tej chwili.

Dymek czuł twardość pistoletu za paskiem spodni na plecach. Miał jednak na tyle rozumu, żeby zdać sobie sprawę, że porwanie helikoptera to coś znacznie trudniejszego niż kradzież tira, więc może powinien okazać trochę cierpliwości i wszystko dokładnie przemyśleć. Jeśli zastrzeli tego policjanta, nie zdąży zobaczyć, jak się pilotuje helikopter i w końcu ktoś nakryje ich

przed hangarem, jak czytają instrukcję i zagląдают pod różne klapy.

– Daje pan lekcje pilotażu? – spróbował więc z innej beczki.

– Tak, jestem instruktorem. – Macovich otworzył przedział na bagaż i wrzucił do niego brudną szmatę.

– Wie pan co, niech pan da kilka lekcji jednemu z moich ludzi. Opłaci się to panu, pod warunkiem że nikt, ale to naprawdę nikt, się nie dowie.

Dymek zdążył już postanowić, że Opos będzie się uczył pilotażu. Jeśli gnoja złapią, po prostu znajdą kogoś innego i nic się wielkiego nie stanie. Dymek cenił Oposa najmniej ze swoich podwładnych i czasami żałował, że porwał go spod bankomatu. Podał policjantowi numer swojego pagera i powiedział, żeby do niego zadryndał, jeżeli przystanie na propozycję, ale niech się lepiej pospieszy, bo on ma wiele spraw na głowie. Dodał też, że jeśli policjant znudził się swoją nisko płatną, bezmyślną pracą, to on, Dymek, być może wzięby go do swojego zespołu mechaników.

– Pan jest rajdowcem? – Macovich był tak bardzo pod wrażeniem, że zostawił helikopter i z nieskrywanym podziwem zagapił się na chłopaka.

– A jak?

– Oooo! Gdzie? W NASCAR?

– Jestem kierowcą – rzucił nonszalancko Dymek, zastanawiając się błyskawicznie. – Dlatego muszę się ukrywać. Wystarczy jedna wzmianka i spadnie tu więcej fanów niż komarów na okno tego helikoptera. Sława to więzienie.

– Oooo! A jaki numer ma pana wóz? – Policjant nie słyszał o żadnym kierowcy z NASCAR, który by nosił dredy, ale uznał, że to przebranie, mające zwieść natrętnych fanów.

– Nie mogę tego powiedzieć, dupku – warknął chłopak. – Jak chcesz być w moim zespole – dodał, odchodząc – to daj znać. I to szybko.

Macovich rozważał swoją nową szansę życiową, a tymczasem Andy bez entuzjazmu popijał piwo w szeregowym domku na krańcu Fan District, gdzie

zwyczajni szarzy ludzie udawali, że nie dostrzegają swojego otoczenia.

Bez względu na to, co twierdzili sąsiedzi Andy'ego, kołyszący się w bujanych fotelach na gankach pod koniec długiego, ciężkiego dnia, jedynym, co ta okolica miała wspólnego z zabytkami, była starość. Poza tym dzielnica uderzała swym zaniedbaniem: brakowało miejsc do parkowania, a niekiedy ludzie wypuszczeni z ośrodków resocjalizacyjnych i poradni uznawali za stosowne wkroczyć bez zaproszenia w życie swoich sąsiadów. Dwupokojowy domek Andy'ego nie miał ani klimatyzacji, ani porządnego ogrzewania, a od czasu do czasu zdarzały się gwałtowne skoki napięcia prądu, które zagrażały bezpieczeństwu komputera.

W tej chwili Brazilowi byłoby wszystko jedno, nawet gdyby zgasły wszystkie światła. Niepoczytalny morderca zostawił dowody na jego ganku, a Andy nie mógł się doczekać, kiedy Slipper przyśle e-mail do Tropicielea Prawdy. Wstał, gwałtownie odsuwając krzesło, ze złością wyjął kolejne piwo z lodówki i wrócił do komputera.

Słowa zaczęły płynąć mu spod palców, napisał zwięzły felieton i umieścił go na stronie internetowej. Przyszedł e-mail od Slippera, Andy odpowiedział, a potem zasnął nad klawiaturą. Kiedy zadzwonił telefon, leżał z głową na stole.

– Cholera – jęknął, rozglądając się, oszołomiony i zeszywniały. Telefon dzwonił. – Halo? – powiedział do słuchawki, mając nadzieję, że pani Hammer już przeczytała felieton i jest z niego zadowolona.

– Czy to pan Andy Brazil? – odezwał się jakiś znajomy głos.

– A kto mówi?

– Gubernatorowa Crimm.

– Pierwsza Dama! – zdumiał się Andy. – Co za niespodzianka...

– Proszę przyjść do rezydencji o szóstej na koktajl i lekką kolację. Dzisiaj.

– W czwartek? – zapytał Andy, nieco zdezorientowany.

– Tak, oczywiście, dzisiaj, w czwartek. Strasznie szybko leci ten czas. Mieszkamy w jasnożółtym domu pośrodku Capitol Square przy Dziewiątej

tuż przed Broad. Wiem, że bawi pan u nas od niedawna i był pan przez rok zawieszony, więc może się pan nie orientować.

Pani Crimm oddała telefon Pony'emu i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Córki patrzyły na nią znad stołu śniadaniowego wykonanego jeszcze przed wojną secesyjną.

– Mimo wszystko powinnaś była najpierw omówić to z papą. – Grace skinęła Pony'emu, żeby dołożył jej masła do kaszy. Za oknem powiał północny wiatr i o szyby zabębniły krople deszczu.

– Zauważyłam, że ten młody człowiek mu się spodobał – odparła pani Crimm. – Twój ojciec ma mnóstwo spraw na głowie. Ojej! W jednej chwili świeci słońce, a za chwilę ulewa!

– On dostrzega więcej, niż ci się wydaje. A jeśli się przekona, że wozi go jasnowłosa były policjant miejski, który został zawieszony na rok, może sobie przypomnieć, że nic z tym nie miał wspólnego – powiedziała Faith. Deszcz wygrywał sarabandę na krytym łupkiem dachu.

– Z czym? – spytała Pierwsza Dama.

– Z tym, że nagle zaczął nas pilotować ktoś inny.

– Nonsens. Potrzeba nam więcej pilotów. Nie rozumiem, gdzie oni wszyscy się podziali, chyba że zajmują się punktami kontroli prędkości i nie mają dla nas czasu. I sama słyszałaś, co powiedział ten młody człowiek. Chce z papą omówić coś ważnego, a ja sobie życzę wiedzieć, o co chodzi.

Pony szukał bazy telefonu bezprzewodowego. Kiedy rezydencję zajmowała rodzina Crimmów, nigdy nic nie leżało na swoim miejscu, a w szczególnie ciężkich dniach Pony zastanawiał się, czy powinien być wdzięczny władzom więzienia za to, że przydzielono go do służby domowej. Inni obsługujący Pierwszą Rodzinę więźniowie pracowali na zewnątrz, wykonywali wszelkie naprawy albo zajmowali się ogrodem, grabili liście i myli samochody.

– Nie chciałbym przeszkadzać – powiedział teraz, nie patrząc nikomu w oczy. – Ale nie mogę znaleźć bazy telefonu.

Constance, Grace, Faith i Pierwsza Dama oderwały się nagle od tematu, tak jak zawsze, kiedy ktoś czegoś nie mógł znaleźć. Regina była jedyną członkinią Pierwszej Rodziny, która wolała obywać się bez obsługi przy posiłkach. Jeśli podawał Pony, trwało to o wiele za długo. Sięgnęła po następną grzanekę, dołożyła sobie też kaszy, jajek sadzonych, banana i miodu wrzosowego, przysłanego przez gubernatora Karoliny Północnej na ubiegłe święta Bożego Narodzenia, żeby podstępnie przypomnieć, że Stan Wysmołowanej Pięty jest o wiele lepszy niż Wirginia.

– Widziałam ją gdzieś tutaj minutę temu. – Faith zaczęła się niecierpliwić. Jej końska twarz była rozmarzona i blada, bo Faith nie nałożyła jeszcze charakterystycznej dla siebie grubej warstwy makijażu.

Pierwsza Rodzina opanowała sztukę przeszukiwania całego domu, nie ruszając się z miejsca. Pony nie potrafił zrozumieć, jak to się działo, ale gdyby sam był równie sprytny i bystry, nie nosiłby białej marynarki i nie usługiwał Crimmom rano, wieczór i w południe.

– Za pozwoleniem, panno Faith, ale co ma panienka na myśli mówiąc „tutaj”? – zapytał z uszanowaniem Pony. – To znaczy, gdzie go panienka ostatnio widziała?

– Po prostu zadzwońcie na ten numer – odezwała się Regina z pełnymi ustami. – Wtedy usłyszcie, gdzie jest.

– To działa, kiedy się zgubi słuchawkę, a nie bazę – warknęła Constance, zirytowana, że telefony, bazy i inne przedmioty nie znajdują się na właściwych miejscach.

– Baza w istocie też dzwoni, jak sama pani była łaskawa stwierdzić nie dalej niż wczoraj – przypomniał Pierwszej Damie Pony, chociaż gubernatorowa nigdy nie wypowiedziała doń bezpośrednio żadnych stwierdzeń od początku jego służby u rodziny Crimmów.

Rozwiązanie zostało znalezione, ale pozostał jeden zasadniczy problem: więźniowie nie mieli prawa znać prywatnego numeru telefonu Pierwszej Rodziny. Więc jeśli baza miała się ujawnić, ktoś z członków Pierwszej

Rodziny musiał wybrać numer, co było absolutnie zakazane przez regulamin. Zadanie to należało do któregoś z sekretarzy osobistych albo administracyjnych, albo praktykantów, lecz o tak wczesnej godzinie nikogo z nich nie było jeszcze w pracy.

Siedzące przy stole przedstawicielki Pierwszej Rodziny zamarły niezdecydowane, poza Reginą, która wciąż nakładała sobie jedzenie na talerz i miała w dużym poważaniu regulaminy.

– No. – Wyciągnęła rękę. – Daj mi go, Pony.

Lokaj obszedł stół i ostrożnie położył słuchawkę przy podkładce pod talerz, trzymając się od córki Crimmów w takiej odległości, jakby podawał płonące naleśniki. Ta wystukała tajny numer umazanymi miodem palcami i natychmiast zabrzączał dzwonek bazy, leżącej na mahoniowym kredensie pod skłębionym szlafrokiem Reginy.

– Halo? – odezwała się do słuchawki, by potwierdzić, że to ona dzwoni. – Halo? – spróbowała znowu, zakładając jedną nogę na drugą, a obie przypominały Pony’emu pnie drzew, owinięte bawełną i ozdobione na końcu brudnymi, futrzanymi kapciami. – Może powinnam wstąpić do ochrony. – Oddała słuchawkę kamerdynerowi. – Mam dosyć zajmowania się reprezentacją.

– Nie mogliby cię do nas przydzielić. – Pierwszej Damie pomysł się nie spodobał i zamierzała zniechęcić do niego córkę. – Chyba że dostaniesz ochroniarza, który będzie strzegł ciebie, podczas gdy ty będziesz zajmować się twoimi siostrami, papą i mną.

– Pokaż mi odpowiedni zapis w kodeksie stanowym – zaparła się Regina. – Założę się, że nic takiego tam nie ma.

– Jeśli wolno mi się wtrącić – odezwał się Pony, który wytarł telefon i umieścił go na bazie. – Kodeks w żadnym miejscu nie stanowi, żeby Pierwsza Rodzina miała ochraniać siebie i jednocześnie być ochranianą.

– Myślę, że powinnaś to omówić z tym przystojnym młodzieńcem, Andym Brazilem, niech on cię przekona – zwróciła się Pierwsza Dama do

Reginy. – Praca policjanta jest bardzo niebezpieczna i niewdzięczna, a jeśli już o tym mówimy, to czy ktoś z was czytał felieton Tropiciele Prawdy dziś rano?

– Dopiero co wstałyśmy – przypomniała matce Constance.

– Napisał fascynującą historię o tym, kto zastrzelił J. R.

– Dlaczego pisze o „Dallas” – zdziwiła się Faith. – Przecież tego serialu od dawna już nie pokazują.

– To inny J. R. – poinformowała córki Pierwsza Dama. – Ale wielka szkoda, że skończyli „Dallas”. Wasz papa nie mógł tego przeboleć i był niepokieszony, kiedy zdjęto ten serial. Teraz w telewizji nie ma nic przyzwoitego poza kanałem z zakupami.

SŁÓWKO O JEDZENIU ORLÓW

Tropiciele Prawdy

To całkiem możliwe, że młody człowiek, któremu archeologowie z Jamestown nadali inicjały J. R., był pierwszym białym zamordowanym przez białego w Ameryce... mówiąc w uproszczeniu, bo kiedy pierwsi osadnicy zamieszkali w Jamestown, tego obszaru nie nazywano jeszcze Ameryką.

Jeżeli odwiedzicie wykopaliska archeologiczne i obejrzyjecie wykonaną z włókna szklanego kopię szkieletu J. R., to na pewno poruszy was los młodego człowieka, który zginął tak daleko od ojczystej ziemi, a potem leżał w twardej wirginijskiej glinie przez cztery wieki, dopóki szpachelka archeologa nie odsłoniła zaciemnienia, które pozostało po jego nieoznakowanym grobie. J. R. Oznacza Jamestown Rediscovery i takie inicjały otrzymuje każdy zabytek i obiekt znaleziony na stanowisku, w tym mogiły i znajdujące się w nich ludzkie szczątki. Nie wiemy, kto zastrzelił J. R. W chwili obecnej, nie jest nawet pewne, kim był on sam.

Jednak dzięki nauce J. R. zdołał nam powiedzieć to i owo. Datowanie metodą C14* [* Datowanie C14 nie jest tak dokładne, by móc ustalić rok, zwłaszcza jeśli chodzi o czasy nowożytnie] potwierdziło, że zmarł w roku

1607, prawdopodobnie kilka miesięcy po tym, jak pierwsi osadnicy przybyli do Jamestown, więc możemy uznać, że był jednym ze stu ośmiu angielskich mężczyzn i chłopców, którzy wyruszyli z Wyspy Psów i w drodze do Nowego Świata ugrzęźli u ujścia Tamizy.

Antropologowie określili kości jako należące do w pełni sprawnego mężczyzny o wzroście stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów, zaokrąglonym podbródku i niewielkiej żuchwie, w wieku między siedemnaście a dwadzieścia pięć lat, bez śladów reumatyzmu i o stosunkowo zdrowym uzębieniu, co oznaczało, że w jego diecie nie było zbyt dużo cukru. Testy na izotopy ołowiu, strontu i tlenu wykazały, że dorastał w Zjednoczonym Królestwie, prawdopodobnie w południowo-zachodnim Londynie albo Walii.

J. R. dostał śmiertelny postrzał w nogę kulą z muszkietu o kalibrze zero sześćdziesiąt setnych cala i zasięgu około sześciu metrów, co jak na owe czasy było całkiem niezłym wynikiem. Badania ekspertów medycyny sądowej wykazały, że strzelano do niego z broni wyposażonej w zamek lontowy, z odległości wykluczającej zranienie się samemu.

J. R. wykrwawił się szybko i został pochowany bez całunu w ośmiokątnej trumnie, ze stopami skierowanymi zgodnie z tradycją chrześcijańską na wschód.

Można przypuszczać, że J. R. został postrzelony przez innego osadnika, co mnie się wydaje bardzo prawdopodobne, więc należałoby znaleźć motyw, a w tym celu wypada zaznajomić się ze źródłami historycznymi. Krótka wędrówka po starych pismach i skojarzenie słów z zabytkami i kośćmi, wydobytymi na stanowisku archeologicznym, pozwalają wysunąć następujące hipotezy dotyczące przyczyn zamordowania J. R.

Mógł się on uwikłać w jakąś intrygę polityczną albo spór bądź też nie potrafił współpracować z pozostałymi osadnikami, był złodziejem lub zabrał więcej pożywienia, niż mu się należało. Istnieje również prawdopodobieństwo, że dopuścił się kanibalizmu, tak jak późniejszy osadnik, którego skazano na śmierć po tym, gdy złapano go na peklowaniu

ciała zmarłej żony. A może J. R. pokłócił się z tubylcem, który w jakiś sposób zdobył broń palną i wykombinował sobie, jak jej użyć. Bardziej jednak prawdopodobne jest, że J. R. wdał się w konflikt z innym uzbrojonym osadnikiem, ten zaś uznał, że najlepiej będzie strzelić w nogę, bo J. R. mógł nosić hełm i zbroję, chroniącą górną część ciała. Być może osadnik ów strzelił do J. R., kiedy odkrył, że J. R. szpieguje dla Hiszpanów lub jest piratem.

Ja podejrzewam, że J. R. był szpiegiem lub piratem, czy też jednym i drugim. Bez względu jednak na to, jaka jest prawda, zginął niezbyt przyjemną śmiercią, bo najprawdopodobniej zachował świadomość na tyle długo, by zdać sobie sprawę, że umiera. Wyobrażam go sobie, leżącego na ziemi i patrzącego z przerażeniem, jak się wykrwawia na śmierć przez rozdartą tętnicę pod kolanem, a także zamieszanie, jakie zapanowało w forcie: osadników biegających ze szmatami, wodą z rzeki i wszelkimi środkami medycznymi, jakie mieli do dyspozycji. Może próbowali pocieszyć J. R., a może szamotali się, krzyczeli i wypytywali tego, kto strzelał.

Kto wie? Jednak jeśli wyobrażacie sobie tę tragedię, moi wierni czytelnicy, to z pewnością zadajecie sobie to samo pytanie, co ja: dlaczego w zapiskach Johna Smitha nie ma najmniejszej wzmianki na temat śmierci J. R.? Czemu do dzisiaj nie natrafiono w żadnym źródle pisanim na jakiegokolwiek informacje dotyczące młodego osadnika, zastrzelonego albo przez przypadek, albo świadomie, z premedytacją?

To właśnie świadczy, że historia jest tylko tym, co niektórzy ludzie uznają za stosowne przekazać następnym pokoleniom – i niczym więcej. Przypuszczam, że kiedy John Smith pisał swoje sprawozdania i snuł fantazje dla potrzeb króla Jakuba i współziomków w ojczyźnie, miał na tyle sprytu, żeby zorientować się, iż sponsorzy i potencjalni osadnicy mogliby się nieco zniechęcić, gdyby usłyszeli, że mieszkańcy Jamestown to buntownicy, mordercy, obłąkani od picia zanieczyszczonej wody, stale oblegani przez tubylców i zmuszeni przez głód do jedzenia węży, żółwi i co najmniej

jednego orła, jak na to wskazują resztki śmieci, odkryte przez archeologów.

Początki Ameryki nie miały w sobie nic podniecającego, radosnego, szlachetnego ani nawet patriotycznego, mogłyby raczej posłużyć za wzór dla reality show, przy którym Rozbitkowie wyglądałoby jak Rajska Wyspa. Co gorsza, niewiele się od tamtych czasów zmieniło. Przypomnijcie sobie tylko niedawne okrutne morderstwo Trish Prash! Tak samo jak w przypadku J. R -, nie wiemy, kto ją zabił, ale proszę was, moi przepojeni obywatelskim duchem czytelnicy, przyślijcie mi e-mail, jeśli ją znaliście, albo jeśli wiecie coś o jej życiu, zainteresowaniach, o tym, co czytała, czy używała Internetu i czy wspominała o czymś istotnym lub kimś nowym, kto ostatnio pojawił się w jej życiu.

Trzymajcie się ciepło!

,

ROZDZIAŁ 14

Gubernator Crimm studiował wydruk najnowszego felietonu Tropiciela Prawdy przez całą godzinę, zafascynowany, oburzony i zgorszony. Wielokrotnie przesuwiał swe szkło powiększające nad każdym słowem, a w tym samym czasie Major Trader informował go o sprawach urzędowych. Poczęstował go też domowej roboty wiśniami w czekoladzie.

– Zgromadzenie stanu zaraz się rozpocznie – mówił Trader. – A my w ogóle nie jesteśmy przygotowani.

– Zawsze to powtarzasz – odparł gubernator, zjadając z roztargnieniem wiśnię. – Kto w końcu zastrzelił J. R.? Czy ktokolwiek naciskał archeologów co do tej kwestii? A jeśli nie, to dlaczego? Jak twoim zdaniem wyglądamy, jeśli nie potrafimy rozwikłać tajemnicy zbrodni sprzed czterystu lat, w dodatku dokonanej w obecności licznych świadków? Zadzwoń do Jamestown i zażądaj, żeby natychmiast wyjaśniono tę sprawę. Wydamy potem duży komunikat i pokażemy obywatelom Wirginii, że nie tolerujemy przestępczości.

– Przystępczości nieletnich – dodał Trader sugestywnie.

– Tak, tak – zgodził się gubernator.

– I wydaje mi się, że można spokojnie uznać, że został zastrzelony przez pirata... a przynajmniej taka interpretacja jest dla nas bardzo korzystna – ciągnął Trader. – Możemy powiedzieć, że zabił go jakiś pirat... przecież to wszystko jedno, prawda? Piraci byli źli, tak samo jak dzisiaj, więc nikomu nie zrobi różnicy, jeśli stwierdzimy, że J. R. wyszedł z fortu, żeby przynieść

wiadro wody z rzeki i nagle zobaczył hiszpański statek z piracką flagą, a wówczas został postrzelony.

– Wydawało mi się, że mamy unikać zwracania uwagi na nasze problemy z piratami.

– Piraci drogowi to coś zupełnie innego – odparł Trader, napawając się swymi tajnymi pirackimi poczynaniami, które wkrótce uczynią go naprawdę bogatym człowiekiem.

Crimm zatrzymał szkło powiększające nad słowem „kanibal”.

– Wyobraź sobie tego osadnika, który zapeklował swoją zmarłą żonę i potem ją zjadał – powiedział z obrzydzeniem, wyobrażając sobie, jak sam umiera z głodu, tylko po to, by się przekonać, że jego tęga żona nie żyje.

Pomyślał o jej nagim, mięsistym ciele i zdziwił się, jak można zjeść żonę, wcześniej jej nie piekąc, ale uznał, że gdyby upiekł Maude, inni osadnicy zobaczyliby dym i poczuli smród ludzkiego ciała, a wówczas nie uniknęłyby powieszenia. Co za obrzydliwy pomysł. Łódź podwodna gubernatora szarpnęła się i uderzyła boleśnie w jego puste jelita.

– W tamtych czasach była to zbrodnia karana śmiercią – zauważył Trader, jakby czytał w myślach Crimma. – Każdy przewodnik turystyczny w Jamestown powie panu, że jeśli kogoś złapano na spożywaniu ciała żony albo kogokolwiek innego, winny był natychmiast wieszany. Potem chowano go bardzo szybko w tajnym miejscu, żeby ktoś inny go nie zapeklował i nie zjadł.

– Chciałbym wiedzieć, czy obecnie kanibalizm jest karany śmiercią, bo jeśli nie, to powinien być. – Gubernator poczuł, że jego łódź podwodna szarpnęła się jeszcze gwałtowniej.

– To zależy od okoliczności – odrzekł Trader, wyobrażając sobie swoją pulchną, wiecznie niezadowoloną żonę i zastanawiając się, czy kiedykolwiek byłby na tyle wygłodzony, żeby chociaż przez chwilę na serio brać pod uwagę możliwość jej spożycia, zakładając, że zmarłaby nieoczekiwanie i nikt by nie zauważył jej zniknięcia. – Na przykład kodeks stanowy twierdzi, że

powinno mu towarzyszyć jakieś inne poważne przestępstwo – wyjaśnił. – Na przykład gdyby mężczyzna najpierw ją zamordował, i jeśli w dodatku towarzyszył temu gwałt i rabunek... wtedy czekałaby go kara śmierci, chyba, że wstrzymałby pan egzekucję albo okazał łaskę.

– Nigdy nie wstrzymuję egzekucji ani nie okazuję łaski – odparł niecierpliwie gubernator, przesuając szkło powiększające nad felietonem, atakowany kolejną falą uderzeniową. – I chciałbym, żebyś przygotował komunikat prasowy i ogłosił, że jeśli ktokolwiek zostanie schwytyany na kanibalizmie, czeka go najwyższa kara, zakładając oczywiście, że zaistnieją te inne zbrodnie. Nie wydaje mi się, żebyśmy się kiedykolwiek zajmowali kanibalizmem, a czas po temu wielki. Przygotujemy odpowiedni dokument i przedstawimy go na następnym zgromadzeniu stanowym.

Trader robił notatki ołówkiem, co stało się jego obyczajem, gdyż często po prostu wycierał później gumką to, co zapisał.

– Może powinniśmy ogłosić, że J. R. został schwytyany na akcie kanibalizmu i został rozstrzelany. Może być? – Gubernator podniósł wzrok i w szkle powiększającym ukazało się jego olbrzymie, przekrwione oko o zaczerwienionych powiekach, które zaczynało robić się szkliste.

– Nie wydaje mi się, żeby strzał w nogę stanowił kiedykolwiek uznaną formę egzekucji – odparł Trader. – Obawiam się, że obywatele tego nie kupią.

– Kupią, kupią. Wszyscy wiedzą, że w tamtych czasach broń palna była bardzo niecelna. Wystarczy, przejdźmy do innych spraw.

– Tak, oczywiście – pośpieszył Trader, zmieniając stronę w notatniku. – Co chce pan zrobić w sprawie dentysty, uwięzionego na Tangier Island? Czytał pan dziś rano gazetę albo słuchał wiadomości?

– Jeszcze nie. – Gubernator jęknął i chwycił się za wzdęty brzuch.

– Z tego, co wiem, policja z Reedville rozmawiała z reporterem i, niestety, rozeszła się informacja, że życie dentysty jest zagrożone, bo Tangierczycy są rozwścieczeni w związku z programem WASKAR. Proponuję, żeby

natychmiast zawiesić ten program, do czasu kiedy sprawa zostanie rozwiązana w sposób pokojowy. Zapewniam pana, że osobiście ostrzegłem panią komendant Hammer, jakie mogą być konsekwencje dalszego malowania przez policję punktów kontroli prędkości. Ale ona mnie, jak zwykle, nie posłuchała.

– To był jej pomysł? – Gubernatorowi kręciło się w głowie.

– Oczywiście, panie gubernatorze. Pamięta pan przecież, że jeszcze wczoraj rozmawialiśmy na ten temat. Mówiłem panu, że to jej najnowszy idiotyczny pomysł, a pan powiedział: „No dobrze. Jeśli zrobi się smród, to dopilnuj, żeby cała sprawa spadła na nią, nie na mnie.” A ja na to: „Bardzo dobrze, tak będzie”.

– Znalazł się ten jej pies? – zapytał gubernator, wycierając szkło powiększające specjalną ściereczką i modląc się, żeby gnębiący go atak łodzi podwodnej wreszcie minął.

– Uważa się, że ukradł go któryś z jej wrogów politycznych – wyjaśnił z powagą Trader.

– Jaka szkoda, że tylu ludzi tak bardzo jej nie lubi – odrzekł Crimm, siedząc nieruchomo. Wyraźnie pobladł. – Kiedy ją mianowałem, nie miałem pojęcia, że okaże się taką kłopotliwą osobą. Zadzwoń do niej, niech tu przyjdzie, to z nią pogadam. Ale nie w tej chwili.

– Stanowczo to panu odradzam, gubernatorze... ani teraz, ani potem – powiedział szybko Trader. – Nie chce pan chyba spaskudzić sobie reputacji? Ta kobieta to postać żenująca i lepiej się od niej odciąć.

– Ale mnie naprawdę jest przykro z powodu tego psa. Mam nadzieję, że dostała mój list, wyrażający współczucie.

– Dopilnowałem tego – skłamał Trader, wspominając ów list oraz wiele innych, które przejął albo zablokował.

– Wiesz, gdyby coś się stało Frisky – ciągnął gubernator zbolalym głosem – nigdy już bym nie był ten sam, ani Maude i dziewczęta. To nasz bliski, wierny przyjaciel i dzięki Bogu, że mamy ochronę, która nie pozwoli, żeby

ktoś ukradł go dla okupu albo z zemsty za jakąś niepopularną decyzję.

– Pańskie decyzje nigdy nie są niepopularne – oświadczył z naciskiem Trader. – A przynajmniej nie z pańskiej winy.

– Cóż, jestem pewien, że zostanę obwiniony za tę najnowszą zbrodnię z nienawiści – westchnął Crimm, a jego łódź podwodna zanurzyła się w mętnych otchłaniach.

– Proponuję, żebyśmy zasugerowali, że morderstwo Trash jest związane ze sprawą Mosesa Custer, i żadna z tych spraw nie została wyjaśniona wyłącznie z winy komendant Hammer – podsunął Trader z pewnością siebie i zadowoleniem. – A jak już przy tym jesteśmy, to może uda nam się to połączyć z faktem, że J. R. został zamordowany przez pirata, i zasugerować ludziom, że pani Hammer odpowiada również za brak rezultatów tej sprawy.

Gubernator zerwał się z krzesła i prawie się przewrócił, kiedy jego łódź podwodna niebezpiecznie zderzyła się z innymi zanurzonymi w otchłani obiektami.

– Wyjdź! – polecił Traderowi, zataczając się i oddychając ciężko. – Nie mogę myśleć o piratach w tej chwili!

Za to Opos mógł i właśnie się tym zajmował. Myślał o piratach od rana, kiedy przeczytał felieton Tropiciele Prawdy. Chłopak oglądał telewizję i zastanawiał się nad pewnym bardzo istotnym zaniedbaniem ze strony piratów drogowych, które, jak miał nadzieję, może zdoła wykorzystać, by zwieść Dymka i uratować Wytrzeszcz.

Przez wieki wszyscy szanujący się korsarze wywieszali na masztach flagę, żeby porozumiewać się ze swoimi ofiarami. Trupia czaszka i skrzyżowane piszczele, czyli tak zwany Jolly Roger, informowały obiekt łupiestwa, żeby się poddał, bo jak nie, to... Jeśli statek ignorował trzepoczącą na wietrze uśmiechniętą głowę śmierci, pojawiała się czerwona flaga, która sugerowała, że zaraz nastąpi owo to. Jeżeli okręt żeglował dalej, witały go salwy armatnie i rozpoczynała się rzeź.

Współcześni piraci zapomnieli o grzeczności wyrażanej przez flagi. Obecnie spadają z rykiem silnika na statki i jachty i bez najmniejszego ostrzeżenia otwierają ogień z moździerzy oraz broni maszynowej. Stali się okrutną, krwiożerczą i bezwstydną odmianą morskich banitów i nie są skłonni dawać nikomu szansy. Interesują ich przede wszystkim wyroby elektroniczne, dywany, markowe ubrania, papierosy, puszki, a co najważniejsze, narkotyki, gdyż bandyci zawsze liczą, że są one szmuglowane na pokładzie porwanej jednostki. Jeśli rzeczywiście substancje te stanowią część łupu, ci z żeglarzy, którzy przeżyją, nie zgłaszają napadu władzom.

Piraci drogowi powinni przywrócić obyczaj używania flag, pomyślał Opos, skulony na łóżku swego pokoiku w przyczepie kempingowej. Zgasił światło, dzięki czemu, jeśli nie zaciągnął zasłon, mógł widzieć przez okienko sosny na tyłach opuszczonej działki. Skrupulatnie oglądał każdą powtórkę „Bonanzy” i bez przerwy wyobrażał sobie, że ma ojca podobnego do Bena Cartwrighta i braci takich jak Mały Joe i Hoss. Widział siebie, jak galopuje na pięknym rumaku przez płonącą mapę Ponderosa, a w głowie dudnił mu rytm gitar i bębnów.

Tam ta ra ram ta ra ram ta ta tam T A...!

Nie dalej jak wczoraj po południu oglądał swój ulubiony odcinek... ten, w którym dziewczyna Małego Joe zostaje porwana przez ludzi z wędrownego cyrku i siedzi związana w szafie tęgiej kobiety, w sąsiedztwie hurys z Egiptu i kobiety z brodą. Mały Joe przekonuje Herkulesa, żeby mu pomógł, i razem pokonują złoczyńców, a Mały Joe w ostatniej chwili wytrąca przeciwnikowi z ręki nóż, którym ten chce dźgnąć tęgą kobietę, a na sam koniec całuje się ze swoją dziewczyną. Opos uwielbiał oglądać, jak Mały Joe odchodzi zamaszystym krokiem, w zsuniętym kapeluszu i z luźno zapiętym na biodrach wielkim pasem na broń, a w kaburze ma sześciostrzałowy rewolwer o rękojeści z kości słoniowej.

Chłopiec dałby wiele, żeby wyszedłszy z nędznego, przesyconego kwaskową wonią pokoiku, spotkać czekających na zewnątrz Bena, Małego

Joe i Hossa zamiast Dymka i reszty piratów oraz tej dziwacznej dziewczyny, Unique, o ile oczywiście była w przyczepie, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej. Czasami po policzku Oposa spływała łza i musiał doprowadzić się trochę do porządku, kiedy nadchodził czas, żeby wyłączyć telewizor i opuścić życzliwszy świat, w którym przebywał, podczas gdy inni odsypiali kaca i wieczory spędzane na czynieniu zła. Zanim Dymek porwał go spod bankomatu, Opos nigdy nikomu nie zrobił najmniejszej krzywdy, i proszę jak się teraz wkopał.

Postrzelił nieszczęsnego kierowcę tira, który siedział, nikomu nie wadząc, w ciężarówce, i czekał, żeby sprzedać dynie, gdy otworzą rano targ. Od tamtego czasu Opos bał się zasnąć, bo był pewien, że przyśni mu się, co zrobił Mosesowi Custerowi, i zobaczy dynie, które wywieźli na Deep Water Terminal i wrzucili do James River.

Od paru dni w telewizji pokazywali w wiadomościach tysiące dyń, unoszących się na wodzie i wyrzucanych na skały. Oczywiście policja w Richmondzie nie potrzebowała wiele czasu, żeby dodać dwa do dwóch i wydedukować, że pływające dynie mają związek z ładunkiem tira. Opos żywił nadzieję, że pan Custer nie umrze i nie skończy jako kaleka. Zdawał sobie też niejasno sprawę, że Dymek kazał mu strzelać, bo chciał, żeby Opos nie mógł już nigdy opuścić piratów, nie trafiając do więzienia albo nawet do celi śmierci. Żałował, że nie może posłać Tropicielowi Prawdy e-maila, błagając o ratunek dla siebie i Wytrzeszcz, ale co będzie, jeśli Tropiciel Prawdy wyda go policji? Suczka mogłaby trafić do schroniska dla zwierząt, a Opos do domu poprawczego i znowu znaleźć się wśród ludzi równie złych jak jego dowódca.

Było cicho i ciemno. Opos siedział na łóżku, głaszcząc Wytrzeszcz zastanawiając się, jak przekonać Dymka, żeby wywiesił flagę na przyczepie i land cruiserze. Nic mu to nie powinno przeszkadzać, pod warunkiem że Oposowi uda się przekonać szefa, że flaga jest jego, Dymka pomysłem i w dodatku świetnym. Piracka bandera byłaby zbyt oczywista, rozważał

Opos w ciemnościach, a Dymek pewnie nie wiedziałby, co to jest. Podszedł do komputera, zamierzając sprawdzić na stronie Kapitana Bonny'ego, czy ma on jakieś własne barwy, a jeśli tak, to jak wyglądają i w jaki sposób je prezentował.

Ale kiedy Opos nacisnął „Ulubione”, w roztertaniu wybrał stronę Tropiciele Prawdy zamiast Kapitana Bonny'ego. I wtedy ze zdziwieniem zobaczył, że Tropiciele Prawdy przedstawił nowy felieton.

– Proszę, proszę – szepnął z podnieceniem chłopak do suczki, która spała, pochrapując, na łóżku. – Dwa tego samego rana! Coś w tym musi być!

KRÓTKA DYGRESJA

Tropiciele Prawdy

Mieszkańcy Tangier Island to ludzie wrażliwi i skryci, którzy mało wiedzą na temat swojego pochodzenia, czemu się trudno dziwić, bo kiedy ktoś opowiada bajki i fałszuje fakty, to w końcu zapomina, co się naprawdę wydarzyło i zaczyna wierzyć w swoje własne kłamstwa.

Przez wieki ludzie z Tangiem ukrywali prawdę o swojej pirackiej przeszłości; woleli wierzyć w legendy. Pewnego popołudnia, udając reportera, odwiedziłem wyspę i rozmawiałem z miejscową kobietą, która wpadła do Spanky'ego, gdyż w sklepie z pamiątkami nie było ruchu.

– Pewnie macie dosyć turystów, przyjeżdżających tłumnie na waszą wyspę – zwróciłem się do kobiety, która nazywała się i pewnie nadal nazywa Thelma Parks.

– Nic mnie nie wadzą, jeśli dają mi spokój – odparła, przyglądając mi się nieufnie.

– Ale pewnie nie dają.

– Ano nie. Wczoraj przyszli do mnie do sklepu z kamerą widło i widłowali mnie, chociaż wcalem im nie pozwoliła.

– Powiedziała im pani, żeby pani nie filmowali? – zapytałem, robiąc

notatki.

– Ni.

Thelma opowiedziała mi, że liczy sobie ćwierć dolara za możliwość robienia jej zdjęć, jak siedzi przy kasie, i że dodatkowy dochód pozwala jej łatwiej znosić tłumy obcych, którzy nie wiadomo dlaczego uważają jej sklepik z pamiątkami za coś egzotycznego i niepodobnego do wszystkiego, co znają. Ani jeden z suwenirów, takich jak plastikowe latarnie morskie, kraby, wiewiórki, homary, ryby, łódki i tak dalej nie jest wykonany ręcznie, a w dodatku nawet nie w Ameryce. Dodała też, że w zatoce Chesapeake homary spotyka się bardzo rzadko, a większość wyspiarzy nigdy ich nie widziała, chyba że w telewizji albo w reklamie restauracji serwujących owoce morza, która ukazuje się regularnie w gazecie „Pilot Wirginijski”.

Opuściłem Spanky’ego i wędrowałem dalej, aż trafiłem do przychodni. Wszedłem do środka, ale nie natrafiłem na żaden ślad dentysty, lekarza czy pielęgniarki... był tam tylko wysoki, szczupły młodzieniec o niebieskich oczach i gęstych, jasnych włosach. Siedział w fotelu dentystycznym, patrząc niewidzącym wzrokiem, zagubiony w marzeniach i zupełnie nie zauważył mojej obecności. Uznałem, że jest pacjentem, a dentysta zaraz wróci. Nie zdawałam sobie sprawy, że w rzeczywistości specjalista ów znajduje się w niewoli, bo w tamtej chwili ani fakt jego uwięzienia, ani groźba wojny domowej nie zostały jeszcze podane do wiadomości publicznej.

– Dzień dobry – odezwałem się grzecznie. Chłopiec miał szklisty wzrok i nic nie odpowiedział.

- Jesteś tu? – zapytałem. Nie był.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy ktoś z personelu medycznego znalazłby chwilkę, żeby ze mną porozmawiać – oznajmiłem. – Opracowuję historię początków naszego narodu i uważam, że Tangier Island odegrała w nich kluczową rolę.

– Klucz mam w kieszeni. – Chłopiec zamrugał powiekami i zakrył sobie kieszeń ręką. Zobaczywszy, że jestem obcy, zerwał się z fotela. – Co pan tu

robi? Wydawało mi się, że zamknąłem drzwi! – Podbiegł do wejścia i zasunął rygiel.

Usłyszałem stłumione dźwięki, dobiegające z zaplecza i szuranie krzesła na podłodze.

– Tam jest pies. – Młodzieniec wskazał w stronę, skąd dochodził dźwięk.

– Dlaczego szura krzesłem? – zdziwiłem się. – Jest przywiązany czy jak?

– Taa.

Krzesło znów zaszurało.

– Musi mu tam być duszno i nieprzyjemnie – zauważyłem, bo nie podobało mi się, że ktoś więzi psa w przychodni lekarskiej. – Dlaczego go nie wypuścisz na świeże powietrze?

– Właśnie! – Młody człowiek zastawił sobą drzwi, prowadzące do interesującego mnie pomieszczenia, a szuranie rozległo się znowu. – On gryzie. Dlatego nie może wyjść. To pies dentysty.

– A gdzie dentysta?

– Też nie może wyjść.

– Aha, jest zajęty. No dobrze, może porozmawiam z nim kiedy indziej – odparłem. – A co z twoimi zębami? Widzę, że nosisz aparat korekcyjny i wygląda na to, że wyrwano ci kilka zębów. Zauważyłem też, że jak mówisz, wylatują ci z ust gumowe uszczelki.

– Właśnie! – Chłopak zakrył sobie usta ręką, zakłopotany. – A dentysta niech się lepiej pilnuje!

– Skoro już tak sobie rozmawiamy – zacząłem, podchodząc do stołu, na którym leżała karta dentystyczna – czy mogę przejrzeć ten dokument i zobaczyć, co ci zrobił? Domyślam się, że to twoja karta? Nazywasz się Darren Shores?

– Wszyscy tutaj wołają mnie Fonny Boy.

Zaczęliśmy rozmawiać, i okazało się, że Fonny Boy wie wszystko o wyspie dzięki swojej fascynacji historią żeglugi, zwłaszcza po zatoce. Kiedy się trochę lepiej poznaliśmy i Fonny Boy nabrał do mnie nieco

zaufania, zeszliśmy na temat piratów albo korsarzy, jak ich nazywał. Kiedyś podobno byli tu wszędzie. W pewnym momencie na wybrzeżach Marylandu, Wirginii i obu Karolin pojawiło się ich tylu, że miasta takie jak Charleston zostały dosłownie sparaliżowane.

Nikt nie odważył się wypłynąć z portu, gdyż groziło to porwaniem przez piratów, którzy skłonni byli mordować ludzi bardzo nieprzyjemnymi sposobami.

Fonny Boy opowiedział mi zwłaszcza o Czarnobrodym, który naprawdę nazywał się Edward Drummon, gdy jeszcze pracował w swoim ojczystym porcie w Bristolu, w Anglii, pod koniec siedemnastego wieku. Kiedy postanowił zostać piratem, zmienił nazwisko na Edward Teach, co zapisywano błędnie jako Thatch, Tache i Tatch. Po wojnie królowej Anny o sukcesję hiszpańską Czarnobrody popłynął na Jamajkę, by atakować na francuskie statki i stworzył sobie wizerunek nikczemnego okrutnika, żeby statki poddawały mu się bez walki, jeśli nie skutkowały ostrzegawcze flagi. Zaplatał sobie brodę w warkoczyki i podpalał je wolno płonącymi zapalkami, opowiadał mi Fonny Boy, nosił też za pasem pistolety, sztylety i spory kord oraz dodatkową broń na przewieszonym przez pierś bandolierze.

Po niedługim czasie Czarnobrody ze swą flotą zaczął grasować u wybrzeży Karoliny Północnej i w Chesapeake. Mieszkańcy Tangieru wywieszali piracką banderę, ilekroć spostrzegli któryś z jego statków, a od czasu do czasu zły i bezlitosny pirat osobiście odwiedzał wyspę, żeby sobie popić rumu z Jamajki i pohulać do woli. Podczas tych wizyt nikt go nie przyjmował z radością i mało kto odważył się zmrużyć oko. Kobiety i dzieci kryły się po domach, w związku z czym Czarnobrody uznał, że na Tangierze mieszkają wyłącznie mężczyźni. Z tego też względu odwiedzał wyspę coraz rzadziej i spędzał na niej mniej czasu. Z tego, co mówił Fonny Boy, i z prawie nieistniejących źródeł historycznych wynika, że Czarnobrodego szalenie intrygowało, w jaki sposób ludność, składająca się wyłącznie z osobników płci męskiej, mogła przetrwać całe dziesięciolecia i jak to

będzie w przyszłości.

Odpowiedź, jakiej mu udzielono, pozostała nieznana aż do czasu, kiedy odkryto liczące sobie trzysta lat zapiski. To niezwykle znalezisko, jak twierdzi legenda, trafiło ze statku Czarnobrodego „Adventure” na strych potomka Alexandra Spottswooda, który był gubernatorem Wirginii w czasach krwawych napaści słynnego pirata. Zapiski dotyczą głównie miejsc, gdzie zostały ulokowane korsarskie łupy oraz prezentują szczegóły sadystycznych okrucieństw, opisują, jak herszt lubował się w rąbaniu ludzi na drobne kawałki i ważył się wznosić bluźniercze toasty pustym kielichem po rumie. Własnoręczne wpisy Czarnobrodego dotyczą stu czterdziestu baryłek kakao i skrzynki cukru, które ukradł i ukrył w sianie w jednej ze stodół w Karolinie Północnej. Znajduje się tam również tajemnicza wzmianka o miejscu zakopania skarbu, znanym tylko Czarnobrodemu oraz samemu diabłu i nieodnalezionym do dzisiaj.

Zdawałem sobie sprawę, że Tangier nie mógł być zamieszkanym wyłącznie przez mężczyzn, więc nacisnąłem Fonny’ego Boya, żeby powiedział mi, jakiego wyjaśnienia udzielono krwawemu piratowi. Chłopiec powtórzył mi, co Tangierczycy przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie.

– Niech będzie przeklęta twoja dusza, jeśli mnie oszukujesz! – ryknął Czarnobrody do sprytnego i kłamliwego wyspiarza nazwiskiem Job Wheeler, bezdietnego wdowca, który, jak twierdzi legenda, zaprosił pirata do swojego domu, ulokowanego w miejscu zwanym dzisiaj Zatoczką Joba.

– Nie będę skrywał prawdy – odpowiedział Job hersztowi, który pochłaniał jeden kielich rumu za drugim i podpalał sobie brodę. – Tak więc chociaż nasze najdawniejsze początki wywodzą się z Anglii, przybyliśmy na wyspę z Karoliny Północnej.

Job skłamał bezczelnie, bo wiedział, że taka informacja na pewno zainteresuje Czarnobrodego, gdyż było powszechnie wiadomo, że pirat działał w zмовie z Charlesem Edenem, gubernatorem Karoliny Północnej. Przez wiele lat swej nikczemnej działalności Czarnobrody bez najmniejszych

obaw żeglował po płytkich cieśninach i zatoczkach tego stanu. W gruncie rzeczy każde przedsięwzięcie podjęte w celu pokonania Czarnobrodego i jego piratów na innych terenach zawsze udaremniało ostrzeżenie z Karoliny Północnej, ku wielkiemu niezadowoleniu gubernatora Wirginii, Spottswooda, który nie żywił przyjaznych uczuć do Czarnobrodego i byłby wielce rad, mogąc ukrócić działalność pirata i pozbawić go nędznego żywota.

- Jak to możliwe? – ryknął Czarnobrody poprzez kłęby dymu, przymykając jedno oko, czym sugerował, że Job „ma wyznać wszystko jak na świętej spowiedzi, bo jak nie, to potnę cię na drobne kawałki i odeślę cię tam, skąd przyszedłeś, czyli do piekła, łotrze!”.

– Nie jestem łotrem – zapewnił go Job. – Pochodzę z Karoliny Północnej... nie z piekła... gdzie waść masz wielu przyjaciół i krewnych. Ale nie może być mu wiadomym, że my, mieszkańcy tej pięknej wyspy, przybyliśmy tu z Karoliny Północnej, uchodząc przed straszliwą suszą, która zniszczyła nasze zbiory, aż mało nie pomarliśmy z pragnienia. Brakło nam już wszystkiego, więc wsiedliśmy na barki i przy płynęliśmy tutaj, nie zostawiając po sobie żadnych wieści, poza tym, że wyryliśmy słowo „Krotoan” na słupie od bramy i „Kro” na drzewie, żeby było jasne, że wyruszyliśmy, żeby zamieszkać z Krotanami.

Czarnobrody przypomniał Jobowi, że nazwa owego indiańskiego szczepu brzmi K-R-O-T-A-N, a nie K-R-O-T-O-A-N, na co Job odpowiedział:

– Masz waść świętą rację. Lecz to nie ja wyryłem ów napis tylko ktoś inny, nie taki uczony jak ja.

– Czyżbyś chciał zasugerować – sondowałem Fonny’ego Boya – że wyspiarze pochodzą od zaginionych osadników, którzy zniknęli po tym, jak sir Walter Raleigh zostawił ich na wyspie Roanoke? Cóż – powiedziałem – wiadomo, że kiedy Raleigh wyruszył 8 maja 1687 roku do Nowego Świata, planował znaleźć jakieś miejsce nad zatoką Chesapeake, ale burze i huragany zmusiły go do osiedlenia się bardziej na południe, na Roanoke. Owi zaginionieni osadnicy wcale nie chcieli się znaleźć w Karolinie Północnej. Przypuszczam

też, że gdyby postanowili gdzieś się przenieść, to raczej tam, gdzie zamierzali pierwotnie zamieszkać, a Tangier opisywano jako przyjemne miejsce, poza tym że na wyspie brak było źródeł wody pitnej. – Niemniej jednak – uznałem – chronologia nie pozwala przyjąć wyjaśnień Joba za dobrą monetę, bo zaginięni osadnicy zdążyli zniknąć z horyzontu, kiedy Smith płynął do Wirginii i rzekomo odkrył waszą wyspę w roku 1608. Więc jestem zmuszony całkowicie odrzucić tę teorię. Co więcej, nie możemy udowodnić, przynajmniej w sposób dla mnie zadowalający, że kiedy Smith wylądował na Tangierze, to nie trafił w gruncie rzeczy na wyspę Limbo. Wtedy wy wcale nie bylibyście Tangierczykami tylko Limbijczykami.

Na twarzy Fonny'ego Boya znowu pojawił się nieobecny wyraz. Chłopiec opadł ciężko na fotel dentystyczny, wyraźnie zaabsorbowany czymś innym. Gdzieś na zapleczu przychodni ponownie zaszurało krzesło, a potem huknęło, najwyraźniej przewrócone przez uwiązanego psa dentysty, któremu może coś się po prostu przyśniło, a przynajmniej tak sobie wtedy pomyślałem.

– Muszę już bieć – zwróciłem się do Fonny'ego Boya. – Zobaczę, czego jeszcze uda mi się dowiedzieć o twoich pobratymcach. Ciekawe, czemu tylko Job Wheeler i Czarnobrody znali prawdę albo kłamstwo na temat przeszłości Tangieru. A także dlaczego po śmierci Joba, a także i po tym, jak Czarnobrodego spotkał zasłużony gwałtowny kres, ta tajemnica oraz inne na długie lata zostały ukryte na strychu Spottswoodów.

Oczy Fonny'ego Boya drgały, jak gdyby pogrążył się w głębokim śnie. Chłopiec zaciskał dłonie na poręczach fotela dentystycznego, jakby oglądał jakiś emocjonujący film przygodowy. Nie było sensu dłużej próbować się z nim porozumieć, więc wyszedłem z przychodni. Machnąłem na wózek golfowy, pełniący funkcję taksówki i wróciłem na pas startowy, a w głowie huczało mi od teorii i spekulacji, które nie miały większego sensu, bo nie jestem ani historykiem, ani autorem powieści historycznych, chociaż znam ludzi, którzy zajmują się czymś takim. Kiedy leciałem helikopterem do

domu, trzymając się poniżej tysiąca stu metrów, żeby ominąć strefę zastrzeżoną R 4006, i kierując się na południe, aby nie znaleźć się w strefie zastrzeżonej R 6609, zdałem sobie sprawę, że moim obowiązkiem jest kontynuować wyczerpujące badania dotyczące początków naszego kraju oraz tego, co nastąpiło potem.

– Uważaj na tego ptaka. – Drugi pilot wskazał mewę, która najwyraźniej zobaczyła nas dopiero w ostatniej chwili.

– No, no, ledwo nam się udało – powiedziałem, kiedy ptak zanurkował, muskając ogonem płożę. – Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. – Skierowałem helikopter o kilka stopni na zachód i zobaczyłem odlatującą mewę, która wydawała się cofać, bo oczywiście my poruszaliśmy się znacznie szybciej niż ona.

P. S. Ktokolwiek więzi Wytrzeszcz, niech skontaktuje się ze mną, zanim będzie za późno!

Wielkie dzięki wszystkim moim wiernym czytelnikom za informacje, które przysłaliście mi na temat Trish Prash.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 15

Kiedy Windy Brees wpadła do gabinetu, Judy Hammer wiedziała, że szykują się jakieś kłopoty. – Wielkie niebiosa! Widziała pani, co Tropiciele Prawdy wywiesił na swojej stronie internetowej? – zawołała sekretarka.

– Tak – odrzekła Judy. – Czytałam dziś rano.

– Nie! On umieścił następny tekst, i nie uwierzy pani, co napisał!

– Coś jeszcze? – Pani komendant zdziwiła się, ale nie zamierzała okazać, że wie coś na temat działalności Tropicielea Prawdy i terminów publikacji jego felietonów. – To ciekawe – powiedziała. – A mnie się wydawało, że on przedstawia tylko jeden tekst na dzień.

– Okazuje się, że niekoniecznie – odparła Wendy. – Kimkolwiek jest, to płodliwy autor. Ciekawe jak wygląda i ile ma lat. Musi być stary, bo przecież tyle wie. O historii i w ogóle...

– Dlaczego uważasz, że to mężczyzna? – zapytała Judy, otwierając stronę internetową.

– No, chociażby dlatego, że jest taki mądry.

Kiedy Judy Hammer przeczytała felieton, poleciła Wendy opuścić gabinet i zamknąć drzwi. Wybrała numer Andy’ego.

– Właśnie!?! – szepnęła z oburzeniem.

– To popularne tangierskie wyrażenie – wyjaśnił. – „Właśnie!” oznacza, że rozmówca chce w gruncie rzeczy powiedzieć: „to nie twoja sprawa”. Na przykład, jeśli pytam, czy jest pani na mnie wściekła, że nie poinformowałem pani o mojej tajnej misji, albo czy będzie pani się złościć, jeśli powiem, że

wczoraj wieczorem zostawiono mi pod domem coś ohydneho, i powie pani „Właśnie!”, to będzie to znaczyło...

– Masz się zjawić... – Przerwała, szukając w myślach sensownej lokalizacji.

W całym Richmondzie nie było miejsca, gdzie którekolwiek z nich mogłoby pozostać niezauważone, a tym bardziej gdyby się tam znaleźli razem.

– ... Na parkingu Ukropa za piętnaście minut! – zdecydowała zirytowana.

– Którego Ukropa? – zapytał Andy. – I wszystko pani wyjaśnię.

– Nie przez telefon. Do Ukropa w Stonypoint. Porozmawiamy w samochodzie.

Major Trader właśnie przeczytał felieton, a teraz posapując z wysiłku, podniósł z miejsca swe wielkie ciało i pospieszył do biura szefa.

– Panie gubernatorze! – wykrzyknął, wpadając bez pukania. – Tropiciele Prawdy był na Tangierze i utrzymuje, że jakiś tamtejszy chłopiec więzi dentystę! On udawał dziennikarza!

– Co? – zapytał słabo Crimm, wyłaniając się z prywatnej łazienki. Wyglądził kraciastą kamizelkę i sprawdził, czy przekazywany z ojca na syna kieszonkowy zegarek znajduje się bezpiecznie w kieszonce. – Tamtejszy chłopiec jest dziennikarzem? Jaki chłopiec? O czym ty, do licha, mówisz, a poza tym, dlaczego tutaj wpadasz bez uprzedzenia?

– Nazywa się Fonny Boy. To chłopiec z wyspy nazwiskiem Fonny Boy – wyrzucił z podnieceniem Trader. – I nie. To Tropiciele Prawdy udawał dziennikarza, nie Fonny Boy.

– Nie udawał Fonny’ego Boya tylko dziennikarza? – Crimm wygrzebał swoje biurowe szkło powiększające ze sterty papierów. – Podobno jesteś sekretarzem prasowym, a kaleczysz język angielski, zwyczajnie go kaleczysz. Stale i systematycznie. I na litość boską, czy nie możesz zanieść kiedyś ubrania do pralni? Czy twoja żona nic na to nie mówi? – Powiększone oko gubernatora spoczęło na niechlujnej postaci Tradera. – Masz ślady po

papryce na koszuli, a krawat jest za krótki. Wyglądasz jak tłusta świnia po grubszej popijawie i zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem cię w końcu wywalić.

– Panie gubernatorze, błagam! – wykrzyknął Major. – Proszę nie zabijać posłańca. To nie ja zamieszczam te wszystkie tajne i żenujące informacje w Internecie.

– Co do tego nie mam wątpliwości. – Crimm opadł na fotel za biurkiem, gestem polecił Traderowi usiąść obok i zniżył głos. – Kimkolwiek jest Tropiciele Prawdy, on przynajmniej potrafi pisać.

– O, panie gubernatorze, tak nie można – zaprotestował sekretarz. – Nie wolno panu tak mnie obrażać. Myślę, że powinien mnie pan przeprosić za urażenie mojej wrażliwości twórczej.

– Jedyne, co masz w sobie twórczego, to zdolność do mijania się z prawdą – odparł Crimm. – I gdybym nie był tak zajęty ważnymi sprawami służbowymi oraz kłopotami zdrowotnymi, to częściej bym wyłapywał twoje kłamstwa i coś bym już z tym zrobił.

– A jak się pan czuje? – zapytał słodko Trader.

– Przyniosłeś ten ostatni felieton?

Sekretarz wydobył wydruk i wygładził go na bibule. Gubernator milczał przez wiele długich minut, przesuając szkło powiększające nad słowami Tropiciele Prawdy, od czasu do czasu pochrząkując i wydając inne nieartykułowane dźwięki dezaprobaty, zdziwienia, a także pojękując z bólu.

– Nie pozostaje nam nic innego – oznajmił swym najbardziej władczym tonem – tylko musimy zatrudnić tajnego agenta, który ujawni tego Tropiciele Prawdy i odda go w ręce sprawiedliwości.

– Ale za co? O ile wiem, nie popełnił żadnego przestępstwa.

– No, przecież jest winien zdrady, nie sądzisz? Czy nie wtyka nosa w sprawy stanowe i nie daje do zrozumienia, że moja polityka jest idiotyczna? Co więcej nie podoba mi się jego obsesyjne zainteresowanie tematem piratów, kiedy my tak się staramy wyciszyć ten problem. Teraz

wyciągną? nawet sprawę Czarnobrodego i wszyscy o nim mówią.

– Wiem, wiem. – Trader absolutnie się z tym zgadzał, wspominając z satysfakcją prowadzoną przez siebie stronę Kapitana Bonny’ego. – Nie chcemy, oczywiście, żeby obywatele pomyśleli, że stan Wirginia kiedykolwiek popierał Czarnobrodego. Powinniśmy raczej podkreślić, że Czarnobrody kumał się z Karoliną Północną, a nasz gubernator Spottswood...

– Dobrze wiesz, co myślę o Spottswoodzie! – warknął gubernator, a na jego łodzi podwodnej rozległ się alarm bojowy. – Wcale nie chcę, żeby jeszcze on na tym dodatkowo skorzystał, jasne? Muszę znosić jego domniemanych potomków i mam dosyć zaproszeń na pieczone prosię i dziczyznę pieczoną na desce oraz wysłuchiwanie w nieskończoność wymyślonych historii o gubernatorze Spottswoodzie, który najpewniej był cierpiącym na syfa i podagrę samochwałą. – Wyciągnął zegarek z kieszonki. – Robi się późno. Przyjdź na kolację do rezydencji, to wszystko dokładniej omówimy i ustalimy plan działania.

Andy już sobie ułożył całą przemowę, ale widząc, jak komendant Hammer wysiada z samochodu i stanowczym krokiem zmierza ku niemu przez parking, obawiał się, że szefowa jest zbyt poirytowana, żeby go wysłuchać.

– Wyłącz natychmiast tę stronę internetową! – powiedziała, otworzywszy jednym szarpnięciem drzwi jego nieoznakowanego caprice. – Właśnie! Nad niczym nie panujesz. Co to ma znaczyć, że wykonujesz tajne zadanie na Tangier Island i nawet nie raczysz mnie o tym poinformować? I co to za jakaś ohydna rzecz pojawiła się wczoraj u ciebie w domu?

– Przepraszam. Wiem, że powinienem był pani powiedzieć o mojej tajnej misji. Ale obawiałem się, że spróbuje mnie pani powstrzymać – odpowiedział spokojnie. – I nie można wyłączyć strony internetowej. Mogę ją zdjąć, jednak lepiej tego nie robić. Zbyt wiele od niej zależy.

– Jedyne, co się teraz liczy, to moja kariera i dobre imię oraz życie tego

dentysty – odparła.

– Dentysta jest łobuzem. Powinna pani zobaczyć kartę pacjenta, którą tam oglądałem! No i co będzie z Wytrzeszcz? – zapytał Andy.

Judy zasmuciła się i umilkła.

– Z tego, co wiem, porwano ją z premedytacją i sprawcą jest najprawdopodobniej ktoś, kto ma do pani jakieś osobiste pretensje – powiedział Brazil.

– To może być pół świata – odrzekła z niesmakiem.

– I nie chodzi o pieniądze, a przynajmniej nie bezpośrednio – ciągnął. – Gdyby sprawcy chcieli dostać okup, już by się ze mną dawno skontaktowali. Myślę, że ktoś szykuje coś prawdziwie nikczemnego. Zdobyłem też trochę informacji dzięki Tropicielowi Prawdy... kilka podejrzanych e-maili. Wydaje mi się, że jeśli będę dalej ogłaszał felietony i badał wszystkie możliwe tropy, rozgryziemy tę sprawę i parę innych. I przysięgam na Boga, jeśli Wytrzeszcz żyje, to ją odnajdę.

– Nie chcę na nowo łudzić się nadzieją – odparła z uporem Judy. – Naprawdę myślisz, że ona żyje?

– Mam takie przeczucie. Po pierwsze, teriery bostońskie nie są atrakcyjnym łupem dla złodziei psów. Mają wielkie uszy, wyłupiaste oczy, a ich krótkie ogonki nie zakrywają nic istotnego, wie pani, co mam na myśli. Nie mówiąc już o płaskich pyszczkach, tendencji do miejscowego łysienia i inteligencji, którą przewyższają większość właścicieli... nie mam tu oczywiście na myśli pani. Uważam, że złodzieje interesują się najbardziej labradorami, miniaturowymi collie, cocker spanielami i może jamnikami.

– To znaczy że kradzież suczki stanowi część jakiegoś większego planu, o którym nic jeszcze nie wiemy – domyśliła się Judy.

– Otóż to. – Andy kiwnął głową. Para z ich oddechów pokryła już szyby samochodu.

– To dosyć ryzykowne i raczej głupie z twojej strony pojechać na Tangier Island i udawać dziennikarza – powiedziała.

– Niech pani posłucha – odparł – na podstawie sugestii zawartej w e-mailu otrzymanym przez Tropicielea Prawdy, zanim jeszcze zostałem posłany, żeby malować punkty kontroli prędkości, wiedziałem, że ktoś szykuje polityczną zasadzkę, mającą odwrócić uwagę od gubernatora, którego z powodu tego dupka, Majora Tradera, coraz częściej postrzega się jako nieudolnego administratora. To zgroza, że ta tłusta świnia tak nim bezczelnie manipuluje, ale gubernator nic nie zauważa, bo nic nie widzi i kropka. Nie uwierzy pani, jakie opowieści słyszałem, kiedy kręciłem się to tu, to tam przez cały zeszły rok.

– Na przykład? – spytała z zainteresowaniem pani Hammer.

– Wygląda na to, że ilekroć Trader przynosi Crimmowi ciastka albo cukierki, zaraz potem gubernator dostaje ataku gastrycznego, który go kompletnie otępia. A dodam, że słodczy są zawsze z czekoladą.

– No nie. Nie sądzisz chyba...?

– Właśnie, że tak i udowodnię to, jak tylko dostanę wyniki badań czekoladek, które gubernator rzekomo pani podarował oraz tego, co zostało z ciasta karmelowego, posłanego przez Tradera do Ruth's Chris.

– Zabrałeś je do laboratorium? – Hammer była wstrząśnięta.

– Oczywiście. Znałem te plotki, a gubernator ani razu do pani nawet nie zadzwonił, więc dlaczego miałyby przysyłać czekoladki i to wiadomo przez kogo? Myślę, że ten bydlak Trader dodaje do słodczy dla Crimma środek na przeczyszczenie i że robi to już od wielu lat. Nic łatwiejszego, jak wprowadzić w błąd człowieka udręczonego skurczami żołądka, ilekroć biedak musi podejmować jakieś ważne decyzje, i manipulować nim, kiedy się skręca ze wstydu.

– To przestępstwo! – oświadczyła z niesmakiem pani Hammer, przypominając sobie niejasno, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej na stanowisko komendanta policji Trader częstował ją fistaszkami w czekoladzie ze srebrnej miseczki, a ona odmówiła, bo nie jada słodczy ani nic tuczącego.

– Jest jeszcze więcej – ciągnął złowieszczo Andy. – Postarałem się dokładniej zbadać przeszłość Tradera. Po pierwsze, nazwisko panięskie jego matki brzmi Bonny.

– No i co z tego?

– Zaraz się pani dowie. – Andy spojrzał jej w oczy. Słońce chyliło się ku zachodowi, a klienci supermarketu śpieszyli do samochodów, nieświadomi, że obok nich odbywa się bardzo ważna rozmowa. – Bonny’owie wywodzą się z Tangier Island. Matka Tradera poślubiła rybaka nazwiskiem Trader, a Major urodził się na wyspie jedenastego sierpnia 1951 roku. Został przyjęty przez akuszerkę, która przeżyła ciężkie chwile, bo pojawił się nogami naprzód, co było symptomatyczne, albowiem ten człowiek przekręca prawdę i wywraca do góry nogami wszystko, co jest moralne albo uczciwe.

– Więc sugerujesz, że wprowadzenie WASKAR na Tangier Island to pułapka zastawiona przez Tradera? – posumowała szefowa.

– A tak. Jedno jest pewne, Trader doskonale zna mentalność wyspiarzy i prawdopodobnie wciąż wie to i owo o ludziach obecnie tam zamieszkujących. Ale nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby interweniować co najmniej z jednego, ważnego powodu.

– To znaczy?

– Rodzina Bonnych wywodzi się od piratów – wyjaśnił Andy. – Obawiam się, że mam więcej złych wiadomości – dodał, a potem opowiedział o worku na śmieci i kopercie, które podrzucono mu pod dom wczorajszego wieczora.

Komendant Hammer wysłuchiwała wszystkiego, nie przerywając ani razu, co jak na nią było zupełnie niezwykle. Wyraźnie była wstrząśnięta i zaniepokojona.

– Z e-maili, które dostawał Tropiciele Prawdy – ciągnął Andy – wynika, że Trish Prash używała inicjałów T. P. i nawet żartowano sobie z niej ostatnio, że jest Tropicielem Prawdy. Powtarzam, z powodu inicjałów. Bardzo jej się to podobało, bo chętnie by nim została, zwłaszcza że marzyła o zawodzie dziennikarki, a tymczasem musiała wklepywać dane w urzędzie stanowym. –

Umilkł, bo zrobiło mu się przykro na myśl, że marzenia tej kobiety już nigdy się nie spełnią; Trish nie zostanie Tropicielem Prawdy, a w dodatku nie żyje.

– Więc myślisz, że poznała swojego mordercę i rozmawiała z nim? – spytała Judy Hammer. – Może powiedziała mu o żartach na temat Tropicielea Prawdy i swoich pragnieniach, a potem na tyle zaufała temu nieznanemu, żeby z nim dokądś pójść?

– Tak właśnie sędzę, tylko zastanowiłbym się poważnie nad płcią owej nieznanego osoby. Inne e-maile sugerowały, że T. P. nie poszłaby nigdzie z mężczyzną ani nawet nie dałaby się poderwać, chyba że w pracy, gdzie ukrywała swoje skłonności, obawiając się represji ze strony szefa – bigota. Zazwyczaj ubierała się w czarne skórzane stroje i przesiadywała w barach wieczorami i w weekendy, szukając towarzystwa sobie podobnych. W noc zabójstwa zadzwoniła do przyjaciółki i powiedziała, że idzie do Tobacco Company, bo tam jest całkiem przyjemnie i raczej się nie trafia na żadnych nawiedzonych. Więc zakładam, że osoba, z którą spotkała się T. P., to ktoś niebudzący podejrzeń i niezwracający na siebie uwagi. Nie twierdę, że spotkała kogokolwiek w Tobacco Company. Jeszcze nie wiadomo, gdzie poznała zabójcę. Jako Tropiciel Prawdy przesłałem te wszystkie informacje detektywowi Slipperowi. Mam nadzieję, że je wszystkie sprawdza.

– Ale nic z tego nie wyjaśnia, dlaczego zabójca zostawił dowody pod twoim domem, Andy – zauważyła z niepokojem Judy Hammer. – Obawiam się o twoje bezpieczeństwo, na litość boską! To jakiś wściekły psychopata, a teraz zaczął się na ciebie.

– Szczerze mówiąc – odrzekł Andy – nie jestem przekonany, że to mężczyzna i że działa sam. Proszę nie zapominać, że Moseesa Custerę też pocięto narzędziem podobnym do brzytwy.

– Kobieta pirat drogowy, która popełnia zbrodnie z nienawiści? – spytała z powątpiewaniem Hammer.

– To tylko dziwaczny przesąd, że kobiety nie są zdolne do przemocy i równie ohydnych przestępstw jak mężczyźni – zaprotestował Andy. –

Nienawiść to nienawiść. I wydaje mi się, że warto będzie poruszyć tę kwestię w jednym z najbliższych felietonów Tropiciele Prawdy.

W tym samym czasie kiedy w zaparowanym samochodzie odbywała się powyższa rozmowa, Kot, znajdujący się wiele kilometrów dalej, nad James River, wprowadzał w życie swój własny plan. Pożyczył land cruisera, który teraz parkował w hangarze policji stanowej, ukryty pomiędzy dwoma innymi cywilnymi wozami. Po wielu godzinach Kot w końcu się doczekał: na lądowisku usiadł helikopter, którym Macovich poleciał na Tangier Island po świeże owoce morza.

Macovich musiał przyznać, że ci Tangierczycy to najdziwniejsi ludzie pod słońcem. Chociaż wydali wojnę Wirginii i wywiesili proporzec z krabem, kiedy jednak przekonali się, że Macovich przybył tylko po to, żeby coś kupić, zdjęli swą chorągiew i umieścili na maszcie flagę Wirginii. A potem podwoili cenę za obiad gubernatora.

– Może ktoś coś wie o tym dentyście, którego gdzieś tu ukrywacie na wyspie. – Policjant usiłował przeprowadzić śledztwo, podczas gdy kobieta przy kasie wydawała mu resztę w centach.

– Dentysta? Już jakiś czas go nie widziałam – odpowiedziała. Macovich jej nie uwierzył, a w dodatku rzuciło mu się w oczy, że kobieta ma bardzo złej jakości koronki na zębach.

– To on robił te korony? – zapytał.

– Ano. – Tangierka, która nazywała się Mattie Dize, błysnęła uśmiechem śnieżnobiałych zębów, kiedy Macovich chował do kieszeni dziewięćdziesiąt dwa centy.

– Hmm – odpowiedział, kręcąc głową. – Cieszę się, że mnie nie leczy. Wie pani co? Wydaje mi się, że postąpilibyście mądrzej, gdybyście się trochę wyluzowali i wypuścili tego faceta, żeby wrócił do domu i żony. Co wam z tego przyjdzie, że go tu będziecie trzymać? Reszta stanu wcale nie chce z wami zwady.

Mattie zmrużyła oczy i przygryzła dolną wargę, zatraskując szufladę z pieniędzmi.

– Gubernator też nie ma ochoty się z wami użerać – ciągnął Macovich. Błękitne kraby zagrzechotały, a pstrąg chlupnął płetwami na dnie białego plastikowego wiaderka. – Mógłbym wywalić tu parę drzwi i w końcu bym go znalazł, a potem wsadził was wszystkich za kraty, ale wolę załatwić rzecz po przyjacielsku. A poza tym muszę zawieźć te stwory szefowi, zanim umrą, bo Pierwsza Dama nie lubi, jak je przywożę martwe.

Przynajmniej spróbowałem mediacji, pomyślał Macovich, zamykając helikopter w hangarze. Zaraz też zauważył nieciekawie wyglądającego młodzieńca, ubranego w strój członka załogi NASCAR, rozmawiającego przez komórkę.

– Już jest – mówił Kot do Dymka.

– Kto znowu? Lepiej, żebyś miał coś ciekawego, jak już mnie budzisz w samo popołudnie.

– Ten wielki, czarny glina. Właśnie wylądował.

– Nie pierdol. – Szef natychmiast oprzytomniał. – To jazda na lekcję do niego, a w ogóle dlaczego to jesteś ty, a nie Opos?

– Coś tam robi u siebie – wyjaśnił Kot.

– Skopię mu tyłek – mruknął sennie Dymek i przewrócił się na drugi bok.

Pirat niedbałym krokiem podszedł do helikoptera. Macovich tankował paliwo, używając do tego wielkiego węża, przyłączonego do cysterny Exxonu z wielkimi napisami JETA. Kot zapiął kurtkę NASCAR i nacisnął na oczy bejsbolówkę, zadowolony, że chodził na wszystkie wyścigi na torze w Richmondzie i kupił sobie rozmaite gadzety, takie jak części stroju, zapalniczki, plakaty, kubki, długopisy i odświeżacze powietrza na długo przedtem, zanim się to mu okazało potrzebne w robocie.

Macovich z rosnącym podnieceniem obserwował, jak zbliża się do niego facet w stroju NASCAR. Dałby wiele, żeby należeć do ich zespołu! Ten gość wyglądał odpowiednio: nonszalancki, szorstki, silny, ale na tyle niski, żeby

się zmieścić w samochodzie wyścigowym. Palił winstona, nosił ciemne okulary, a w domu czeka pewno na niego piękna, seksowna blondynka.

– Jestem tu na polecenie mojego kierowcy, którego nazwiska nie wolno mi podać – powiedział Kot, pstrykając kolorową zapalniczką z napisem „Winston Cup” i podpisem Jeffa Burtona. – Zaczynajmy.

– Co mamy zaczynać? – Policjant popatrzył zazdrośnie na zapalniczkę i pomyślał, że może ten biały kierowca z dredami, z którym widział się wczoraj wieczorem, to Jeff Burton w przebraniu.

– Naukę latania. – Chłopak przez chwilę bawił się zapalniczką, gasząc ją i zapalając, a papierosa miał zatkniętego za ucho.

Macovich rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. Kot wyjął z zapinanej na suwak kieszonki na rękawie kurtki banknot studolarowy. Policjant wbił wzrok w banknot, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział podobny nominał.

– Wie pan co – zwrócił się do kandydata na pilota. – Najpierw muszę zawieźć świeże zakupy. Będę tutaj za godzinę albo dwie.

– Chwila! – przeraził się Kot. – Nie będę latał po ciemku!

– A bo co? – zapytał bezceremonialnie Macovich. – Myślisz, że takiemu wielkiemu helikopterowi robi to jakąś różnicę? Ten ptaszek ma auto-pilota, system ostrzegania o możliwości kolizji, radar meteo, i wszystkie rodzaje reflektorów lądowania, nawet odtwarzacz DVD w części pasażerskiej, na wypadek gdyby Pierwszej Rodzinie zachciało się oglądać filmy podczas lotu.

Chłopak zrozumiał głównie część dotyczącą DVD, ale nic poza tym. Przyszło mu też do głowy, że chyba wziął się do czegoś, z czym sobie nie da rady, jednak nie zamierzał tego ujawniać temu masywnemu gliniarzowi.

– Taa? – powiedział. – Widziałem większe i lepsze. Jak myślisz, czym wszyscy kierowcy przyjeżdżają na tor?

– Głównie jet rangerami i może czterystasiódemkami – odparł Macovich, który doskonale się orientował, co ląduje na torze wyścigowym, bo Pierwsza Rodzina miała słabość do podrasowanych samochodów, które jeździły

z rykiem silników przez całą noc. – Teraz muszę zawieźć te kraby, zanim zdechną – powiedział. – Zaraz wracam i za pierwszą lekcję pozwolę ci zapłacić tylko stówkę, wyłącznie z czystej uprzejmości. Następne będą kosztowały więcej. Ta maszyna nie jest tania.

– A ile kosztuje na wolnym rynku? – zapytał z chciwością pirat.

– Około sześciu milionów – odparł Macovich, zamykając na klucz drzwi i klapę bagażnika.

Nie pozwolą mi założyć zamka w drzwiach do pokoju, a z pewnością by mi się przydał, pomyślał Opos, niepokojąc się, że Dymek może się wkurzyć, kiedy dowie się, że on, Opos, wykręcił się od lekcji pilotażu. W swym ciemnym pokoju nerwowo skubał kanapkę z masłem fistaszkowym i dżemem winogronowym, pracując nad projektem flagi pirackiej, a jednocześnie oglądając odcinek „Bonanzy” i głaszcząc Wytrzeszcz.

– Szkoda, że tak nie potrafię – mruknął do suki, kiedy Hoss zginał podkowy gołymi rękami.

Mały Joe trenował Hossa do walki z niesławnym Bear Cat Sampsonem z cyrku, który właśnie przyjechał do miasteczka. Wystarczyło, że Hoss przytrzyma przy ziemi zapaśnika cyrkowego przez pięć minut, a wygra razem z Małym Joe sto dolarów. Wtedy to pewnie była kupa kasy, pomyślał chłopak. Teraz sto dolarów starczyłoby najwyżej na parę w miarę przyzwoitych adidasów.

Naszkirował w bloku rysunkowym zgiętą podkowę, a potem ją przekreślił. Następnie spróbował narysować Hossa, podnoszącego wóz pełen worków z paszą. Potem Małego Joe, jak uderza Hossa deską w wielki brzuch, a ten nic nie czuje. Nic z tego nie wyglądało dobrze na papierze. Opos spróbował więc nakreślić płonącą mapę Ponderosy i stwierdził, że chyba jest na dobrym tropie.

Drzwi otworzyły się nagle i pojawił się w nich rozwścieczony Dymek. Opos zmrużył oczy, porażone nieoczekiwanym blaskiem światła.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – zapytał ze złością Dymek. Wyglądał przy

tym, jakby miał zaraz zrzucić Oposa i Wytrzeszcz z łóżka i dobrze im przyłomotać.

– Nic.

– Dlaczego nie pojechałeś do hangaru? Kot przed chwilą zadzwonił, a ty się tu pierdolisz przy telewizji! To ty miałeś brać lekcje, nie on!

– Kot jest ode mnie lepszy – wyjaśnił pokornie Opos. – Ty spałeś, więc nie chcieliśmy ci zawracać głowy.

– To lepiej się teraz podnoś. Jedziemy do Wall Martu kupić trochę ciuchów z logo NASCAR. Od tej pory to są nasze barwy i niech cię więcej nie widzę w tych szmatach Michaela Jordana. Pojedziemy na wyścigi – komenderował Dymek. – Najbliższe będą w sobotę, seria Winston Cup.

– Przecież nie mamy biletów! – wykrzyknął Opos. – Jak wejdziemy bez biletów? I nie będzie gdzie zaparkować.

– Nie potrzebujemy ani biletów, ani miejsca do zaparkowania – odparł Dymek i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Hoss wkroczył na ring i zainkasował kilka ciosów, ale potem zamknął przeciwnika w miażdżącym uścisku i połamał mu żebra.

– Puść go! Puść! – szepnął chłopak, chociaż widział ten odcinek tyle razy, że doskonale pamiętał, iż Hoss nie puści Bear Cata, aż minie wyznaczony czas, stracą z Małym Joe sto dolarów i Hoss będzie musiał wędrować razem z cyrkiem, dopóki cyrkowy osiłek nie wyzdrowieje na tyle, by móc znowu walczyć. – Puść go, Hoss!

Ben Cartwright i Mały Joe wiwatowali na widowni, a Opos znowu wziął się do rysowania. NASCAR podsunął mu pewien pomysł. Tak jak piraci, kierowcy także używali flag oznaczających ostrzeżenia i kary. Chłopiec narysował kraciastą flagę i zamienił ją na piracką, zaznaczając na czerwono czaszkę i piszczele.

– Cholera – mruknął. – To się też nie nadaje, malutka.

Zamienił kraciastą flagę na grę w kółko i krzyżyk, jednak i to mu się nie spodobało, więc namalował czarną flagę, która oznaczała, że pora wjeżdżać

na miejsca startowe i poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Zaczynał wreszcie do czegoś dochodzić. Wytarł gumką części flagi, tworząc białe oczy i pasmo uśmiechniętych zębów, co dało efekt czaszki-uśmiechu z wiadomości internetowej. Pod spodem dodał dwa skrzyżowane ogony oposa zamiast puszczeli i wstawił między zęby papierosa ze spiralnie unoszącym się dymem. Czaszka z papierosem, pomyślał, coraz bardziej wciągnięty w akcję na ekranie, gdy cyrkowi zabrakło pieniędzy, a Hoss i Mały Joe dostali w ramach wypłaty słonia, którego zamknęli w stodole na farmie. Ben Cartwright nie był zachwycony, kiedy zajrzał do środka i odkrył swój nowy inwentarz.

Opos pomyślał ze smutkiem o czarnym chevrolecie GM Goodwrench Services numer trzy niedawno zmarłego w wypadku Dale Earnhardta i uznał, że uhonoruje bohatera wyścigów. Pod flagą dopisał drukowanymi literami: Wesoly Goodwrench.

– Hej zobacz! – wykrzyknął, wbiegając do pokoju Dymka, i podsunął szefowi swój blok rysunkowy.

– Jeszcze raz wejdiesz bez pukania, a odstrzelę ci kutasa! – ryknął tamten. Usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

– Narysowałem dla nas piracką flagę – wyjaśnił Opos. – Mogę taką uszyć, a wtedy zabierzemy ją na wyścigi i ludzie będą myśleli, że to flaga NASCAR. Zabierzemy psa i postaramy się, żeby przyjechała tam też ta para gliniarzy. Tym dwojgu nigdy nie przyjdzie do głowy, że załoga wyścigowa może mieć ze sobą broń i odstrzelić im łby. Potem Kot przyleci helikopterem, zabierze nas stamtąd i nikt nas nie złapie. Uciekniemy na Tangerine Island, bo każdemu z nas szykują się tu kłopoty, a tam przeczekamy, aż wszystko trochę przycichnie, co?

Dymek zaciągnął się papierosem i potrząsnął kilkoma stojącymi opodal puszkami. Wszystkie były puste.

– Przynieś mi piwa – polecił Oposowi. – Ta twoja durna flaga ma być gotowa na sobotę. Zadzwoń do Kota i powiedz mu, że ma załatwić na sobotę

helikopter. Niech powie temu czarnuchowi, że słynny kierowca wyścigowy i jego załoga będą go potrzebowali, żeby dotrzeć na tor, a potem ma ich zawieźć na wielkie party na wyspie. Jak już się tam dostaniemy, zastrzeli się i jego, a helikopter będzie nasz. I uda nam się zwać.

ROZDZIAŁ 16

Czarna brama z kutego żelaza otworzyła się niespiesznie, a surowy funkcjonariusz policji przyglądał się przez szybę swojej budki, jak Andy podjeżdża pod rezydencję gubernatora.

– Gdzie mam zaparkować? – zapytał Brazil, bo okrągły, żwirowy podjazd zajmowała flotylla czarnych suburbanów i limuzyn gubernatora.

– Niech pan stanie na trawie – polecił funkcjonariusz.

– Nie można – zaprotestował Andy, spoglądając na świeżo ostrzyżony trawnik i przycięte żywopłoty.

– Nie ma sprawy – zapewnił go tamten. – Więźniowie tu jutro posprzątają. Dobrze, jak mają coś do roboty.

Pony obserwował to wszystko przez mającą setki lat szybę. Lokaj nie był w najlepszym nastroju. Podczas minionej godziny został kilkakrotnie zbesztany przez pomoc kuchenną, bo córki Crimmów, a zwłaszcza Regina, protestowały przeciwko planom lekkiej kolacji, co zazwyczaj oznaczało pstrągi albo błękitne kraby, świeżo przywiezione z Tangier Island. Regina miała paskudny zwyczaj wślizgiwania się do kuchni i zaglądania pod pokrywki, a kiedy odkryła w zlewie pstrąga i kilka tuzinów błękitnych krabów w stanie bliskim agonii, zrobiła awanturę.

– Nienawidzę ryb! – wykrzyknęła z furją. – Wszyscy wiedzą, że ich nie cierpię!

– Mama panienki podała takie menu – stwierdził kucharz Figgie. – Wykonujemy jej polecenia, panno Reginio.

– Nie nazywam się Reginia!

Kucharz Figgie z trudem opanował się, by jej nie powiedzieć, że wyszłaby na tym lepiej, gdyby się tak właśnie nazywała. Popatrzył na pstrąga w zlewie z nadzieją, że nieszczęśnik pośpieszy się i wreszcie zaśnie. Miał haczyk w pyszczku i kucharz nie mógł zrozumieć, dlaczego ryba wciąż jeszcze żyje. Błękitne kraby cały czas usiłowały wyjść i chrzęściły w wielkim zlewie z nierdzewnej stali, kierując na Figgiego swe peryskopowe oczy z urazą i strachem.

Kucharz Figgie nie zabijał niczego i nie zgadzał się odbierać życia istotom mniejszym i mniej inteligentnym niż on, zanim je ugotował. Wolał otrzymywać produkty żywnościowe już martwe i w opakowaniu. Najbardziej zaś protestował przeciwko hodowli tuczników, a Regina uwielbiała wieprzowinę.

– Gdzie się podziała szynka? – spytała swoim donośnym, prostackim głosem. – Dlaczego nie dostaniemy bułek zapiekanych z szynką? To właśnie jest lekka kolacja i ty o tym dobrze wiesz, Figgie. Gotujesz co innego, bo mnie nie lubisz. Zobacz, jak te kraby na mnie patrzą. Wynieśmy je przez tylne drzwi i niech gdzieś sobie pójda.

– Pierwszej Damie to wcale się nie spodoba – odparł kucharz.

– A co to kogo obchodzi?

Kraby słyszały każde słowo i wspięły się jeden na drugiego, żeby sięgnąć do kranu. Zamarły i udawały nieżywe, gdy do profesjonalnie wyposażonej kuchni położonej poniżej parteru wkroczył Major Trader. Podczas ostatniej renowacji archeologowie odkryli tu tysiące starych przedmiotów, w tym rybie ości i prymitywne haczyki, a oprócz tego liczne groty strzał i kule do muszkietów.

– Dlaczego te kraby tak leżą? – Trader spojrzął do zlewu. – Wyglądają, jakby już zdechły, a Pierwsza Dama nie znosi martwych frutti di mare, Fig. – Trader zawsze zwracał się do kucharza „Fig”, bo tak jest krócej. – Lubi, jak miotają się i uderzają w ścianki garnka, kiedy gotują się żywcem, bo wtedy

są bardzo świeże, gdy już trafią na stół. Proszę. – Postawił na stole nieduże pudełko. – Moja żona zrobiła babeczki z czekoladą dla gubernatora. Niech nikt inny nie waży się ich tknąć.

Kucharzowi zrobiło się słabo na myśl, że mógłby cokolwiek ugotować żywcem.

Kraby wstrzymały oddech, a ich oczy na słupkach zamarły z przerażenia. Przez setki lat rozwinęły sobie doskonały wzrok, by unikać naturalnych wrogów, w tym rybaków z Tangiem. Wyspiarze byli okropnymi ludźmi, którzy spędzali cały czas na łódkach, załadowanych więcierzami na kraby. Wkładali do nich przynętę z nadpsutej ryby i wrzucali pułapki do wody, bo wiedzieli doskonale, że kraby uwielbiają nieświeże ryby i nie mają nic do jedzenia, jeżeli w okolicy brak martwych ryb i innych organizmów.

Wygląda to w następujący sposób: niewinny krab drepcze sobie przez muł, nie wtykając nosa w cudze sprawy, kiedy z góry opada, niczym winda, wielka klatka i ląduje na dnie w chmurze łu. Krab czuje zapach martwej ryby i widzi jej kawałki, krążące wewnątrz więcierza. Wzywa zatem kilku przyjaciół i członków rodziny i mówi:

– A niech mnie! Co o tym myślicie?

– Zrzucili więcierz – odpowiada jeden z nich. – Uważaj.

– O mój ty Boże! Jaki ja jestem głodny! – jęczy mały krabik.

– Cicho siedź! Nie uczyłeś się o więcierzach? To cię porwie do góry.

– Słuchaj no – powiedział głośno Trader. – Te kraby już nie żyją, a Pierwszej Damie bardzo się nie spodoba, kiedy się o tym dowie, jak znajdą się na jej talerzu. Wywali cię, a wtedy wszystkie twoje czarne smarki nie będą miały tatusia.

Trader był ohydny rasistą, więc uznał to za świetny pomysł i roześmiał się bezczelnie. Siedemnaścioro więcej czarnych dzieci bez ojcowskiego autorytetu. Wszystkie wyrosną na handlarzy narkotyków i będą spędzać długi czas na odtruwaniu, a potem skończą w więzieniu, jak ich ojciec. Pewnego dnia trafią do pracy w kuchni gubernatora, i będą musiały decydować, czy

kraby już są nieżywe, martwiąc się że Pierwsza Dama je wywali, to znaczy, te murzyńskie dzieci, nie kraby, uściślił w swych czarnych myślach Trader.

Andy nacisnął dzwonek trzeci raz, a Pony nadal patrzył przez stare, pofalowane szkło. Lokaj musi robić wrażenie, że jest bardzo zajęty, a rezydencja jest bardzo rozległa i wymaga przemierzenia wielu wytwornych komnat w drodze do holu.

– Idę – powiedział w końcu, przysłaniając usta dłońmi, aby się wydawało, że jego głos dobiega z daleka.

Andy zastukał do drzwi, tym razem używając kołatki w kształcie ciężkiego, mosiężnego ananasa, który w Wirginii jest symbolem gościnności. Pony przez minutę przestępował w miejscu z nogi na nogę, żeby się trochę spocić i zadyszeć.

– Idę – powtórzył, tym razem normalnie, co miało wywołać wrażenie, że znajduje się już bliżej.

Policzył do dziesięciu i otworzył drzwi.

– Przeszedłem do państwa Crimmów – powiedział Andy, ściskając dłoń kamerdynera i wywołując tym jego zdumienie.

– Ach – odparł, na chwilę tracąc rezon. Ten młody człowiek był uprzejmy i miły. Starał się patrzeć mu w oczy, a Pony zupełnie nie był do tego przyzwyczajony i musiał się zebrać w sobie, żeby utrzymać się w roli. – Kogo mam zaanonsować?

Andy podał swoje nazwisko i natychmiast zrobiło mu się żal służącego. Nieszczęśnik był wyraźnie zaharowany i niedoceniony.

– Bardzo mi się podoba pańska kurtka – odezwał się uprzejmie. – Chyba ją pan musi bez przerwy prasować. Wygląda, jakby mogła stać sama. – Miał to być komplement.

– Moja żona pracuje w pralni. To na dole koło kuchni. Prasuje mi kurtkę i nigdy nie żałuje krochmalu – odparł dumnie Pony. – Widujemy się tylko w pracy, bo na resztę czasu wracam do więzienia.

– Musi panu być bardzo ciężko.

– To niesprawiedliwość – przyznał Pony. – Ostatnich sześciu gubernatorów, w tym pan Crimm podczas trzech kadencji, obiecywało, że postarają się załatwić mi złagodzenie wyroku, a potem okazuje się, że nie mają czasu i zapominają. Na tym polega problem z kadencjami. Wszyscy mają krótką pamięć.

Brazil wszedł do holu, a Pony zamknął drzwi.

– Właśnie – zgodził się Andy. – Jak tylko ich wybiorą, myślą tylko o tym, co mają zrobić dalej, bo ich kadencja trwa cztery lata, a połowę z tego muszą spędzić na kampanii wyborczej albo szukając pracy.

Pony kiwnął głową, uradowany, że ktoś wreszcie zrozumiał, co to znaczy zostać przydzielonym do rezydencji.

– Przyszedł pan z wizytą do córek państwa Crimmów? Bo niezbyt pan do nich pasuje.

– Nic na ten temat nie wiem – odparł Andy, nabierając podejrzeń co do celu, dla którego Pierwsza Dama zaprosiła go do rezydencji.

Regina też żywiła podejrzenia.

– Te kraby nie są martwe! – wrzasnęła. – Jeden z nich przed chwilą na mnie spojrzał. Widziałam, jak poruszył oczami. Jak jeść coś, co ma takie wyłupiaste oczy? Nie mogę na to patrzeć. Można by pomyśleć, że bez przerwy coś im wpada do oczu, bo sterczą do góry i nie mają powiek.

– Są takie, bo kraby muszą widzieć, jak się zakopią w piasku – wyjaśnił Trader. – Ich oczy są jak peryskopy na łodziach podwodnych.

Celowo napomknął o łodziach podwodnych, żeby zażartować ze stanu zdrowia gubernatora za jego plecami. Trader okazywał szacunek swemu pracodawcy tylko wtedy, kiedy musiał, i miał zwyczaj obrażać personel rezydencji i mówić, co mu się żywnie podoba, ilekroć Crimma nie było albo go nie mógł usłyszeć.

– Zabierz je i wypuść do rzeki – poleciła Regina kucharzowi Figgiemu. – Rybę też. I ona na mnie patrzy. Ale najpierw wyjmij jej ten haczyk z pyska.

Jeśli go zostawisz, zapłacze się w coś pod wodą i utonie. Chcę dostać bułki zapiekane z szynką z masłem i galaretką miętową, jasne? Co się stało z resztą tego ciasta, którego nie skończyliśmy? Ciasta z masłem fistaszkowym? – Polała wodą z kranu kraby i rybę, dodając im trochę życia. – W kącie jest wiadro – powiedziała. – To, w którym je przyniesiono. Włóżcie je tam. I niech nikt nigdy więcej nie przynosi do rezydencji krabów i ryb. Mam też dosyć dziczyzny. Skąd wiecie, że Indianie nie zatrują tego mięsa, żeby nam odpłacić pięknym za nadobne? Przywlekli to ścierwo po schodach, sądząc, że to dla nas wielkie szczęście dostawać od nich prezenty.

– Nie powinno się ich nazywać Indianami, panienko Regiono. To Rdzenni Mieszkańcy Ameryki i bardzo miło z ich strony, że nas obdarowują dziczyzną. – Kucharz Figgie był obrażony i w najmniejszym stopniu nieprzekonany jej uwagami.

– Rdzenni Mieszkańcy Ameryki? – Twarz młodej kobiety pociemniała z gniewu. – Tak? Równie dobrze moglibyśmy nazywać ich tubylcami.

– Oczywiście, że nie. – Kucharz Figgie spojrzał prosto w niewielkie, twarde oczka Reginy, które przypominały mu rodzinke w rosnącym cieście drożdżowym. – I jeśli jeszcze raz określi panienska kogokolwiek z obsługi rezydencji jako tubylca, złożę na panienkę skargę do NAACP[* Działająca w Stanach Zjednoczonych organizacja broniąca praw mniejszości rasowych.]

I nie obchodzi mnie, że jest panienska córką gubernatora.

– W tej chwili zabierzcie stąd te kraby! – wrzasnęła Regina. – Albo zaraz zdechną i będą śmierdzieć.

Kraby radośnie wymachiwały szczypcami, kiedy kucharz Figgie delikatnie wyjmował je oraz pstrąga z głębokiego zlewu i umieszczał w wiaderku. Przyniósł cążki i odciął haczyk, a potem wysunął go z obolałego pyszczka ryby.

Pony nie miał takiego szczęścia. Nikt się nie pofatygował, żeby i jego uwolnić. Tymczasem o niczym bardziej nie marzył, jak o tym, żeby kucharz Figgie zaniósł go w wiaderku do James River i tam wypuścił. Kamerdyner

obserwował, gdy kucharz maszerował przez jadalnię, wychła-pując wodę z wiaderka i kierując się do bocznego wyjścia. Kraby i ryba rozmawiały ze sobą, snując plany. Regina szła za kucharzem i na widok Andy'ego zatrzymała się jak wryta.

– Nie będzie lekkiej kolacji – powiedziała.

– Nic nie szkodzi – odrzekł grzecznie Andy. – Wydaje mi się, że przede wszystkim powinienem złapać pani ojca.

– Robi pan niesmaczne żarty z powodu tej ryby? – Zmarszczyła brwi.

Nie znał jej na tyle, żeby robić sobie dowcipy, a Regina z góry założyła, że ten przystojny mężczyzna nie będzie dla niej miły. Żaden z nich nigdy nie był i nie będzie.

Andy zauważył rybę, pływającą w wiaderku pełnym krabów, i zdał sobie sprawę ze swojej gafy.

– Przepraszam. Dopiero w tej chwili spostrzegłem tego pstrąga. Nie użyłbym słowa „złapać”, gdybym go widział. Nie chciałem pani urazić. Ja tylko mam nadzieję, że uda mi się dzisiaj porozmawiać z gubernatorem.

– Może mnie pan nazywać Regina.

Nic z tego. Andy za nic nie potrafiłby zwrócić się do niej tym imieniem. Czułby się przy tym zażenowany.

– Czy można panią nazywać jakoś inaczej? – zapytał. – Może Reggie?

– Nikt jeszcze do mnie nie mówił Reggie.

Jego życzliwe zainteresowanie wyprowadziło ją z równowagi. Aż musiała się oprzeć o lśniąca mahoniową balustradę, która łukiem wiodła na górę do prywatnych apartamentów Pierwszej Rodziny, gdzie właśnie w tej chwili Maude Crimm spryskiwała sobie lakierem włosy, przyglądając się z niezadowoleniem swojemu odbiciu w lustrze.

Niegdyś zaliczała się do piękności. Gdy Maude i Bedford ujrzeli się po raz pierwszy na balu Faberge, była drobną kobietką o bujnej figurze, słodkich czerwonych usteczkach i wymownych, fiołkowych oczach. Maude patrzyła na gablotkę, w której znajdowało się ozdobione klejnotami jajko, kierujące

myśli do czasów rewolucji bolszewickiej i tajemnicy Anastazji, kiedy Bedford Crimm IV, młody senator stanowy, szarmancko zatrzymał się przy niej i przez zabytkowe szkło powiększające zaczął się przyglądać uroczym kragłociom słabo osłoniętym przez głęboko wycięty stanik sukni.

– No, no, nie do wiary – powiedział. – Zawsze byłem ciekaw, dlaczego właśnie jajka. Czemu nie coś innego, skoro już się robi przedmioty z metali szlachetnych i bezcennych klejnotów?

– A co pan by wybrał? – zapytała kokieteryjnie Maude.

Crimm jej zaimponował i zdała sobie sprawę, że sama zawsze uważała kolekcję dzieł Faberge za coś oczywistego. Znała ją od dawna i nigdy nie kwestionowała pomysłu.

– Z całą pewnością nie wybrałbym jajka – odparł Crimm niskim, dystyngowanym głosem, o melodyjnym akcencie z Południa. – Może coś związanego z wojną secesyjną. – Zastanowił się. – Na przykład armaty z różowego złota albo flagi konfederackie z platyny, rubinów, diamentów i szafirów... takie same klejnoty powinna nosić pani na tej pięknej szyi. – Przesunął krótkim, grubym palcem po szyi Maude. – Długi łańcuszek z wielkim diamentem, który znikałby między piersiami. – Pokazał jej gdzie. – Byłby niewidoczny i laskotałby panią w najmniej oczekiwanych momentach.

– Zawsze marzyłam o wielkim diamencie – powiedziała Maude, rozglądając się trochę nerwowo z nadzieją, że nikt z wypełniającego salę tłumu ich nie obserwuje. – A pan wygląda, jakby miał wielki diament – dodała, wpatrując się w przód jego spodni od smokingu.

– Diament nadziei – zaśmiał się Bedford.

– Bo pan ma zawsze nadzieję. Rozumiem – odrzekła. – Wie pan, ja też jestem kolekcjonerką, senatorze Crimm.

– Nie może być?

– O tak. Wiem bardzo wiele o szklach powiększających. – Robiła na nim coraz większe wrażenie. – Pierwsze ślady prowadzą do jaskiń na Krecie i był też chiński cesarz, który używał topazu, żeby przyglądać się gwiazdom. To

działo się tysiące lat przed narodzeniem dzieciątka Jezus, wyobraża pan sobie? I założę się, że nie wiedział pan, że Neron patrzył przez szmaragd, kiedy obserwował, jak gladiatorzy się zabijają. Przypuszczam, że nie chciał, żeby słońce raziło go w oczy. Więc myślę, że to bardzo właściwe, iż nosi pan specjalne szkło, bo jest pan takim ważnym człowiekiem.

– Może pójdziemy do męskiej toalety i lepiej się ze sobą poznamy? – zaproponował Bedford.

– Za nic w świecie. – „Nie” u Maude znaczyło „tak”, ale już po ślubie Crimm miał się przekonać, że nawet „tak” mogło stać się „nie”, kiedy na suficie pojawiły się grzyb albo pajęczyna.

– To do damskiej – spróbował jeszcze raz.

Zanim został politykiem, piękne kobiety nie zwracały na niego uwagi. Teraz wszystko stało się zdumiewająco łatwe, pojawiły się nowe, liczne możliwości. Niski wzrost, braki w urodzie i kiepski wzrok przestały się liczyć. Nawet wielkość jego diamentu okazała się nieistotna. To nie to, co dawniej, kiedy przesiadywał nago na basenie w klubie razem z innymi młodymi mężczyznami u progu kariery, podejmując decyzje polityczne i dokonując wrogich przejęć.

– Nawet nie pół karata. – Bedford przypomniał sobie, jak mruknął jeden z nich. Oczywiście głos niesie się po wodzie, a Crimm, który właśnie stał na trampolinie, usłyszał tę niesmaczną uwagę.

– Liczy się jakość, nie wielkość – odparł. – Oraz twardość.

– Wszystkie diamenty są twarde – stwierdził inny mężczyzna, który prowadził firmę z listy Fortune 500, później przeniesioną do Charlotte.

W damskiej toalecie Crimm odkrył, że diamenty nie zawsze są twarde, a wszystko przez zamię Maude. Jej pupa wyglądała, jakby dziewczyna usiadła w kałuży atramentu. Sprawiało to okropne wrażenie, a Crimm bał się jej dotknąć.

– Co się stało? – zapytał, odsuwając się i chowając swój diament w spodniach.

– Nic takiego – odparła Maude, przyciśnięta do zimnej, pokrytej kafelkami ściany. – Jak zgasi się światło, to nic nie będzie widać. A niektórym to się nawet podoba.

Wyłączyła światło i pocałowała go namiętnie. Odnalazła też jego diament.

– Mów do mnie sprośne rzeczy – szepnęła w ciemnościach łazienki. – Nikt jeszcze tego nie robił, a ja zawsze chciałam słuchać lubieżnych opowieści o tym, co mężczyźni chcą ze mną zrobić. Uważaj, ta ściana jest twarda, więc mnie tak nie przyciskaj. Nie, nie ciągnij mnie na tę brudną podłogę. Może nie powinniśmy tego tu robić. Będę miała siniaki.

– To chodźmy do którejś z kabin. – Crimm prawie nie mógł mówić. – Jak ktoś wejdzie, to nas nie zobaczy. A hałas zagłuszemy, raz po raz spuszczając wodę.

Ich miłosne igraszki skończyły się po ślubie. Bedford, któremu wzrok psuł się coraz bardziej, nie dotknął Maude od czasu poczęcia Reginy, chociaż Pierwsza Dama nieustannie usiłowała wzbudzić w nim pożądanie, tylko po to, by dręczyć go i frustrować, a w końcu powiedzieć „nie”. Od długiego czasu Maude nie wyobrażała sobie „tak”, ale kiedy teraz pomyślała o Andym Brazilu, przyszło jej do głowy, że może powinna znowu użyć tego słowa w jego właściwym znaczeniu. Mąż okazywał całkowity brak tolerancji w kwestii trójnogów, do tego stopnia, że pani Crimm codziennie przenosiła je z jednego schowka do drugiego.

Może powinnam przyczynić mu poważniejszych zmartwień i zatrzymać tego uroczego chłopca dla siebie, pomyślała z urazą. Do diabła z córkami. Może gdyby Maude uwiodła Andy’ego, znowu zaczęłaby akceptować samą siebie i udałoby się jej zerwać z nałogiem zakupów. Nałożyła kolejną warstwę czarnego tuszu, by podkreślić intensywnie fiołkowe oczy, przeciągnęła po wargach jaskrawoczerwoną szminką, dodała różu na policzki i zmarszczyła brwi, żeby sprawdzić, jak się trzyma botoks.

– Och, jej – zwróciła się do lustra, kiedy spostrzegła, że coś jej się przesuwa na czole.

Kolagen też się kończył, a myśl o powrocie do kliniki kosmetycznej budziła w niej odrazę. Maude znalazła się już w punkcie, kiedy nie mogła znieść najmniejszego ukłucia bez dużej dozy demerolu, i po co to komu? Nikogo to nie obchodziło. Nikomu się już nie podoba. Rozpięła stanik i zsunęła go, nie zdejmując bluzki. Umiejętność tę nabyła jeszcze na studiach w Sweet Briar College.

– Cóż, wszystko na nic – mruknęła do siebie ze zniecierpliwieniem, gdy jej piersi opadły na wysokość talii.

Wzdychając zapięła stanik i przebrała się w atrakcyjny sweterek z cienkiego kaszmiru, który był na nią o kilka rozmiarów za mały, nawet kiedy ważyła znacznie mniej niż obecnie.

– No – obwieściła Pierwszemu Psu, Frisky, który spał na łóżku w sypialni obok. – Musisz przyznać, że jak na siedemdziesiąt lat wyglądam znakomicie.

Frisky nawet nie drgnął. Był to bardzo stary labrador barwy czekoladowej. Miał powyżej uszu niekończącej się gadaniny Pierwszej Damy. Ciągnęło się to już od dziewięciu lat, a zdaniem Frisky'ego Pierwsza Dama od pierwszego dnia sprawiała wrażenie zwiędłej. Dziś wyglądała szczególnie kiepsko: jej twarz sprawiała wrażenie zamarznętej, a usta wydawały się spuchnięte, więc labrador nie miał zamiaru przerywać swego ulubionego snu, w którym był chłopcem do przynoszenia piłek na kortach w Wimbledonie. Modlił się w duchu, żeby Pierwsza Dama chociaż ten jeden raz go nie obudziła.

– Chodź, Frisky! – zawołała Maude, próbując bezskutecznie strzelić palcami.

Cała była wysmarowana balsamem do pielęgnacji ciała i miała śliskie palce.

– Chodź! – Młasnęła palcami. – Idziemy na dół, przywitać naszych gości.

ROZDZIAŁ 17

Błękitne kraby i pstrąg miały właśnie otrzymać drugą szansę od losu. Major Trader zaofiarował się wrzucić je do rzeki, bo miał własne, tajemne plany. Wykombinował sobie, że znajdzie jakiegoś wędkarza i po prostu sprzeda mu zawartość wiaderka za niezłą sumkę. Poza tym chciał znaleźć miejsce, gdzie piraci mogliby mu zostawić walizkę z pieniędzmi. W tej właśnie chwili Trader prowadził swój służbowy samochód, a wiadro miotało się po bagażniku. Ani kraby, ani pstrąg nie widziały absolutnie nic w kompletnych ciemnościach i żywiły jak najgorsze przecucia co do tej podróży, bo Trader jechał za szybko, tak że samochodem zarzucało na zakrętach i gwałtownie hamował na światłach.

– O rety, on chyba nie ma GPS – powiedział jeden z krabów, wpadając na drugiego na dnie wiaderka. – Zgubił się, mówię wam!

– Jak to? – zapytał pstrąg, który pływał nad krabami, wpadając na ścianki na każdym ostrym zakręcie i przy licznych wstrząsach, wywołanych gwałtownym hamowaniem i przyśpieszaniem. – Myślę, że ma problemy z silnikiem.

– Jeździłeś kiedyś samochodem?

– Nie powiem, że tak – odparł pstrąg. – Ale oglądałem z bezpiecznej odległości, jak podjeżdżały na keję, kiedy rybacy wypływali na połów. Wszystkie ciężarówki i wózki golfowe tak podskakują i zarzucają.

Kraby poleciały razem w tę samą stronę i wylądowały jeden na drugim.

– Au! – jęknął któryś. – To boli! Wyjmij te szczypce z mojego oka albo

cię walnę!

– Jestem głodny!

– Nie dostaniesz nadpsutej ryby, dopóki nie wylądujemy w wodzie.

Opanuj się!

Trader przejechał przez krawężnik i zaparkował na chodniku, w miejscu gdzie Caesar Fender łowił ryby, ale nic jeszcze nie złapał.

– Hej! Przejechałeś moją skrzynkę, sukinsynu! – ryknął Caesar w stronę służbowego samochodu. – Co ty sobie wyobrażasz? Nic złego nie robiłem. Nawet nie mam samochodu, więc nie macie prawa wpadać tu na długich światłach i rozjeżdżać mi skrzynkę na osprzęt, jakbym jeździł z niedozwoloną prędkością albo co!

– Mam świeże frutti di mare godne stołu gubernatora – oznajmił Trader. – Mogę ci je sprzedać za pięćdziesiąt dolarów. Założę się, że masz w domu kupę głodnych czarnych kurdupli. Dam głowę, że nigdy nie jadły błękitnych krabów ani pstrągów.

Caesar Fender był wstrząśnięty obelgami białego tłuściocha.

– To, że czarny człowiek jest niskiego wzrostu, nie znaczy, że jest kurduplem – warknął. – A ty zwrócisz mi dwa dolary za skrzynkę i jeszcze siedemdziesiąt pięć centów za haczyki, które pozginałeś, i rozwalone spławiki. Jak zrobisz jeszcze krok, to strącisz do wody moją puszkę z robakami, a wtedy skopię ci tyłek!

– Dotknij mnie tylko, a zgnijesz w więzieniu! – zagroził Major.

– To zapłać za wszystko, co poniszczyłeś!

– Uważaj, co gadasz! Masz przed sobą ważnego urzędnika stanowego! – ryknął Trader – Pierdolę, kim jesteś!

Kiedy tak się spierali, kraby szybko ułożyły plan ratunku dla siebie i pstrąga.

– Udawajcie martwe – powiedział któryś z nich.

Trader otworzył bagażnik, a Caesar zajrzał do środka, rozłoszczony, ale zaciekawiony. Pstrąg unosił się na wodzie z zamkniętymi oczami i brzuchem

do góry, a kraby leżały bez ruchu i też miały zamknięte oczy.

– Ty pieprzony oszuście! – wrzasnął Caesar. – Proponujesz mi zdechliznę! Ile czasu ją wozisz w bagażniku? Miesiąc? Olać cię. – Machnął mu ręką przed twarzą, wyciągając wiaderko. – Oszukańczy biały śmieciu! Zobacz, co myślę o twoich świeżych frutti di mare!

Kraby i pstrąg nagle wyleciały w powietrze i pofrunęły prosto do James River, gdzie skorupiaki opadły na dno i siedziały oszołomione bez ruchu, a pstrąg powoli zataczał nad nimi kręgi.

– Patrz! Pstrąg pływa! – Trader wskazał na cień ryby w lśniących wodnych głębiach. – One są żywe! Wyrzuciłeś moje świeże frutti di mare! Dawaj mi teraz pięćdziesiąt dolarów! – zażądał.

– Nic z tego. – Caesar zaczął zbierać swój zniszczony sprzęt.

Piracki kod genetyczny Majora doszedł nagle do głosu i sekretarz prasowy walnął wędkarza pięścią w oko. Tamten użył wędkę jako bata i trafił Tradera w policzek żyłką z paroma ciężarkami, które przymocował kilka godzin temu, kiedy przyjechał tu na rowerze. Zaczęli ze sobą walczyć, tocząc się po ziemi, wykrzykując przekleństwa i okładając się pięściami. Zakrwawiony i rozwścieczony Trader oderwał się od przeciwnika i skoczył do samochodu, a Ceasar zaczął kopać karoserię, uprzednio rozbiwszy przednią szybę swoją zmiażdżoną skrzynką.

Oszalały ze złości, zdyszany Trader wtoczył się na miejsce kierowcy i wyciągnął raketnicę, którą zawsze trzymał pod przednim siedzeniem. Przekazywano ją w jego pirackiej rodzinie z pokolenia na pokolenie od roku 1870. Kalecząc sobie palce o rozbite szkło, załadował flarę do szerokiej lufy, wyskoczył z samochodu i wymierzył w stronę Caesara w tej samej chwili, gdy rozwścieczony wędkarz rzucił w niego ołowianymi ciężarkami. Gdy jeden z nich trafił Tradera w nos, sekretarz odruchowo nacisnął spust.

Rakieta eksplodowała w powietrzu niczym mały, ognisty pocisk, kierując się prosto w stronę Caesara i trafiając go w pierś. Kraby i pstrąg patrzyły ze zgrozą, jak ogarnięty płomieniami wędkarz robi kilka kroków i pada martwy.

Trader uciekł do zdewastowanego samochodu, który stał z rozbitą przednią szybą i wciąż otwartym bagażnikiem. Kiedy niedługo potem zszokowany wbiegał, utykając, do rezydencji gubernatora, był blady i zalany krwią, a garnitur i krawat miał podarty.

Regina też nie bardzo cokolwiek rozumiała. Nigdy nie widziała matki tak mocno wymalowanej i wyperfumowanej. Gdyby trafiła na panią Crimm w domu pogrzebowym, uznałaby, że nasączono ją formaldehydem, oblepiono kitem i zamieniono jej ubranie na strój należący do jakiejś zmarłej, znacznie drobniejszej kobiety, lubiącej zapach fuksji.

– Coś się z tobą działo, mamó? – spytała Regina, pożerając gruby kawałek miodowej szynki, wepchniętej w wielką bułę, ociekającą masłem i grudkami galaretki miętowej.

Pani Crimm, która się troszkę spóźniła, usiadła na końcu stołu i podniosła widelec, na znak, że można już jeść.

– Jak to, co? – Pierwsza Dama posłała córce ostrzegawcze spojrzenie. – I nie powinnaś zaczynać przed innymi. Jakbym cię tego nigdy nie uczyła.

Andy odkrawał jedyny fragment chudej szynki, który udało mu się znaleźć w jedzeniu, wypełniającym jego talerz, kiedy do jadalni wkroczył Trader. Brazil spostrzegł natychmiast, że sekretarz prasowy ma na sobie plamy krwi, pachnie spalonymi chemikaliami i prochem oraz że jest w szoku.

– Wolałbym wiedzieć, co się działo z panem – zwrócił się do Tradera.

Pani Crimm natychmiast z tego wywnioskowała, że ich przystojny gość ani przez chwilę nie sądził, że z nią cokolwiek się działo. Przecież ona zawsze wygląda kusząco i elegancko. To idiotyzm i czysta pruderia chować takie ciało pod grubymi warstwami luźnych, długich strojów. Andy wkrótce zwróci spojrzenie ku końcowi stołu i zatrzyma dłużej wzrok na jej osobie. Po obiedzie wymkną się do głównej sypialni, Maude zamknie drzwi na klucz i powie „tak”, używając tego słowa we właściwym znaczeniu. Jeśli ona i Andy będą cicho, to nawet gdyby gubernator wrócił do domu, na pewno ich

nie zauważy.

– Natrafił pan na zamieszki czy huragan? – Andy nadal koncentrował uwagę na Traderze, który wciąż jeszcze bez tchu rozpoczął długie wyjaśnienia. Mówił tak szybko, że słowa zaczęły mu się mieszać i wpadać na siebie w powietrzu.

– Co on, na litość boską, mówi? – pytała co chwilę Pierwsza Dama. – Chyba dostał udaru!

Opowiadanie Tradera łatwo dawało się streścić, chociaż jego relacja trwała przez dłuższy czas, a fakty zmieniały się jak chmury na niebie. Całość sprowadzała się do tego, co następuje: Trader przyjechał nad rzekę o godzinie dziewiętnastej, gdzie Amerykanin pochodzenia afrykańskiego łowił ryby, położywszy obok siebie rower. Trader przywitał mężczyznę i przez chwilę rozmawiali o pogodzie, a Trader wyrzucił kraby i pstrąga do rzeki.

– Ojej – przerwała pani Crimm. – Chyba nie wrzucił krabów do James River? Jeśli nie zdołają wrócić do zatoki, to równie dobrze mógł je wystrzelać.

Trader pośpiesznie wrócił do swojej opowieści.

– Twierdzi, że wywiązała się jakaś strzelanina – wyjaśnił Andy. – Samochód marki Lincoln nadjechał z wielką szybkością i mężczyzna pochodzenia latynoskiego zaczął strzelać przez okno z pistoletu sigsauer kalibru dziewięć milimetrów, wykrzykując wulgarne wyrazy. Strzelił do wędkarza z bliskiej odległości, trafiając go prawdopodobnie w pierś i ofiara stanęła w płomieniach, prawdopodobnie zajmując się od prochu, który prawdopodobnie zastał podsycony przez gaz z zapalniczki firmy Bic, którą wędkarz najprawdopodobniej miał w kieszeni koszuli.

– Jak to możliwe, że on nic nie wie na pewno? – Regina sięgnęła po następną bułkę. – Nawet nie sprawdził, czy ten nieszczęśnik na pewno zginął i czy się rzeczywiście zapalił? Dlaczego nie próbował ugasić ognia i nie wezwał pomocy? – Wciąż jedząc, wbiła wzrok w Tradera. – Uciekł pan, tak, po prostu, nie próbując mu pomóc ani nic? Co z pana za człowiek?

– Pierdnął mnie! – Trader podniósł głos, nie zdając sobie sprawy, że jego nagły problem językowy wynika ze stresu pourazowego, przez który uaktywnił się jego kod genetyczny, każący mu mówić językiem pirata.

– Proszę się nie wyrażać przy stole! – oburzyła się pani Crimm.

– Pierdnął mnie kilka razy! Bojałem się podejść!

– To nie do zniesienia! – Regina zakryła sobie uszy. – Niech ktoś z nim porozmawia. Andy, niech pan nam po prostu przetłumaczy, co on powiedział. I czy on rzeczywiście twierdzi, że Latynos puszczał wiatry? Jak on to miał zrobić? Podszedł do niego? – Skrzywiła się. – A może zrobił na niego kupę?

– Regino! – zgorszyła się jej matka. – Nie rozmawiamy o takich rzeczach przy stole.

Sekretarz usiłował wyjaśnić, że miał namyśli strzelanie, ale Andy ostrzegł go, żeby nie próbował używać słów „strzelać”, „strzelił”, „strzelając”, tylko udawał, że strzela, wyciągając rękę. To poskutkowało Pierwsza Rodzina wróciła do jedzenia, podczas gdy Trader wyjaśniał, korzystając z pośrednictwa Andy’ego, że jest pewien, iż to ten Latynos popełnił ostatnie zbrodnie z nienawiści i że w następnej kolejności zamierza zaatakować Pierwszą Rodzinę. Major natychmiast pośpieszył więc do rezydencji, żeby się upewnić, że wszyscy są bezpieczni i odpowiednio chronieni.

– Powiedział, że nienawidzi Crimmów! – wybuchnął. – I uważa, że wszyscy Crimmowie powinni zostać zgładzeni.

– Jest pan pewien, że nie miał na myśli kryminalistów? – spytała Regina, przeżuując. – Papa stanowczo opowiada się za karą śmierci i jest z tego znany.

– Kochanie, to nie miałyby większego sensu – zaprotestowała pani Crimm. – Ten Latynos najwyraźniej w świecie sam jest kryminalistą, więc po co miałyby atakować ludzi, którzy są do niego podobni?

– Niech diabli porwą mą duszę, temu łotrowi chodziło o was! – Trader wskazał złowieszczco na Pierwszą Rodzinę. – O Crimmów. Nie

kryminalistów.

Faith się przestraszyła.

– Nie wyjdziemy żywe z tej rezydencji, mamó.

– A jeśli on gdzieś się tu czai? – Constance otworzyła oczy szeroko i drżącymi rękoma naląła sobie wina do kieliszka.

– Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś trafiony z pistoletu zapalił się od tego – naciskał Tradera Andy. – Widział pan dym i płomień? A czy zapaliło się ubranie? Z tego, co pan powiedział, wynika, że zaraz pan stamtąd odjechał, bo bał się pan o Crimmów. Mógł pan dostać niewielkiego udaru, ale i tak trudno mi uwierzyć w pańską historię.

Trader odpowiedział mu protekcjonalnie, że nauka zna liczne przypadki, kiedy ludzie nieoczekiwanie zapalali się i ginęli od wystrzału.

– To się nazywa samozapłon – wyjaśnił. – Niech pan sobie sprawdzi w encyklopedii.

Andy nic nie musiał sprawdzać. Czytał o samozapłonie i o przypadkach, kiedy ludzie stawali w płomieniach bez żadnego powodu.

– Cóż – odpowiedział. – Zobaczymy, co wykaże sekcja.

– Nie myśli pan, że ten psychol tu wpadnie i nas wszystkich podpali? – niepokoila się Constance.

– Za co miałyby nas nienawidzić? – zdziwiła się Grace. – Przecież nic mu nie zrobiliśmy ani zresztą innym Latynosom. I nie należymy do mniejszości, poza tym że w gruncie rzeczy jesteśmy jak rodzina królewska, a takich ludzi nie ma wielu.

– Nawet nie znamy żadnych Latynosów – przypomniała rodzinie Faith, rozglądając się dookoła, a jej końska twarz falowała w łagodnym blasku świec. – I papa nie zatrudnia ani jednego Latynosa. Nigdy nie zatrudniał. Więc co mogliby mieć nam do zarzucenia Latynosi?

– Pewnie właśnie to, co pani przed chwilą powiedziała – odparł Andy.

– To znaczy? – spytała Regina między jednym kęsem a drugim.

– Zauważyłem, że w administracji gubernatora przydałoby się więcej

zróznicowania etnicznego. – Brazyl starał się być dyplomata. – Kiedy cała grupa ludzi czuje się wyłączona, wywołuje to niezadowolenie, które może doprowadzić do przemocy.

– Ale Bedford nie umie po hiszpańsku – odrzekła pani Crimm. – Nie widział powodu, żeby się uczyć tego języka.

– Pan gubernator doprawdy mało co widzi, pani Crimm – powiedział szczerze Andy i prawie dodał „za pozwoleniem”, ale widmo Judy Hammer unosiło się nad nim przez cały dzień. – Jestem przekonany, że gdyby zrobił coś ze swoją zdolnością widzenia, jego życie uległoby znacznej poprawie.

– On ma zawsze tę samą wizję – odparła Pierwsza Dama. – Widzi stan Wirginię jako stan niezwykle, dbały o dobro i zamożność każdego i wszystkich, i od dzisiaj przyświecać nam będzie ten cel... Ojej, zapomniałam, jak to idzie dalej. Jak to było? – Przebiegła wzrokiem po znudzonych twarzach swoich córek.

– To samo mówi na każdej inauguracji – rzekła z niesmakiem Regina. – Wygłasza to samo przemówienie, ilekroć zostanie wybrany. Za pierwszym razem brzmiało głupio i od tej pory nic się nie zmieniło. – Popatrzyła na Andy’ego. – Myśli, że Wirginię należy stawiać wyżej niż inne stany wspólnoty, bo nienawidzi Karoliny Północnej i ma już dosyć tego, że najbogatsze firmy z Fortune 500 przenoszą się tam, a nie tu.

Sięgnęła po masło. Srebrny nóż wypadł jej z grubych, zatłuszczonych palców i poleciał po wytwornej posadzce. Pony pojawił się nie wiadomo skąd i podniósł go. Zastąpił go czystym wyjętym ze srebrnego pudła.

– Czy mam coś jeszcze pani podać, panienko Reginio? – zapytał uprzejmie.

– To całkiem niezłe imię – stwierdził z zaskoczeniem Andy. – Może wszyscy się powinniśmy tak do pani zwracać?

– Nie chcę, żeby mnie nazywano inaczej i przestańcie się wreszcie zastanawiać, jak na mnie mówić! I mam dosyć tego, że nikt do mnie nawet nie zadzwoni! – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. – Ilekroć zadzwoni

telefon, to chodzi o to, żeby znaleźć bazę. Nie mam żadnych przyjaciół. Ani jednego. – Płakała z pełnymi ustami. – Urodziłam się w kopalni...

– Nieprawda – przerwała jej matka.

– Ale zostałam poczęta. – Regina zrobiła się niedyskretna. – Wiem dokładnie, co się stało, kiedy zjechaliście z papą w tych śmiesznych hełmach z latarkami do głębokiego, ciemnego szybu. Wyobraź sobie, co mogę czuć, wiedząc, że jego sperma była cała pokryta miałem węglowym i w tym stanie dotarła prosto do jajeczka i postanowiła, że w rezultacie powstanę ja!

Sięgnęła po butelkę z winem, która wyslizgnęła się jej z ręki i potoczyła po obrusie, a potem na podłogę. Pony cierpliwie wpełznął pod stół, po butelkę wirginijskiego chardonnay.

– Kurde, mam tego wszystkiego dość! – ryknęła Regina.

– Nie wyrażaj się przy stole – zwróciła jej uwagę Pierwsza Dama. – Skąd ci się wziął taki język? Kiedy byłaś mała, nie używałaś podobnych słów. I moim zdaniem takie wyrazy brzmią ohydnie w ustach młodej dziewczyny, zwłaszcza gdy jest córką gubernatora.

– Tak właśnie mówili w kopalni – powiedziała z triumfem Regina, zwracając się do Andy’ego. Wszyscy już zdążyli zapomnieć o obecności Tradera, a nawet o jego istnieniu.

Wtedy Major popełnił błąd, gdyż myśląc jak sekretarz prasowy, zaczął mówić jak pirat.

– Ano. Lepiej niech używa eufemizmów takich jak: „a niech cię”, „a niech to czarci”, „tam do kata”, „psiajucha”, „do stu piorunów”, „pierony”, „do diaska”, „do stu tysięcy fur beczek”, „pierd”...

– Wystarczy! – polecił mu Andy. – Mówiłem panu, żeby nie używał pan wyrazu „strzelać” w żadnej formie.

– Dlaczego pan tak mówi? – zapytała Regina, odslaniając uszy i mierząc Tradera gniewnym spojrzeniem.

– Urodziłem się na wyspie, tak jak wszyscy moi – wyjaśnił sekretarz, ocierając sobie twarz lnianą serwetką. – Szok, jakiegom doznał jako świadek

mordu, musiał mnie się rzucić na mózg.

– Nic mnie to nie obchodzi, gdzie się pan urodził. I niech pan się nie łudzi, że używa pan angielskiego z czasów elżbietańskich albo że John Smith mówił „pierdnąć” zamiast „strzelać” czy „strzelić”. Mógł powiedzieć „pierdolnąć”, ale nie „pierdnąć”. Czy wszyscy na wyspie mówią tak jak pan, czy macie jeszcze jakąś inną gwara? – Regina była brutalna, ale szczerze zaintrygowana. – Dlaczego przez tyle wieków nie nauczyliście się mówić tak, żeby ludzie was rozumieli? Mamo, niech papa zwolni tego człowieka. Nie zniosę jego obecności ani dnia dłużej. Cały czas słyszę jego głos i to mnie doprowadza do wariactwa. A ja nie mogę sobie na to pozwolić, bo w tym domu jest go dosyć. I nie chcę, żeby mnie ciągle wozili ochroniarze! Chcę mieć własny samochód i prawo jazdy i chcę jeździć sama, gdzie mi się żywnie podoba!

– Cśś! – poleciła Pierwsza Dama, kiedy Pony usłyszał kroki u wejścia i ruszył w tamtą stronę.

Po chwili trzasnęły drzwi w holu, a ton niewyraźnych głosów sugerował, że Bedfordowi Crimmowi dzień nie upłynął najprzyjemniej.

– Czuję zapach szynki! – obwieścił z niesmakiem gubernator. – Wydawało mi się, że miały być owoce morza. Zdecydowanie nie mam dzisiaj ochoty na szynkę. Co się stało z krabami, które zamówiłem?

– Czy to wszystko, panie gubernatorze? – zapytał ochroniarz.

– Nie! – zawołała Maude Crimm z jadalni. – Niech on zostanie, skarbie! Sprowadź tu wszystkich ochroniarzy!

Bardzo to nie pasowało do Pierwszej Damy, którą znano z niechęci do wszechobecnej ochrony. Na samym początku czuła się ważna i zachwycała się, kiedy oddziały dobrze zbudowanych mężczyzn w nieskazitelnych garniturach otaczały ją wszędzie, dokąd poszła, i dbały o spełnienie wszystkich jej zachcianek. Potem się tym znudziła. Teraz Maude Crimm marzyła, żeby posiedzieć w ogrodzie albo w wannie, popatrzeć na telewizję lub zrobić zakupy przez Internet czy móc stosować zabiegi kosmetyczne,

niekontrolowana przez kamery i ochronę. Coraz bardziej irytował ją brak prywatności i zaczęło w niej narastać podejrzenie, że policjanci widzieli wszystko, co robiła... nawet jej próby ukrycia kolekcji trójnogów.

– O co chodzi? – zapytał gubernator, wchodząc do jadalni i mrużąc oczy, żeby dostrzec w słabym blasku świec, co wszyscy mają na talerzach. – Szynka – mruknął z obrzydzeniem. – Nie znoszę szynki. A gdzie kraby? – Wbił niezadowolone spojrzenie swych mętnych oczu w Reginę.

– Wypuściliśmy je. – Córka nie zamierzała ukrywać prawdy.

– Sprowadziłem je stanowym helikopterem, a wy je wypuściliście?

– Pstrąga też – dodała, sięgając po galaretkę miętową.

– Panie gubernatorze. – Andy postanowił przejść prosto do najważniejszego problemu Pierwszej Rodziny. – Zaistniała sytuacja, o której powinien pan wiedzieć. Czarny mężczyzna został zamordowany podczas wędkowania nad rzeką, a Major Trader twierdzi, że pan, pańska żona i córki możecie się znajdować w niebezpieczeństwie. Powiedział też, że był świadkiem przestępstwa i twierdzi, iż podejrzany to ten sam osobnik, który napadł na Moseesa Custerę i zamordował Trish Prash.

Crimm sięgnął po szkło powiększające i zdumiał się, kiedy zobaczył wyraźnie, w jakim stanie jest jego sekretarz prasowy.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Crimm. – Chyba powinienes iść do szpitala!

Trader bał się odpowiedzieć i tylko pokręcił głową.

– Co się stało? – zapytał gubernator. – Może to zabrzmiało niemądro, ale to niehigienicznie krwawić przy stole.

Major podniósł się z krzesła, przykładając do czoła serwetkę. W milczeniu stał na starym, wschodnim kobiercu, strzelając oczami na boki i próbując opanować chaos w mózgu, by stworzyć jakiś plan. Po pierwsze, uznał, że przejściowe zaburzenie mowy może mu się przydać, bo w tych okolicznościach lepiej mówić tak, żeby nikt go nie zrozumiał. Stan, w jakim się znalazł, ułatwiał mu kłamstwa, a ludzie nie mieli ochoty dokładniej go

wypytywać. Nie mówiąc już, że jeśli ktoś inny musi wyjaśniać, co powiedział Major, to zeznania Tradera będą dowodem ze słyszenia, a zatem nie do wykorzystania w sądzie.

– To straszne. – Faith zrelacjonowała, co zaszło. – Ten potwór sprawia, że ludzie stają w płomieniach, a potem odjeżdża. Pochodzi z Nowego Jorku, mówi po hiszpańsku i zamierza zrobić to samo z nami wszystkimi.

– Wcale mi się to nie podoba – dodała pani Crimm. – Chyba ochroniarze powinni pilnować rezydencji, dopóki ten okropny człowiek nie zostanie schwytany. Może gwardia narodowa też powinna pomóc, skarbie. Gubernator odsunął krzesło i usiadł. Nie bardzo wiedział, co zrobić, i dziwił się, że nikt mu dotąd nie wspomniał o istniejącym zagrożeniu. Złe wiadomości często czekały na jego powrót wieczorem na kolację, co wcale nie poprawiało stanu jego łodzi podwodnej.

– Niech mi ktoś to porządnie wyjaśni – zażądał.

Trader chciał podać mu liczne fałszywe szczegóły, ale wiedział, jak Crimm zareaguje na jego obecny styl mówienia. Gestem pokazał, że Andy powinien mu zrelacjonować wydarzenia, co też ten uczynił.

– Co pan proponuje? – zapytał gubernator, kiedy już poznał całą historię, która nie wydawała mu się ani zbyt prawdopodobna, ani sensowna.

– Zgadzam się, że lepiej nie ryzykować – odparł Andy. – Proszę zadbać, by zwiększono zabezpieczenia, ale tę sprawę trzeba dokładnie zbadać. Prawdę mówiąc, obawiam się, że istnieją fakty, których nie znamy, mimo że pan Trader jest naocznym świadkiem. Bez urazy – zwrócił się do niego – ale to, co pan rzekomo widział, a co się rzeczywiście wydarzyło, może niezbyt do siebie pasować. Mam kilka pytań, na przykład: co się stało z wiadrem? Czy ktoś jeszcze widział tę strzelaninę?

Trader odpowiedział gestem, że wiadro zostało na miejscu zdarzenia i że innymi świadkami są najwyżej kraby i pstrąg. Miał pewność, że to załatwi sprawę.

– Jeśli wiadro zostało – zauważył Andy – to znaczy, że wypuścił pan

kraby i pstrąga przed zdarzeniem. Bo przecież widząc, jak ktoś się pali, nie miałby pan głowy do wypuszczania krabów i ryby do rzeki, prawda?

Sekretarz pokręcił głową, przypominając sobie kraby i pstrąga lecące łukiem w kaskadzie wody z kranu. Wpadły z pluskiem do rzeki i dopiero wtedy on i wędkarz zaczęli się bić i mówić sobie brzydkie rzeczy. Zatem Trader musiał postawić wiadro na ziemi albo może zrobił to wędkarz. Policja już pewnie je znalazła i potraktowała jako dowód rzeczowy. Major nie wiedział jeszcze dlaczego, ale czuł, że to naczynie narobi mu w przyszłości problemów.

Gubernator zapalił kubańskie cygaro.

– Niech mi pan powie – zwrócił się do Andy’ego. – Jeśli uda się znaleźć kraby i pstrąga, to na co nam się one przydadzą?

– Dawno nie słyszałam czegoś równie głupiego – stwierdziła Regina. – Na co się mają przydać i skąd będziecie wiedzieć, że to te same, które zostały wypuszczone?

– DNA – odparł Andy. – Jeśli zostawiły materiał komórkowy w wiadrze, nawet w śladowych ilościach, to możemy go porównać. Na przykład nikt sobie nie zdaje sprawy, ile komórek zostawiają ich oczy. Pocieramy oczy i mamy na palcach pełno komórek, a potem dotykamy czegoś i zostawiamy je na tym przedmiocie. Każda żywa istota poza bliźniakami jednojajowymi ma swój charakterystyczny DNA.

– Więc kraby mogły zostawić komórki ze swoich oczu w wiadrze? – Gubernator był zafascynowany. – Skąd pan to wszystko wie?

– Zawsze się interesowałem medycyną sądową i prowadzeniem śledztwa, panie gubernatorze. Mój ojciec był oficerem policji w Charlotte.

– A gdzie jest teraz?

– Zginął na posterunku.

Gubernator wzruszył się tą informacją. Zawsze chciał mieć syna i córki niezbyt go zachwycały, więc rzadko przebywał w ich towarzystwie. W gruncie rzeczy Bedford Crimm był spragniony kontaktów z jakimś

rozsądnym osobnikiem płci męskiej i zupełnie zapomniał o swoich obawach dotyczących romansu Andy'ego z jego żoną.

– Chodźmy na koniak i papierosa – powiedział, kierując na niego swoje powiększone oko. – Gra pan w bilard?

– Tylko czasami – odparł Andy.

– Ale co z tym okropnym człowiekiem, który na nas czyha? – zaniepokoiła się pani Crimm.

– Opowiedz to któremuś z innych policjantów – polecił gubernator za pośrednictwem Andy'ego Traderowi. – Niech na wszelki wypadek sprowadzi resztę ochrony i niech gwardia narodowa patroluje teren z powietrza, szukając tego samochodu z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi, i może niech ktoś się przejedzie po mieście.

– Dobrze byłoby sprawdzić w punktach opłat drogowych – podsunął Andy. – Na wypadek gdyby ten rzekomy latynoski seryjny morderca próbował opuścić nasz rejon – dodał z odcieniem nieufności, patrząc Traderowi prosto w oczy. Sekretarz prasowy odwrócił wzrok.

– Świetny pomysł – zgodził się gubernator, coraz bardziej pod wrażeniem tego młodego człowieka. – Musimy znaleźć kraby i pstrąga. Niech pan powie Traderowi, żeby zaczął ich szukać, skoro je widział ostatni.

– Może pan to sam mu powiedzieć, panie gubernatorze – odrzekł uprzejmie Andy. – On słyszy, tylko nie może mówić, a przynajmniej chce zrobić takie wrażenie. I proponuję, żeby jakaś bardziej obiektywna osoba poszukała świadków.

Brazil nie wątpił, że gdyby Trader znalazł kraby i pstrąga, to zadba, żeby nikt ich więcej nie zobaczył. Tęgi, kłamliwy sekretarz prasowy prędkiej je ugotuje żywcem i zje, pomyślał Andy z obrzydzeniem, przewidując reakcję gubernatora, kiedy ten przeczyta felieton, który zamierzał umieścić w Internecie, jak tylko znajdzie się w pobliżu komputera. Posłał Traderowi ostre, groźne spojrzenie.

– Trzymaj się z dala od krabów i pstrąga – ostrzegł.

Odczekał, aż Major oddalił się, utykając, a potem wziął na stronę Pierwszą Damę.

– Proszę mnie posłuchać – powiedział. – Za nic nie chciałbym nadużywać gościnności, pani gubernatorowo, ale wygląda na to, że czeka nas długa noc i może mógłbym skorzystać na chwilę z komputera, bo muszę coś sprawdzić.

– Oczywiście, czemu nie – odparła i skwapliwie zaprowadziła go do swojego gabinetu, gdzie spędziła niejedną czarowną godzinę przy zabytkowym chińskim biurczku, robiąc zakupy przez Internet.

Poczuła dreszczyk miłego podniecenia, prowadząc Andy’ego na górę i sadzając go na krześle.

– Czy chce pan, żebym panu pokazała, jak to działa? – zapytała, pochylając się nad nim i ocierając swój wielki biust o tył jego głowy.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Andy. Od jej perfum zakręciło go w nosie i zaczął kichać. – Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mogła mnie pani zostawić na chwilę samego. Chodzi o tajne informacje policyjne, które tylko ja mogę zobaczyć, pani gubernatorowo. – Kichnął jeszcze trzy razy.

– Co oni tam robią? – zapytał zazdrośnie gubernator, patrząc w stronę piętra. – Co do diabła tam knują? Kto tak kichał? – dopytywał się, a jego żona, rozmazawszy sobie nieco szminkę i potargawszy sztywne włosy, ruszyła na dół.

Andy zamieścił kolejny felieton, który napisał tego dnia rano. Nie mogło być lepszej pory. Właśnie wstawał, kiedy do gabinetu weszła Regina z zapytaniem, co on tu wyrabia.

– Mama jest potargana, jakbyście się obściskiwali – oznajmiła z charakterystycznym dla siebie brakiem subtelności. – Całe szczęście, że papa nie widział, jak ona wygląda!

– Minutę temu nie była – odparł Andy. – Pokazała mi komputer i zaraz wyszła. I wyglądała dokładnie tak samo, jak przy stole.

– Co pan tu robił? – W małych oczkach Reginy zabłysła podejrzliwość. – Założę się, że to pan jest Tropicielem Prawdy!

– No rzeczywiście, dobre sobie.

– To niech pan udowodni, że pan nim nie jest!

– Trudno jest dowieść, że się kimś nie jest – zauważył Brazil, a dziewczyna precyzyjnie przycisnęła się obok niego i usiadła przy klawiaturze.

Otworzyła stronę internetową Tropiciela Prawdy i wydała okrzyk zdumienia, kiedy zobaczyła zupełnie nowy felieton. Natychmiast do niego zajrzała.

– No i co – powiedział Andy. – Sama pani widzi. Czy to możliwe, żeby Tropiciel Prawdy pisał felieton, jednocześnie siedząc przy kolacji z Pierwszą Rodziną?

– Chyba ma pan rację – przyznała Regina, czytając zapamiętałe.

SŁÓWKO O ANNE BONNY

Najniesławniejszej w historii kobiecie-piracie

(Uwaga: opinie autorytetów na temat Annę Bonny mogą się różnić)

Tropiciel Prawdy

Ta historia zaczyna się od przyjścia na świat w hrabstwie Cork w Irlandii, ósmego marca 1700 roku, jako nieślubnej córki szanowanego prawnika nazwiskiem William Cormac i pokojówki jego żony, której imię nie jest znane historykom. Kiedy gorszący związek został ujawniony, William nie miał wyboru, jak tylko uciec z Irlandii razem ze swoją nową rodziną i osiedlić się w Charlestonie w Karolinie Południowej, gdzie niewątpliwie zaprzyjaźnił się z Czarnobrodym i skorumpowanymi przedstawicielami władzy. Wkrótce stał się bogatym kupcem i zamieszkał na plantacji pod miastem.

Niewiele wiadomo o dzieciństwie Annę, poza tym, że była prześliczną rudowłosą dziewczynką o wybuchowym charakterze, który sprawił, że zabiła jedną ze służących nożem do krojenia mięsa, po tym, jak się z nią pokłóciła.

Kiedy Annę dorosła na tyle, by decydować o swoim stroju, zaczęła się ubierać jak mężczyzna, a na plantacji pojawili się liczni wielbiciele. Na nieproszone zaloty odpowiadała z taką gwałtownością, że jeden z konkurentów musiał potem kurować się przez długie tygodnie.

(Uwaga: Przerywam tu, by zaznaczyć, czytelniku, że zachowanie Annę od wczesnej młodości wskazuje na to, że była socjopatką o nie najlepszym układzie genów, które, niestety, przetrwały przez pokolenia do dzisiejszej Wirginii, gdzie jeden z bezpośrednich potomków tej kobiety jest obecnie zatrudniony na ważnym stanowisku państwowym).

Kiedy Annę miała lat szesnaście, podążyła ścieżką zła, związując się z ubogim i niewiele wartym żeglarzem nazwiskiem James (Jim) Bonny, który chciał przywłaszczyć sobie plantację, należącą do jej rodziny. Uznał, że najłatwiej będzie to osiągnąć, poślubiając Annę. Jej stroje albo go nie interesowały, albo mu nie przeszkadzały. Ojciec Annę nie aprobował Jima, więc państwo młodzi nie dostali plantacji i nawet nie mogli liczyć na przyzwoity apartament, gdyby uznali za stosowne zamieszkać z rodziną Annę.

Oburzona para opuściła więc Charleston i pozegłowała do New Providence na Bahamach, gdzie Annę wkrótce zagustowała w miejscu zwanym Gniazdem Piratów, które było dokładnie tym, co sugerowała nazwa. Jim zaliczał się do słabych, tchórzliwych i żalonych egzemplarzy rodzaju męskiego i zaczął donosić na nielubianych przez siebie żeglarzy, oskarżając ich o piractwo, chociaż wcale nie było to prawdą, a jego niezadowolona z życia żona-psychopatka spędzała coraz więcej czasu w Gnieździe.

Towarzyszyło jej w pijatykach wielu prostackich marynarzy, byłych piratów, znudzonych obecnym życiem. Pewnego dnia Annę, przez owych kompanów uważana za mężczyznę, popijała rum i uskarżała się na wstrętą i niegodziwą szwagierkę gubernatora Jamajki, Lawesa, ponieważ ta powiedziała, że Annę nie jest osobą, którą wypada znać. Źródła nie podają, czy kobieta wygłosiła ową grubiańską uwagę, kiedy Annę była przebrana za

mężczyznę, czy też nosiła wtedy normalny niewieści strój. Doskonale jednak opisano, że w odpowiedzi Annę wybiła jej dwa przednie zęby, co w osiemnastym wieku stanowiło sprawę znacznie poważniejszą niż obecnie, bo nie istnieli wtedy żadni sensowni dentyści ani protetycy stomatologiczni, i ofiarę czekał szczerbaty uśmiech do końca życia.

– Należało jej wybić wszystkie zęby – chełpiła się Annę byłym piratom, z którymi piła w Gnieździe. – A potem przywiązać ją do drzewa i trzymać bez jedzenia i wody, niech mrówki i inne owady gryzą jej nagie ciało.

– Ano, tak trza było zrobić. – Kapitan Perkalowy Jack kiwnął głową. – Całą naga, nawet kuciapę?

– Całą – odparła Annę. – Lepiej nie zakrywać kuciapy, żeby ją bardziej bolało.

– Ano, tak ci lepiej.

Annę i Jack bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili, aż wreszcie pani Bonny postarała się, żeby kapitan zobaczył, iż jest kobietą, pewnego dnia rozpinając przy nim swą męską koszulę. Jack zaproponował, że wykupi ją od męża-nicponia, który natychmiast doniósł na nich do gubernatora Karoliny Południowej, Rogersa. Annę polecono stawić się na chłostę, a potem wrócić do prawowitego męża, więc razem z kochankiem postanowili, że uciekną do portu, ukradną statek i zaczną nowe życie jako para piratów. Oczywiście ona miała występować już stale w męskim stroju.

W ciągu kilku miesięcy Annę i Perkalowy Jack napadli na wiele jednostek pływających i urzędzeń nabrzeżnych. Nikt poza kapitanem piratów nie znał tajemnicy jej płci, dopóki zbrodnicza para nie porwała holenderskiego statku handlowego, z którego załogi udało się im zwerbować kilku marynarzy, w tym oszałamiająco przystojnego, niebieskookiego młodzieńca. Spodobał się on Annę, więc i przed nim rozpięła koszulę. Wtedy młody człowiek uczynił to samo i okazało się, że to Mary Read. Nie wiadomo, czy obie kobiety doznały rozczarowania, przekonawszy się, że żadna nie jest mężczyzną, ale stały się dobraną piracką parą, nauczyły się biegle używać

rapierów i pistoletów i walczyły dzielnie, ilekroć ich banda rozpoczynała atak na niczego się niespodziewający statek handlowy.

Annę i Mary spodobało się pirackie życie i obie stały się szanowanymi, krwiożerczymi korsarkami, które napadały na statki z większą odwagą niż mężczyźni. Zaszły w ciążę w tym samym czasie i w 1720 roku poniosły katastrofalną klęskę, kiedy były pirat, który przekwalifikował się na łowcę morskich bandytów, zaatakował je, gdy ich ludzie, pijani w sztok, kryli się pod pokładem i tylko Mary i Annę walczyły zaciekle w gęstym dymie armatnim.

– Wychodźcie i walczcie jak mężczyźni! – krzyknęła Annę, wściekle wywijając kordem i strzelając z pistoletów.

Mężczyźni nie zareagowali. Wszystkich ujęto i zostali powieszoni, poza dwiema brzemiennymi piratkami, które trafiły do więzienia. Mary zmarła na gorączkę w ciasnej, wilgotnej celi, a Annę podobno darowano karę. Zniknęła wówczas z mórz i źródeł historycznych.

Moja teoria na temat dalszych losów Annę opiera się na dokładnych badaniach istniejących zapisów na temat jej życia, a wnioski mieszczą się w sferze prawdopodobieństwa. Możemy mieć pewność, że Annę nie była mile widziana w Indiach Zachodnich, i raczej nie wróciła do męża ani też do aktywnego pirackiego życia. Przypuszczam, że urodziła dziecko i wybrała kompromis, pozwalający jej łamać prawo i uniknąć tradycyjnej roli kobiety. Uczyniła to w miejscu bezpiecznym, a zarazem zaspokajającym jej zamiłowanie do przygód. Z pewnością wiedziała, że Czarnobrody i inni piraci odwiedzali Tangier Island i często handlowali z wyspiarzami i że jeśli nadal będzie nosić męskie stroje, to może prowadzić znośne życie i móc przynajmniej wypływać łodzią w morze, a także uczyć swoje dziecko przewidywania warunków atmosferycznych, poznawania zatoki i rybołówstwa.

Dziecko, jak przypuszczam, było chłopcem; domniemywam, że taki właśnie okrutny rodowód ma jeden z ważnych urzędników stanowych. I jeśli

gubernator czyta ten felieton, to proszę go, żeby przypomniał sobie, ile razy pewien godzien pogardy, nielojalny pracownik dawał mu słodczy, nieodmiennie wywołujące poważne ataki gastryczne.

To skandal, że ów łotr, który przez pewien czas pozostanie bezimienny, nie otrzymał żadnego ostrzeżenia, kiedy składał podanie o wysokie stanowisko i sprawdzano jego pochodzenie. Jednak w dzisiejszych czasach takie sprawdzanie niewiele daje. Nie wykazuje psychicznej motywacji, na którą u tego osobnika, tak jak w wypadku jego antenatki, Annę Bonny, składały się żądza dominowania i przygód, pragnienie dostępu do władzy wojskowej i policyjnej oraz chęci poznania reguł gry na tyle dobrze, by móc je łamać.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 18

Sanitariusze nawet nie próbowali reanimować Caesara Fendera, który leżał niezidentyfikowany, tłąc się i dymiąc obok swojej rozwalonej skrzynki. Ciało zwęgliło się w bardzo dziwny sposób. Spaliła się tylko klatka piersiowa, a dookoła nie znaleziono żadnych śladów ognia, które mogłyby wyjaśnić tę okropną śmierć.

– Wygląda, jakby zapaliło mu się serce – stwierdził detektyw Slipper. – Albo może płuca. Czy papierosy mogą dać taki efekt?

– Chce pan powiedzieć, że palił papierosa i od tego zajęły mu się płuca? – zapytała Treata Bibb, która od piętnastu lat jeździła w ambulansie i nigdy nie widziała czegoś podobnego. – Nie – odpowiedziała sama sobie. – Nie ma mowy. Moim zdaniem śmierć tego nieszczęśnika nie miała nic wspólnego z paleniem. – Kucnęła, żeby się lepiej przyjrzeć. – Wygląda to tak, jakby zrobiono mu otwór na wylot, od przodu ku tyłowi. Niech pan popatrzy, przez tę wielką dziurę widać chodnik. – Palcem w chirurgicznej rękawiczce dotknęła zwęglonego ciała. – Nawet kości uległy spaleniowi. Ale cała reszta jest w zupełnym porządku.

Była zdumiona i zaniepokojona. Nie mogła zrozumieć, kto mógł coś takiego zrobić i dlaczego.

Samochody zatrzymywały się na poboczu, a ludzie zbierali się na ulicy, jakby czekali na pochód. Policja miała trudności z opanowaniem rosnącego tłumu ciekawskich i reporterów, a tymczasem plotka, że wędkarz przemienił się w kulę ognia obok Canal Street w pobliżu miejsca, gdzie na Belle Island

znaleziono okaleczone ciało Trish Prash, zataczała coraz szersze kręgi.

– Co tu się dzieje? – zapytała Barbie Leslie, niepracująca żona, przez uchylone okno swej furgonetki.

– Przeczyta pani o tym w gazecie. – Funkcjonariusz policji machnął na nią latarką, żeby jechała dalej.

– Nie kupuję gazet.

Przysłoniła oczy przed przesuwającym się światłem. Dlaczego do licha te wszystkie wielkie helikoptery latają z włączonymi szperaczami nad całym miastem i sąsiadującymi hrabstwami?

– Chyba jakiś seryjny morderca uciekł z więzienia, albo co – uznała w końcu ze zgrozą i przeszedł ją dreszcz sięgający po korzonki włosów rozjaśnionych bależem po wierzchu. – Może ten sam, który zamordował tę nieszczęsną kobietę nie dalej jak wczoraj! A ja nic nie wiem i nie będę w stanie ochronić siebie i mojej rodziny, bo nie mam gazety, i pan mi nic nie chce powiedzieć. Potem dziwicie się, dlaczego ludzie nie lubią policji.

Odjechała szybko, a zatrzymał się następny samochód, prowadzony przez kobietę w starszym wieku, która nie widziała w ciemnościach tak dobrze, jak powinna.

– Przepraszam, próbuję trafić do autostrady – zwróciła się starsza pani imieniem Lamonia do policjanta z latarką. – Spóźnię się na próbę chóru. Co to za hałasy?

Lamonia zwróciła oczy w stronę helikopterów Black Hawk, których nie mogła zobaczyć. Słuch miała w najlepszym porządku.

– Wygląda, jakby rozpoczęła się wojna.

– To tylko incydent, ale wszystko jest pod kontrolą, proszę pani – powiedział funkcjonariusz. – Autostrada jest tam. – Wskazał latarką. – Proszę skręcić w lewo w Eighth Street i trafi pani prosto na wjazd.

– Już mi się to zdarzało – przyznała Lamonia z odcieniem bólu i pokory w głosie. – W zeszłym roku wjechałam w barierkę. Prawdę mówiąc, nie powinnam chyba prowadzić po nocy. Cierpię na kurzą ślepotę. Ale jeśli będę

opuszczać próby chóru, to w końcu mnie wyrzucą, a to jedyna rzecz, jaka mi w życiu została. Wie pan, mój mąż zmarł dwa lata temu, a potem zginął mój kot, bo go niechcący przejechałam, jak leżał na podjeździe pod domem.

– Może powinna pani gdzieś tu się zatrzymać.

Lamonia popatrzyła niewidzącym wzrokiem na lewo i prawo i wydawało się jej, że dostrzegła plamkę światła, która przypomniała jej badania wzroku, podczas których należy patrzeć w środek urządzenia testującego i naciskać guzik, ilekroć widzi się gdzieś z boku światełko. Tydzień temu naciskała guzik w dowolnych chwilach, mając nadzieję, że uda się jej znowu zwieść okulistę.

– Dobrze wiem, co pani robi – powiedział wtedy doktor, wpuszczając jej krople do oka. – Niech pani nie myśli, że jest pani pierwszą, która tego próbuje.

– Może powinnam mieć znowu zabiegi laserowe.

Okulista powiedział jednak, że nie ma żadnej nadziei na poprawę nocnego widzenia Lamonii. Do tej pory radziła jakoś sobie samodzielnie, bo miała dobrą pamięć i wiedziała, ile stopni prowadzi na jej ganek i gdzie dokładnie stoją meble. Potrafiła też dotykiem odróżnić rodzaje tkaniny, kiedy ubierała się po ciemku, jednak prowadzenie samochodu to zupełnie inna sprawa. Ulice miasta się nie zmieniły, ale pamięć nie mogła wiele Lamonii pomóc, kiedy samochody zmieniały pas, czy też zatrzymywały się przed nią albo gdy piesi przechodzili na drugą stronę ulicy. Wyjaśniała to funkcjonariuszowi policji, który jakiś czas temu już sobie poszedł.

– Gdyby mi pan wskazał drogę latarką, podjechałabym tam, gdzie mogłabym się zatrzymać – powiedziała Lamonia. Nad jej głową krążył nisko kolejny helikopter, a jego szperacze krążyły nad miejscem zbrodni.

Zauważyła światło i ruszyła w jego stronę, przejeżdżając krawężnik, a potem coś, co zgmiotła kołem.

– A to co? – mruknęła, trafiając w nosze i odrzucając je do rzeki, a potem uderzając tyłem samochodu w karetkę pogotowia.

– Stać! Stać! – rozległy się głosy dookoła jej dodge darta.

Lamonia ostro nacisnęła hamulce, chociaż stała już w miejscu. Zmieszana i przestraszona, wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się prosto w obręb otoczonego taśmą miejsca zbrodni, a potem poczuła, że tylną oponą znowu na coś wjechała.

– Stać! – Głosy brzmiały teraz znacznie bardziej nerwowo. – Stać!

Hooter Shook wyczuła, że dzieje się coś niezwykłego, kiedy funkcjonariusz Macovich pojawił się z bagażnikiem pełnym pachołków i flar.

– Hej! Czemu pan zamyka wszystkie pasy? – zawołała.

Policjant ustawiał jaskrawo-pomarańczowe pachołki, które zawsze jej przypominały czapki noszone na urodziny u MacDonalda.

– Tu będzie punkt kontrolny – poinformował ją Macovich, rzucając syczące, zapalone flary w poprzek Sto Pięćdziesiątej Północnej, ruchliwej czteropasmowej autostrady międzystanowej, prowadzącej do i z miasta.

Hooter patrzyła z zaciekawieniem i lekkim niepokojem, jak Macovich zamyka wszystkie pasy murem z jaskrawo-pomarańczowego plastiku i ognia, zostawiając tylko jeden, prowadzący do jej budki Płatne Gotówką. W ten sposób zmuszał jadących na północ kierowców do przejeżdżania koło okienka, gdzie powinni kłaść pieniądze na jej dłoni w rękawiczce. Hooter pracowała już długo w punkcie pobierania opłat za przejazd autostradą i pamiętała dni, kiedy nie musiała nosić rękawiczek chirurgicznych, które zawsze sobie rozdzierała tipsami. W dzisiejszych czasach wszystkie przedsiębiorstwa obsługujące autostrady wydawały się bardziej obawiać zetknięcia z rękami kierowców, chociaż w gruncie rzeczy banknoty i monety były o wiele brudniejsze niż ich palce.

Hooter wiedziała doskonale, że miliony ludzi dotykają pieniędzy. Podnosi się je z ziemi i ocierają się o inne w mroku portfeli i portmonetek. Monety pobrzękują w kieszeniach ubrań, niepranych od niepamiętnych czasów. Banknoty są wykonane z porowatego papieru, który wchłania bakterie jak

gąbka, a w barach topless mężczyźni wsuwają papierowe dolary za skąpą bieliznę dziewczyn, gdzie wchodzi w bezpośredni kontakt z zakażonymi częściami ciała.

Hooter mogłaby godzinami mówić o tym, w jakie miejsca trafiają pieniądze i jak bardzo są brudne. Dlatego zaakceptowała rękawiczki, zwłaszcza kiedy okazało się, że władze miejskie nie mają nic przeciwko temu, żeby używała bawełnianych, których nie mogła tak łatwo podrzeć paznokciami. Jednak czuła się trochę niezręcznie, kiedy wysuwała dłoń w rękawiczce ze swej budki, jakby kierowca był chory na tyfus. Podczas każdej zmiany raniła uczucia tysięcy osób i nigdy nie miała czasu wyjaśnić jadącym, że jak dla niej, rękawiczka nie służy ochronie przed kierowcą, tylko przed niezdrowym stanem gospodarki.

– Zarazki – powiedział Macovich, paląc papierosa. Czekał na następny samochód, stojąc przy budce Hooter i rozmawiał z nią przez podnoszone okienko. – Nic tylko zarazki. Phi. Pamiętam, jak uczyłem się robić sztuczne oddychanie na tych gumowych lalkach naturalnej wielkości. Miał człowiek szczęście, jak instruktorzy zechcieli wytrzeć gumowe usta po poprzednim kursancie, zanim na mnie przyszła kolej ścisnąć gumowy nos, przyłożyć wargi do tych gumowych i dmuchnąć. Teraz, kiedy się pojawisz na miejscu wypadku i widzisz kogoś nieprzytomnego i broczącego krwią, musisz najpierw wciągnąć dwie pary gumowych rękawiczek, a na usta kładzie się kawałek plastiku z otworem, który trochę przypomina jednorazową osłonę deski klozetowej w publicznych toaletach. I człowiek się tylko modli, żeby ten ktoś nie kichnął, nie zwymiotował, nie zaczął poruszać wargami i żeby nie miał AIDS.

– Założę się, że można dostać AIDS od pieniędzy – oświadczyła Hooter, kiwając głową. – Skąd pan może wiedzieć, czy jeden homoseksualista nie spotka się z drugim homoseksualistą, odbywa z nim gdzieś w parku stosunek, a potem, zanim umyje ręce, kupuje sobie kanapkę i płaci za nią banknotem pięciodolarowym. Ten sam banknot spoczywa w szufladce kasy razem

z setkami innych niehigienicznych banknotów, po czym trafia do banku, skąd bierze go następny umierający na AIDS mężczyzna, realizując czek. W końcu ten banknot trafia na brudny kontuar w barze, a kelner chowa napiwek do swojej niepranej kieszeni, postanawia przejechać się do miasta i podaje go mnie w okienku.

– To właśnie nas czeka – myślał na głos Macovich, a konwersacja z Hooter wzbudziła w nim niepokój i obawę, że nigdy już nie ośmieli się dotknąć pieniędzy gołą ręką. – Będziemy musieli nosić rękawiczki od rana do wieczora, jeśli każą nam za coś brać pieniądze. Dzięki Bogu nie dostajemy gotówki za mandaty.

– Tak, z tym to macie szczęście – przyznała Hooter.

Macovich stanął na środku pasa i podniósł latarkę, zatrzymując pontiaca grand prix. Był to starszy model, trochę poobijany i puls policjanta zabił mocniej, kiedy rozpoznał nowojorskie tablice rejestracyjne i nieważną nalepkę kontroli technicznej. Podszedł do drzwi kierowcy, trzymając prawą rękę na kaburze.

– Prawo jazdy i karta wozu – powiedział, kiedy okienko opuściło się i oświetlił latarką wystraszoną twarz meksykańskiego chłopca, który nie wyglądał na wystarczająco dorosłego, żeby prowadzić, i najwyraźniej był nielegalnym imigrantem. – Mówi pan po angielsku?

– *Si*. – Meksykanin nie próbował okazać ani prawa jazdy, ani karty wozu.

– Niech pan go zapyta, czy rozumie po angielsku – podsunęła Hooter ze swej budki, w której miała tylko stołek, gaśnicę i torebkę z błyszczącego szkła.

Policjant powtórzył pytanie Hooter, a chłopiec odwracał oczy przed brutalnym światłem.

– Nie – powiedział, z chwili na chwilę coraz bardziej przerażony.

– Nie? – Macovich zmarszczył brwi. – Taaa? To jak nie rozumiesz po angielsku, to skąd wiesz, o co cię pytam?

– *Creo que no*.

– Co on powiedział? – Policjant odwrócił się i spojrział na Hooter, która wychyliła się z budki.

– Chyba stąd wyjdę, bo pan i ten wielki pontiac całkiem zablokowaliście pas – powiedziała do funkcjonariusza, otwierając drzwi i wychodząc.

– On to powiedział? – Macovich nic z tego nie rozumiał. – Powiedział, że wysiada z samochodu? Mnie się widzi, że nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca i nie chce współpracować.

Hooter dosłyszała tylko częściowo to, co mówił Macovich, bo zapinała płaszcz i szukała szminki w kieszeni. Podeszła do niego, stukając po asfalcie obcasami lśniących szpilek. Jednym z nieodłącznych aspektów pracy w budce na autostradzie było to, że człowiek jest stale wystawiony na widok publiczny. Hooter dbała, by mieć modne ubrania i staranny makijaż i pilnowała, żeby każdy z jej dredów znajdował się na swoim miejscu, misternie przepleciony jaskrawymi paciorkami.

– Lepiej współpracować, skarbie. – Zajrzała przez okienko pontiaca.

– Postaraj się współpracować z tym wielkim policjantem. Nikt ci nie chce robić kłopotów, bo szukają podejrzanego, którym równie dobrze możesz być ty. Więc lepiej współpracuj, bo jeszcze pogorszysz swoją sytuację...

– Hooter, niech pani mu tyle nie mówi – szepnął jej Macovich głośno do ucha, a zapach jej perfum uderzył go w nozdrza i oszołomił. – Co to jest?

– Poison. – Była zadowolona, że poczuł. – Kupiłam je w Targecie.

– Skąd pani wie, że szukamy podejrzanego? – szepnął znowu w kierunku perfum.

– A po co mielibyście blokować wszystkie pasy, poza Płatne Gotówką, co? – odparła. – Myśli pan, że się urodziłam wczoraj? A ja już trochę chodzę po tym świecie i pełnię funkcję starszego kasjera.

– No, no nie chciałem pani obrazić, pani starszy kasjer – droczył się Macovich.

– Niechże się pan nie wygłupia!

– Ooo, wcale się nie wygłupiam, a już nie przy takiej ładnej kobitce jak

pani. Może sobie skoczmy na drinka, jak skończą się nasze zmiany?

– Pomyślał z satysfakcją o nowiułkim studolarowym banknocie, który Kot wręczył mu po ich krótkiej lekcji pilotażu.

Meksykanin siedział sztywno, osłaniając dłonią przerażone oczy. Trząsał się i drugą ręką ścisnął kierownicę tak mocno, że pobiełały mu kostki.

– *Porfavor.* – Podniósł wzrok na Macovicha i Hooter. – *No buena armonia.*

Cruz Morales odrobinę rozumiał po angielsku i przyzwyczał się stosować najprostsze hiszpańskie zwroty, które nowojorczyacy chwyłali bez problemu. Tu jednak między nim a tym policjantem i panią z budki rozpościerał się ocean niezrozumienia, a Cruz nie mógł sobie pozwolić na bardziej wnikliwe śledztwo. Miał dwanaście lat, fałszywy dowód tożsamości i przyjechał do Richmondu, żeby odebrać paczkę dla swoich starszych braci. Chociaż nie patrzył, co znajduje się w ciasnym zawiniątku, ukrytym w miejscu na koło zapasowe, jego ciężar kazał mu sądzić, że znowu przewozi broń.

– Myślę, że ten dzieciak mówi, że jest głodny i chce bułkę – przetłumaczyła Hooter Macovichowi. – Jest za mały, żeby mógł komuś zrobić krzywdę. – Jej instynkt macierzyński popłynął na fali perfum. – Może mu kupić coś do jedzenia i kawę. Meksykanie dają kawę nawet małym dzieciom.

Złoty ząb widoczny na samym przodzie w ustach pani z budki stanowił w tej chwili jedyne jasne punkty w egzystencji Cruza Moralesa. Popatrzył kobiecie w oczy i uśmiechnął się drżącymi wargami.

– Widzi pan. – Hooter trąciła Macovicha łokciem, trafiając w pistolet. – Zrozumiał mnie.

Podniosła wzrok na kolejkę samochodów, czekających na jej pasie. Ciągnął się tam niekończący się rząd świateł, i Hooter pomyślała, że wszystkie są tu ze względu na nią. Przez chwilę czuła się jak gwiazda filmowa i ogarnęło ją wielkie współczucie dla meksykańskiego chłopca, który był najwyraźniej wystraszone i daleko od domu. Pewnie również

zmęczony, zmarznięty i głodny.

Hooter sięgnęła do kieszeni płaszcza i spośród licznych szminek wygrzebała serwetkę, którą dał jej w zeszłym roku ten miły, biały policjant, kiedy mężczyzna w papierowej torbie na głowie próbował obrabować budkę, ale zamiast tego w nią wjechał. Hooter znalazła też długopis, zapisała na serwetce swój domowy numer telefonu i podała ją chłopcu.

– Zadzwoń do mnie, skarbie, jak będziesz czegoś potrzebował – powiedziała serdecznie. – Wiem dokładnie, co znaczy należeć do mniejszości. Ludzie zawsze myślą o tobie jak najgorzej, a ty musisz zbierać ich niehigieniczne pieniądze albo gdzieś sobie jedziesz i nawet nie wiesz, że ci minął termin kontroli technicznej.

– Wsiadaj! – polecił Macovich nielegalnemu imigrantowi. – Wsiadaj powoli i chcę cały czas widzieć twoje ręce!

Cruz Morales wbił gaz do podłogi i z piskiem opon przejechał na drugą stronę. Rozbłysły światła i rozdzwonił się alarm, bo chłopiec nie zdążył wrzucić trzech ćwierćdolarówek do puszki.

– Cholera! – wykrzyknął Macovich i, klepiąc się po pasie w poszukiwaniu kluczyków, popędził do nieoznakowanego samochodu.

Wskoczył do środka, włączył światła i syrenę i ruszył pełnym gazem autostradą, przypominając Hooter wrzeszczącą i migającą choinkę. Wróciła do swojej aluminiowej budki, wyposażonej w odporną na wandalizm puszkę z nierdzewnej stali przeznaczoną na monety i zamknęła drzwi. Nieskończona rzeka światła zaczęła się powoli przesuwać ku niej. Miejmy nadzieję, że kierowcy nie będą się bardzo złościć o to opóźnienie, pomyślała Hooter.

– Co się, do diabła, dzieje? – zapytał pierwszy z nich z wysokiego siedzenia w półciężarówce. – Gdybym tu dłużej siedział, zmieniłbym się w szkielet.

– Wtedy pańska mała kobietka, która czeka w domu, nie miałaby z pana większego pożytku – zażartowała Hooter, błyskając uśmiechem. – Ojej, ale ma pan ładną nalepkę. – Skinęła w stronę jego przedniej szyby. – Wie pan,

ostatnio widzę ich coraz więcej. Wygląda na to, że ludzie chcą patrzeć na sprawy od jaśniejszej strony i szukają nadziei. Sama mogłabym sobie coś takiego przykleić na mojej budce.

Kierowca pochylił się i otworzył schowek.

– Proszę. – Podał jej całą garść nalepek w kształcie tęczy. – Masz, przyjaciółko.

– Widzi pani – powiedziała Hooter do następnego kierowcy, kiedy półciężarówka oddalała się szybko. – Jak się jest miłym dla ludzi, to robi się zaraźliwe, zupełnie jak bakterie, tylko od życzliwości człowiek nie choruje. – Wyciągnęła dłoń w rękawiczce i odebrała banknot jednodolarowy od Barbie Leslie.

– Wiem, dlaczego zatrzymano samochody – oznajmiła Barbie. – Słyszała pani o tym mężczyźnie, który wyleciał w powietrze nad rzeką? Mówili w radiu.

– Ojej! – Hooter wydała jej ćwierćdolarówkę reszty. – Nie mam w budce radia, bo nie byłoby czasu go słuchać. Co się stało, skarbie?

Rozległy się dźwięki klaksonów, a autostrada zaczęła przypominać nieskończenie długi sznur odlatujących gęsi.

– Policja nie chciała powiedzieć. Ale będzie jutro rano w gazecie – odparła Barbie. – Tylko że ja nie prenumeruję gazety, więc niczego się nie dowiem.

– Niech pani przejedzie rano koło mojej budki – rzekła z godnością Hooter. – Zawsze czytam gazetę przed wyjściem do pracy. Wszystko pani opowiem. Jak się pani nazywa?

Wymieniły się nazwiskami, a Hooter dała Barbie nalepkę w kształcie tęczy.

– Niech pani ją sobie nalepi na szybie, a przyniesie pani uśmiech i nadzieję – zapewniła nową znajomą.

– Dziękuję! – Barbie była wzruszona i zachwycona. – Zrobię to, jak tylko przyjadę do domu.

ROZDZIAŁ 19

Gubernator Crimm potarł kredą czubek ulubionego kija bilardowego. Mając głowę ozdobioną aureolą dymu z cygara, wyteżał wzrok, by odróżnić pomalowane w paski kule od czerwonego filcu stołu, który Tomasz Jefferson przywiózł niegdyś z Francji, a przynajmniej tak utrzymywała Maude, kiedy odkryła ów mebel na aukcji internetowej. Co kilka minut do sali bilardowej wchodził policjant i przekazywał gubernatorowi najświeższe wiadomości. Na razie nie były one obiecujące.

Kontrole samochodów przeprowadzane w punktach opłat na autostradach, wykryły dotąd tylko jeden samochód z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi, prowadzony przez osobnika latynoskiego pochodzenia, który zbiegł. Do tej pory go nie schwytano i wszyscy byli przekonani, iż ten sprawca serii ohydnych morderstw opuścił miasto i udał się na północ. Inna niepokojąca kwestia dotyczyła najnowszego felietonu Tropicielea Prawdy. Sugerował on, że Major Trader jest nieuczciwym, dbającym wyłącznie o własne interesy piratem i próbuje otruć gubernatora. Jakby tego jeszcze było za mało, Regina rozsiadła się na wyściełanym krześle w stylu chippendale i pochłaniała z wielkim mlaskaniem loda, na przemian z domowej roboty ciastkami z czekoladą, zabranymi z kuchni. Żuła z otwartymi ustami i gadała bez przerwy, rozpraszając gubernatora, który przyglądał się przez szkło powiększające, dokąd poleciały kule bilardowe.

– Dobry strzał – powiedział Andy, kiedy kula w czerwone paski wyskoczyła ze stołu. Złapał ją szybko i dyskretnie umieścił w koszyku na

rogu.

– Pozwalasz mi wygrać, co? – zapytał gubernator, znowu smarując czubek kija.

– Wszyscy ci pozwalają wygrać – oświadczyła Regina. – Poza mną. Ja nie.

Regina miała talent do bilardu i w przerwach między kadencjami ojca, kiedy nie mogła grać do woli w rezydencji, znana była w okolicznych barach ze swych podstępnych strzałów i braku miłosierdzia. Jediną osobą, która ją pokonała, nie oszukując, był ten skunks, Macovich.

– Proszę. – Andy podał jej swój kij bilardowy. – Jakoś mi dzisiaj nie idzie. Kolej na panią. Jeśli mi wolno zapytać – zwrócił się do gubernatora, kiedy dziewczyna zaczęła układać kule. – Jak to się stało, że Trader zaczął u pana pracować?

– Dobre pytanie – odparł Crimm. – Stało się to podczas mojej pierwszej kadencji, o ile pamiętam. Był wtedy jakimś mało ważnym urzędnikiem, ale dał się zauważyć, bo zostawał dłużej w rezydencji, żeby pomagać przy różnych rzeczach, na przykład nadzorował więźniów, do czego nikt się tak znowu nie rwie.

Regina zaczęła grać i cztery kule śmignęły do czterech różnych otworów.

– Cholera – poskarżyła się. – Mnie też nie idzie.

Pojawił się Pony z pytaniem, czy nikt nie ma ochoty na jeszcze odrobinę brandy, usłyszał, co gubernator powiedział na temat więźniów i poczuł się urażony. Zawsze raniło go, kiedy ktoś z Pierwszej Rodziny sugerował, że jeśli człowiek ma na koncie wyrok, to nie można mu nigdy więcej w niczym zaufać.

– Może jeszcze cygaro? – zapytał gubernatora ponurym głosem. Regina wymierzyła i posłała jedną kulę w dwie inne, a w rezultacie wszystkie trzy wirując poleciały pod zupełnie niespodziewanymi kątami i trafiły prosto do otworów.

– Muszę przyznać, że bardzo się rozczarowałem, że usiłował mnie struć –

dodał gubernator. – Chyba powinniśmy zatrudnić kogoś, kto będzie próbował potraw. Najlepiej, niechby to robił ten łobuz.

– O ile pan go jeszcze znajdzie – odparł Andy. – Moim zdaniem, on zniknie. Szkoda, że nie mieliśmy żadnych konkretnych dowodów, bo można go było aresztować, zanim opuścił rezydencję.

– Wygląda na to, że Tropiciele Prawdy ma mnóstwo konkretnych dowodów – stwierdził znaczącym tonem Crimm. – A dla mnie to znaczy, że ten zdrajca może być współnikiem Tradera. Inaczej skąd, jeśli łaska, Tropiciele Prawdy wiedziałyby, że mnie podtruwano, jeśli nie miał z tym nic wspólnego?

Andy nie przewidział takiego rozumowania gubernatora i trochę się zaniepokoił. Gdyby pani Hammer została wezwana do sądu i musiała zeznać pod przysięgą, czy zna tożsamość Tropiciele Prawdy, nie pozostawałoby jej nic, tylko powiedzieć prawdę, a wtedy Brazyl miałby poważne kłopoty.

– Powinienem porozmawiać z panią komendant Hammer i zorientować się, co ona wie – oświadczył gubernator, jakby czytał w myślach Andy’ego.

– Jestem pewien, że z przyjemnością się z panem zobaczy – odparł Brazyl. – Ale do tej pory miała ogromne trudności i nigdy nie otrzymywała od pana żadnych wiadomości.

– Tak? – Crimm spojrzał na niego swym powiększonym okiem. – Napisałem do niej kilka krótkich listów, nie tylko w sprawie jej biednego pieska, ale też zapraszałem ją na różne oficjalne uroczystości.

– Nie dostała żadnego z nich.

– Ten przeklęty Trader musiał się w to wmieszać! – Gubernator był wyraźnie wytrącony z równowagi.

– Wygląda na to, że oszukiwał pana od samego początku – przyznał Andy.

– Przydałoby mi się jeszcze jedno cygaro – zwrócił się gubernator do Pony’ego, który wciąż czekał cierpliwie w drzwiach.

Crimm zgasił swoje na pół wypalone cygaro w miseczce z lodami Reginy,

którą wziął za popielniczkę. Zaczął się irytować, bo jego pozbawiona ducha sportowego córka posyłała jedną kulę za drugą do celu.

– Właśnie dlatego nie lubię z tobą grać – powiedział jej. – Nie dajesz mi nawet szansy zacząć. Wiesz, co zrobię, synu? – zwrócił się do Andy’ego. – Powierzę ci specjalne tajne śledztwo. Chcę, żebyś się jak najszybciej dowiedział, kim jest Tropiciel Prawdy i odkrył, co ma on wspólnego z Traderem. A po drodze postaraj się uwolnić dentystę i dopilnować, żeby ci Tangierczycy wreszcie się uspokoili.

– Mógłbyś powierzyć tę misję Andy’emu i mnie – wtrąciła się Regina, a ostatnia kula poleciała po filcu, odbiła się kilka razy od ścianek i znikła z pola widzenia. – I może by mnie nauczył pilotażu.

– A może pan Andy i panna Regina spróbują pomóc w sprawie tego wędkarza, który się spalił – powiedział od drzwi Pony. – Słyszałem, że śledztwo nie idzie najlepiej. Jakaś starsza kobieta przejechała samochodem ciało, rower i skrzynkę na osprzęt. Policjanci o tym rozmawiali. Twierdzili też, że straszliwy Latynos jest na wolności i prawdopodobnie zaraz zabije w podobny sposób jakąś następną czarnoskórą osobę.

– A cóż to za sposób?

– Samozapłon.

– Hm, może niech się w tej sprawie wypowie najpierw doktor Sawamatsu – odparł Crimm.

Osobiście wybrał niedawno zatrudnionego patologa i głęboko wierzył w nieomylność japońskiego doktora, który przyjechał do Wirginii w celu pogłębienia swojej wiedzy na temat ran postrzałowych. Zamierzał zabrać zdobytą wiedzę do Japonii, ale tak bardzo był już zmęczony korkami na drogach w ojczyźnie i mieszkaniem razem z tłumem osób, których nie znał, że pozostał w Wirginii również po zakończeniu praktyki. A potem pewnego dnia zatelefonował doń gubernator, który stale próbował przyciągnąć japońskie firmy i japońskich turystów do tego stanu.

– Doktorze Sawamatsu – powiedział Crimm, a doktor nigdy nie

zapomniał, co nastąpiło potem. – Chciałbym od pana otrzymać szczerą opinię na pewien temat. Jak pan wie głównym patologiem jest u nas kobieta, którą niezbyt lubię. Wszyscy jej współpracownicy to Amerykanie, a tak się zastanawiam, czy zrobiłoby to jakąś różnicę, gdybym zatrudnił również patologa z Japonii.

– Komu?

– Tym japońskim firmom z listy Fortune 500, które przenoszą się albo raczej nie przenoszą się tutaj... i obywatelom Japonii w ogóle, którzy jeszcze nie znają Williamsburga z czasów kolonialnych, Jamestown, naszych licznych wesołych miasteczek, plantacji, miejscowości wypoczynkowych i tak dalej. Jeśli oczywiście znają angielski, ale w większości przypadków tak jest.

Doktor Sawamatsu musiał szybko to sobie przemyśleć. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął pracować jako patolog w Ameryce, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że jego pacjenci nie odgrywają większej roli jako turyści czy biznesmeni, a raczej wcale się nie liczą – ani zanim zostaną przyniesieni do kostnicy, ani po jej opuszczeniu.

– W przypadku jakichś sensacyjnych spraw z pewnością może to zrobić różnicę – odparł z wolna doktor Sawamatsu. – Dzięki rozgłosowi i przesłaniu, jakie się rozejdzie, jeśli patologiem będzie Azjata. W takim wypadku moi rodacy zareagują i przeniosą tu swoje firmy. Można też będzie liczyć na turystów, jednak wszystko to pod warunkiem, że otrzymają zachętę podatkową.

– Podatkową?

– Tak i to dużą.

– Co za niezwykły pomysł – uznał gubernator i ledwo odłożył słuchawkę, poinformował członków swego gabinetu, że zamierza zwolnić z podatków wszystkie osoby fizyczne i prawne, wywodzące się z Japonii. Rezultat okazał się oszałamiający. Linie kolejowe i autokarowe musiały podwoić swój personel i park maszynowy, a sklepy ze sprzętem fotograficznym wyrastały

jak grzyby po deszczu. Doktor Sawamatsu został zastępcą głównego patologa i otrzymał osobisty list z podziękowaniami od gubernatora Crimma. Młody lekarz oprawił go i powiesił na ścianie w salonie obok gablotki z pamiątkami, które zbierał od swoich martwych pacjentów, niepotrzebujących już sztucznych części ciała, listów samobójczych lub zawierających groźby, szczątków tego, w czym zginęli, oraz narzędzi i broni, która ich zabiła.

– Musimy zabrać ciało – mówił doktor Sawamatsu policjantom, kucając i wkładając w ciemnościach rękawiczki chirurgiczne. – Niech już go nikt nie przejeżdża.

– Gdzie główny patolog? – zapytał detektyw Slipper, który nie podzielał wysokiej opinii gubernatora o doktorze Sawamatsu. – Dlaczego nie ma tu doktor Scarpetty? Prawie zawsze przybywa osobiście do skomplikowanych i sensacyjnych przypadków.

– Pojechała do sądu w Halifax i wróci późno – wyjaśnił sztywno Japończyk. – Pora zabierać to ciało do kostnicy.

– Chyba nam się nie uda wydobyć noszy z rzeki – oświadczył z niechęcią detektyw Slipper. – Musimy sprowadzić nurków.

– Nie ma czasu. Zawiniemy go w płachtę i zaniemiemy do karetki – polecił doktor Sawamatsu. – Obejrzę go jutro rano. Nic tu nie widzę.

– Cieszę się, że nie tylko ja – burknęła Lamonia.

Skuta kajdankami stała obok swego wgniecionego dodge'a darta, nie bardzo rozumiejąc, co zrobiła, że wszyscy są tacy wściekli. Trader, oczywiście, nie miał jej nic za złe. Obserwował wszystko przez potłuczoną przednią szybę swego samochodu, spędziwszy wcześniej godzinę, bezowocnie świecąc latarką do rzeki i usiłując znaleźć kraby i pstrąga. Był głęboko wdzięczny Lamonii za to, że zniszczyła wszystkie ślady na miejscu przestępstwa. Obserwował, jak patolog i personel paramedyczny przykrywają ciało i niosą je do karetki, która miała zgnieciony tył. Jak to możliwe, że los zwrócił się przeciwko Majorowi tak drastycznie w ciągu jednego dnia?

Kariera i życie Tradera legły w gruzach, ale gdyby był wobec siebie uczciwy, wiedziałby, że w gruncie rzeczy stan taki trwał od samego początku. Przyjrzał się sobie w lusterku wstecznym i zobaczył twarz, która równie dobrze mogła należeć do jego dziadka ze strony matki, również noszącego imię Major. Wszyscy mężczyźni w rodzinie jego matki nazywali się Major, gdyż Annę Bonny zaszła w ciążę z piratem i urodziła syna, którego nazwała Major, bo była to ranga wyższa niż kapitan, a ona spotykała wśród piratów najwyżej kapitanów.

Wszyscy Majorowie byli do siebie podobni: cechowała ich mocna budowa ciała, ogorzałe twarze, szerokie talie, blade, chytre oczka i rzednące włosy. Jako dziecko Trader przez jakiś czas zabawiał się piromanią, lecz nigdy nie został schwytany. Do dzisiaj nikt na Tangier Island nie wie, że to mały Major podpalił szopę na podmokłym brzegu, w której hodowano młode kraby. Zginęły tysiące krabów, którym dopiero rosły twarde skorupy, stracono całoroczny zbiór i gospodarka wyspy przeżyła poważne załamanie. Co gorsza ogień rozprzestrzenił się przez kilka zatoczek, niszcząc kilkanaście łodzi, zanim go zdołano opanować niebezpiecznie blisko domu Hildy Crockett, słynnego z zabytkowych długich stołów, ciasteczek krabowych, smażonych maź, domowego chleba i szynki i tak dalej.

Młody Major Trader wyspecjalizował się też w wykradaniu rodzinnej raketnicy z odpornego na wodę buta, w którym ojciec ukrywał także alkohol. Eksperymentując z płynem do zapalniczek, benzyną i whisky, chłopak przekonał się, że potrafi podpalać przedmioty z odległości. W tym celu ustawiał w upatrzonym miejscu dzbanek na mleko, wypełniony płynem zapalającym i strzelał do niego z raketnicy, kiedy nikt nie patrzył. Wywoływał w ten sposób niewielką eksplozję, zupełnie tak jak w przypadku wędkarza.

Pony również w młodości złamał prawo, ale w odróżnieniu od Tradera obecnie żywił z tego powodu wyrzuty sumienia, czuł wstyd i żałował swoich

postępków. Znudziwszy się obserwowaniem, jak Regina gra w bilard, a jej ojciec stoi obok beczynnie, strzepując cygaro tam, gdzie jak mu się wydawało, znajduje się popielniczka, Pony i Andy wyszli do ogrodu. Usiedli w chłodzie na granitowej ławce i zaczęli rozmawiać.

– Potrzebuje pan czegoś, panie Andy?

– Nie. To miło z twojej strony, że się tak o mnie troszczysz, ale odpocznij chwilę i lepiej mi o sobie opowiedz. Dlaczego pozwalasz, żeby się do ciebie zwracano „Pony”?

– Wcale tego nie chcę – odparł lokaj, wypuszczając z ust obłoczek pary, co przypomniało mu, że ma wielką ochotę na papierosa. – Mogę? – zapytał, wyciągając paczkę z kieszeni białej marynarki. – Tato nazywał mnie Pony*[* Pony (ang.) – kucyk.], bo kiedy moja siostra była mała... a jest ode mnie starsza... często prosiła tatę, żeby jej kupił kucyka. Nie stać nas było na to, więc kiedy kilka lat później przyszedłem na świat, tato nazwał mnie Pony i powiedział siostrze: „No to już masz swojego kucyka”.

Andy milczał, bo usiłował ustalić sobie, czy to opowiadanie jest wzruszające, czy raczej przygnębiające.

– Jeśli chce pan wiedzieć, to imię niezbyt mi pomaga – ciągnął Pony. – Więźniowie próbują sobie robić żarty, dopóki się nie przekonają, że im przyleję, jeżeli chociaż przez chwilę im się wydaje, że mogą mnie dosiadać pod prysznicami, wie pan, co mam na myśli? – Pokręcił głową i uśmiechnął się, błyskając w mroku złotymi koronkami. – Zdarzyło mi się kilka bijatyk, ale jestem silniejszy, niż na to wyglądam. Jak byłem młodszy, przez jakiś czas zajmowałem się zawodowo boksem i nieźle znam karate.

– Jak długo jeszcze musisz siedzieć? – zapytał Andy.

– Jeszcze dwa lata, chyba że gubernator mnie wcześniej wypuści. A mógłby, tylko nie chce. Rzecz w tym, że nieźle mi tu idzie i Crimmowie nie chcą nikogo innego. Przyzwyczaili się. A jeśli zacznę źle pracować, to po prostu wyślą mnie z powrotem do pierdła. Więc jestem w sytuacji bez wyjścia. – Strząsnął popiół. – Nie powinienem był kraść tej paczki

papierosów. – Znowu pokręcił głową i westchnął.

– Siedzisz w więzieniu z powodu paczki papierosów? – zapytał z niedowierzaniem Andy.

Pony kiwnął głową.

– Miałem wyrok w zawieszeniu. Przedtem ukradłem pół litra koniaku morelowego ze sklepu ABC. Więc zrujnowałem sobie życie przez rzeczy, które same w sobie i tak są szkodliwe. To cecha rodzinna.

– Złodziejstwo?

– Autodestrukcja. A pan?

Rzadko kiedy ktokolwiek pytał Andy'ego o jego życie, a on zawsze się pilnował, żeby nie za wiele wyjawiać.

– Niech mi pan o sobie opowie, panie Andy – zachęcił go Pony. – Ma pan dziewczynę?

Brazil wbił ręce w kieszenie zimowej kurtki od munduru i skulił ramiona. Jak na tę porę roku, było wyjątkowo zimno. Chmury oddaliły się gdzieś i świecił księżyc, przypominający Pony'emu złoty uśmiech.

– Nie w tej chwili – odparł Andy. – Spotykałem się z kobietą starszą ode mnie, którą poznałem w Charlotte. Ale to już skończone.

– Została w Charlotte?

– Nie wiem, gdzie teraz mieszka. Chciałem, żebyśmy byli przyjaciółmi, ale to nie z nią. Nie rozumiem kobiet – wyznał. – Zawsze twierdzą, że mężczyźni nie potrafią się przyjaźnić, a kiedy próbuję odnosić się do nich po przyjacielsku, zachowują się dziwnie.

– To prawda. – Pony powoli pokiwał głową. – Masz rację, bracie. Kobiety nie mówią, czego chcą albo co mają na myśli, a nawet się nie przyznają, że czegoś chcą... chyba że jest to coś, czego nie chcą, albo uważają, że powinieneś myśleć, że chcą, a naprawdę to nie chcą. Więc bawią się nami, rozumiesz? Moja żona to kochana istota, kiedy nie jest zbyt zmęczona praniem dla Pierwszej Rodziny, albo nie wścieka się na mnie, że muszę wracać do pierdła na wakacje i święta. Ale patrząc na to z jej strony, widzę,

że nie zawsze postępuję z nią uczciwie. Czasami powinienem po prostu powiedzieć: „kocham cię, skarbie.” Albo „świetnie dziś wyglądasz, mała”. Czy też „wstyd mi, bo spędziłem nasze najlepsze lata w więzieniu i jestem wobec ciebie nie w porządku, a kiedy znajdę się z daleka od ciebie, szaleję z tęsknoty”. Tymczasem, panie Andy, nie potrafię się przyznać przed nią ani przed samym sobą, że spieprzyłem całe moje życie i wie pan, co jej mówię? – Zaciągnął się papierosem. – „Wiesz, chyba już za późno na cokolwiek i pewnie spędzę resztę życia w ciupie, bo gubernator zapomni mnie zwolnić, albo następny, czy ten, który przyjdzie po nim”.

I chyba nie mam dosyć rozumu, żeby zrobić coś nie tak w rezydencji i zostać wyrzuconym, a potem wytoczyć stanowi proces o dyskryminację, dzięki czemu będzie mi się należał adwokat, który zajmie się moją sprawą, zajrzy do dokumentów więziennych i wykryje, że coś się spieprzyło w komputerze, i wreszcie będę wolnym człowiekiem. A tak, to nie mam ani pieniędzy na prawnika, ani sprawy. W gruncie rzeczy, gdybym postępował źle, odniósłbym zasadniczą korzyść.

– Doskonale cię rozumiem – przyznał Andy. – Ale i tak powinieneś zachowywać się właściwie, Pony. Popatrz na Tropiciela Prawdy. Zrobił to, co powinien, mówiąc prawdę o Majorze Traderze, a teraz gubernator go podejrzewa o wszystko najgorsze.

– No może. Szkoda, że nie znam Tropiciela Prawdy – westchnął Pony – Wygląda na porządnego człowieka i pora już, żeby ktoś nagłośnił sprawę Tradera. Od dawna wiedziałem, że to czarna owca. Tak, tak, szkoda że nie znam Tropiciela Prawdy. Może on potrafiłby rozwikłać ten bałagan w więziennej kartotece, dotyczącej mojej sprawy.

– Dlaczego sam nie zadzwonisz do więzienia i nie skłonisz kogoś, żeby się tym zajął? – zapytał Andy.

– Nie wolno mi dzwonić z rezydencji w prywatnych sprawach. Poza tym oni i tak nie rozmawiają z więźniami. Każdy ze skazanych twierdzi, że w jego przypadku zaszła pomyłka, to dlaczego w moim miałyby być inaczej?

Regina schowała się za krzakiem starego bukszpanu i słyszała każde słowo. Znudziła się grą w bilard i kiedy postanowiła zakraść się do ogrodu, aby podsłuchiwać tych dwóch, pożałowała, że nie wzięła płaszcza. Posiadała szczególny talent do szpiegowania innych i miała nadzieję, że uda się jej zdobyć trochę pożytecznych informacji. Jednak słuchając, jak Andy rozmawia z Ponym, poczuła, że serce jej mięknie i zapomniała o swoich pierwotnych zamiarach. Ona też poniosła klęskę, kiedy kilka razy próbowała zdobyć sobie przyjaciół i często uważała, że jest niesłusznie oskarżana.

Trzęsa się jak liść, wydychając gęste obłoczki pary. W żołądku czuła coś dziwnego, a wnętrzności przesuwały się jej, jakby wypełniał je cuchnący wiatr, nadlatujący ze ścieku.

– Na twoim miejscu – mówił Pony’emu Andy – posłałbym e-mail Tropicielowi Prawdy i zobaczył, czy uda mu się wykryć, dlaczego jeszcze siedzisz.

– Myśli pan, że zrobiłby to dla mnie? – Pony zauważył, że bukszpan się kołysze i ulatuje nad nim biały obłoczek.

– Nic nie szkodzi zapytać.

– Ale ja nie mam dostępu nawet do komputera. – Pony obserwował bukszpan z rosnącym niepokojem. Przypomniał sobie o wędkarzu i wpadł w panikę. – Ten bukszpan zaraz wybuchnie! – krzyknął i wtedy zza krzaków dobiegła głośna detonacja.

Andy zerwał się z kamiennej ławki i popędził do dymiącego, cuchnącego krzaka. Regina, która zrezygnowała właśnie z dalszego ukrywania się, podniosła się, masywna jak góra.

– Co pani tu robi? – zapytał Andy.

– Ćwiczę techniki dochodzeniowe – odparła, trzymając się za wielki, trzęsący się brzuch.

– Lepiej niech panienka Regina nie chowa się za krzakami, wyglądając, jakby miała panienka eksplodować – powiedział Pony, osłabły z ulgi. – Boże ty mój, przez chwilę myślałem, że jakiś wariat podłożył w ogrodzie bombę

zapalającą i wszyscy pójdziemy z dymem.

– Pora już na mnie – oznajmił Andy.

– Proszę tu po mnie przyjść jutro rano i weźmiemy się razem do tej sprawy – poleciła Regina. Nawet kiedy czuła się niezbyt dobrze, wydawała rozkazy jak kapral. – Będę na pana czekała.

– To niemożliwe – odparł Andy. – Najpierw muszę pojechać do kostnicy i sprawdzić, co wykrył patolog w sprawie mężczyzny zabitego nad rzeką. Na pewno nie chciałyby pani czegoś takiego oglądać. To bardzo nieprzyjemny widok.

– Jasne, że chcę tam pojechać – stwierdziła Regina z najzupełniej niestosownym entuzjazmem.

– To naprawdę bardzo, bardzo, niemiły i stresujący widok – usiłował ją zniechęcić Andy. – Czy wie pani, jak pachnie martwe zwierzę, które obsiadły już muchy? A to będzie jeszcze gorsze, a co więcej ta woń wnika w zatoki i ilekroć się zacznie jeść, odór powraca i przyprawia o mdłości. Nie mówiąc już o tym, co się widzi i słyszy w kostnicy.

– Pójdę! – Regina nie zamierzała rezygnować.

Andy jechał przez miasto w ponurym nastroju. Zaczął żałować, że wczorajszego wieczora podszedł do Crimmów przed restauracją. Regina zaliczała się do osób, których normalnie unikałby ze wszystkich sił, a teraz okazało się, że będzie miał z nią bez przerwy do czynienia. Nie mówiąc już o tym, że gubernator uważał, iż Tropiciele Prawdy może być nikczemnym współnikiem Tradera, w dodatku jakiś psychol wyciął jego pseudonim na ciele zamordowanej kobiety, a następnie zostawił dowody pod domem Andy'ego.

– Wpadłem w niezłe kłopoty – powiedział do Judy Hammer, używając telefonu w samochodzie.

– Andy, czy ty masz pojęcie, która jest godzina? – spytała szefowa, która spała smacznie, kiedy telefon zmusił ją do kontaktu ze światem rzeczywistym. – Sprawiasz wrażenie poważnie zniechęconego. Co się stało?

I tym razem Andy znajdował się blisko dzielnicy Church Hill, gdzie mieszkała komendant Hammer, więc zaproponowała, żeby do niej wpadł, czyniąc to dokładnie w tej samej chwili, kiedy Fonny Boy postanowił wpaść do przychodni i sprawdzić, co robi doktor Faux, który siedział z zasłoniętymi oczami na składanym krzeselku i trząśł się jak osika.

– Panie Boże, błagam cię o cud. Niewielki. Taki mały cuddek – modlił się dentysta. – Może jakiś wolny anioł mógłby wpaść i zabrać mnie stąd. Obiecuję, że załatwię to szybko, bo wiem, że jest mnóstwo ludzi i zwierząt, bardziej potrzebujących Twojej pomocy. Zesztywniałem już całkiem i uwiera mnie to metalowe krzeselko. Proszę tylko o jednego anioła. Na jakąś godzinę – dwie, tyle, żeby mnie zabrał na stały ląd.

Fonny Boy słuchał uważnie, pozostając niezauważony, bo od urodzenia umiał powstrzymać się od gwałtownych ruchów, które mogłyby spłoszyć ryby albo kraby. Zwłaszcza te ostatnie były bardzo sprytnie i miały doskonały wzrok. Jeśli nie utrzymywało się więcierzy w idealnej czystości, krab nie widział przez niego na wylot i mógłby nabrać podejrzeń, dlaczego kawałek zepsutej ryby spoczywa w zawoju z wodorostów, mającym kształt sześcianu. Fonny Boy dbał, aby ich rodzinne więcierze znajdowały się w idealnym stanie i w razie potrzeby potrafił poruszać się bezszelestnie jak motylek.

Postara się, żeby dentysta myślał, że to Bóg interweniuje w odpowiedzi na jego modlitwy, podczas gdy w gruncie rzeczy Fonny Boy chciałby doktor Faux spełnić obietnicę i znalazł mu pracę na stałym lądzie. Chłopiec wycofał się cichutko z magazynu, a potem wszedł z powrotem i głośno zamknął za sobą drzwi.

– Kto tam? – zapytał z nadzieją doktor Faux. – To ty, Fonny Boy? Jak twój ząb? Znieczulenie minęło?

– Taa.

– A co z ligniną, którą połknąłeś? Żadnych problemów?

– Trochę. – Fonny Boy mówił na wspak, bo jeszcze nic się nie stało. –

Zabiorę pana na brzeg – dodał. – Nie ma czasu, żeby wziąć od tatula lunetkę i latarkę, na dworze ziąb, a pan nie ma płaszcza. Ale musimy ruszać prędko, zanim barki wypłyną sprawdzać więcierze.

– Nie potrzebuję płaszcza i na pewno damy sobie radę bez lornetki i latarki! – wykrzyknął radośnie Faux.

W oczach miał łzy, chociaż Fonny Boy ich nie widział, bo doktor miał nadal głowę obwiązaną pachnącą morzem chustką. Przez tyle lat zarabiał na prawdziwych albo pozorowanych zabiegach w ustach tego chłopca i nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że ma do czynienia z aniołem.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu – szepnął, kiedy cichutko wychodzili z przychodni.

– Ćśś – ostrzegł go Fonny Boy. – Pan tyle nie gada.

Ulice były puste i ciemne. W żadnym z domów nie paliły się światła, bo wyspiarze spali głęboko, a wózki golfowe ładowały swoje akumulatory. Jednak Fonny Boy wiedział, że wkrótce będzie trzecia nad ranem i rybacy ruszą do swoich barek, więc musiał się pośpieszyć. Gdyby złapano go na udzielaniu pomocy doktorowi Faux, miałyby niezłe kłopoty. Matka zaprowadziłaby go natychmiast do kościoła Zjednoczonych Metodystów i doniosła by na niego wielebnemu Crockettowi. Fonny Boy już nieraz miewał problemy z wielebnym Crockettem i miał już powyżej uszu kucia na pamięć Pisma Świętego w ramach zadośćuczynienia za swoje grzechy.

Rodzinną barka cumowała niedaleko kościoła, więc z każdym krokiem sylwetka smukłej wieży kościelnej coraz bardziej wydawała się górować nad Fonnym Boyem, jak gdyby go obserwowała. Tangierczycy byli ludźmi bogobojnymi i nie tolerowali nieposłuszeństwa wobec rodziców. Choć doktorowi Faux Fonny Boy mógł się wydawać aniołem, chłopiec otwarcie sprzeciwił się woli ojca i matki, wymykając się z domu i wypuszczając uwięzionego. Co więcej, kiedy ojciec Fonny'ego Boya zechce wyciągać więcierze, nie będzie miał czym wypłynąć i bardzo się zdenerwuje zniknięciem swojej barki.

Kiedy Fonny Boy i dentysta schodzili po chwiejnych, drewnianych schodach, wiodących do barek, chłopiec martwił się na głos i bez ustanku. Zaczął żałować swojej decyzji i chętnie nie uczyniłby tego ostatniego kroku, który prowadził do zupełnie nowego, przerażającego świata. Dentysta próbował go pocieszyć, tłumacząc mu, że czuje to samo, co mężczyźni i chłopcy w grudniu 1606 roku, kiedy to schodzili po schodach w Blackwall na Wyspie Psów i wstępowali na pokład statków. Młody Richard Mutton z St. Bride w Londynie miał zaledwie czternaście lat, czyli tyle samo co Fonny Boy i na pewno też zamarł na ostatnim stopniu.

– Ale był z nim chyba ktoś z rodziny – szepnął Fonny Boy.

– Richard jest jedynym Muttonem na liście osadników, a przynajmniej tak wiadomo.

– To czemu pojechał? – zapytał Fonny Boy, wyobrażając sobie Richarda Muttona, całkiem samego, drżącego w ciemnościach, wpatrującego się w trzy małe statki, które miały przepłynąć na drugą stronę oceanu do nieznanego, groźnego świata.

– Ze względu na złoto – odrzekł doktor Faux. – Młody Richard, tak jak większość naszych pierwszych osadników był pewien, że znajdzie złoto, a przynajmniej srebro, tak jak Hiszpanie w Indiach Zachodnich. No i oczywiście miał otrzymać wielkie pola, a potem mógłby je oddać w dzierżawę.

– Skąd się pan tego dowiedział? – spytał z podziwem Fonny Boy.

– Trochę z felietonu Tropiciele Prawdy, który czytałem rano tego dnia, kiedy mnie porwaliście. Poza tym zawsze się interesowałem historią Wirginii.

W oknach domków na całej wyspie zaczęły się zapalać światła. Fonny Boy wskoczył do barki ojca, i wyobrażał sobie złoto i skarby, kiedy ruszyli przez zatokę w kompletnych ciemnościach. Może warto było sprawdzić wcześniej, ile zostało paliwa w baku i może zabrać kanister albo dwa na ich półtoragodzinną podróż. Znajdowali się około siedmiu kilometrów na zachód

od Tangieru na obszarze zamkniętym R 6609, kiedy zewnętrzny motorek zaczął się krztusić i parskać, a po chwili zamilkł.

– No nie – jęknął doktor Faux. Ogarnęła go obawa, że Bóg wcale nie wysłuchał jego modlitwy, a raczej wpakował go w jeszcze gorsze kłopoty w ramach kary za oszukańcze życie. – Co teraz zrobimy?

Każdy rybak ma raketnicę w swojej łodzi, ale Fonny Boy nie mógł z niej skorzystać, bo gdyby zostali uratowani przez Tangierczyków, spotkałaby go straszna kara za ucieczkę z dentystą. Pamiętał też o istnieniu stref wojskowych dookoła wyspy i nie był pewien, czy strzelanie na ich obszarze to najlepszy pomysł. A jeśli wojsko odpowie ogniem?

– Myślisz, że prąd w końcu znieś nas do Reedville? – zapytał doktor Faux, a zimne powietrze zaczęło przenikać jego cienkie ubranie.

– Nie – odparł Fonny Boy.

Zaczął przeszukiwać rozmaite schowki na barce, odsuwając na bok linę, zardzewiały scyzoryk, kilka butelek wody i spray przeciw komarom, z którego dentysta chętnie skorzystał, chociaż jak na te ostatnie było właściwie za zimno. Schowek pod siedzeniem sternika okazał się zamknięty na kłódkę i chłopiec próbował się domyślić, jakie jest hasło. Wszystko co miało jakąkolwiek wartość, w tym raketnica, powinno znajdować się w skrytce i chociaż Fonny Boy nie był pewien, liczył na to, że ojciec zostawił tam również walkie-talkie, a nie zabrał go do domu.

ROZDZIAŁ 20

Cruz Morales uciekł policji stanowej, przejeżdżając na skróty przez kilka bocznych uliczek. Zaparkował obok kontenera na śmieci na tyłach baru Freckles w pobliżu Patterson Avenue i siedział w ciemnościach, oddychając szybko, nadsluchując i strzelając oczami na wszystkie strony. Z wnętrza Freckles dobiegały dźwięki muzyki i szmer głosów, więc Cruz uznał, że to mały, lokalny bar. Nagle poczuł, że musi się koniecznie napić piwa. Nerwy miał napięte do ostateczności i bał się jak nigdy w życiu.

Był pewien, że te wielkie helikoptery, latające nisko z włączonymi szperaczami szukają właśnie jego. Nie miał pojęcia, co zrobił, żeby spowodować taką akcję pościgową, chyba że chodziło o tę paczkę w schowku na oponę. Ale skąd władze miały o niej wiedzieć? Kiedy ci biali goście w sklepie motoryzacyjnym zaprowadzili go na zaplecze i dali mu tę paczkę w zamian za inną, Cruz wiedział, że bierze udział w czymś, co może mu narobić kłopotów, ale ci faceci z pewnością na niego nie donieśli. Bo i po co? Nikt też nie widział ich transakcji, a poza tym, o ile dobrze pamiętał, helikoptery krążyły nad miastem, zanim zdążył zajechać na parking sklepu. Więc chyba władze nie szukały go, zanim jeszcze zdążył coś przeskrobać? Jak to możliwe?

Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął paczkę ze schowka na koło zapasowe. Nie była to szczególnie dobra skrytka, bo nie woził tam ani zapasowego koła, ani nawet dywanika, a każdy gliniarz sprawdziłby ją w pierwszej kolejności. Cruz miał już wrzucić paczkę do kontenera, kiedy

tylne drzwi baru się otworzyły, a ciemną alejkę o gruntowej nawierzchni wypełnił jaskrawy blask światła i hałas głosów.

Major Trader upił się i czuł się teraz wielkim macho. Uznał, że wysika się na zewnątrz, chociaż bar dysponował najzupełniej zadawalającymi toaletami. Jednak odlewanie się na zewnątrz odpowiadało jego naturze i dziedzictwu piratów, nawykłych do niewygód. Na barkach, na przykład, nie było ubikacji, a rodzina Majora korzystała z ustępu, którego Trader rzadko używał podczas swoich wizyt, chyba że miał grubszą sprawę. Teraz chwiał się lekko, walcząc z rozporkiem, ponieważ uparte ząbki zamka błyskawicznego zahaczyły o tkaninę workowatych spodni i trzymały się zawzięcie.

– Cholera! – zaklął Trader jak pirat, szarpiąc z całej siły. – Do stu tysięcy fur beczek!

Im bardziej ciągnął, tym mocniej ząbki wczepiały się w materiał. Teraz Major znalazł się w prawdziwym kłopotcie, bo suwak zaciął się dokładnie w połowie długości, a im dłużej Trader go szarpał, tym bardziej jego pęcherz moczowy domagał się opróżnienia. Chwytając się ręką między nogami, podskakiwał i potykał się, przeklinając zamek błyskawiczny i próbując rozerwać metalowe ząbki.

Cruz schował się w gęstym cieniu za Dumpster i wyglądał ostrożnie, ze zdumieniem obserwując całą scenę. Nigdy jeszcze nie widział takiego przedstawienia ani nie słyszał tylu dziwacznych, wulgarnych przekleństw. Dlaczego ten człowiek podskakuje na jednej nodze, a potem na drugiej, ściskając się za swoje intymne części? W słabym świetle wydawało się, że tamten szarpie się za krocze, jakby próbował się uwolnić od przyciągania ziemskiego i ulecieć w powietrze. Sapał przy tym i klął jak pirat, a jego skoki stawały się coraz gwałtowniejsze. Dziwaczny osobnik zbliżał się do kryjówki Cruza.

Chłopiec położył paczkę na ziemi i odsunął się od kontenera w tej samej chwili, gdy szaleniec w podskokach znalazł się za nim. Potem Cruz uciekł. Dobiegł do samochodu, włączył silnik i odjechał, gdy tymczasem Trader

skakał i szarpał spodnie, czując coraz nieznośniejsze parcie. Suwak zaciął się na dobre i utworzył istny monolit. Metalowe zębki już nigdy nie puszczały materiału, gdyż wbiły się w niego z taką siłą, że suwak wydawał się wręcz nagrzanym.

Trader szarpał go i szarpał, jęcząc z bólu. Czuł się, jakby ktoś podłączył mu pompkę rowerową do pęcherza i sprawdzał, jak wielkie ciśnienie wytrzyma, zanim eksploduje, a następnie spłaszczy się z ulgą i wstydem. Piraci nie moczą się nawet jako niemowlęta. Co innego obsikać czyjąś własność albo innych ludzi, a co innego nalać w majtki; nie robi się tak nawet podczas ataku na wrogi okręt albo podpalając hodowlę krabów. Major, zdyszany i zmęczony podskokami, zauważył nagle leżącą na ziemi paczkę i usiadł na niej, ściskając mocno nogi.

– Do diabła – powtarzał, gdy tymczasem drzwi baru otworzyły się, oświetlając Tradera jasnym blaskiem i zmuszając, by zmrużył oczy.

Kiedy Hooter Shook skończyła zmianę w swojej budce, wybrała się do Freckles, by zażyć męskiego towarzystwa oraz na małego drinka. Tak się świetnie bawiła w towarzystwie Macovicha, że zakręciło jej się w głowie, ale potem pokłócili się, niestety.

– Nie wierzę w małżeństwo – powiedział jej Macovich, dopijając czwarte piwo. – I nie chcę kupy dzieciaków, obskakujących mnie, jak tylko wejdę do domu. W dodatku smarkacze kosztują masę forsy, a ja oszczędzam na chevroleta corvette.

– Cooo? – Hooter też była trochę na bani, a piwo i jej sposób bycia niezbyt się ze sobą zgadzały. – Jesteś taki jak wszyscy – rzuciła oskarżycielsko, stukając niezwykle długimi tipsami o laminowany blat stolika. – Aha. Ja haruję jak dzika i wracam do ciebie do domu, a ty sobie tymczasem polerujesz samochód, a dzieci wrzeszczą, bo mają brudne pieluchy i nic do jedzenia. A potem chcesz ode mnie seksu, nawet nie odstawiając piwa i nawet mnie nie zapytasz, jak minął mi dzień!

– Oho! Przeskoczyłaś na sam koniec programu, kiciu. Jeszcze się nie

potrzymaliśmy za rączki, a tu już ślub i dzieciaki. Łyknij sobie piwa i wyluzuj.

Zastukała paznokciami tak nierówno i głośno, że zabrzmiało to jak odgłosy z meczu hokejowego.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego wy, kobiety, lubicie takie długie paznokcie – zwierzył się Macovich. – W jaki sposób podnosicie centa albo znaczek?

– Nie biorę pieniędzy bez rękawiczek – odparła z urazą. – Wiesz dobrze, co myślę o brudzie i braku higieny.

To go poważnie zaniepokoiło. Jeśli Hooter ma takie zdanie o pieniądzach, to na co można u niej liczyć? Pewnie nosi do łóżka kombinezon ochronny, a te jej paznokcie mogłyby poważnie uszkodzić jego czułe miejsca. Au, pomyślał. A co będzie, jak wbije szpony w jego konika? I dlaczego używa perfum, których nazwa oznacza truciznę? Powinien był się lepiej zastanowić, zanim poderwał laskę pracującą w budce na autostradzie. Kiedy ostatnim razem trafił na kobietę, której zupełnie nie znał, sytuacja wyglądała podobnie. Letitia Sweet pracowała w markeciku przy stacji benzynowej Shella, niedaleko komendy i Macovich, nikomu nie wadząc, wpadł tam pewnego popołudnia na kawę i popcorn. Letitia miała budowę starego cadillaca i prawdopodobnie tyle samo kilometrów na liczniku oraz analogiczną liczbę warstw lakieru, ale Macovich był w nastroju przez tę piranię bilardu, dziewczynę Crimmów.

– Co cię rajcuje? – zapytał Letitię, kiedy podszedł do lady i machnął niedbale banknotem dwudziestodolarowym.

– Jak to, co? – Posłała mu niemiły uśmiezek, wychylając się tak, żeby miał lepszy widok na jej wystające przednie reflektory.

Musiał jej to przyznać: niezła z niej była sztuka, chociaż ich pierwsza randka okazała się zarazem ostatnią.

– Co ty sobie wyobrażasz? – wrzasnęła Letitia, kiedy już siedzieli w samochodzie. – Czego mnie tak szarpiesz? Myślisz, że nie mam nerwów

w ciele? Ciekawe, co byś powiedział, jakbym cię tak złapała i wykręciła jak szmatę, którą czyszczę pojemnik na nachos pod koniec dnia?

Wykonała odpowiedni gest i Macovich musiał przyznać, że wcale mu się to nie podoba. Więc dlaczego zamienił ją na Hooter? Zagubił się między swoimi przypadłościami i złymi doświadczeniami, i uznał, że lepiej nie protestować, gdy Hooter oświadczyła, iż potrzebuje zaczerpnąć świeżego powietrza. Jak dobrze pójdzie, następnym razem wymienią kilka słów, kiedy znowu będzie przejeżdżał koło jej budki. Jak zwykle Hooter przytrafiło się spotkanie w zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, skąd nie miała jak dojechać do domu, więc wychodząc z lokalu, trochę się nad sobą rozczuliła. Kiedy zobaczyła tłustego białego mężczyznę, siedzącego obok kontenera na śmieci na jakiejś paczce, na chwilę zapomniała o własnych problemach.

– Ojej, kotku, chyba coś z tobą niedobrze – powiedziała, podchodząc do niego chwiejnie na swych niebotycznych obcasach. – Czego ty tak siedzisz tu na zimnie? Chcesz, żebym wezwała karetkę?

– Suwak mi się zaciął – wykrztusił Trader, ściskając materiał i szarpiąc zamek bez najmniejszego efektu. – Do pioruna!

– Mnie też się czasami to zdarza – litowała się nad nim Hooter, podchodząc i przyglądając mu się badawczo, żeby sprawdzić, czy nie jest jakimś świrem. – Wie pan, bywa o wiele gorzej, jak ma się zamek błyskawiczny na plecach. – Pokazała gestem tył wyimaginowanej sukni balowej. – Raz mi się tak zrobiło, jak poszłam na sylwestrowy bal przebierańców do Holiday Inn. Nie mogłam zapiąć sukni i bałam się, że jak szarpnę za mocno, to ją podreę.

Opowiedziała mu dokładnie, jak czekała w holu motelowym, aż w końcu nadszedł taki miły Arab, który pomógł jej rozsunąć zamek błyskawiczny, żeby mogła zapiąć się znowu, nie drąc szyfonowej sukienki. Ale ten Arab wcale nie chciał, żeby się zapinała, w gruncie rzeczy to upierał się, żeby ją całkiem zdjęła i wszystko inne, co nosiła pod spodem, więc nie miała innego wyjścia, tylko mu dobrze przyłożyć. Ogarnięta wspomnieniami Hooter

zapaliła papierosa, a Trader ścisnął się w kroczu i błagał swój suwak, aby go uwolnił od męki.

– Proszę, daj mi luz, daj mi – jęknął bliski łoż, używając dialektu, którego Hooter nie znała.

– Jasne, kotuś. – Pochyliła się, zapaliła papierosa i podała mu. – Możesz się poczęstować i nie wezmę od ciebie za to ani centa, bo i tak nie tykam drobnych. Moim zdaniem to świństwo poczęstować kogoś, a potem chcieć za to pieniędzy, nie? Na czym ty siedzisz, kotku?

Major nagle zdał sobie sprawę, że spoczywa obok pojemnika na śmieci na twardej, nierównej paczce. Pomacał ją wolną ręką i zaczął drzeć papier, zgasiwszy papierosa na ziemi.

– Broń – stwierdził, a potem nagle przyszło mu do głowy, że mógłby sobie odstrzelić suwak, jeśli zachowa ostrożność.

– Ojej! – wykrzyknęła Hooter. – Po co siedzisz na broni? To niebezpieczne i dlaczego zawiązałeś ją w papier pakowy?

Trader wyciągnął pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Sprawdził magazynek i z zadowoleniem zobaczył że jest pełny, chociaż niezbyt się znał na małej broni, najwyżej na raketnicach. Pomanipulował trochę przy spuście, aż stwierdził, że pocisk jest w komorze. Wtedy rozłożył szeroko nogi i strzelił.

– Do pioruna! – wrzasnął, kiedy kula odbiła się od mosiężnego suwaka i trafiła rykoszetem w pojemnik na śmieci.

– Zwariowałeś! – krzyknęła Hooter, cofając się kilka kroków. Potknęła się i prawie przewróciła. – Po co sobie strzelasz w klejnoty?

Trader jeszcze raz wymierzył w suwak i szarpnął spust. Kiedy kula znowu odbiła się od suwaka, a potem poleciała prosto do góry i stukła latarnię, wpadł we wściekłość. Zamek błyskawiczny był niezniszczalny. Zaciskał swe ząbki morderczym uchwytem, podczas gdy Trader strzelał raz za razem. Łuski wylatywały na prawo i lewo, lądując na ziemi, a Hooter pobiegła alejką, piskliwie wzywając policję i machając rękoma na latające w górze

helikoptery.

– Ratunku! Pomocy! – krzyczała w kierunku black hawków. – Lądujcie tu i zróbcie coś z tym wariatem! Usiłuje sobie odstrzelić klejnoty i pudłuje! Ale wreszcie w coś trafi! Ratunku!

Andy parkował przed domem Judy Hammer, kiedy odezwało się radio.

– Incydent przy bloku tysiąc pięćset na Patterson Avenue. Do wszystkich policjantów w okolicy. Uwaga. Strzelanina w bocznej uliczce.

Szefowa pojawiła się na ganku, dziwiąc się, że Andy nie wysiada. Zeszła po schodkach, żeby sprawdzić dlaczego.

– Co ty robisz? – zapytała, kiedy Brazil otworzył okno.

– Jakaś strzelanina i nikt nie odpowiada – rzucił podekscytowany. – Wszystkie patrole są zajęte czym innym albo szukają Latynosa.

– Jedziemy – rzuciła bez wahania i wsiadła.

Ruszyli, włączając syrenę i niebieskie światła, a dyspozytorka policji miejskiej nadal usiłowała znaleźć kogoś, kto pojedzie na Patterson Avenue.

– Trzy-trzydzieści – powiedział Andy przez radio, używając swojego numeru z czasów służby w richmondzkiej policji.

– Trzy-trzydzieści – powtórzyła dyspozytorka z lekkim zdziwieniem, bo zapamiętała miły głos Andy’ego i wiedziała, że ten młody człowiek nie pracuje już dla miasta.

– Jadę na Patterson Avenue.

– Dziesięć-cztery, dawna jednostka trzy-trzydzieści.

– Wiesz dokładnie, w której bocznej uliczce? – zapytał Andy.

– Dziesięć-dziesięć, trzy-trzydzieści – co stanowiło odpowiedź policji miejskiej – Nie, funkcjonariuszu Brazil, albo osobo podająca się za funkcjonariusza Brazila.

Dyspozytorka Betty Freakley odwróciła się do koleżanek w centrali 911 i wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że się przeniósł do policji stanowej. Co on robi, znowu

patroluje miasto? – zapytała.

Wszystkie inne dyspozytorki były zajęte. Tej nocy w Richmondzie rozpętało się istne szaleństwo. Pijany biały mężczyzna przewrócił się przed domem, wyprowadzając psa na spacer. Czarna kobieta leżała na środku jezdni w pobliżu sklepu spożywczego Egglestona. Niemowlę zjadło wszystkie paciorki z fioletowego misia Beanie Baby Millennium. Nastąpiło też kilka stłuczek, ale większość policjantów zajmowała się poszukiwaniem podejrzanego Latynosa, jadącego grand prixem z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi. Jednak Judy Hammer najbardziej zainteresowała się informacją na temat mężczyzny, który, włożywszy sobie na głowę worek, próbował obrabować bar szybkiej obsługi przy Chamberlayne Avenue.

– Ciekawe czy to ten sam, co w zeszłym roku próbował okraść budkę na autostradzie – powiedziała Hammer. – Jak on się nazywa? Wjechał w budkę, bo dziury, które sobie wyciął w worku, znalazły się na niewłaściwych miejscach i nic nie widział.

– Jest znany jako Stick – odparł Andy. – Ma obszerną kartotekę i wkroczył na drogę przestępstwa wiele lat temu.

– A nie uważasz, że mógłby wreszcie zrozumieć, że jego sposób działania jest ewidentnie nieskuteczny? – zirytowała się Judy, którą niezmiennie zdumiewała bezmyślność większości przestępców.

– Kilka miesięcy temu napadł na bar przy Broad – przypomniał sobie Andy, pośpiesznie przejeżdżając na żółtym świetle Cary Street. – Wszedł do środka w worku na głowie, wpadł na barierkę, przy której czeka kolejka, i zabrał ośmiodaniowy obiad z kurczakiem, a potem wylądował na szklanych drzwiach i złamał sobie nos. Zebraliśmy jego DNA z krwi na papierowej torbie.

– Używa broni?

– W tym właśnie problem. Nigdy nie jest uzbrojony. Po prostu wchodzi z workiem na głowie i czegoś tam żąda. Dlatego nie możemy go o nic sensownie oskarżyć i dlatego krótko siedzi. Twierdzi, że po prostu prosi

o coś ludzi, a oni dają mu to bez protestów, więc nie popełnia żadnego przestępstwa, a kodeks stanu Wirginia nie zawiera przepisu, zabraniającego chodzić w worku na głowie. Dlatego sędzia zawsze odrzuca oskarżenie, kiedy sprawa Sticka pojawia się na wokandzie.

– Do wszystkich policjantów w okolicy – odezwała się dyspozytorka. – Zgłoszono białego mężczyznę z workiem na głowie, leżącego na parkingu koło baru Popeye’s przy Chamberlayne Avenue. Pogotowie już jedzie.

– Chyba znowu się potknął – uznał Andy.

Stick nie był jedynym, który się potknął tego wieczoru. Kiedy pani Leslie wysiadała ze swojego samochodu pod wiatą, stanęła na lalce Barbie, należącej do jednej z bliźniaczek. Jak zwykle lalka została tam, gdzie dziewczynka bawiła się nią ostatnio.

– Ojej – zawołała Barbie Leslie, podnosząc się z cementowej posadzki i sprawdzając, czy wszystko w porządku.

Ponieważ głęboko wierzyła w znaki z nieba, wytłumaczyła sobie, że ten na szczęście niegroźny wypadek ma jej uzmysłwić, że zrobiła krok w niewłaściwą stronę i zapomniała o czymś naprawdę ważnym. Ach, oczywiście! Przypomniała sobie niezwykle spotkanie, które miało miejsce, zanim zajrzała do domu starców, gdzie regularnie odwiedzała chore i zniedołężniałe staruszki. Barbie wierzyła, że niebiosa wybrały ją na uzdrowicielkę i teraz wreszcie postanowiły ją wynagrodzić, i właśnie dlatego Hooter ofiarowała jej swój niezwykle dar.

Po kilku minutach sąsiadki, siostry Ciot, obserwowały, jak Barbie przykleja nalepkę na tylnej szybie furgonetki Lesliech. Uwa Ciot zdumiała się, wyglądając przez kuchenną żaluzję.

– Chodź tu i zobacz! – krzyknęła do niezamężnej siostry, Imy, która oglądała telewizję w pokoju dziennym, nastawiwszy odbiornik na cały głos. – Boże miłosierny, ale się przewróciła... chyba jest pijana! Teraz przykleiła sobie to coś na samochodzie, a w domu dzieci. Co się z biedactwami stanie,

kiedy wszyscy zobaczą, co ich mamusia ma na tylnej szybie? Według mnie zawsze była jakaś dziwna, mówiłam ci, Ima, nie? No chodźże, sama zobacz!

Ima podeszła, szurając nogami i wspierając się na balkoniku, a potem wyjrzała przez żaluzję. Zesztywniała na widok Barbie Leslie pod oświetloną wiatą po drugiej stronie ulicy. Ima nie widziała dokładnie, co robi Leslie, ale wydawało się, że obchodzi vana, kopiając po cemencie jakąś lalkę, wygląda coś na tylnej szybie i podziwia to coś. Ima ledwo widziała kolorową nalepkę.

– Co ona robi? – zapytała siostrę.

– Nie widzisz, co tam sobie przykleiła, Imo? Tęczową nalepkę! Pamiętasz te wszystkie tęczowe flagi i nalepki, jak mieszkaliśmy we francuskiej dzielnicy?

Ima zachnęła się tak mocno, że przesunęła balkonik do przodu i wpadła na żaluzje. Usiłowała się ich przytrzymać, ale się zerwały. Barbie Leslie popatrzyła na przyglądające jej się siostry Ciot, nagle dokładnie widoczne i pomachała im ręką, a obie kobiety umknęły z widoku.

– Lennie! – zawołała Barbie, wchodząc do kuchni, gdzie mąż grzebał w lodówce. – Nie zgadniesz, co się wydarzyło dzisiaj wieczorem.

– Chyba masz rację – odparł cierpko, otwierając piwo. – I nawet nie będę próbował.

– To tylko zwrot retoryczny – odpowiedziała jak zwykle.

– Co ci zabrało tyle czasu? Powinnaś już dawno temu być w domu.

– Korki i ci biedacy w domu starców – wyjaśniła. – Ach Lennie, mam od dzisiaj nową przyjaciółkę i tęczę na furgonetce!

– I co, pokonałaś burzę i trafiłaś na wyspę skarbów? – Lennie łyknął piwa i otarł usta grzbietem dłoni.

– Dziewczynki śpią? – spytała Barbie, zaglądając do lodówki i decydując, że powinna uczcić tęczę na szybie lemoniadą. – A co, wzgardziłbyś skarbem?

– Jasne że nie. Posłuchaj – zaczął. – Jeden z klientów ma dodatkowe bilety na sobotnie wyścigi, a wiesz, że muszę być w Charlotte na konferencji pośredników nieruchomości. To co, chcesz te bilety, czy mam je komuś dać?

– Znajdę kogoś do dziewczynek i może pójdę z przyjaciółką – odparła Barbie, nie dodając, że uwielbia wyścigi i bardzo się cieszy, że mąż nie może iść.

Barbie uwielbiała w sekrecie kierowcę Ricky’ego Rudda, który miał najpiękniejszą, nieskazitelną cerę i olśniewające blond włosy. Kiedy patrzyła na zdjęcia Ricky’ego w wyścigowym kombinezonie z wielką gwiazdą Texaconu na piersi albo obserwowała, jak jego lśniące czerwone monte carlo 28 z rykiem krąży po ekranie telewizora, czuła miły dreszczyk na całym ciele i pisała do niego następny list. Pisała do niego od wielu lat i wysyłała co tydzień kolejną epistołę, kiedy mieszkał w Karolinie Północnej, a potem zastanawiała się, jak zdobyć numer jego telefonu, kiedy przeniósł się do ojczyznej Wirginii. Oczywiście nigdy jej nie odpowiedział, ale sądziła, że na pewno by to zrobił, gdyby nie używała pseudonimu i podała adres nadawcy.

Oprócz Ricky’ego, Barbie fascynowała się Bo Mannem, którego zauważyła na wyścigu 2000 Chevrolet Monte Carlo 400 rok temu, jak prowadził samochód narzucający tempo. Kiedy popytała po boksach i udało się jej wyblagać, żeby mogła sobie z nim zrobić zdjęcie, miała na tyle sprytu, by wydobyć od niego adres.

– Jeśli wyślę do pana zdjęcie razem z zaadresowaną kopertą ze znaczkiem, to odeśle mi je pan z autografem? – spytała, kiedy pozowali do fotografii przed jego samochodem po wyścigu.

– Mam podpisać kopertę czy zdjęcie? – zapytał i dodatkowo zauroczył Barbie swoim poczuciem humoru.

– Słyszałem, że dziś wieczorem rozwalili nad rzeką jakiegoś gościa – odezwał się Lennie. – To znaczy, że grasuje następny psychol. Chodźmy do łóżka.

Lemoniada uderzyła Barbie do głowy.

– Ojej – westchnęła Barbie. – Dzisiaj chyba nie, Lennie. Mam w głowie tęczę i chciałabym trochę odpocząć i się nią nacieszyć, dobrze?

Dla Lenniego to wcale nie było dobrze. Rozdrażniony, skończył piwo

i wyciągnął następne. Zdjął kapsel i spojrzał na zgrabną figurę żony. Tyle czasu poświęcała trosce o samą siebie, ale wcale nie pragnęła, żeby ściągnął z niej ubranie i dokładniej zbadał to, o co tak bardzo dbała. To nie ma sensu. Po co kobieta stara się dobrze wyglądać, skoro nie chce seksu?

– Sprawdzę, co u dziewczynki i idę spać – oznajmiła Barbie. – Ojej! Od tej lemoniady aż mi się zakręciło się w głowie.

– Dobrze że chociaż od czegoś – mruknął Lennie, zastanawiając się, dlaczego tak rzadko narzeka na nadmierne zamięłowanie żony do robienia niepotrzebnych zakupów, koszty specjalistów od chirurgii plastycznej, zastrzyków z botoksu i Bóg jeszcze wie, co tam robiła, kiedy raz na miesiąc odwiedzała swojego lekarza. Lennie posyłał jej kwiaty, czasami nawet bez żadnej specjalnej okazji, i nigdy się nie uskarżał, kiedy musiał pilnować bliźniaczek, Mandie i Missie, które miały już prawie pięć lat. Chciał tylko, żeby żona pozwalała mu się od czasu do czasu dotknąć i żeby chociaż udawała, że jej się to podoba albo że jej to nie przeszkadza.

Wyjął dla niej z lodówki jeszcze jedną lemoniadę, a sam sięgnął po kolejne piwo. Zazwyczaj pomagało, kiedy upił żonę, ale ostatnio robiła się tylko otepiała i daleka.

– Nie mogę tak dłużej żyć – powiedział, – Trzy czwarte dnia tyram, handlując nieruchomościami, a resztę spędzam pilnując bliźniaczek, podczas gdy ty odwiedzasz staruchów albo przyjaciółki. Potem jesteś dla mnie zbyt zmęczona, a może zmęczyłaś się mną?

– Kobieta musi mieć jakieś przyjaciółki – zaprotestowała Barbie. – Obawiam się, że mężczyźni nie potrafią tego zrozumieć. Ile dostałaś biletów?

– No cóż, może mnie też by się przydała przyjaciółka – odparł trochę ostrzej.

Barbie zaczęła płakać. Organicznie nie znosiła, kiedy mąż jej robił wyrzuty, i obawiała się jego gniewu.

– Nie wiem – wyszlochała. – Przepraszam cię, Lennie. Ja się naprawdę staram, żebyś był zadowolony, skarbie. Ale od kiedy mi stuknęła

czterdziestka to, wiesz, jakoś nie mam ochoty na te rzeczy. To zupełnie nie twoja wina. Jestem pewna, że to nie przez ciebie. Może powinnam z kimś o tym porozmawiać.

– O Boże. – Lennie wywrócił oczami. – Mam jeszcze płacić za psychoterapeutę! I co ci z tego przyjdzie? Pracujesz przecież jako doradczynie-wolontariuszka. Może sama ze sobą porozmawiasz?

Rozpłakała się jeszcze bardziej. Lennie przytulił ją i błagał, żeby była szczęśliwa.

– Jeśli musisz z kimś porozmawiać, to ja się zgadzam, kochanie – zapewnił ją cicho. – Mam te dwa bilety i pewnie mógłbym dostać więcej od emerytowanego dyrektora General Motors, który dopiero co kupił sobie wielki dom nad rzeką.

Andy i Judy Hammer skręcili w alejkę na tyłach Freckles i zauważyli, że latarnie uliczne się nie palą. Pokryty brudem Trader siedział na jakiejś paczce obok kontenera na śmieci, z którego wysypywały się kwaśno śmierdzące śmieci. Pirat wystrzelał całą amunicję, ciągle walczył z suwakiem i był już bliski hysterii, bo wręcz rozpaczliwie chciało mu się siusiać.

– Na litość boską – odezwała się pani Hammer do najmniej przez siebie lubianego urzędnika stanowego. – Co pan tu robi? Dlaczego siedzi pan na jakiejś paczce i strzela? I czemu ma pan taki brudny garnitur?

– Suwak mi się zaciął! – ryknął Trader z wściekłością.

Judy pochyliła się, żeby zbadać problem, a Andy zauważył kobietę, kryjącą się w cieniu w bezpiecznej odległości.

– Wszystko przez to, że suwak zaczepił się o bieliznę – wyjaśniła komendantka. – Ale dlaczego jest taki powyginany?

– Próbowałem go rozpieprzyć!

– Proszę się uspokoić – poleciła. – Zobaczą, co się da zrobić.

Pociągnęła za suwak, pilnując, żeby nie dotknąć niczego więcej. Po kilku sekundach wyplątała bieliznę Tradera i zamek się rozsunał. Trader skoczył za

kontener i zaczął sikać jak koń.

– Jezu Chryste! – jęknął z obrzydzeniem Andy.

Obejrzał paczkę i pokręcił głową nad pięcioma pistoletami dalekiego zasięgu oraz kilkoma pudełkami z amunicją.

– Wygląda na to, że na boku zajmował się najrozmaitszymi interesami – stwierdził.

– Aha – przyznała gniewnie pani Hammer. – Ohyda.

– Hej! – zawołał Andy do kobiety kryjącej się w cieniu. Widział tylko zarys sylwetki z dreadami na głowie i niebotyczne szpilki na nogach. – Niech pani tu podejdzie!

Hooter ruszyła gruntową alejką, kolebiąc się na wysokich obcasach, trochę zaniepokojona, ale niepewna, o co mogłoby się do niej przyczepić.

– O, poznaję was – zdziwiła się. – Pani jest tą komendantką policji miejskiej, tylko teraz przeszła pani do stanowej. A pan to ten miły policjant, który mi pomagał, kiedy ten gość z torbą na głowie napadł na mnie w zeszłym roku w budce – zwróciła się do Judy i Andy’ego.

– Co pani wie o tym wszystkim? – Andy skinął głową w stronę Tradera, który wciąż jeszcze stał za kontenerem.

– Tyle tylko, że wyszłam z baru, a on najpierw skakał po alejce, a potem usiadł na tej paczce. O mój ty Panie, ile tych pistoletów! Dlaczego on siedział na pistoletach obok pojemnika na śmieci – to nie do pojęcia. Powiedziałam mu, że to niebezpieczne, ale nie chciał wstać i ścisnął się w kroku. Nic więcej nie wiem, poza tym, że nagle zaczął strzelać gdzie popadnie, to się schowałam i zaczęłam wołać o pomoc.

– A po co tu pani przyszła? – zapytał Andy.

– Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem.

– Jeśli potrzebowała pani powietrza, to znaczy, że przedtem znajdowała się pani w jakimś miejscu, gdzie nie było go za wiele. Więc skąd tu pani przyszła?

– Wybrałam się na drinka. – Skinęła w stronę baru. – Tam jest pełno

dymu, a najgorszy ten wielki policjant, który pali jednego papierosa za drugim.

Andy'emu natychmiast przyszedł na myśl Macovich. Pani Hammer miała dokładnie to samo skojarzenie.

– Sprawdź, czy jeszcze tam jest – poleciła Brazilowi.

Andy pośpieszył do drzwi małego baru, gdzie powitały go spojrzenia licznych przekrwionych oczu. Pijany Macovich siedział sam przy stoliku i palił kolejnego papierosa. Andy usiadł obok niego.

– Właśnie znaleźliśmy w tylnej alejce Majora Tradera – powiedział. – Nie słyszałeś strzałów?

– Myślałem, że to jakiś gaźnik – wymamrotał Macovich przez chmurę dymu. – I jestem po służbie – dodał z urazą. – Ale wiedziałem, że tamten musi być gdzieś niedaleko. Bo bardzo długo siedział przy barze i pił jedno piwo za drugim. Ja się do niego nie odzywałem, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Nie zauważyłeś, czy z kimś rozmawiał albo używał komórki? Albo czegoś, co mogłoby sugerować, że przyszedł tu z kimś się spotkać i może odebrać paczkę z bronią?

– Oho-ho! Ten gość ostatnio ma same kłopoty – stwierdził Macovich, robiąc na blacie kółka butelką z piwem. – Niezbyt go lubię, ale nie, nie widziałem, żeby coś knuł.

– A więc nie możemy udowodnić, że miał coś wspólnego z tą paczką – stwierdził z rozczarowaniem Andy. – A przynajmniej w tej chwili. I to nie nasz rewir, więc nie zdołamy oskarżyć go o strzelaninę. Tym musi się zająć policja miejska, jeśli uznają za stosowne. Byłeś tu z Hooter?

– Uhm, ale to był błąd. Nie potrafi pić i zrobiła się nieprzyjemna. Tyle mam z tego, że poderwałem dziewczynę z budki.

Usiłował robić wrażenie, jakby mu w ogóle na Hooter nie zależało. Znajdowała się znacznie niżej niż on – przyjmowała pieniądze w budce przy autostradzie. Więc dlaczego się wściekła i wyleciała z baru? On, Macovich,

mógł sobie znaleźć takich na pięczki i z pewnością nie potrzebuje dziewczyny z budki, nawet jeśli jest starsza rangą.

– Chyba powinienem ją odwieźć do domu – uznał. – Ona nie ma samochodu.

– Myślę, że lepiej będzie, jak wezwę taksówkę dla was obojga – odparł Andy. – Ale ta kobieta chyba powinna złożyć zeznania.

W tej samej chwili pani Hammer pytała Hooter o policję.

– I to pani nas wezwała? Bo ktoś to zrobił.

– Wołałam do tych w helikopterach. – Hooter popatrzyła na black hawka ryczącego nad ich głowami. – Więc chyba któryś z nich wezwał pomoc przez radio.

– To niemożliwe, żeby zdołali panią usłyszeć tam w górze – stwierdziła komendantka. Trader wciąż podlewał ziemię za pojemnikiem na śmieci.

– Wszystko jedno, krzyczałam do nich i machałam rękoma, więc to oni musieli zawiadomić policję, bo nikogo innego nie wzywałam. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak długo sikał. – Spojrzała w stronę, skąd dobiegał charakterystyczny szmer. – To niezły dziwak. Myślę, że warto, abyście go dobrze sprawdzili. Dam głowę, że niejedno ma na sumieniu. Może to homoseksualista, bo próbował sobie odstrzelić klejnoty, jakby nienawidził swojej męskości. Więc pewnie ma też AIDS i pełno brudnych pieniędzy w kieszeniach. Nie dotykałabym go bez rękawiczek, jeśli chcecie wiedzieć. Mam parę w torebce i mogę wam pożyczyć – zwróciła się do Judy Hammer. – Chyba musicie go zamknąć – dodała, kiedy Andy wyłonił się z zaplecza baru.

– Trader siedział w środku i pił – powiedział Brazil, stając przy Judy. – Macovich go widział. Pani też? – zapytał Hooter.

– Nie zauważyłam go, jeśli był w środku – odparła. – Za dużo tam dymu.

– Wezwę policję miejską i dowiem się, co zamierzają zrobić – zwrócił się Andy do szefowej. – Ale nie wydaje mi się, żeby ta sprawa należała do nas. I musimy wezwać dla pani taksówkę – zaproponował Hooter.

– Niech pan posłucha – oburzyła się – nie jestem pijana.

– Nic takiego nie powiedziałem. Ale nie ma pani samochodu.

– On ma samochód i z jego powodu tu jestem – wskazała w stronę baru, mając wyraźnie na myśli Macovicha.

– Ale nie będzie w stanie prowadzić – wyjaśnił Andy. – Za dużo piwa wypił i jest w złym nastroju. Wydaje mi się, że zraniono jego uczucia.

– Ha! – rzuciła Hooter z wyraźnym zainteresowaniem. – On nie jest na tyle wrażliwy, żeby można go zranić.

– Nieprawda – odrzekł Andy. – Czasami tacy potężni, silni mężczyźni są przesadnie delikatni i wszystko ukrywają wewnątrz. Może zechciałaby pani zawieźć go do domu jego samochodem?

– I co potem? – wykrzyknęła. – Nie zostanę u mężczyzny, który wciąż mieszka z mamusią!

Cruz Morales bardzo potrzebował matki. Przez pół nocy krążył samochodem po mieście. O trzeciej nad ranem, rozglądając się niespokojnie, zamknął drzwi budki telefonicznej i wyciągnął przybrudzoną papierową serwetkę, którą dostał od pani z punktu opłat na autostradzie. Osoba ta wydała się Cruzowi całkiem miłą, a teraz potrzebował pomocy. Nie uda mu się wyjechać z tego miasta pontiakiem z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi... zwłaszcza że wszędzie wciąż roiło się od glin i helikopterów. Teraz wreszcie rozumiał, skąd wzięło się całe zamieszanie.

Uciekając spod baru, gdzie ten wariat skakał dookoła zasobnika na śmieci, Cruz usłyszał przez radio, że podpalono kogoś nad rzeką, i wszyscy szukali podejrzanego Latynosa z Nowego Jorku... prawdopodobnie seryjnego mordercy, który popełnił kilka zbrodni z nienawiści, co da się powiązać ze strzelaniną w Jamestown, wciąż niewyjaśnioną, bo jak twierdził gubernator, jakaś pracująca w policji kobieta sobie z tym nie radziła. Cruz nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim dokładnie chodzi, ale był Latynosem i zupełnie nie rozumiał, czemu nagle stał się zbiegłym sprawcą zbrodni,

o których nic nie wiedział. Dlatego zatrzymał się przed nocnym sklepem 7-Eleven, żeby odbyć pilną rozmowę telefoniczną. Spojrzał na serwetkę i zobaczył, że są na niej dwa numery, jeden z jednej strony, a drugi z drugiej. Gotów był przysiąc, że pani z budki zapisała tylko jeden, ale który? Cruz wrzucił monetę i wykręcił pierwszy numer. Po trzech sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo? – odezwał się męski głos.

– Jest pani z budki? – zapytał Cruz, zakładając, że ta pani pewnie ma swojego mężczyznę.

– A kto mówi?

– Nie powiem, ale muszę z nią mówić. Kazała zadzwonić – stwierdził Cruz.

Andy siedział przy komputerze, pisząc kolejny felieton Tropiciela Prawdy i coś mu powiedziało, że tą panią jest Hooter. Lecz dlaczego ktoś miałby jej szukać w jego domu?

– Teraz jej nie ma – odpowiedział wymijająco, choć zgodnie z prawdą.

Hooter odwiozła Macovicha do domu i nie wiadomo, co nastąpiło potem. Andy wezwał policję miejską. Przyjechali i zabrali paczkę z bronią, uznali jednak, że nie mogą aresztować Tradera na podstawie tak skromnych dowodów, zwłaszcza że jest ważnym urzędnikiem stanowym.

– Jeśli powiążemy z panem tę broń – powiedział do Majora jeden z policjantów – to będzie pan miał niezłe kłopoty. Wszystko mi jedno, gdzie pan pracuje. Więc niech pan wraca do domu i nie próbuje wyjechać z miasta albo robić coś równie nierozsądnego.

– Oczywiście, że nie wyjadę – skłamał Trader. Coś mu wreszcie przeskoczyło w mózgu i zaczął mówić normalnie. – Jutro będę jak zwykle w pracy u gubernatora.

– Lepiej niech się pan co do tego upewni – zaproponował mu Andy. – W chwili obecnej niezbyt jest z pana zadowolony.

– Bzdury – uznał Trader. – Zawsze doskonale nam się razem pracowało,

a w gruncie rzeczy uważa mnie za swojego najlepszego przyjaciela.

– Może przestanie, jeśli badanie krwi Reginy okaże się dla pana niepomyślne – odparł Andy. – Słyszałem w wiadomościach, że zawieszono ją na pogotowie z ostrym atakiem gastrycznym, który, jak obaj wiemy, nastąpił po zjedzeniu słodyczy, przyniesionych przez pana w obecności świadków do rezydencji gubernatora i pozostawionych na bufecie. Słyszano też, jak mówił pan, że są przeznaczone wyłącznie dla gubernatora, ale Regina dorwała się do nich, kiedy nikt nie patrzył.

– Nikt jeszcze nie chorował po słodyczach produkcji mojej żony – zaprotestował Trader.

– Kiedy wróci? – odezwała się teraz w słuchawce tajemnicza osoba z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Nie jestem pewien, ale może ja bym mógł w czymś pomóc? – Andy próbował skłonić swego tajemniczego rozmówcę do ujawnienia się.

– Bo ja się niepokoję, wie pan. Mówili, że Latynos zabija kogoś nad rzeką, a ja nie zabić nikogo, a policja mnie szukać. – Cruz wyrzucił z siebie to wszystko, kuląc się w budce. Zauważył nagle, że przy pompie paliwa zatrzymał się czarny land cruiser.

– Dlaczego myślisz, że policja cię szuka? – zapytał mężczyzna w słuchawce.

– Bo mnie zatrzymać przy budka i gonić bez powód. Ja się ukrywać i bać o życie! Pani z budki dać mnie numer i powiedzieć że pomóc.

Andy spróbował odgadnąć, dlaczego Hooter dała numer jego telefonu jakiemuś zbiegowi, a potem przypomniał sobie zeszłoroczną sprawę mężczyzny w worku na głowie.

– Może powinniśmy się spotkać i porozmawiać – zaproponował, z roztargnieniem zmieniając jakieś słowo w felietonie, który miał za chwilę wysłać. – Lepiej nie uciekaj przed policją, nawet jeśli jesteś niewinny, bo wtedy tylko sobie narobisz więcej kłopotów. Spotkajmy się w jakimś bezpiecznym miejscu i porozmawiamy, dobrze? Mam pewne kontakty

i może uda mi się ci pomóc.

Cruz pewnie poszedłby za głosem rozsądku i spotkał się z człowiekiem, z którym rozmawiał, gdyby nie akcja, która zaczęła się rozwijać na jego oczach. Przez wielką szklaną szybę sklepu 7-Eleven zobaczył, jak biała kobieta wchodzi do środka i chyba prosi sprzedawczynię o pomoc. Potem pojawił się biały mężczyzna z dreadami, wyglądający na naćpanego, wyciągnął spod płaszcza pistolet i wymierzył w ekspedientkę, która znajdowała się z dala od lady i przycisku alarmowego, stanowiącego standardowe w dzisiejszych czasach wyposażenie nocnych sklepów. Cruz nie słyszał, co mówi biały mężczyzna, ale napastnik sprawiał wrażenie agresywnego i wulgarnego. Przerażona sprzedawczyni zaczęła krzyczeć i błagać o litość, a mężczyzna opróżnił kasę. Potem, ku zgrozie Cruza, kobieta o długich, czarnych włosach spokojnie odebrała temu gościowi broń, przyłożyła ekspedientce do głowy i wystrzeliła kilkakrotnie. Eksplozja wstrząsnęła budką telefoniczną i Cruz krzyknął.

– Co się stało? – zapytał Andy, zaskoczony odgłosem czegoś, co zabrzmiało jak huk wystrzału.

– Ach! Biały gość z dreadami! Zastrzelić ekspedientka! – wykrzyknął Latynos i odłożył słuchawkę.

Dymek?, pomyślał Andy, przypominając sobie rysopis przekazany przez strażnika więziennego Pinna, po ucieczce przestępcy z więzienia. Zgodnie z informacją, osobnik zidentyfikowany jako Latynos dzwonił z 7-Eleven przy Hull Street, na południe od rzeki, więc Andy zadzwonił pod 911, a Cruz wskoczył do swego samochodu i ruszył pełnym gazem.

Po jakiejś minucie z przerażeniem stwierdził, że ma na zderzaku czarnego land cruisera. Ale że uczył się prowadzić w Nowym Jorku, więc kilka razy skręcił w boczne uliczki, przejechał przez nie na pełnym gazie, przeskoczył przez pas rozdzielający jezdnie, ryzykownie wyminął kilka innych pojazdów i w końcu trafił na parking przy jakimś wielkim domu z kortami tenisowymi, położonym przy Three Chopt Road.

KRÓTKA HISTORIA ZAMKA BŁYSKAWICZNEGO

Tropiciel Prawdy

Zamek błyskawiczny, przedmiot, któremu prawdopodobnie nigdy nie poświęcaliście większej uwagi, nazywany również niekiedy eklerem, jest prostym urządzeniem, służącym do łączenia dwóch stron otworu takiego jak rozporek, tył sukni, albo torby-lodówki, chociaż to ostatnie określa się mianem zapięcia strunowego i ma ono raczej dziąsła niż ząbki. Zamek błyskawiczny, którym się tutaj zajmujemy, składa się z dwóch pasków materiału, wyposażonych w dwa rzędy plastikowych lub metalowych ząbków, łączących się mniej więcej tak jak tory kolejowe, gdy pociągniemy za suwak. Tor się rozdziela, kiedy suwak opada i obawa że spadnie on z ząbków albo się zatnie, co przydarzyło się wczoraj wieczorem nikczemnemu, zdradzieckiemu Majorowi Traderowi.

Pierwszy znany zamek błyskawiczny został pokazany w roku 1893 przez Whitcomba L. Judsona na Światowych Targach w Chicago. Pan Judson nazwał swój składający się z haczyków i pętelek wynalazek zapinaczem. Po kilku latach inżynier elektryk Gideon Sundback, imigrant ze Szwecji, ulepszył urządzenie, zastępując haczyki i pętelki ząbkami, a w 1913 roku wyprodukował bezhaczykowy zamek błyskawiczny, który otrzymał nazwę ekleru, wymyśloną przez BF Goodricha w 1923 jako nazwę zapięcia dla kamasy.

Rzecz oczywista, że jeśli natrafimy na zamek błyskawiczny w czymś, co jak sądziliśmy, jest pochówkiem z czasów kolonialnych z Jamestown, możemy wywnioskować z dużą dozą pewności, że szczątki owe pochodzą z czasów późniejszych niż rok 1913. Rozpatrując taką sytuację, wyobraźmy sobie, że rzeczywiście odkryłem zamek błyskawiczny w okolicach miednicy szkieletu. Natychmiast pokazałbym znalezisko jednemu z archeologów, najlepiej doktorowi Billowi Kelso, który jest kierownikiem misji

w Jamestown i specjalistą zajmującym się zabytkami z okresu kolonialnego, także guzikami.

– Doktorze Kelso – powiedziałbym. – Niech pan popatrzy na ten zielony ślad. Ma kształt zamka błyskawicznego. Moim zdaniem ten kolor wskazuje, że był to mosiężny zamek błyskawiczny, który rozłożył się z biegiem czasu.

Szacowny archeolog najprawdopodobniej zgodziłby się ze mną, zaznaczając, że również mosiężne i miedziane szpile, spinające całun, ulegają rozkładowi, ale szpila zostawia po sobie kształt łatwy do odróżnienia od zamka błyskawicznego. Dodałby, że średniowieczna szpila prawdopodobnie byłaby wykonana z żelaza i miałaby cynową główkę, w której niekiedy osadzano szkło lub kamień półszlachetny. Jednak większość szpil znajdujących na stanowiskach nowożytnych została zrobiona z ciągniętego mosiężnego drutu i ma stożkowate główki z drugiego kawałka drutu, okręconego od trzech do pięciu razy wokół górnej części trzpienia, a następnie spłaszczonych uderzeniem młotka. Metody tej używano do roku 1824, kiedy to Lemuel W. Wright opatentował szpilę z litą główką, wybijaną za jednym razem.

Gdybyśmy natrafili na szpilę o długości dwunastu centymetrów, uznalibyśmy, iż mamy przed sobą szpilę do włosów, a spoczywająca w grobie osoba to kobieta. W przypadku agrafki stwierdzilibyśmy, iż grób jest późniejszy niż z roku 1857. Znalazłszy mosiężne druciane haczyki do peleryny, określilibyśmy pochówek najprawdopodobniej na wiek siedemnasty. Co do igieł, doktor Kelso prawdopodobnie powiedziałby, że znajduje się je bardzo rzadko, bo zamieniają się w pył, o ile oczywiście nie wykonano ich z kości, a w takim wypadku można by wywnioskować, iż w grobie złożono tkacza dywanów.

– A napastrki? – mógłbym zapytać doktora Kelso, delikatnie odgarniając pędzelkiem ziemię z plamy po zamku błyskawicznym.

– To zależy – odrzekłby. – Wszystko zależy od ich przeznaczenia.

Napastrki z szesnastego i początków siedemnastego wieku były z zasady

szerokie, ciężkie i mało ozdobne. Bardzo wysokie napastrki pochodzą z połowy siedemnastego stulecia, a jeśli któryś z nich ma dziurkę, to prawdopodobnie sprzedano go Indianinowi z równin, który zawiesił go sobie na rzemieniu jako brzękadło, ozdobę stroju albo mieszka. Wcześni rodzimi mieszkańcy Ameryki mieli wielkie poczucie stylu i bardzo lubili nosić na szyi paciorki, kawałki miedzi, sprzęt domowy oraz głowy i części ciała drewnianych lalek.

Większość fragmentów lalek, jakie rodzimi Amerykanie mogli zdobyć, wykonywano w formie z gliny do fajek. Chłopcy w koloniach cenili sobie bardzo pistolety i armatki-zabawki, zrobione z cyny albo mosiądzu. Miały prawdziwe otwory w lufach, co oznaczało, że gdyby ich właścicielom przyszła na to ochota, mogli strzelać do James Fort, a gdyby rdzenny Amerykanin zdobył taką zabawkę i nosił ją na rzemieniu, mógłby się przypadkiem zranić w stopę albo jeszcze gorzej.

Niestety, kiedy, byłem u archeologów w Jamestown, nie znalazłem żadnych zabawek czy też ich fragmentów ani też nie miałem szczęścia natrafić na monetę albo choćby guzik, chociaż odkopałem kilka kul do muszkietów, grot strzały i szkielet kobiety, która musiała być nałogową palaczką fajki i nie obcinała włosów przez cztery – siedem lat.

Aby nie mijać się z prawdą, muszę dodać, że oczywiście nie odkryłem zamka błyskawicznego podczas wykopalisk w Jamestown. Ale gdyby się tak stało, z pewnością rozpoznałbym go natychmiast i zgromadził liczne informacje na jego temat.

Wracając zaś do owego nikczemnika, Majora Tradera, to pozostaje on wciąż na wolności i nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia. Ostatnio widziano go, jak strzelał z pistoletu na tyłach baru Freckles; toteż najprawdopodobniej nadal jest w mieście i kontynuuje swe zbrodnicze działania. Jeśli naciśnięcie na niedużą ikonkę w prawym górnym rogu, zobaczycie najnowsze zdjęcie, na którym jest razem z gubernatorem Crimmem. Ten ostatni stoi po lewej stronie i ma w ręku szkło powiększające.

Postarajcie się nie pomylić obu panów. Gubernator skrupulatnie przestrzega prawa i dlatego chciałbym skorzystać z okazji i powiedzieć mu, co następuje:

Wiem, że sprawa jest delikatna, ale naprawdę musi pan coś zrobić ze swoim wzrokiem i proponuję skorzystać z psa albo konika-przewodnika. W gruncie rzeczy konik jest znacznie lepszy, bo nie trzeba na niego czekać tak długo jak na psa, a poza tym ma pan już psa, który mógłby nie zaakceptować drugiego. Pozwoliłem sobie sprawdzić, w jaki sposób dałoby się zdobyć miniaturowego konika, i okazało się, że jest dostępny w każdej chwili. Umie się poruszać po domu i nosić kapcie, dzięki czemu nie ślizga się na posadzce. Chętnie podróżuje samochodem, lubi inne zwierzęta i dzieci. Nazywa się Trip, bo lubi wędrówki. Ośmieliłem się też wysłać e-mail do hodowców, żeby zatrzymali konika dla pana i zadzwonili z tą informacją do pańskiego biura, co obiecali zrobić natychmiast.

Zmieniając temat, ktoś powinien się zainteresować kartoteką więzienną pańskiego lokaja, panie gubernatorze. Poinformowano mnie, że być może do komputera wkradł się błąd i pański służący powinien być już dawno uwolniony z systemu więziennego i zatrudniony jako cywil, a nieskazany. Na pańskim miejscu zająłbym się też stanem Moseesa Custer a i dopilnował, żeby go chroniono, bo ci, co go napadli, mogą zaatakować jeszcze raz. Możliwe, że są to ci sami agresywni przestępcy, którzy zaatakowali znowu dzisiaj nad ranem, zabijając ekspedientkę w sklepie nocnym. Mogą też być powiązani z zabójstwem Trish Prash.

Gubernatorze Crimm nadeszła pora, żeby pokazał pan Wirginijczykom, że rzeczywiście troszczy się pan o ich los i nie ma żadnych innych celów jak tylko dobro Wirginii.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 21

Opos kilkakrotnie przeczytał najnowszy felieton Tropiciele Prawdy, aż wreszcie upewnił się, że tajemniczy rycerz Internetu podejrzewa, iż napastnicy, o których pisał, to Dymek i jego banda piratów drogowych.

– Czemu miałyby na to nie wpaść? – szepnął do suczki, która pochrapywała na łóżku. – Wszyscy wiedzą, że Dymek uciekł z więzienia i ma jak najgorsze zamiary, bo do niczego innego nie jest zdolny. O Boże, Wytrzeszcz, a jeśli policja znajdzie naszą przyczepę i nas odholuje, albo Dymek wda się w strzelaninę z gliniarzami i wszyscy zginiemy?

Wytrzeszcz obudziła się natychmiast.

– To niesprawiedliwe! – ciągnął z rosnącym gniewem. – Po co zabili tę kobietę w 7-Eleven? Teraz pokazują w telewizji rysopis Dymka, bo ktoś to wszystko widział!

Opos nabrał tchu i kilka razy zerknął na zamknięte drzwi.

– Pora działać – szepnął do psa. – Zrobię to i mam tylko nadzieję, że Dymek się o niczym nie dowie!

Chłopiec napisał e-mail.

Drogi Tropiciele Prawdy ten Trader, o którym pisałeś, to pirat i w Internecie występuje jako Kapitan Bonny. Domyśliłem się tego, jak napisałeś, że Trader jest spokrewniony z tą kobietą piratem, która już chyba dawno nie żyje.

Wydaje mi się, że możesz złapać Kapitana Bonny’ego w pułapkę,

wysyłając mu e-mail z pewną wiadomością. Napisz, że zostawisz mu wodoodporną walizkę wypełnioną tym, na co czeka, a kiedy się pokaże, złap go! Użyj mojej ksywki, żeby myślał, że wiadomość jest ode mnie.

P.S. Piraci planują akcję, w której wystąpi Wytrzeszcz! To właśnie Trader zorganizował jej porwanie!

Nacisnął „wyślij” i z ulgą zerknął na zamknięte drzwi. Bogu dzięki, ani Dymek, ani żaden inny pirat nie zobaczył, co właśnie zrobił. Dymek bez wątpienia zabiłby Oposa, gdyby go złapał na posyłaniu wiadomości Tropicielowi Prawdy i ujawnieniu ich planu. Kopałby go i bił, a potem zostawił na pewną śmierć tak jak Mosesa Custera, który przecież w niczym mu nie zawinił. Ten zaś, właśnie w tej samej chwili, kiedy Opos o nim myślał, odbierał telefon w swoim szpitalnym pokoju.

– Gubernator do pana – odezwała się donośnie siostra Carless, przewracając mankietem fartucha kubek na tacy i wylewając sok pomarańczowy na szpitalną piżamę Mosesa.

– Jest pani pewna? – Custer nie uwierzył jej i pomyślał, że jeśli ta kobieta spowoduje następny wypadek, to znajdzie guzik alarmowy i naciśnie go z całej siły. – A jeśli to ktoś z piratów mnie szuka?

Siostra Carless odsunęła aparat, uderzając Mosesa w żuchwę.

– Obawiam się, że go tu nie ma – powiedziała do słuchawki, wycierając sok pomarańczowy i wbijając pacjentowi łokieć w szyję.

– Nie! – Moses wyszarpnął jej telefon. – A jeśli to naprawdę gubernator? Nie zostawię tak tego. Kto mówi, jeśli wolno spytać? – odezwał się do słuchawki. – Zanim zaczniemy go szukać, zakładając, że w ogóle jest w tym szpitalu i w dodatku żyje, musimy się upewnić, kto z nim chce rozmawiać.

– Tu mówi gubernator Crimm.

– Który gubernator Crimm? – spytał Moses, nieprzekonany.

– Gubernator Bedford Crimm Czwarty. Nie ma innego gubernatora Crimma, bo za każdym razem jest tylko jeden i zawsze to ja. Byłem

gubernatorem Wirginii już trzy razy. Albo cztery.

– Jeszcze nie znaleźliśmy tego pacjenta – odezwał się Moses, wahając się, czy zaufać nieznanemu głosowi. – Ale skoro już tu pan jest, to poproszę o imię matki, żony, dzieci i zwierząt domowych oraz ich wiek i numer butów.

– Ja zaś chciałbym wiedzieć, dlaczego pyta pan o takie osobiste sprawy – odparł z urazą gubernator.

– No dobrze już, dobrze. Momencik.

Moses przykrył mikrofon dłonią. Serce waliło mu jak młotem. Rzeczywiście rozmawiał z samym gubernatorem, bo żaden gubernator nie zechciałby odpowiedzieć na osobiste pytania, a pirat, próbujący wmówić Mosesowi, że jest przedstawicielem władzy, podałby zmyślane dane.

– Halo? – odezwał się Moses, podnosząc nieco tonację głosu. – Tu Moses Custer.

– Tak, tak – powiedział Crimm z lekkim zniecierpliwieniem. Siedział w swoim gabinecie na piętrze w rezydencji i wpatrywał się w nieostry widok na okrągły podjazd i budkę strażnika. – Macie tam okropną organizację w tym szpitalu, a osoba odbierająca telefon jest po prostu niegrzeczna.

– Wie pan, tu jest naprawdę straszny bałagan – ciągnął dziwnie piskliwy głos. – Au! – zwrócił się do kogoś. – Zaczepiła mi pani o rurkę od cewnika! To cholernie boli, jak go pani wkłada z powrotem!

Rozległy się odgłosy stłumionej kłótni, z której gubernator wywnioskował, że Moses zaplątał się w rurkę od cewnika, jednak nie pozwolił sobie go usunąć.

– Nie będę używał kaczki! – oznajmił. – Znając panią, wszystko się zaraz wyleje na mnie i na łóżko! Niech pani zostawi ten cewnik i zabierze tacę, zanim coś się znowu rozleje albo wbije mi pani widelec w oko! Panie gubernatorze, najmocniej przepraszam za to wszystko, ale z tą pielęgniarką jest coś nie tak. Ona chyba na coś cierpi, może na chorobę Parkinsona albo dyzenterię mięśniową, bo ile razy się koło mnie znajdzie, uderza mnie czymś

tak mocno, jak ci piraci, którzy mnie napadli i zabrali ciężarówkę z dyniami.

– Cóż, postaram się pamiętać, żeby nigdy nie trafić samemu do tego szpitala – mruknął gubernator, przeglądając przez szkło powiększające najnowszy felieton Tropiciela Prawdy.

– Niech pan nawet nie przejeżdża w pobliżu, a już na pewno niech pan nie wchodzi do środka. Życzę panu, żeby nigdy pan nie musiał trafić do szpitala i codziennie modłę się za pańskie zdrowie i powodzenie.

– Co? – Gubernator wrócił do rady, którą Tropiciel Prawdy skierował osobiście do niego. – O co panu chodzi z tym poceniem?

– No, nie wiem – zdziwił się Moses, a Bedford uznał, że nieszczęśnik pewnie znajduje się pod wpływem silnych środków przeciwbólowych.

– Niech mnie pan posłucha. – Crimm przeszedł do celu rozmowy. – Zwróciłem uwagę na tę okropną napaść na pana i chciałem sprawdzić, jak się pan czuje oraz powiedzieć, że osobiście interesuję się pańskim stanem i zamierzam dopilnować, żeby był pan chroniony po wyjściu ze szpitala.

– Naprawdę? – Głos Mosesa wzniósł się o oktawę, po czym dał się słyszeć dźwięk czegoś, co zabrzmiało jak hałas tacy z jedzeniem, spadającej na podłogę.

– Ależ oczywiście! Jest pan Wirginijczykiem, a ja złożyłem przysięgę, że będę dbać o każdego obywatela naszego niepospolitego i wspaniałego stanu. Kiedy pan wychodzi ze szpitala?

Gubernator obserwował, jak ten miły policjant Brazil wjeżdża przez bramę i parkuje swój nieoznakowany samochód przed rezydencją. Crimm nie pamiętał, po co ten młody człowiek pojawił się tu dzisiaj rano, ale wydawało mu się, że ma to coś wspólnego z Regina, co stanowiło ogromną ulgę. Regina potrzebowała zajęcia, a gubernator kogoś, kto będzie chronił Mosesa Custer.

– Chyba mnie niedługo wypuszczą, o ile siostra mi nie rozbije głowy albo nie poda złego lekarstwa – mówił Moses. – Naprawdę jestem bardzo wdzięczny. Aż nie chce mi się wierzyć, że rozmawiam z samym

gubernatorem. Jednego dnia mnie biją i tracę moje dynie, a drugiego sam gubernator do mnie dzwoni i obiecuje ochronę. I sam gubernator mówi, że jest mu przykro z powodu tego, co się stało, chociaż to przecież nie jego wina i nie będę miał kłopotów z powodu dyń w rzece.

– Oczywiście, że nie – powiedział gubernator, obserwując jak Andy wysiada z samochodu, a Regina, ubrana w kostium w stylu safari, zbiega frontowymi schodami. – Aha – dodał, chcąc stworzyć dobre zakończenie dla komunikatu do prasy. – W sobotę wieczorem poleci pan ze mną helikopterem i zapraszam pana do mojej łoży na wyścig serii Winston. A policjant nazwiskiem Andy Brazil przyjedzie do szpitala, żeby pana bezpiecznie odwieźć do domu.

– Święty Panie w niebiosach! – Moses był zdumiony i zachwycony. – Nigdy nie byłem na prawdziwym wyścigu NASCAR, ani jednego razu. Ma pan pojęcie, jak trudno jest dostać bilety i znaleźć miejsce do zaparkowania? To jakieś czary!

Crimm wyszedł z gabinetu, zaprzątnięty pytaniami dotyczącymi miniaturowych koników. Jak to jest, kiedy taki zwierzak cały czas prowadzi człowieka. Przypuszczał, że chyba spróbuje. Wzrok psuł mu się z dnia na dzień. Dziś rano, gdy szedł po paradnych schodach, musiał oburącz trzymać się poręczy. Potem usiadł w saloniku dla pań i zamówił dwa jajka sadzone, obsmażone z obu stron i bekon na chrupko. Kiedy nikt mu nie odpowiedział, wstał, przeszedł do męskiej toalety, a potem znowu spróbował. W końcu trafił do windy, gdzie znalazł go Pony, który niósł świeżą pościel na piętro.

– Gdzie jestem? – zapytał gubernator, a Pony zaprowadził go do pokoju śniadaniowego.

– Proszę usiąść, panie gubernatorze – powiedział, odsuwając krzesło i kładąc mu na kolanach serwetkę. – Jak się panu spało?

– Mnie się spało źle – odpowiedziała Regina, obficie okraszając masłem górę kaszy. – Ciągle do mnie wraca ten sam zły sen.

Ponieważ nikt przy stole nie okazał najmniejszego zainteresowania, postanowiła, że opowie o tym Andy'emu, jak tylko wsiądzie do samochodu.

– Zupełnie tak samo jak poprzednio – zaczęła. – Nie wiem czemu zawsze pojawiają się opony. Dlaczego zawsze mi się śnią opony? Za każdym razem opony, toczące się po autostradzie, ale bez samochodów.

– A gdzie pani wtedy jest? – zapytał Andy, zapinając pas i wskazując, że powinna zrobić to samo.

– We własnym łóżku, ale to nie pańska sprawa.

– Względem tych opon – uściślił Andy.

– Uskakuję im z drogi. A bo co? – odparła.

– To znaczy, że porusza się pani pieszo?

– Jasne! Żadnej z nas nie wolno prowadzić, kiedy papa jest gubernatorem. Wszędzie nas wożą, a mnie już się od tego zbiera na wymioty.

– To całkiem oczywiste, dlaczego śnią się pani te opony – oświadczył. – Uważa pani, że stoi pani w miejscu. Jest pani jak samochód bez kół i ugrzęzła pani na autostradzie życia, bezradna, zagrożona, spięta i przekonana, że wszystko panią omija.

Gubernator i Pierwsza Dama obserwowali przez okno Reginę i Andy'ego.

– Chyba się kłócą – stwierdziła Pierwsza Dama.

– Nie możemy trzymać drugiego psa – uznał Bedford.

– A kto mówił coś o psie, skarbie?

– Nie mogę wziąć psa-przewodnika – wyjaśnił. – Tropiciele Prawdy mają rację. To byłoby nie fair wobec Frisky. Co do kota, to nie wiem, ale chyba nie mają kotów-przewodników, a poza tym ja nienawidzę tych zwierząt.

– Jestem pewna, że kotów nie da się tak wytresować, kochanie – powiedziała pani Crimm. – Wskakiwałyby na różne rzeczy i wchodziły pod inne albo nie robiłyby nic, a w dodatku gdybyś był przywiązany do kota, mogłoby się to okazać niebezpieczne.

– Nikogo nie przywiązują do zwierząt – włączyła się do rozmowy Faith,

z zazdrością obserwując, jak jej nieznośna młodsza siostra odjeżdża z tym przystojnym policjantem. – Trzymasz się takiej rączki. A ja właśnie przeczytałam w felietonie Tropiciele Prawdy, że są też małe konie-przewodniki i że powinieneś wziąć takiego jak najprędzej. Myślę, że Frisky nie będzie mieć nic przeciwko konikowi, papo.

– Nie pozwolę wpuścić konia do rezydencji – zaprotestowała pani Crimm.

– Ale ja chcę go wziąć – postanowił gubernator. – Jeszcze dzisiaj.

– Nie wiem, co myśleć o wyprawie Reginy do kostnicy – niepokoiła się pani Crimm, kiedy Andy i Regina już zniknęli.

– Może jej to dobrze zrobi – uznał gubernator. – Zacznie cenić to, co ma, i przestanie tyle narzekać.

– Racja – przyznała Faith. – Powinna się cieszyć, że żyje.

Gubernator wstał i ruszył przed siebie, wpadając na portret Lady Astor wielkości naturalnej.

– Najmocniej panią przepraszam – mruknął.

Barbie Leslie również wpadała dzisiaj na różne rzeczy. Niewyspana po zbyt wielu lemoniadach, trafiła na ostry kant łóżka, uderzyła łokciem w toster, a dopiero co prawie stuknęła jadący przed nią samochód, bo nie zachowała należytej uwagi na autostradzie. Zazwyczaj kiedy jechała do Uczelnianego Kościoła Baptistów, gdzie pracowała jako doradca-wolontariusz, nikt nie zwracał na nią większej uwagi. Jednak tego ranka kierowcy gapili się na nią, a w obecnym stanie otępienia ich zainteresowanie bardzo ją rozpraszało.

Zawsze była atrakcyjną kobietą, ubierała się z dyskretną elegancją i niewątpliwie dbała bardzo o cerę. Cera to dar od Boga dla kobiet, często powtarzała studentkom, które przychodziły do niej po radę i pomoc. Ubrania i dodatki nie liczą się, jeśli ma się brzydką cerę, więc należy regularnie odwiedzać kosmetyczkę oraz używać dobrych toników oczyszczających, kremów nawilżających i nie siedzieć na słońcu.

Trzeba przyznać, że dzisiejszego ranka jej cera wyglądała szczególnie dobrze po maseczce odświeżającej, którą, jak mgliście pamiętała, nałożyła sobie wczorajszego wieczora, nadużywszy alkoholu. Jednak dlaczego kierowcy się tak na nią gapią? Niektórzy nawet na jej widok naciskali klakson, a nie dalej jak przed chwilą jakiś mężczyzna z kolczykiem w uchu wyprzedził ją, pędząc swoim porsche i podniósł kciuk w geście akceptacji. Zwolniła przy budce Hooter i z zadowoleniem zobaczyła tęczową nalepkę, jaśniejącą dumnie na przesuwanym, szklanym okienku.

– Pani chyba pracuje całą dobę na okrągło – przywitała Barbie Hooter, która wyglądała na trochę zmęczoną. – Obie mamy tęcze. Świetna zabawa, nie?

– Wie pani, wczoraj wieczorem byłam świadkiem niesłychanych wydarzeń – powiedziała Hooter, a za vanem zaczęła się tworzyć kolejka samochodów.

Opowiedziała nowej przyjaciółce o wariacie w alejce, który siedział na paczce z bronią, obok pojemnika na śmieci i próbował sobie odstrzelić klejnoty.

– A potem, wie pani, ten wielki policjant, z którym się umówiłam wczoraj wieczorem...? Cóż – Hooter przerwała relację. – Chyba nie ma powodu, żeby go pani знаła. Ale musiałam go odwiedzić do mamusi, a on miał ochotę na miłość, ale ja się nie zdecydowałam, bo mamusia była w sąsiednim pokoju, pewnie ze szklanką przyłożoną do ściany i podsłuchiwała wszyściutko, co robiliśmy. Więc się go pytam: „Dlaczego ciągle mieszkasz z mamusią i co by było, gdybym zrobiła to, czego ode mnie chcesz, a ona by tu weszła?”. Może sobie pani wyobrazić? – spytała Hooter. – Wyobraża sobie pani, jak dosiadam konika tego wielkiego gliniarza i nagle obok sofy pojawia się mamusia w koszuli nocnej? To chore. Mówię pani, ten gość jest dziwny.

– Jakiego konika? – Barbie była zdumiona i zgorzona.

– On tak nazywa coś, co, mówię pani, jest największym... – Komentarz Hooter zginął w zgiewku klaksonów – ... na jakiego zdarzyło mi się trafić,

przyjaciółko! To znaczy w gruncie rzeczy, tak naprawdę to go nie widziałam, ale biorąc pod uwagę, co wyprawiał, próbując się wyzwolić z zamknięcia, wie pani, o co chodzi? Hmm? To po prostu naj... – Klaksony rozdźwięczały się znowu.

– Wygląda na to, że ja też robię zamieszanie – wyznała Barbie. – Wszyscy gapią się na mnie, trąbią i usiłują zepchnąć vana z jezdni – dodała, kiedy duża furgonetka z chlupaczami skręciła z wizgiem na sąsiedni pas, a Bubba Loving zrobił wulgarny gest i coś krzyknął w stronę pojazdu Barbie. – Skąd on wie, jak się nazywam? – powiedziała do Hooter. – Nigdy w życiu nie spotkałam tego człowieka, a on zna moje nazwisko. Umiem czytać z ruchu warg.

– E tam! – Hooter prychnęła, gapiąc się na odjeżdżającą furgonetkę. – Nie cierpię, kiedy przyklejają sobie flagi konfederackie na przedniej szybie i mają napisy zamiast numerów rejestracyjnych. Bardzo dobrze, że pojechał do kasy na karty kredytowe, bo nie lubię brać pieniędzy od konfederatów, nawet przez rękawiczkę. Nie dotknęłabym ich, gdybym miała wybór, ot co! Ale nie wydaje mi się, że znał pani nazwisko.

– Jestem prawie pewna, że powiedział „Leslie”.

– Nie. On był bardzo nieprzyjemny, przyjaciółko. Moim zdaniem ten ćwok Bubba nazwał panią lesbą.

– No nie, bezczelny typ! – Barbie była zdumiona. – Jest pani pewna, że nie Leslie?

– Nie zamierzam go pytać. To parszywy ćwok i pewnie w bagażniku ma kaptur, wie pani, o co mi chodzi?

Barbie nie wiedziała.

– No taki z białego płótna – wyjaśniła Hooter. – Pewnie to jakiś „Wielki Smok” z Ku Klak Klanu, co pali krzyże.

– Każdy, kto pali krzyż, pójdzie prosto do piekła – oświadczyła Barbie ze świątobliwym oburzeniem.

– Wszystko mi jedno, gdzie tacy idą po śmierci. Wystarczy, żeby się nie zatrzymywał przy mojej budce i nie próbował się dowiadywać, gdzie

mieszkać, żeby mi potem strzelać w okna i podpalać krzyż w ogródku. Poza tym, nie mam ogródka. Musieliby spalić krzyż na parkingu.

– Tylu nienormalnych ludzi. – Barbie straciła humor. – Świat robi się coraz gorszy z dnia na dzień.

– Od czasu milimimum wszystko zeszło na psy. Nie wiem, jak może być jeszcze gorzej. – Hooter zgadzała się z Barbie Leslie z całego serca.

Andy również był podobnego zdania, skręcając z Dziewiątej i kierując się ku kostnicy. Regina siedziała na miejscu obok kierowcy, mlaskała gumą i bawiła się skanerem.

– Jak się tu włącza syrenę i koguta? – zapytała.

– Nie będziemy ich włączać – powiedział.

– Czemu nie? Jedziemy przecież w sprawie morderstwa, nie? Moim zdaniem mógłby je pan włączyć, jakby pan chciał.

– Niestety. Nikogo nie ścigamy. – Andy z trudem ukrywał irytację.

– Coś dzisiaj jesteśmy nie w sosie – skomentowała Regina, przypatrując się przez okno ludziom, usiłującym zaparkować albo czekającym, żeby przejść na drugą stronę jezdni.

Sama nie znała tak pospolitych niewygód i po raz pierwszy od wielu lat czuła się szczęśliwa. Nie chciało jej się wierzyć, że wymknęła się ochroniarzom, siedziała w nowiutkim samochodzie policji stanowej i jechała z Andym do kostnicy.

– Będę znakomitym partnerem dla pana – ciągnęła. – Wiem mnóstwo rzeczy, o których pan nie ma pojęcia i pewnie więcej niż ta doktorka od zmarłych. Założę się, że nie orientuje się pan, co zrobić, kiedy się znajdzie na ruchomych piaskach, co?

– Nie zamierzam wchodzić na ruchome piaski – odparł Andy. – Unikam takich miejsc.

– Hm. Łatwo powiedzieć. Gdyby to było takie łatwe, to ludzie by tam nie trafiali i nie traciliby życia. Więc trzeba rozłożyć ramiona i nogi i próbować

pozostać na powierzchni. – Pokazała mu, jak ma to wyglądać. – Potem trzeba sobie podłożyć laskę pod plecy, żeby człowieka nie wciągnęło od bioder, wyciągnąć nogi z piasku i już. A jeśli się chce wyważyć drzwi, to trzeba kopnąć w zamek, a drzwi od samochodu można otworzyć kluczem do wkrętów i spinką do włosów. Potrafię też przetrwać atak pytona, aligatora i wściekłych pszczół – przechwalała się. – I umiałabym przyjąć poród w taksówce i uratować się, gdyby mi się nie otworzył spadochron.

– Pewnie dlatego, że zna pani „Poradnik przetrwania w trudnych sytuacjach” – odrzekł Brazil ku zdziwieniu i irytacji Reginy. – A to, że czytała pani o tych wszystkich rzeczach, siedząc sobie bezpiecznie w rezydencji, nie znaczy, że potrafiłaby pani właściwie zareagować, gdyby przyszło najgorsze.

– Dostałam tę książkę od papy na urodziny – oświadczyła butnie Regina. – Nie dałby takiego prezentu żadnej z moich sióstr, bo one nie lubią przygód i są tchórzliwe. Mogę sobie wyobrazić, jak Faith próbuje wylądować samolotem, kiedy pilot dostał ataku serca, a Constance zwariowałaby ze strachu, gdyby zgubiła się na pustyni albo zaczęła dryfować na morzu.

Pogrzebała w chlebaka i wyciągnęła niedużą książeczkę w jaskrawo-żółtych okładkach.

– Więc co by pan zrobił, gdyby się nie otworzył spadochron? – zapytała, wyglądając zagięty róg strony, na której widniała plama jakby z czekolady.

– Przed skokiem wszystko bym dokładnie sprawdził – odparł Andy, czując, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– A gdyby uderzył piorun?

– Unikałbym takich sytuacji.

– Czy schowałby się pan pod wysokim drzewem? – Regina chciała wydobyć od niego niewłaściwą odpowiedź.

– Oczywiście, że nie.

– A gdyby pan nurkował na głębokości trzydziestu metrów i skończyłoby się panu powietrze? – egzaminowała go surowo Regina.

– Nie nurkuję.

Zamknęła z trzaskiem podręcznik i schowała do chlebaka.

– Kiedy mi dadzą mundur? – spytała z rosnącą irytacją.

– Jak skończy pani akademię policyjną. Trzeba na to około roku, oczywiście zakładając, że zostanie pani przyjęta.

– Muszą mnie przyjąć.

– To, że pani ojciec jest gubernatorem, nie znaczy, że tak się stanie odparł trochę zbyt ostro Andy. – Nie zamierzam nikomu mówić, kim pani jest. Przedstawię panią jako praktykantkę.

– To ja im powiem – stwierdziła. Otworzyła okno i wyrzuciła przez nie gumę do żucia.

– Byłoby to bardzo nierozsądne. Nie uważa pani, że pora, żeby ludzie zaczęli panią lubić dla samej siebie, a nie dlatego, kim pani jest? I proszę nic więcej nie wyrzucać przez okno.

– A jeśli nie zechcą? – Nastrój Reginy się zwarzył. – Przecież pan wie, że tak by się stało. Nikt mnie nie lubi, nawet kiedy ludzie się orientują, kim jest papa. Więc dlaczego miałyby być inaczej, gdyby o tym nie wiedzieli?

– Chyba musi pani kiedyś przekonać się o tym sama i stawić czoło rzeczywistości – powiedział Andy, skręcając w Clay Street. – A jeśli ludzie pani nie lubią, to tylko pani własna wina.

– Bzdura. To wszystko przez nich. – Regina podniosła głos. – Nic na to nie poradzę, że taka się urodziłam!

– To tylko pani decyzja, czy chce pani być gruboskórną egoistką – odparł. – I jeszcze nie mam ubytków słuchu. Proszę mówić trochę ciszej. Niech pani chociaż raz zainteresuje się losem innych, a nie wyłącznie sobą. Co się stanie z tym pechowcem, który wejdzie na gumę, bo pani ją właśnie wyrzuciła? Jak by się pani czuła, gdyby weszła pani na gumę, będąc ubraną do pracy, mając mało czasu i nie mając pieniędzy na nowe buty, a za to chore dziecko?

Coś podobnego nigdy dotąd nie przyszło Reginie do głowy.

– Nikt pani nie lubi tylko dlatego, że pani nie czuje do ludzi życzliwości.

A oni to wyczuwają – ciągnął Andy, zatrzymując się na tyłach nowoczesnego budynku z cegły, nazywanego Biotech II, w którym znajdowało się biuro głównego patologa i laboratorium medycyny sądowej.

– Nie wiem – wyznała Regina. – Trudno wiedzieć, jak coś wygląda, kiedy nikt nam tego nie pokaże. A przez całe życie traktowano mnie w sposób wyjątkowy ze względu na to, kim jestem i nie miałam okazji pomyśleć o innych.

– No to teraz się pani trafiła. – Andy zaparkował na miejscu dla gości i wysiadł. – Bo ja będę traktował panią jak byle kogo, jeśli pani będzie do mnie się niewłaściwie odnosić. Może to dobrze, że za chwilę znajdzie się pani w kostnicy. Może pani zacząć od okazywania życzliwości martwym, bo im będzie wszystko jedno, jeśli coś pani nie wyjdzie.

– To jest myśł! – Regina z entuzjazmem ruszyła za Andym. Przeszli chodnikiem do hallu. – Tylko jak mam dbać o uczucia kogoś, kto już nic nie odczuwa?

– To się nazywa zrozumienie i współczucie. Takie słowa są najwyraźniej pani obce. – Andy zatrzymał się w recepcji i wpisał do książki wejść. – Niech pani spróbuje sobie wyobrazić, co mogli przeżyć ci biedni ludzie i jak ich teraz żałują rodziny i przyjaciele. I raz wreszcie niech pani przestanie zajmować się wyłącznie sobą. A jeśli zachowa się pani nieodpowiednio, to pani praktyka skończy się natychmiast, bo nie zamierzam tego tolerować i wiem, że szefowa też nie. Wyrzuci panią w jednej minucie.

– Papa może ją wywalić z pracy – przypomniała mu Regina.

– Ona zje pani papę na pierwsze śniadanie – odparł Andy. Wręczył Reginie nieduży notatnik i długopis. Szczęknął elektronicznie sterowany zamek przy wejściu i znaleźli się w biurze głównego patologa.

– Proszę robić notatki – polecił Andy Reginie. – Niech pani zapisuje wszystko, co mówią lekarze, i trzyma buzię na kłódkę.

Regina nie przywykła, by ktoś wydawał jej polecenia, ale kiedy zauważyła drastyczne zdjęcia z autopsji na biurkach w pokoju przy wejściu,

zaczęła tracić swą zwykłą brawurę. Wyglądało na to, że pracownice dobrze znają Andy'ego. Odnosiły się do niego przyjaźnie i z lekkim odcieniem flirtu. Regina zdumiała się i zachwyciła, kiedy Andy przedstawił ją jako praktykantkę.

– Ma pani szczęście – powiedziała jedna z kobiet i posłała Reginie oko.

– A może chce pan jeszcze jedną praktykantkę? – spytała zalotnie druga.

– Hej, mały! Ja mogłabym cię jeszcze tego i owego nauczyć.

– Przyszliśmy w sprawie tego wędkarza – powiedział Andy. – Czy doktor Sawamatsu zajmuje się tą sprawą?

– Nie. Jeszcze nie przyszedł.

– A szefowa? – Andy był zadowolony, że nie zastał doktora, ale miał nadzieję, że tego po nim nie widać.

Przede wszystkim doktor Sawamatsu nie potrafił dobrze mówić po angielsku i Andy musiał się nieźle wysilać, żeby go zrozumieć, zwłaszcza kiedy patolog zaczynał zarzucać go terminami medycznymi. Poza tym doktor był chłodny, sprawiał wrażenie obojętnego i cynicznego, a Andy nie lubił, gdy ktoś okazywał arogancję wobec ofiar, żywych czy umarłych. Co najgorsze Sawamatsu wielokrotnie przechwalał się Andy'emu swoją sekretną kolekcją pamiątek, na którą składały się sztuczne stawy, implanty piersi i penisów, szklane oko i szczątki z katastrof samolotowych i innych. Andy przypuszczał, że gdyby doktor Scarpetta dowiedziała się o niezdrowym hobby swego asystenta – bo trzymał swoją kolekcję w domu, nie w pracy – dawno już by na to zareagowała.

– Może sam jej powiem – myślał Andy na głos, idąc długim korytarzem do gabinetu doktor Scarpetty.

– Co i komu pan powie? – Regina rozglądała się z ciekawością, zwalniając, żeby zaglądać do pokoiów, gdzie na biurkach stały mikroskopy, a do płaskich lamp poprzyczepiane były klisze z prześwietleniami.

– Proszę nie zadawać pytań i, jak mówią saperzy: „niczego nie dotykać ani nie przesuwac” – ostrzegł ją Andy. – I nic z tego, co pani tu usłyszy

i zobaczy, nie wolno pani zdradzić nikomu, nawet własnej rodzinie.

– Postaram się – odparła. – Ale nigdy dotąd nie musiałam dochować sekretu.

Barbie Leslie zawodowo wysłuchiwała cudzych tajemnic i miała kilka własnych. Zaniepokojona, że Lennie także może coś ukrywać, uznała, że zjedzie z autostrady, wróci do budki Płatne Gotówką i zwierzy się Hooter ze swoich zmartwień małżeńskich.

– Lennie wyjechał z miasta, a jak wrócił, to stwierdził, że potrzebuje dziewczyny! Jak sądzisz, czy to możliwe, żeby miał romans tylko dlatego, że nie chcę z nim spać? – wyzalała się Hooter. – On pracuje jako pośrednik nieruchomości i dlatego często siedzi w domu i nie ma co robić, więc pilnuje bliźniaczek. Na pewno miałyby masę czasu na romanse. Co gorsza, niedługo jedzie do Charlotte na ważne spotkanie i wtedy będę uwiązana w domu. I przez to nie będę się mogła z tobą zobaczyć przez cały tydzień.

Obie, Barbie i Hooter, były z tego niezadowolone. Wydawało im się bowiem, że są przyjaciółkami już od bardzo dawna.

– Ojej, nawet sobie nie zdawałam sprawy, jak będzie mi ciebie brakowało – wyznała Barbie.

– Wielki Boże, a ja powinnam dostawać dodatek od rozłąki, jak nie będziesz przejeżdżać koło mojej budki! Z kim będę rozmawiać? Dlaczego on musi jechać do Charlotte? Znalazł tam ziemię obiecaną, czy co? Wiesz, nigdy nie byłam w Karolinie Północnej. Co tam takiego znowu jest?

– Nie dostajesz nigdy urlopu? – spytała Barbie, podczas gdy za nią narastała kolejka samochodów, których kierowcy zaczęli już przyciskać klaksony. – A może wybrałabyś się ze mną jutro na wyścigi NASCAR? Będę zachwycona, a ty zobaczysz tych wszystkich przystojnych kierowców. Tylko musiałabyś wziąć wolne popołudnie, bo ja lubię przyjeżdżać wcześniej, żeby popatrzeć, jak kierowcy przyjeżdżają i wsiadają do samochodów. Czasami pozwalają zrobić ze sobą zdjęcie. Ach, gdybyś tylko wiedziała, jak to jest tak

stać ramię w ramię z którymś z tych przystojnych facetów w obcisłym, kolorowym, ognioodpornym kombinezonie!

– Pewnie, że nigdy nie byłam na NASCAR i jak dotąd nie widziałam ani jednego afroamerykańskiego kierowcy. Więc nie wiem. – Hooter nie zwracała najmniejszej uwagi na rosnącą kolejkę zniecierpliwionych ludzi. – Może nawet wezmę cały dzień wolnego! Nie miałam urlopu od ślubu mojej siostry. Byłam druhną. – Hooter rozpromieniła się na wspomnienie długiej różowej sukni z przezroczystymi rękawami, ozdobionej paciorkami i kokardkami. – Świetnie się bawiłam, mówię ci, przyjaciółko.

– Aha! Może byście przestały pieprzyć, baby. Jazda, ruszaj się, tęczęwko! – Bubba Loving w furgonetce z chłapaczami znowu znalazł się za Barbie.

– Co to: tęczęwka? – zapytała Barbie, zapisując swój numer telefonu na samoprzylepnej żółtej karteczce. – Czego on chce od moich oczu? I po co ten prymityw tak się wydziera?

– Sam nie jesteś lepszy! – krzyknęła Hooter Bubbiemu.

– Masz, skarbie – powiedziała Barbie. – Zadzwoń do mnie jeszcze dziś. Będę w kaplicy baptystów, a ty do mnie dryndnij i daj mi znać, czy się wybierasz na wyścigi, żebym nie oddała biletów komuś innemu. Ale przyjdź! Ach, jej, jak to przyjemnie mieć przyjaciółkę, z którą można pogadać!

– Może rzeczywiście się wybiorę. Tak. Na pewno, na sto procent. – Hooter zapaliła się do pomysłu. – Możesz na mnie liczyć, chyba że nie znajdę nikogo na zastępstwo. Może byś tu po mnie podjechała, no, powiedzmy o której?

– Punktualnie o drugiej.

– Wpadnę do domu, przebiorę się i będę tu czekała w budce, chyba że się coś stanie. Będziemy miały masę czasu, żeby pogadać o twoim nieudanym życiu seksualnym.

– Będzie cudownie! – Barbie entuzjastycznie pomachała Hooter i odjechała, zapominając zapłacić siedemdziesiąt pięć centów za wjazd i uruchamiając dzwonki alarmowe. – Tęcza działa! To jakieś czary!

– Gadaj sobie z tą swoją przyjaciółką kiedy indziej! Godzinami się czeka, żeby przejechać przez tę bramkę! – krzyknęła Lamonia ze swego dodge’a darta.

Lamonia była w zrozumiale złym nastroju. Najpierw skuto ją kajdankami z powodu kurzej ślepoty, a teraz ugrzęzła w korku, bo dwie reprezentujące różne rasy lesbijki wdały się w pogaduchy, a biały rasista wpadł we wściekłość. Co się dzieje z tym światem? Boże, miej nad nami litość, pomyślała Lamonia. Ta planeta niszczy sama siebie i to już tylko kwestia czasu, kiedy Jezus będzie miał tego dość i wróci, a Lamonia wcale nie była gotowa na wniebowzięcie. O, nie, nie. Co niedziela powtarzała Jezusowi, żeby jeszcze trochę zaczekał, bo ona, Lamonia, ma masę przyjaciół i sąsiadów, których musiałaby osierocić, gdyby się zjawił na chmurze i wszyscy wierzący zostaliby wzięci do nieba.

– Oddaj życie Jezusowi – powiedziała Lamonia do Hooter, wkładając banknot dolarowy do dłoni w rękawicze.

– Mów dalej, przyjaciółko – odparła Hooter, wrzucając go do puszek i wydając dwadzieścia pięć centów reszty.

– Nie jestem twoją przyjaciółką ani niczyją! – Lamonia nie bawiła się w subtelności. – Proś o przebaczenie za grzechy i módl się do Jezusa. Błagaj go, żeby wzięł twoje życie i coś z nim zrobił, słyszysz mnie? Bo On wkrótce nadejdzie, a chyba nie chcesz wtedy siedzieć w tej budce i oddawać się perwersjom z obcymi, tylko po to, żeby nagle się przekonać, że połowa samochodów jest pusta, bo ich kierowcy zostali wniebowzięci?

– Mów dalej – zachęciła Hooter kaznodziejkę. – Opowiadaj, kobiałko.

Lamonia nie potrzebowała dodatkowej zachęty.

– Dwaj mężczyźni pracują w polu i nagle jeden znika. Dwie kobiety siedzą w pralni i wtem jednej nie ma. Pobierasz pieniądze i znienacka okazuje się, że połowa kierowców zniknęła, a ty miej nadzieję, że nie będziesz siedziała w budce, bo jeśli tak, to znaczy, że cię zostawiono!

– Jestem gotowa na wniebowzięcie, kobiałko – zapewniła Lamonię

Hooter, wymieniając się z nią na numery telefonów. – O tak, jestem gotowa i o niczym innym nie marzę. Zawsze na to czekałam! Jezus wróci do nas. Zawsze o tym wiedziałam. – Wzniosła oczy ku sufitowi budki. – Przyjdź, Jezu. Przybywaj. Będę na Ciebie czekała i nawet Ci nie policzę za przejazd, kiedy spłyniesz do mnie na chmurze!

– Nie! – zaprotestowała Lamonía. – Nie mów Mu, żeby przyszedł już teraz! Jest jeszcze wiele do zrobienia, ty głupia! Popatrz na tych wszystkich grzeszników! Całe tysiące! Najpierw się za nich módl, dziecko!

Hooter popatrzyła na długi rząd trąbiących samochodów.

– Tak, masz rację, kobiałko. Większość z tych ludzi nie jest jeszcze gotowa na przyjście Jezusa. Popatrz, jacy są wściekli. Hmm, hmm. – Hooter potrząsnęła ze smutkiem głową. – Więc poprosimy Jezusa, żeby jeszcze troszkę poczekał. Daj nam jeszcze czas, Jezu – powiedziała głośno, a Lamonía wysunęła się z budki i cofając się, uderzyła w następny samochód. – Proszę cię, Boże w niebiosach, daj mi jeszcze to sobotnie popołudnie, dobrze? Takie małe wakacje – modliła się. – Niczego więcej nie pragnę, Jezu.

ROZDZIAŁ 22

Drogi Panie Boże – modlił się doktor Faux, dryfując razem z Fonnym Boyem na barce. – Siedzę tu całą noc i połowę poranka, zmarłem i zgłodniałem. Chyba długo tego nie wytrzymam. Pomóż mi, proszę.

Fonny Boy zrezygnował już z prób włamania się do zamkniętej skrytki i zajął się wydobywaniem smętnych tonów ze swej drumli; wypróbował rozmaite efekty dźwiękowe i systemy oddechów. Niewiele brakowało, a zaczęłby pragnąć, aby ich wreszcie schwytano i zamknięto w magazynie. Żałował, że nie zabrali ze sobą napoi gazowanych i jedzenia. No ale przecież uważał, że szybko znajdą się na stałym lądzie i prowiant nie będzie potrzebny.

– Na miły Bóg, wydaje mi się, że prąd niesie nas prosto na wyspę – powiedział doktorowi Faux.

– Wcale nie widzę lądu. Ani tu, ani tam, Fonny Boy. A gdybyśmy się znajdowali w pobliżu wyspy, to już dawno by nas zauważono i może wrzucono do morza. Wydaje mi się, że zniosło nas do rezerwatu, a jeśli tak, to zginiemy tu marnie.

– E tam – odparł Fonny Boy. – Widać, jak prąd płynie. – Wskazał poruszającą się wodę. – Ale jak nic domyślą się, że uciekliśmy barką i jak się nie ruszymy, znajdą nas i dopiero będziemy mieli!

– Mogą też uznać, że jesteśmy na stałym lądzie, a dobrze wiesz, że tam nas nie będą szukać. Na pewno nie pamiętasz szyfru do tej cholерnej kłódki? Może w schowku jest raketnica albo lusterko do wysyłania sygnałów?

Fonny Boy znał kiedyś szyfr i teraz męczył się okropnie, usiłując go sobie przypomnieć. Wykorzystał już wszystkie daty urodzenia w rodzinie, kod pocztowy Tangiem, kilka numerów telefonów, ale bez rezultatu. Postukał drumlą o burtę barki, żeby pozbyć się nadmiaru śliny i wypróbował krótką melodyjkę, grając w tonacji C i jak zwykle zaczynając od czwartego otworu.

– Myśl, Fonny Boy – próbował go zachęcić doktor Faux. – Ludzie używają różnych sztuczek, żeby zapamiętać rozmaite rzeczy, więc moim zdaniem twój tato wykorzystał jakieś skojarzenie, którego się nie zapomina. Może jakieś liczby są dla niego ważne? Rocznica ślubu?

Fonny Boy niestety nie pamiętał tej daty. Wydobył niski dźwięk z drumli, usiłując grać wariacje bluesowe, jak jego idol Dan Aykroyd.

– Wiem, że niektórzy rybacy korzystają z kompasu – drażył temat dentysta. – Może twój ojciec obiera zazwyczaj jakiś konkretny kurs, kiedy jedzie sprawdzić węcierze?

Słowo „węcierz” opadło z prawie całkiem nieruchomej barki do wody i zaczęło spływać na dno, gdzie duże zgromadzenie *Cailenitectes* (co po grecku oznacza „pięknego pływaka”) *sapidus* (po łacinie: „smakowity”) cieszyło się spokojem i bezpieczeństwem w rezerwacie krabów. Uciekinierzy z wiadra trzymali się razem, a jeden z nich, szczególnie przystojny samiec o wielkich, błękitnych szczypcach, postanowił sprawdzić, skąd biorą się tu ludzkie głosy i słabe dźwięki drumli. Popłynął w górę w mętnej wodzie, zostawiając przyjaciół w chmurze mułu i będąc kilka metrów pod powierzchnią, zauważył dno barki i znowu usłyszał głosy.

– E tam. On nie używa kompasu. A na co by mu on? – mówił młody osobnik płci męskiej, a krab rozpoznał głos chudego wyspiarza, który zawsze opowiadał o pirackich skarbach, kiedy zarzucał węcierze w mroczne wczesne poranki.

– Hmm. A numer waszej skrzynki pocztowej? – odezwał się drugi głos, którego krab nie znał, ale jego akcent kojarzył mu się ze stałym łądem.

Fonny Boy wypróbował go, niestety, kłódka nie okazała zainteresowania.

– To może jakiś szczęśliwy numer?

Jedyne, co kojarzyło się Fonny’emu ze szczęściem, to była trzynastka, ale kłódka nawet nie drgnęła. Chłopiec grał tym razem zwyczajnie i nawet udawało się rozpoznać, że to „Och, Zuzanno”.

– A może jakiś ulubiony napój albo potrawa, która ma w swojej nazwie jakiś numer? – Doktor Faux nie rezygnował tak łatwo. – Na przykład sos Heinza 57 albo Seven-Up.

– Ano, tato lubi Seven-Up – przyznał Fonny Boy z błyskiem nadziei. – Razem z lodami od Spanky’ego i dudli jak smok. Ale kod do kłódki ma cztery cyfry, a siedem to tylko jedna.

– A gdyby się dodało „górze” ?* [* Up (ang.) – góra, w górę.]

Fonny Boy zdecydował, że skoncentruje się na środkowej części drumli i zagrał na niej kilka tonów.

– Czy jest jakaś cyfra, która może oznaczać „górze”, Fonny Boy? No, myśl!

– Na kompasie nie ma góry ani dołu. Tylko północ, południe, wschód i zachód – odparł chłopiec.

– „Up” mogłoby oznaczać północ, nie? – upierał się doktor Faux. – Wiesz, że ludzie czasami mówią, że coś na północy jest na górze mapy? Spróbuj trzysta sześćdziesiąt. To tak jak trzysta sześćdziesiąt stopni, czyli kierunek na północ.

Masz wtedy trzy cyfry. Więc może to miało być siedem i trzysta sześćdziesiąt jak Seven-Up.

Krab szybko skierował swe wrzecionowate ciało na dno, żeby ostrzec wystraszonych przyjaciół.

– Jest ich tam siedmiu! – wykrzyknął. – W dodatku łamią prawo, opuszczając więcierze w strefie ochronnej. Moim zdaniem trzeba im dać mandat.

Uznał, że siedmiu rybaków na barce szukało krabów i pstrąga, chociaż te nie widziały już ryby od dłuższego czasu. Albo może gang Seven-Up, jak

zaczął ich w myślach nazywać krab-samiec, to piraci, którym gubernator przyrzekł bezkarność, jeśli znajdą uciekinierów i odtransportują w wiadrze do rezydencji. Błękitne kraby dobrze znały piratów i ani ich nie szanowały, ani się ich nie bały. Piraci byli zbyt agresywni i pijani, żeby łapać kraby, i tak działo się już od setek lat. Skorupiaków nie fascynowały też stare armaty, monety i klejnoty, które zaścieniały dno zatoki. Szczerze mówiąc, kraby miały skarby w dużym poważaniu.

Ale nie ten jasnowłosy wyspiarz nazwiskiem Fonny Boy, pomyślał krab-samiec, biegnąc w chmurze mułu na półkę skalną w dnie zatoki, gdzie w mroku majaczył zarys zatopionego słupa. Stary, podziurawiony kulami armatnimi wrak, spoczywał w piasku, a przez wieki przesuwwały go prądy, aż wreszcie znalazł się w obecnym miejscu. Krab-samiec pogrzebał obok przerdzewiałej kotwicy i znalazł nieduży kawałek żelaza. Zawzięcie machając odnóżami, popłynął z powrotem do barki, wspiął się na przyczepiony na rufie motorek i wyrzucił w górę swe znalezisko. Wylądowało Fonny'emu Boyowi na kolanach, kiedy właśnie ćwiczył „rybi pysk” wciągając policzki, aby czyściej grać na drumli.

– A niechże mnie! – zawołał ze zdumieniem chłopiec. – Patrz pan!

Obejrzał dokładnie fragment żelaza i stwierdził, że to bardzo stara moneta, prawdopodobnie pochodząca z zatopionego statku.

– Skarb musi być blisko, jak takie rzeczy spadają z nieba. Gdzieś tu na dnie na pewno leży zatopiony statek korsarski! – wykrzyknął podniecony, kiedy już zrozumiał, że po tylu trudach jego marzenia wreszcie się spełniają. – Musimy zaznaczyć miejsce, żebyśmy je potem znaleźli!

Jedyne, co mogli w tym celu zrobić, to rzucić wężycz do wody i po kilku minutach zbiegłe kraby obserwowały, jak drucziana klatka opuszcza się przez morskie głębiny i zwisa wysoko nad dnem, bo lina okazała się za krótka.

Krab-samiec wykrzywił usta w uśmiechu, pewien że wie, co wkrótce nastąpi, bo ludzie z wyspy są tak przewidywalni. Chciwość sprawi, że chłopiec z wyspy popełni błąd i już niedługo banda Seven-Up trafi do

więzienia.

Plan Oposa również rozwijał się pomyślnie. Chłopiec pociął bawełniane koszulki w różnych kolorach i zszył albo posklejał kawałki tkaniny, tworząc wzór, który zaczynał przypominać flagę.

– Widzisz, co robię, mała? – szepnął do suczki.

Wygładził flagę na łóżku, a Wytrzeszcz przestraszyła się wyszczerzonej czaszki, palącej papierosa.

– Mamy flagę NASCAR na wyścigi – szepnął z dumą chłopiec. – Wywiesimy ją na naszym stanowisku, jak będziemy udawać mechaników i postaram się, żeby ktoś o niej wiedział i żeby nas odszukał i uratował. A jeżeli się nie uda, to może Dymkowi tak się spodoba flaga, że będzie dla nas przyjemniejszy, a jak uciekniemy na Tangerine Island to znajdę sposób, żeby się z tobą wykraść i uciekniemy do najbliższego rybackiego domu.

Opos pracowicie machał igłą, przyszywając litery, które tworzyły napis „Wesoły Goodwrench”.

– A potem oddam cię pani komendant Hammer, a policja zapomni, że postrzeliłem Mosesa Custer. Może nawet uda mi się cię odwiedzić od czasu do czasu. Może pani Hammer zatrudni mnie do opieki nad tobą. Co ty na to?

Wytrzeszcz uznała, że to świetny pomysł. Opos dalej tworzył flagę, używając do tego kawałków t-shirtów, igły, nici i kleju. Rezultat okazał się niezupełnie zgodny z zamiarami, bo okazało się, iż sztandar jest jednostronny i należałoby go rozpiąć na ramie, a nie wieszać na maszcie czy pręcie. Poza tym Opos czuł się całkiem zadowolony ze swego dzieła, które nie było ani flagą NASCAR, ani Wesołym Rogerem, tylko połączeniem jednego i drugiego.

Przyczepił skończoną robotę do ściany, usiadł na łóżku i wyobrażał sobie reakcję Dymka. Niepokoiła go sobotnia wyprawa na wyścigi i zastanawiał się, czy nic nie pokrzyżuje jego planów. Miał już dosyć kłopotów. Gdybyż tylko udało mu się wrócić do rodzinnej sutereny i mógłby wałęsać się nocą

po ulicach bez obawy, że go aresztują. Widział w telewizji, że Moses wciąż leży w szpitalu i, dzięki Bogu, jego stan się ustabilizował. Chłopcu serce drżało na wspomnienie tego, jak wymierzył z pistoletu w leżącego na chodniku nieszczęśnika i pociągnął za spust.

Wciąż nie rozumiał, co w niego wstąpiło, poza tym że bał się Dymka. Opos zdawał sobie również sprawę, że gdyby zachowywał się inaczej niż reszta piratów lub okazał odrobinę sumienia, sam skończyłby z kulką w głowie. Och, jak by mama płakała i rozpaczała, gdyby się dowiedziała z telewizji, że go zamordowano, a ciało rzucono gdzieś razem ze zwłokami małego, czarno-białego pieska. Ach, czemu Ben Cartwright, Mały Joe albo Hoss nie mogą mu pomóc. Ale w żadnym odcinku „Bonanzy”, jakie oglądał Opos, w Ponderosie nie pojawił się czarny chłopiec.

– Może on nie lubi czarnych – mówił do siebie Opos, wyobrażając sobie białowłosego Bena Cartwrighta w skórzanej kamizelce. – Czarni byli niewolnikami. Więc skąd sobie uroiłem, że przyjedzie ktoś na białym koniu i mnie uratuje? Dobrze że Cartwrightowie przynajmniej nie wywieszali flagi konfederackiej. – Popatrzył na swojego Wesołego Goodwrencha wiszącego nad telewizorem. – Nigdy nie widziałem w Ponderosie ani flagi konfederackiej, ani niewolników, najwyżej Hop Singa, ale on jest Chińczykiem i może sobie chodzić, gdzie mu się żywnie podoba, pod warunkiem że gotuje i sprząta.

Opos chętnie zrobiłby coś, żeby lepiej wyglądać w oczach Cartwrightów, którzy bez wątpienia szalenie się rozczarowali jego ostatnimi przestępczymi uczynkami.

– Bardzo mi przykro z powodu Mosesa – zwrócił się Opos do Hossa.

– No, mały, faktycznie źle postąpiłeś – odparł Hoss.

– Przysięgam ci, że sam o tym wiem, Hoss. Ale bałem się, bo Dymek by mnie zabił albo nieźle stłukł i może utopiłby Wytrzeszcz, gdybym nie pociągnął za spust. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i uciec, zanim było za późno. A teraz muszę siedzieć w tej przyczepie.

– Jeszcze wszystko naprawisz, mały – mówił Hoss spod swego białego kapelusza. – Co się stało, to się nie odstanie, ale masz jeszcze czas, żeby to odrobić.

– Ale jak? – zapytał Opos, tym razem Bena.

Ben siedział na koniu, gotów do wyjazdu do Carson City. Popatrzył z góry na chłopca i uśmiechnął się lekko.

– Może zacznij od tego, że odwiedzisz Mosesa i przeprosisz go? – zaproponował, szarpiąc wędzidło. – A potem chyba będziesz musiał oddać się w ręce szeryfa Coffeya – dodał i odjechał galopem.

Siedząc w ciemnościach, Opos powoli otworzył komórkę. Serce waliło mu jak młotem. Nadstawił uszu, czy przypadkiem ktoś się nie porusza w przyczepie. Nic nie usłyszał, więc zadzwonił do informacji telefonicznej i za pięćdziesiąt centów połączono go ze szpitalem, dokąd, jak usłyszał w telewizji, zawieziono Mosesa.

– Poproszę z Mosesem Custerem – powiedział cicho.

– Kto mówi? On odbiera telefony tylko od osoby z listy. Chłopiec rozpaczliwie zastanawiał się, jak zwieść telefonistkę.

– Mam na tej liście numer trzeci, proszę pani.

Usłyszał, jak kobieta szeleści papierem i modlił się w duchu, żeby numer Dale Earnhardta okazał się dla niego szczęśliwy.

– Pan Brutus Custer z żoną, to z kim mówię?

Opos miał raczej wysoki głos, który z łatwością mógł być uznany za kobiecy. Trochę go to irytowało, ale wiedział, że nie zdoła się podszyć pod Brutusa.

– Mówi pani Custer – powiedział. – Strasznie się martwię o teścia. Nie mogę jeść ani spać. Proszę dać mu znać, że jestem na linii, ale jeśli nie chce rozmawiać, to zadzwonię kiedy indziej.

Opos dał telefonistce szansę na wycofanie się i trochę zaczął się bać. Wtedy Ben Cartwright odwrócił się w siodle i spojrzał na niego surowo.

– Chwileczkę – odrzekła telefonistka.

– Halo – w słuchawce rozległ się męski głos – Jessie? Jak tam, mała? Dlaczego jeszcze mnie nie odwiedziłaś? Jutro wracam do domu.

– Panie Custer, to nie jest Jessie, ale ja muszę z panem porozmawiać. Niech pan nie odkłada słuchawki. – Serce biło mu jak oszalałe.

– Kto to? – zapytał nieufnie Moses.

– Nie mogę nic powiedzieć poza tym, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się panu stało. To było złe, bardzo złe, złe, ja naprawdę nie chciałem. Zmuszono mnie.

– Kto mówi? – zdenerwował się Moses. – Czego zawracasz mi głowę? Jesteś jednym z piratów, co nie?

– Tak. Ale wcale tego nie chcę – wyznał chłopiec.

– Jak cholera nie chcesz. Wiedziałem od razu, że to nie Jessie, bo masz zupełnie inny głos.

Opos nabrał tchu.

– Nie mogę długo rozmawiać. Chciałem tylko pana przeprosić za to, co zrobiłem i postaram się to panu wynagrodzić, jak będę mógł, obiecuję, panie Custer. I niech policja dobrze pana pilnuje, bo te piraty drogowe chcą pana znaleźć i wykończyć. Ich przywódca nazywa się Dymek, a jego dziewczyna Unique. Wczoraj wieczorem zastrzelili tę biedną kobietę w 7-Eleven. Wtedy Dymek powiedział, że mnie zabije, jeśli do pana nie strzelę, jak zabraliśmy pana ciężarówkę przy stoisku z dyniami.

– Sukinsyny! Niech no się tu tylko pokażą, to zobaczą, gdzie raki zimują!

– Postaram się ich namówić, żeby tego nie robili.

– Ty? Co to ma, do cholery, znaczyć?

Moses zaczął krzyczeć, a wystraszony Opos rozłączył się szybko.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – Drzwi otworzyły się i stanął w nich Dymek.
– Z kim ty gadasz?

Opos zdążył wsunąć komórkę pod narzutę.

– Rozmawiałem z Wytrzeszcz o naszej fladze – powiedział szybko. – Jak ci się podoba?

Dymek wszedł i popijając poranne piwo, długo przyglądał się dużej fladze przypiętej do ściany.

– Co to za gówno? – zapytał groźnie.

– Nie masz flagi, a ja pomyślałem, że wszyscy piraci je mają, tak jak kierowcy NASCAR mają swoje barwy. Więc ją dla ciebie zrobiłem, jak obiecywałem. Pomyślałem, że wywiesimy ją na naszym stanowisku mechaników, jak pojedziemy jutro na wyścigi. A kiedy uciekniemy na wyspę, będzie ostrzegała, żeby nikt się nie zbliżał i nie zawracał ci głowy.

– Jak chcesz gadać do siebie, to gadaj cicho. Obudziłeś mnie – warknął szef. – Teraz przez cały dzień będę zmęczony.

Uspokoił się trochę i obejrzał flagę z różnych stron. Wpadł na jakiś pomysł i zerwał ją ze ściany.

– Może po prostu zastrzelę tego cholernego psa i zawinę go w nią. Zostawimy tej Hammer mały prezent na progu – oznajmił złośliwie.

Wytrzeszcz udawała, że śpi, a Opos starał się sprawiać wrażenie, że los psa wcale go nie obchodzi.

– Wtedy nie uda nam się dostać naraz jej i tego policjanta Brazila – przypomniał szefowi, bo ten ostatnio stale o czymś zapominał. – Pies przyda się, żeby ich zwabić na wyścigi i wtedy skończymy z obojgiem. A Kot zabierze nas helikopterem i będziemy sobie dobrze żyli na wyspie.

– I jak ty chcesz to wszystko, kurwa, załatwić? – zapytał Dymek, rzucając flagę na Wytrzeszcz, która nawet nie drgnęła.

– To łatwe – odparł Opos. – Wyślę wiadomość do Kapitana Bonny'ego, żeby to zrobił. Sie wie, że on ma kontakty, nie? Więc może przekazać Hammer, że ty jesteś kierowcą z NASCAR, który ma ładną dziewczynę imieniem Unique, a cała reszta nas to twoi mechanicy i przypadkiem znaleźliśmy Wytrzeszcz na ulicy. Więc zabraliśmy ją, ale nie oddawaliśmy, bo nikt, tylko komendantka i policjant Brazil mogą ją zidentyfikować. Więc przyjadą na wyścig i zaczną nas szukać, a kiedy Hammer zacznie wrzeszczeć z radości, że odzyskała psa, wyciągniemy broń, zastrzelimy wszystkich,

popędzimy do helikoptera i odlecimy.

– Załatw to – polecił Dymek. Wykończył piwo i cisnął puszkę w kąt.

ROZDZIAŁ 23

Główny patolog, doktor Kay Scarpetta, siedziała w swoim gabinecie, kiedy Andy zastukał do jej otwartych drzwi. – Doktor Scarpetta? Dzień dobry – powiedział grzecznie i trochę nerwowo. – Jeśli nie pojawiłem się nie w porę, to chciałbym z panią porozmawiać o tym niezidentyfikowanym mężczyźnie, którego wczoraj wieczorem podpalono na Canal Street.

– Proszę wejść. – Doktor Scarpetta podniosła wzrok znad pliku aktów zgonu, które przeglądała. – My się znamy?

– Nie, proszę pani. Dotychczas współpracowałem z doktorem Sawamatsu.

Andy przedstawił się, a potem wyjaśnił, że Regina jest praktykantką w policji stanowej, chociaż nie podał jej imienia i nazwiska.

– A jak się pani nazywa? – zwróciła się do niej doktor Scarpetta.

Regina gapiała się na nią, straciwszy zdolność mowy. Nigdy dotąd nie spotkała kobiety, zajmującej tak wysokie stanowisko i była kompletnie zbita z tropu. Doktor Scarpetta była bardzo przystojną blondynką w wieku czterdziestu paru lat. Nosila elegancki kostium w drobne prążki. Dlaczego ktoś, kto ma wszystko, mógłby chcieć zarabiać na życie, zajmując się martwymi pacjentami? Co miała powiedzieć Regina, żeby się nie zdradzić i nie zrobić afery?

– Reggie – wybąkała.

– Funkcjonariuszka Reggie. – Doktor Scarpetta skinęła jej głową ze swego obrotowego fotela, ustawionego za wielkim biurkiem. – Ręczy pan za nią? – spytała z odcieniem ostrzeżenia w głosie. – Zazwyczaj nie

przyjmujemy tu praktykantów.

– Biorę za nią pełną odpowiedzialność – odparł Brazil, spoglądając surowo na młodą kobietę.

– Proszę się nie bać – odezwała się żarliwie Regina. – Nikomu nie powiem, co tu widziałam albo słyszałam i niczego nie będę dotykać.

– Bardzo dobrze – powiedziała doktor Scarpetta i skierowała uwagę na Andy’ego. – Ten mężczyzna został zidentyfikowany na podstawie odcisków palców. Nazywał się Caesar Fender, miał czterdzieści jeden lat i mieszkał w Richmondzie. Był czarny. Niestety, dziś rano mamy już komplet. Widziała pani kiedyś autopsję? – zapytała Reginę.

– Nie, ale nie dlatego, że nie miałam ochoty. – Regina bardzo chciała zaimponować tej legendarnej pani patolog.

– Rozumiem.

– Kiedy w szkole średniej uczyłam się biologii, jedyna bez protestu zrobiłam sekcję żaby – pochwaliła się Regina. – Widok flaków nigdy nie robił na mnie wrażenia. I chyba mogłabym patrzeć na to, jak ktoś umiera, na przykład ktoś skazany na śmierć.

– Cóż, mnie wcale się nie podobała sekcja żaby w szkole – odparła doktor Scarpetta, ku sporemu zaskoczeniu Reginy. – Było mi szkoda tej żaby.

– Mnie też nie – dodał Andy. – Moja była żywa i to niesprawiedliwe, że musiałem ją zabić. Do tej pory mam wyrzuty sumienia.

– I na pewno nie mam ochoty oglądać, jak ktoś umiera, nawet skazaniec. Wygląda na to, że nie była pani jeszcze na miejscu zbrodni ani wypadku – powiedziała Scarpetta i pomyślała, że nazwisko Andy’ego jest jej skądś znane. Zaczęła przeglądać papiery na biurku i znalazła sprawozdanie.

I rzeczywiście, oficer policji, który dostarczył zatrute czekoladki do laboratorium, nazywał się Andy Brazil.

– Muszę z panem porozmawiać – zwróciła się do niego. – Bez świadków. W ten właśnie sposób uprzejmie poleciła Reginie opuścić gabinet.

– Niech pani wyjdzie na chwilę – zwrócił się do niej Andy. – Zaraz

skończymy.

– Jestem na praktyce, a ciągle muszę wychodzić – zaprotestowała Regina, w jej głosie pojawił się niemiły ton.

– Nie zawsze – odparł Andy, odprowadzając ją do drzwi i popychając lekko. – Zostań tutaj – rzucił, jakby była Frisky.

Zamknął drzwi, podszedł do biurka doktor Scarpetty, przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Właśnie dostałam wyniki z laboratorium dotyczące czekoladek – powiedziała pani patolog. – Sprawa jest na tyle poważna, że doktor Pond chciał, abym zajęła się nią natychmiast, bo dosyć dobrze znam się na zatruciach środkami przeczyszczającymi. Kilka lat temu miałam sprawę pewnej kobiety, której dzieci dodały exlaxu do czekolady na gorąco... podobno jako żart. Wywiązała się niewydolność licznych organów i obrzęk płuc, kobieta wpadła w śpiączkę i zmarła.

Podawała Andy'emu wyniki i zaczęła je objaśniać.

– Zrobiono chromatografię cieczową i okazało się, że w badanych czekoladkach znajduje się fenoloftaleina w różnych stężeniach. Zwykły exlax, zażywany w odpowiednich dawkach, zawiera mniej więcej dziewięćdziesiąt miligramów fenoloftaleiny. Ale tylko jedna z czekoladek z dostarczonego przez pana pudełka zawierała ponad dwieście miligramów, co w przypadku spożycia spowodowałoby niebezpieczną utratę płynów i elektrolitu, zwłaszcza dla starszej osoby o nie najlepszym stanie zdrowia.

– Cóż, to wyjaśnia sprawę gubernatora – stwierdził Andy z rosnącym niepokojem. – A co z odciskami palców? Czy znaleziono coś na papierze, w który zapakowano pudełko? I czy liścik rzeczywiście napisał gubernator?

Doktor Scarpetta ponownie przejrzała papiery.

– Lampa i farby fluorescencyjne pozwoliły wykryć jeden utajony odcisk, który sprawdzono w bazie danych – oświadczyła. – Znaleziono go, tutaj jest numer, który może pan sam sprawdzić w komputerze policji stanowej. – Zapisała numer. – Zbadano też list i okazało się, że charakter pisma nie

odpowiada próbce autorstwa gubernatora.

– A więc list został sfalszowany. – Andy nie odczuł zaskoczenia.

– Dowód nie jest ostateczny, bo musimy przedtem uzyskać oficjalną próbkę. Na razie użyliśmy listu, który gubernator podobno napisał do doktora Sawamatsu.

– Dobrze. I nie powinniśmy zakładać, że jest prawdziwy – zgodził się Andy. – Albo że gubernator osobiście go podpisał.

– Zgodnie z prawem nie możemy uczynić takiego założenia.

– To mi coś przypomina – odrzekł. – Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, pani doktor. Ale niepokoi mnie, że doktor Sawamatsu kolekcjonuje bardzo nieodpowiednie pamiątki, a przynajmniej często się tym przechwala. Była pani kiedyś u niego w domu?

– Nie – odparła, przybierając twardy wyraz twarzy.

Rzeczą, której absolutnie nie tolerowała doktor Scarpetta, był brak szacunku dla zmarłych. Nie zezwalała żadnemu ze swoich podwładnych nawet myśleć o zabieraniu czegokolwiek, pieniędzy, przedmiotów osobistych, broni, narkotyków czy też alkoholu ani ofiarom, ani z miejsca zbrodni.

– Może powinna pani kiedyś wpaść do niego do domu – podsunął Andy. – Bez uprzedzenia.

– Niech się pan nie boi – odparła. – Zrobię to.

– Zajmę się jak najprędzej sprawą zatrutych czekoladek – obiecał Andy. – I jak sądzę, grafolog będzie potrzebował też próbki pisma podejrzanego.

– Nie wiedziałam, że ma pan podejrzanego – powiedziała. – Ale tak. Oczywiście. Jeśli uda się panu zdobyć próbkę pisma tej osoby, to będzie bardzo dobrze. Proponuję też, żeby wziął pan próbkę od zamierzonej ofiary.

– Od pani komendant Hammer? – zdumiał się Andy. – Po co?

– Żeby wykluczyć syndrom Miinchausena – odparła niedbale Scarpetta. – Zatrucie exlaxem zdarza się najczęściej, kiedy ktoś zażywa go stale, żeby zwrócić na siebie uwagę... na przykład, chcąc zyskać współczucie rodziców

albo współmałżonka.

– Sugeruje pani, że komendant Hammer chce, żebyśmy myśleli, że gubernator albo ktoś podszywający się pod niego posłał jej zatrute czekoladki, bo chce, abyśmy okazali jej zainteresowanie? Nie uwierzę w to nawet przez minutę! Nie zna jej pani – oświadczył Andy uprzejmie, lecz stanowczo.

– Rzeczywiście, dotąd się nie spotkałyśmy – zgodziła się doktor Scarpetta. – Ale wiem, że jest nowa i znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, a jeśli ma takie same doświadczenia jak ja, to gubernator nigdy nie odbiera jej telefonów, ani nie zaprasza na przyjęcia w rezydencji. Więc może zaaranżowała taką sytuację, żeby się wydawało, że chce ją otruć. Gdyby znalazł się w roli podejrzanego o usiłowanie morderstwa, na pewno by się nią zainteresował.

– Czy mogę jeszcze zapytać o Trish Prash? – Andy zmienił temat. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale dotyczy mnie, bo jak pani pewnie wie, morderca z sobie tylko znanych przyczyn zostawił dowody pod moim domem.

– Ach, więc to pan? – Scarpetta lekko zmarszczyła brwi, wyraźnie zaniepokojona tą sprawą. – Ohydne, podłe morderstwo – dodała. – Postąpił pan bardzo rozsądnie, wzywając detektywa Slippera i nie dotykając niczego. Wydobyliśmy ukryte odciski palców, ale do tej pory nie znaleźliśmy nic w bazie danych i mamy też DNA, jednak na razie do nikogo nie dało się go dopasować. Znaleźliśmy też kilka bardzo długich, czarnych włosów, przyklejonych do krwi na ubraniu ofiary.

– Włosów należących do kobiety?

– Nie wiem – odrzekła doktor Scarpetta. – To całkiem prawdopodobne.

– I nie pasują do nikogo? Ciekawe – powiedział Brazil. – Może dlatego, że ten osobnik jest młody i figuruje w kartotece nieletnich, która, oczywiście, nie jest dostępna. Co więcej, do niedawna nie wolno było umieszczać w bazach danych odcisków palców ani DNA młodocianych. Więc może

szukamy kogoś, kto już wielokrotnie popełnił przestępstwo, jest młody, ma długie czarne włosy i może być kobietą, zabijającą dla przyjemności i prawdopodobnie współpracującą z bandą piratów drogowych Dymka, którzy, jak się zdaje, napadli na Moseesa Custerę i zamordowali sprzedawczynię w 7-Eleven wczorajszej nocy.

– Trudno powiedzieć. – Doktor Scarpetta wstała zza biurka i otworzyła drzwi, a Regina, z notesem i długopisem w dłoni, wpadła do gabinetu.

– Nie chcę zabierać pani za dużo czasu, ale jesteśmy bardzo zaniepokojeni sprawą wędkarza. – Andy przeszedł do następnego punktu programu. – Zwłaszcza że określono ją jako zbrodnię z nienawiści. Wydawało mi się, że powinienem przyjść tu osobiście, przekazać nasze informacje i sprawdzić, co pani ustali podczas autopsji. Pewien podejrzany osobnik, który był świadkiem wypadku, twierdzi, że wędkarz umarł od samozapłonu, który mógł nastąpić w wyniku zetknięcia gorącego ołowiu i prochu z kuli z włóknem sztucznym, z którego wykonana była koszula ofiary. W ten sposób tłumaczył powstanie płomienia. A dodam jeszcze, że ów osobnik jest pierwszym podejrzanym w sprawie, którą przed chwilą omawialiśmy.

– Dlaczego pominął pan to, że mnie też zatruto? – wybuchnęła Regina. Najwyraźniej podsłuchiwała pod drzwiami i usłyszała przynajmniej część wcześniejszej rozmowy.

– Nie zamierzam teraz o tym rozmawiać – ostrzegł ją Andy, dobrze wiedząc, że jeśli nie uda się jej powstrzymać, zaraz wyjdzie na jaw, że nie jest praktykantką, tylko rozpuszczoną najmłodszą córką gubernatora.

– To było okropne! – opowiadała Regina doktor Skarpetcie. – Zjadłam te czekoladki i nagle dostałam okropnych bólów. No, może nie tak całkiem nagle. Czułam się całkiem dobrze do chwili, kiedy schowałam się za bukszpanem w ogrodzie. Wtedy chwyciły mnie kurcze i dostałam gazów. Jak się ocknęłam, ochroniarz wiózł mnie do szpitala, gdzie musiałam znieść prawdziwe okropności, na przykład kazali mi nasiusiać do plastikowego kubeczka, a potem patrzeć, jak pielęgniarka wtyka do niego jakiś patyk.

Potrzebowali i tego drugiego, ale nic we mnie już nie zostało po tym strasliwym ataku. A moje siusiu zrobiło się różowe, co mnie śmiertelnie przeraziło! Pomyślałam, że to krew, ale pielęgniarka wyjaśniła, iż to test chemiczny, w wyniku którego nabrało takiej barwy, ale oznaczał on coś najgorszego. Ktoś dodał exlaxu do czekoladek i próbował mnie zabić z premedytacją! Albo może usiłował zabić kogoś innego, a ja jestem przypadkową ofiarą – ciągnęła ze smakiem. – Pielęgniarka powiedziała, że mocz ma zazwyczaj pH od czterech do sześciu, a exlax daje mu różową barwę, kiedy pH przekracza siedem.

Regina nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy, ale wyobrażała sobie, że „p” oznacza mocz, a „H” to coś, co w jej wypadku uległo poważnemu zaburzeniu z powodu środka przeczyszczającego. Była też pewna, że jej czynnik H wciąż jest nie w porządku, bo wstała rano blada i osłabiona.

– Mam szczęście, że nie jestem jednym z pani dzisiejszych przypadków – stwierdziła na koniec dramatycznie.

– To prawda – przyznała doktor Scarpetta. – Wszyscy mamy szczęście, że nie jesteśmy którymś z dzisiejszych czy też innych przypadków. Panie Brazil, zdążyliśmy już prześwietlić ciało tego wędkarza i nie znaleźliśmy kuli.

– To co innego mogło wywołać ogień?

– Musimy zrobić testy na przyspieszacz i inne substancje chemiczne – odpowiedziała pani doktor, zsuwając żakiet i wieszając go za drzwiami. – W tej sprawie badanie zewnętrzne mówi nam stosunkowo dużo. – Włożyła fartuch laboratoryjny. – Na przykład ślady zwęglenia są znacznie wyraźniejsze od tylnej strony, co potwierdza hipotezę, że coś, co go podpaliło, przebiło ciało mniej więcej pośrodku klatki piersiowej. A dokładniej trochę na lewo, w okolicach serca.

Andy i Regina wyszli za doktor Scarpettą na korytarz.

– To znaczy, że nie zapalił się bez powodu... skoro coś przebiło mu klatkę piersiową – powiedział Andy, a Regina z przejęciem robiła notatki.

– Nie znaleziono żadnej broni? – zapytała doktor Scarpettę.

– Nie, proszę pani.

– Jak się pisze „przyśpieszcz”? – Regina ledwo nadązała, a przecież ich rozmówczyni jeszcze nie zaczęła używać trudnych wyrazów.

– Ten podejrzany osobnik, który był świadkiem zgonu, nie powiedział, jakiego koloru były płomienie ani jak intensywny był ogień? – zapytała doktor Scarpetta. – Na przykład czy miały intensywnie białą barwę, albo niebieską, czy może czerwoną?

– Czy „pośrodku” pisze się razem czy osobno? – W głosie Reginy pobrzmiwały niezadowolenie i irytacja.

– Nie. Nie sądzę też, żeby można było polegać na jego zeznaniach – odparł Andy.

– Razem – odpowiedziała doktor Scarpetta Reginie.

– Co to jest ta tylna strona?

– Potem się tym zajmiemy – stwierdził Andy tonem, który sugerował, że Regina nie powinna się wtrącać ani z komentarzami, ani z pytaniami o ortografię.

– Najważniejszy jest białawo-szary osad wewnątrz klatki piersiowej, ponieważ prawdopodobnie pochodzi od środka zapalnego albo innego materiału, który palił się wewnątrz ciała. – Doktor Scarpetta zatrzymała się przed damską szatnią. – Pan musi iść do męskiej – poleciła Andy’emu. Spotkamy się w przebieralni i zaczynamy.

– Zapalającym? – Regina zaczęła wpadać w panikę, a na niepewność i strach reagowała zawsze w sposób niezbyt fortunny. – Jaki środek? Co to, do diabła, jest środek zapalny? – Zrobiła się nieprzyjemna. – Nie daję rady pisać tak szybko i co to w ogóle ma znaczyć! Skąd mam znać te wszystkie pojęcia? To wszystko jest dla mnie nowe. W rezydencji nie używa się takich wyrazów.

Doktor Scarpetta przyjrzała się jej badawczo.

– Chyba nie powinna pani dzisiaj asystować przy autopsji – stwierdziła.

Andy wyjął walkie-talkie i wywołał Macovicha.

– Czy możesz zabrać paczkę z powrotem? – zapytał szyfrem. – I chciałbym, żebyś sprawdził pewien numer w bazie danych.

– Zrozumiałem – dobiegł głos Macovicha, najzupełniej pozbawiony entuzjazmu.

– Z poczekalni przy kostnicy.

– Zrozumiałem. Będę za kwadrans.

– No i wszystko pani zepsuła – powiedział z wyrzutem Reginie kilka minut później, kiedy czekali w lodowatej poczekalni, siedząc na plastikowych krzesłkach obok automatu z coca-colą.

Dwoje pracowników zakładu pogrzebowego niosło na noszach zapakowane w worek ciało, posuwając się powoli i z trudem po rampie. Oboje, mężczyzna i kobieta, ubrani w czarne stroje, nie bardzo radzili sobie z podpórkami noszy.

– Nic takiego nie zrobiłam! – zaprotestowała Regina. – Był pan dla mnie niemiły!

– Prosiłem, żeby pani siedziała cicho i trzymała buzię na kłódkę, ale bez efektu – odparł Andy.

Pracownicy zakładu pogrzebowego znaleźli się w poważnych kłopotach. Nie dali rady otworzyć nóżek, więc nie mogli postawić swego ciężaru, a zmarły najwyraźniej był potężnej budowy. Przez to nie mieli wolnej ręki, żeby otworzyć tylne drzwi wozu pogrzebowego.

– Niech pan popatrzy – powiedziała Regina, wskazując na tamtych dwoje. – Może by im pan lepiej pomógł, zamiast się mnie czepiać.

– Pod warunkiem że pani tu zostanie i będzie się zachowywać przyzwoicie – odparł Andy, który nie miał do niej za grosz zaufania.

Podbiegł do wozu.

– Zaraz pani pomogę – zwrócił się do kobiety.

– To bardzo miło z pana strony – oddała mu swój koniec noszy. – Myślałam, że je naprawiłeś, Sammy – zwróciła się z irytacją do kolegi,

szarpiąc zablokowane podpórki.

– Wystarczy je nasmarować, Maybeline.

– To dlaczego się zacięły? Ani drgną, a wczoraj nie chodziło jedno z kółek. Jestem pewna, że też ich nie tknąłeś.

Sammy milczał, a Andy, trzymając jedną ręką nosze, próbował otworzyć drzwi wozu.

– Ile razy się zdarza, że mówisz, że coś trzeba naprawić, a potem się okazuje, że nic nie zrobiłeś – złościła się Maybeline. – Krzyż mi pęka od tego noszenia, a ty byś tylko siedział i gapił się w telewizor.

– Te drzwi są chyba zamknięte na klucz – powiedział Andy, a nosze zachyboły się niebezpiecznie. – Myślę, że trzeba zostawić w spokoju te nogi i otworzyć wóz. Wsuniemy nosze do środka. Nie ma potrzeby ich toczyć.

– I tak nie można ich toczyć, bo jedno z kółek się zablokowało, a Sammy go nie raczył nasmarować. Gdzieś podział kluczyki? – Maybeline znowu szarpnęła podpórki noszy.

– W kieszeni. Nie dam rady ich wyjąć. Brakuje mi wolnej ręki. – Sammy zaczynał tracić cierpliwość. – Przestań walczyć z tymi noszami, bo w końcu upuścimy ciało.

Regina podeszła do nich, wyczuwając kłopoty. W tej samej chwili rozległ się brzęczyk i drzwi do poczekalni zaczęły się otwierać.

Regina nie mogła wiedzieć, że Sammy jest bardzo wrażliwy na łaskotki. Kiedy zaczęła grzebać mu w przedniej kieszeni spodni, krzyknął i podskoczył nerwowo. Wjeżdżający do poczekalni Macovich ujrzał białego wariata w czarnym garniturze, śmiejącego się piskliwie i błagającego brzydką córkę Crimmów, żeby przestała. W następnej sekundzie mężczyzna chwycił się za krocze, upuszczając nosze, które runęły z trzaskiem, a wielki, czarny worek z nieboszczykiem plasnął na podłogę. Andy krzyknął coś do Reginy, a kobieta w czarnym ubraniu zawyła z bólu, kiedy nosze przycięły jej rękę, a potem uderzyły ją w twarz, rozkrwawiając nos.

Macovich uznał, że rozsądniej będzie pozostać w samochodzie, skąd obserwował całą scenę, która szybko stawała się coraz gwałtowniejsza. Popatrzmy, jak sobie ten biały picuś poradzi, pomyślał niezyczliwie. Tak się to kończy, jak ktoś się podlizuje i zabiera do niańczenia tej wrednej gubernatorskiej córki. Cha, cha. Dawno nie miał okazji pooglądać takiej niezłej awantury. Zobaczymy, co powie na to doktor Scarpetta. Hmm. Da ci kopa w tyłek i złoży skargę do komendanta Hammer.

– Idiotko! – krzyknął Andy do Reginy.

– Sam pan idiota! – wrzasnęła na cały głos.

– Co pani narobiła! – ryknął Sammy. – Niech się pani modli, żeby rodzina zmarłej nie zobaczyła, jak teraz wygląda ciało! Ciekawe, co powiedzą, jak zobaczą siniaki i połamane kości!

– Zmarli nie miewają siniaków – odparł Andy. – I wątpię, żeby coś się złamało.

Na widok zakrwawionej Maybeline, Sammy wpadł we wściekłość. Pchnął Reginę na wóz pogrzebowy i wyrwał jej kluczyki z ręki. Regina odepchnęła go i kopnęła w kostkę. Potem podbiła mu oko, a kiedy ją chwycił za ramię, ugryzła go w dłoń. Andy rozdzielił ich i właśnie obezwładniał Sammy'ego, gdy drzwi budynku otworzyły się z trzaskiem i w poczekalni pojawiła się doktor Scarpetta w fartuchu chirurgicznym i gumowych rękawiczkach, pragnąc się przekonać, jakie jest źródło tych dziwnych hałasów.

– Dość tego – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Spokój wszyscy!

ROZDZIAŁ 24

Było właśnie południe, kiedy Fonny Boy wpadł wreszcie na to, ile razy należy przekręcić zamek w lewo i prawo, żeby kłódka otworzyła się przy wykorzystaniu kombinacji 7360, co jego zdaniem miało odzwierciedlać nawigacyjny kod na 7-Up.

Jak przypuszczał, w skrytce znajdowała się półlitrowa butelka wódki Bowmana, paczka papierosów, i, Bogu dzięki, plastikowa raketnica o zasięgu trzydziestu kilometrów. Były do niej trzy race, każda o mocy piętnastu tysięcy świec i chłopak wystrzelił je jedna za drugą prosto w niebo. Przez minutę rozbitkowie wstrzymywali oddech, dryfując powoli pośród ciemności, a krab cierpliwie podążał za nimi.

– Nie powinieneś być odpalać wszystkich rac naraz – stwierdził doktor Faux, zniechęcony i głodny. – Dlaczego to zrobiłeś, Fonny Boy? Lepiej było wystrzelić tylko jedną i odczekać trochę, potem następną, a wreszcie ostatnią. Teraz znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia: jesteśmy na samym środku zatoki bez jedzenia i wody. Schowaj tę wódkę. Odwodnimy się tylko od niej i stracimy rozum.

Ani on, ani Fonny Boy nie mogli wiedzieć, że w tym samym czasie trzech pilotów straży przybrzeżnej i mechanik wyruszyli jaskrawo-pomarańczowym helikopterem Jayhawk na rutynowy przelot. Znajdowali się na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, kiedy trzy nieduże, jaskrawe rakiety przeleciały obok ich przedniej szyby, poważnie ich przerażając.

– Jezu Chryste! Co to było? – krzyknął do mikrofonu pilot, który był

kapitanem.

– Ktoś do nas strzela! – zabrzmiał w interkomie głos siedzącego z tyłu mechanika.

– Nie, moim zdaniem ktoś wzywa pomocy. To rakiety – uspokoił kolegów drugi pilot. – Widzieliście, jakie były jaskrawe, jakby miały w sobie fosfor.

– Nie jesteśmy w strefie zamkniętej?

– Jasne, że nie.

– Więc to muszą być race.

Rakiety zgasły szybko, ale zostawiły po sobie białe pasma na niebie i łatwo było wykryć miejsce, skąd pochodziły, pod warunkiem że się zareagowało odpowiednio szybko. Wielki helikopter skręcił na wschód i po kilku minutach załoga zobaczyła barkę z dwoma osobnikami na pokładzie, którzy zaczęli rozpaczliwie machać rękoma. Z helikoptera dostrzeżono też boję, przymocowaną najprawdopodobniej do więcierza na kraby.

– Cholera. Tangierczycy – powiedział drugi pilot.

– Aha. I wiecie co? Są w strefie ochronnej dla krabów – odparł mechanik.
– Popatrzcie na tę żółtą boję. Więcierz.

W tej samej chwili, kiedy na górze zobaczono boję, Fonny Boy i dentysta usłyszeli charakterystyczny łoskot łopat helikoptera. Chłopiec został wychowany we wrogości do straży przybrzeżnej, która jego zdaniem zajmowała się wyłącznie prześladowaniem Bogu ducha winnych rybaków, ale teraz czuł wyłącznie niezwykle dla siebie optymizm, spowodowany obecnością kawałka zardzewiałego metalu w kieszeni. Czyż matka nie mówiła mu zawsze, że każde wydarzenie ma swoją przyczynę? Gdyby nie pomógł dentyście w ucieczce, gdyby nie skończyła się im benzyna i nie zostali uratowani przez straż, nigdy nie odkryłby zatopionego statku, oznakowanego bezpiecznie więcierzem. Tymczasem, chociaż doktor Faux i Fonny Boy o tym nie wiedzieli, ten ostatni przesuwiał się z prądem, bo lina była za krótka.

– Dzięki Bogu – powiedział dentysta, obserwujący zbliżający się szybko helikopter. – Znaleźli nas! To dobrze, bo wygląda na to, że wcale się nie poruszamy... ten więcierz jest cały czas obok barki, a gdybyśmy płynęli, musielibyśmy się już od niego oddalić.

– Ich bezczelność nie zna granic: łowią kraby w samym środku strefy ochronnej – powiedział mechanik, kręcąc głową.

Pilot zawiesił helikopter nad barką, tworząc dookoła niej wir wodny. Dwaj siedzący na niej rozbitkowie pochylili głowy i zakryli sobie oczy, a ubrania trzepotały im na wietrze jak strachom na wróble. Z maszyny powoli opuszczał się kosz ratunkowy.

Cruz Morales również potrzebował ratunku. Był w rozpacz. Może powinien oddać się w ręce władz, przynajmniej zyskałby dach nad głową i gorący posiłek. Zmęczył się już okropnie chodzeniem po zachodniej części Richmondu, rozsądnie porzuciwszy samochód, ponieważ, jak się wydawało, poszukiwały go cała policja i wojsko stanu Wirginia. Co najgorsze, Cruz obawiał się, że gliniarze obciążą go odpowiedzialnością za wczorajsze morderstwo i rabunek w sklepie 7-Eleven.

Chłopiec nigdy dotąd nie popełnił przestępstwa z użyciem przemocy, ale kiedy krążył po kampusie Uniwersytetu Richmondzkiego, zaczęły mu przychodzić do głowy myśli i pokusy, które go przerażały. Wystarczyłoby znaleźć kogoś słabszego, na przykład jakąś delikatną kobietę, i zastraszyć ją na tyle, żeby mu oddała pieniądze i kluczyki do samochodu. Wtedy mógłby uciec z tej okolicy, pozbyć się pojazdu (jak najprędzej), a potem ukraść następny i wrócić do Nowego Jorku. Albo jeszcze lepiej, rozmyślał, zbliżając się do niedużego, przysadzistego, ceglanego domku, stojącego w lasku nad jeziorem w samym centrum kampusu, mógłby zostawić samochód na stacji kolejowej i pojechać do domu pociągiem.

Na froncie ceglanego budynku widniał napis: „Uniwersytecka kaplica baptystów”. Cruz umiał czytać po angielsku na poziomie średnio

zaawansowanym niższym i popełnił błąd, zakładając, że słowo „baptysta” wskazuje, iż wewnątrz znajdzie się ktoś, kto włada hiszpańskim. Przeczesał sobie włosy palcami i przetarł zęby rękawem płaszcza, próbując się trochę ogarnąć, a serce zaczęło mu mocno bić. Otworzył drzwi wejściowe w tej samej chwili, kiedy Barbie Leslie odprowadzała studentkę do holu, gdzie znajdowały się zarzucony kolorowymi czasopismami stolik do kawy oraz liczne rośliny z jedwabiu, które Barbie kupiła za grosze na wyprzedaży.

– Mogę to sobie tylko wyobrazić – mówiła ze współczuciem do pryszczatej studentki. – Zawsze miałam suchą cerę, więc wypryski nie stanowiły dla mnie problemu, ale doskonale rozumiem, jak się czujesz. Wybierz się do mojego doktora, jestem pewna, że ci pomoże.

– Oczywiście, pani Leslie. Jak mówiłam, cały czas o nich myślę i strasznie mnie to przygnębia.

Żadna z kobiet nie zwróciła uwagi na Cruza, gdy ten szybko usiadł na sofie i zatopił wzrok w kolorowym magazynie, z którego nie rozumiał ani słowa.

– Mama zawsze mi powtarzała, że nawet zwykłe mydło doskonale pomaga. Smaruje się kłopotliwe miejsca odrobiną mydła Ivory, a ono działa wysuszająco – ciągnęła Barbie, klepiąc dziewczynę po ramieniu. – Nigdy tego nie wypróbowałam, bo w moim przypadku nie było to potrzebne. Albo może powinnaś zastosować peeling.

– Peeling?

– Mój doktor robi peelingi chemiczne. Zapytaj go o nie.

– Oczywiście. Bardzo pani dziękuję, pani Leslie. Nawet sama rozmowa z panią mi pomogła.

– Ja też jestem wielką zwolenniczką rozmów z przyjaciółkami – zgodziła się Barbie. – I nie martw się, że chłopcy się z tobą nie umawiają. Któregoś dnia spotkasz swojego księcia z bajki i będziesz z nim żyła długo i szczęśliwie... i z piękną cerą!

Zrobiło jej się trochę głupio, kiedy wypowiadała te frazesy. Ta

dziewczyna nigdy nie będzie miała ładnej cery. Już w tej chwili jej twarz była posiekana jaskrawymi czerwonymi i fioletowymi bliznami, a usunięcie wieloletnich zaniedbań wymagałoby chyba zabiegu laserowego. A co do długiego i szczęśliwego życia, to Barbie nie знаła nikogo, kto by uważał, że coś takiego jest jego udziałem. Jej życie z Lenniem było puste i beznadziejne, i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie chwilę, żeby napisać kolejny list miłosny do kierowcy z NASCAR.

– Do widzenia – powiedziała przyszczata studentka i wyszła.

Dopiero wtedy Barbie zobaczyła raczej brudnego meksykańskiego chłopca, siedzącego na sofie. Lekko zmarszczyła brwi i poczuła ukłucie niepokoju. Chłopiec nie wyglądał na studenta, ale ostatnio młodzi ludzie bywają strasznie zaniedbani. Poza tym był chyba trochę za młody na studia, jednak im bardziej Barbie się starzała, tym młodszy wydawali się jej inni.

– W czym mogę pomóc? – zapytała urzędowym tonem, którego nauczyła się w tej pracy, a którego nigdy nie używała w domu, bo wiedziała, jak bardzo działa jej mężowi na nerwy.

– Si – odpowiedział nieśmiało chłopiec, ostrożnie podnosząc wzrok znad magazynu.

– Niestety, mówię tylko po angielsku – przyznała się Barbie. – Ale ty mówisz po angielsku, prawda?

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Jeśli on nie mówi po angielsku, to jak rozumie wykłady? A jeśli nie jest studentem, to co robi w uczelnianej kaplicy baptystów? Pożałowała, że nie ma dzisiaj wielebnego Justice'a. Nie zawiadomił, gdzie jest ani kiedy przyjdzie, a jego sekretarka przeziębila się i miała zwolnienie, więc Barbie została sama w budynku.

– Si” odparł Cruz. – Mówi trochę po angielski, ale mało.

– Czy byłeś na dziś zapisany?

– Nie. Niezapisany. Potrzebować pomocy.

Barbie usiadła na drugim końcu sofy, zachowując bezpieczną odległość; zdawała też sobie sprawę, że lepiej nie zapraszać tego brudnego

Meksykanina do gabinetu i zamykać drzwi.

– Opowiedz mi trochę o sobie. – Barbie użyła zwrotu, od którego zawsze zaczynała rozmowy i pomyślała, że wielka szkoda, iż wielbny Justice nie może się tutaj zjawić w tej właśnie chwili.

Przecież musiał odwiedzić w szpitalu pobitego kierowcę ciężarówki, a poza tym dostał wiele zaproszeń na rozmowy w miejscowych stacjach radiowych i telewizyjnych, napominała się w duchu Barbie. Nie powinna egoistycznie życzyć sobie, żeby zostawił naprawdę potrzebujących tylko dlatego, że ona się troszkę boi.

– Nie mam pieniędzy – wyznał jej Cruz, bo jego zbrodnicze zamiary zaczęły słabnąć. – Ja nie stąd i nie mam pieniędzy, żeby wracać do domu. Przyjechać tu do roboty, pani wie? A tu takie straszne rzeczy. Bojam się.

– Niczego się nie musisz obawiać w kaplicy uniwersyteckiej – powiedziała Barbie z przekonaniem i lekkim odcieniem dumy. – Jesteśmy tu, żeby pomagać ludziom i nie mógłbyś lepiej trafić.

– Si, to dobrze. Ja się obawiać i bardzo głodny. – Chłopiec przełknął łzy.

Powinien też się ogolić i ostrzyc, pomyślała Barbie, a także oczyścić paznokcie. Na jego prawej dłoni zauważyła jakiś tatuaż. Ten dzieciak bez wątpienia ma ciężkie życie. Biedak.

– Jak nas znalazłeś? – zapytała na głos.

– Zobaczyc napis i myslec, ze wy rodzina Gustava i Sabiny albo moze Carli.

Barbie nic z tego nie zrozumiala.

– Wiecec weszlem. – Wzruszyl ramionami. – Pani wie, jak ja wracać do domu?

– To zalezy od tego, jak tu sie w ogole dostales – odparla. – A gdzie jest ten twój dom?

Cruz nie był szczególnie inteligentny, ale zdawal sobie sprawe, ze samochod, który zostawil, mial nowojorskie tablice rejestracyjne, a gliny szukaja Latynosa z Nowego Jorku. Wiecec moze lepiej w tej chwili nie

wspominać tego miasta.

– Założę się, że jesteś z Florydy – ciągnęła Barbie. – Tam mieszka wielu Latynosów. Na drugą rocznicę ślubu mąż zabrał mnie do Everglades. Wiesz, zawsze chciał sobie pojeździć poduszkowcami, a potem spędziliśmy dwa dni w Miami Beach, w jednym z hoteli, których jeszcze nie zamknięto, bo ja po prostu uwielbiam Jackiego Gleasona. Oglądasz „Miodowe lata”?

Chłopak zmarszczył brwi i podrapał się po głowie.

– No więc tak sobie pomyślałam, że możesz pojechać na Florydę autobusem.

– Może pojechać do Nowego Jorku i znaleźć robota – powiedział nieśmiało Cruz, mając nadzieję, że Barbie nie uzna, iż jest latyoskim seryjnym mordercą z Nowego Jorku, który popełnia zbrodnie z nienawiści.

– To bardzo duże miasto – stwierdziła Barbie. – Trudno tam znaleźć pracę. Powiem ci, co zrobimy. Dam ci trochę pieniędzy, żebyś kupił sobie bilet na autobus i jakieś jedzenie.

Coś szeptało jej, że lepiej nie wspominać o pieniądzach, ani o tym, że w kaplicy uniwersyteckiej znajduje się pewna suma, używana jako fundusz uznaniowy. Ale Barbie zawsze wzruszała się losem biednych ludzi, a chociaż ten chłopiec miał doskonałą cerę, to niewątpliwie wyglądał na nieszczęśliwego i wystraszonego. Więc może Bóg chciał, żeby podarowała temu biedakowi mały cud. Barbie przypomniała sobie tęczę i poczuła przypływ szczęścia.

– Och, *gracias, gracias*, dziękuję – odrzekł z ulgą Cruz. – Niech Bóg błogosławi. Pani bardzo dobra. Pani ratować mi życie i ja nigdy nie zapomnieć.

Wzmocniona jego wdzięcznością, Barbie poczuła się trochę lepiej. Wstała.

– Najpierw muszę to uzgodnić z wielebnym Justice... o ile go znajdę – dodała. – Może o nim słyszałeś? Jest bardzo znany. Mam nadzieję, że uda mi się go złapać, chociaż wygląda na to, że zniknął z powierzchni ziemi.

Zaczekaj tu.

– Dobrze – obiecał Cruz.

Barbie poszła do swojego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Zadzwoiła do sekretarki, która przez telefon nie sprawiała wrażenia szczególnie przeziębionej.

– Może pani wie, gdzie jest wielebny Justice? – zapytała, a wątpliwości obudziły się w niej na nowo, bez względu na tęczę.

Skąd pewność, że ten Latynos to porządny chłopak? A jeśli nie?

– Sprawdziła pani, czy jest w domu? – zapytała niezyczliwie sekretarka, jakby zwracano jej niepotrzebnie głowę.

– Nikt nie podnosi słuchawki – odparła Barbie z niepokojem, a tymczasem ktoś zaczął walić do drzwi.

Pożałowała, że nie może zatelefonować do Hooter i uzyskać jej opinii na temat udzielenia pomocy finansowej Latynosowi, ale o ile wiedziała, w punktach pobierania opłat przy autostradach nie było telefonów.

– Jest tam kto? – odezwał się donośnie damski głos, a stukanie przybrało na sile.

Barbie pospieszyła zobaczyć, kto ją niepokoi.

– Przepraszam – krzyknęła nerwowo przez zamknięte drzwi. – Kto tam i czy pani jest na dzisiaj zapisana?

– A bez zapisania? Muszę z kimś porozmawiać, bo inaczej utopię się w tym jeziorze. Nie jestem baptystką, ale to chyba wszystko jedno, jeśli pozbawię się życia, a ludzie, zwłaszcza ci, którzy nie lubią baptystów, dowiedzą się, że nie chciała pani ze mną porozmawiać – wyjęczała osoba za drzwiami.

Los skrzyżował ścieżki Reginy Crimm, Barbie Leslie i Cruza Moralesa w najzupełniej niespodziewany sposób i nie mógł sobie wybrać lepszej pory.

Kiedy policjant Macovich odwoził byłą praktykantkę Reggie do rezydencji, otrzymał przez radio wiadomość, że znaleziono starego grand prixa z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi na parkingu przy

Wirginijskim Country Clubie. Uznano, że pojazd został porzucony całkiem niedawno, bo stary, poobijany wóz z inną rejestracją niż wirginijska zwróciłby natychmiast uwagę klubowiczów, co w istocie nastąpiło. Kobieta, która wybierała się na trening, zauważyła go, kiedy parkowała swoje volvo, i nie zawahała się wykręcić 911.

– Przepraszam – powiedział Macovich Reginie, włączając syrenę i światła. – Musimy coś sprawdzić. Może to ten Latynos, którego wszyscy szukają.

– Bardzo dobrze. Obiecuję, że nic nikomu nie powiem – odparła.

Migające światło na dachu i wyjąca syrena poprawiły jej humor, a świadomość, że ruszając na takie wezwanie, z członkinią Pierwszej Rodziny w samochodzie, policjant łamie regulamin, wprawiła ją w podniecenie.

– Jak dla mnie, to ciągle jeszcze jest pani praktykantką – oświadczył Macovich, pędząc na zachód Broad Street. – Więc jak się pani wydaje, że może pani na mnie donieść, tak jak wtedy, kiedy z panią wygrałem w bilard w ucziwej walce, to powiem, że jechała pani służbowo.

– To papa się na pana wściekł – zaprotestowała Regina.

– Bo ktoś, kto nie umie przegrywać, mnie obsmarował! – Macovich przejechał skrzyżowanie na żółtym świetle.

Kierowcy zjeżdżali na bok, pewni, że zaraz dostaną mandat. Wszyscy zwolnili do piętnastu kilometrów na godzinę, kuląc się w przestrachu i modląc w duchu, żeby się nie okazało, że przejechali białą linię na jezdni, a ich prędkość została namierzona przez helikopter i teraz ściga ich ten policjant.

– Gubernator nie widział, że panią pokonałem – ciągnął z irytacją Macovich, przeciskając się pośród zamarłych w bezruchu samochodów. – Więc to pani musiała donieść i teraz mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś mnie zapomni.

– Już zapomniał – oznajmiła Regina. – Mówi, że wszyscy wyglądacie tak

samo, ale wcale nie chce was tym obrazić. Papa nikogo dobrze nie widzi i czasami bierze Constance za Faith, albo odwrotnie, zwłaszcza jeśli nie mają makijażu i są w szlafrokach.

– Zjedźcie mi z drogi! – krzyknął Macovich do kierowców, których auta usiłował wyminąć.

Po kilku minutach skręcał z Tree Chopt Road w długi podjazd, prowadzący do okazałego centrum sportowego z eleganckim budynkiem klubowym, kortami tenisowymi i basenem oraz obszernym polem golfowym. WCC, jak w skrócie nazywano Wirginijski Country Club, znajdował się w zamożnej okolicy, gdzie wiele domów dorównywało wielkością rezydencji gubernatora. Macovich spociał się z niepokoju, przejeżdżając przez śpiącego policjanta. Tutaj też ludzie uważali, że wszyscy czarni są do siebie podobni, chociaż wcale nie mieli problemów ze wzrokiem.

– Nie cierpię tego miejsca – mruknął.

– A to czemu? Papa jest członkiem klubu od czasu, kiedy po raz pierwszy został gubernatorem. Ja tu praktycznie dorastałam. – Regina szukała wzrokiem grand prixa, mając nadzieję, że zobaczy go pierwsza.

– Taa. Może tu pani bywać jako członek rodziny gubernatora, ale jak zechce pani tutaj wejść, kiedy pani tatuś przestanie nim być, to się pani przekona – odparł Macovich, spostrzegając poszukiwany samochód przy krytych kortach tenisowych. – Jeszcze do pani nie dotarło, że tacy jak pani i ja nie są dobrze widziani w podobnych miejscach? W dodatku gubernatorzy zazwyczaj nie akceptują członkostwa w takich klubach, nawet kiedy je dostają za darmo, bo to niezgodne z ich sumieniem.

Dla Reginy było to coś nowego.

– A dlaczego miałabym nie zostać przyjęta? Jestem biała i pochodzę ze starej, wirginijskiej rodziny.

– Ale należy pani do mniejszości.

Macovich przekazał przez radio wiadomość, że znalazł grand prixa i zażądał wsparcia, zapalił papierosa. Wysiadł i obejrzał samochód,

zauważył, że zostawiono kluczyk w stacyjce, a kiedy go przekręcił, stwierdził, iż bak jest pusty. Ani w samochodzie, ani w bagażniku nie było żadnych przedmiotów osobistych. Znów połączył się przez radio.

– Wygląda na to, że obiekt porzucił pojazd – poinformował policjanta, który znajdował się o kilka minut jazdy od nich. – Sprawdzę w okolicy, a ty zajmij się odholowaniem wozu na parking miejski.

– Tak jest.

– O co panu chodzi z tą mniejszością? – Regina wróciła do kłótni z policjantem. – Chce mnie pan obrazić?.

– Proszę, proszę. – Otoczony chmurą dymu Macovich, wściekł się w końcu. – Jak się mówi, że ja należę do mniejszości, to nie jest obelga, ale nie wtedy, kiedy się mówi o jaśnie panience. Niech pani posłucha, panno Większość. Powszechnie wiadomo, że ile razy pani tatuś nie jest gubernatorem i nie chodzi za panią ochrona, przesiaduje pani w Babe's, grając w bilard.

– Nie za każdym razem. Tylko przez ostatnie dwa. Przedtem byłam za młoda. I co z tego?

– A kiedy ostatnio widziano tam jakiegoś mężczyznę, co? Wszyscy wiemy, dlaczego pani tam chodzi. Może opuszcza pani lokal z jakąś miłą hokeistką o ogolonej głowie i w kowbojskich butach, a może odjeżdża pani na harleyu z inną kicią, którą tam pani spotkała. A może podrywa pani lekarzkę albo prawniczkę, która na co dzień ukrywa swoje skłonności, a potem idziecie do jakiegoś przytulnego miejsca, gdzie można spotkać inne Większości. Phi! Na jakim świecie pani żyje? Myśli pani, że nikt o tym nie wie?

Regina była zdruzgotana. Zawsze uważała, że kiedy ojciec przestaje być gubernatorem, ona może robić, co jej się żywnie podoba. Odwiedzając bar dla kobiet w centrum handlowym Carytown, nigdy nie pomyślała, że ludzie ją obserwują i mieli ją językami. Wspomnienie hokeistki było szczególnie bolesne, bo związane z kolejną nieszczęśliwą miłością. Regina zakochała się

też po uszy w D. D., perkusistce z miejskiej orkiestry symfonicznej, która odczekała do urodzin Reginy, żeby jej oznajmić, iż ma romans z dziewczyną grającą na tubie i nigdy więcej nie chce się widzieć z Reginą, ani o niej słyszeć.

– Nienawidzę mojego życia – powiedziała teraz Macovichowi, kiedy ten skręcał na teren znajdującego się w pobliżu Uniwersytetu Richmondzkiego, żeby skontaktować się z tamtejszym posterunkiem policji i sprawdzić, czy nie zauważyli nikogo podejrzanego w okolicy. – Mam tego dosyć. – Nigdy dotąd nie widział Reginy w takim stanie. – Pan jest podły. Wszyscy są podli. Ile człowiek może znosić okrucieństwa i upokorzeń?

Macovich zatrzymał się na niewielkim parkingu koło jeziora, żeby zawrócić.

– Jestem taka nieszczęśliwa, że zaraz eksploduję! Któregoś dnia chyba tak się stanie i zostanie po mnie tylko plama spalenizny na podłodze!

Zagroziła Regina, spostrzegając białą furgonetkę z napisem „Uniwersytecka kaplica baptystów” z przodu. – Niech pan stanie! – zażądała. – Proszę się zatrzymać albo przestanę oddychać i umrę, a wtedy będzie się pan musiał gęsto tłumaczyć. Nie będą umieli powiedzieć, co mi się stało, i obwinia pana.

Macovich zahamował gwałtownie i zatrzymał się przy furgonetce, a Regina wyobrażała sobie swe niekochane ciało w kostnicy, zapakowane w czarny worek. Doktor Scarpetta poświęci jej przypadkowi nieskończenie długie godziny, a w końcu będzie musiała przyznać, że nie wie, jaka jest przyczyna zgonu.

– Być może umarła z powodu złamanego serca – powie słynna patolog rodzicom Reginy.

Albo jeszcze lepiej, Regina znajdzie sposób, żeby sama się spalić tak jak ten wędkarz i wtedy Andy spędzi resztę życia, prowadząc śledztwo w sprawie jej tajemniczej, tragicznej, przedwczesnej śmierci. Niewyspany, sfrustrowany, nękany wyrzutami sumienia, będzie usiłował wykryć, co tak

naprawdę się stało. Będzie myślał o Reginie rano, wieczór i w południe i żałował, że nie był dla niej miłszy i że ją wyrzucił z tej samej kostnicy, w której ją odwiedzi, kiedy już będzie za późno.

Regina minęła vana z tęczą na tylnym zderzaku, kierując się do kaplicy. Wydawało się jej, że to poradnia dla baptystów będących homoseksualistami. Jakie to niesprawiedliwe, żeby urodzić się baptystą i zarazem homoseksualistą. Dziwne tylko, że na Uniwersytecie Richmondzkim jest ich aż tylu, że należało założyć dla nich poradnię. Wbiegła po schodkach wiodących do drzwi i wpadła do holu, gdzie na sofie siedział ktoś, będący, jak sądziła, baptystą, homoseksualistą i Meksykaninem. Odwróciła spuchniętą, zalaną łzami twarz, by uniknąć jego zaciekawionego spojrzenia, znowu wytarła nos i jej potężne ciało przeszły kolejna fala rozpaczy. Andy będzie jej żałował, na pewno. Będzie zdruzgotany, pędząc do kostnicy i będzie błagał, żeby móc pożegnać swą niedawną partnerkę, praktykantkę Reggie.

– Proszę mnie z nią zostawić na chwilę samego – poprosi doktor Scarpette. – To wszystko moja wina. Bałem się jej okazać, jak bardzo jest mi potrzebna i ile dla mnie znaczy, i tak się to skończyło! Ciężkie życie i moja niezyczliwość okazały się dla niej zbyt nieznośne i oto żywcem spłonęła!

Może ze strony Reginy był to jakiś przejaw telepatii, ale w chwili, kiedy sobie wyobrażała swój samozapłon, Andy śpieszył na komendę, żeby umieścić w Internecie felieton Tropiciele Prawdy, omawiający ten właśnie temat.

PRAWDA O LUDZKIM SAMOZAPŁONIE

Tropiciele Prawdy

Chociaż nie ma żadnych dowodów, żeby ludzie eksplodowali bez użycia jakiegoś bodźca mechanicznego albo środka chemicznego, faktem jest, że żywe istoty ludzkie mogą się spalić pomimo braku zewnętrznego źródła

ognia. Specjalnie dokonuję tego rozróżnienia, bo wielu z was, czytelnicy, niesłusznie sądzi, że zapłon jest równoznaczny z podpaleniem i zamieszkami, a wcale tak nie jest. Owszem, to prawda, że istnieje takie pojęcie jak punkt zapalny, ale kiedy w tym artykule mówię o zapłonie, mam na myśli to, że ktoś albo coś się spali.

Przez wieki pisano o ludzkim samozapłonie, jednak nie zawsze w sposób przekonujący. Tacy powieściopisarze jak MeMlle albo Dickens wykorzystywali owo zjawisko, żeby pokazać, że zbrodniarza zawsze spotyka sprawiedliwa kara. Jeśli ktoś jest zły i niesprawiedliwy dla innych, to powinien liczyć się z ewentualnością, iż pewnego pięknego dnia, najspokojniej zajmując się we własnym domu albo pałacu swymi nikczemnymi sprawkami, nagle stanie w płomieniach.

Czytelnika może zdziwić fakt, że istnieje naukowe wyjaśnienie zjawiska samozapłonu. Doświadczenia na ludzkich zwłokach i ich częściach przeprowadzane na Trupiej Farmie w Knoxville, w Tennessee, wykazały, że w pewnych warunkach raz podpalone ciało ludzkie może płonąć prawie do całkowitego spopielenia. Na ogół potrzeba od jednej do trzech godzin, żeby z człowieka zostały tylko fragmenty kości i popiół, ale jedynie wówczas, gdy użyje się wyjątkowo gorącego ognia albo pieca krematoryjnego.

Muszę więc przyznać, że kiedy antropolog sądowy doktor Bill Bass powiedział mi, że jego magistrantka pisze pracę na temat samozapłonu, pomyślałem, że robi sobie ze mnie żarty.

– Ludzie nie płoną sami z siebie – zaprotestowałem. Jedliśmy właśnie mięso z rusztu w Calhouns w Knoxville. – Nigdy w to nie uwierzę.

– Nie dosłownie – przyznał, popijając mrożoną herbatę ze słoika po dżemie. Zachodzące słońce igrało w falach. Tennessee River. – Ale mogą się palić przez stosunkowo długi czas.

Ta dziwna konwersacja nad cielęcymi żeberkami odbyła się zeszłej wiosny, kiedy wpadłem na Trupią Farmę, żeby się przekonać, czy naukowcy przeprowadzali tam jakieś eksperymenty z mumifikacją. Wróciłem wtedy

właśnie z Argentyny i nadal interesowały mnie mumie. Miałem nadzieję, że doktor Bass będzie skłonny spróbować zabalsamować w stylu egipskim któreś z ciał podarowanych Farmie. Nie uznał za stosowne podejmować się takiego eksperymentu i wyjaśnił, że znalezienie apteki sprzedającej potrzebne środki chemiczne mogłoby okazać się dosyć trudne, a koszty bez wątpienia spowodowałyby drastyczne przekroczenie budżetu.

Doktor Bass powiedział mi jednakże – wyczułem, że nie chciał, abym odchodził z niczym, bo jest życzliwym i skromnym człowiekiem – iż jego ośrodek prowadzi dosyć niezwykle badania nad ludzkim samozapłonem i zapytał, czy mnie to interesuje. Odparłem, że oczywiście, i przez kilka tygodni wielokrotnie odwiedzałem Trupią Farmę. Nie jest to przyjemne miejsce, a jeśli któryś z czytelników nie wie, jak wygląda, oto krótki opis.

Ośrodek Badań nad Rozkładem Materii Organicznej Uniwersytetu w Tennessee albo Trupia Farma, jak się go zazwyczaj nazywa, to kilka hektarów lasu otoczonych wysokim, drewnianym płotem, zwieńczonym drutem kolczastym. Od dwudziestu paru lat antropologowie i eksperci z różnych dziedzin zajmują się tu badaniami nad rozkładem zwłok. Powody tak szczególnych zainteresowań są raczej oczywiste. Nie wiedząc, jak zmienia się ludzkie ciało w rozmaitych okolicznościach, podlegające działaniu różnych warunków zewnętrznych przez dłuższy czas, nie mamy danych, pozwalających na ustalenie czasu zgonu.

Trupia Farma to jedyny znany mi ośrodek, umożliwiający dochodzeniowcom i badaczom prowadzenie ważnych eksperymentów, zakazanych w kostnicach, domach pogrzebowych czy szkołach medycznych. Kiedy ktoś oddaje ciało do Trupiej Farmy, udziela jednocześnie zezwolenia na prowadzenie badań, polegających na przykład na podpaleniu odciętej nogi, aby sprawdzić, czy możliwe jest prawie całkowite spopielenie bez użycia jakiegokolwiek paliwa.

Podsumowując błyskotliwą pracę doktor Angi Christensen, powiem tylko, że tkanę podpalamo przy użyciu bawełnianego knota, a ogień płonął przez

czterdzieści pięć minut, podsycany topiącym się tłuszczem, wchłanianym przez ów knot (tzw. efekt knota). Dalsze eksperymenty wykazały, że kości cienkie albo osłabione osteoporozą palą się łatwiej i dokładniej niż gęste, zdrowe kości. Po wielu wnikliwych badaniach i obliczeniach doktor Christensen doszła do wniosku, że w niektórych wypadkach ciało ludzkie może rzeczywiście spłonąć w niezbyt wysokiej temperaturze, jeżeli jest okryte bawełnianym ubraniem, które działa jak knot.

Tęgie starsze kobiety o cienkich kościach, ubrane w domowe, bawełniane sukienki są najbardziej prawdopodobnymi ofiarami tego rzadkiego, ale przerażającego zjawiska i śmiem twierdzić, że tak właśnie zdarzyło się w wypadku Mary, której nazwisko zachowam dla siebie dla uszanowania jej prywatności.

Mary, siedemdziesięcioczeroletnia biała kobieta, zgodnie z danymi z prawa jazdy oraz zeznaniami sąsiadów, przy wzroście zaledwie stu pięćdziesięciu ośmiu centymetrów ważyła prawie sto kilogramów. Jeszcze na dwa lata przed swą tajemniczą ognistą śmiercią pracowała w Miami jako opiekunka do dzieci, żeby dorobić sobie do niewielkiej emerytury i skromnej sumy, jaką zostawił jej mąż, Wally, po swym nieoczekiwanym zgonie. Mary nigdy nie pracowała u jednej rodziny dłużej niż pół roku, bo za każdym razem w końcu budziła nieufność rodziców, którzy zwalniali tę dziwną kobietę, chociaż nie mogli udowodnić, czym tak naprawdę zawiniła.

Mary żywiła nigdy niezaspokojone pragnienie bycia potrzebną, a w jej opinii nikt bardziej nie wymaga pomocy niż chore albo wystraszone dziecko. Uważała, żeby nie brać pracy, gdzie dzieci były na tyle duże, żeby móc cokolwiek powiedzieć, i dlatego rodzice nigdy nie dowiadywali się prawdy o jej postępowaniu, ale ich niepokój niezmiennie budził fakt, że ilekroć wracali do domu, przekonywali się, że mały Johnny czy też Lizzie cierpią na bóle żołądka, rozwolnienie, mają nietypowe siniaki albo oparzenia lub też są w stanie hysterii.

Kilkoro byłych pracodawców nazywało ją za plecami Krwawą Mary

i twierdziło, że dodawała dzieciom do jedzenia środki na przeczyszczenie albo inne lekarstwa lub też ostre przyprawy. Pewne małżeństwo było przekonane, że kobieta celowo poparzyła ich dwulatka, chociaż Mary utrzymywała, że dziecko samo wyciągnęło papierosa z popielniczki i deptało go w ten sposób wyjaśniła osiem oparzeń na jego stopkach. O Mary zaczęły krążyć opowieści pełne grozy, w końcu uznała więc, że najlepiej będzie zrezygnować z pracy, ale dopiero wtedy zaczęła mieć prawdziwe problemy.

Przesiadując samotnie w swoim niewielkim, białym domku, kobieta spędzała całe dni, pijąc tanie wino, paląc papierosy i jedząc przed telewizorem. Osteoporoza sprawiła, że zaczęła się garbić, a reumatyzm dokuczał jej bardziej niż przedtem. Nikt jej nie odwiedzał ani nie potrzebował. Zaczęła nienawidzić swojego życia i każdego, z kim miała do czynienia, i nawet nie przyszło jej do głowy, że wkroczyła na drogę, na końcu której stanie się klinicznym przypadkiem ludzkiego samozapłonu.

Los sprawił, że w dzień Bożego Narodzenia 1987 roku Mary była w szczególnie złym nastroju. Ubrała się w bawełnianą domową sukienkę z długimi rękawami, bo było chłodnawo. Zrobiła sobie mocny koktajl i otworzyła pudełko czekoladek Whitmana, prezent od syna, który mieszkał w pobliżu, ale nigdy nie odwiedzał matki i rzadko dzwonił. Rozsiadła się przed telewizorem na pokrytej sztucznym tworzywem sofie i spędziła poranek, pijąc i paląc. Na tejże sofie dwa dni później jej spalone zwłoki znalazła mieszkająca obok Kubanka, która zaniepokoiła się, kiedy sąsiadka nie zabrała sprzed domu gazet.

Dla twojej wiadomości, czytelniku, sprawą zajęła się doktor Kay Scarpetta, obecnie naczelną patolog stanu Wirginia. Zaczynała wtedy pracować w zakładzie medycyny sądowej w Dale County i skierowano ją do tego zdumiewającego wypadku. Eksperci od pożarnictwa i policjanci nigdy czegoś podobnego nie widzieli, co nie jest dziwne, bo od początków szesnastego wieku zanotowano zaledwie około dwustu przypadków ludzkiego samozapłonu. Korpus Mary był prawie całkiem spalony razem

z kośćmi, ale w domu nie zauważono żadnych śladów pożaru. Chociaż wtedy nie wiedziano wiele na temat ludzkiego samozapłonu, w chwili obecnej możemy łatwo odtworzyć bieg wydarzeń.

Pijana Mary straciła przytomność i wypadł jej z ust papieros, od którego zajęła się bawełniana sukienka. Kiedy zaczęło płonąć ciało, bawełna nasyciła się tłuszczem i posłużyła jako knot. Mary prawdopodobnie paliła się przez wiele godzin w niskiej temperaturze, zanim ogień zgasł samoistnie, gdy dawno już była martwa. To szczęśliwy zbieg okoliczności, że zajmowałem się owym rzadkim przypadkiem, bo dzięki temu mogłem stwierdzić dwie rzeczy na temat tajemniczej śmierci Caesara Fendera, którego spalone ciało znaleziono niedawno przy Canal Street.

Ludzki samozapłon nie jest zjawiskiem paranormalnym, a przypadek Caesara w żadnym stopniu nie spełnia niezbędnych kryteriów.

Po pierwsze, szarawobiały osad w klatce piersiowej mężczyzny wyraźnie sugeruje obecność zewnętrznego źródła ognia. Poza tym Caesar nie był stary ani tęgi i raczej nie cierpiał na osteoporozę. Co najważniejsze, nie nosił bawełnianego ubrania, więc nie mógł wystąpić efekt knota. Nie znaleziono też żadnych dowodów na to, aby w chwili swojej śmierci mężczyzna palił papierosa, chociaż świadek, który jest obecnie pierwszym podejrzanym, twierdził, że zmarły miał w kieszeni koszuli zapalniczkę. Jednak ani jej, ani nawet jej fragmentów nie znaleziono na miejscu zbrodni czy w kostnicy.

Te fakty prowadzą mnie do wniosku, że użyto raketnicy i jest to oczywiste morderstwo. Mam nieodparte przeczucie, że doktor Scarpetta sądzi tak samo. Tak więc sprawa Caesara okazuje się zupełnie inna niż przypadek Mary, która pragnęła zwrócić na siebie uwagę kosztem innych. Jej zachowanie określa się jako zespół Miinchausena per procura, co mówiąc prostymi słowami znaczy, że ktoś krzywdzi osobę, która nie potrafi się bronić ani wyjaśnić, co się naprawdę stało. Ofiarami bywają najczęściej małe dzieci albo ciężko chorzy. Sprawca pragnie zyskać współczucie, skupić na sobie uwagę lub czuć się potrzebnym, śpiesząc ze swoją ofiarą do szpitala.

– Och, sama nie wiem, co się stało mojemu maleństwu! – szlocha wyrodna matka do lekarza. – Ale on znowu ma okropną biegunkę i strasznie się odwodnił. Nie może wstać z łóżka. Jestem zrozpaczona, nie mam pojęcia, co robić. To mój najdroższy skarb, bo przecież straciłam już dwoje! Jeśli umrze i on, chyba się sama zabiję!

Opiekunka, która właśnie zrobiła krzywdę znajdującemu się pod jej nadzorem dziecku, może również chwycić swoją ofiarę w ramiona, płakać i koić jej ból.

– Moje biedactwo! – woła okrutna, podstępna dręczycielka. – Ach, moje biedactwo! Czym ty się tak okropnie poparzyłeś? Nic się nie bój, zaraz się tobą zajmę. Nie płacz, proszę, i nie gniewaj się na mnie. Nic przecież ci nie zrobiłam, mój skarbie.

Dziecko krzyczy, obolałe i wystraszone tuli się do mamusi, tatusia, czy też opiekunki, kiedy jadą do lekarza, gdzie rodzic czy opiekun uzyskuje upragnioną uwagę i współczucie.

Myślę, że to całkiem możliwe, iż Major Trader, poza skłonnościami do piractwa, cierpi również na zespół Miinchausena per procura. Truje innych, żeby nimi manipulować i czuć się potrzebnym. Jeśli ktoś z was, czytelnicy, przypadkiem na niego trafi albo zna miejsce jego pobytu, dajcie, proszę, natychmiast znać na policję. Ostatnio widziano go, jak jadł na śniadanie kanapkę, wyjeżdżając z domu samochodem dziś rano. Udało mu się uniknąć aresztowania i obecnie został uznany za niebezpiecznego zbiega. Jeżeli go zauważycie, nie podchodźcie do niego, bo ma skłonność do stosowania przemocy i jest bezlitosny. Nie przyjmujcie też od niego żadnego jedzenia, a już zwłaszcza słodyczy.

Trzymajcie się ciepło!

,

ROZDZIAŁ 25

Myślałam właśnie o czymś takim. – Głos doktor Scarpetty rozległ się w telefonie w gabinecie komendant Hammer zaraz po tym, jak najnowszy felieton Tropicielea Prawdy zaczął się unosić w cyberprzestrzeni. – Ale wolałabym, żeby informacje na temat raketnicy ani czegokolwiek, związanego z tą sprawą, nie pojawiały się w Internecie.

– Nikt nie panuje nad tym, co pisze Tropicielea Prawdy – odparła Judy, posyłając Andy’emu krytyczne spojrzenie. – Zachowuje anonimowość. Nawet nie wiemy, czy to mężczyzna czy kobieta.

– A skąd zna szczegóły mojej sprawy z Miami? – dopytywała się doktor Scarpetta.

– Może szukał w Internecie informacji o ludzkim samozapłonie? – odezwał się Andy. – Przypuszczam, że o tak sensacyjnym przypadku da się tam sporo znaleźć.

– Racja.

– Co dalej? – spytała Judy Hammer, krążąc po gabinecie.

– Oddałam szarawą substancję do laboratorium badającego mikroślady i zobaczymy, czy tamci znajdą utleniony stront, nadchloran potasu, fosfor oraz podobne substancje chemiczne – powiedziała doktor Scarpetta przez głośnik. – Na razie wiemy, że śmierć nastąpiła wskutek poparzenia czterdziestu procent ciała, a reszta musi poczekać, ale wydaje mi się, że możecie traktować tę sprawę jako zabójstwo, chyba że stwierdzimy, iż miał przy sobie jakąś racę, która przypadkiem się zapaliła.

– Trader skłamał. Wielka mi niespodzianka – zwrócił się Andy do szefowej, kiedy komendantka odłożyła słuchawkę. – I to by było na tyle co do tego Latynosa z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi.

Niestety, policjant Macovich nie mógł wiedzieć, o czym rozmawiają Andy i Judy Hammer. Kiedy siedział w samochodzie, podczas gdy Barbie i Regina rozmawiały w kaplicy, Cruz Morales wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić i zauważył nieoznakowanego caprice. Serce skoczyło mu do gardła i zaczęło dziko łomotać. Ta dziwka wezwała policję! Rzucił papierosa i zerwał się do biegu, natychmiast zwracając na siebie uwagę Macovicha, który rozpoznał w nim Latynosa, zatrzymanego przy budce Hooter. Policjant cisnął własnego papierosa, wyskoczył z samochodu i ruszył za uciekającym.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął i wyciągnął pistolet.

– Już myślałam, żeby się zastrzelić – wylewała swoje żale Regina do Barbie Leslie, a żadna z nich nie zdawała sobie sprawy z akcji na parkingu. – Ale nie mam broni.

– Całe szczęście – stwierdziła z ulgą Barbie.

– Nie wiem, co ze mną jest nie w porządku – ciągnęła Regina, łkając za zamkniętymi drzwiami gabinetu, wyposażonego w postarzone niebieskie biurko, różową sofę oraz liczne ozdoby z jedwabiu w kojących pastelowych kolorach. – To tak, jakbym była z innej planety. Wydaje mi się, że mówię co trzeba, a tymczasem wszystkich wkurzam. Nie mam żadnego przyjaciela, a gdybym miała... – Popatrzyła na zegarek. – No, chyba miałam jednego trzy godziny temu, ale teraz już nie. Wygląda na to, że to moja najdłuższa rozmowa w życiu. A już na pewno nikt dotąd nie poświęcił aż tyle czasu, żeby mnie wysłuchać – zakończyła żałośnie.

– Kto to jest ten przyjaciel, którego miałaś jeszcze trzy godziny temu? – spytała z troską Barbie, usadowiona w lawendowym fotelu.

– Andy. Wziął mnie jako swoją partnerkę, a potem nagle zrobił się wstrętny.

– Partnerkę? To twój chłopak, czy tylko przelotna znajomość? – zdziwiła się Barbie.

Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się jej spotkać kobietę kompletnie nieatrakcyjną dla mężczyzn, to była nią bez wątpienia właśnie ta nieszczęśliwa istota. Tej dziewczynie niezbędna jest całkowita zmiana wyglądu. Gdyby Barbie miała się podjąć tego prawie całkiem beznadziejnego zadania, zaczęłaby od kolorystyki, którą trudno było u Reginy określić. Bładej, zaniedbanej cerze i ciemnym włosom z pewnością dodałyby uroku śmiałe kolory, takie jak grafitowy i czerwony, ale Barbie uważała, że są one dopuszczalne tylko dla kobiet bardzo subtelnych, którym nie zaszkodzi, że barwy te dadzą im więcej siły wyrazu.

Ostatnią rzeczą zaś, jakiej potrzebowała Regina, to sprawiać wrażenie bardziej asertywnej. Może gdyby straciła ze czterdzieści kilogramów, nauczyła się robić makijaż, poszła do dobrego fryzjera i spróbowała regularnie się depilować, zaczęłaby wyglądać bardziej kobieco, pomyślała z nadzieją Barbie.

– Nie, to nie mój chłopak – odrzekła z urazą Regina, ukrywając zranione uczucia i marną opinię co do własnej osoby.

– Miewasz bóle głowy? – zapytała Barbie. Regina głośno wytarła nos.

– Jasne, że tak. Każdy na moim miejscu by je miał.

Ojej, pomyślała Barbie. Ta dziewczyna wymaga ciężkiej pracy, zaczynając od nauki, jak zastąpić donośne trąbienie przy wycieraniu nosa delikatnym osuszaniem łez z oczu.

– Często marszczysz brwi i masz przez to wyraźne zmarszczki na czole – wytknęła jej Barbie. – Myślę, że należałoby zacząć od botoksu. Mogę cię skontaktować z moim lekarzem. Ale najpierw porozmawiajmy o twoim chłopaku i o tym, co się stało.

– Andy nie jest moim chłopakiem! – Regina rozplakała się na nowo. Na jej zapuchniętej twarzy pojawiły się czerwone plamy. – Pozwolił mi dziś rano być swoją praktykantką i poszliśmy do kostnicy, a wtedy on się wściekł.

– Andy pracuje w kostnicy? – przeraziła się Barbie.

Robiło się coraz gorzej. Ostatnie miejsce, w jakim Regina powinna się pojawiać, to kostnica, a myśl o kolorach zimy okazała się całkiem niesmaczna i niewłaściwa. Ktoś, kto bywa w kostnicy, nie powinien nosić jaskrawej czerwieni i czerni.

– Jest policjantem – wyjaśniła z pewnym zniecierpliwieniem Regina. – Ale nie spodobałam się kobiecie, która zarządza kostnicą, więc nie pozwoliła mi asystować przy autopsji, bo nie znam się na ortografii.

Barbie słuchała, nic z tego nie rozumiejąc.

– Wie pani – ciągnęła Regina. – Ta ich szefowa.

– A, rzeczywiście. Czytałam o niej i oglądałam ją w telewizji – powiedziała Barbie. – Ze swoimi jasnymi włosami i szczupłą figurą wygląda bardzo dobrze w kolorach zimy. Ale z tobą trzeba będzie spróbować czegoś innego. Może kolory lata. Nosilaś kiedyś spódnicę?

– Kolory zimy? Spódnica? Czy ja trafiłam na kurs piękności? – oburzyła się Regina. – Przyszłam, żeby porozmawiać o swoich problemach! Nie po to, żeby pani zrobiła ze mnie kopię mojej matki!

– Twoją matką zajmiemy się kiedy indziej – odparła Barbie. – Nie wszystko naraz. Czeka nas wiele spotkań, skarbie. A teraz wydaje mi się, że powinnyśmy wrócić do Andy’ego, bo widać wyraźnie, że zranił twoje uczucia.

– Nigdy dotąd ktoś taki jak on nie zwracał na mnie uwagi i byłam na tyle durna, żeby się na to nabrać. – Łzy popłynęły znowu. – Powiedział mi, że nie mam przyjaciół, bo jestem egoistką i nie troszczę się o uczucia innych, a potem wygnał mnie do poczekalni i wrzeszczał na mnie, kiedy próbowałam znaleźć klucze, a trup upadł na beton.

– Ojej!

Barbie trochę się pogubiła w tej powodzi informacji. Obrazy, które pojawiły się w jej mózgu, przekraczały jej zdolność pojmowania i z pewnością nie pozwolą jej zaznać zasłużonego snu dzisiejszej nocy.

– Straciłam wszelkie szanse – wyszłochała Regina. – Teraz to rozumiłam i nie wiem, co zrobić. Chcę, żeby mnie za coś szanował i podziwiał, ale jak mam to osiągnąć?

– My, kobiety, musimy wszystkie ciężko pracować, żeby zasłużyć na pochwały i podziw. – Barbie wreszcie coś zrozumiała. – Tak, to bardzo ważne. Do tego potrzebujesz jakiegoś niewielkiego zadania. Czegóż, co mogłoby cię skierować na właściwe tory i to już od dzisiaj. Czegóż, co możesz zrobić bez niczyjej pomocy, a co wywarłoby na innych wrażenie i poprawiło twoją opinię w ich oczach.

Przez chwilę Regina zastanawiała się, pociągając nosem.

– Może zacniemy od depilacji i pełnego zabiegu kosmetycznego? – zaproponowała Barbie.

– A potem porozmawiamy o zmianie diety i jodze.

Ach, gdybyż Regina mogła się w czymś wreszcie wykazać!

– Papa potrzebuje konia, który widzi – powiedziała, czując, że zaczyna jej błyskać nadzieja. – Mogłabym się nim zajmować. Ktoś powinien go karmić, czesać i ćwiczyć.

– Czy twój ojciec ma konia, który oślepl? – Barbie usiłowała zmarszczyć brwi, ale nie pozwolił jej na to środek paraliżujący mięśnie czoła.

– Nie. To ojciec nie widzi i chce mieć konika-miniaturkę, bo mamy już Frisky.

– Och. To rzeczywiście uroczy pomysł. – Barbie starała się mówić zachęcającym tonem. – Więc może rzeczywiście weź się do tego. Popracujemy nad opieką nad konikiem twojego ojca.

– Papa może go zabrać jutro wieczorem na wyścigi, a ja zadbam, żeby wszyscy widzieli, że to ja pilnuję zwierzaka – powiedziała Regina, a humor odrobinę jej się poprawił. – To robi wrażenie na wszystkich, nawet na Andym!

– Co za zbieg okoliczności – dziwiła się Barbie, myśląc o swojej magicznej tęczy, która tyle już działała w jej dotychczas pustym życiu. –

Wiesz, tak się składa, że ja też będę na wyścigach. Może przed wyjściem zajmiemy się twoim wyglądem i może poznasz jakiegoś przystojnego kierowcę wyścigowego.

– Och, proszę, niech pani przyjdzie do naszej łoży! – wykrzyknęła Regina, okazując nawet nieco wdzięczności. – Byłoby wspaniale. Ale nie chcę nosić spódnicy. Odmawiam, chyba że pani rzeczywiście uważa, że zrobiłoby to wrażenie na innych. Może udałoby się przywieźć konika pani vanem. Wie pani, on nie jest większy od Frisky.

– To żaden problem – uznała Barbie, zakładając że Frisky to kot, a więc miniaturowego konika można zapakować do klatki przewozowej dla zwierząt i postawić w bagażniku. – Tylko muszę wiedzieć, gdzie się mamy spotkać.

– Jutro w samo południe w rezydencji – powiedziała Regina radośnie.

– I zgodzę się, żeby mnie pani ubrała i umalowała.

Unique również zastanawiała się nad zmianami, siedząc w swym ponurym mieszkaniu, które opłacał jej bogaty ojciec lekarz. Przyjmowała od niego pieniądze, ale nim gardziła. Leżała nago na okrytym czarną narzutą łóżku, przeglądając zdjęcia z polaroidu, przedstawiające ludzi, których brutalnie zamordowała. Wspomnienia popełnionych zbrodni nie wywoływały w niej zwykłego podniecenia i napięcia, gdyż była odrobinę zaniepokojona.

Kiedy wczorajszej nocy wychodzili z Dymkiem z 7-Eleven, zauważyła meksykańskiego chłopaka w sfatygowanym wozie i poleciła Dymkowi, aby go złapał. Unique nie pofatygowała się, by przemieścić swoje części, kiedy wchodziła do sklepu, bo było bardzo późno, a chociaż zauważyła grand prixa, nie zorientowała się, że kierowca jest w pobliżu, bo w budce telefonicznej nie paliło się światło. Nie była więc niewidzialna, gdy strzeliła ekspedientce w głowę i wyszła ze sklepu w tej samej chwili, kiedy Meksykanin wyskoczył z budki i pobiegł do samochodu.

Dymek jednak nie zdołał dogonić grand prixa i Unique zdawała sobie sprawę z tego, że teraz jest ktoś, kto zna jej rysopis. Wpatrując się

w fotografię, przedstawiającą skąpaną we krwi T. P., zaczęła sobie wyobrażać, jak siedzi na niej okrakiem i uderza nożem do kartonu, a ciepłe ciało i krew kobiety są pochłaniane przez Przeznaczenie Unique i stają się częścią jej nienasyconej Ciemności. Każda ofiara stawała się częścią jej istoty. Tkwiący w niej Nazista dawno temu pouczył Unique, że to gwałtowne seksualne przeistoczenie, czy też Przeznaczenie, jest mu niezbędne do życia, a jeśli Nazista zginie, to umrze także Unique.

Powiodła swymi przerażającymi oczami po sypialni, patrząc na tanie, czarne meble, czarne świece i kadzidła oraz nazistowskie pamiątki. Te ostatnie zaczęła kupować przez Internet, kiedy zaprzysięgła sobie niszczyć i pożerać ludzi, którzy, zgodnie z tym, co twierdziło jej Przeznaczenie, nie zasługują na życie. Sięgnęła po następne zdjęcie i przyjrzała się jasnowłosemu tajniakowi, którego tożsamości jeszcze nie odkryła. Ale jej Przeznaczenie wkrótce ją z nim połączy i chociaż była niewidzialna, kiedy go pierwszy raz ujrzała w sklepie, a potem śledziła aż do domu, nie mogła zaryzykować, żeby ją rozpoznał. A jeśli Meksykanin już mu opisał jej wygląd?

Wstała z łóżka i obejrzała się w wielkim lustrze. Jej naga skóra lśniła. Potrząsnęła długimi, czarnymi lokami, a potem zaczęła je obcinać nożem. Włosy opadały pod bosc stopy dziewczyny, a potem Nazista polecił jej ufarbować to, co pozostało, na jasny, prawie biały blond i zmienić plany co do jutra. Unique miała zamiar odmówić Dymkowi i połączyć swoje Przeznaczenie z jasnowłosym gliniarzem, podczas gdy piraci będą udawali załogę startującą w wyścigach, ale teraz wszystko uległo zmianie. Szkoda, że nie udało się odnaleźć i uciszyć na zawsze tego Meksykanina. Teraz może już jest za późno. Może już podał jej rysopis policji.

– Pokaż mi – szepnęła do swojej Ciemności. – Pokaż mi Przeznaczenie.

– Znajdziesz je – odpowiedziała sobie, niskim, zmienionym głosem.

– Tak. – Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze, a jej pragnienie przybrało na sile. – Już niedługo – obiecała jasnowłosemu tajniakowi. – Niedługo

spotka cię coś niezwykłego.

ROZDZIAŁ 26

Zaraz będę wymiatał – powiedział Fonny Boy przez słuchawki. On i doktor Faux, ulokowani z tyłu jayhawka, trzęśli się i mieli mdłości. – To mnie przypomina, jak żem się kiedyś rozpędził na werku i przewrócił we własne wymiaty.

Traumatyczna historia z dzieciństwa Fonny’ego Boya, jak kiedyś, pędząc na trójkołowym rowerku przewrócił się i zwymiotował na siebie, nie wzbudziła większego zainteresowania u załogi helikoptera. Piloci mieli na tyle rozumu, żeby skontaktować się przez radio z NCIC*[* National Crime Information Center (FBI) – Krajowe Centrum Informacji Kryminalistycznej Federalnego Biura Śledczego], a wtedy okazało się, że dentysta, którego właśnie uratowali, jest

poszukiwany za nadużycia w służbie zdrowia, pranie pieniędzy i wymuszenia. Zaś dziwacznie mówiący tangierski chłopiec ewidentnie złamał prawo morskie, a oprócz tego okazał się porywaczem.

To Andy dopilnował, żeby wystawiono nakazy aresztowania doktora Faux i Fonny’ego Boya, po tym, jak odwiedził wyspę, udając dziennikarza, obejrzał kartę dentystyczną chłopaka, a później zdał sobie sprawę, że udzielając informacji, iż dentysta nie może wyjść, nastolatek mówił najzupełniej dosłownie. Przekonawszy się, że dwaj zabrani z barki osobnicy to poszukiwani przez policję przestępcy, pilot przełączył się na częstotliwość alarmową z wezwaniem do wszystkich jednostek latających policji stanowej.

Pozbywszy się godzinę wcześniej Reginy, Macovich udzielał lekcji

pilotażu Kotu, kiedy w radiu rozległo się wezwanie.

– Helikopter cztery-trzy-zero-Sierra-Papa – zgłosił się nerwowo Macovich, a Kot szarpnięciem zatrzymał dwusilnikowy helikopter w powietrzu. – Nie powiedziałem, „luzuj pedał” tylko „lewy pedał” – pouczył chłopaka, wciskając, ku własnemu zażenowaniu, przycisk nadawania i jego instrukcja została usłyszana przez setki pilotów w okolicy, w tym tych ze straży przybrzeżnej. – Kiedy luzujesz lewy pedał to jest tak samo, jakbyś nacisnął prawy, ile razy mam ci to powtarzać? Widzisz, co się zrobiło? Helikopter nurkuje w prawo, bo właśnie nacisnąłeś prawy pedał, jak poluzowałeś lewy. Nie pamiętasz, co ci mówiłem o momencie obrotowym?

Kot spociał się ze złości i guzik go obchodziły prawa aerodynamiki. Chciał się nauczyć tylko tego, co niezbędne, żeby samemu poprowadzić helikopter. Miał w dużym poważaniu licencję pilota i przepisy lotnicze, bo był przekonany, że jak tylko uciekną na Tangier, to sprzedadzą bella 430 piratom z Kanady i więcej nie będą musieli nimi sobie zawracać głowy. Sześć milionów dolców, pomyślał, zbyt mocno naciskając dźwignię, przez co helikopter zakołysał się niebezpiecznie nad lądowiskiem.

– Helikopter zero-Sierra-Papa – odezwał się głos w słuchawkach Macovicha. – Jesteś na jeden-dwadzieścia-cztery-kropka-pięć. – To była częstotliwość alarmowa. – Przejdź na jeden-dwadzieścia-pięć-zero.

Policjant zmienił częstotliwość, starając się zapanować nad maszyną i wrzasnął do Kota, który niechcący nacisnął przycisk nadawania:

– Siadaj! Ale powoli! Nie rzucaj się na ziemię. Pozwól mu spokojnie usiąść. Chryste Panie, nie ciągnij do góry w ostatniej chwili!

Helikopter znowu poderwał się w powietrze, a potem wylądował ciężko, podskakując i zarzucając ogonem, tak że prawie uderzył w wózek dostawczy. Policjant ryknął do Kota, żeby puścił stery i zdjął nogi z pedałów.

– To moja maszyna! – wrzasnął, gdy tamten z trudem starał się zapanować nad urządzeniami. – Moja! Puszczaj stery, popaprańcu! No już! I żadnych więcej lekcji! To mi się nie bulą!

Kot pchnął dźwignię gazu do przodu i nacisnął prawy pedał, przez co helikopter posunął po asfalcie, ostro skręcając w prawo i kierując się prosto na hangar. Łopaty kręciły się z pełną szybkością. Macovichowi nie pozostało nic innego, jak wyciągnąć z fotela swego niefortunnego ucznia i znokautować go uderzeniem w bok głowy. Potem wcisnął oba pedały i zatrzymał bella, w ostatniej chwili przed uderzeniem w cessed. Dał gaz na luz i odetchnął z ulgą, wypuszczając z ust woń nieświeżego tytoniu.

– Człowieku! – jęknął Kot, powoli odzyskując przytomność. – Dlaczego mnie, kurwa, walnąłeś, człowieku?

– Powiedz swojemu pieprzonemu kierowcy, że jak chce gdzieś polecieć, to ja będę pilotował, a ty posadzisz dupę na tylnym siedzeniu – burknął policjant.

Poranne niepowodzenia połączyły się z ostrym kacem i niemiłym wspomnieniem Hooter, która najpierw olała go w barze, a potem, kiedy odwiozła Macovicha do dwupokojowego domku jego matki, nie zgodziła się na seks na kanapie.

– Człowieku, jutro wieczorem musimy polecieć na wyścigi – powiedział Kot, pocierając sobie głowę.

– Taa, jasne, a gubernator pójdzie piechotą? – zapytał Macovich, wyłączając po kolei aparaturę. – Więc chyba polecicie na raty, bo nie ma innego wyjścia. Nie mogę kazać gubernatorowi, żeby pojechał samochodem.

– O czym ty gadasz? – oburzył się Kot. – Mało tu helikopterów? – Popatrzył na lśniącą flotyllę wewnątrz hangaru. – Wszystko jedno, którym polecimy, pod warunkiem że nie jest tańszy niż ten – dodał.

Macovich wyobraził sobie, że załoga kierowcy NASCAR musi podtrzymywać swój image i zaczął się zastanawiać, jak rozwiązać tę sprawę. Przyszło mu do głowy, że mógłby zatrudnić Andy'ego do przetransportowania Pierwszej Rodziny mniejszą, ale równie luksusową czterystasiódemką, dzięki czemu on sam będzie mógł przewieźć dotychczas anonimowego kierowcę NASCAR i jego załogę z należyтым fasonem i za

odpowiednią cenę. Dzięki tej forsie on, Macovich, kupi sobie własne mieszkanie, a wtedy wreszcie kobiety, które poderwie, będą czuły się u niego na tyle swobodnie, żeby się zgodzić na seks. Okłamię gubernatora i powie, że czterystatrzydziestka jest na przeglądzie, zakładając oczywiście, że Grimm w ogóle coś zauważy.

– Helikopter Sierra-Papa? Masz towarzystwo? – odezwał się znowu pilot straży przybrzeżnej, zbliżając się do Richmondu z prędkością stu siedemdziesięciu węzłów.

– Sierra-Papa. Kto mówi? – odezwał się zdyszany głos, a ci ze straży przybrzeżnej popatrzyli po sobie i pokiwali głowami, dając w ten sposób do zrozumienia, że doskonale wiedzą, dlaczego w policji stanowej brakuje pilotów.

Wśród personelu lotniczego krążyły rozmaite historie, ale ogólnie uważano, że nikt nie chce tam pracować, bo Pierwsza Dama usiłuje swatać swoje brzydkie córki pilotom, wożącym rodzinę gubernatora na przyjęcia albo zakupy. Ale może i nie. Chyba raczej chodziło o to, że w wydziale policji stanowej zrobiło się troszkę dziwnie, po tym jak przejęła go ta kobieta-komendant, z którą straż przybrzeżna powinna się właśnie skontaktować w kwestii poszukiwanych uciekinierów.

– Tu straż przybrzeżna HH-sześćdziesiąt – odpowiedział przez radio pilot.
– Mamy na pokładzie dwóch zatrzymanych i musimy się skontaktować z policją stanową. Sytuacja jest, hm, delikatna. Masz częstotliwość do pani komendant?

– Zupełnie jak w kinie! – wykrzyknęła Windy Brees, wpadając do gabinetu Judy Hammer minutę później i informując ją z podnieceniem, że straż przybrzeżna właśnie znalazła poszukiwanego dentystę i jego grającego na drumli porywacza. – Są w helikopterze i musieli ich wciągnąć na górę w takim wielkim koszu pośród szalejących fal i wichury, zupełnie jak w „Szaleństwie oceanu”! Oglądała pani ten film z Keanu Clooneyem? Ach,

gdyby był troszkę starszy!

– Dobrze już, dobrze – powiedziała jej szefowa. – Spróbuj się połączyć z tym patrolem.

Okręciła się na obrotowym fotelu do stolika z radiem, ustawionego za jej biurkiem, a Andy przełączył się na 125.0, częstotliwość używaną przez wiele małych lotnisk, z której stosunkowo rzadko korzystano w policji.

– Powiedz im, że jesteśmy na jeden-dwadzieścia-pięć-zero – polecił Andy sekretarce.

Po niedługim czasie połączyli się z pilotami straży.

– Policja stanowa – powiedział Andy do mikrofonu. – Nikt niepowołany was nie słyszy?

– Nie.

– W porządku. Podajcie, jakie były okoliczności.

– Zobaczyliśmy dwóch osobników na łodzi i zabraliśmy ich na pokład. Wygląda na to, że odławiali kraby w strefie ochronnej i skończyło im się paliwo. Wystrzelili race w stronę naszej jednostki, a po podjęciu ich na pokład okazało się, że nie są współnikami. Nie mieli gaśnic ani kamizelek ratunkowych.

– Dajcie ich do nas – odezwała się komendant Hammer. – Gdzie teraz jesteście?

– Jedenaście przecinek pięć kilometrów na wschód od lotniska w Richmondzie.

Hammer prosiła straż przybrzeżną o przywiezienie zatrzymanych do komendy głównej policji stanowej dokładnie w tej samej chwili, kiedy doktor Faux mówił do mikrofonu, że bardzo by mu było przyjemnie, gdyby piloci podrzucili jego i Fonny'ego Boya do Reedville, nie zdając sobie sprawy, że nikt w kokpicie go nie słyszy.

– Nie muszę teraz lecieć na Tangier – powiedział, kiedy helikopter zawrócił na, jak to określają piloci, czystym niebie. – I chcę, żebyście wiedzieli, że Fonny Boy z grzeczności pokazywał mi zatokę, grając na

drumli, i w pewnym momencie zaczęliśmy mieć problemy z silnikiem. A jeśli chodzi o wiecierz, to nie mamy pojęcia, skąd się tam wziął.

– To prawda? – zapytał mechanik, który siedział z nimi z tyłu i słyszał dentystę, a nie to, o czym rozmawiano w kokpicie.

– E tam! – Fonny Boy popełnił błąd, mówiąc na wspak. Helikopter skierował się na zachód, w stronę komendy policji stanowej.

– Czyli nieprawda? – stwierdził szorstko mechanik. – Tak właśnie myślałem. Więc łowiliście kraby!

– Zadzwoń do żony, żeby po nas przyjechała – terkotał nerwowo doktor Faux. – Bardzo mi przykro, że sprawiliśmy tyle kłopotu, a wy uratowaliście nam życie. Jeśli będziecie kiedykolwiek potrzebowali darmowej pomocy dentystycznej, dajcie mi znać. Oto moja wizytówka.

Wyciągnął kartę wizytową, którą natychmiast porwał wiatr dmuchający przez otwarte drzwiczki. Pofrunęła po jasnym niebie i została poszarpana przez łopaty tylnego wirnika.

– Ojej. Nie mam już ich więcej. A to wcale nie Reedville – stwierdził z przerażeniem doktor Faux, kiedy jayhawk zaczął obniżać się na lądowisko w mieście, wyglądającym na Richmond.

– Będziecie się musieli gęsto tłumaczyć – powiedział Andy Fonny’emu Boyowi i dentyście, kiedy zakuto ich w kajdanki i zaprowadzono do sali przesłuchań.

– To wszystko pomyłka – oznajmił doktor Faux, postanawiając ukryć, że został porwany, oraz wszystko inne, co mogłoby doprowadzić do ujawnienia znacznie gorszych rzeczy. – Po prostu zostałem trochę dłużej na wyspie, a Fonny Boy odwoził mnie do domu i skończyła się nam benzyna.

Uwaga chłopaka przeniosła się na zardzewiały kawałek żelaza, który miał w kieszeni. Musi koniecznie wrócić do tego wiecierza, żeby trafić do zatopionego statku, który jest ponad wszelką wątpliwość wypełniony skarbami. Fonny Boy nie bardzo rozumiał, dlaczego boja trzymała się stale pół metra od rufy barki, kiedy dryfowali z prądem, ale uznał, że coś mu się

pomyliło i pewnie cały czas stali w miejscu. Nie chciał nawet dopuścić do siebie myśli, że mógłby utracić swoje marzenie i że czeka go najwyżej powrót na Tangier albo może zgoła pobyt za kratkami.

– Czy na wyspie są jeszcze jacyś inni zakładnicy? – spytała pani Hammer dentystę, a Windy robiła notatki.

– Nic nie wiem o żadnych zakładnikach – oświadczył doktor Faux. – To skandal, że mnie pani tu trzyma w kajdankach jak pospolitego przestępcę. Jestem dentystą i pomagam ubogim!

– A jakże – powiedział agresywnie Andy, odgrywając rolę złego gliniarza. – Niszczy pan im zęby, wykonując niepotrzebne, marne albo zgoła fikcyjne zabiegi, stosuje pan tanie materiały zamiast przyzwoitych koronek i plomb i dolicza sobie dodatek za „leczenie stomatologiczne małego dziecka”, które na karcie ma więcej metalowych koronek niż zębów. Tylko w zeszłym roku trzydziestu dwóch pańskich pacjentów musiało znieść ponad sto dziewięćdziesiąt dwie ekstrakcje, a w przynajmniej stu przypadkach dodał pan do rachunku usługę anestezjologa, kiedy w rzeczywistości znieczulał ich pan sam. Mógłbym jeszcze długo wyliczać – ciągnął surowo Andy, patrząc ostro na doktora Faux, któremu zrobiło się słabo. – Do pańskiej wiadomości, śledztwo prowadzone jest wspólnie z Wirginijską Jednostką do spraw Oszust Medycznych przy prokuraturze, FBI i urzędem skarbowym. Dwa dni temu został wystawiony na pańskie nazwisko nakaz aresztowania, ale szeryf nie mógł go doręczyć, a wie pan dlaczego?

– Nie – zachrypiał doktor Faux, a Fonny Boy przesunął językiem po niedopasowanym aparacie na zębach i gumowa uszczelka wyleciała na stół konferencyjny.

– Jako adres podaje pan numer skrzynki pocztowej, a telefony w domu i w biurze odbiera sekretarka automatyczna – poinformował go Andy. – I nigdy nie pozwalał pan rodzinie ani przyjaciołom robić sobie zdjęć, więc szeryf nie ma pojęcia, jak pan wygląda, a poza tym i tak był pan uwięziony na Tangierze, gdzie żaden przedstawiciel władzy nie zamierzałby pana

szukać, bo wyspiarze nie są skłonni do współpracy z mundurowymi, zwłaszcza jeśli ci mają wręczyć nakaz aresztowania.

– To pan tak twierdzi – odparł doktor Faux, zaczynając ujawniać swoją prawdziwą naturę. – Musi pan to wszystko udowodnić. Wiele osób używa skrzynek pocztowych i nie lubi, jak im się robi zdjęcia. Nie byłem nigdzie więziony i nie ma żadnych innych więźniów.

– Doktorze Faux, potrzebujemy pańskiej pomocy – włączyła się Judy Hammer, odgrywająca rolę dobrego policjanta. – Nikt nie chce drugiej wojny domowej. Wyspiarze są obywatelami tego stanu tak samo jak pan i ja, więc walcząc z nami, walczy pan z nimi. To tak jakby chciał pan, żeby na złość mamie uszy panu zmarzły. Jakiegokolwiek zamieszki wywołane przez Tangierczyków mogą się okazać szkodliwe dla nich samych, a w dodatku straż przybrzeżna utrzymuje, że kiedy wystrzeliliście z barki trzy rakiety, wcale nie wzywaliście pomocy, tylko usiłowaliście zestrzelić ich helikopter.

– Co? – wykrzyknął doktor Faux.

– Powiem panu, co – odparła komendantka, zmieniając się w złego gliniarza..– Kiedy wyspa wypowieda wojnę swojemu stanowi, zdejmuje flagę i dokonuje porwania, to co można myśleć, jeżeli któryś z jej mieszkańców zaczyna strzelać do helikoptera sił porządkowych? Nie mówiąc już o tym, że jednostki latające stanowią jeden z punktów konfliktu ze względu na program WASKAR.

– To Fonny Boy wystrzelił te race, nie ja, i nie jestem z wyspy – powiedział szybko doktor Faux. – Mówiłem mu, żeby tego nie robił. I to on zarzucił więcierz w strefie ochronnej, bo chciał znaleźć statek piratów.

– Statek piratów? – zdziwił się Andy.

Fonny Boy włączył się do rozmowy, posyłając doktorowi Faux groźne spojrzenie.

– Co pan tyle gadasz! Po co im mówisz o moim korsarzu! – zaprotestował. – Wiedziałem, że nie można na pana liczyć!

– O, ja się tu bardzo liczę! – burknął dentysta. – I wcale nie znalazłeś

wraku. Mówiąc ściśle, to ten kawałek metalu cię znalazł.

– Czyżbyś był, chłopcze, namagnesowany? – zapytał ironicznie Andy. – Wydaje mi się, że ktoś tu wreszcie powinien zacząć mówić prawdę. Pokaż ten kawałek metalu.

– Dobrze! – powiedział na wspaniałomyślnie Fonny Boy, szurając kajdankami po stole, żeby zasłonić rękoma kieszeń.

– Nie chcesz chyba, żebym cię obszukiwała! – poparła Andy'ego Judy Hammer.

– Jest mój! – Fonny Boy nie chciał z nimi współpracować. – Spadł z nieba i wylądował mi na nodze, kiedy grałem na drumli.

– Pokaż mi go, proszę. – Andy zmienił się w dobrego policjanta i wstał. – Obiecuję, że go nie zatrzymam, chyba że okaże się związany z jakimś śledztwem.

– Tak! – Fonny Boy nie zamierzał rezygnować. Zaciśnął palce na prawej kieszeni kurtki i nieoczekiwanie wyczuł jakiś duży przedmiot.

Andy zajrzał mu do kieszeni, pogrzebał w niej i pod dziurawą podszewką natrafił na klucz do przychodni dentystycznej.

– Ha! – wybuchnął dentysta. – Klucz, który zabrał, kiedy mnie zamknął w gabinecie, a przedtem rozbił mi bez żadnej przyczyny nos!

– Wydawało mi się, że twierdził pan, iż wcale pana nie porywano – zauważyła komendant Hammer.

– Jestem niewinną ofiarą – odparł doktor Faux. – Żądam natychmiastowego uwolnienia i wniosę oskarżenie! Wyspiarze stosują przemoc i są całkowicie nieprzewidywalni! Przetrzymani mnie wbrew mojej woli i to prawdopodobnie oni wrobili mnie w to oszustwo!

– Widziałem ich zęby – powiedział Andy. – Zresztą wystarczy obejrzeć jamę ustną tego chłopca. Ile razy on ci zakładał plomby, robił leczenie kanałowe, koronki i ekstrakcje, co, Fonny Boy?

Chłopiec nie byłby w stanie tego spamiętać. Pomacał kieszeń dzinsów i wyczuł kawałek metalu. Zdając sobie sprawę, że w związku z donosem

dentysty znalazł się w poważnych kłopotach, uznał, że powinien oddać temu policjantowi to, czego chciał. Sam metal prawdopodobnie i tak nie jest wiele wart, a najważniejsze było wydostać się stąd, wrócić do więcierz na kraby i odszukać zatopiony okręt z prawdziwym skarbem.

Andy z szacunkiem oglądał stary, nieregularny, zardzewiały kawałek żelaza, jak gdyby to był jakiś bezcenny antyk.

– Musimy określić jego wiek – powiedział do szefowej. – To się może okazać bardzo ważne.

ROZDZIAŁ 27

Dzień dobiegał końca, a Andy miał jeszcze mnóstwo do zrobienia. Kolejnym punktem na liście zajęć była wizyta w szpitalu, skąd polecono mu zabrać Moseesa Custerę i zawieźć go bezpiecznie do domu. Potem musiał dostarczyć wodoodporną walizkę do Canal Street, gdzie umówił się e-mailem z Kapitanem Bonnym alias Majorem Traderem, którego miało tam spotkać to, na co zasłużył.

Wreszcie się doczekasz, pomyślał Andy, pakując do starej, sfatygowanej, aluminiowej walizki ciężarki z prowizorycznej sali gimnastycznej, znajdującej się w piwnicy jego szeregowego domku. Zostaniesz aresztowany za morderstwo, usiłowanie morderstwa i współudział w przygotowywaniu morderstwa, utrudnianie działań organów sprawiedliwości i wszystko, co mi jeszcze przyjdzie do głowy, ty skurczysynu.

Andy wrzucił walizkę, przebranie i sprzęt wędkarski do bagażnika samochodu i pośpieszył do szpitala.

– Przepraszam, że to tyle trwało – powiedział, wchodząc od pokoju Moseesa Custerę, dużej izolatki, do której przeniósł go gubernator, chociaż Moses miał wkrótce zostać wypisany.

– Jest już gotów do drogi i dobrze, że się pan wreszcie pokazał, bo potrzebujemy tej izolatki – powiedziała pielęgniarka, której nazwisko wypisane na plakietce brzmiało A. CARLESS.

– Czy wymawia je pani *Careless* czy *Carless**[* *Careless* (ang.) – niedbały, *Carless* – pozbawiony samochodu.] – zapytał uprzejmie Andy,

który miał budowę zapaśnika i potrafił patrzeć w dwie strony naraz.

– Ludzie wymawiają je i tak, i tak – odpowiedziała kobieta i zaczęła pomagać Custerowi przenieść się z łóżka na wózek inwalidzki.

– Po co mnie wózek – zaprotestował nerwowo Custer. – Au! Uderzyła mnie pani łokciem w usta! Chwileczkę. Moja koszula nie jest zapięta na plecach! Pomocy, panie policjancie! Niech pan zabierze ode mnie tę kobietę! Mam przez nią więcej siniaków, niż wtedy gdy tu trafiłem!

Moses Custer wyglądał żałośnie. Głowa sinoczarna, jedno oko kompletnie zapuchnięte i powybijane zęby, chociaż pozostało sprawą niejasną, ile ich utracił podczas napaści. Jedną rękę miał w gipsie, a pielęgniarka Carless zdołała nią uderzyć w stolik przy łóżku, kiedy próbowała

przeciągnąć pacjenta z łóżka na wózek, w którym zapomniała zablokować hamulce. Zanim Andy zdążył interweniować, uniosła Mosesa i przesadziła go na wózek, ten zaś ruszył przed siebie i uderzył w komódkę. Custer krzyknął, kiedy wózek odbił się i walnął w łóżko. Zabandażowana noga pacjenta zaczepiła o stojącą na podłodze kaczkę, rozlewając jej zawartość, a wózek zakręcił się i Moses spadł.

– Niech mnie pani nie rusza! – wrzasnął, kiedy pielęgniarka pociągnęła go za przód koszuli, ukazując w ten sposób tylne partie ciała pacjenta, który miał przecież prawo zachować ten widok dla siebie.

– Hej! – powiedział Andy, delikatnie ujmując go pod rękę, zaciągając mu koszulę i blokując ciałem siostrę Carless, żeby nie wyrządziła pacjentowi więcej krzywdy. – Gdzie jest pańskie ubranie?

– Syn mi je przyniósł. Jest w tej szufladzie. – Pokazał gipsem Moses. – Niech go pani nie rusza! – warknął do pielęgniarki. – Ten policjant je przyniesie.

Andy pomógł Mosesowi się ubrać, ignorując protesty i próby interwencji pielęgniarki, a potem posadził go na wózku.

– Zawiozę pana do samochodu – powiedział Andy. – Pani pomoc jest nam niepotrzebna – ostrzegł poirytowaną pielęgniarkę, która zaczęła się robić

agresywna.

– Zgodnie z przepisami szpitalnymi, pielęgniarka transportuje pacjenta – zaprotestowała.

– Przepisy policyjne stanowią, że osobą znajdującą się w areszcie prewencyjnym zajmuje się funkcjonariusz policji – odparł Andy. – Proponuję, żeby pani się do tego nie mieszała, siostrze Careless.

– Careless! – warknęła, z urazą biorąc się pod boki.

Poszła za nimi, szurając swymi wielkimi stopami, gdy Andy szybko popychał wózek z Mosesem przez korytarz do wyjścia.

– Złożę na was skargę do mojego zwierzchnika! – zawołała, odpychając z drogi stażystę, a potem pielęgniarkę ze stojakiem na kroplówkę, który potoczył się chwiejnie w stronę sporej draceny.

Major Trader nie należał do ludzi, którzy jeżdżą autobusem bez absolutnej konieczności. Kiedy jednak przeczytał najnowszy felieton Tropiciele Prawdy, pomyślał, że może warto wybrać się na dworzec i kupić bilet w jedną stronę do Key West, gdzie miał krewnych, tak jak on wywodzących się od piratów, więc za nic by go nie wydali władzom. Najwidoczniej rozpoczęto intensywne śledztwo, które będzie musiało ujawnić wiele niekorzystnych dla Tradera faktów.

Gubernator Crimm nie ucieszy się, kiedy usłyszy, że Trader truł go od wielu lat. Ani też nie spodoba mu się, że Trader okłamywał go, ukrywał przed nim informacje, fałszował listy, lenił się w pracy, wrabiał kolegów, dostosowywał wiadomości przekazywane prasie do swoich egoistycznych i finansowych celów, prowadził pod pseudonimem nielegalne interesy z piratami przez Internet i w gruncie rzeczy sam się wywodził z piratów, jako dziecko był piromanem i zamordował wędkarza przy Canal Street, żeby wymienić tylko niektóre z jego występków. Opuścił dworzec z kupionym na fałszywe nazwisko biletem w kieszeni, złapał taksówkę i ruszył nad Canal Street.

Spostrzegłszy, że czas mu się kurczy, Andy powiedział Mosesowi, że musi załatwić jeszcze jedną sprawę i poprosiłby ten z nim pojechał.

.– Wszystko przez tę pielęgniarkę – wyjaśniał Andy. – A ja powinienem spotkać się z podejrzanym o wpół do trzeciej w miejscu o kwadrans drogi stąd.

– Chętnie z panem pojedę – zgodził się Moses. – Leżałem w szpitalu prawie miesiąc. Trochę ruchu i świeżego powietrza dobrze mi zrobi. Czy mogę w czymś pomóc?

– Nic nowego nie przyszło panu do głowy w związku z napadem?

– Nie. Pamiętam tylko dziewczynę jak aniołek, której się zepsuł samochód i która powiedziała, że spotka mnie coś niezwykłego.

– Niezwykłego? – zdziwił się Andy.

– Tak powiedziała.

– Umie pan wędkować? – zapytał Andy.

– Jasne.

Andy zaparkował kilka ulic od ustalonego miejsca, dokładnie tam, gdzie Trader zamordował Caesara Fendera. Kiedy tak zwany Kapitan Bonny wymieniał z Andym, który podpisywał się jako Opos (choć jeszcze nie wiedział, kto to), e-maile, Andy zaproponował, aby spotkanie odbyło się właśnie tutaj. Uznał, że dodatkowo rozwścieczy Tradera, kiedy nie tylko zwabi go na miejsce zbrodni, ale jeszcze ukarze za nikczemne czyny walizką pełną żelastwa i wycieczką do aresztu miejskiego. Otworzył bagażnik i wyjął walizkę. Założył tę samą sztuczną brodę, perukę z końskim ogonem i niegustowne ubranie, które nosił na Tangier Island i wręczył Mosesowi wędkę.

– Niech pan łowi ryby – polecił mu, kiedy szli w stronę muru na brzegu rzeki. – Niech pan trzyma wędkę i nie zwraca na mnie uwagi. Powinien się tu pojawić osobnik, który będzie chciał zabrać tę walizkę, jakby należała do niego. Nie uda mu się jej podnieść i zacznie się wysilać. Zaofiaruję się z pomocą i zanim ten człowiek się spostrzeże, już będzie w kajdankach

i w drodze do więzienia.

– Hmm. Brzmi nieźle – stwierdził Moses.

– A potem spokojnie odwiozę pana do domu.

– Dobra. – Moses ruszył, kulejąc, obok Andy’ego. – Brzmi w porządku.

Strzępki żółtej taśmy oznaczającej miejsce przestępstwa furkotały na wietrze. Moses rozejrzał się trochę niepewnie i wbił wzrok w plamę spalenizny na betonie i przewrócone plastikowe wiaderko.

– No niech pan popatrzy – odezwał się z irytacją Andy, podnosząc wiadro. – Pracowali tu znakomici policjanci. Nie do wiary, że mogli to tutaj zostawić.

Postawił wiadro na murze i ulokował ciężką walizkę kilka kroków dalej. Moses przywiązał plastikowego robaka do wędki i umocował szałwik.

– Ale to nie tutaj eksplodował ten wędkarz? – zaniepokoił się.

– W gruncie rzeczy tak – odparł Andy, przygotowując wędkę dla siebie.

– Mam nadzieję, że nie czekamy na mordercę – powiedział Moses. – Na pewien czas mam dosyć złych ludzi.

– Niech się pan nie obawia – uspokoił go Andy. – Proszę się zająć wędkowaniem. Osobnik, który się tu pojawi, nic panu nie zrobi. On chce tylko zabrać walizkę i uciec.

– Muszę przyznać, że nie rozpoznałbym pana w tym przebraniu – stwierdził Moses, gładko zarzucając wędkę w mętne wody rzeki. – Wygląda pan jak podstarzały hippis, jeden z tych, którzy jeżdżą starym volkswagenem garbusem, wymalowanym w kwiatki.

– Bardzo dobrze. Ale niech pan się do mnie nie zwraca Andy, ani panie policjancie, kiedy ten gość się pojawi.

– Mowy nie ma – zapewnił go Moses. – Nie pomylę się przy mordercy. Po co on zabił tego biednego wędkarza i skąd ma pan pewność, że nie zrobi tego samego, jak mnie zobaczy? Niech pan założy szałwik, bo robak opadnie na samo dno i złapie pan najwyżej jakiś kamień.

– Ten facet chce zabrać pieniądze i zwać – powiedział Andy, zakładając

spławik i zarzucając wędkę. – Poza tym ja tu jestem, więc jeśli zechce spróbować jakichś sztuczek, spotka go przykra niespodzianka.

– Ma pan broń?

– Za paskiem spodni – odparł Andy, czując, że coś ciągnie linkę.

Major Trader przyjechał taksówką i polecił kierowcy poczekać albo nie dostanie zapłaty. Spostrzegł dwóch dupków, łowiących ryby na murze i sfatygowaną aluminiową walizkę, stojącą zupełnie bez nadzoru. W kieszeni płaszcza miał załadowaną raketnicę, tak po prostu, na wszelki wypadek. Ruszył prosto do walizki.

– To któregoś z was? – zapytał.

– Pierwszy raz ją widzę na oczy – odparł Andy, bo w przebraniu wolno mu było kłamać.

– Ja też – dodał Moses. – Stała już, kiedy tu przyszliśmy.

– Ktoś ukradł mi samochód z walizką w środku. Dlatego przyjechałem taksówką – wyjaśnił Trader. – Wydawało mi się, że sprawca porzuci walizkę, bo są w niej tylko ubrania i trochę książek.

– A bierz pan ją sobie – odparł Andy.

Major uważnie przyjrzał się dwóm wędkarzom, żeby się upewnić, czy zwracają na niego uwagę i czy mogliby go opisać, gdyby zaszła taka potrzeba. Obaj zaliczali się najwyraźniej do facetów przegranych i prawdopodobnie nigdy w życiu nie mieli prawdziwej pracy. Kto normalny poszedłby na ryby w piątek po południu, kiedy uczciwi ludzie siedzą w robocie? Trader chwycił rączkę walizki i prawie wyrwał sobie ramię.

– Kurde! – mruknął ze zdziwieniem.

To cholerstwo musi ważyć ze sto kilogramów! Wyobraził sobie setki srebrnych dolarów, pliki banknotów, a może nawet złoto. Piraci musieli nieźle zarobić. Znowu spróbował podnieść walizkę, ale nawet nie drgnęła. Wreszcie postanowił ją otworzyć, jednak zamki były na szyfr i nic nie wskórał. Kiedy zastanawiał się, co dalej robić, rzucając dookoła ostrożne spojrzenia i zaczynał się już pocić, stary, czarnoskóry wędkarz, który

wyglądał, jakby był niedawną ofiarą wypadku samochodowego, szarpnął wędką i zaczął ostro kręcić kołowrotkiem.

– Mam ją – oznajmił. – Tak, tak, ta rybka już sobie nie popływa w rzece.

– Jak ty to robisz? – odgrywał swoją rolę Andy. – Ile razy tu z tobą przyjdę, łapiesz pełne wiadro ryb, a ja wracam do domu z pustymi rękoma.

Wtedy Trader zauważył znajome, białe, plastikowe wiaderko, adrenalina wystrzeliła mu w górę, a w głowie zadźwięczał sygnał alarmowy.

– To wasze wiadro? – zapytał, wypróbując różne szyfry do zamków.

– Jasne – odparł Moses.

– To dlaczego ma napis „Parks Seafood”, a to nazwa sklepu rybnego na wyspie Tangier? – Trader robił się podejrzliwy i pomacał rakiетnicę. – To wiadro pochodzi z rezydencji gubernatora, więc nie gadaj, że należy do ciebie.

– Skąd mam to wiedzieć. Nigdy tam nie byłem, ale jutro będę, bo gubernator zabierze mnie na NASCAR. Ktoś je tutaj zostawił – ciągnął Moses, zwijając linkę. – Nie wyglądało, jakby go ktokolwiek potrzebował. Bardzo chętnie je wezmę ze sobą, żeby je zwrócić.

– Ale jeśli teraz należy do was – powiedział Trader, podchodząc bliżej – to dlaczego nie ma w nim wody? Skoro chcecie go użyć na ryby, to czemu jest puste? I dobrze wiem, że nie jedziesz na wyścigi z gubernatorem!

Ryba wyciągnięta nad powierzchnię wody walczyła zaciekle o życie, a Andy’emu wydała się jakby znajoma.

– To pstrąg? – zapytał Mosesa. Trader znowu chciał podnieść walizkę i stęknął z wysiłku.

– Jasne – odrzekł Moses. – Piękna sztuka.

Zdenerwowany i teraz już zaniepokojony obecnością dwóch obszarpanych wędkarzy, Trader spróbował ciągnąć walizkę i zaczął kłąć. Moses podniósł miotającego się pstrąga, a Andy zauważył na dolnej wardze ryby starą ranę po haczyku. Pstrąg zauważył Tradera i udał martwego.

– Puść go – powiedział Mosesowi Andy. – Nie potrzebujemy ryby ani

krabów, ani nic innego, żeby zidentyfikować tę tłustą, kłamliwą świnię.

Zerwał sztuczną brodę i perukę z kucykiem i wyciągnął pistolet.

– Ręce do góry, Trader – polecił ostro, a Moses usunął haczyk z pyszczka ryby i wrzucił ją do wody.

– Nareszcie wolny – powiedział do odpływającego pstrąga.

– Jesteś aresztowany! – wrzasnął Andy.

Regina wydawała polecenia i również krzyczała, jednak nie osiągnęła dzięki temu większych rezultatów. Miniaturowy konik o imieniu Trip został przywieziony do rezydencji godzinę temu, ale niezbyt dokładnie słuchała instrukcji trenera i nie pofatygowała się, żeby obejrzeć nagranie wideo. Czy to takie trudne nakazać konikowi skręcać w prawo, lewo, siadać, podchodzić, czy leżeć? Okazało się, że wydawane zwierzęciu komendy nie skutkowały w najmniejszym stopniu, a Trip po prostu stał pośrodku sali balowej i patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– Rusz się – powiedziała Regina, strzelając palcami i tupiąc nogą.

Trip zamrugał, lecz nawet nie drgnął.

– Chodź tu w tej chwili! – spróbowała znowu ostrym tonem, a na zakręconych schodach pojawiła się Pierwsza Dama, niosąc pudło z trójnogami, które zamierzała ukryć w spiżarni.

– Ty kretynie! – ryknęła Regina.

– Regino! – Pani Crimm zatrzymała się, zdyszana z wysiłku. – Wiesz, że nie należy tak się zwracać do nikogo z personelu domowego!

– Ona nie do mnie mówiła, proszę pani – odezwał się Pony. – Czy mogę pani pomóc z tym pudłem?

– Co to za zamieszanie? – zapytał gubernator, wychodząc z toalety i patrząc przez szkło powiększające. Nic z tego nie rozumiał. – Gdzie ja jestem? Poszedłem do swojego gabinetu i nie znalazłem biurka. Czy ktoś je przeniósł? Co ty tam masz, Maude?

– Rzeczy do wyrzucenia – zdecydowała się szybko na kłamstwo. – Sprzątałam w jednej z szaf i natrafiłam na ten obrotowy stojak na buty, który

kupiłam na podstawie pewnej reklamy. Nie sędzę, że wiesz, o który mi chodzi, ale większość z butów na nim i tak już wyszła z mody.

– Pańskie biurko jest na dawnym miejscu – powiedział Pony gubernatorowi. – Czy mogę zaprowadzić pana na górę?

– Co to jest? – Gubernator spostrzegł konika i natychmiast się nim zachwyił. – Jaki ty jesteś śliczny! I masz taką uroczą uprząż z wygodnym, skórzanym uchwytem i, ojej, on ma nawet podkowy!

– Musi mieć podkowy, bo by się ślizgał na parkiecie – wyjaśniła ze zniecierpliwieniem Regina, a Pierwsza Dama zbiegła na dół, żeby ukryć trójnogi. – Ale on się do niczego nie nadaje. Nie chce robić, co mu każe, więc nie wiem, na co miałby ci się przydać, papo. Chodź tu! – Regina klasnęła w dłonie, ale konik okazał całkowitą obojętność. – Chodź tu, idioto, albo cię odeślę z powrotem i będziesz musiał prowadzić jakiegoś innego niewidomego, który prawdopodobnie mieszka w ruderze i nie ma obsługi, limuzyn, kucharzy i ważnych gości!

– Może mówisz do niego nie to, co trzeba – zastanawiał się gubernator, podchodząc do Tripa i klepiąc go po gęstej, rudej grzywie. – Siad – powiedział. Trip nie zareagował. – Przynieś. – Gubernator udał, że rzuca patyk. – No dobrze, idźmy dalej.

Trip posłuchał.

– Panie gubernatorze – odezwał się Pony. – Co pan chce na podwieczorek?

– Mam ochotę na dwa jajka i grzanekę – oznajmił gubernator, mierząc zmętniałym, powiększonym okiem swego konika-przewodnika.

– Na czy pod? – zapytał uprzejmie Pony.

– Pod – uznał gubernator i Trip nagle wczołgał się pod zabytkowy mahoniowy stół do gry w karty.

– Czy to nie dziwne? – spytał gubernator, klękając i próbując wywabić go spod stołu. – Myślę, że z tym koniem coś jest nie w porządku. Albo może ogłupiałaś biedaka swoimi wrzaskami, prawda? – zwrócił się do Reginy.

– Prawda – odparła ironicznie, a Trip wyszedł spod stołu, skręcił w prawo i zaczął iść przez salę balową w swych zapiętych na rzepy kapciach. – Wszystko zawsze moja wina. Uszami mi wychodzi, jak obwiniacie mnie o wszystko, co się nie uda. Jestem doskonałą opiekunką i to ten niedorozwinięty koń nic nie potrafi, a nie ja...!

– Starczy! – warknął gubernator na córkę, bo nie miał ochoty więcej tego wysłuchiwać.

Trip się zatrzymał.

– Panie gubernatorze? – Wrócił Pony. – Czy chce pan sos holenderski, masło, sól, pieprz, czy jeszcze coś innego do jajek?

Crimm zbadał stan swojej łodzi podwodnej, która od czasu kiedy przestał jeść słodczyce Majora Tradera, beztriosko unosiła się na spokojnych wodach. Więc może wcale nie musi jeść wyłącznie potraw pozbawionych smaku. Wielki Boże, czyż to nie cudowne?

– Może nawet spróbuję szynki – pomyślał na głos.

– To dodam szynki do jajek – zaproponował Pony, a Trip, ciągnąc za sobą uprząż, szedł przez salę balową.

– Czemu by nie? – stwierdził radośnie gubernator. – Ładuj!

Trip zatrzymał się jak wryty, a potem skierował do windy.

– Patrzcie państwo – zdumiał się Pony. – Ten koń idzie prosto do... gdzie on idzie? On chce jechać na...

– Górze! – przerwał mu z podnieceniem Crimm.

Trip zatrzymał się i podniósł nogę.

– Chyba zaczynam dostrzegać pewne regularności – oznajmił gubernator, podszedł do Tripa i poklepał go po głowie. – Możesz postawić nogę, mały.

Konik się nie poruszył.

– Wydaje mi się, że on reaguje tylko na jedno, najwyżej dwa słowa naraz – zauważył Pony. – Ładuj!

Konik postawił nogę i ruszył do windy. Zaskoczony i zaintrygowany lokaj poszedł za nim i nacisnął guzik na dół. Drzwi otworzyły się i Trip wsiadł.

– Zjedźmy z nim i zobaczmy, co zrobi – zaproponował Bedford, bawiąc się znakomicie.

Pojechali z Ponym i Tripem windą, a kiedy otworzyły się drzwi do kuchni, konik zamarł w oczekiwaniu.

– Niech no pomyślę. – Gubernator zastanowił się przez chwilę. – Przeciwnieństwem do „ładuj” powinno być „wyładuj”. Wyładuj – powiedział do Tripa.

Ten wyszedł z windy.

– Prawda! – wykrzyknął Pony, mając nadzieję, że gubernator wpadł na właściwy trop.

Pony skręcił w prawo i przeszedł przez otwarte drzwi, do pomieszczenia, gdzie Pierwsza Dama usiłowała wepchnąć na półkę ciężkie pudło z trójnogami. Kiedy usłyszała człapanie konika, odwróciła się i zobaczyła męża. Krzyknęła i upuściła pudło. Trójnogi rozsypały się z łoskotem po zabytkowym parkiecie.

– Starczy. – Pani Crimm chciała coś wyjaśnić, ale w przestachu myśli jej się poplątały.

Trip się zatrzymał.

– Co to jest? – zapytał gubernator ze zdumieniem, patrząc przez szkło powiększające na rozsypane trójnogi. – Ach tak – powiedział.

Zwolniony z poprzedniego polecenia Trip stał pośród walających się na podłodze trójnogów i czekał na dalsze rozkazy.

– Więc o to w tym wszystkim chodziło! – zawołał gubernator. – Robiłaś zakupy. Hmm. Ukrywałaś znowu trójnogi, a ja myślałem, że zapraszasz do rezydencji rozwiązłych młodzieńców.

– Jak ci coś podobnego mogło przyjść do głowy! – wykrzyknęła Pierwsza Dama, pochylając się, by zebrać swe ukochane zabawki, a raczej tę ich część, którą ostatnio kupiła przez Internet. – Ależ Bedfordzie! Przenigdy bym cię nie zdradziła!

– Przestań. – Gubernator chciał, żeby żona przestała podnosić trójnogi,

a Trip usłuchał komendy, nie robiąc nic, czyli stojąc w miejscu jak przedtem.

– Jak to: znowu? – zdumiała się pani Crimm. – Wiedziałaś, że ukrywam trójnogi w rezydencji?

Spojrzała oskarżycielsko na Pony’ego, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Ode mnie się tego nie dowiedział.

– Och, od czasu do czasu zdarzało mi się na nie wpaść – wyjaśnił gubernator. – Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że to rupiecie, prawdopodobnie pozostawione przez gubernatorów z ubiegłego stulecia.

– Większość z nich to nie żadne rupiecie – zaprotestowała z urazą pani Crimm. – I sporo kosztują – dodała nieopatrznie.

– Odeślij je. Zrób zwrot – polecił gubernator.

– Zwrot? Zwrot! – Pierwsza Dama podniosła gniewnie głos, a Trip zrobił zwrot i wszedł do spiżarni, kopiąc trójnog z podkową tak, że trafił w drugi, ozdobiony psem.

– A niech mnie! – zdumiał się Pony. – Myślicie, że rozpoznał podkową i dlatego na nią nastąpił? Jaki to sprytny zwierzak! A może poznał także psa i w ten sposób chce powiedzieć, że chciałby wykopać go z domu i zostać waszym największym ulubieńcem.

– Musimy ich rozdzielić – stwierdziła pani Crimm, niezadowolona, że ma jeszcze jedną rzecz, którą się musi zajmować. – Biedny Frisky. Będzie załamany, kiedy się przekona, że zwracamy więcej uwagi na tego pony niż na niego.

Jej uwaga okazała się bardzo niefortunna, bo od tej pory w mózgu gubernatora zakodowała się informacja, żeby mówić na konika Pony, co stało się bardzo mylące dla Pony’ego, lokaja.

– Chodź tu, Pony. – Gubernator próbował wywabić Tripa na zewnątrz, a Pony zareagował, wchodząc do spiżarni, gdzie znajdowali się już Trip, Pierwsza Dama i gubernator, a wszyscy razem deptali po trójnogach. – Bądź grzeczny, Pony i wyjdź stąd – powiedział gubernator, jakby Trip był ich psem, Frisky, i miał teraz dostać psi przysmak.

Pony wyszedł ze spiżarni, a Trip nie ruszył się z miejsca.

– Uparciuch z ciebie, Pony – powiedział ostro Crimm.

– Najmocniej pana przepraszam – zaczął Pony, teraz już kompletnie nic nie pojmując. – Nie chciałem w żadne sposób pana urazić. Rozumiem, że chce pan jajka pod grzanką. I jak to było? Ładuj? Tak pan chyba powiedział.

– Prawda – odrzekł z roztargnieniem Bedford, obserwując przez szkło powiększające, jak konik Trip wychodzi ze spiżarni, przechodzi pod stołem, a potem kieruje się do windy, skąd skręca na prawo, trafiając w rezultacie do kuchni.

– Nigdy w życiu nie widziałem tak niezwykłego zwierzaka! – zdumiał się Pony. – Proszę tylko popatrzeć, panie gubernatorze. Wydaje mi się, że zamierza usmażyć panu jajka. A teraz słuchaj. – I Ładuj. Tak masz naszykować swojemu panu jajka.

Trip przeszedł pod stołem rzeźniczym i ruszył do windy.

– Żartowałem sobie – zwrócił się z lekkim zawstydzeniem Pony do gubernatora i jego żony. – Wiem, że nie ma na świecie konia, który by umiał gotować. Bo gdyby tak było, mogliby państwo mieć takie zwierzaki w rezydencji i nie potrzebowaliby więźniów.

– Za nic nie zjadłabym czegoś, co przyrządził koń – oświadczyła z niesmakiem pani Crimm. – Pomyśl tylko, jakie to byłoby niehigieniczne.

– A właśnie – powiedział gubernator, idąc za Tripem. – Muszę wyjaśnić twoją sprawę z zarządem więzienia. Zaraz do nich zadzwonię.

– To znaczy że czytał pan te miłe słowa, jakie Tropiciele Prawdy napisał na temat pomocy dla mnie – stwierdził Pony z radością i zdumieniem. – Bardzo bym chciał wiedzieć, kto to jest, bo powinienem mu złożyć najserdeczniejsze podziękowania.

ROZDZIAŁ 28

Hej! Zamknijże się, do kurwy nędzy! – Z wnętrza zatłoczonej, ciemnej, cuchnącej celi dobiegł wściekły głos. Było już późno w nocy i w miejskim więzieniu pogaszono światła jakiś czas temu.

– Sam się zamknij! – warknął Major Trader do nudnego bandyty, który używał ksywki Stick i znalazł się tutaj, rozbiwszy sobie głowę, którą podobno zasłaniał sobie torbą, a potem udawał nieprzytomnego w nadziei, że zawiozą go do szpitala, skąd ucieknie. Niestety plan zawiódł.

– Stul pysk! – włączył się inny więzień, a Traderowi wydawało się, że agresywny głos należy do Slim Jima, recydywisty, specjalizującego się w forsowaniu zamków do samochodów i kradzieży pieniędzy na opłaty za autostrady oraz okularów przeciwsłonecznych.

– Sam stul pysk! – odpowiedział mu Trader. Był w bardzo złym humorze i nie zamierzał pozwalać, żeby ktokolwiek nim pomiatał.

– Nie! To ty się zamknij, sukinsynu! – Stick obudził się na dobre i zrobił się nieprzyjemny.

– *Si* – włączył się młody Meksykanin. – Wszyscy się zamknijcie, *porfavor*.

– Nie wcinaj się, ty meksykański wypierdku – ostrzegł go Trader.

– Phi! – burknął meksykański chłopiec, obrażony. – Widzieć, jak ty skakać dookoła śmietnik.

– No, no – odezwał się Stick. – Wiedziałem, że ten gość to czubek. Dlaczego skakał dookoła śmietnika?

– On chyba sobie walić koń – wyjaśnił młodociany Meksykanin, który jeszcze nie ujawnił policji swego nazwiska ani tego, że jest nieletni. – Bo ja się ukrywać przed policja za tym barem i widzieć, jak on skakać i trzymać się za kutas i tak dziwnie stękać. Więc ja uciec, bo może on loco.

– No to masz, kurwa, szczęście, że trafiłeś z nim do jednej celi – stwierdził z ironią Stick, poprawiając sobie płaską poduszkę pod głową. – Wszyscy mamy szczęście, że znalazł się tu ten popaprany, spasiony loco, nie?

– No co, dlaczego żeś tak skakał, co? – dopytywał się Stick.

– Nie twój pieprzony interes. Ale nic się nie dzieje bez powodu, a ja nigdy nie robię niczego bez motywu.

– Ha, ha, lokomotywa – rzucił drwiąco Slim Jim. – Obok mnie leży na łóżku Lokomotywa.

– Bardzo proszę, przestańmy się kłócić. Wystarczy, że tu w ogóle jesteśmy. Na miłość boską, okażcie trochę powagi i módlcie się o zgodę i spokój – odezwał się wielebny Pontius Justice, który zawiózł Barbie Leslie kilka taśm wideo do domu, a potem w drodze do domu miał nieszczęście zaproponować stosunek oralny pewnej kobiecie. Niestety, nie była ona prostytutką, lecz starą panną, której się zepsuł samochód i wyczerpała bateria w telefonie komórkowym.

– A na co mi pańskie dwadzieścia dolarów? – spytała stara panna, mówiąca z dziwnym akcentem, kiedy wielebny Justice gestem nakazał jej zbliżyć się do cadillaca. – Jeśli chcesz mi dać na taksówkę, mały, to bardzo miło, ale ja nie przyjmuję pieniędzy od obcych.

– Wszystko mi jedno, na co je wydasz – odparł wielebny Justice. Był trochę podпиты, wyczerpany i zniechęcony promowaniem swojego nowego programu straży sąsiedzkiej, który nie zapobiegł dotąd ani jednemu przestępstwu. – Wskakuj i zajmij się mną, a potem dostaniesz ten nowiutki dwudziestodolarowy banknot całkiem dla siebie. Widzisz?

Stara panna, która nazywała się Uva Ciot, była znacznie starsza, niż

myślał wielebny, kiedy zauważył ją po raz pierwszy w ciemnościach. Podeszła do cadillaca, zapisała numer rejestracyjny i zaczęła wzywać pomocy. Wielebny Justice odjechał więc czym prędzej, ale po chwili dogonił go wóz policyjny na sygnale i z pulsującym jak ból w głowie wielebnego światłem na dachu.

– Jak tu trafiłeś? – zwrócił się wielebny w tę stronę w ciemnościach, gdzie wypełniał łóżko Trader, jak wielki wór z kartoflami.

– Jestem piratem – odparł Major niemiłym tonem.

– Boże, zachowaj nas! – wykrzyknął z przerażeniem wielebny. – Chyba niejednym z tych, którzy pobili tego biednego kierowcę i ukradli mu dynie?

– A co cię to obchodzi!

– Boże, ratuj!

– I lubię robić krzywdę małym zwierzątkom – dodał Trader, bo wiedział wystarczająco dużo o psychopatach, żeby się orientować, że każdy z nich zaczynał swój ohydny żywot od dręczenia bezradnych stworzeń.

On sam, na przykład, nigdy nie odczuł cienia wyrzutów sumienia, kiedy podpalił hodowlę krabów, mordując matki z młodymi i inne sztuki, zrzucające skorupę, chwilowo pozbawione ochronnego pancerza. Nie zmartwił się ani odrobinę, że spłonęły barki i nie przejąłby się wcale, gdyby poszedł z dymem zabytkowy Hilda's Chesapeake House, albo nawet cała wyspa Tangier. Spokój jego umysłu nie został zakłócony w najmniejszym stopniu, kiedy zlecił Dymkowi i jego bezlitosnym piratom drogowym porwanie bostońskiego teriera komendant Hammer. Major spodziewał się, że Wytrzeszcz już dawno zginęła okrutną śmiercią. To byłoby dobrą nauką dla tej dziwki z policji stanowej.

– Co? – odezwał się z dezaprobatą Stick. – Takich rzeczy nigdy nie robiłem i nie będę. Chyba musimy utopić go w wychodku – powiedział do reszty więźniów. – Dwóch z nas go przytrzyma, a jak ktoś będzie miał wolną rękę, to wepchnie mu głowę do muszli.

– Ktoś przejechał mojego pieska, kiedy byłem wciąż w ósmej klasie*.[*]

Ucząc się zgodnie z programem, do ósmej klasy (ang.: eighth grade) uczęszcza się w szkole amerykańskiej w wieku trzynastu-czternastu lat.]

– Slim Jim był smutny i przejęty. – Nigdy nie wróciłem po tym do siebie, a ten dupek, który to zrobił, nawet się nie zatrzymał.

– Jak to, wciąż w ósmej klasie? – zdziwił się Snitch. Usiadł na pryczy i podłożył sobie poduszkę pod obolałe plecy, opierając się o ścianę z pustaków.

– No wiesz, jakoś nie mogłem zdać do następnej – wyjaśnił Slim Jim.

– Trochę jak tutaj, wicie? Co roku mówili, że muszę powtórzyć ósmą klasę, a wszystko przez panią Puck, moją wychowawczynię.

– Założę się, że po ósmej klasie krążyło mnóstwo żartów o pukaniu – zauważył Stick.

– No. To właśnie wkurzało ją najbardziej – odparł Slim Jim, wracając pamięcią do przykrego okresu w swym nieudanym życiu. – Puk-puk?

Czekał na reakcję współtowarzyszy niedoli. Wreszcie zareagował wielebny.

– Kto tam? – zapytał.

– Zamknijcie się! – burknął z obrzydzeniem Trader.

– Kto się ma zamknąć? – dopytywał się wielebny, zadowolony, że pojawiła się okazja do zmiany tematu.

– Wsadzić pysk tego pieprzonego pirata do sracza i spuścić wodę!

– Właśnie, skąd mam wiedzieć, że to nie ty przejechałeś mojego pieska? – rzucił oskarżycielsko Slim Jim w stronę pryczy Tradera.

– Przede wszystkim dlatego – oświadczył chłodno Major – że bardzo wątpię, żebym kiedykolwiek przebywał w twojej gównianej dzielnicy. Nie wątpię, że mieszkałeś w komunalnym domu, a czas wolny spędzałeś na ulicy, jedząc darmowy ser, i biegałeś w kradzionych adidasach.

– Jeszcze raz mnie wkurzysz – zagroził Slim Jim – a przyjdę do ciebie i dam ci w łeb, a potem wepchnę ci pysk do kibla i twoja śmierdząca dusza spłynie do ścieku, gdzie jej miejsce!

– Panowie, proszę! – zaprotestował wielebny. – Teraz jest pora na modlitwę o wybaczenie, szukanie pojednania i miłości bliźniego jak siebie samego!

– Nigdy nie lubiłem siebie – przyznał Snitch z przygnębieniem.

– Ja też nie – dodał smutno Slim Jim. – Od kiedy ten gość przejechał na moich oczach mojego pieska, przestałem się lubić. Uznałem, że lepiej niczego nie kochać, bo jeśli się kogoś pokocha, to widzicie, co się dzieje.

– Powiedz nam – włączył się Stick.

Opos siedział w przyczepie sam, bo Dymek z resztą piratów pojechali w miasto, a on się wykręcił, mówiąc, że musi jeszcze wykończyć ich flagę, więc mógł zostać z terierką.

– Masz wiadomość! – odezwał się nagle komputer.

Opos poczuł przypływ adrenaliny. Zazwyczaj posyłał e-maile do innych piratów, którzy o tej porze byli pijani albo naćpani i trzymali się z dala od komputerów. Usiadł na drewnianej skrzynce i kliknął myszą, żeby sprawdzić, co przyszło. Kiedy zobaczył, że nadawcą jest Tropiciele Prawdy, ucieszył się i przestraszył.

Drogi Anonimie,

Musisz być przyzwoitą osobą, skoro przesłałeś mi tak ważne informacje. Czekałem na dalsze wiadomości od Ciebie, ale skoro nie piszesz, postanowiłem się z Tobą skontaktować. Na pewno ucieszy Cię wiadomość, że Kapitan Bonny (alias Major Trader) został ujęty i obecnie przebywa w więzieniu. Zadbalem o to, a teraz proszę Cię, żebyś dotrzymał swojej części umowy.

Co to za intryga, z którą związana jest Wytrzeszcz? I skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Chciałbym móc uwierzyć, że nie chcesz niczyjej krzywdy. Gdzie możemy się spotkać, żeby rozwikłać tę kwestię i jak możemy uratować psa?

Tropiciel Prawdy

Opos siedział przez chwilę. Był podekscytowany, ale bał się o swoje życie. Jeśli wyda Dymka i resztę załogi, a coś się nie uda, zginie sam i Wytrzeszcz także. Pogłaskał suczkę, która wskoczyła mu na kolana i wyglądała tak, jakby czytała e-mail od Tropiciela Prawdy, chociaż chłopak wiedział, że to niemożliwe. Psy nie umieją czytać – nie znają alfabetu. Większość znanych Oposowi ludzi też nie umiała czytać, w tym pozostali piraci. Nawet Dymek i ta jego szurnięta panienska mieli z tym spore kłopoty i zazwyczaj zdobywali potrzebne sobie informacje albo od Oposa albo z dziennika telewizyjnego.

– Co mam robić, Wytrzeszcz? – szepnął.

Suczka wzięła w zęby ołówek i zaczęła nim stukać w klawiaturę. Opos patrzył z niedowierzaniem, jak na ekranie pojawiają się cztery słowa: PO PROSTU ZRÓB TO.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że umiesz czytać i pisać? Ty nawet znasz reklamę Nike! – szepnął Opos, tuląc ją do siebie.

Wytrzeszcz polizała go w szyję. Proszę, uratuj mnie, błagała bez słów.

– Co mam zrobić? – zapytał Opos, a wyrazy na ekranie wydawały się pulsować jak światło jadącej na sygnale karetki pogotowia.

Terierka zeskoczyła mu z kolan i zaczęła drapać flagę Wesołego Goodwrencha.

– Myślisz, że to rzeczywiście zadziała? – zapytał ją Opos. – Przecież to był mój własny pomysł, skąd wiesz, po co naprawdę zrobiłem tę flagę? Ale jeśli to się nie uda, piesku? A jeśli Dymek nas wszystkich zastrzeli?

Wytrzeszcz zwinęła się na fladze i zasnęła, jakby chciała powiedzieć, że wcale się tym nie martwi. Wiedziała coś, o czym Opos nie miał pojęcia. Tropiciel Prawdy to w rzeczywistości Andy Brazil, a on nie zna lęku i na pewno zwycięży zło. Tak samo właścicielka terierki. Wytrzeszcz nie była jednak pewna, co może się stać z Oposem. Nie chciała, żeby trafił do

więzienia albo żeby spotkała go jakaś kara. Obudziła się i zeskoczyła z łóżka. Podrapała drzwi, dając znać chłopcu, żeby je otworzył, a on posłuchał. Pobiegnęła do pokoju dziennego i przegrzebała talię starych kart, aż natrafiła na asa pik, którego zaniósł przyjacielowi.

– Nie bardzo cię rozumiem – szepnął jej Opos. – Ale zaraz, zaczekaj. Może chodzi ci o to, że powinienem mieć asa w rękawie?

Patrzyła na niego tak, jakby był na dobrej drodze, ale jeszcze nie trafił na właściwą odpowiedź.

– Albo że powinienem grać? Nie zareagowała.

– Blefować?

Wytrzeszcz zaczęła się niecierpliwić. Dlaczego ludziom tak trudno jest zrozumieć zwierzęta? Zwierzęta wszystko mówią wprost, nie kłamią ani nawet nie ukrywają prawdy. Jeśli nie są chore albo nie traktuje się ich w brutalny sposób, pragną tylko żyć szanowane i kochane. Wytrzeszcz wyrwała chłopcu kartę z ręki i ją rzucać na stół, pozorując grę.

– Mam to rozegrać? – Opos podrapał się po głowie, a Wytrzeszcz z uznaniem polizała go w bosą stopę. – O to ci chodzi? Mam to rozegrać z Tropicielem Prawdy?

Suczka wskoczyła mu na kolana i polizała go po twarzy. Chłopiec odetchnął głęboko i zaczął pisać. I w samą porę, bo Andy już, już chciał przestać czekać na odpowiedź.

Drogi Tropiciele Prawdy,

Przysięgam, że możesz mi zaufać. Ale muszę wiedzieć, czy będę miał kłopoty, jeczeli Ci pomogę. Widzisz, Dymek i piraci drogowi poniekąd tszymają mnie w szachu i jak ich wydam, nawet jeśli wszystko pójdzie gładko, to pewnie trafię do wienzienia.

To właśnie ja postszeliłem Moseesa Custeru w stopę, zrzucając mu but, ale tylko dlatego, że nie miałem wyboru i gdybym tego nie zrobił, Dymek by mnie stłukł albo nawet zabił. A on zawsze powtana, że zemści się na psie,

jeśli nie zrobię tego, co karze.

Naprawdę nie wiem, co robić.

Andy przeczytał e-mail. A więc to ten łobuz Dymek, kryje się za porwaniem Wytrzeszcz. Brazil wiedział, że nie należy lekceważyć tego kryminalisty. Z ulgą stwierdził, że ma doskonałą pozycję, żeby zawrzeć uczciwą ugodę z anonimowym piratem, więc szybko napisał kolejny list.

Drogi Anonimie,

Kula, którą, jak twierdzisz, wystrzeliłeś w Mosesa, chybiła. Był w szpitalu dlatego, że piraci poważnie go pobili i pokaleczyli. Czy ty też go biłeś? Albo poraniłeś?

Tropiciel Prawdy

Drogi Tropicielu Prawdy,

Nie! Prócz tego, że stszelałem, pomagałem tylko wrzucać dynie do żeki. Co do poranienia, to sprawka tej Unicjue. Bardzo się cieszę, że chybiłem! Może wreszcie będę mugt to sobie wybaczyć, a Hoss nie będzie już na mnie wściekły.

Andy nie bardzo rozumiał, o co chodzi z tym Hossem, ani też co to za Unique poraniła Mosesa, ale uznał, że należy zaryzykować.

Drogi Anonimie,

Na pewno wiesz, że Hoss nie chciałby, żeby piraci znowu napadli na kogoś i żeby jeszcze komuś stała się krzywda – w tym także Wytrzeszcz. Wątpię też, żeby Hoss był na Ciebie wściekły, bo wie, że kula nie trafiła Mosesa. Hoss wie wszystko. Prawdopodobnie trochę się rozczarował, że nie od razu wydałeś Dymka i jego bandę. Nadszedł czas, aby wszystko naprawić, a możesz zacząć od tego, żeby powiedzieć mi, jak znaleźć Dymka i resztę tak, żeby się niczego nie domyślili. Jeśli to zrobisz, nie będziesz ukarany

w zamian za udzielenie pomocy policji. I myślę, że już chyba wiesz, że możesz mi zaufać.

Tropiciel Prawdy Odpowiedź pojawiła się po chwili.

Drogi Tropicielu Prawdy,

Idź na wyścigi i szukaj załogi mehaników z flagą Wesołego Goodwrencha. To będziemy my, piraci. Wezmę ze sobą Wytrzeszcz i postaram się nie wchodzić w drogę, ale powinieneś wiedzieć, że w chwili obecnej Kot pobiera lekcje pilotarzu od człowieka z policji stanowej, który prowadzi helikopter, bo zamierza nas zawieść na Tangier po tym, jak Dymek zabije wielu ludzi.

– Chryste Panie – mruknął Andy, czytając wiadomość. Znał tylko jednego policjanta, który mógł w chwili obecnej udzielać lekcji, bo w chwili obecnej w policji stanowej szalenie brakowało pilotów. – Macovich, ty idioto! – powiedział głośniej. – Co ty do cholery wyrabiasz?

Macovich nie był aniołem, a także nie błyszczał inteligencją. Andy spróbował domyślić się, co mogło nim kierować. Przeszukał teczkę i znalazł dokumenty sprawy Mężczyzny z Workiem, którą prowadził w zeszłym roku. Wykręcił numer telefonu Hooter Shook.

Po dłuższym czasie w słuchawce odezwała się zaspana Hooter.

– Halo?

Uznała, że to Macovich, który ostatnio często do niej wydzwaniał i zatrzymywał się przy jej budce, nawet kiedy wcale nie musiał. Ten człowiek to maniak seksualny, pomyślała gniewnie. Nigdy dotąd z czymś takim się nie spotkała. Większość mężczyzn na pierwszej randce dawało jej godzinę albo dwie, żeby się mogła zdecydować, czy w ogóle zamierza myśleć o trzymaniu się za rękę i wbijaniu sobie języka do gardła. Macovich cały czas obmacywał ją pod stołem, kiedy siedzieli w zacisznym kącie we Freckles. A szkoda. Nawet dosyć się spodobał Hooter, kiedy rozmawiali przy pacholkach.

– Mówiłam już, żebyś do mnie nie dzwonił! – warknęła, zanim Andy

zdołał powiedzieć choć słowo.

– To było już dosyć dawno – odezwał się Andy. – Niech zgadnę, myśli pani, że to funkcjonariusz Macovich?

– No właśnie, ale to chyba nie on – odparła Hooter, uspokajając się.

– Mówi Tropiciel Prawdy – powiedział śmiało Andy.

– No nie... to jakieś żarty – odrzekła Hooter podejrzliwie. Nie rozpoznała Andy'ego, bo głosy większości białych były dla niej podobne. – To niemożliwe, żeby Tropiciel Prawdy do mnie zadzwonił.

– A właśnie że tak – oświadczył pewnym tonem Andy. – I robię to dlatego, że potrzebuję pani pomocy. Dowiedziałem się, że była pani wczoraj wieczorem na drinku we Freckles z Macovichem.

– Taa. I co to był za wieczór. Długo by opowiadać.

– Czy płacił czekiem?

– Nie widziałam żadnego czeku – powiedziała Hooter. – Bo wyszłam, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem ten wariat chciał sobie odstrzelić klejnoty...

– Tak, wiem – przerwał jej uprzejmie Andy. – Ale chciałbym wiedzieć, czy widziała pani, żeby Macovich wyjmował portfel?

– Aha. Płacił za każdą kolejkę, bo byliśmy tam jedynymi Afroamerykanami i przypuszczam, że nie mieli do nas wystarczająco zaufania, żeby nam wpisywać na rachunek..

– Bardzo wątpię, że to dlatego – zapewnił ją Andy. – Oni tam we Freckles tacy nie są, ale łatwo zakładać najgorsze, kiedy się już było potraktowanym niesprawiedliwie. Ale może Macovich nie prosił ich o kredyt, bo lubi się popisywać pieniędzmi, zwłaszcza jeśli chciał pani zaimponować.

Nastała chwila milczenia, bo Hooter musiała to sobie przemyśleć.

– Cóż – przyznała wreszcie. – Chyba ma pan rację, faktycznie, wymachiwał forszą, chociaż ja wcale tego nie lubię, bo na pieniądzech jest całe mnóstwo bakterii, a on dobrze wie, co na ten temat sędzę. A w dodatku łapał mnie za nogi pod stołem, kiedy tam siedzieliśmy. Ale jak teraz o tym

myślę, to nie pamiętam, żeby prosił o założenie rachunku, więc może rzeczywiście oceniłam tych z baru trochę pochopnie. Wie pan, w budce zawsze spotykam ludzi, którzy nie odpowiadają mi „dziękuję” ani „miłego dnia”, chociaż ja im to pierwsza mówię. I zawsze uważałam, że to dlatego, że nie jestem biała.

– Ludzie są po prostu gburowaci albo zbyt zajęci samymi sobą – odrzekł Andy.

– No, pewnie tak – zgodziła się z nim Hooter. Wyraźnie złagodniała i senność minęła jej całkowicie. – Ale miał pieniądze i popisywał się nimi – dodała, wracając do Macovicha. – Musi pan wiedzieć, że było tam pełno dymu, ale wymachiwał pieniędzmi i widziałam, że ma sporo dwudziestodolarówek, a jestem gotowa przysiąc, że w pewnym momencie zauważyłam nawet banknot studolarowy. W mojej budce nigdy takiego nie dostałam i nie widziałam nigdy przedtem.

A więc Macovich udzielał piratowi o ksywce Kot lekcji pilotażu i prawdopodobnie dostawał sto dolarów gotówką za każdą z nich. Prawdopodobnie robił to wieczorem albo po godzinach pracy, kiedy mógł mieć pewność, że poza nim w hangarze policji stanowej nikogo nie będzie. Andy przeszedł do kuchni, żeby zobaczyć, która godzina. Było trochę po pierwszej w nocy. Założył cywilne ubranie, zabrał broń i krótkofalówkę i poszedł do samochodu.

Na lotnisku zastał dokładnie to, czego się spodziewał. Helikoptera Bell 430 nie było w hangarze, za to na asfalcie wały się liczne świeże niedopałki papierosów „Salem Light”, nawet w pobliżu cysterny z paliwem. Andy przełączył radio na powietrzną częstotliwość policji.

– Cztery-trzy-zero-Sierra-Papa – powiedział.

Jego głos zaskoczył i przestraszył Macovicha. W tej samej chwili Kot, ubrany w strój mechanika z NASCAR, ćwiczył podejście do lądowania nad pobliskim lotniskiem w Chesterfield.

– Trzydzieści-Sierra-Papa – odpowiedział policjant, usiłując sprawić

wrażenie, że zajmuje się czymś najzupełniej niewinnym.

– Kto to? – zapytał Kot.

– Moment – rzucił Macovich do Andy'ego. – To wieża kontrolna – wyjaśnił chłopakowi przez interkom, bo nie zamierzał popełnić drugi raz poprzedniego błędu i rozgłaszać tego, co mówi prywatnie.

– Chcę z nimi porozmawiać – domagał się Kot, myśląc kierunku. – Muszę ćwiczyć używanie radia.

– Nie teraz – odrzekł Macovich przez mikrofon. – Teraz musisz lecieć dalej, bo jesteś za wysoko, a przypuszczam, że wieża ma zastrzeżenia do tego, jak lataasz, więc lepiej niech ja się tym zajmę, a ty zdejmij na chwilę słuchawki, bo to, co powiedzą, nie będzie miłe, zapewniam! I nie zbliżaj się tak bardzo do płotu! Podciągnij helikopter na dwieście pięćdziesiąt metrów i, na litość boską, leć prosto, a ja z nimi pogadam!

Kot zdjął słuchawki i mrużąc oczy, usiłował dostrzec przez okulary przeciwsłoneczne rysującą się przed nim ciemną linię drzew.

– Trzydzieści-Sierra-Papa – zgłosił się Macovich. – Jestem teraz bardzo zajęty.

– Przyjąłem. Dobrze to wiem. – Usłyszał w odpowiedzi. Ton głosu Andy'ego świadczył, że Brazil dobrze wie, czym się zajmuje kolega. – Twój uczeń narusza przepisy – dodał Andy.

– Jak to? – Macovich zaniepokoił się na dobre. Pociągnął odruchowo za ster, żeby przelecieć nad drzewami, co już nawet przestał zauważać, bo musiał stale dokonywać poprawek, kiedy udzielał lekcji temu debilowi.

– Powiedz swojemu uczniowi, że wieża żąda, żebyście natychmiast wylądowali – polecił mu Andy.

– Przyjąłem – odpowiedział niechętnie pilot i postukał w słuchawki Kota, polecając mu gestem, żeby je założył. – Mamy problem – powiedział mu. – To moja jednostka. Niech ci nie muszę powtarzać, że masz natychmiast oddać ster! Zarząd Lotnictwa Cywilnego coś do nas ma, będę musiał się przed nimi gęsto tłumaczyć, żebyś nie wpadł w poważne kłopoty i żeby nam

nie dali szlabanu.

– Kurwa! – wykrzyknął Kot. Wyścigi! Lepiej żeby nie było żadnych pieprzonych problemów! – Mój kierowca nie będzie tolerował żadnych problemów, a on się przyjaźni z gubernatorem i prezydentem Stanów Zjednoczonych, i załatwi, żeby cię wypieprzyli na zbity pysk!

– Już ty się nie bój – odrzekł Macovich, wracając pośpiesznie na lotnisko w Richmondzie. – Ja się tym zajmę.

Jednak przede wszystkim zajęto się Kotem, który po godzinie znalazł się w przepełnionej celi aresztu miejskiego, gdzie więźniowie cały czas kazali sobie nawzajem się zamknąć i dyskutowali o jakimś piesku, przejechanym przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Andy zadzwonił do Judy Hammer, jak tylko wrócił do domu. Poinformował ją o wszystkim, co się wydarzyło, dodając pocieszającą wiadomość, że Wytrzeszcz prawdopodobnie żyje i zostanie uwolniona na wyścigach Winston Series.

– Przeklęty łobuz – syknęła szefowa o Macovichu. – Jak się pojawi na komendzie, to może od razu oddać broń i odznakę. Zadzwon do niego i powiedz, że jutro ma się zgłosić do mojego gabinetu punktualnie o ósmej rano.

– Z całym szacunkiem pozwolę sobie zaprotestować – powiedział Andy. – Dymek i jego banda nie wiedzą, że odkryliśmy Kota i że jest w areszcie.

– I że dla nich przepadł – przypomniała mu Judy Hammer. – Nie myślisz, że nabiorą podejrzeń, kiedy nie przyleci po nich na wyścigi?

– Znalazłem chyba na to sposób.

– Miejmy nadzieję.

– Przewiozę gubernatora czterystasiódemką i dopilnuję, żeby on, Moses Custer i cała reszta znaleźli się bezpiecznie w łoży – tłumaczył Andy swój plan. – I porozstawiamy co najmniej dwudziestu policjantów i ochroniarzy w strategicznych punktach. A Macovich musi przewieźć Dymka i jego piratów tak, jak to ustalili. Proszę się nie martwić, wszystko załatwię.

– Bzdury, Andy! – Pani Hammer nie dawała się przekonać. – Na tym cholernym wyścigu będzie pewnie ze sto pięćdziesiąt tysięcy widzów. Dwudziestu policjantów nie ochroni gubernatora i jego gości i nie opanuje takiego tłumu, gdyby coś poszło nie tak. Wystarczy jeden strzał i wybuchnie panika; ludzie się będą zdeptywać. Samochody zjadą z trasy i powpadają na siebie. To będzie straszliwa katastrofa i chyba nie dysponujemy środkami, żeby ją opanować.

A jeśli Tangier też zechce sprawiać kłopoty? Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek zdołało odwieść ich od przekonania, że NASCAR zamierza przejąć wyspę, a wyścigi to najlepsza chwila, żeby rozpocząć jakieś wrogie działania. – Hammer malowała kolejny czarny scenariusz. – Powinniśmy umieścić policjantów także i na wyspie. Szczerze mówiąc, mógłbyś napisać felieton i przekonać ich, żeby się uspokoili, ale wątpię, żeby ktoś tam w ogóle miał komputer.

– Nie dostawałem wiadomości od nikogo z nich – odrzekł Andy – więc chyba ma pani rację. Nikt tam mnie nie czyta. Ale sądząc z liczby anten satelitarnych, z pewnością oglądają telewizję. Mogę napisać następny felieton, który trafi do wiadomości przed wyścigiem.

Pomyślał o Fonnym Boyu i pordzewiałym kawałku żelaza i uznał, że nic lepiej nie podziała na wyobraźnię wyspiarzy niż wartościowe przedmioty, które mogłyby im zostać odebrane przez obcych. Andy zaczął komponować e-mail, zawierający polecenie dla Anonima, żeby zostawił komputer ustawiony na stronie Tropicielea Prawdy i czekał na następny felieton. W dodatku Anonim miał poinformować Dymka, że Kot jest zajęty ćwiczeniem autorotacji i przeprowadza *próbny lot* i spotka się z nimi na Tangierze po wyścigu, bo robi rozpoznanie okolicy i szuka miejsca na ich nową kwaterę.

Powiedz Dymkowi i reszcie, że Kot dowiedział się o ukrytych skarbach. Instruktor podrzuci go na wyspę, a potem, zgodnie z planem, przetransportuje

Dymka i resztę na wyścigi, następnie zaś zabierze na Tangier, gdzie będzie czekał Kot na łodzi, wydobywając skarb, żeby go nikt nie ubiegł – napisał Andy do Anonima. – Zakładając, że Kot nie ma komputera ani nie potrafi go używać, powiedz tylko, że ta informacja przyszła od instruktora latania, policjanta Macovicha, który postanowił przyłączyć się do piratów i zostać waszym pilotem. Zgodził się załatwić wam broń i sprzęt do nurkowania, zająć się praniem pieniędzy i latać do Kanady i gdzie jeszcze zechcecie, w zamian za skromny udział w skarbie.

Opos trochę się przestraszył, kiedy dostał wiadomość od Tropiciele Prawdy, ale był gotów zrobić to, o co go proszono i zostawić komputer włączony na jego stronie internetowej i przekazać informację Dymkowi. Poza tym miał jeszcze jedno pytanie.

Drogi Tropiciele Prawdy,

To ostatni raz kiedy piszę, ale powinienes już usunąć zdjęcie Wytrzeszcz w czerwonym ubranku z pierwszej strony. Gdyby Dymek je zobaczył, to byłby koniec z nią, bo on nie wie, że ktoś jej jeszcze szuka poza panią komendant, ktorej Dymek ją ukradł.

P.S. Teraz wołają mnie Opos, ale nazywałem się jeremiah Little, zanim Dymek zmusił mnie do zostania piratem drogowym, grożąc mi w przeciwnym wypadku śmiercią. Czy mógłby Pan zadzwonić do mojej mamy i powiedzieć jej, że u mnie wszystko ok i nie mam rządnych kłopotów i dowiedzieć się, czy wciąż mieszka z tatą, bo jeśli tak, to nie będę mógł wrucić do suteryny i nie ma dla mnie miejsca w domu, gdybym się uwolnił od Dymka i wyprowadził z przyczepy.

P.S. P.S. Niech Pan nie zapomni o sfojej obietnicy!

Andy odpowiedział natychmiast, zapewniając Oposa, że zdjęcie Wytrzeszcz natychmiast zniknie, a Tropiciel Prawdy zaraz zadzwoni do

mamy chłopaka i dotrzyma wszystkich obietnic. Andy napisał także:

Kiedy będziecie mieli odlecieć z toru, wsiądź pierwszy na tył dużego helikoptera, który będzie pilotować policjant Macovich. Przesuń się przez siedzenie razem z Wytrzeszcz, wyskocz przez drugie drzwi i biegnij jak najprędzej w stronę przyczepy kempingowej z flagą Wirginii i sześcioma pomarańczowymi pachołkami na froncie. Przyczepa będzie dobrze widoczna po drugiej stronie płotu otaczającego lądowisko helikopterów, a ja będę siedział przed nią na krześle turystycznym, udając pijanego fana NASCAR. Trzymaj się z daleka od tylnych łopat helikoptera!

Powodzenia! Tropiciel Prawdy

ODKRYCIE SKARBU PIRATÓW KWESTIĄ KILKU GODZIN!

Tropiciel Prawdy

Niedawne aresztowanie doktora Shermana Faux (dentysty-oszusta, którego każdy powinien unikać) doprowadziło do niezwykłego odkrycia. Zaintrygowało ono historyków morza, archeologów oraz poszukiwaczy skarbów z całego świata.

Jeżeli Wy, moi wierni czytelnicy, zastanawiacie się, dlaczego nigdy nie słyszeliście o słynnym skarbie korsarzy z czasów wojny o niepodległość, to mogę to zaraz wyjaśnić. Nikczemny oszust, Major Trader, znany jest z manipulowania wszelkimi oficjalnymi wiadomościami dotyczącymi naszego stanu, które przekazywane są po całym kraju i do innych państw. Dlatego też bliskie wydobywanie wraku w Chesapeake Bay, co niewątpliwie doprowadzi do odkrycia niezwykłego skarbu piratów, to informacja, której Trader i jemu podobni nie chcieliby udostępnić ogółowi społeczeństwa, a zwłaszcza mieszkańcom wyspy.

Podczas wojny o niepodległość najszynniejszym i najgroźniejszym brytyjskim korsarzem był Joseph Wheland Junior, który zaczął swą

gwałtowną, łupieżczą karierę w roku 1776, napadając i kradnąc w imieniu korony brytyjskiej. Już wkrótce miał pod swoją komendą niedużą flotę i uderzał, gdzie tylko zechciał, paląc plantacje położone nad Chesapeake Bay i rabując bydło, niewolników, meble, rodzinne srebra, klejnoty i inne wartościowe przedmioty, jakie tylko wpadły w ręce jemu i jego ludziom... a nie w głowie im były zwycięstwa wojenne albo lojalność wobec królestwa. Krótko mówiąc, Wheland stał się czystej krwi piratem i obrał sobie Tangier na zimowe leże.

Z pirackiego gniazda na Tangierze, Wheland wyruszał ze swą rosnącą flotyllą kanonierek i atakował statki, by mordować i łupić. Nie ma pełnej dokumentacji tego, co zrabował, ani ile okrętów zatopił, ani też ile jego jednostek zatonęło przy brzegach Tangieru i sąsiednich wysp, ale wiadomo, że przez ponad dwieście lat skarb korsarzy spoczywał w mule na dnie zatoki. Opinia ta opiera się na logicznym rozumowaniu.

Bandyci tak bezlitośni jak Wheland napadali nie tylko na normalnych żeglarzy; nie mieli nic przeciwko atakowaniu podobnych sobie, o ile tylko wiedzieli, że zdołają wyjść z bitwy cało. Dlatego jeżeli w okolicy znajdował się jakiś załadowany łupem piracki statek, Wheland nie wahał się go napaść, chyba że uznał, iż przeciwnik okaże się silniejszy. Pod tym względem Wheland i jego załoga nie różnili się niczym od dzisiejszych handlarzy narkotykami. Kiedy ci ostatni zatrzymują się w Wirginii podczas podróży z Nowego Jorku do Miami, często się zdarza, że kupują broń albo heroinę, a potem wyciągają pistolety i otwierają ogień. Rzecz w tym, że ten, kto zwycięży, zdobywa nie tylko łup, ale też pieniądze albo kontrabandę, która miała stanowić zapłatę. Dodatkową korzyść stanowią gotówka i narkotyki z kieszeni przegranego, jego złote łańcuchy, zdobiony diamentami zegarek, pierścionie oraz środki transportu.

Handlarze narkotykami, tak samo jak współcześni piraci drogowi, to po prostu korsarze na lądzie. Jeżeli wyobrazicie sobie grupę handlarzy narkotykami, przeniesionych w czasie do osiemnastego wieku i budzących

się na kanonierce w pobliżu wyspy Tangier, to będziecie mieć pojęcie, jak mogło wtedy wyglądać ich spotkanie z innym statkiem. Możecie być pewni, że ta bitwa, nie różniłaby się zbyt wiele od ataku Whelanda na inny statek korsarski w dawnych czasach. Spróbujmy sobie wyobrazić Whelanda jako pirata narkotykowego, podróżującego w czasie. Cała historia mogłaby wyglądać mniej więcej tak:

Pewnego chłodnego październikowego ranka Joseph Wheland wyruszył swoim czarnym mercedesem ze spoilerami, przyciemnionymi szybami, złotymi kołpakami, futrzanymi pokrowcami na siedzenia, podrasowanym sprzętem muzycznym i dyndającymi odświeżaczami. Paląc papierosa, mile oszołomiony marychą, opuścił Nowy Jork i skierował się do Richmondu, a za nim kilka innych pojazdów z uzbrojonymi ludźmi jako asystą. Wheland znany był na ulicy jako Wheelin Bone bo zawsze siedział w samochodzie, nie grał w koszykówkę ani nie chodził na siłownię, był chudy jak szczapa i generalnie nie miał prezencji. Jednak jego wygląd nie zmniejszał strachu, jaki w sercach swych ofiar oraz innych piratów lądowych budził się na wieść, że Wheelin Bone znajduje się w okolicy.

Przybywszy do Richmondu we wczesnych godzinach rannych, Wheelin Bone i jego kumple zaparkowali przy zaśmieconej ulicy domów wybudowanych przez kwaterunek i udali się do mieszkania, należącego do miejscowego handlarza narkotykami, którego inni piraci lądowi nazywali Smackiem. Kiedy Smack wyjrzał przez okno i zobaczył Wheelin Bone'a, w długim, czarnym płaszczu, czarnych adidasach i czarnym dresie, z rysunkiem czaszki i puszczeli, poczuł się troszkę niepewnie.

– Kurwa, sam nie wiem – powiedział do swych cyngli. – Źle mi się to widzi. On chyba ma uzi pod tym swoim czarnym płaszczem, bo mu wystaje lufa.

– Jesteś pewien? – zapytał pierwszy z żołnierzy.

– Lepiej nie ryzykować – uznał drugi.

– Kurwa, rzeczywiście, lepiej nie ryzykować – zgodził się Smack. –

Strzelamy do nich przez drzwi.

Szczęknięły magazynki, a potem zdarzyło się coś niepojętego. Wheelin Bonę i jego obstawa właśnie mieli zapukać do drzwi, kiedy nagle zabłysło niesamowite, białe światło i zniknęli, pośród suchych, elektrycznych trzasków. Smack i jego piraci, wystraszeni, zareagowali salwą, która podziurawiła drzwi i roztrzaskała lampy oraz butelki z piwem. Strzelali, aż opróżnili magazynki. Kiedy dym się rozwiął, wyrzeli ze zdumieniem na ciemną, pustą ulicę.

Wheelin Bonę i jego grupa pomknęli przez Trzeci Wymiar do Fałdy w Czasie i wylądowali miękko na kanonierce o nazwie „Rover”, załadowanej osiemnastowiecznymi antykami, biżuterią oraz workami ze złotym pyłem i srebrnymi monetami.

– Gdzie, kurwa, jesteśmy? – zapytał Wheelin Bonę, gapiąc się na spokojne wody Chesapeake Bay i odległy zarys wyspy Tangier. – Ja pierdołę, takiej starej łajby w życiu nie widziałem! Nawet nie ma silnika ani świateł.

– Kuźma, ale zarąbiste działko! – wykrzyknął jeden z jego subtelniejszych żołnierzy, oglądając wielką armatę. – Ale byłoby git rąbnąć z tego do policyjnej fury!

Wheelin Bonę i jego ludzie roześmiali się na taki pomysł i zaczęli kombinować, jak bezpiecznie posługiwać się armatami, produkować granaty i żeglować. Mijały dni i tygodnie, a oni bez skrępowań zajmowali inne statki i świętowali, pijąc maderę oraz rum, bo wkrótce skończyła im się marihuana i crack, a nie mogli znaleźć nikogo, kto by słyszał o czymś podobnym. Wheelin Bonę i jego żołnierze nabrali wprawy w napadaniu na inne statki piratów i podpalaniu ich po tym, jak je obrabowali, rozstrzelali ludzi, pocięli ich na kawałki i wyrzucili za burtę na żer dla krabów.

Minęły lata i wojna o niepodległość się skończyła, ale Wheelin Bonę stał się jeszcze potężniejszy i bardziej chciwy. Terroryzował zatokę oraz wybrzeża stanów Maryland i Wirginii, toteż bano się go jeszcze bardziej niż ongiś Czarnobrodego, chociaż żadne źródła nie twierdzą, żeby Wheelin Bonę

zapaścił brodę i sam ją sobie podpałał. Jego sposób działania, którego z pewnością nauczył się z opowiadań o Czarnobrodym, przekazywanych sobie przez piratów, polegał na wystrzeleniu z armaty w burzę niespodziewającego się ataku okrętu, a potem obrzuceniu go własnej roboty granatami, czyli szklanymi butelkami napełnionymi prochem, śrutem, kawałkami ołowiu i żelaza, przypominającymi dzisiejsze bomby rurowe, poza tym że te pociski zapalano zapałką tuż przed rzuceniem ich na statek nieprzyjaciela. Potem Wheelin Bonę i jego ludzie wskakiwali na pokład, przechodzili przez martwych i dobijali rannych, a potem zabierali łupy.

Wheland albo, jak wolicie, Wheelin Bonę, zniknął ze źródeł historycznych pod koniec osiemnastego wieku, a do roku 1806 piractwo prawie całkiem zniknęło z zatoki, chociaż te skądinąd spokojne wody i wybrzeże stały się widownią przemocy po sześciu latach, podczas wojny roku 1812.¹ do dzisiaj Chesapeake oraz pobliska Patuxent River pozostają centrum operacji wojskowych, stanowiących uzasadnienie istnienia stref zastrzeżonych, o których wcześniej pisałem, gdyż stanowią poważne utrudnienie dla lotów na Tangier.

Można sobie tylko wyobrazić, ile upiornych, potrzaskanych kadłubów statków i skrzyń z łupami spoczęło na dnie zatoki od czasu, gdy John Smith osiedlił się w Jamestown. Prawo wyraźnie twierdzi, że skarb piracki należy do właścicieli miejsca, gdzie go znaleziono, czyli w wypadku skarbu korsarzy do stanu Wirginia. Oczywiście, jeżeli uda się odtworzyć, z jakich statków łup został zrabowany, wtedy istnieje możliwość, że port macierzysty statku może niesłusznie rościć sobie do niego prawo, co w rezultacie da długi proces sądowy. Mam silne podejrzenia, że niezwykle łupy Whelanda mogłyby wtedy przypaść Karolinie Północnej. Jednak to wszystko stanie się czczymi dywagacjami, jeżeli jakiś osobnik odkryje skarb i szybko sprzeda go paserom za wysoką cenę, a rzecz oczywista, że nikt nie potrafi łatwiej odkryć i przejąć skarb u piratów niż ich potomkowie, którzy obecnie mieszkają na Tangierze i znają zatokę lepiej niż inni ludzie.

Moim zdaniem skarb należy do ludzi morza i powinniśmy im go oddać. Gospodarka na Tangierze znajduje się w stanie stagnacji. Ilość krabów, jaką można odławiać, została silnie ograniczona, a ich populacja stale maleje. Dlatego proszę wszystkich, w tym także gubernatora, by trzymali się z dala od wędzierza na kraby, oznakowanego żółtą boją, mniej więcej 15, 2 kilometra od zachodnich brzegów Tangieru. Niech uczciwość zwycięży nad chciwością, albowiem mało kto z nas musi wieść ciężkie, niewdzięczne życie rybaka. Ich przodkowie dawno temu musieli wiele wycierpieć, kiedy Joseph Wheland założył swą zimową kwaterę na wyspie; wypadałoby, aby dzisiejsi Tangierczycy odnieśli jakąś korzyść z pojawienia się na tych wodach nikczemnego pirata. To byłby doskonały przykład sprawiedliwości dziejowej.

Annę Bonny i Whelanda nie spotkała zasłużona kara. Nawet Czarnobrody niewiele wycierpiał. Ćwiartowanie i umieszczenie na nadburciu odciętej głowy to doprawdy nic w porównaniu z tym, jak traktowano piratów w innych częściach świata. Zanim profesję tę wyidealizowano w dzisiejszych czasach, a potem zredukowano do napaści z bronią w ręku, podchodzono do niej ze śmiertelną powagą i obrzydzeniem. Wystarczy przerzucić karty dwutomowej edycji „Spis Potworności albo Zapis Zbrodni, Wyroków, Zrządzeń i Katastrof” z roku 1825 i doznać szoku, żeby się przekonać, co mam na myśli.

Jako przykład przedstawię wam, co spotykało rosyjskich piratów, grasujących na rzece Wołdze, których w dawnych wiekach było aż tylu, że kupcy przestali wozic nią swe towary, jeśli ich statkom nie towarzyszyły uzbrojone konwoje. Rosyjscy piraci nie byli w żadnym razie aż tak krwiożerczy jak Bonny, Wheland, czy Czarnobrody, jednak kiedy ujęto ich żywcem, z pewnością nie czuli się najlepiej, obserwując, jak żołnierze budują tratwę i wznoszą na niej szubienice wyposażone w duże, żelazne haki.

Schwytani bandyci byli rozbierani do naga i zawieszani na owych hakach za żebro, a spuszczone na wodę tratwa, płynęła powoli, tak by każdy mógł

obejrzeć upiorny widok i słyszeć jęki bólu. Każdego mieszkańca okolicznych wiosek, który okazał cień współczucia, oferując nieszczęśnikom wodę albo alkohol, lub wyzwolenie od mąk strzałem z broni palnej, czekał taki sam straszliwy los, jak piratów. Ta groźba wystarczyłaby powstrzymać ludność przed jakimkolwiek działaniem, a kiedy któryś ze skazańców zdołał zerwać się z haka i, nagi, osłabły z bólu oraz utraty krwi, napotkał prostego pasterza, ten bez litości rozbił mu głowę kamieniem.

Zapewne ów pasterz co rychlej pochwalił się w całej wsi swym niemiłosiernym czynem, gdyż inaczej jego opowiadanie nie trafiłoby do źródeł historycznych. Muszę tu jednak zaznaczyć, że osobiście jestem przeciwny torturowaniu i mordowaniu skazańców. Tak samo nie aprobuję sposobów, stosowanych przez Rosjan w walce z piractwem. Chodzi mi tylko o to, że Bonny, Czarnobrody, Wheland i ich krwiożerczy pomocnicy mieli wielkie szczęście, iż nie zostali schwytani w Rosji.

Jest bardzo prawdopodobne, że fragment żelaza z granatu Whelanda dał początek odkryciu przynajmniej jednego z zatopionych statków, a można sobie tylko wyobrażać, jakie tajemnice i skarby spoczywają od wieków na dnie zatoki w pobliżu żółtej boi, o której wcześniej wspomniałem. Wiem, że niektórzy historycy, zajmujący się sprawami morza, będą utrzymywać, iż nie ma żadnego dowodu na istnienie pirackich skarbów, ale muszę przypomnieć moim czytelnikom i gubernatorowi Crimmowi, że Wheland „Wheelin Bone” nie zostawił po sobie listy statków i plantacji, na które napadł, ani też nie możemy być pewni, jakie statki, w tym jego własne, zatoneły, i co na nich było.

Trzymajcie się ciepło!

ROZDZIAŁ 29

Opos nie od razu zauważył pojawienie się felietonu, bo Dymek i jego piraci wrócili do przyczepy kempingowej niecałą godzinę temu, a wtedy chłopca opanował przemożny lęk.

– Szkoda, że nie jesteś tu ze mną – mówił w myślach do Hossa. – Wiem, że nie zawsze robiłem to, co należy, ale teraz bardzo bym chciał. Powiedz to Małemu Joe, panu Cartwrightowi i może Adamowi, jeśli jeszcze nie odszedł z serialu. Dobrze? Jeżeli mnie słyszysz, Hoss, to zbierz ludzi i przyjedź na wyścigi. Strasznie się boję... jak nigdy w życiu. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że nie wszystko pójdzie tak, jak zaplanował Tropiciele Prawdy. I za nic nie chcę się rozstać z tą psiną. To jedyna żywa istota, jakiej mogę zaufać, Hoss. Pomyśl, jak byś się czuł, gdybyś musiał oddać swojego konia albo obawiał się, że banda zbirów zastawi na ciebie zasadzkę, kiedy się tego nie będziesz spodziewał i zastrzeli ci wierzchowca! Wiem, że Wytrzeszcz nie jest moja i że nie powinna siedzieć zamknięta w tej przyczepie. Wiem, że powinienem zrobić to, co należy. Ale potrzebuję pomocy, Hoss.

– Posłuchaj no, mały – powiedział Hoss, siedząc na swym ukochanym rumaku. – Zbiry pozostają zbirami bez względu na to, czy są koniokradami, czy porywaczami ciężarówek, a ty musisz zrobić to, co trzeba. Ja i Pa, i Mały Joe wcale się na ciebie nie gniewamy, możesz mi wierzyć. Za to jesteśmy wściekli na Dymka i jego bandę łobuzów. Każdy z nich powinien już dawno wisieć. Więc zrób dokładnie to, co ci polecił Tropiciele Prawdy, i nie bój się, będziemy trzymać za ciebie kciuki.

Hoss zniknął z umysłu Oposa, a chłopiec otarł sobie oczy flagą Wesołego Goodwrencha i wyprostował się. Wtedy spojrzał na stronę internetową Tropicielea Prawdy. Przeniósł się na drewnianą skrzynkę, kliknął na link prowadzący do najnowszego felietonu i zaczął czytać z wielkim zainteresowaniem, czując, że wie, co autor miał na myśli. Nabrał tchu i powiedział suczce, że ma czekać i być grzeczna, a potem wypadł ze swej klitki i zaczął się dobijać do drzwi Dymka.

Ten siedział na łóżku, napełniając strzykawkę zabójczą mieszaniną substancji rozpuszczającej i trutki na szczury, którą ukradł z Wal-Martu, kiedy zabrał piratów, żeby kupili sobie stroje NASCAR.

– Czego tu, kurwa, szukasz? – wrzasnął na Oposa. Zdążył się już napić piwa i odurzyć crackiem, a w dodatku był wściekły, bo w kasie sklepu, na który dzisiaj napadli, znaleźli tylko osiemdziesiąt dwa dolary. – Widziałeś Kota? Gdzie on jest, do cholery? – wrzasnął znowu, nakładając pomarańczowy kapturek na czubek igły.

Opos otworzył szerzej drzwi i zajrzał do środka. Serce waliło mu jak młotem.

– Dymek, nie chcę ci przeszkadzać, ale na stronie Tropicielea Prawdy jest coś, co musisz koniecznie zobaczyć! – powiedział cienkim, wystraszonym głosem. – Chodzi o skarb, który możemy zdobyć, jeżeli się pośpieszymy. Co ty robisz z tą strzykawką?

Dymek zeskoczył z łóżka. Na jego nagiej, pokrytej tatuażami piersi perliły się kropelki potu. Miał szklisty wzrok, a jedyną osobą gorszą niż Dymek był Dymek naćpany, który to musiał odespać.

– Wytrzeszcz – powiedział z okrutnym uśmiechem, udając, że chce wstrzyknąć suczce truciznę.

– Daj se na chwilę siana z tym cholernym psem – zaprotestował Opos, siląc się na obojętny ton.

– Już mi ty, kurwa, nie gadaj, co mam, kurwa, robić, ty pierdolony debilu – wybełkotał Dymek, kierując igłę w stronę chłopaka. – Widzisz, jak twój

wielki herszt zmusi tych dupków, żeby zapłacili za swoje grzechy? Jak tylko ta suka Hammer i jej popieprzony lalusz Brazil przylecą, żeby ratować jej durnego kundla, wyciągnę strzykawkę i na ich oczach zrobię tej zatraconej suce zastrzyk z trutki na szczury. Kiedy rzucą się, żeby ratować psa, który natychmiast dostanie konwulsji i będzie cierpieł męki z bólu, zastrzelimy ich i uciekniemy do helikoptera.

Scenariusz ten wydał się Oposowi potworny, ale chłopiec nic po sobie nie pokazał. Starał się sprawiać wrażenie zaspanego i zainteresowanego wyłącznie zdobyciem skarbu, zanim znajdą go inni.

– A jeśli któryś z tych rybaków wydobędzie skarb, zanim przyjedziemy z wyścigów – powiedział – to poczekamy sobie na niego na wyspie i rozwalimy mu łeb, wrzucimy ciało do zatoki, a sami zabierzemy łup. A Kot już tam będzie na nas czekał i wszystko przyszykuje, bo właśnie dlatego go nie ma i mamy nawet policjanta, który będzie dla nas pracować. Będzie super, człowieku. – Opos zdecydował się iść na całość.

Kiedy Regina schodziła na śniadanie następnego ranka, uważała, że wszystko jest inne niż zawsze, ale nie w tym pozytywnym znaczeniu. Całą noc męczyły ją okropne sny i w końcu zdołała spojrzeć prawdzie w oczy: Andy miał rację. Życie ją omijało. Była obrzydliwie tłusta i miała paskudny charakter. Pierwszy raz w życiu coś drgnęło jej w sumieniu i poczuła cień wstydu i żalu.

– Dzień dobry – odezwał się Pony, kiedy Regina ponuro odsunęła krzesło i ciężko na nim usiadła.

– Chcesz mi powiedzieć, że tak jest, czy też tylko sobie tego życzysz, czy może po prostu bezmyślnie wygłaszasz zwykłą formułkę? – mruknęła, patrząc na parujące dania, które ustawiał na stole.

– O, dla mnie ten dzień jest rzeczywiście dobry – odparł pogodnie Pony. – Niedługo będę wolnym człowiekiem, panno Reginio! Co więcej, okazało się... – położył jajecznicę i parówkę na talerzu ze złocistym herbem stanu

Wirginii – ... że przez pana Tradera spędziłem w więzieniu trzy lata więcej, niż powinienem. Zrobił jakiś przekręt z kilkoma urzędnikami, bo nie chciał, żeby mnie wypuszczono.

Regina patrzyła na jedzenie i ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest głodna. Nie pamiętała, żeby coś podobnego jej się ostatnio przytrafiło, poza tym dniem, kiedy zawieziono ją karetką do szpitala, jak zjadła zatrute łakocie Tradera. Jednak wtedy utrata apetytu była przejściowa i wynikała z przyczyn medycznych, nie można jej więc było łączyć z obecnym stanem Reginy.

– Nic pani nie je, panno Reginio – zaniepokoił się Pony, stojąc po drugiej stronie stołu w swej wykrochmalonej białej kurtce i z serwetką przerzuconą przez rękę.

– Nie powinienes być w ogóle trafić do więzienia. – Zaskoczyły ją własne słowa. – Nigdy nie widziałam, żebyś zrobił coś niewłaściwego i nigdy się ciebie nie bałam.

– Dziękuję, panno Reginio. – Pony uśmiechnął się, ale też i zdziwił. Nie nawykłby Regina wyrażała jakiegokolwiek opinie na jego temat, ani nawet, żeby zauważyła, iż miał jakieś własne życie. – Bardzo mi miło, a poza tym wiem, jak mógłbym pani pomóc z Tripem. Rzecz w tym, że on reaguje tylko na polecenia składające się najwyżej z jednego albo dwóch słów. Jeśli próbuje się z nim rozmawiać, nic nie rozumie i nie wykonuje rozkazów.

Regina nadstawiła uszu.

– Wypiszę listę poleceń i może zajęłaby się nim pani dzisiaj na wyścigach? – zaproponował Pony. – Czytałem instrukcje zostawione przez trenera i okazuje się, że ten maluch to niezły podróżnik. Wystarczy założyć mu pieluchę i może wsiadać do limuzyny albo helikoptera. Moja żona szykuje właśnie kocyk z herbem Wirginii, żeby mu podłożyć pod uprząż.

Reginie coraz bardziej poprawiał się humor, jakby złość i przygnębienie, które tkwiły wokół niej przez całe życie, powoli się ulatniały, a męcząca, gruba warstwa smutku zaczęła znikać. Pomyślała o Andym i jego wykładzie na temat okazywania innym współczucia i zaczęła komponować sobie

w myślach odpowiednie zdania, podczas gdy Pony opowiadał jej, że Trip jest nauczony, jak zachowywać się w domu, i nie protestuje, jak nakłada mu się kapcie, i że lubi się przytulać, kiedy nie prowadzi niewidomego.

– Cieszę się, że papa wyjaśni ten bałagan z twoim wyrokiem – powiedziała Regina to, co przedtem kilka razy powtórzyła w myślach. – Ale mam nadzieję, że zostaniesz z nami, Pony, nawet jak już nie będziesz musiał.

Pony zdumiał się i pomyślał, że córka gubernatora ma chyba gorączkę. Wydawała się trochę blada dziś rano i nie tknęła jeszcze jedzenia, a już na pewno nie było do niej podobne to, że jest taka miła.

– Będę ci bardzo wdzięczna, jak wypiszesz mi te polecenia. – Regina dalej zdumiewała Pony’ego swoją życzliwością. – Papa będzie potrzebował pomocy przy Tripie podczas wyścigów, a ja chcę mieć pewność, że wiem wszystko, co powinnam. Cieszę się, że papa ma konia, który widzi. Może nie będzie już musiał używać szkieł powiększających.

Starannie złożyła serwetkę i wstała od stołu, a Pony gapił się, jakby nagle zmieniła się w zupełnie inną istotę.

– Dziękuję pani, panno Reginio – powiedział. – Zrobię tę listę i mogę pani jeszcze pokazać parę rzeczy, jeśli pani chce.

– To ja ci dziękuję, Pony – odparła Regina i ruszyła na górę, do sypialni rodziców.

Pierwsza Dama siedziała przy swym ozdobnym, chińskim biurczku, z uwagą studiując jakąś stronę w Internecie.

– Gdzie papa? – spytała młoda kobieta, przysuwając sobie krzesło, żeby zobaczyć, czym tak się pasjonuje jej matka.

– Chyba w ogrodzie ze swoim pony – odrzekła pani Crimm, przesuwając kursor w dół.

– Nie powinniśmy mówić o Tripie „pony” – stwierdziła Regina z nietypową u niej rozważą. – To miniaturowy konik, nie kucyk, a kiedy papa zaczyna mówić: „pony” to i „pony” tamto, Pony myśli, że chodzi o niego i nic nie rozumie, a w dodatku na pewno nie jest mu przyjemnie.

Pierwsza Dama spojrzała na córkę ze zdziwieniem i powiedziała:

– A wiesz, że chyba masz rację. Jesteś dziś rano w dziwnie dobrym nastroju. Chyba cię jeszcze nigdy takiej nie widziałam. Źle się czujesz?

– Nie wiem, co się ze mną stało – wyznała Regina, spoglądając matce przez ramię na tekst, który sprawiał wrażenie nowego felietonu Tropicielea Prawdy. – Ale znowu miałam męczące sny, mam, i zaczęłam myśleć o tym, co Andy mówił mi w drodze do kostnicy. Potem o samej kostnicy i zastanawiałam się, czy też bym się tam znalazła, gdybym zjadła więcej tych słodczy, którymi Major Trader próbował zatruć papę. I nagle poczułam odrobinę nadziei. Bo wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że ona istnieje.

– Ależ oczywiście, nadzieja jest zawsze, skarbie – powiedziała z roztargnieniem pani Crimm, rozmyślając, czy tangierscy rybacy rzeczywiście wydobędą skarb piratów, w którym niewątpliwie znajdują się też i trójnogi zrabowane z plantacji... chociaż sami piraci na pewno ich nie używali, mimo to mogłyby się jakieś trafić. W końcu piraci musieli coś gotować na tych swoich okrętach, a wtedy rozumie się samo przez się, że powinni ustawiać gorące garnki na trojnożnych podstawkach, żeby nie przypalić drewnianego pokładu.

– Jak sądzisz, ile czasu może trójnóg leżeć na dnie zatoki, zanim całkiem zardzewieje? – zapytała na głos, patrząc przez zabytkowe okulary w drucianej oprawce, umocowane na długim, złotym łańcuchu. – Powinnaś to przeczytać. To całkiem ciekawe, o starym kawałku żelaza, który najprawdopodobniej doprowadzi poszukiwaczy do skarbu piratów, a skoro fragment tego metalu może się zachować po setkach lat leżenia pod wodą, to chyba trójnogi tak samo? Wiele z nich było z żelaza. Niemniej jednak twój papa nie będzie zadowolony, kiedy mu to przeczytam. Na pewno uzna, że stan jest prawowitym właścicielem skarbu. Wszystko jedno, komu go ukradł Wheelin Bonę. Jakie prawa ma Karolina Północna do czegoś, co znaleziono w Chesapeake Bay? Liczy się to, że skarb jest w Wirginii i w związku z tym należy do stanu Wirginia, a wszystkie trójnogi powinny zostać przekazane do

rezydencji.

Regina wstała, żeby lepiej zobaczyć, co czyta jej matka. Chociaż zawsze uważała, że to co znalezione, należy się znalazcy, nie była przekonana, że tak samo powinno się zdecydować w tej sprawie. Jeśli wyspiarze znajdą skarb i zrobią z nim, co im się podoba, reszta świata nigdy nie będzie miała szansy obejrzeć starych armat, monet i klejnotów, które można by wyeksponować w Muzeum Wirginijskim.

– Te stare armaty i klejnoty powinny być udostępnione wszystkim – powiedziała Regina, a za jej plecami rozległy się kroki dwóch stóp w kapciach i czterech w ochraniaczach.

– Co? – zadał swoje ulubione pytanie gubernator, usłyszawszy koniec rozmowy Reginy i pani Crimm. – Idź dalej tak samo jak do tej pory – powiedział Tripowi, który właśnie to robił i nie potrzebował dodatkowych instrukcji.

– Papo, komendy dla Tripa powinny być krótkie – oświadczyła Regina.

– Dobrze – stwierdził gubernator po chwili namysłu, a to słowo oznaczało dla Tripa koniec wszystkich wcześniejszych poleceń, więc się zatrzymał obok lśniąco czarnego, inkrustowanego macicą perłową biurka pani Crimm. – Nie mówiłem, żebyś się zatrzymywał, ale chciałem, żebyś to zrobił – zwrócił się gubernator do konika i czule pogłaskał go po miękkich chrapach. – Wydaje mi się, że on rozumie znacznie więcej, niż sobie wyobrażamy, Regino.

– Może – odrzekła zgodnie. – Ale to, co on rozumie i to, co ty chcesz, żeby zrobił, to mogą być dwie różne rzeczy.

– Racja. A o co chodzi z tymi armatami i klejnotami, które powinny być dla wszystkich? – zapytał Crimm, sięgając do kieszeni szlafroka po szkło powiększające, bo mimo wszystko konik nie mógł za niego czytać.

Regina streściła ojcu felieton Tropicielea Prawdy i powtórzyła, że skarb nie powinien zostać sprzedany przez znalazcę, tylko udostępniony ludności.

– Pod warunkiem że niektóre przedmioty trafią do rezydencji – dodała

szybko Pierwsza Dama.

– Może warto by ustawić jedną czy dwie armaty przed gmachem – zastanawiał się głośno gubernator, czując przyływ lekkiej irytacji na myśl o tej wstrętnej Karolinie Północnej. – Wheland był nikczemnym piratem, ale jest częścią historii Wirginii i niech mnie licho, jeśli ci rybacy mają dostać skarb i sprzedać go jakiemuś handlarzowi staroci albo jeszcze gorzej, Karolinie Północnej.

– Bedfordzie – odezwała się błagalnie pani Crimm. – Musisz coś zrobić, zanim będzie za późno! Nie mógłbyś posłać lotniskowca albo czegoś takiego, żeby Tangierczycy nie zabrali całego skarbu? Nie mają do niego prawa!

– Nie mają – zgodziła się Regina i po raz pierwszy była innego zdania niż Tropiciele Prawdy. – To dziwne – dodała. – Po czyjej stronie on w końcu jest? Dotychczas stał po stronie prawdy i sprawiedliwości.

– Może działa w zмовie z Tangierczykami i usiłuje na mnie wpłynąć, żebym im pozwolił wziąć sobie skarb – powiedział gubernator, który od czasu, kiedy przestał słuchać Tradera i jeść jego słodczyce, myślał znacznie jaśniej i sprawniej. – Natychmiast wydam komunikat do prasy i zakażę poszukiwaczom skarbów podpływać do wiecierza z żółtą boją – oznajmił. – Niech rybacy nie liczą na to, że pozwolę im zbliżyć się do wraku i... – poklepał Tripa po karku – ... ruszać. Prawda, mały?

Trip odsunął się od właściciela i poszedł w stronę windy, gdzie skręcił w prawo.

– Prawda! – powiedziała Regina, dumna z szybkości decyzji i stanowczości ojca, a Trip wykonał kolejny zwrot i zatrzymał się przed wielkim lustrem w złoczonej ramie w stylu chippendale.

– Jak głęboko to może leżeć? – zastanawiała się Pierwsza Dama, wyobrażając sobie skrzynie ze złotem, srebrną zastawą i królewską biżuterią.

– Leżeć? – powtórzyła Regina. – Jak głęboko? – dodała, a Trip położył się przed lustrem i przyglądał się sobie z lekkim zdziwieniem.

– Opierając się na lokalizacji podanej przez Tropiciele Prawdy... – odparł

gubernator – ... powiedziałbym, że skarb znajduje się dosyć głęboko, bo jest w strefie ochronnej dla krabów, gdzie, o ile się nie mylę, dno znacznie się obniża.

– To bardzo dobrze – stwierdziła z ulgą Pierwsza Dama. – Im głębiej, tym lepiej, bo przez to trudniej go będzie znaleźć. Wątpię, żeby Tangierczycy mieli odpowiedni sprzęt do nurkowania i wyciągnięcia wielkiej armaty na powierzchnię. Ich łodzie zatonęłyby pod takim ciężarem.

W ciągu godziny wiadomość o skarbie piratów przebiegła po przewodach i rozbrzmiewała z odbiorników radiowych i telewizyjnych w całej Wirginii, Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Karolinie Północnej. Komentatorzy zastanawiali się, czy mieszkańcy Tangieru wpadną we wściekłość, dowiedziawszy się, że każdy rybak, widziany w odległości siedmiu kilometrów od więcierza z żółtą boją zostanie aresztowany przez straż przybrzeżną, której łodzie zaczęły natychmiast patrolować okoliczne wody. Poszukiwaczom skarbów udzielono ostrzeżenia, że w przypadku pojawienia się w zatoce ich kutry zostaną zajęte, przestrzeń powietrzną między wybrzeżem Wirginii i Tangierem zamknięto dla wszystkich poza upoważnionymi jednostkami latającymi, a okręty marynarki wojennej szykowały się do utworzenia blokady wokół wyspy.

Fonny Boy i doktor Faux usłyszeli wiadomość przez radio w samochodzie po tym, jak wpłynęła za nich kaucja i co rychlej opuścili Richmond. Spieszyli teraz do Reedville, gdzie dentysta zamierzał wsiąść na statek pocztowy i przekupić kapitana, żeby pomógł im znaleźć więcierz, który Fonny Boy wrzucił do wody.

– Straż przybrzeżna nie zainteresuje się statkiem pocztowym – tłumaczył Faux chłopcu, a Fonny Boy wpatrywał się w migające za oknem słupy telefoniczne.

– Nic z tego! Nie zgadzam się! Skarb należy do mnie! – powtarzał co chwila.

– Podzielimy się pół na pół – tłumaczył mu doktor Faux. – Jesteś mi winien za kaucję i to, co zapłacę kapitanowi. Potrzebny jest też nam sprzęt, a to kosztuje. W pobliżu miejsca, gdzie cumuje statek pocztowy, znajduje się sklep ze sprzętem rybackim i do nurkowania, ale musimy się śpieszyć i, na litość boską, nie rób nic, co może zwrócić na nas uwagę. Jeśli policja dowie się, że wyjechaliśmy z Richmondu, aresztują nas za złamanie warunków wyjścia za kaucję i wtedy będziemy mieli się z pyszna.

– Nic nam nie zrobią! – mówiąc coś odwrotnego, Fonny Boy stwierdził, że jeśli zostaną schwytani podczas wydobywania skarbu, to czekają ich poważne kłopoty.

– Nawet jeśli zatrzymają statek pocztowy, to co to nas obchodzi? – odparł doktor Faux. – Nie jest naszą własnością. Jak nas złączą wypytywać, zwalimy wszystko na kapitana i powiemy, że weszliśmy na pokład, żeby wysłać na wyspę parę listów i rachunków dentystycznych i zanim się spostrzeżliśmy, statek pędził ku skarbowi, więc nie mogliśmy wysiąść.

– Nie! – Podekscytowany Fonny Boy miał na myśli coś dokładnie przeciwnego.

Do Majora Tradera i jego współtowarzyszy z celi również dotarły te wiadomości, bo jeden ze strażników miał zwyczaj nosić walkmana nastawionego tak głośno, że więźniowie słyszeli każdą melodię, reklamę i informację, które się wydostawały ze słuchawek.

– Słuchajcie wszyscy – powiedział Trader. – Zamiast tracić czas na topienie mnie w kiblu, połączmy siły. Jeśli uda nam się znaleźć sposób na wydostanie się stąd, możemy pierwsi odnaleźć skarb.

– Tak myślisz? – zapytał z powątpiewaniem Slim Jim. – No bo nawet jeśli stąd wyjdziemy, to jak znajdziemy więcierz i wyciągniemy skarb z dna zatoki?

– Nie umiem pływać – wyznał Snitch.

– Ja też nie – dodał Stick.

– Wcale nie musicie, idioci! – warknął niecierpliwie Trader. Zamienił się na prycze z meksykańskim chłopcem, bo jeśli się na czymś znał, to na psychologii biurowej. Zasady są stosunkowo proste. Jeśli chce się udawać przyjaźń i współczucie, należy ulokować osobę, którą pragniemy zmanipulować, w fotelu przy stoliku do kawy. Jeśli celem jest zastraszenie, siedzimy przy biurku, a to staje się groźną barierą między nami a osobnikiem, którego chcemy zdominować. Pragnąc kogoś zmieszać i upokorzyć, co Trader stosował najczęściej w przypadku gubernatora, należy poczęstować tę osobę exlaxem i prowadzić z nią ważne rozmowy, idąc lub jadąc samochodem.

W świetle dnia okazało się, że stalowe łóżko Meksykanina znajduje się w samym środku celi. Trader zajął je, kiedy chłopiec korzystał z toalety, i w ten sposób zdobył upragnione miejsce przywódcy, chociaż inni więźniowie nie byli pewni, dlaczego nagle zaczęli patrzeć na Tradera z większym szacunkiem. Znając siłę oddziaływania ataków gastrycznych, Major zaplanował, że kiedy strażnik będzie przechodził koło ich celi, wielbny Justice zacznie wić się z bólu i wydawać głośne okrzyki i jęki, podczas gdy reszta więźniów otoczy go, wołając z przerażeniem o ratunek.

– Strażnik wpadnie do celi, żeby udzielić pierwszej pomocy – wyjaśniał Trader. – A wtedy ty... – zwrócił się do Sticka – ... wbijesz mu palec w oko, ty... – powiedział do Kota – ...z abierzesz mu radio, a ty... – polecił Slim Jimowi – ... chwycisz klucze, żebyśmy mogli otworzyć wszystkie drzwi, a ty... – wskazał na Meksykanina – ... wsadzisz rękę do kieszeni, udając, że masz tam broń, i zaczniesz grozić, że będziesz strzelał, bo nikt tutaj nie rozumie po hiszpańsku, a ty... – kiwnął na Snitcha – ... zostaniesz w celi i kiedy będą cię potem wypytywali, powiesz, że podsłuchałeś, jak mówiliśmy, że nasza ucieczka została zaaranżowana przez kogoś z więzienia i że czeka na nas samochód, którym mamy uciec do Charlotte.

– Ale my nie mamy samochodu – zaprotestował Stick, a perspektywa, że ma komuś wsadzić palec w oko, wcale mu się nie spodobała.

– I na tym będzie polegało pańskie zadanie – zwrócił się Trader do wielbego Justice’a. – Strażnicy traktują pana z większym szacunkiem niż resztę z nas i nawet zadawali panu różne pytania związane z religią i prosili, żeby pan się za nich modlił. Jestem przekonany, że jeśli poprosi pan o dostęp do telefonu, bo któryś z pana wiernych jest umierający i trzeba mu udzielić ostatniego namaszczenia, strażnicy wyrażą zgodę.

– Baptyści nie udzielają ostatniego namaszczenia – zaprotestował wielbny. – I nie jestem pewien, czy chcę brać w tym udział. I tak mam masę kłopotów przez to, że próbowałem nagabywać tę starą babę.

Umilkli, kiedy strażnik ze słuchawkami na uszach i szklistym wzrokiem, przeszedł obok ich celi, głośno tupiąc i pomrukując pod nosem na rapową nutę.

– Kiedy już panu pozwolą zadzwonić – ciągnął Trader – wybierze pan kogoś z pracowników, kto jest mało inteligentny, uległy i naiwny, i poleci mu, żeby po pana przyjechał. Proszę mu też powiedzieć, że zabiera pan ze sobą paru przyjaciół. W ten sposób uda nam się wyrwać z miasta. Gdyby się zaś zdarzyło, co naprawdę jest bardzo mało prawdopodobne, że zostalibyśmy schwytani, powiem, że został pan porwany i nie miał pan z całym planem nic wspólnego.

Wielbny Justice odprężył się nieco, kiedy Trader przedstawił mu sprawę w ten sposób. Bądź co bądź był dosyć znany i poświęcił życie ratowaniu dusz i walce z przestępczością. Nawet kiedy od czasu do czasu zaspakajał swe cielesne potrzeby u piękności nocy, zawsze im płacił i dziękował.

Andy musiał jeszcze trochę poczekać na to, aż komendant Hammer wyrazi mu swoją wdzięczność i trochę go denerwowało, że szefowa cały czas krąży po dywanie w gabinecie i narzeka.

– Powinieneś być mi to najpierw przedstawić – powtarzała. Zamknęła drzwi, chociaż w sobotę rano w gmachu było bardzo mało pracowników. – Na litość boską, Andy, gdzie ty miałeś rozum, pisząc te bzdury o rzekomym

pirackim skarbie? Popatrz, czego narobiłeś! Zachęcając wyspiarzy do wydobycia łupów, które twoim zdaniem prawnie im się należą, skłoniłeś gubernatora do ogłoszenia grózb i wysłania wojska. Jeśli nawet dotychczas nie wybuchła wojna domowa, to stanie się to teraz.

I szczerze mówiąc, zgadzam się z gubernatorem. Wyspiarze nie mają prawa do skarbu. Powinien on trafić do muzeum.

– To właśnie próbuję pani powiedzieć – wtrącił wreszcie Andy. – Chciałem tylko, aby wszyscy uważali, że ktoś coś im chce zabrać. A żeby naprawdę rozzłościć Tangierczyków na Wirginię, trzeba było sprawić, żeby Wirginia wściekła się na wyspiarzy. Kiedy Macovich przyleci helikopterem policji stanowej z gośćmi w strojach NASCAR, czyli w rzeczywistości Dymkiem i jego ludźmi, to jakie pani zdaniem czeka ich powitanie? Policjanci w cywilu wcale nie będą potrzebni.

– To bzdury, a w dodatku przerażasz mnie! – wykrzyknęła Judy. – I wydawało mi się, że Tropiciele Prawdy miał nie kłamać. A ty w ostatnich felietonach stosujesz manipulację, nawet jeśli to jest w dobrej sprawie. Do diabła! Nic z tego nie rozumiem.

– Rozumiem, co pani czuje – odpowiedział Andy. – Zapewniam, że wiem, co robię. Oboje zdajemy sobie sprawę, jak bezwzględny i niebezpieczny jest Dymek. Jeśli helikopter wyląduje na wyspie, a ten psychopata zobaczy kogokolwiek, kto wyda mu się dziwny, choćby nawet ów ktoś miał na sobie strój rybaka, bandyta może otworzyć ogień, gdy tylko wysiądzie na pas startowy. Musimy wprowadzić element zaskoczenia, niech ten typ zawaha się na tak długo, żebyśmy go mogli otoczyć i obezwładnić bez strzelaniny.

– Więc bierzmy się do roboty i mobilizujmy oddziały – zdecydowała szefowa. – Gubernator będzie musiał wrócić do rezydencji samochodem. Ty i ja polecimy helikopterem na Tangier, żeby się przekonać, jak możemy zakończyć to całe zamieszanie. A tak w ogóle to skąd przyszło ci do głowy, że skarb jest w zatoce?

– Wcale nie jestem tego pewien – odparł Andy. – Ale ten stary kawałek

żelaza jest ewidentnie pozostałością po jakiejś bitwie, prawdopodobnie z udziałem piratów. A tamten zdrajca, Joseph Wheland, musiał zgromadzić fortunę po tylu latach rabowania plantacji i okrętów, więc co się stało z jego łupem?

Barbie Leslie nigdy nie widziała prawdziwej plantacji, nabrała jednak pewnego wyobrażenia, jak mogło to wyglądać, kiedy w samo południe zatrzymała się przed bramą rezydencji gubernatora, trafiając na chwilę, w której mogła obejrzeć bardzo dziwny widok.

Dwóch masywnych ochroniarzy wrzucało łopatami wióry do tylnej części długiej, czarnej limuzyny. Barbie przejechała przez otwierającą się bramę i zaparkowała na okrągłym podjeździe. Zabrała swoje akcesoria do makijażu, które nosiła w sporej skrzynce na narzędzia i wyciągnęła z bagażnika torbę z ubraniami.

– Co robicie? – spytała ochroniarzy. – Nie chciałabym być wścibska, ale dlaczego sypiecie wióry do tej pięknej limuzyny? Chcecie w niej zasadzić kwiatki? Jeśli tak, to moim zdaniem ktoś miał wspaniały pomysł. Gubernator będzie mógł podróżować w prawdziwym ogrodzie.

Ochroniarze odpowiedzieli surowo, że sprawa jest tajna, a potem otworzyły się drzwi rezydencji i czarny lokaj w sztywnym białym uniformie z uśmiechem przywitał Barbie.

– Proszę do środka – powiedział ciepło. – Panna Regina oczekuje pani. Proszę mi dać płaszcz i czy mogę pani ponieść tę skrzynkę?

– Dziękuję – odrzekła Barbie, zsuwając płaszcz, który odsłonił dosyć obcisły skórzany kostium, niezbyt pasujący do jej drobnych kształtów i łagodnego głosu. – Potrzebuję tej skrzynki i torby dla pani Reginy.

Pony wiedział, że wygląd Reginy wymaga wiele pracy, ale zasmuciło go, że jest aż tak źle, iż trzeba do tego używać narzędzi. Odprowadził Barbie do prywatnych apartamentów Pierwszej Rodziny, gdzie Regina grzebała właśnie w szafie na ubrania, wyciągając spodnie malarskie i podkoszulki, coraz

bardziej zniechęcona.

– Och – odezwała się z ulgą, kiedy weszła Barbie i postawiła skrzynkę i torbę na łóżku. – Jak to dobrze, że pani już jest! Nie mogę znaleźć nic, co mogłabym włożyć, a jakiś czas temu spojrzałam w lustro i przestraszyłam się. Naprawdę myśli pani, że zdąży mnie jakoś upiększyć, zanim zaczniesz się wyścig?

– Jasne – zapewniła ją Barbie, wyglądając przez okno i patrząc na ochroniarzy, wciąż wrzucających trociny do długiego, czarnego pojazdu.

– To dla Tripa – powiedziała Regina. – Trip to ten nowy konik dla niewidomych. Papa musi go wszędzie ze sobą zabierać, a skoro mam się zajmować zwierzakiem, trochę sobie poczytałam i okazuje się, że koniki czują się lepiej w samochodzie, jeżeli są tam trociny. – Urwała, żeby sprawdzić, czy Barbie ją zrozumiała. Niestety. – Żeby im to przypominało zagrodę w stajni – wyjaśniła Regina. – Wie pani, jak kocia kuweta.

– Och – zdumiała się Barbie. – A ja myślałam, że robią ruchomy ogród. Ach jej. Ale co będzie, jak zrobi kupę w wozie... wszystko jedno czy są tam trociny... to się może okazać trochę nieprzyjemne dla reszty pasażerów.

– Końskie kupy nie pachną tak brzydko jak psie – przypomniała jej Regina. – Kiedy Trip skorzysta z toalety, wystarczy zasypać to trocinami i nikt nic nie poczuje.

– A jak będzie w łoży gubernatora podczas wyścigów? – niepokoiliła się Barbie, otwierając swoją skrzynkę i rozkładając na zabytkowej, orzechowej komodzie buteleczki z podkładem, korektorami, lakierem do paznokci, środkami do włosów i farbami oraz innymi licznymi kosmetykami.

– Jeśli będzie musiał wyjść, to poskrobie w drzwi – odrzekła Regina. – Wtedy zabiorę go do windy i znajdziemy gdzieś jakiś trawniczek. Po co te nożyczki? Chce pani obciąć mi włosy?

Barbie poleciła Reginie usiąść w bujanym fotelu i nie ruszać się przez chwilę. Okrążyła swoje najambitniejsze zadanie i uznała, że rzeczywiście trzeba skrócić długie, ciemne, kędzierzawe włosy Reginy, które w dodatku

rozdwajały się na końcach.

– Proszę mi pokazać zęby – poleciła.

Regina otworzyła usta i cofnęła wargi, ukazując żółtawe zęby, które, zdaniem Barbie, mogłyby w istocie należeć do konia.

– Zabrałam wybielacz – powiedziała z większym optymizmem, niż to czuła. – Więc najpierw położymy go i niech sobie trochę podziała. Co do twoich włosów, moja droga, to po pierwsze nie mają żadnego sensownego koloru. Moim zdaniem można go określić jako ciemny blond... nierówną mieszaninę brązowego i czarnego. I wydaje mi się, że trzeba je po prostu ufarbować na czarno i obciąć tuż poniżej uszu z cieniowaniem, oczywiście, co złagodzi twój nos i podbródek.

Pomyślałam też, żeby zabrać samoopalacz, który nałożymy po peelingu z soli, kąpieli w błocie z Morza Martwego, manikiurze, pedikiurze i maseczce kosmetycznej. Nabierzesz przyjemnego odcienia złocistego brązu bez wystawiania się na szkodliwe promieniowanie słoneczne. Czy to nie fascynujące?

Regina nie była taka pewna: Przede wszystkim nie przewidziała, że Barbie będzie od niej oczekiwała, iż rozbierze się do naga i pozwoli prawie kompletnie obcej osobie wcierać sól, błoto i toniki w swe korpulentne ciało.

– Wiem, co o sobie myślisz – powiedziała Barbie, owijając Reginie ręcznik dookoła szyi i zaczynając odcinać spore pasma włosów, przypominające jej miecione wiatrem szarłaty, jakie oglądała z Lenniem na starych westernach. – Z naszej wczorajszej sesji wywnioskowałam, że masz bardzo niską samoocenę i nienawidzisz swojego ciała, więc pewnie teraz cię to troszkę peszy, że jesteś naga i ktoś robi ci peeling, namaszcza cię i smaruje, ale wszystko będzie dobrze i zobaczysz, jak się będziesz potem świetnie czuła.

– Nic, co pani we mnie wciera, nie pozbawi mnie tego całego tłuszczu – wytknęła szczerze Regina, a na podłogę spadł kolejny pukiel jej włosów. W normalnych warunkach tak całkowite oddanie ciała w ręce innej osoby

obudziłyby w niej sekretne uczucie zadowolenia.

Jednak Barbie Leslie nie była w typie Reginy. Co to, to nie. Barbie była zbyt delikatna, a poza tym Reginie wydawało się, że może ona przez cały dzień dotykać i ugniatać inną kobietę i nie doświadczyć nawet najmniejszego pragnienia, by nastąpiło coś więcej. Regina wątpiła też, czy Barbie potrzebuje kontaktu fizycznego z kimkolwiek i pod tym względem prawdopodobnie przypominała matkę Reginy, która zawsze interesowała się bardziej obiektami kolekcjonerskimi, na przykład żeliwnymi ławkami, starymi puszkami do kawy i herbaty oraz trójnogami niż szalonym seksem z kimś tej samej płci, przeciwnej płci lub nawet samą sobą.

– Dietę zaczniemy od zaraz – powiedziała Barbie, tnąc zawzięcie. – To znaczy, że musisz trzymać się z dala od bufetu na wyścigach, dobrze? Ogranicz się do sałatek i selera, marchewki oraz rzodkiewek, a teraz przestań się tak zamartwiać. Jak mówią, „suknia zdobi człowieka”, więc wpadłam wczoraj do pewnego uroczego butik i wybrałam coś, co się doskonale dla ciebie nada.

– Co? – Regina aż bała się dopytywać, gdy Barbie zaczęła cieniować jej włosy brzytwą.

– Och, to naprawdę coś fantastycznego. Wyobraziłam sobie, w czym możesz się czuć najlepiej i co pasuje do twojej twarzy, sylwetki i osobowości, i znalazłam naprawdę idealny dżinsowy strój! Nie wierzyłam własnym oczom, gdy na niego natrafiłam! Siedź nieruchomo i nie kołysz się. Ten bujany fotel jest prześliczny, ale nie chcę cię zaciąć, a będę podgalać ci kark. Potem zrobimy woskowanie górnej wargi i podbródka i może oczyścimy ci trochę brwi i baki.

W każdym razie znalazłam ten modnie sprany komplet, który zamiast spodni ma po prostu rozkoszną spódniczkę i możesz go nosić razem z milusią jedwabną bluzką z długimi rękawami, która jest skrojona jak koszula drwała, tylko że ma koronkowy kołnierzyk. Doskonale podkreśli twój biust, który dodatkowo podniesie staniczek typu push up. Musiałam się domyślać, ale

chyba masz rozmiar czterdzieści cztery D, mam rację?

– Zazwyczaj nie noszę biustonosza – odparła Regina spod deszczu spadających włosów. – Nienawidzę staników i noszę podkoszulki, bo i tak nikt mnie nie dostrzega.

– No, dzisiaj z pewnością zostaniesz zauważona – stwierdziła pogodnie Barbie. – Pokażesz tyle biustu, że da się na nim umieścić drugie śniadanie! Zaś co do butów, a to bardzo ważna część ubioru, to znalazłam urzekającą parę skórkowych tenisowych pantofli, sięgających do kostki, w żywym czerwonym kolorze. Mają znak firmy Converse z cekinów i białe, skórzane sznurowadła, a do nich włożysz markowe skarpetki, które udają staromodne podkolanówki, tylko że są jedwabne! Niech zgadnę, nosisz buty numer dwanaście? A ubrania, szesnaście?

– Męskie czy damskie? – spytała Regina, siedząc bez ruchu, gdyż Barbie zawzięcie pracowała brzytwą, podgalaając jej kark. – Zawsze noszę męskie rzeczy, więc nie wiem, jaki mam rozmiar w damskich.

– Nic się tym nie martw. Świetnie umiem określić, jaki kto ma rozmiar – zapewniła ją Barbie i cofnęła się o krok, by obejrzeć swe dzieło. – Myślę że skoro jestem zawodową doradczynią, muszę umieć oceniać ludzi. No.

Podowała Reginie lusterko, by ta mogła zobaczyć swoją nową fryzurę.

– Sama nie wiem – powiedziała niepewnie Regina. – Wygląda to zupełnie jak kask kierowcy rajdowego.

– To najnowszy krzyk mody – rozpromieniła się Barbie. – Nazywa się NASFRYZ. Wyglądasz super. U fryzjera zapłaciłabyś za to niezłą sumkę, oczywiście pod warunkiem że przed końcem sezonu znaleźliby dla ciebie czas albo nawet miejsce na liście oczekujących!

– Jeśli to takie modne, to dlaczego pani nie ma NASFRYZU? – spytała nieufnie Regina.

– Och, ja mam za drobną twarz – odparła Barbie. – A teraz wskakuj do wanny.

ROZDZIAŁ 30

Hooter również poświęciła dzień na przygotowania do wyścigu. Spędziła całe godziny, rozczesując dredy i prostując włosy, które w tej chwili nagrzewały się pod turbanem z ręcznika, podczas gdy dziewczyna przyklejała sobie nowe tipsy, wyglądające jak długie, zakrzywione amerykańskie flagi. Potem wcisnęła się w obcisłe, czarne spodnie z imitacji wężowej skóry i naciągnęła zapinane na rzepy srebrne puchate buty, które miały przypominać obuwie astronautów.

Reszta stroju wymagała starannych przemyśleń, i w końcu Hooter zdecydowała się na prostą, czarną tunikę, a na wierzch gwóźdź programu: kurtkę z naszytymi logo Kodaka, DuPonta i Pennzoilu, utrzymanymi w jaskrawych kolorach, którą znalazła w poświęconej NASCAR części butiku z obniżonymi cenami, położonym przy East Broad Street między Affordable Gyun Store i Nocheck Check Cashing i Pager Shopem.

Andy również zajmował się swoim ubraniem, ale nie z próżności i nie po to, by lepiej wyglądać. Nigdy dotąd nie był na richmondzkim torze wyścigowym i tak dokładnie nie wiedział, co powinien nosić pijany fan. Uznał jednak, że im mniej się będzie rzucać w oczy i im dokładniej się ochroni i uzbroi, tym lepiej. Dlatego wybrał trochę zdarte kowbojskie buty, workowate džinsy, które doskonale ukrywały pistolet w przymocowanej do górnej części buta kaburze, a na kamizelkę kuloodporną włożył koszulkę drużyny Redskins i skórzaną kurtkę. Pamiętał, żeby się rano nie golić i ze

świeżym zarostem, w peruce z kucykiem i odblaskowych okularach, z pistoletem kalibru dziewięć milimetrów ukrytym za paskiem spodni czuł się stosunkowo bezpiecznie. Dymek go nie rozpozna, a prawdę mówiąc, chyba nikt.

Zaczynał właśnie ochlapywać się piwem, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Co, do licha... – mruknął, trochę zaniepokojony, bo nie oczekiwał żadnych gości.

– To ja – odezwał się stłumiony, żeński głos. W pierwszej chwili Andy nie zorientował się, do kogo należy i pomyślał, że to seryjna morderczyni, która wcześniej zostawiła mu na progu dowody zbrodni.

– Kto, ja? – zapytał.

– Judy Hammer.

– O – zdziwił się, otwierając. – Przepraszam, że byłem trochę niegrzeczny, ale nie przypuszczałem, że to pani. I nie rozpoznałem głosu, bo...

To, co zobaczył przed sobą, sprawiło, że na chwilę zabrakło mu tchu. Komendant Hammer ubrana była w strój dziewczyny z gangu motocyklowego, czyli w czarne, nabijane srebrnymi ćwiekami spodnie ze skóry, czarne kowbojki i kurtkę harleyowca. Przez ramię przewiesiła skórzaną torbę, w której niewątpliwie znajdował się cały arsenał. Odmieniła swą przystojną twarz ostrym makijażem i utapirowała włosy.

– Nie znęcaj się nade mną – powiedziała, wchodząc do środka. – Wcale nie chcę wyglądać jak tania dziwka motocyklisty, ale coś musiałam zrobić. Trochę mnie niepokoi, że przylecimy helikopterem w tych strojach – dodała, oglądając przebranie Andy’ego. – I nie możemy zabrać na Tangier żadnych policjantów w cywilu, bo mam tylko dwóch pilotów: ciebie i Macovicha, a obaj będziecie zajęci. W dodatku przez te cholerne zakazy gubernatora z powodu twojego idiotycznego felietonu nie chodzą promy. Dlatego uznałam, że wpadnę do ciebie i zastanowimy się, czy nie powinniśmy trochę zmienić planów.

Poszła za nim do jadalni, przemienionej w prowizoryczne biuro. Kiedy zobaczyła komputer, drukarkę, szafki na segregatory i sterty pism naukowych, doznała dziwnego uczucia na myśl, że właśnie ogląda tajną kwaterę Tropiciele Prawdy, chociaż przecież od dawna wiedziała, kim on jest, gdzie mieszka i pracuje. Zdała też sobie sprawę, że zaczęła odczuwać pewną więź z wymyślonym autorem i chęć poznania go.

– To idiotyczne – mruknęła.

– Wiem – przyznał Andy. – Wyglądam głupio i przepraszam, że cuchnę piwem i jestem nieogolony. Najprawdopodobniej ma pani rację, helikopter policji stanowej nie pasuje do naszych przebrań.

– Ale chodzi mi jeszcze o to, że dziwnie jest siedzieć w miejscu, gdzie piszesz te swoje felietony. Czuję się, jakbym weszła za zasłonę i odkryła Czarnoksiężnika z Oz albo znalazła się w jaskini Batmana, czy coś podobnego. I muszę powiedzieć, że jestem trochę rozczarowana, bo chyba zaczęłam wierzyć w istnienie Tropiciele Prawdy. Wielki Boże, Andy nie mów mi, że stałam się jego fanką! – Pokręciła głową i westchnęła. – Chyba tracę rozum. Po pierwsze nie zamierzam być niczyją fanką, bo uważam, że to idiotyczne. Dlaczego istota ludzka wyolbrzymia kogoś do wielkości mieszkańca Olimpu i wiesza jego plakaty, jakby był bogiem? Czemu ktoś darzy uwielbieniem swego idola, a nawet gotów jest iść do łóżka z zupełnie obcą osobą? – ciągnęła, a Andy wbił wzrok w dłonie i milczał, skrępowany i urażony, że może pani Hammer bardziej lubi Tropiciele Prawdy niż jego samego. – To chyba znaczy, że są tysiące, jeśli nie miliony zupełnie obcych ludzi, którzy czytali te felietony, uwielbiają ich autora i być może snują seksualne marzenia na jego temat – ciągnęła. – Wiem na pewno, że tak jest w przypadku Windy, tylko że ona jest przekonana, iż Tropiciele Prawdy ma co najmniej osiemdziesiąt lat i chodzi, opierając się na balkoniku. Wydaje mi się, że gra się skończyła – dodała, uderzając dłonią o stół.

– Jaka gra? – zapytał Andy z urazą. – Nie było żadnej gry. Wszystko jedno, jakiego używam pseudonimu, i czy go w ogóle mam. To ja napisałem

te wszystkie felietony. Ja jestem Tropicielem Prawdy.

– Tropiciel Prawdy nie istnieje – stwierdziła Judy.

– Dobrze, w takim razie chciałbym o coś zapytać. – Andy starał się odzyskać panowanie nad sobą. – Jeśli pani nigdy nie myślała o mnie jako o Tropicielu Prawdy, to kim w takim razie on dla pani jest? Czy też snuła pani na jego temat fantazje, co?

– Ta rozmowa jest pozbawiona wszelkiego sensu i najlepiej będzie, jak ją natychmiast zakończymy – oświadczyła pani Hammer. – Przed nami poważne zadanie i teraz powinniśmy się na nim skoncentrować.

– Ma pani absolutną rację – odparł spokojnie. – To dla mnie absolutnie nieważne, czy jest pani fanką Tropicielea Prawdy, czy kogokolwiek innego, w tym mnie. Ja też nie jestem niczym fanem i nigdy nie byłem – dodał, a w tej chwili zadzwonił telefon.

– Haa! Pojawił się problem, Brazil. – W słuchawce odezwał się podekscytowany Macovich. – Gubernator nie chce lecieć helikopterem na wyścigi!

– Żarty sobie robisz – warknął Andy. – Dlaczego? Musisz z nim porozmawiać. Powiedz mu, że ze względu na własne bezpieczeństwo musi...

– Nic z tego. Wygląda na to, że wbił sobie zniecka do głowy, że powinien zabrać wielką kuwetę dla tego swojego konika. Wydaje się, że jego brzydka córka ma z tym coś wspólnego. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie głupiego, ale nic się nie da zrobić. Kazał policjantom napełnić tył limuzyny wiórami i nie można mu wyperswadować tego pomysłu. Więc on i Pierwsza Rodzina pojedą limuzyną i kropka. Mam ich zawieźć. Bardzo mi przykro, nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

– A co z Dymkiem i piratami drogowymi? – zaprotestował Andy. – Co zrobią, jeśli nie pojawi się helikopter, żeby ich zabrać z toru? Przecież mają psa!

– Wiem tylko, że jesteśmy umówieni na lądowisku, a mnie tam nie będzie.

– Cholera! – wykrzyknął Andy i rzucił słuchawkę.

Wyjaśnił szefowej, co się stało i z przykrością dostrzegł wyraz bólu, który przemknął po twarzy Judy, kiedy zdała sobie sprawę, że może nie uda się uratować Wytrzeszcz i że cały plan właśnie spalił na panewce. Dymek i jego banda pozostaną na wolności, chyba że znajdzie się jakiś sposób, żeby ich zwabić w pułapkę. Teraz piraci prawdopodobnie wcale nie pojawią się na wyścigach.

– Jeśli będą czekać na helikopter, a on nie przyleci, to się domyślą, że coś jest nie tak – stwierdziła z przygnębieniem pani komendant. – Zgadną, że prawdopodobnie mamy Kota i że połowa policji stanowej czeka na nich na torze. A wszystko przez jakiegoś cholernego konia!

Andy milczał. Oboje pamiętali, że to właśnie on w jednym z felietonów Tropiciela Prawdy podsunął gubernatorowi myśl o miniaturowym koniku.

– Nie wiem, co powiedzieć. Ja... – zaczął.

– Nie pora teraz na przeprosiny – odparła zrozpaczona Judy. – I w ogóle nie musisz przeproszać, Andy. To nie twoja wina. To ja zgodziłam się na tę całą zabawę z Tropicielem Prawdy, nie zdając sobie sprawę, do czego to może doprowadzić. Mam tylko nadzieję, że Wytrzeszcz... no cóż – próbowała mówić dalej, ale głos jej się załamał. – Mam tylko nadzieję, że nie będzie bardzo cierpiała... – jęknęła, a w jej oczach zakręciły się łzy. – Do diabła z tym!

– Chwileczkę – powiedział Andy, gdyż przyszedł mu do głowy dziwny, acz bardzo prosty pomysł. – Donny Brett lata czterystatrzdziestką!

– Kto? – zapytała Hammer, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu chusteczki higienicznej i stukając kajdankami o pistolet.

– Wie pani, numer jedenaście! Tego roku miał sześć zwycięstw, w tym na torze w Martinsville i Bristolu, a ja wiem, że jego helikopter to Bell, bo wykorzystywał go w reklamach. Wymalował go w swoich barwach i zawsze przylatuje nim na tor, więc prawdopodobnie jest już teraz na lądowisku. Tak!
– Myśli Andy’ego pędziły tak szybko, że trudno go było zrozumieć. –

Rodzina jednego z kierowców. To jest to! Pojawimy się na miejscu spotkania helikopterem Bretta i sami zabierzemy Dymka i jego piratów!

– Ale jak chcesz skłonić tego Bretta, żeby pozwolił nam ni stąd, ni zowąd wziąć swój helikopter? – spytała Judy. – To niemożliwe.

– To całkiem proste – odrzekł Andy. – Wkroczymy do krainy fantazji i zamienimy Fikcję w rzeczywistość.

– Nie pora teraz na zagadki – fuknęła szefowa, wycierając nos.

– Usiądzie pani ze mną na przednim siedzeniu i będzie pani udawała moją dziewczynę. – Andy przedstawiał swój plan.

– A ty kim będziesz?

– Ja będę bratem Donny’ego Bretta – wyjaśnił. – Musimy tylko przekonać Dymka i jego ludzi, że Macovich nie mógł przylecieć po tak zwaną załogę Wesołego Goodwrencha i poprosił Bretta o pomoc. Zabierzemy tych zbirów, rozstawimy wszędzie tajniaków i kiedy wylądujemy, aresztujemy całą bandę. Chodźmy. Musimy szybko jechać na tor.

Ze względu na ciągnące się przez cały stan korki, utworzone przez samochody stu pięćdziesięciu tysięcy fanów, jadących na NASCAR, Andy musiał skorzystać z helikoptera policji stanowej. Potem razem z panią Hammer pośpieszyli, żeby odnaleźć Donny’ego Bretta, którego zawsze przedstawiano jako typowego amerykańskiego chłopaka, kochającego rodzinę, uczciwego i życzliwego, który kolekcjonował odznaki policyjne i broń. Brett dbał też o bezpieczeństwo, więc kiedy komendantka i Andy przedarli się przez tłum i dotarli pod luksusową przyczepę Bretta, drzwi zastawili im masywni ochroniarze, którzy sprawiali wrażenie, że chętnie uszkodzą nadmiernie entuzjastycznych fanów.

– Musimy porozmawiać z panem Brettem – oznajmiła Judy Hammer.

– Teraz odpoczywa, więc niech państwo odejdą – odezwał się niezyczliwie jeden z goryli.

Judy wyciągnęła odznakę z tylnej kieszeni spodni, pokazała gorylowi i powiedziała cicho.

– Jesteśmy z policji stanowej i prowadzimy tajną akcję. Chodzi o ludzkie życie!

Andy sięgnął do kieszeni i wyjął swoją odznakę.

– Nie chcemy przeszkadzać panu Brettowi i zdajemy sobie sprawę, że potrzebuje chwili spokoju, zanim wsiądzie do wozu i, miejmy nadzieję, wygra wyścig, ale musimy się z nim zobaczyć – wyjaśnił.

– Ja też chcę, żeby wygrał – odezwał się drugi goryl. – Bardzo się wnerwia, jak nie wygra, a przed wyścigiem lubi sobie posiedzieć w spokoju i podumać. Ale powiem mu, co się dzieje i zobaczymy, co zdecyduje.

– To jakiś dowcip, tak? – odezwał się Donny Brett chwilę później, kiedy podstarzała motocyklowa piękność i jej prostacki kochaś zostali wprowadzeni do luksusowej przyczepy. – Nie podaję w wątpliwość tego, że jesteście z policji, ale chyba musicie mnie brać za idiotę, jeśli sądzicie, że dam wam albo komukolwiek innemu mój helikopter. I jak niby miałbym się stąd wydostać po wyścigu?

– Możemy panu udostępnić policyjną czterystatrzydziestkę – odpowiedział Andy przystojnemu słynnemu kierowcy, który bez stroju wyścigowego sprawiał wrażenie jakby sennego i skromnego. – Jak tylko gubernator bezpiecznie wróci ze swoją obstawą do rezydencji, policjant nazwiskiem Macovich przyleci tu i zabierze pana. Obiecuję.

Brett zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem otworzył butelkę z pepsi.

– Taa? – zapytał. – A jak wygląda ten wasz ptaszek? Jakie ma barwy?

– Barwy policji stanowej – odpowiedziała mu Hammer.

– Więc jak wygram wyścig, to będzie wyglądało, że dostałem policyjną eskortę? – Pomysł nawet się Brettowi spodobał.

– Nawet jak pan nie wygra – odrzekła Judy.

– No, ale pan wygra – dodał Andy.

Brett usiadł przy stole i westchnął głęboko. Nagle wydał się mniejszy i niepewny sobie, zupełnie niepodobny do postaci tak ochoczo

eksploatowanej przez media.

– Prawdę mówiąc, to wcale nie jestem taki pewien – wyznał, zwieszając głowę. – Wszyscy twierdzą, że jestem faworytem, a to dodatkowe obciążenie i w dodatku Labonte o wiele lepiej wykorzystał ten sezon niż ja.

Odebrał punkty Jarrettowi na trzecim wyścigu w Vegas i od tej pory ma mocną pozycję. A mój problem polega na tym, że lubię wygrywać. O wiele za bardzo. Co znaczy, że nie potrafię utrzymać równej formy tak jak Labonte. I szczerze mówiąc, Richmond nie jest moim ulubionym torem. Cholera, przecież zeszłej wiosny byłem tu osiemnasty na Pontiac Excitement Four Hundred, dacie wiarę? To mi odebrało wiarę w siebie, nawet jeśli nikt o tym nie wie. Myślę, że to jeden z powodów, dla których musiałem tu przylecieć tym wielkim helikopterem. Kiedy człowiek się w coś takim pojawi, tłum szaleje, a to mi bardzo poprawia samoocenę. Fani myślą, że wciąż jestem kimś, chociaż na razie wygląda na to, że niedługo całkiem przestanę się liczyć.

Judy z lekkim zniecierpliwieniem zerknęła na zegarek, ale Andy przysunął sobie krzesło, usiadł i z zainteresowaniem słuchał Bretta.

– Wie pan co – powiedział. – W tym wyścigu weźmie udział dwadzieścia albo dwadzieścia pięć maszyn i każda z nich, także ta o numerze jedenaście, może zwyciężyć.

– Taa, jest w tym trochę racji – przyznał Brett, z nieszczęśliwą miną, popijając swoją pepsi. – Każdy może wygrać. Stawka jest wyrównana i dlatego straciłem wiarę w siebie po tym, jak przyjechałem osiemnasty na tym przeklętym torze.

– Każdego weekendu – ciągnął Andy – dowolny kierowca może wygrać, ale moim zdaniem to pan dzisiaj zaszachuje wszystkich. Stać pana na to, Donny. Zdobył pan nagrodę Bud Pole tak jak Rudd, Labonte, Skinner, Wallace i Earnhard Junior. Startował pan ze świetnej pozycji na Daytona Five Hundred i miał pan doskonałe wejście w Bud Shootout, prawda? I proszę nie zapominać, że nadal prowadzi pan w tegorocznej klasyfikacji

Raybestos Rookie i zobaczył pan kraciastą flagę na The Winston w Charlotte.

– Tak, ale tu byłem osiemnasty... – powtórzył Brett. – To jedyne o czym myślę, szykując się dzisiaj do startu, a kiedy brakuje koncentracji, to się zaczyna obijać po bandach, albo daje komuś wybić z toru.

– Przecież jest pan znany ze swego instynktu i doskonałej oceny sytuacji – przypomniał mu Andy. – Pamięta pan Busch Series z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku?

– Musimy się zbierać – przerwała mu Judy Hammer, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia nerwowego. – Jeśli się nie ruszymy, będzie za późno!

– Jak mógłbym zapomnieć? – odparł Brett, kręcąc głową. – To był mój najlepszy wyścig.

– Właśnie – stwierdził Andy. – A dlaczego? Bo musiał pan walczyć o każdy metr, na torze było pełno rozbitych maszyn i co chwila zdarzała się jakaś zadyma. I co pan wtedy zrobił? Po wypadku na czwartym zakręcie, w którym przepadł numer czterdziesty i dano ostrzeżenie na siedem okrążeń, a Hamilton wyleciał na drugim zakręcie, zabierając ze sobą Burtona i Fullera, pan miał dosyć rozumu, żeby zdjąć nogę z gazu i przestawić na hamulec, a potem wystrzelił pan do przodu i już do końca zachował prowadzenie.

– Fakt – przyznał Brett, wyraźnie pocieszony. – Tak było.

– I to wydarzyło się właśnie tutaj – podsumował Andy, odmierzając słowa uderzeniami palca o stół. – Na torze w Richmondzie.

– Wiem, wiem. Ale taka już moja natura, że zawsze więcej myślę o niepowodzeniach – powiedział z uśmiechem Brett. – I wie pan co? Tak samo zrobię dzisiaj, a poza tym, jak chcecie, to bierzcie mojego ptaszka, pod warunkiem że jest ktoś, kto go potrafi pilotować.

– Dam sobie radę – zapewnił go Andy. – A jak już pan się znajdzie na torze, proszę zapamiętać moje słowa. Niech pan zrobi swój Wielki Skok. Będzie pan wiedział, kiedy.

– Co to wszystko miało znaczyć? – spytała komendantka, kiedy lecieli z Andym w stronę centrum Richmondu wspinając się czterystatrzydziestką

Bretta, pomalowaną na czarno i ozdobioną numerem wozu oraz licznymi jaskrawożółtymi, Fioletowymi i czerwonymi ornamentami. – Wydawało mi się, że nie chodzisz na wyścigi.

– Bo nie chodzę, ale czasami oglądam w telewizji i studiuję taktykę kierowców wyścigowych, ale i graczy w tenisa czy też snajperów z Komando Foki – odpowiedział jej Andy przez mikrofon, posuwając się z prędkością stu pięćdziesięciu węzłów na godzinę i przelatując nad autostradą 1-95, która była teraz kompletnie zakorkowana aż po kres horyzontu. – Dobrze że nie musimy tkwić tam na dole – dodał.

Barbie Leslie do tej pory zdołała uniknąć zatorów, utworzonych przez tysiące samochodów, kierujących się na tor wyścigowy, jednak wcale nie dlatego, żeby jakoś szczególnie znała różne skróty i boczne drogi, ale dlatego, że kiedy podjechała po Hooter do jej budki, stało się coś nieoczekiwanego. Zadzwoiła komórka i ku swemu zdumieniu i uldze, Barbie usłyszała w niej głos wielebnego Justice’a.

– Gdzie pan się podziewał? – zapytała. Siedząca obok niej Hooter, podziwiała swoje tipsy.

– Prowadziłem zajęcia w więzieniu – wyjaśnił wielebny. – Zepsuł mi się samochód, więc prosiłbym, żeby pani po mnie przyjechała jak najszybciej. Mam ze sobą kilku braci, więc musi się znaleźć miejsce dla mniej więcej sześciu osób.

– Ach jej, będzie nam ciasno – powiedziała Barbie, a Hooter poprawiała rzepy przy puchatych butach, delectując się swym stylowym strojem i wyobrażając sobie furorę, jaką robi w łoży gubernatora.

Zastanawiała się, czy ten wielki, paskudny policjant Macovich również tam będzie i uznała, że chyba tak. Tyle się przecież przechwalał, jaką ma ważną i niebezpieczną pracę. Cały czas było tylko „gubernator to” i „gubernator tamto”, kiedy we dwójkę popijali piwko owego wieczoru.

Hooter poczuła lekki żal. Wprawdzie ten facet myślał tylko o jednym,

nawet kiedy gadał o gubernatorze i pracy w wielkiej rezydencji przy Capitol Square, gdzie wygrywał też ze wszystkimi w bilard, ale Hooter doskwierała samotność.

– Wiesz co, przyjaciółko, chyba byłam trochę dla niego za ostra – powiedziała z westchnieniem, kiedy Barbie zatrzymała się przy zamkniętej stacji benzynowej i zawróciła. – Chciałabym, żeby tam się dzisiaj pojawił. Myślisz, że mu się spodoba mój strój?

– Wyglądasz fantastycznie – zapewniła ja Barbie, martwiąc się, że nie dojadą na wyścigi na czas albo nawet wcale.

Naprawdę wielebny zadzwonił zupełnie nie w porę. To bardzo dziwne, pomyślała Barbie, kierując się do nędznej dzielnicy na zachód od centrum, gdzie Justice polecił jej czekać naprzeciwko aresztu miejskiego, na tylnym parkingu sądu dla nieletnich. On i jego bracia będą czekać ukryci w niewielkim lasku i wskoczą do vana, jak tylko Barbie się pojawi, a wtedy ona ma ruszyć pełnym gazem i nie zadawać pytań.

– Chyba powinnaś zadzwonić do tego policjanta i powiedzieć mu, że możemy się troszkę spóźnić – zaproponowała coraz bardziej zaniepokojona Barbie. – Poproś go, żeby zajął nam miejsca w łoży gubernatora.

– Jak to, spóźnić? – wykrzyknęła Hooter, bo nie zwróciła najmniejszej uwagi na to, co Barbie mówiła przez telefon kilka minut wcześniej. – Dziewczyno, nie możemy się spóźnić! Przecież wtedy nie zobaczysz, jak kierowcy wychodzą ze swoich przyczep i wsiadają do maszyn! Nie będziesz miała zdjęcia z żadnym z nich! To jedyna okazja!

Barbie przyśpieszyła, a Hooter zauważyła wielki, kolorowy helikopter, przelatujący nad akademią medyczną.

– Hej, popatrz w górę! – Hooter pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. – To by dopiero było, nie? Polecieć sobie tym helipokterem? Pewnie wiozą teraz jakiegoś biedaka, który dostał ataku, ale nigdy nie widziałam, żeby pogotowie miało takie kolory.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła Barbie i o mało co, a zjechała by z jezdni. –

To helikopter Donny'ego Bretta! I popatrz, na drzwiach jest jedenastka. Rany boskie, on miał jakiś wypadek!

– Wyścig się jeszcze nie zaczął – zauważyła Hooter. – Może dostał ataku serca albo co. To pewnie przez ten stres, bo przecież ostatnim razem był na tym torze osiemnasty.

Andy i jego szefowa odczuwali znacznie silniejszy stres niż Donny Brett. Chociaż Brazil z całą stanowczością zapewnił panią Hammer, że wie dokładnie, jak sobie poradzić z bandą piratów drogowych, w rzeczywistości nie miał pojęcia, czego się może spodziewać. W dodatku słuchawki ciągle przekrzywiały mu perukę. Zatrzymał helikopter w powietrzu i skierował się w stronę wiatru, bo nagle zobaczył Dymka, jakąś drobną kobietę o krótkich, platynowoblond włosach oraz trzech chłopaków, wysiadających z czarnego wozu terenowego, zaparkowanego za płotem lądowiska. Bandyci mieli na sobie stroje w barwach NASCAR, a najmniejszy z nich niósł coś, zawiniętego jakby w czarną flagę.

– To musi być Opos – powiedział Andy. – I wygląda na to, że ma ze sobą Wytrzeszcz.

Judy postarała się powstrzymać przed jakąkolwiek reakcją. Wiedziała, że byłoby nierozsądnie okazywać zainteresowanie tym, co mogło się znajdować w zawiniątku, bo miała udawać dziewczynę brata Donny'ego Bretta i nie powinna wiedzieć, kto to jest Wytrzeszcz, ani też się przejmować jej losem.

– Proszę zostać w środku – polecił Andy, kiedy posadził helikopter na betonie i przełączył silniki na luz. – Ja do nich wyjdę. Jeśli coś będzie nie tak, proszę wyłączyć silniki i strzelać przez okno. Otwiera się w dół.

Piraci drogowi i kobieta podeszli do płotu i patrzyli z podziwem na wspaniały helikopter. Wydawali się trochę zaskoczeni, widząc prostaka z kucykiem, który ruszył w ich stronę.

– Kto ty, kurwa, jesteś? – zapytał Dymek, a zawiniątko w ramionach Oposa się poruszyło.

– Brat mnie po was przysłał – wyjaśnił Andy, po raz kolejny zmieniając plan.

– Twój brat? Donny Brett? – zapytał Kuda, wybałuszając oczy. – O rany, ale numer! Mam nadzieję, że mu się dzisiaj uda, bo pamiętam, że ostatnio był osiemnasty.

– Zamknij się! – warknął do niego Dymek. – Miał po nas przylecieć helikopter policji stanowej – zwrócił się do Brazila. – Dlaczego twój brat przysłał swój?

Andy zauważył, że palce bandyty drgnęły w kieszeni jego czerwonej kurtki z napisem Winston Cup, w której prawdopodobnie trzymał broń dużego kalibru. Przyjrzał się też dziewczynie Dymka i coś w jej oczach wydało mu się dziwne. A także znajome.

– Tyle wiem – powiedział – że siedzieliśmy sobie z Donnym i moją dziewczyną, która też jest pilotem, w jego przyczepie, starając się go trochę podnieść na duchu, kiedy przyleciał do nas ten duży, czarny policjant, bardzo zdenerwowany. Zaczął coś opowiadać o tym, że helikopter gubernatora się zepsuł i nie może lecieć, a on musi przywieźć z miasta jakichś ludzi na wyścig i nie wie, co robić, ale może Donny by pomógł, bo ma helikopter. Bo to wy jesteście załogą Wesołego Goodwrencha, nie? – dodał na koniec, udając niepewność i podejrzliwość, żeby ich trochę zmylić.

– To my! – odezwał się Opos, przekrzykując huk śmigieł i odrobinę odwinął flagę, tak żeby dało się zobaczyć słowo „Wesoły” i kawałek Goodwrencha. – Chodźcie, ruszajmy! – zawołał.

– Chwileczkę – powiedział Dymek, groźnie spoglądając na Andy’ego. – Skąd, kurwa, wiesz o Wesołym Goodwrenchu?

– Właśnie! – włączył się Kuda.

– Bo jest na waszej fladze – wyjaśnił Andy, wskazując w jej stronę, wdzięczny, że Opos okazał się na tyle bystry, by odwinąć jej trochę więcej.

– I umieściłem trochę o Wesołym Goodwrenchu na stronie NASCAR – dodał chłopiec.

– Właśnie – potwierdził Andy, dając mu sekretny znak. – Widziałem to.

Chłopiec zauważył znak, ale zdołał ukryć wstrząs. Ten blondyn z kucykiem to nie brat Donny’ego Bretta tylko Tropiciele Prawdy w przebraniu! Zmienił plan! Opos miał złe przeczucia i nie pomylił się. Inaczej Tropiciele Prawdy nie przyleciałyby helikopterem Donny’ego Bretta!

– Chyba nie chcecie tu stać i gadać cały dzień – powiedział głośno Andy.

– Musimy stąd odlecieć, bo zaraz tu będzie helikopter pogotowia z sercem na transplantację. Więc albo wsiadacie, albo odlatuję bez was.

– Chodźcie – polecił swoim ludziom Dymek. Przeszedł przez płot, a za nim jego dziewczyna i reszta piratów. Niosąc sprzęt i przytrzymując przed podmuchem od łopat bejsbolówki, podbiegli do wielkiego helikoptera.

Barbie i Hooter zobaczyły, jak kolorowy helikopter wyłania się zza domów i odlatuje. Barbie skierowała vana na pusty parking za sądami. Podjechała na sam koniec, a wtedy z niedużego zagajnika wybiegła grupka zdenerwowanych mężczyzn, wśród których znajdował się również wielebny. Popędzili do samochodu, otworzyli drzwi i wpadli do środka. Hooter zauważyła, że są nieumyci, nieogoleni i nie mają pasków od spodni i sznurowadeł. Potrafiła rozpoznać więźniów i zamarła z przerażenia. Och, och, w co też się ona wpakowała? I czy to nie ten sam młody Meksykanin, którego widziała wtedy przy swojej budce?

– Jedź! – krzyknął wielebny Justice.

– Tak, spieprzajmy stąd! – wrzasnął Slim Jim.

– Na dół! – zawołał Trader.

– Hej, zgniatacie mnie! – zaprotestował Kot.

Mężczyźni położyli się na podłodze, a Barbie wystrzeliła pełnym gazem z parkingu i spostrzegła wozy policyjne z migającymi światłami, pędzące w stronę ponurego budynku więzienia po drugiej stronie ulicy.

– Jedź normalnie – powiedziała Hooter, bo ktoś musiał zachować zimną krew i opanować sytuację. – Jak będziesz tak gnać, to policja na pewno nas

zatrzyma. A wtedy zostaniemy aresztowane za pomaganie więźniom w ucieczce.

– Co? – przeraziła się Barbie, ściskając kierownicę. – Więźniom?

– Zostaliśmy niesłusznie aresztowani, Barbie – odezwał się z podłogi wielebny. – Bóg chciał, żebyśmy uciekli i żebyś nam pomogła. A ja nie miałem wyboru, bo tamci mnie zmusili, żebym udawał atak gastryczny, a kiedy strażnik wpadł do celi, uderzyłem go w głowę tacą, zupełnie tak jak zdarzyło się to Pinnowi, kiedy jeszcze pracował w więzieniu.

Więc wykorzystałem pomysł z „Oko w oko z Pinnem”. Niezbadane są wyroki Pana, nieprawdaż? – ciągnął wielebny. – Gdybym nie brał udziału w tym programie, co stało się przez Moseśa Custerę i straż sąsiedzka, którą założyłem w okolicy Farmers Market, nigdy nie wpadłbym na to, żeby walić kogoś po głowie tacą. Oczywiście, gdybym nie był tak zestresowany moją nagłą popularnością, nie zaczepiałbym tej starej baby, żeby się odprężyć i nigdy nie musiałbym nikogo bić tacą.

Może to tylko przesąd, ale Moses Custer wierzył, że jeśli śwędzi go ucho, to ktoś o nim rozmawia. Kiedy jechał limuzyną gubernatora, czuł pod bandażami silne śwędzenie i zastanawiał się, czy ludzie wiedzą, że jest ważną osobą i ma siedzieć w łoży gubernatora na wyścigach. Wyglądał przez przyciemnione okno na pełną pojazdy, gubernator pochrapywał, jego dziwaczna córka z czarną fryzurą w kształcie hełmu wbijała wzrok w swój drżący dekolt, a mały rudy konik stał w trocinach i od czasu do czasu deptał Mosesowi po stopie.

Macovich próbował przedzierać się przez gęste korki, rozmawiając przez radio z Andym, który przełączył system nagłaśniający helikoptera tak, by pasażerowie nic nie słyszeli.

– Co gorsza – mówił Macovich – z aresztu uciekło sześciu więźniów, więc wszędzie pełno wozów policyjnych i zrobił się potworny bałagan. Nie wiem, kiedy dojadę na tor, ale na pewno się spóźnimy.

– To znaczy, że muszę przejść do planu B – powiedział Brazil, a w dole pojawił się właśnie tor pełen ludzi.

– Uhu, chyba lepiej od razu do planu G, albo H.

– Będę krążyć nad torem, aż zbierzesz grupę mundurowych, którzy zajmą lądowisko, żeby Dymek zmienił zdanie i kazał mi się przewieźć na Tangier – odezwał się znowu Andy.

– Człowieku, tu nie ma żadnych mundurowych! – zaniepokoił się Macovich.

Brazil popatrzył na setki fanów, wymachujących rękami do helikoptera i pchających się jak najbliżej lądowiska.

– Tego się nie spodziewałem, a powinienem był – mruknął. – Fani Bretta rozpoznali helikopter i rzucą się na nas, jak usiądziemy. Ktoś może zostać ranny albo Dymek zwieje. Mowy nie ma, żeby tu lądował.

– Jasne – odpowiedział Macovich. – To znaczy, przyjąłem.

Trybuny zapełniały się, a Andy włączył pulsujące światła lądowania i zaczął zwalniać. Włączył nadawanie do wszystkich, żeby słyszeli go również pasażerowie.

– Za kilka minut będziemy lądować – oznajmił. – Ze względów bezpieczeństwa musicie zastosować się do moich poleceń. Kiedy usiądziemy, zostańcie na miejscach i czekajcie, aż przyjdzie po was obsługa naziemna.

Dymek wyglądał przez okno. Kiedy zobaczył lądowisko, zauważył, że otaczają je liczni mundurowi. Spozrzegł też, że kucyk pilota wygląda trochę dziwnie. Kilka minut temu znajdował się pośrodku głowy, a teraz jakby się przesunął.

– Co tu robią te gliny? – zapytał nieufnie.

– Nie wiem, ale przynajmniej ludzie nie wejdą na lądowisko – odparł Andy, a Judy Hammer zeszywniała ze zdenerwowania. Musiała z całej siły powstrzymać się, żeby nie popatrzeć do tyłu na Wytrzeszcz.

– Tak? – odparł złośliwie Dymek. – A moim zdaniem coś tutaj śmierdzi.

– Hej! Popatrzcie, ile tam luda! – dziwił się Kuda. – I jak do nas machają. Pewnie myślą, że jest z nami Donny Brett!

– Gówno! – W słuchawkach rozległ się głos Dymka, a potem jego dłoń ściągnęła Andy’emu perukę z głowy.

Brazil pamiętał, czego nauczył go Macovich: „Zawsze skoncentruj się na pilotowaniu helikoptera”. Bez względu na to, co się dzieje, czy jak beznadziejna jest sytuacja, on przede wszystkim musi prowadzić helikopter, schodząc powoli do lądowania. Poczuł na karku zimny dotyk stali, a Dymek obrzucił go wulgarnymi wyzwiskami i zagroził zabiciem psa.

– Uspokój się – odezwała się Judy Hammer. – Chyba nie chcecie spowodować katastrofy, idioci? Więc zamknij się i nie przeszkadzaj nam pilotować tej maszyny, bo żaden z was tego nie potrafi, a to znaczy, że zależycie od nas.

– ... Pierdolone gliny! – wściekał się Dymek. – Wiem, kim jesteście, skurwiele! Mam waszego pieprzonego psa i jak nie będziecie robić, co wam każę, to go nafaszeruję trucizną!

Judy poważnie liczyła, że ten drań blefuje, ale Opos zobaczył strzykawkę, którą Dymek wyciągnął z kieszeni. Chłopiec tulił do siebie terierkę i czuł przez flagę, jak drżała. Unique siedziała bez ruchu, jakby była w transie, a w jej oczach pojawił się upiorny blask.

– Lepiej nic teraz nie rób – powiedział Opos do Dymka. – Kujniesz sukę, to dostanie konwulsji i zacznie się miotać, a jak zdechnie, nie będziesz miał czym ich zastraszyć.

Jego szef umilkł na chwilę, a potem chyba uznał, że chłopiec ma rację. Komendantkę ogarnęło przerażenie, bo zdała sobie sprawę, że Dymek rzeczywiście może mieć przy sobie strzykawkę z trucizną na szczury. Bydlak. Jeśli uda im się wylądować szczęśliwie, Judy może ulec pokusie i zabić drania, nawet jeśli miałby to być koniec jej kariery, a ona sama zostałaby oskarżona o zabójstwo.

Unique wysunęła z kieszeni nóż do kartonu, wbijając swe niesamowite

oczy w kark jasnowłosego gliny. Nazista powiedział jej, że otrzyma swoje Zadanie i rzeczywiście. Przesunęła swoje cząsteczki, żeby być niewidzialną, ale zaraz przywróciła je do normalnego stanu, bo zrozumiała, że glina, którego śledziła, czyli Andy Brazil, już ją widział, kiedy wsiadała do helikoptera. Więc nie ma po co stawać się niewidzialną, przecież on i tak już jej nie rozpozna. Poczowała pulsowanie w kroczu na myśl o tym, że rozetnie mu gardło od ucha do ucha. Potem ster przejmie drugi pilot, a kiedy wylądują, Unique podetnie tej kobiecie gardło i spędzi jakiś czas z ciałem.

– Zabieraj nas stąd! – polecił Dymek Andy’emu. – No już! Na Tangier! I nie waz się gadać nic, czego nie usłyszymy z tyłu.

ROZDZIAŁ 31

Macovich zauważył białego vana z tęczą na szybie dwa samochody przed limuzyną i przypomniał sobie nalepkę, jaką widział na budce Hooter. Kiedy zaś o niej pomyślał, zdał sobie ze zdziwieniem sprawę, że to ona we własnej osobie siedzi w furgonetce na miejscu dla pasażera i odwrócona mówi coś do ludzi z tyłu, których Macovich nie był w stanie dostrzec.

– Hoo, dziewczyno, co tam się dzieje? – mruknął do siebie, rejestrując, że van jedzie jakoś dziwnie, to zwalniając, to przyspieszając, zarzucając i zmieniając znienacka pasy.

Włączył niebieskie światło na kracie i wsiadł na ogon samochodu przed nim, zmuszając go, żeby zjechał na pobocze. To samo zrobił z następnym wozem i teraz znalazł się za furgonetką.

– Co się dzieje? – spytała Regina, wypróbując puder, który dostała od Barbie.

– Próbuję się przepchnąć przez korki – wyjaśnił Macovich, wciskając się na lewy pas i zrównując z vanem.

Zaczął machać do Hooter, próbując zwrócić na siebie jej uwagę, ale zauważyła go dopiero kiedy Barbie powiedziała jej o limuzynie. Hooter zrobiła rozpaczliwą minę i wypowiedziała bezgłośnie: „Pomocy!”.

– Cholera! – zaklął Macovich, bo nie wolno mu było zatrzymywać się ani reagować na żadne incydenty, kiedy wiozł gubernatora.

Wzruszył ramionami, jakby chciał dać Hooter do zrozumienia, że nie może nic zrobić i narysował w powietrzu kwadrat, że wiozą paczkę. Hooter

przewróciła oczami i znowu powiedziała bezgłośnie: „Pomocy!”, podniosła sześć palców, a potem poruszyła dwoma, co miało oznaczać sześciu uciekających ludzi. Macovich zmarszczył brwi i przez chwilę zastanawiał się nad tymi sygnałami. W tyle furgonetki siedzi sześciu ludzi, którzy uciekają? Ho, ho, pomyślał. Czy to nie tych sześciu więźniów, którzy dopiero co prysnęli z pobliskiego aresztu? Bo gdyby byli niewinni, to przecież by się nie chowali?

Sięgnął po radio i wezwał jednostki wsparcia, dając Hooter znak, żeby skłoniła prowadzącą furgonetkę kobietę, która sprawiała wrażenie słodkiej idiotki, do zatrzymania się.

– Przyjaciółko – odezwała się głośno Hooter do Barbie. – Mnie jest bardzo przykro, ale muszę iść do toalety. Koniecznie.

– Nic z tego – usłyszały napięty głos Kota z podłogi. – Nigdzie się nie zatrzymujemy, dopóki nie wyrwiemy się z tych korków i nie znajdziemy miejsca, gdzie nie ma policji!

– Słuchaj no – rzuciła Hooter. – Kiedy kobieta mówi, że musi iść do toalety, to znaczy, że musi, jasne? Jak cię mamusia wychowała? Nie nauczyła cię o tym, że kobiety mają miesięczne okresy i że kobieta może sobie gdzieś całkiem spokojnie jechać, kiedy nagle czuje, że jej płodność ożywa na dwa dni przed terminem?

Mężczyźni na tyle ucichli.

– Tak więc, przyjaciółko, zatrzymaj się na tej stacji benzynowej, a ja skoczę do środka. Pośpieszę się, mam nadzieję, że nie dostanę bólów. O mój Boże, niech mnie nie chwycą bóle!

Barbie tak się przejęła, że na chwilę zapomniała o więźniach siedzących z tyłu. Jak była młodsza, często miewała bolesne miesiączki i doskonale rozumiała, że bywają nieznośne i całkiem nieprzewidywalne. Włączyła prawy migacz i poklepała Hooter po ramieniu.

– Jedź! – rozkazał Trader.

– Masz środek przeciwbólowy? – spytała Barbie Hooter.

– Och, och, au! – jęknęła ta w odpowiedzi, chwytając się za brzuch. – Oooch! Nic ze sobą nie wzięłam, bo powinnam mieć okres później. Ochhhh! Boże, dlaczego to się musiało stać właśnie dzisiaj!

– Bardzo mi przykro – powiedział wielebny Justice z uczuciem, wciągając do płuc kurz z podłogi i odpychając sobie od twarzy stopę Kota. – Będę się modlił do Pana, żeby cię uwolnił od bólów. Boże... – kichnął dwa razy – ... uwolnij tę kobietę, twoją służebnicę, od bólów. Wzywam Cię, byś użył swych uzdrowicielskich mocy!

– Och! – jęknęła głośniej Hooter, gdy furgonetka pełzła wśród gęstej rzeszy fanów wyścigowych, a wszyscy oni zaczęli się coraz bardziej denerwować, że spóźnią się na początek imprezy, kiedy z rykiem ruszy nadający tempo pace car, a wojskowe F-16 przelecą w szyku nad torem.

– No dobrze już, dobrze – odezwał się Slim Jim, bo jedynymi rzeczami, jakich naprawdę nie znosił, było słuchanie jęków kobiety, która ma bolesną miesiączkę, i konieczność znoszenia jej złych humorów. – Zatrzymaj się, ale niech ona się pośpieszy, z nikim nie rozmawia i nie zwraca na siebie uwagi!

Macovich przyglądał się bacznie Hooter, jadąc obok furgonetki. Wyraźnie była ranna i potrzebowała pomocy lekarskiej, zaczął więc wpadać w panikę. Skąd ma wiedzieć, czy któryś z więźniów jej nie zranił, może teraz ta kobieta wykrwawia się na śmierć na jego oczach?

– Bardzo przepraszam, panie gubernatorze. – Moses podniósł głos, zwracając się do Crimma.

– Tak? – zapytał indagowany, budząc się.

– Ten konik postawił kopytko na mojej stopie i nie mogę się ruszyć – wyjaśnił Moses, starając się nie sprawiać kłopotów, ale bał się, że ma złamaną kość i strasznie go bolało.

Regina usiłowała sobie przypomnieć, gdzie położyła listę poleceń i okazało się, że zostawiła ją w rezydencji. Wiedziała, że jest jakaś komenda na podniesienie nogi i zaczęła się zastanawiać, co to było.

– Blżej – powiedziała.

Trip zareagował, przesuając nogę bliżej do opiekuna, czyli gubernatora.

– Au! – krzyknął Moses, kiedy konik uderzył go w gips na przedramieniu, a potem stanął mu na drugiej stopie. – Nie chcę narzekać, ale biją mnie tu zupełnie jak w szpitalu!

– Prawda! – Regina przestraszyła się i wszystkie komendy, które wcześniej pamiętała, pomieszały jej się kompletnie. – Przepraszam.

Trip skręcił w prawo i pchnął obandażowaną głowę Mosesa na okno. Ten krzyknął i zaczął prosić, żeby pozwolono mu wysiąść.

– Złapię taksówkę i wracam do łóżka – powiedział, usiłując odepchnąć Tripa.

– Zatrzymaj się! – zawołała Regina do Macovicha, obciągając dzinsową spódniczkę, która była odrobinę za ciasna i miała tendencję do odsłaniania jej tęgich ud. – Pan Custer źle się poczuł i musi wracać!

– Gdzie? – zapytał Macovich, jadąc powoli obok furgonetki.

– Do domu. Wracać! – krzyknęła Regina i Trip cofnął się, tym razem stając całym ciężarem na obu stopach gościa.

– Ajjjj! – wrzasnął Moses.

– Och! – jęknęła Hooter, Barbie zaś w końcu skręciła do stacji benzynowej, a limuzyna gubernatora podjechała tuż za nią.

Fani wyścigowi, którzy postanowili skorzystać z chwili postoju, patrzyli ze zdumieniem na pancerną limuzynę z migającymi niebieskimi światłami i jeszcze trzy następne. Lśniące drzwi pierwszego pojazdu otworzyły się i wysiedli z niego gubernator, tęga młoda kobieta z okropnymi włosami, dziwacznie ubrana, oraz ktoś, kto wyglądał na pacjenta szpitalnego, a także mały rudy konik oraz funkcjonariusze w cywilu, którzy mieli broń pod marynarkami, oraz reszta Pierwszej Rodziny.

Gubernator chwycił się upręży Tripa i zrobił kilka niepewnych kroków, a Macovich rzucił się ku furgonetce, dokładnie w tej samej chwili, kiedy wyłoniła się z niej Hooter, zaczęła wymachiwać rękoma i krzyczeć.

– Jesteśmy porwane przez więźniów! – zawołała, a wtedy wszyscy fani NASCAR, którzy zatrzymali się, żeby kupić sobie piwo, albo wysiusiać ów wcześniej skonsumowany napój, zaczęli wiwatować.

Jim, Stick, Cruz Morales, Trader, Kot i wielebny wyskoczyli z furgonetki i rozbiegli się w różne strony. Dwóch z nich złapał Bubba Loving. Macovich chwycił Cruza i Sticka za kołnierz, a Kot ruszył, zygzakując między ludźmi w stronę gubernatora, którego chciał wziąć jako zakładnika. Pamiętając, że ciągle jest praktykantką policyjną, Regina uznała, że powinna podjąć próbę opanowania sytuacji, i wydała Tripowi komendę:

– Bierz go!

Konik nie znał tego polecenia, więc nie zareagował, a Kot biegł dalej. Gubernator stał w miejscu, mrużąc oczy, i klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu szkła powiększającego. Regina, która jako dziecko nieraz spowodowała obrażenia fizyczne u personelu rezydencji oraz swojej rodziny, pochylila głowę, ozdobioną czarnym hełmem NASFRYZU i przestąpiła z jednej nogi w czerwonym pantoflu na drugą, zbierając energię, napędzana gwałtownym atawistycznym popędem. Zaatakowała bykiem uciekiniera, trafiając go w krocze i pchnęła bandytę tak, że poleciał w tył i wpadł na Tradera. Potem skoczyła na obu mężczyzn leżących na plecach i wrzeszcząc, zderzyła ze sobą ich głowy, a potem zaczęła ich dusić. Hooter pośpieszyła jej na pomoc, a wiwatujący fani NASCAR zachęcali tęgą dziewczynę, żeby „walnęła ich jeszcze raz, dała gaz do dechy i wypieprzyła ich z toru”.

Dymek raz po raz uderzał Andy’ego pistoletem po głowie i groził, że zabije Wytrzeszcz, jeśli Brazil i komendantka nie zrobią dokładnie tego, co on im nakaze.

– Wiem, że macie schowaną broń, więc dawajcie ją – polecił przez mikrofon.

Skup się na pilotowaniu, powiedział sobie Andy.

– Oddawać broń, ale już! – rozległ się w jego słuchawkach głos Dymka.

– Pilotuję ten helikopter – odpowiedział Andy. – Do tego potrzeba obu rąk i nóg, więc nie mam zamiaru szukać broni, którą rzekomo ukrywam, dopóki nie wylądujemy.

– Ja nic nie mam – dodała Judy, zastanawiając się, czy może zaryzykować i zastrzelić Dymka z pistoletu, który schowała do torby.

Uznała, że to nie najlepszy pomysł. Z tak bliskiej odległości łatwo byłoby trafić bandytę, ale jeśli ten łotr także zdąży wystrzelić, to Andy może zostać ranny albo zabity i wtedy to ona, Judy, musiałaby pilotować helikopter, a przecież tego nie umie. Nie mówiąc już o tym, że gdyby jej kula przeszła Dymka i trafiła w coś w środku, mogłaby spowodować poważne uszkodzenie i w rezultacie kraksę. Pani komendant popatrzyła na ciemne wody James River, uchodzące do Chesapeake Bay i przypomniała sobie swoje lęki przed utopieniem.

– Cofnij się i milcz – poleciła Dymkowi surowym tonem, którego używała głównie wobec podejrzanych. – Jesteśmy teraz nad zatoką i chyba nie chcesz, żebyśmy stracili panowanie nad helikopterem. Jeśli spadniemy, wszyscy utoną. Będziesz uwięziony w środku i nie otworzysz drzwi ze względu na ciśnienie wody od zewnątrz. Będziesz się miotał w lodowatych ciemnościach, aż woda zaleje ci usta i umrzesz powolną śmiercią.

– Wyluzuj – poprosił Kuda. – Wyluzuj, człowieku. Nie chcę utonąć!

Opos trzymał terierkę, ciasno zawiniętą we flagę i mocno ją do siebie tulił. Dymek opadł na fotel i bawił się strzykawką, a Unique patrzyła dziwnym wzrokiem na kark Tropiciela Prawdy, zaciskając swą drobną dłoń na nożu do kartonu tak silnie, że paznokcie przecięły jej skórę i pociekła krew. Nie odczuwała bólu tylko żar i wibracje, dochodzące z jej Ciemności.

Andy sprawdził mapę lotów i wszedł na częstotliwość Patuxent. Po chwili zgłosiła się wojskowa wieża kontrolna.

– Helikopter zero-jeden-jeden-Delta-Bravo – powiedział przez radio.

– Jeden-Delta-Bravo – odezwała się wieża.

– Czy strefy sześć-sześć-zero-dziewięć i cztery-zero-zero-sześć są

zamknięte?

– Nie.

– Proszę o pozwolenie przelotu na wysokości czterystu metrów, w drodze na wyspę Tangier – odezwał się Andy.

– Brak pozwolenia.

– Przyjąłem – odrzekł i wstukał w transponderze kod 7500, oznaczający porwanie, a potem pokazał ukradkiem szefowej podniesiony kciuk.

Leciał w stronę strefy zakazanej, a teraz na wieży w Patuxent mieli ich na radarze, znali ich numer i wiedzieli, że mają na pokładzie porywaczy, więc wojsko powinno zareagować. Dodał trochę gazu i zauważył z zadowoleniem, że wiatr od ogona zwiększał ich prędkość, tak że mieli teraz na liczniku sto siedemdziesiąt węzłów. Kwadrans później weszli w strefę powietrzną Patuxent.

Brazil wziął głęboki wdech i włączył automatycznego pilota. Dymek nie mógł wiedzieć, że Andy ma teraz wolne ręce i nogi, a on teraz powoli sięgnął po pistolet, umocowany na kostce. Idąc za jego przykładem, komendant Hammer ostrożnie wysunęła swój z torby i oboje położyli sobie broń pod nogami, żeby Dymek nic nie zauważył, gdyby znów uniósł się w fotelu, by się na nich gapić.

Fonny Boy i doktor Faux również nie mieli pojęcia, co się dzieje, kiedy szli Janders Road i nie widzieli żadnego wyspiarza. W wielu domkach światła były pogaszone i ani jeden wózek golfowy nie podskakiwał w chłodnych ciemnościach. Nie spotkali żywej duszy od chwili, kiedy zsiadli ze statku pocztowego, jako że nie udało im się przekupić kapitana, żeby poszukał więcierza z żółtą boją.

– A niech mnie! Może to nadszedł Ten Dzień – powiedział Fonny Boy, który słuchał o Tym Dniu przez całe życie. – A my zostaliśmy, bo nie nadajemy się do nieba przez nasze grzechy.

– Bzdury – odparł dentysta z irytacją.

Był głodny, zmarznięty i zmęczony, w dodatku wyobrażał sobie, jak rybacy na barkach wydobywają skarb piratów. Ciekawe, czy straż przybrzeżna schwytała ich wszystkich i aresztowała, czy też Tangierczykom udało się zmusić władze do współpracy. Krótko mówiąc, doktor Faux nie miał pojęcia, co się dzieje, bał się i żałował, że był taki głupi, żeby fałszować swoje dentystyczne rachunki, oszukiwać służbę zdrowia, wykorzystywać dzieci i niszczyć ludziom zęby dla pieniędzy.

Kiedy wreszcie doszli do domu Fonny'ego Boya, nikogo tam nie zastali.

– Mama powinna być, rozpalić ogień i pomywać naczynia. Nigdy nie wychodzi, jak ciemno – dziwił się chłopiec, owładnięty rosnącym niepokojem. – To na pewno Pan Jezus zstąpił tu na chmurze i zabrał wszystkich, prócz nas!

– Przestań – warknął dentysta. – Nikt tu nie przyleciał na chmurze, Fonny Boy. To bajki. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie, dlaczego wyspa jest pusta, więc weźmy wasz wózek golfowy i objeźdźmy ją dookoła. Proponuję zacząć od lotniska i zobaczyć, co tam się dzieje.

Ale bateria w wózku była wyczerpana, co tylko powiększyło złe przeczucia Fonny'ego Boya.

– W takim razie pójdziemy piechotą – zdecydował doktor Faux, zawracając i ruszył w stronę skrótu przez bagna. – Przyznaję, że to dziwne. Jeśli wszyscy wypłynęli na poszukiwanie skarbu, to dlaczego widzieliśmy przy nabrzeżu tyle łodzi, jak schodziliśmy ze statku?

– Cśś! – Fonny Boy przyłożył sobie palec do ust. – Leci helipokter. To pewnie straż!

Dentysta wyteńczył słuch i przekonał się, że rzeczywiście z oddali dobiega charakterystyczny warkot. Usłyszał też coś jeszcze.

– Śpiewają – powiedział. – Słyszysz, Fonny Boy?

Zatrzymali się i wtedy doleciały ich słabe dźwięki pieśni religijnej.

– To z kościoła metodystów przy Main Street – szepnął bez tchu Fonny Boy. – Ale nie mam pojęcia, o co chodzi. W soboty wieczorem nie ma tam

żadnych spotkań.

Ruszyli w tamtym kierunku, a warkot helikoptera stawał się coraz głośniejszy i w końcu zauważyli dwa światła, zbliżające się od zachodu po rozgwieżdżonym niebie. Chłopiec ruszył biegiem, nie troszcząc się o dentystę.

– Hej! Zaczekaj! – zawołał za nim doktor Faux. – A, co mi tam, idę na lotnisko i zobaczę, czy uda mi się stąd zwiać którymś z tych helikopterów, co właśnie tu lecą.

Fonny Boy biegł tak szybko, jak nigdy w życiu i kiedy wpadł na schody kościoła i otworzył drzwi, był zdyszany i okryty potem. Ujrzawszy scenę w środku, nie wierzył własnym oczom. Wszyscy mieszkańcy wyspy zgromadzili się w ciasnym wnętrzu, światła pogaszono, a wyspiarze trzymali w rękach świece. Śpiewali „Amazing Grace” bez akompaniamentu. Chłopiec zamarł w bezruchu, patrząc ze zdumieniem i strachem. Musiało się stać coś okropnego. Albo cudownego. A może oni wiedzą, że nadchodzi Ten Dzień i czekają, aż Jezus zstąpi na chmurze. To szaleństwo, zaprotestował w duchu Fonny Boy. Dlaczego wszyscy nie próbowali szukać skarbu piratów i czemu nie interesowało ich, że lecą tu helikoptery? Łoskot silników stał się już na tyle donośny, że słyszać go było w kościele. Chłopiec wyciągnął z kieszeni drumlę i zaczął grać.

Śpiew umilkł natychmiast, a wielebny Crockett podszedł do pulpitu. Przebiegł wzrokiem po morzu migoczących światełek.

– Kto tu gra na plujce? – zapytał.

– Znalazłem swoją drogę – zaimprovizował Fonny Boy i zagrał akord. – Chłopiec o wolnej duszy nigdy nie zazna niedoli!

Dookoła rozległy się okrzyki i głosy, wołające: „Chwalmy Pana” i „Dzięki Ci, Boże” i „To cud!”. Z ławki wybiegła matka Fonny’ego i chwyciła syna w ramiona, a potem zrobił to samo ojciec z twarzą zalaną łzami. Wszyscy mieszkańcy wyspy uznali, że chłopiec nie żyje, kiedy usłyszeli o skarbie piratów i ujęciu dentysty. W wiadomościach nie podano

żadnej wzmianki o nastolatku, więc mieszkańcy uznali, że nieszczęsny został wypchnięty za burtę przez chciwego doktora Faux.

– Chwyćmy się za ręce i odtańczmy taniec wdzięczności! – polecił wielebny Crockett. – Bóg okazał łaskę i tchnął nowe życie w utopionego chłopca!

– Chwalmy Pana! – krzyknęła matka Fonny’ego Boya. – Oddał mi dziecko!

– A niech mnie, przecież nie umarłem – powiedział Fonny, zmieszany i wzruszony, gdyż zaczęło do niego docierać, że cała ludność wyspy zebrała się w kościele – i może czyniła tak co wieczór – żeby się modlić za niego, bo zaginął na morzu. – Dentysta przywiózł mnie tu przed zmrokiem.

Nad kościołem rozległ się głośny huk silników helikopterowych, wstrząsając dachem budowli.

– Właśnie! – huknął z niezadowoleniem wielebny. – Dentysta wrócił na Tangier?

– Nie! – krzyknął na odwrót chłopiec.

– Gdzie on jest?

– Wraca na lotnisko – odparł Fonny Boy.

– Ten zły człowiek ze stałego lądu wyrwał mnie wszystkie zęby! – powiedziała pani Pruit tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

– I mnie.

– I mnie.

– Taak! Mnie też.

– Chce uciec helikopterem!

Oburzone głosy zagłuszyły wszelkie próby wyjaśnień ze strony Fonny’ego Boya i cała populacja wyspy ruszyła z kościoła oświetloną świecami kolumną na pas startowy, który znajdował się o kilka minut drogi, gdyż na wyspie wszędzie było blisko.

Żołnierze w panterkach wysiadali z dwóch black hawków, kiedy zobaczyli zbliżającą się ku nim falę świateł. Andy także zobaczył tę dziwną

iluminację, lecąc czterysta metrów nad ziemią, a w tym samym momencie Unique nacisnęła guziczek, otwierając nóż do kartonu.

– Co tam się dzieje na dole? – spytała Judy Hammer, zanim zdążyła się pohamować.

– Lepiej niczego nie próbujcie, bo będzie po was! – zagroził Dymek, wyglądając przez okno. Zobaczył falę ruchomych światełek i dwa helikoptery. – Coście zrobili? O co tu, kurwa, chodzi? Gadać natychmiast!

Uwagę Oposa przykuwała strzykawka w ręku tamtego; chłopiec znał bandytę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co zaraz nastąpi. Jak tylko helikopter wylądował, Dymek wbije igłę przez flagę i wstrzyknie Wytrzeszcz dawkę trucizny na szczury, a potem zastrzeli panią Hammer i Tropicielea Prawdy, i na zawsze zatrzyma Kudę i jego na tej przeklętej wyspie. Nagle chłopiec zauważył, że Unique zaczęła drgać konwulsyjnie i odpina pas.

– Żegnaj, Wytrzeszcz! – powiedział jadowicie Dymek, zdejmując ochronny kapturek z igły.

– Unique, nie! – wrzasnął Opos, a Brazil natychmiast przypomniał sobie, że w e-mailu napisano „to sprawka Unique” w związku z tym, kto pociął Mosea, i że Custer mówił o aniele, który obiecywał mu coś niezwykłego. Andy krzyknął „mayday” do mikrofonu, zwolnił, obniżył przód helikoptera, a potem skręcił ster w prawo, robiąc beczkę. Przez jedną przerażającą chwilę znaleźli się do góry nogami, a potem rozległo się wycie alarmu, zaczęły błyskać światła awaryjne i helikopter nagle szarpnął się jak narowisty rumak.

– Pozycja awaryjna! Pozycja awaryjna! – zawołał Andy i zmniejszył gaz, dał ster na zero i zaczął schodzić w dół. Helikopter nie zaczął spadać jak kamień tylko dzięki temu, że pod łopatami przesunęło się powietrze.

To nic niezwykłego, wyłączyć gaz w powietrzu. Andy regularnie ćwiczył becuki i nie tylko świetnie potrafił je robić, ale też uwielbiał lądować czterotonową maszyną bez pomocy silników. Inną sztuczką, którą sobie upodobał, było odczekać, aż znajdzie się niespełna dziesięć metrów nad ziemią, dodawać gazu i lecieć dalej, co zrobił także i teraz, i nagle helikopter

znowu szarpnął do góry. Na wysokości stu pięćdziesięciu metrów znowu zmniejszył gaz i uśmiechnął się do pani Hammer. Dzwonki alarmowe zawyły znowu, a Andy wszedł w następną beczkę. Wykonał ten niebezpieczny manewr jeszcze trzy razy, na wszelki wypadek, i wcale się nie dziwił, że kiedy wreszcie wylądował, Dymek, Kuda i Opos, bladzi jak ściana, tkwili na fotelach zwinięci w pozycji embrionalnej, a Unique leżała nieprzytomna na podłodze.

– Biorę Dymka, a ty dziewczynę! – krzyknął Andy do komendantki, kiedy otworzyli tylne drzwi i do środka wpadł podmuch od wciąż kręcących się łopat. – Uważaj na nią! Ma nóż!

Wymierzył pistolet w bandytę, który był oszołomiony i dawno już wypuścił z ręki broń. Andy wywłókł go z kabiny i pchnął, półprzytomnego, na asfalt. W tej samej chwili Judy obezwładniła Unique. Fala świateł otoczyła ich kręgiem, a żołnierze przepchnęli się do środka, żeby zobaczyć, co się tu, u licha, dzieje.

– To piraci! – oznajmił Andy zdumionym wyspiarzom, zatrzasnąwszy kajdanki Dymkowi, a komendant Hammer skrepiła Unique ręce za plecami i nogi w kostkach. Dziewczyna na przemian traciła i odzyskiwała świadomość i śliniła się.

– Przepraszam – zwrócił się do żołnierzy Andy. – Musiałem wlecieć do strefy zakazanej, bo trzymano mnie na muszce, jak chyba wiedzieliście na podstawie kodu, który wam posłałem. Czy mogliście pomóc mi ująć jeszcze jednego pirata, tego, który wymiotuje do torebki? A tego najmniejszego zostawcie. Nazywa się Jeremiah Little i był ich więźniem. Zabierzemy go ze sobą do Wirginii.

– Znam czterystatrzydziestki. Chcesz, żebym zgasił silnik? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Dzięki – odrzekł Andy. Wytrzeszcz lizała z radością twarz swojej pani, a doktor Faux podkradł się bliżej i protekcjonalnie poklepał komendantkę po odkrytym czarną skórą ramieniu.

– Nie wiem dokładnie, co tu się działo, ale bardzo się cieszę, że pani piesek jest cały i zdrowy. Czyż zwierzątka domowe nie są prawie jak dzieci? Wiem, bo sam bardzo kocham moje koty. Czy pozwoli pani... – mówił – ... że się z wami zabiorę do Wirginii? Przypuszczam, że zaraz odlatujecie.

– Taa, zabrać go! – rozkazał wielebny Crockett. – Nie chcemy go więcej widzieć! Aresztujcie go!

– Nie! – zawołali zgodnym chórem wyspiarze, mówiąc na odwrót i zagłuszając huk łopat. – Zabrać go na ląd! – zaczęli skandować.

DONNY BRETT TRIUMFUJE!

Tropiciel Prawdy

Cóż to był za wieczór, drodzy fani!

Przypuszczam, że za smutną należy uznać wiadomość, iż skarb piratów nie istnieje, a przynajmniej nie znajduje się tam, gdzie wskazywała żółta boja, która najprawdopodobniej podryfowała sobie na płytszą wodę i więcierz zaplątał się w wodorostach, jakieś dwa kilometry od wybrzeży Wirginii. Jednak o wiele cenniejsze jest to, że wyspiarze przejęli się wyłącznie losem Fonny'ego Boya oraz to, że praktykantka Reggie własnoręcznie ujęła zbiegłych więźniów!

Ale wracajmy do naszego amerykańskiego chłopca, Donny'ego. Muszę z przykrością wyznać, że wczoraj wieczorem zajmowałem się pewną sprawą i nie oglądałem wyścigu na żywo. Widziałem go potem w telewizji i podziwiałem wielokrotne powtórki Wielkiego Skoku, kiedy to Donny jechał bok w bok z numerem czwartym, a na czwartym zakręcie wyleciał chevrolet numer trzydzieści trzy i spowodował ostrzeżenie na siedem okrążeń z ponownym startem na okrążeniu dziewięćdziesiątym czwartym. I niech mnie, ale Donny świetnie wykorzystał tę ryzykowną sytuację, żeby zrobić swój Wielki Skok.

Właśnie, moi drodzy fani. Widzieliście, jak zdjął nogę z gazu i przeniósł

na hamulec, tak jak poprzednim razem, a potem wystrzelił po zewnętrznej obok numeru cztery i utrzymał przewagę do końca wyścigu.

– Trzymałem się z całej siły – opowiadał uradowany Donny Brett, popijając szampana. – I starałem się cieszyć wyścigiem, a nie zamartwiać, że mogę przegrać, wiecie? Chciałbym tu podziękować gliniarzowi, który długo ze mną rozmawiał przed wyścigiem. Nie wiem, jak się nazywasz, ale jestem ci bardzo wdzięczny. Muszę wam też przekazać, co mi powiedział. W wyścigach nie chodzi o to, żeby być najlepszym, tylko o to, żeby wiedzieć, kiedy uczynić właściwy ruch.

I dla mnie nadeszła pora, żeby uczynić właściwy ruch i oznajmić wam, moi wierni czytelnicy, że jest czas na to, by mówić i na to, by milczeć. Tak więc kończę z pisaniem i to jest mój ostatni felieton. Może kiedyś wrócę, ale teraz jeszcze nie wiem na pewno. Tyle się ostatnio wydarzyło i mam mnóstwo spraw do zakończenia i przemyślenia.

Będę nadal odbierał maile i wszystko, co zechcecie napisać, na pewno mi się przyda, bo dzięki wam świat stanie się lepszy. Jeśli wam nie odpowiem, proszę nie obrażajcie się i nie sądźcie, że przestaliście mnie obchodzić. I pamiętajcie o złotej zasadzie: nawet najmniejsza żywa istota i wszystko inne na tej ziemi ma swoją historię, tylko ktoś jej musi wysłuchać.

Trzymajcie się ciepło!